

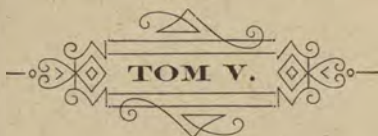


STUDYA

DO HISTORII LITERATURY POLSKIEJ.

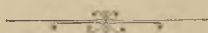
ST. TARNOWSKI.

STUDYA DO HISTORII LITERATURY
POLSKIEJ.



WIEK XIX.

HENRYK SIENKIEWICZ.



472

Z KSIĄG
KSIEDZA KAZIMIERZA
ROGOWSKIEGO.

W KRAKOWIE,
W KOMISIE SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1897.



II - 1278

NAKŁADEM AUTORA.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

PRZEDMOWA.

Jest właśnie lat dwadzieścia pięć, jak Sienkiewicz rozpoczął swój zawód pisarski. W ciągu tych lat pisałem nieraz o jego dziełach, od młodocianych, aż do ostatnich. Teraz przyszło mi na myśl zebrać te różne recenzje i wydać je razem. Różni różnie chcą okazać, że pamiętają tę rocznicę znakomitego pisarza: ja nie mam innego sposobu, używam tego. Sprawozdania z powieści, pisane świeżo po ich wyjściu, przechowały i może komu przypomną to wrażenie, z jakim czytały się dzieła Sienkiewicza. Dlatego nie zmieniam ich i nie poprawiam; zostawiam jak są, żeby poprawieniem nie zepsuć, nie zatrzeć śladów świeżego, bezpośrednio doznanego uczucia, lub powziętego zdania.

Gdyby przypadkiem książeczka ta po długich latach wpadła komu do ręki, to ten poznałby z niej może jak Sienkiewicz rósł sam w sobie, i jak rósł

w opinii swoich współczesnych. Ale długiego życia jej wróżąc, ani dla niej nie roszcząc, żądam od niej i pragnę dla niej tylko tego jednego, żeby powiedziała odemnie Sienkiewiczowi „Bóg zapłać“ za już — „Szczęść Boże“ na jeszcze.

St. Tarnowski.

HENRYK SIENKIEWICZ.

I.

MAŁE POWIEŚCI.

Liat temu kilka¹⁾), wychodziły w *Gazecie Polskiej* w Warszawie listy podpisane przez jakiegoś zamaskowanego Litwosa; były ładne, zajmujące i zwróciły uwagę czytających na autora. Po niejakiem czasie rozeszła się wieść, że Litwos wyjechał do Ameryki, a *Gazeta Polska* nęciła znowu czytelników Listami z drugiej połowy świata. Pierwsze były dość obojętne, zwyczajne. Ale im dalej zapuszczał się korespondent w głąb Ameryki, tem jego korespondeneye były żywsze i świetniejsze. Nie sama tylko treść, sposób opowiadania także był coraz nowszy, coraz bardziej zajmujący. Zdawało się, jak żeby zetknięcie z tym nowym i dziwnym światem otwarło było w głowie młodzieńca jakieś uspięne źródło poezyi, jak żeby jaskrawe barwy zwrotnikowych kwiatów i ptaków świecących jak rubiny i szafiry, były odbiły się w jego głowie, takie dawał czasem śliczne opisy lasów i rzecznych wybrzeży, ranków i zachodów słońca. Rzecz prosta, że znaleźli się zaraz niechętni, którzy wartość tych Listów sprowadzali do zera prawie i dowodzili, że młody autor w wagonach tylko Amerykę przejechał, a w listach swoich opisywał życie, jakiego nie znał, widoki, na które sam nie patrzył — *a beau mentir qui vient de loin*. Rzecz to nieładna. Umyślnie czy nie chcący

¹⁾ Pisane w roku 1881 pod tytułem: *Z najnowszych powieści polskich*.

psuje się dobrą sławę pisarza; bo gdyby w tych oskarżeniach była prawda, to on oprócz talentu pisarskiego miałby ten nieszlachetny, niski talent, mówienia o tem czego nie zna, tumanienia czytelnika, byłby sprytnym fanfaronem w sam raz na redaktora jakiego podrzędnego dzienniczka; a taka fanfaronada, u człowieka młodego może naturalna i niewinna, z poważnym zawodem i charakterem zgodziłyby się nie mogła i o przyszłości pisarza i człowieka źle wróżyłyby kazała. Szczyściem, obmowy te nie zasługują na wiarę, a Listy z Ameryki były do końca bardzo ładne i coraz ładniejsze. Oprócz nich zaś zaczęły wychodzić i powieści, zaczęły coraz bardziej budzić ciekawość i zajęcie, maska Litwosa spadła, a imię Henryka Sienkiewicza stało się znanem i głośnem.

Pisze on same powiastki małe. I nie on jeden; zdaje się, że upodobanie w telegraficznej krótkości przeniosło się z dziennikarstwa do literatury. Gdzie się podział ów wiek złoty, kiedy romans im dłuższy, tem był ponętniejszy dla czytelnika, obiecującego sobie temwięcej wzruszeń i ciekawości, imwięcej było kartek i tomów! kiedy Klaryssa Harlowe wychodziła w kilkunastu grubych woluminach in octavo, kiedy doczytawszy do deski romans starego Dumasa, odkrywało się z rozkoszą, że to nie koniec jeszcze, że po Muskie-terach będzie *Vingt ans après*, a potem jeszcze *Bragelonne*! My już romansów czytać nie umiemy ani lubimy; i poznali się na tem dowcipni Francuzi, którzy już nigdy nie piszą powieści dłuższej nad tom jeden. Małe opowiadanie zaś, mała powiastka, nowella jak dawniej mówiono, zazwyczaj najwięcej ma powodzenia. Zkąd i dlaczego to upodobanie w małych rozmiarach? nie wiedzieć, ale jest ono, i dość powszechne. Dlaczego naprzykład za granicą, w stolicach gustu i na targach dzieł sztuki, ponętne i pokupne są tylko małe obrazki? Czy dla samej oszczędności? Nie, bo za cenę stosunkowo niezmiernie niską nabywca mógłby mieć obraz Ty-cyana albo Murilla, Ary Scheffera lub Delacroix, i zrobiłby nawet dobry interes; on tymczasem woli wysypać za małeńkie płótno starego Holendra lub dzisiejszego Francuza dużo więcej pieniędzy, niż rzecz sama warta. Czy to moda, czy ta-

jemniejszy jakiś instynkt, dość, że mamy pociąg, skłonność do dzieł mniejszych w sztuce, a mniejszych nie w samych tylko rozmiarach, ale i w pojęciu. Oddawna już daje się widzieć w sztuce ta dążność, to wybieranie z wielkiego faktu małego szczegółu, z wielkiej boleści mniejszego dodatkowego cierpienia, i do przedstawienia tej rzeczy większej ubocznie, pośrednio, przez tę mniejszą. Ten szczegół, ten dodatek, ta mniejszość, pojęta będzie nieraz bardzo rzewnie albo bardzo wdzięcznie, i będzie wykonana bardzo misternie, zrobi wrażenie, wzruszy. Ale zawsze to nie wielkie, otwarte, śmiałe pathos w sztuce, tylko jego *oratio obliqua* jeżeli się tak można wyrazić: nie bitwa naprzykład, tylko jakiś jej epizod, nie Męka Pańska, tylko ktoś co ją widział i o niej myśli. Rodzajowy sposób pojmowania i traktowania przedmiotu wdziera się w zakres dla takiego za poważny i za wysoki. Artysta jakby się bał wzruszyć zbyt silnie nerwowego widza, albo może jakby czuł, że sam nie jest zdolny oddać wprost całej boleści, całej zgrozy, całej tragiczności rzeczy, łagodzi ją, przepuszcza przez różne przewodniki niezłe ale osłabiające; obtula instrument, żeby ton nie był zbyt głośno krzyżącym, ukazuje rzecz ostrożnie z boku, żeby nie była zbyt smutną i przerażającą, i oznacza tylko zlekka, daje do domysłu to, co w niej najboleśniej i najistotniejsze, ale tego nie mówi, to ma sobie „czuły słuchacz dośpiewać w swej duszy.“

Wielki Piątek Pawła Delaroche był może pierwszym bardzo charakterystycznym, a zapewne i najpiękniejszym zjawiskiem tego kierunku w sztuce malarskiej. Znane są każdemu z tysiącznych reprodukcji te obrazki, przedstawiające co w tej lub owej chwili Passyi robiła Najświętsza Panna, święte niewiasty, albo uczniowie: te jeżeli się tak wyrazić można, ilustracje cudowne do widzeń Katarzyny Emmerich, które podobno dały artyście pierwsze natchnienie do tych pomysłów. Nie rzewniejszego, nie bardziej przejmującego, i nie świętszego, jak wyraz z jakim Matka Bolesna na kolanach patrzy przez swoje okienko na orszak, którego my nie widzimy, bo tylko znaki kohorty dostają do wysokości

okienka; nie smutniejszego, jak ta chwila noena, kiedy święte niewiasty i święci uczniowie usnęli wreszcie wszystkie ze zmęczenia i z płaczu bo ciało jest mdle, a Matka tylko jedna nie śpi i przy bladym świetelku kaganka wpatruje się w cieniową koronę zdjętą z głowy Syna. To są niezawodnie arcydzieła rodzaju: ale to jest Męka pańska pokazana w rzeczach ubocznych i dodatkowych nie wprost, to jest oratio obliqua patetyczności, i to jest styl rodzajowy zastosowany do przedmiotów religijnych. Albo ten piękny ranek, kiedy kompania żołnierzy porządnie sprawiona, ufna w siebie i w zwycięstwo, z dzielnym oficerem na czele, czeka na hasło bojowe: i ten wieczór, który widzi żołnierzy tychsamych i dzielnych zawsze, ale przeredzonych, uznojonych, rannych poczęści. Widzieliśmy ich wszystkie, a może niektórzy mieliśmy ochotę płakać nad nimi, myśląc, że ich wielu zginęło, że zdaje się są pobici. Ale to znowu rodzaj tensam; to *Wielki Piątek* zastosowany do przedmiotów świeckich i historycznych, to szczegół podrzędny, z którego rzecz główną odgadywać mamy.

A nie szukając daleko, czy rysunki Grotgera tak pełne uczucia i poezji nie należą do tegosamego kierunku, czy straszliwych skutków wojny nie przedstawiają ubocznie? A czy za jego przykładem nie poszedł niejeden rysownik w Europie; czy niejeden Francuz naprzykład nie w ten sposób illustrował skutki ostatniej wojny pruskiej?

Niekiedy kierunek ten przechodzi w nadużycie i w manierę, kiedy przez szczegół zawsze zapewne godzien współczucia, ale w porównaniu do rzeczy zbyt drobny, chce dać poznać jej całą okropność: naprzykład klęska powodzi wyobrażona przez biednego psa, który uwiązany na łańcuchu, wydrapał się na wierzch swojej budy i wyje. Juliusz Sandeau wyśmiewa złośliwie ten rodzaj patetyczności kiedy pocziwemu panu Poirier każe się rozczulać nad cebulką czy rzodkiewką świeżą, różową, koło której leżał na talerzu ostry nóż. Rzodkiewka jest oczywiście tylko zabawnym konceptem; ale skłonność do roztkliwienia siebie i drugich współczuciem dla mniejszych cierpień, ta jest rzeczywiście. Czy

cheemy przez to powiedzieć, że te cierpienia mniejsze nie są godne współczucia? Broń Boże! najmniejsze jest smutnem, a któż wie czy nie jest bardzo wielkiem, to, co nam wydaje się drobnem. O to tylko chodzi, żeby ten kierunek nie przeszedł w drobiazgową, sentymentalną, fałszywą tkliwość i pieszczotliwość, żebyśmy użalając się nad biednym psem, który za chwilę utonie, nie zaniedbali zdolności i siły do przedstawiania w sztuce cierpień ludzkich, żeby to współczucie nie było dowodem ani oznaką nawet, że nie stać nas na to, by o bolesnych rzeczach wócić wprost, otwarcie i śmiało, i dlatego onawiamy je tylko zdaleka, ubocznie, pośrednio.

A w literaturze czy nie widać fenomenów podobnych. Czy w dramatach Feuilleta naprzykład, pełnych talentu i godnych wszelkiego uszanowania, albo w jego romansach, strona patetyczna rzeczy, sama istotna treść sytuacji, nie jest czasem tak ukrytą, a pośrednio tylko i z boku ukazaną? Albo czy w innych jakieś cierpienie przedstawione bardzo rzewnie, a wyrwane ze wszystkich innych stosunków życia, nie bywa nigdy przedstawionem fałszywo? czy nie robi wrażenia zbyt wielkiego i nie wydaje się oburzającą krzyżującą niesprawiedliwością w powieści, jaką może nie byłoby w życiu? Tym sposobem wywołuje swoje najczulsze efekta Ouida, autorka angielska ciesząca się wielkiem w Europie powodzeniem. Cały świat płakał nad tą dziewczynką w drewnianych trzewikach, przekupką, która siedziała za straganem na placu w Brukselli, kiedy młody malarz francuski robił szkic do obrazu. Artysta lubił miłą dziewczę i rad z nim rozmawiał, a biedne dziewczę pokochało artystę, i gdy odjechał, pieszo w swoich drewnianych trzewikach poszło za nim do Paryża, na wielkie jego zdziwienie i kłopot, na wielką rozpacz swoją. Prawda, że można nad nią płakać; ale czy można zastanowiwszy się spokojniej, dziwić się i brać za złe malarzowi, że nie mógł jej tak kochać jak ona jego, kiedy cały ich świat umysłowy był inny? Łatwo jest wyrwawszy fakt jakiś z jego naturalnego otoczenia przedstawić go bardzo rzewnie i czule: tylko trudno jest w tych warunkach przedstawić go prawdziwie i sprawiedliwie. Naszemu najmłodszemu a naj-

zdołniejszemu pisarzowi powieści podobają się ezasem pomyśły podobne, podobne sposoby wzruszenia czytelnika; a ztąd mogłoby mu grozić niebezpieczeństwo paradoksalnego, niezdrowego pojęcia i przedstawienia życia. I tą skłonnością, i małemi zawsze rozmiarami swoich powieści, i wreszcie pewnym realizmem jaki w nich jest, należy on do swego pokolenia, do tej licznej rodziny czy szkoły dzisiejszych artystów i pisarzy powieści. Tylko w tej rodzinie czy szkole niewielu znalazłoby się może z takim jak jego artystycznym uczuciem, i z taką poezją w duszy.

Komu z jego powieści pierwszy wpadnie do ręki *Stary Sługa*, ten może sobie powie, że reputacya autora zawielka. Ładne to zapewne, ładny zwłaszcza ten ton poufały, ten charakter własnych niby wspomnień domowych i dziecięcych, jaki autor nadaje powieści, pisząc ją tak, jakby pisał dla dobrych przyjaciół, jakbyśmy wszyscy znali i wieś i dom i tych nniemanych rodziców, i te nniemane siostrzyczki, i ich guwernantkę, i księdza proboszcza, i starego sługę wreszcie. Ale stary sługa, który dziadka pamięta, wnuków pieści i psuje, a dzisiejszego pana domu strofuje i łaje, to figura, w polskiej literaturze przynajmniej już eckolwiek zużyta. Tylko ten stary sługa różni się od swoich poprzedników i kolegów zakończeniem. Umiera: a przy śmierci, w nieobecności pana, wnuczkę swoją, wszystko co ma na świecie, oddaje w opiekę panicza, szesnastoletniego Henryka. Ta opieka będzie wątkiem do drugiej powieści, do której Stary Sługa był tylko potrzebnem wytłómaczeniem i wstępem.

Ojca nie było, a syn, młodociana w jego niebytności głowa domu, tak wziął do serca przyrzeczoną opiekę, że osieroconej dziewczynce dał miejsce w kółku rodzinnem, posadził przy wspólnym stole, zasadzał do lekeyi, które czy sam dawał, czy od guwernantki wyprosił. Ojciec za powrotem zastał fakt dokonany, a nie chcąc upokarzać biednego dziecka i spychać go napowrót do izby czeladnej, potwierdził rozrządzenia syna. Hania chowała się więc pod okiem państwa, w ich towarzystwie; ale przed innemi strze-

gło jej oko młodego opiekuna Henryka. Ten z obowiązku, poważnie otaczał ją swoją czułością i doświadczeniem, myślał o jej przyszłości, kształcił swoją rozmową, a we wszystkim co dla niej robił lub zamierzał, odnosił się do swego przyjaciela Selima. Selim był jego rówieśnikiem i sąsiadem, synem jednego z litewskich Tatarów, Mirzy Dawidowicza a jak pochodzeniem tak charakterem różnił się od młodych Polaków a w szczególności od Henryka. Miał wschodnią namiętność, miał czasem w gniewie chwile tatarskiej dzikości, fizycznie tylko na Tatara nie wyglądał, bo miał matkę Czerkieskę, a z niej piękność kaukaskiej rasy. Serce miał na dłoni, popędliwy jak lew, dobry był jak baranek, a wesół jak dziecko. Henryk, zupełnie inny, był poważny z obejścią i w sobie zamknięty, chłodny napozór, a drażliwy i uraz pamiętny. Czuł żywo i kochał gorąco, ale chciał żeby drudzy uczucie jego odgadywali i pieścili je na domysł. Opieka, przyjaźń, przyrzeczenie dane staremu słudze, wszystko to wyrasta w jego sercu na inne uczucie, zwłaszcza, że i Hania wyrosła na dużą i ładną, pełną wdzięku panienkę; ale o tem co się w jego sercu dzieje, nikomu wiedzieć nie wolno, tego ani on zwierzeniem ani nikt inny pytaniem profanować nie powinien. Kiedy przyjaciel parę razy próbował pytać lub żartować, o mało że nie przyszło do kłótni.

Jadą oba chłopcy do Warszawy do szkół, tam Henryk wdycha zawsze skrycie do Hani, a Selim do każdej jaką zobaczy; wreszcie zdali examina maturitatis i na wakacje pojechali na Litwę. Takie to młode, takie świeże, takie tam radości i rozczulenia powrotu, takie wierne odbicie wakacyjnych wrażeń, i takie śliczne, choć szkicowane tylko wsi polskiej obrazki, a pisane tak poprostu i tak krótko, bez roztkliwień i uwag sentymentalnych, bez lirycznych dygresyi i wykrzykników, bez opisów nawet, że dawno między nowszemi rzeczami nie zdarzyło się czytać nic tak ładnego. Najładniejsze dwa chłopcy w przeciwieństwie swoich charakterów, swoich uczuć, i w tej przyjaźni, która przechodzi w srogą nienawiść; bo rozumie się, że i Selim także zakochał się w tejsamej Hani. Nie odrazu; owszem, domyślając się miłości Henryka pytał go ucz-

ciwie, honorowo, i po przyjacielsku. Ale gdy ten z dumy, z fałszywego wstydu, z zazdrości wreszcie, przeczył stanowczo, poddał się urokowi jakim go Hania oczarowała i zaczął kochać jak wulkan, jak Tatar. Wszystkie te przejścia miłości i zazdrości, te upokorzenia i współzawodnictwa, te udręczenia, jakie sobie Henryk zadaje sam przez swój charakter skryty i ponury, te sposoby jakich używa, żeby się przekonać, czy się Selim Hani podobał, i gorzkie wyrzuty jakie jej robi, wszystko to bardzo ładne, bardzo misternie skreślone, a tem najładniejsze może, że bohaterowie przy uczuciach i namiętnościach już rozwiniętych, dojrzałych, mężkich, zachowują fizyognomię, sposób myślenia i działania młodzieniaszków.

Zazdrość Henryka nie jest bez powodu: Hani podoba się Selim, którego natura otwarta i śmiała łatwiej zazwyczaj trafia do wyobraźni kobiecej, niż skryta, choć głębsza Ojciec, widząc co się dzieje, z obawy, żeby chłopcy nie zrobili jakiego szaleństwa, chce dziewczynę na czas jakiś usunąć z domu, wyprawia ją gdzieś do sąsiadów; ale w chwili kiedy tam jechać miała, znikła. Porwał ją Selim. Niedaleko zawiózł bo tylko do swego ojea, zkąd stary Tatar natychmiast odwiózł dziecko zawstydzone i przestraszone tem co zrobiło. Ale dawni przyjaciele rabią się nazajutrz na pałasze, i Henryk ciężko ranny pada bez przytomności.

Gdy się ocucił, zobaczył nad sobą księdza w komży i matkę we łzach, usłyszał głośny płacz sióstr i brata, dorozumiał się że umiera, że mu dają ostatnie Sakramenta, i zemdlął znowu.

Ale wyzdrowiał: a kiedy zaczął przychodzić do siebie zapytał nieśmiało o Hanię. Hania także o mało nie umarła. Ze wzruszenia, z przeziębienia (bo Selim porwał ją w straszną burzę) zachorowała; pokazało się, że dostała grasującej w okolicy ospy. Wyszła z niej zeszpecona strasznie. Oba chłopcy gotowi są zrobić co powinni, oba chcą ją zaślubić, ale oba kochać przestali. Hania ofiary nie przyjmuje i idzie do klasztoru.

W opowiedzeniu jestto niczem: w czytaniu jest bardzo ładne i sympatyczne. Wdzięk rzeczy tkwi w wykonaniu bardzo prostem, a bardzo zręcznem, w tych szczęśliwych pocią-

gach czy dotknięciach pendzla czy pióra, które jednym rysem, jednym słowem, kreślą wyraźnie uczucia osób i ich naturę albo ich do siebie stosunek, albo powszedni niby nie piękny a jednak tak miły i drogi krajobraz. A wreszcie wdzięk może największy w młodości bohaterów, — i autora. Jak według Horacego ten tylko do łez wzruszy kto sam płakał, tak świeżość młodości w sztuce uda się temu tylko kto sam albo jest młody, albo choć starszy, umiał się nie zestarzeć i pamiętać. Dla autora widocznie ten stan duszy w jej pierwszym rozkwicie, to rozkoszne rwanie się uczuć, to chętnie bratanie się z lasem i polem, ze stawem i rzeczka, z mgłą poranka i ukośnemi cieniami zachodu, to przeszłość niedaleka jeszcze, jeżeli już przeszłość, i dlatego jego dwa młodzianaszki tyle mają życia i wdzięku. A do tego mają i serea dobre i uczucia szlachetne: Henryk nie ma natury zupełnie zdrowej może, jakaś gorycz zdaje się nosić w sobie od urodzenia, ale nie ma natury pospolitej i niskiej. Kto się ulituje nad sierotą choćby w tej litości przebrał miarę, kto weźmie głęboko do serea przyjęty obowiązek, a przyrzeczenie swoje święcie szanuje, kto się dzielnie wybić umie choćby z przyjaciele, kto wreszcie gotów kark skrócić z konia, byle w oczach panny nie wydać się gorzej od rywala — ten według wszelkich ludzkich przewidywań może wyjść na człowieka i dobrze skończyć.

Jak ten skończył? Nie wiedzieć, ale domyślać się można wielu smutków w jego życiu. Autor zaledwo o nich jednym słowem wspomina, ale czytelnik odgadnie je łatwo. „Upłynęło od tego czasu lat kilkanaście. Nadeszły smutne czasy. Burza rozwiała święte i ciche ognisko mojej wioski. Dziś ksiądz Ludwik już w grobie, ciocia Marynia w grobie, ja piórem na gorzki chleb powszedni zarabiam, a Hania.... Hej! Izy się kręca!”

Kręca się, jak pomyśleć, że oni mieszkali na Litwie, jak sobie wyobrazić co się z nimi i z ich wioską dziać mogło. A ta wzmianka, jedyna zresztą w całej powiastce, uzupełnia ją rysem głębszego smutku i powagi.

To, to obrazek dobrego, sympatycznego, a bądźco bądź dość szczęśliwego życia i społeczeństwa. Są inne powieści, są *Szkice Węglem*, w których autor opisuje społeczeństwo głęboko i strasznie nieszczęśliwe.

Wesoło, lekko, komicznie, zaczyna się ta tragedia; czytelnik myśli że śmiać się będzie do końca, kiedy śmieje się serdecznie nad pierwszym rozdziałem.

Pan Zolzikiewicz jest pisarzem gminnym: przez niesprawiedliwość losu, bo powinienby być przynajmniej ministrem. Jest młody, piękny i elegancki. Przegląda się co chwila w stłuczonym lusterku, nie żałuje sobie na pomadę, marzy o tem, że jego wdzięki zrobią wrażenie na córce dziedzica, i cytuje z wielkim zapalem najnowszy romans pod tytułem: *Izabella hiszpańska czyli Tajemnice dworu madryckiego*. Ale zanim pozna się na nim panna Jadwiga lub królowa Izabella, pan Zolzikiewicz nie chce, żeby kwitły dla nikogo róże i lilie na jego licach, i próbuje skracać i osładzać sobie swoje wiejskie wygnanie niewinnemi zalotami. Jest we wsi młody chłop, Rzepa, który ma ładną żonę: pan pisarz raczył rzucić na nią okiem. Pewnego dnia, wypomadowany i wyelegantowany, zaszedł niby od niechcienia przed chatę, wdał się w rozmowę: ale głupia kobieta ani go słuchać nie chciała, a nadomiar wstydu i upokorzenia, Kruczek, źle wychowany chłopski pies, schwyił Don Juana poniżej krótkiego surducika, poszarpał śliczne ubranie, zapuścił nawet ostre zęby w najmięczniejsze części osoby jego pisarskiej mości.

To początek. Nie komiczniejszego, nie pełniejszego życia i prawdy, jak pan Zolzikiewicz ze swoją pomadą i lusterkiem, ze swojemi pretensjami do lask królowej hiszpańskiej, ze swoją urzędową powagą wobec wójta, i swojemi postępowańmi bezwyznaniowemi wyobrażeniami, bez których nie byłby zupełnym. Jest tak pelen humoru, tak doskonale odmalowany, tak zupełny w swojej płaskości i małości, taki typ liczej kreatury, że choć własnej ręki nigdyby się na niego podnieść nie chciało, czuje się pewną wdzięczność dla Kruczka za to, że mu wymierzył sprawiedliwość.

Ale to co nieskończenie małe i wstrętne, może być i nieskończenie złem; a w pewnej sferze może być i nieskończenie potężnem. Pisarz gminny może dokuczyć chłopu, a Zołzikiewicz jest pisarzem gminnym.

Za wzgardę Rzepowej, za zęby brysia, poprzysiągł zemstę. Jaką? oddać biednego Rzepę w soldaty.

Ale jak, kiedy ma żonę i dziecko, kiedy wyszedł z lat popisowych? prawo go broni. Jednak, gdyby go oddać jako dobrowolnego niby ochotnika? zaczyna się dzieło podłości i zdrady ohydne, prowadzone przez głupich ale dość zawsze mądrych na to, by nieświadomego i dobrodusznego zgubić.

Wójt Burak ma syna w latach popisowych: chciały go uwolnić od służby. Ma pieniądze, mógłby go wykupić, to jest dać za niego zastępcę. Z porady więc pisarza, wójt i karczmarz spijają Rzepę, z pijanym robią układ, dają pieniądze: nazajutrz rano gdy się wytrzeźwił, ujrzał się z rublami w kieszeni, ale popisowym!

Zaczyna się nieszczęście: rozdzierające zabiegi biednej kobiety, która chce ratować męża którego kocha, ojca swego dziecka, a nie może, nie wie jak, nie wie gdzie, nie ma rady. Idzie do sądu gminnego naprzód: sędziowie coś gwarzą że zaprzedać człowieka nieładnie, ale pan pisarz, najmędrsza głowa w sądzie, jak powiedział że umowa podpisana i przy świadkach, jak wylał i wykrzyczał, tak wszyscy umilkli, a Rzepie jeszcze za koszta kancelaryjne wypisali rubla i dwadzieścia pięć kopijek. Idzie kobieta do kościoła, płacze z całego serca i woła: Jezu Nazareński ratuj mnie; po nabożeństwie do księdza, ksiądz daje radę złożyć cierpienia u stóp krzyża i znosić. Idzie do dworu. Stoi za bramą, czeka czy kto nie wyjdzie, czeka od południa do wieczora, we dworze goście, wejść nie można a nikt nie wychodzi. Wreszcie późno już pokazała się panienska z konkurentem: rozmawiali coś o Włoszech i sztukach pięknych. Biedna Rzepowa chwyciła za kolana, zaczęła opowiadać swoją sprawę z płaczem a bez ładu: ale panna Jadwiga choć jej się serce ścisnęło, nie mogła nie poradzić, odesłała do Papy, a Papa tak się bał pisarza, komisarza włościańskiego, mirowego po-

średnika i wszystkich władz, że dawno dał sobie słowo nie wtrącać się w sprawy gminne, i słowa tego złamać nie mógł.

Poszła do powiatowego sądu: znużona, głodna, z głodnym dzieckiem na ręku, nieprzytomna z rozpaczy, czekała i czekała pod drzwiami dzień cały. Nareszcie wyszedł pan sędzia. Ale gdy jedno przez drugie zaczęła opowiadać coś o Rzepie i o Buraku, uznał że musi być pijana i poszedł.

Nocą, w burzę, z dzieckiem już chorem na ręku wraca do domu. Po drodze zaczyna ją jakiś pijak, potem jakiś młody trzpiot, chce niby wziąć na swój wózek, ale gdy siadać chciała odjeżdża klusem, siły opadają, w głowie się miesza, o dziecko strach, bluźnić nie chce; wtem nadjeżdża żyd, bierze na wóz, i uczy, że rozpaczać nie ma czego, że umowa to tylko papier, ten papier u pisarza, a ona go odebrać może.

Za jaką cenę!

Zołzikiewicz się zemścił, ale papieru nie oddał. Kobieta wróciwszy do domu opowiedziała mężowi wszystko. A Rzepa, który od owej nieszczęsnej nocy kiedy go zapredali z rozpaczy pieć zaczął i stopniowo stawał się coraz gorszym i dzikszym, Rzepa dobył siekiery, kazał jej głowę położyć na skrzyni, pożegnał ją, i zabił, potem drugim uderzeniem zabił dziecko, potem podpalił swoją chałupę, potem dworskie gumna, i uciekł w świat.

Tehu braknie, włosy stają na głowie z przestachu i zgrozy, trzeba się trzymać żeby nie płakać ze współczucia; a najstraszniejsze, że to wszystko tak się wydaje naturalne, tak podobne do prawdy. Nietylko każdy Rzepa może tak być zapredanym przez pisarza i szynkarza, nietylko każda Rzepowa tak bezradna, ale wszedłszy w siebie i pytając własnego sumienia, czy ja nie zbyłbym tej kobiety marnem słowem współczucia jak panna Jadwiga, czy nie bałbym się wziąć ją w obronę jak panny Jadwigi ojciec, słyszy się odpowiedź, kto wie? Wrażenie też jest przejmujące niezmiernie, a rzecz napisana świetnie, z wielkim talentem, z talentami różnemi nawet, bo są i sceny wybornego humoru, i opisy takie jakby wyszły z pod pióra poety (naprzykład

niedzielne nabożeństwo w kościele), i w scenach patetycznych jakaś siła niemilosierna, która się dostaje do samego środka serca i targa; i figury doskonale nakreślone, i w tem wszystkim jakaś realistyczna prawda, która, największa może i najdziwniejsza zaleta, nie zabija tej poezji którą autor ma w wyobraźni i w uczuciu. On nie nie upiększa, nie poetyzuje, jego wieś do sielanki a Rzepa do Wiesława nie podobny zgoła. I on i żona myślą i mówią jak najprostszy chłop: wygadać się nie umieją, plotą coś bez porządku, mieszają wszystko naraz, wyrażenia mają najpospolitsze. Ale mają dusze, wszyscy je mają: i Zołzikiewicz nikiemną, obrzydliwą, ale całkowitą i żyjącą, i panna Jadwiga zwyczajną konwencyonalną, i wójt Burak ma swoją bardzo wyraźną i żywo oddaną: ale ci dwoje mają dusze niezwykle, sympatyczne, przeglądające dobrze przez mowy, prostactwo i głowy nieoświecenie. Słowem rzecz to, która ze wszystkich powieści Sienkiewicza bodaj nie najwyższe daje wyobrażenie o jego talencie.

Ale zarazem i ta podobno, która wskazuje najwyraźniej, że temu młodemu człowiekowi, który ma głowę pełną świetnej wyobraźni, a serce widocznie pełne szlachetnych uczuć, grożą pewne niebezpieczeństwa. Tem niebezpieczeństwem jest jego patrzywanie na świat, jego pojęcie istoty i zadania powieści, jeżeli pojęcie to jest takim jakim się z tej powieści być zdaje. Wszystko co w niej jest, może być prawdą; i to, że ksiądz zamiast rady, dał ogólną moralną naukę, i że panna dała dobre słowo bez pomocy, i że dziedzie dotrzymał sobie słowa niewtrącenia się w sprawę gminy, i że sędzia nie chciał słuchać, i że chłop był bezbronną ofiarą w ręku nikiemnych zwierzeźników, wszystko. Tylko to prawdą nie jest, żeby takim był świat, żeby takim było życie. Wypadek mógł być taki: ale ludzie nie są tacy, stosunki nie są takie, społeczeństwo nie jest takie. Sprawiedliwie, i bardzo zręcznie pokazany jest okropny stan społeczeństwa, które przez rząd zdane jest na łaskę pierwszego-lepszego nikiemnika i głupca. Nikiemnik i głupiec może oszukiwać jak mu się podoba chłopów nie umiejących ani czytać ani sobie

radzić, i może o co zechce oskarżyć, denuncyować szlachcica, który go się w skutku tego boi. To strona rzeczy jest w tej powieści, i dobrze że jest. Słusznie też wytknąć i panu Skorabiewskiemu, że źle robi, kiedy od spraw wiejskich ręce umywa, i pannie Jadwidze, że na nieszczęście ludzkie nie zwraca poważniejszej uwagi, wszystko słusznie. Tylko, jeżeli autor nie sądzi, że wszyscy są tacy, że większość ma serca tak obojętne i głowy tak lekkie, jeżeli chciał wystawić jedno nieszczęścia tylko, a nie wnieść skargi przeciw społeczeństwu, to powinien był dać to do zrozumienia. Jakim sposobem to już jego rzecz: może przez wprowadzenie jakiej osoby która choć bezsilna także, byłaby przecież odważniejsza od pana Skorabiewskiego, poważniejsza od jego córki.

A ta potrzeba żąda? Z samej istoty sztuki, do której powieść zawsze należy. Sztuka przedstawia świat i życie przez indywidua ludzkie i ich losy: ale jej naturą, przeznaczeniem i prawem, jej istotą samą, jest, że dostrzeżone phenomena rzeczywiste, służą jej za podstawę i materiał tylko, a ona przetwarza je na inne fikcyjne, ale takie, w których znaleźć się ma to właśnie, co w ludzkiej naturze i w ludzkim życiu najistotniejsze. Postać przez nią stworzona zawsze w oczach ludzkich uchodzi za wyobrażenie, za uosobienie, za typ jakiegoś gatunku ludzi; fakt przez nią opowiedziany za obraz i podobieństwo wielu podobnych fenomenów moralnych lub społecznych. Czy autor chce czy nie chce, czy o tem myśli albo nie, jego czytelnik, publiczność, zawsze tak powieść będzie czytać i rozumieć; i publiczność ma słuszność, idzie bezwiednie za instynktem trafnym, który jej mówi, że sztuka podaje phenomena ogólnie ludzkie, powszechnie prawdziwe, bo czuje, że takie tylko podawać powinna, że nawet, kiedy nie chce poetyzować i idealizować, to chce czy nie chce musi generalizować, musi postaciom i wypadkom nadawać znaczenie typowości, choćby im go autor przypisywać nie chciał.

I dlatego jakaś wielka krzywdą opowiedziana w powieści, bez zastrzeżenia i przeciwstawienia, staje się, nieraz bez wiedzy i woli autora, oskarżeniem społeczeństwa całego,

a powieść mniej lub więcej świetnym paradoxem. Jakto, ci ludzie, ofiary ohydneho podejścia, nie znaleźli nigdzie rady ani obrony? ani w kościele, ani w prawie, ani wreszcie w dobrem sercu ludzi, które nieszczęścia ich ulitować się było powinno? Co to za prawo, wiemy niestety, i dziwić się nie możemy; ale co za kościół i co za wiara? co za kraj i co za naród? co za charaktery i co za serca, i co w takim społeczeństwie jest? i co ono warte?

Czy to autor chciał przez swoją powieść powiedzieć? zapewne nie. A jednak powieść jego do takiego pytania doprowadzić może, a prawie musi. I to jest niebezpieczeństwo o którym wyżej: niebezpieczeństwo, żeby przez nieuwagę może, albo przez jednostronne na świat patwienie, nie pisał czasem powieści świetnych, ale opartych na fałszywej podstawie, a prowadzących do paradoxalnych wniosków; żeby skoro chce czy nie chce generalizować musi, faktom wyjątkowym, choćby prawdziwym, nie nadawał znaczenia i charakteru ogólnych i zwyczajnych.

Bo i coby tem dobrego zrobił? Sobie naprzód i swojej sławie nie: z początku będą ludzie płakać nad naciąganą sytuacją rzewnie przedstawioną, ale rychło poznają się na paradowie, i stracą wiarę, stracą sympatyę, jak ją już do tyłu i tyłu stracili. A nam? kiedy Wiktor Hugo pisał i wydawał ten wielki paradox, który się nazywa *les Misérables*, kiedy z jednego (dajmy nawet że niesprawiedliwego) skazania, wyciągał akt oskarżenia przeciw społeczeństwu, Wiktor Hugo wiedział co robił, a robił co chciał. Ale nam jeżeli Litwos wpoi w unysły i serca przekonanie, a choćby tylko rzuci w nie ziarno wątpliwości, że i nasz Kościół i nasza wiara niewiele warte, a my sami chyba nie, skoro już nie mamy ani krzty odwagi, poczucia obowiązku, a choćby tylko najprostszego dobrego serca, jaką odda nam usługę? czy może pokrzepi nam ufność w siebie, podniesie uszanowanie siebie samych, doda odwagi, zahartuje te charaktery, których tak bardzo potrzebujemy? albowi też czy nie naprowadzi nas, a niechcący z pewnością — do lekceważenia siebie, do zwątpienia w siebie, do opuszczenia siebie samych? Uważać powinien bardzo

kto chce pisać; a im lepiej kto pisze tem bardziej, bo tem łatwiej zły lub dobry wpływ zostawi, tem większa odpowiedzialność. Komu wiele dano, od tego i wiele żądać będą.

Powieść ta, smutna okropnie swoją osnową, byłaby jeszcze smutniejszą gdyby była wyrazem rzetelnych i stałych zapatrywań autora na nasz polski świat, na świat w ogólności. Bo gdyby świat miał być do niej podobnym, to w świecie jak ktoś trafnie dostrzegł i powiedział, nie byłoby Boga i Jego Opatrzności; a gdyby świat polski był taki, to cóżby mu wróżyć można?

Że to nie jest grunt przekonań i uczuć pana Sienkiewicza, tego jesteśmy pewni; dowody znajdujemy w niejednej jego powieści. Ale czy nie ma w nim jakiej skłonności do przypisywania wszystkim nieszczęścia lub krzywdy jednego, za to nie śmielibyśmy zaręczyć.

Jest naprzykład *Janko Muzykant*, drobnostka, kilka kartek . . . ale jakich! sławna Ouida, jak żyje nie takiego nie napisała. Mały to chłopiec, chorowity, nierozwinięty, prawie głupkowaty, ani do roboty, ani do figlów, chudy, nędzny, czarny, brzuch tylko ma wielki wydęty, pośmiewisko i popychadło całej wsi. Ma tylko jeden zmysł rozwinięty, który wszystko inne pochłonał: lubi grać i słuchać grania. Nocą wymyka się pod karezmę słuchać basów i skrzypców, dniem grają mu ptaki, i żaby, i świerszcze, i wiatry, a wieczorem zakrada się pod dwór i słucha jak szarą godziną służący na skrzypcach przygrywa w kredensie. On takich skrzypców nie ma; jego skrzypce własnej roboty, z gonta i końskiego włóscienia, ledwo jakiś cichy głos wydają. Jednego wieczora kiedy przyszedł na swój zwykły koncert, zobaczył przez otwarte okno, że w pokoju nie było nikogo, ale na ścianie wisiały skrzypce. Żeby je choć obejrzeć zbliska, żeby choć raz mieć w ręku! — i biedny mały muzykant wsuwa się przez okno, już ma dotknąć skrzypców, kiedy wchodzi właściciel, chwytą go, bije jako złodzieja, czy też jako psotnika, i oddaje do wójta. Wójt znowu każe wybić. Biedne dziecko wątłe, słabowite, umarło na trzeci dzień z pobicia.

Nie ładniejszego jak sposób w jaki oddana jest ta miłość grania w duszy dzieciinnej i napół uśpionej; nie rzewniejszego zwłaszcza jak śmierć biednego Janka, który konając słucha jeszcze „jak wieś gra“, i pyta matki czy w niebie Pan Bóg da mu prawdziwe skrzypki. Tylko tak być nie mogło! Rzepowej mógł sędzia nie słuchać, pan ze strachu nie bronić, tam ludzie stali wobec czegoś trzeciego i silnego, wobec rządu, i strach zamykał im usta i krępował ręce. Ale tu ta wieś jest sama u siebie i między sobą, cała wieś zna tego małego Janka, że niebardzo wie co robi, i w całej tej wsi niema nikogo, coby go wziął w obronę, coby powiedział: nie bijcie, bo on nie chciał kraść, nie bijcie, bo mały i słaby! Albo w tej wsi musiało się znaleźć parę sprawiedliwych, którzy Janka bronili, albo to była wieś dzikich zwierząt. A tak źle przecie nie jest. Krzywda dziecka, opowiedziana z wielkim talentem i z wielkim uczuciem, może rozrzewnić, wzruszyć do głębi serca, to prawda; ale co sądzić o społeczeństwie, które od krzywd takich nie broni, ani się o nie nie upomina? Że jest nieludzkie, jeżeli ich nie czuje, nikiemne, jeżeli czując, nie karze.

Zdarzyło nam się mówić niedawno o Sienkiewiczu z je-dnym z najgłębszych znawców¹⁾ naszej i europejskiej literatury; a sądzimy się w prawie, a nieledwie w obowiązku powiedzieć, że ten upatrywał pewne pokrewieństwo między powieściami jego a Turgieniewa, między Jankiem mianowicie a tym biednym głuchoniemym muzykiem, co miał jednego na świecie przyjaciela, psa, którego mu niemiłosierna *barynia* utopić kazała. I sposób patrzenia na świat i sposób wzruszenia czytelnika ma być podobnym. Nie pozwalamy sobie sądzić czy zdanie jest trafne, ani wątpić, że pod względem czysto literackim ono może być bardzo pochlebnem, bo znając Turgieniewa z przekładów tylko, mamy o nim bardzo niedostateczne wyobrażenie. Ale śmiało za to pozwolimy sobie zapytać, czy nasz autor ma prawo patrzeć na swój świat tak, jak na swój patrzy tamten? czy w oskarżeniach swoich

¹⁾ Z Klaczką. P. A.

jest tak jak tamten usprawiedliwiony? i czy wreszcie nie lepiej wystrzegać się pewnych podobieństw, choćby z literackiego względu zaszczytnych.

Z tem zastrzeżeniem trzeba powiedzieć, że *Janko Muzykant* jest najprawdziwszą, najpiękniejszą może perłą całego tego zbioru powieści, a godną do niego parą jest historia innego dziecka, opowiedziana przez *Poznańskiego Nauczyciela*. Michaś nie jest biednym chłopkiem dzieckiem, jak muzykant Janko; to synek matki zamożnej, która go nad wszystko kocha i chowa z wielkim staraniem. Dba bardzo, żeby się uczył, żeby chlubnie przechodził klasy; a biedny chłopczyzna, który o tem tylko myśli, żeby ją ucieszyć, nie jest zbyt zdolny i uczy się trudno. Gdyby jeszcze uczył się w swoim języku, byłoby łatwiej, ale po niemiecku! — po niemiecku, lub w jakim innym obcym języku — biedna główka pracuje i wyteża się nad wyuczeniem się lekeyi i nad spamiętaniem tych słów cudzych, a kiedy po wielkich wysileniach, po nieprzespanych nocach spamiętała jedno i drugie, to chłopczyzna jeszcze dostanie złą klasę za swój brzydki polski akcent!

I tu już zastrzeżeń żadnych, to czysta i święta prawda: Michaś jest ofiarą nie społeczeństwa, które nie jest odpowiedzialne za nieszczęście Rzepowej i Janka, ale ofiarą siły i woli odpowiedzialnej, która może co chce, a umyślnie źle robi, i Michaś jest wyobrażeniem wielu, całego pokolenia. Nie wszyscy tak umierają jak on, na szczęście, i nie wszyscy na nieszczęście tak jak on z całej siły pracują i walczą — ale do walczenia mają wszyscy z trudnościami, stawianymi umyślnie na to, by ich ogłupić, przytępić i zwatlić.

Z tych natężeń, z tych zawodów i zmartwień, biedny Michaś wpada w zapalenie mózgu i umiera. Nieprzytomnemu nięszają się w głowie konjugacye łacińskie i różne lekeye, i te nieszczęsne słowa, które z dobrym akcentem wymawiać trzeba, i słowa ministrantury; a jak głos wołający o pomstę do nieba, brzmi to, kiedy konające dziecko powtarza bezwiednie: „*Quare me repulisti, et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus.*“

Nie tak świetnie udała się powieść *Przez Stepy*. Historia Polaka, wojskowego, emigranta, który w Ameryce stał się przedsiębiorcą i dowódcą karawan ciągnących na zachód, do Gór Skalistych czy do Kalifornii. Raz w karawanie znalazła się dziewczyna, sama jedna, smutna a śliczna; puszczała się w długą i niebezpieczną drogę, żeby gdzieś daleko połączyć się z ojcem. Powstaje miłość, i ślub na stepie, i dom w namiocie, i szczęście; ale droga straszna, skwar, Indyjanie, febry, pragnienie, trawy i lasy spalone pożarem, niedostatek żywności wreszcie; karawana coraz mniejsza, a wreszcie umiera i Lilian. Są tu bardzo ładne sceny, miłosne oświadczenia i umieszczenia na tle ślicznych opisów natury; ale czy to, czy eteryczność tej Lilian, która także była, „jak z tęczy i z potoku piany“ — czy jej śmierć może i żal tego męża, który także czeka aż dusza „stęskni się i wyjdzie ze mnie“ — nie wiedzieć czem przypomina to Słowackiego *Szwajcaryę*, a Szwajcaryca rozciągnięta na długą powieść i pisana prozą, pomimo bardzo ładnych ustępów, choć może tamtę przypomnieć, to na przypomnieniu tem stracić musi.

Jest za to inna powieść amerykańska: *Za Chlebem*. Emigracja chłopska: stary ojciec, który się dał namówić na wędrowną i zabrał ze sobą córkę, choć dziewczynie serce pekało, kiedy się żegnała ze swoją chatą, ze swoją wsią i z Jaśkiem. Czasem dzieje im się tak źle, że stary w rozpacz już raz chce córkę utopić, żeby się nie męczyła; to znowu lepiej, ale koniec smutny strasznie. Ojciec umarł, prosząc dziewczyny o przebaczenie; ona przywlokła się jakoś do Nowego Yorku, marzyła o powrocie, ale mnóstwa uczuć i wrażeń, które jej przeszły przez serce, wytrzymać nie mogła, rozum się pomieszał, a wkrótce i umarła. Jak oni oboje tęsknią, jak oni wspominają swoją wieś, jak o niej mówią... kończąc to, robi się dwie uwagi. Jedną: że Bóg bardzo na człowieka łaskaw, kiedy mu pozwala żyć w domu i umierać między swoimi; a drugą: że ten autor ma dziwny dar do kreślenia takich uczuć rzewnych i tęsknych, i sekret jakiś do udzielania ich drugim. W podobnem uczuciu pisany, tę samą władzę ma, ten sam dar pokazuje *Latarnik*, mały

jak perła, jak ona drogocenny, i jak ona (podług dawnego mniemania) powstały z lzy.

I to dziecko XIX wieku, ten produkt naszej epoki, który ma widocznie wszystkie właściwe jej drażliwości uczucia i nerwów, który sentymentalnym nie jest a czasem umyślnie nieczulego udaje, i nieraz jak *Figaro* śmieje się *pour ne pas faire autre chose*, ten więc nie sentymentalny ale rozmarzony, nie chorobliwy ale nerwowy i wrażliwy bardzo, przebiera się raz za Polaka z XVII wieku, za towarzysza pod rozkazami Żółkiewskiego, kładzie hełm i pancierz jakiegoby już człowiek dzisiejszy nie udźwignął, do ramion przypina husarskie skrzydła, i jedzie na Tatara! Zrazu dziwno go widzieć w tem przebraniu, trudno poznać, czy to ten sam naprawdę. Ale po chwili przyznać trzeba, że mu bardzo do twarzy, i że nie przebrał się w pancierz tylko, ale wszedł w skórę takiego pancernego towarzysza, przeniknął jego duszę, że się nauczył myśleć, czuć, mówić jak tamten, i że ostatnia w *Niwie*, drukowana jego powieść jest jedną z najładniejszych i najmilszych.

Pan Alexy Zdanoborski jest szlacheć z krwi bardzo zacnej, ale ubogi. Affekt serdeczny ciągnie go do panny Maryanny, senatorskiej córki; ale posunąć się nie śmie, bo gdyby mu ją nawet ojciec dać chciał, to bez fortuny i domu on wzięćby jej nie mógł. Jedzie więc na kresy, bić się, marząc jak później Sawa, że się „szablą wybije na panka.“

Jego to pamiętnikiem jest *Niewola Tatarska*. Zrazu to tylko podróż na kresy, pełna spostrzeżeń różnego rodzaju, ekonomicznych, etnograficznych, obyczajowych, zoologicznych nawet, a wszystkie takie jak powstać mogły w głowie człowieka owego czasu, opowiedziane tak, jak on je opowiedzieć mógł. Znajomość, a co lepsza, uczucie dawnego języka, takt i miara z jakimi go autor używa, są rzadkie; a może ten tylko w zupełności ocenić je może, kto z językiem tym dobrze się zapoznać miał sposobność i musiał. A jak ciekawie i jak ładnie przebijają przez ten pożyczony język właściwe autorowi przymioty lub przyzwyczajenia, jego uczucie natury naprzykład, i to upodobanie jakie ma w jej opisywaniu, jego

własna wrodzona poezya! wreszcie przychodzi do spotkania z Tatarami, a ten obraz bitwy jest tak żywy, tak wyraźny, tak przytem odmienny od zwykłych poetycznych opisów boju, że liczyć go trzeba między najświetniejsze autora karty, i pytać, czy i gdzie on się sam bił chyba, żeby to tak wiedzieć i tak dobrze opowiedzieć. Jaki był jej koniec? Nie wiemy, jest przerwa w pamiętniku; tylko bohater sam jest jeńcem u Tatarów. Zabrali go do Krymu, i zrazu myśląc że to człowiek znaczny i spodziewając się wielkiego zań okupu, obchodzili się z nim dobrze. Ale nie przychodził okup, którego nie miał kto przysłać, i niewolnik wyglądał tylko rychło przyjdzie los gorszy.

Mógł być lepszy; jego pan, znaczny jakiś Tatar, upodobał sobie jeńca, a miał córkę, ładną i dobrą Iłę, która też łaskawem okiem na niego patrzyła. Chciał mu ją dać za żonę, byle przyjął muzułmańską wiarę. Jeniec nie chce. Za tę krnąbrność i wzgardę mści się bisurman. Jak Książę Niezłomny Calderona, tak ten towarzysz pancerny pogrążony jest teraz w ostatniej nędzy i poniewierce. Sami towarzysze niedoli proszą go, żeby przez litość nad nimi udał, że wyznaje Proroka, i jego czasem różne opadają pokusy, ale trwa w wierności, pamiętny, że ojciec uczył go niegdyś: „gnij się z bólu, ale się złamać nie daj.“

Najcięższa próba naostatek. Sam Chan zwrócił raz uwagę na nędzarza. Nie żądał nawet, żeby się wyparł swej wiary, chciał tylko, żeby mu służył dobrowolnie. Sumienie, zda się, mogło na to pozwolić, ale honor rycerski mówił inaczej. „Co rzeknę ojcom moim, gdy zapytają? czem byłeś na świecie? Żali rzeknę: koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim“ — i odmawia. A wtedy zaciężyła nad nim dopiero ręka mściwych panów, wtedy przywiązywali go do pala i bić zaczęli okrutnie, aż cały krwią opłynął a potem omdlał.

Do przytomności wrócił na wozie, wśród stepu; nie było koło niego tatarów, jechał ku zachodowi, do Polski. Panna Maryanna dowiedziała się jakoś o jego losie i przysłała okup. Dlaczego po powrocie mężem jej nie został, jakie

znów rozdzieliło ich nieszczęście, nie objaśnia, kończy tylko pamiętnik swój ślicznym ustępem:

... „Święty Boże, Święty moeny, Święty a nieśmiertelny, bądź pochwalony w dziełach Twoich. Kędy oczy moje łzami zalane obróce, tam Cię widzę, a kędy Cię widzę, tam Cię wyznawam. Tyś na firmamencie ognie niebieskie zawiesił, Ty słońcu z morza wstawać każąc, dzień na górach i dolinach czynisz. Na chwałę Twoją bory szumią i trzody po polach dzwonią; na chwałę Twoją wojska po stepach ze rzeniem koni jeżdżą i wszelka ziemska rzeczpospolita cześć Ci oddawa... A iżeś mnie sługę swego opuścił i szczęścia mnie pozbawił, i w tem bądź pochwalony! Na wojnach zbiegł wiek żywota mego i w trudzie pobielaly me włosy. Tam Panie, gdzie działa ogniem śpiewaly majestat Twój, a w dymach grzmiało imię Twoje, tam byłem. I w Multanach i na Inflanciech płynęła krew moja, a dziś jestem stary i przygasłe źrenice ku ziemi się już zwracają, a ciało wiecznego spoczynku pragnie. Nie ziemskie dobra, nie bogactwa, honory i godności na tamten świat ze sobą poniosę, bom oto ubogi jest jak byłem. Ale Ci, Panie, tarcz moją pokażę i powiem: „patrz — niesplamiona; a splamiona, to jedno krwią moją. Imiem nieskalane przechował, ducham nie poddał — i gnąc się z bólu — przeciw się nie złamał.“

Powieść ta jest nietylko bardzo ładna, ale jest bardzo dobrym znakiem. Poprzednie wszystkie były z tejsamej sfery pomysłów, w tym samym tonie pisane. Niejednokowe, nawet niepodobne do siebie, ale dopuszczały pytanie, czy autor grając zawsze w tychsamyh tonach, nie wpadnie w jednostajność, a wreszcie w manierę. Sam *Janko Muzykant* choć śliczny, tak dochodził do ostatnich granic rodzaju złożonego z rzewności i realizmu, że jeszcze trochę, a byłaby już affektacya i maniera w pomysle i w stylu. W *Niewoli Tatarskiej* autor zagrał z innej nuty, pokazał, że ma ich więcej i na różnych grać umieć, zmienił zakres swoich pomysłów, styl, sam świat powieści nawet, i pokazał, że jeżeli może jak każdy zepsuć się, wpaść w powtarzanie, w jednostajność, w manierę, to z pewnością niebezpieczeństwo to nie jest dla nie-

go blizkiem i do uniknięcia trudnem. A oprócz tego drugi symptom jeszcze bardziej pocieszający. Dawniejsze powieści były rzewne, wzruszające, pełne talentu, wyobraźni i uczucia, ale przecież czegoś w nich brakło. Czytelnik pytał a nie wiedział, gdzie i jaki jest autora ideał. Widziało się współczucie dla cierpienia, oburzenie na krzywdę, szlachetne pojęcie miłości, honoru, kobiety, i tego co jej mężczyzna winien, słowem, widziało się dobrego wiele. Tego jednak dopatrzeć się było trudno, jakim podług autora człowiek być powinien, jaki rodzaj natury i charakteru trafia mu najbardziej do przekonania i do serca. Ludzie tacy, jak Rzepa i Janek, mogą być przedmiotem jego litości, ale nie jego bohaterami oczywiście, a Selim i Henryk może także na to za mali. Kto wie, czy ta powieść nie odpowiada na to pytanie i braku tego nie zapemnia. „Chcecie wiedzieć, jaki podoba mi się rodzaj człowieka, jakim chciałbym żeby był każdy z was, oto patrzcie: takim jak ten, który się nigdy złamać nie dał, który cześć swoją nosił wysoko, a Bogu swemu był wierny, który dobrowolnie tatarskim koniuszym być nie chciał, a przeto godzien był pod Żółkiewskim służyć i do niego był choć w mniejszych rozmiarach podobnym.“ Jeżeli tak, to już dobrze i więcej nie trzeba. Z duszą, która taki ideał ma i czei, zawsze zrozumieć się można; ręce, która taki nakreśli, można wierzyć, że jest pewna i czysta.

Nie bez celu wspomnieliśmy na wstępie o *Wielkim Piątku* i o rysunkach Grottgera, bo jest pewne do nich podobieństwo w rodzaju tych powieści. Rozmiary i styl odpowiadają sobie nieźle, podobna także rzewność w uczuciu, poezya w pomysłach, delikatność i wdzięk w wykonaniu; i podobnie jak tam bywa, pathos ukryte nieraz pod powszedniami szczegółami życia. Podobieństwo to chlubne zaprawdę i mało komu przyznaćby je można. Nie też dziwnego, że talent młodego autora zwrócił na siebie uwagę wszystkich. Jak on się dalej rozwinie? czego się po nim spodziewać? czego mu życzyć? Z tego, co już jest, zdawałoby się, że jest mataryal na więcej i na większe rzeczy. Czy mamy się ich domagać? Odpowiedź jest niepodobna. Zapewne pięknieby to

było, gdyby ten talent rozwinął skrzydła w większych formach; ależ znowu szczęśliwy ten artysta, który ma instynkt i świadomość właściwych sobie form i rodzajów, i w tych się porusza, w których doskonałym być może, kiedy w innych byłby może mniej swobodnym. Do zmiany zatem namawiać niebezpiecznie; niech rozstrzyga sam instynkt artysty i natechnienie. Tylko, gdyby te kazały autorowi zamknąć się w dotychczasowych formach tworzenia, to niech jak ognia, jak zarazy, strzeże się jednej rzeczy do uniknięcia bardzo trudnej, powtarzania siebie samego, jednostajności i manieri. W te zaś niebezpieczeństwa, w te śmiertelne choroby sztuki ten zwykle wpada najłatwiej, kto się przymiotami, właściwościami, kto się wdziękiem swoim podobał, kto miał sukces. Taki zakosztowawszy słodkiego haszyszu pragnie go więcej, obejść się bez niego nie może, a wiedząc czem się podobał, wdzięki te swoje studjuje i powtarza. Tym sposobem popadł w manierę i zagrzał w niej Zaleski, tym sposobem Pol: smutne ale wymowne przykłady, że sukces bywa czasem niebezpieczniejszym dla artysty od przeciwności i niepowodzenia. Sienkiewicz miał sukces, i wielki, i bardzo zasłużony; niech go ma i coraz więcej! Tylko niech się na niego nie ogląda i do niego nie stósuje. A w naszych czasach sukces ten daleko jeszcze niebezpieczniejszy jest, niż za lat młodych Zaleskiego lub Pola, bo więcej pism, więcej łatwych pochwał, więcej pochlebstw, więcej pokus, więcej ponętnych a niedobrych przykładów. Sztukę swoją i duszę swoją musi teraz artysta, a zwłaszcza pisarz, trzymać wyżej niż dawniej, bardzo wzniesioną nad to wszystko, bo inaczej może być ściągniętym nisko.

Sienkiewicza już ściągnąć próbowano; już i pochlebiano mu wiele, już próbowano w nim odkryć lub w niego wmówić tę lub ową dążność, ideę, przeciagnąć go czy ściągnąć na tę lub na ową stronę; odgadywano, czy on jest lub będzie demokratą czy arystokratą; katolikiem czy bezbożnikiem, liberalnym kosmopolitą albo zakutym Polakiem i szlachcicem; oskarżano go już i nawet namiętnie o to lub owo, przestrzegano, żeby tem lub owem nie został. Pojmujemy przestrogi,

a zwłaszcza pragnienie, żeby tę niezaprzeczoną siłę dla siebie dostać a przeciwnikowi odebrać: ale obawy czy przestrogi wydają nam się przedwczesne, i tem, co on dotąd napisał, nie usprawiedliwione. Widzimy dotąd w jego powieściach uczucia i pragnienia, nie widzimy doktryn ani namiętności. Kto się zgorszył z księdza w *Szkicach Węgłem* i wnosił z nich, że autor jest bezbożnikiem a przynajmniej bezwyznaniowym, ten niech przeczyta *Niewolę Tatarską*; kto z *Niewoli Tatarskiej* oskarża go o arystokrację czy szlachecczyznę, niech przeczyta *Szkice Węgłem*; a kto z tych lub *Janka* domyśla się, że w nim fermentuje kwas społeczny, ten niech się uspokoi czytając *Hanię*. Nam wydaje on się artystą przedewszystkiem, człowiekiem, który wrażenia żywo przejmując i z wrażenia sądzi (czasem może jednostronnie), ale nie uprzedzonym ani nienawistnym względem kogokolwiek; obywatelem przytem, Polakiem, który chce i ma sobie za obowiązek skarcieć złe, gdzie je widzi, na to, by je poprawić, który w oburzeniu może się uniesie, ale w którym zły woli lub myśli fałszywej, negacyjnej niema. Jeżeli w powieściach odbiła się dobrze, to byłaby to może dusza dość staropolska, nie bez szlacheckich nawet instynktów, ale wystawiona naturalnie na różne wpływy wieku i posługująca się jego drażliwymi nerwami, może od nich zależna.

Tylko jest w niej coś innego może i coś niedobrego, jakaś skłonność do pesymizmu. Naturalna zapewne, prawie konieczna, zważywszy nasze czasy i stosunki: a przy szlachetnem sercu i usposobieniu wrażliwem najłatwiejsza właśnie, ale niedobra przecież, bo kto w świecie na to przedewszystkiem patrzy, co złe i co smutne, ten wkońcu dojść może albo do gorzkiej mizantropii, albo do jałowej melancholii, albo do łagodnej ale niedołącznej niechęci i niezdolności do życia. A z tych powieści sądząc, zdawałoby się, że autor *Szkiców*, i *Janka*, i *Poznańskiego Nauczyciela*, i *Za Chlebem*, widzi tylko co smutne, i to, co nikczemne; a kiedy co lepszego, co pięknego zobaczy, to w przeszłości chyba, a wtedy jeszcze doda: „umarł bezpotomnie i był ze swego rodu ostatnim.“ Nie dziwiąc się takiemu na świat patrzeniu, do

którego powodów jest dosyć, można się go obawiać przecież, bo ono może duszę strawić albo ją skwasić. Gdyby się było ojcem tego młodego człowieka albo jego starszym bratem, powiedzieć mu miałoby się prawo i ochotę:

Oj nie chylaj się jaworze,
Zielonyś, młodziutki,

a choć zgaduję zkąd i na co tobie smutki, przypomnieć ci muszę, że nie tylko złamać się nie trzeba, ale i chylić się nie dobrze, bo kto przywyknie smutno głowę spuszczać, ten po latach może jej już dźwignąć nie zdoła. Smutek jest konieczny i nieraz święty i zdrowy, bo kiedy się nim dobrze karmić umiemy, rozszerza serce, podnosi je i hartuje. Ale pesymizm jest zły, bo kwaszący; a melancholia jest zła, bo mdła i osłabiająca. Zachowaj smutek jak swoją wartość i swoją cześć; zachowaj współczucie dla wszystkiego co cierpi, jak swój skarb, jak młodzieńczą świeżość swego serca; zachowaj oburzenie na złe jak rękojmię i siłę swego męskiego charakteru i życia; ale patrz na dobre, zwłaszcza na dobre, które jest dzięki Bogu i którego jest niemało, i krzep niem siebie, bo inaczej zabraknie ci tego, czembyś krzepił drugih. A i to jeszcze pamiętaj, że ten tylko naprawdę i ze skutkiem mówić może *Sursum corda*, kto sam sobie w szczerości swego serca i sumienia na to hasło odpowiedzieć może: *habemus ad Dominum*.

Oto, co jest najlepszego z „najnowszych powieści polskich.“

II.

„OGNIEM I MIECZEM.“¹⁾

Parę lat temu, mówiliśmy o powieści polskiej w najnowszych czasach; wróćmy dziś do tegosamego przedmiotu, kiedy niespodzianie zaszły rzeczy, które przedmiot ten wysunęły na czoło wszystkich kwestyj i zajęć, stojących na porządku dziennym naszej literatury. Fenomen, którego nic nie zapowiadało. Wówczas kto patrzył na stan powieści i romansu nie u nas tylko, ale w całej Europie, ten musiał z tej obserwacji dojść do wniosku, że to rodzaj, który się wyczerpał; a choć go mnóstwo rąk uprawia, to sił i życia wlać w niego nie zdołają, bo ich same nie mają. W naszej powieści polskiej między młodszymi jej pisarzami, jeden z talentem widocznie niezwykłym, z żywą wyobraźnią, z wielkiem współczuciem dla ludzkiego cierpienia, z rzadkiem uczuciem natury i darem opisywania, słowem talent prawdziwy: ale jakiś nie zupełnie zdrowy, w samych szlachetnych swoich uczuciach nie zawsze sprawiedliwy, w swoim pojęciu świata i życia jednostronny a czasem paradoksalny, nerwowo jakiś i do melancholii skłonny; wdzięku miał wiele, ale czy z wdzięku może wyrobić się siła? czyto niestała, nierówna, nerwowa natura talentu, w rodzaju Słowackiego, równowagi i stateczności nie zdolna, lub też co innego? czy na tej łodydze kwitnąć będą przez lato kwiaty

¹⁾ Pisane w roku 1884 pod tytułem „Z najnowszych powieści polskich II“.

jednakowe wszystkie, a potem opadną, i ona sama uschnie jak tyle? Może to nie jednoroczna wiotka łądyga, może tam jest miazga, z której się rdzenny dębowy pień wyrobi, może ten kwiat wdzięku osłania sobą zaród czerstwego owocu i ziarna? może — ale nie pewnie, nawet niebardzo do prawdy podobnie. Oto wrażenie, jakie przed laty dwoma i trzema robił Henryk Sienkiewicz, autor *Szkieców Węglem* i *Hani*, autor *Janka Muzykanta*, *Poznańskiego Nauczyciela*, a nawet *Bartka Zwycięzcy*.

Naraz rozechodzi się głos, że ten autor szkieców i obrazków pisze powieść dużą, o dwóch lub może więcej tomach, powieść historyczną: treść wzięta z dziejów XVII wieku, z wojen Chmielnickiego podobno. Ciekawość, niepewność, niedowierzanie... Czy nie przecenia własnych sił? czy mu ich na takie przedsięwzięcie wystarczy? Co innego to na małym płótnie malować rodzajowe obrazki, a co innego na wielkim rzucić zarys historycznej kompozycji. Grottger, taki poeta, taki artysta w *Lithuanii*, czy byłby potrafił malować Sobieskiego pod Wiedniem? Czy te postacie, które wyobrażenia Sienkiewicza począć jest zdolna, nie będą rozmiarami i stylem do takiego dzieła za małe? Dalci on wprawdzie w *Niewoli Tatarskiej* próbkę, że i niezłomnego bohatera stworzyć i charakter wieku szczęśliwie odgadnąć umi; ale to próbka mała, i nie dowód jeszcze, że rzecz długą autor w tym wysokim stylu utrzymać potrafi. A jeżeli apokaliptyczne prawdziwie klęski, powietrza, głodu, ognia i wojny opisywane będą tak, jak cierpienia *Janka* lub *Michasia*? jeżeli w tych walkach wystąpi może *Aleksy Zdanoborski*, ale obok niego wystąpi *Selim* albo *Hania* w starodawnym tylko stroju?... niechętni i zazdrośni wiedzieli zgóry, że przedsięwzięcie udać się nie może; życzliwi pragnęli gorąco, żeby się udało, ale nie wiedzieli czy się uda.

Wśród obudzonej, nieledwie naprężonej, ciekawości, zaczęła powieść wychodzić. Dobrze zaczęta, odrazu nastrojona i nastrajająca wysoko na ton ponury i groźny. Grzmot wojny, podziemny huk trzęsienia ziemi daje słyszeć z daleka, ale nie słabo. Figury postawione odrazu śmiało i energicznie, mają

jakaś kawalerską fantazyę i rycerską godność. Po pozorach sądząc, może być dusza w tych ludziach. Sceny idą jedna za drugą niespodziane, ciekawe, a pełne ruchu i życia; cokolwiek będzie dalej, w tym początku znać talent niepospolity, co dziwniejsza, talent różny od tego, jaki się znało z dawniejszych pism autora. Zmienił nutę i gra teraz z innej: — ba, zmienił i punkt swego widzenia i jakoś patrzy na świat z wysoka, bardzo z wysoka. Oto wrażenie, z którym czytano się pierwsze rozdziały, a które z każdym rozdziałem rosło. Kto za bohaterem powieści dostał się do Rozłogów; kto zobaczył te dziwne postacie kniahini matki i synów; nad kim złowrogo zawodziły lamenty i proroctwa ślepego Wasyla; kto w słowach Bohuna raz usłyszał grzmot i dumkę naprzemian, temu już te dwie postacie, te dwie dusze, te dwie miłości, Pancernego i Kozaka, Polaka i Rusina, stanęły w oczach i w głowie, a sam ciekawością przykuty, jeszcze nie bez obawy, ale już z zapalem, czekał i patrzył, co z tego będzie dalej. Już autor swego czytelnika wziął, opanował, już go do uszanowania przed sobą zgiął. A gdy mu pokazał potem potyczki i boje, Chmielnickiego, jak kusi Krzeczowskiego do zdrady, Flicka, jak ze swymi Niemcami ginie a do zdrady skusić się nie daje; gdy na Czehryńskim rynku odbijają się różne przejścia Korsuńskiej bitwy; kiedy przeciągają przezeń wzięci w niewolę hetmani, wtedy czytelnik zdumiony miarkuje, że ma przed sobą coś, czego nie znał, nie widział, o czem nie miał wyobrażenia. Aż wreszcie jeńcem wzięty namiestnik pancernej chorągwi stanął przed panem swojego życia i śmierci, a w tej rozmowie, jak żeby dwa narody stanęły sobie do oczów, jak żeby historia sama, sumienie wieków, jak żeby prawda sama sądziła ich sprawę... i od tej chwili zaczęło się powodzenie tej książki, powodzenie, jakiego w naszych czasach nikt nie widział. Kiedyś pamiętniki, może i historye-literatury wspominać będą, że kiedy wychodziło *Ogniem i Mieczem*, nie było rozmowy, któraby się od tego nie zaczynała i na tem nie kończyła, że o bohaterach powieści mówiło się i myślało jak o żywych ludziach, że małe dzieci w listach do rodziców po zdrowiu swoim

i swego rodzeństwa, donosiły o tem, co zrobił Skrzetuski albo co Zagłoba powiedział; że kiedy młode panienki pisały lub chciały pisać do autora, żeby na miłość boską nie zabijał Skrzetuskiego, to matki i babki sędziwe w błogostawieństwach swoich ze łzami prosiły, żeby synowie ich synów mieli takie jak on dusze. Jak legenda wyglądać będą opowiadania o tej pani, co zapytana przy powitaniu czy jej się stało co złego, że taka smutna, odpowiedziała: Bar wzięty! o tym pacierzu, który ktoś mówił za duszę Podbiپیęty¹⁾ i aż w połowie spostrzegł się sam, że to wymyślona śmierć i wymyślona dusza. A to wszystko to szczerą prawdą przecie i szczerą tylko dowód, jak my z figurami tej powieści żyjemy, jak one opanowały nam wyobraźnię i serca. Bo to nie jest powodzenie tylko, nie upodobanie w artystycznych pięknościach (choć tak znakomitych) tej powieści: to przywiązanie do tego, co szlachetne i wysokie; to wzruszenie na widok bohaterów, rycerzy, Polaków, jak być powinni, a najlepszych, jak być mogą! wzruszenie i podziwienie na widok, jak wielkie serca wielkie nieszczęścia znoszą z wielką enotą, jak wszystkie klęski Ojczyzny czują, a pod żadną się nie łamią; to radość, duma, cześć, miłość na widok polskich uczuć i polskich natur najzdrowszych, najczystszych, najwyższych, podniesionych do ideału, do heroizmu, do świętości; wzruszenie takie smutne, ale takie wzniosłe, jakżeby we śnie lub widzeniu zjawiał się człowiekowi duch Żółkiewskiego albo Czarnieckiego, i jakieś jędrne słowo, jakaś naukę zostawił po sobie na pamiątkę. Jak małym, jak nieskończenie małym czułby się człowiek wobec takiego zjawienia, jak zawstydzonym okropnie: ale jak szczęśliwym, że je miał, że tego ducha zobaczył i przed nim głową o ziemię uderzył! W płomieniach tatarskich i kozackich ogni, w błyskach polskich mieczów, ten duch unosi się nad nami w tej powieści. Poznaliśmy go i dlatego tak z tchem zapartym, z okiem utkwionem, z sercem bijącym, patrzemy w górę na ten obraz, dlategośmy się w nim tak rozmilowali.

¹⁾ Henryk Wodzicki.

I.

„Uczulem niesmak — (i może na szczęście dla mnie) — pisał Sienkiewicz w liście do jednego znajomego — do nowelek, do bohaterów liliputów, do rozczulania się na kwiecie za cienko brzmiącej, do swoich i cudzych utworów tego rodzaju. Powiedziałem więc sobie: *jam satis!* i próbuję na inną nutę.“ Te słowa określają psychologicznie powstanie ostatniej jego powieści, a zarazem zwrot nowy w jego talentcie, uczucie, pod którego działaniem talent ten zmienił naturę, zmęźniał, bo zmęźnieć chciał i postanowił; bo nie dość mu było tego, co zrobił, bo umiał to kochać, tego pragnąć, co prawdziwie wielkie „Tam wszystko takie wyraźne i wielkie w przeciwstawieniu do marności dzisiejszego życia,“ dodaje w tym samym liście. Tam? gdzie?

Wiele się złego mówi u nas o XVII wieku; wspominamy go z żalem jako ten, w którym się nasza Rzeczpospolita do upadku pochyliła; gani go historyk i polityk za sejmy zrywane, za konfederacye wojskowe, za rokosze, za nieskuteczność zwycięstw, za politykę złą lub żadną i za przeszkody stawiane dobrej; laje go moralista za pijaństwo szlachty, za niekarność żołnierza, za praktyki ambitnych z zagranicznymi dworami, a wszystko słusznie. Przecież wiek to był, któremu na piękności i na poezyi nie brakło, który świeci bohaterstwem i cnotą. Poprzedni nie potrzebuje się wstydzic takich zgorzeń, jak Piławce, jak kapitulacya pod Ujściem, jak *Liberum veto* wprowadzone już w praktykę i podkopujące sam byt Ojczyzny; ale też nie pochlubi się, ani za najpiękniejszych dni Jagiellońskich lub króla Stefana, takimi chwilami natchnienia, możnaby rzec jakiejś religijno-narodowej ekstazy, jak Obrona Częstochowy i Tyszowce, ani zwycięstwami tak cudownemi prawie, jak dwa Chocimskie, ani takim „europejskim czynem“, jak Wyprawa wiedeńska, ani takimi ludźmi. Gieniuszu było w Zamoyskim więcej niezawodnie niż w jakimkolwiek Polaku; ale wojskowej zdolności nie-mniej może, a cnoty rycerskiej i obywatelskiej więcej

było w Czarnieckim. Wiek XVI to piękne południe polskiej historii, w którym cienie choć są, to nie rozlegają się szeroko, i trzeba pomyśleć, żeby się zasepić obawą przyszłości, przewidywaniem, że dalej pod wieczór cienie te rozciągną się po całej ziemi polskiej. Na XVII wiek patrzeć nie tak miło; tam już wszystko ukazuje się w ponurem złowrogim oświetleniu, jak kiedy w jesieni z pod czarnych chmur padną z ukosa na krótko promienie słońca, same jakieś czerwone, smutne i przykre. Historia każdego z nich na nas Polaków robi takie wrażenie, jak arcydzieła ich malarstwa; szesnasty jak ozłocone włoskiem słońcem gody i uczyt Veroneza; siedemnasty przykre, dręczące, straszne, jak te smutne obrazy Rembrandta lub widoki Ruysdaela, w których widzi się w całej naturze niepokój, jak żeby przecucie końca i „jakaś w powietrzu rozterkę“. Czuje się, że po takim zachodzie przyjdzie noc czarna i burzliwa, noc przychylna błędzeniu, niebezpieczeństwom, rabunkom i mordom. Ale wśród tych ciemności zapadających, gdzie jeszcze żywszy promień słońca dostrzeli, tam sprawi światło tak jasne, tak uroczne, że to, co w niem jest, wydaje się nie jak oświecone zwykłym południem, ale jakąś nie ziemską świętą jasnością. Ta świadomość rycerskiego i chrześcijańskiego powołania do walki z Turkami, to pojęcie jej jako swojego obowiązku, ma naród w wieku XVII wyraźniej aniżeli w poprzednim. Czy skutkiem przeciwieństwa ze złem? czy też istotnie w tych czasach groźnych i strasznych, „gdy ostatnia chwila życie w śmierć przesila,“ wszystko co było dobrego i pięknego w polskiej naturze, zestrzeliło się, oczyściło i spotęgowało w niektórych rzadkich wybranych czynach i głowach? dość, że to, co w XVII w. jest pięknem, to tak rycerskie, tak dzielne, tak czyste, że fakta wydają nam się otoczone aureolą cudowności, a ludzie świętości. Piękne były zwycięstwa pod Orszą lub pod Wielkimi Łukami, ale tam żaden święty nie walczył na koniu, jak pod Chocimem, a Najświętsza Panna raz tylko płaszczem swoim odbijała kule, w oblężeniu Częstochowy. Dlaczego wiara czy fantazyja nasza wtedy tylko ten cud ujrzała, a ujrzała go tak dobrze, tak wyraźnie, że

do dziś dnia cud został w naszej pamięci i w naszej wierze? Dlatego, że w tych czasach złych i smutnych, kiedy nam po raz pierwszy przyszło drżeć o Ojczyznę, kiedy raz pierwszy stanęła nam jasno przed oczyma ta myśl, że ją stracić możemy, wtedy wszystko, co w nas było dobrego: patryotyzmu, honoru, cnoty, męstwa, wszystko ozwało się i podniosło w tych, którzy jeszcze zepsuci nie byli, a tak głośno, tak potężnie, niebezpieczeństwo tyle zrodziło zapалу, poświęcenia, zapomnienia siebie, że kiedy źli psuli się coraz bardziej, dobrzy doszli do wysokości chrześcijańskiego i polskiego ideału, a tą cnotą, tem podniesieniem ducha i sami cudów dokazywali i godni byli, żeby ich sam Bóg cudownie wspierał. Takiego wielkiego, rozpaczliwego, a przecież ufego zerwania się narodu, jak były Tyszowce, w XVI wieku, niema, choć mniejszem byłby mógł zabezpieczyć się na zawsze, na przykład gdyby był chciał prawdziwie Batoremu w wojnie moskiewskiej pomagać. Takiego rycerstwa, takiej czystej służby, takiej świadomości obowiązku i powołania swego, jakie miał Czarniecki, nie miał żaden z wielkich ludzi w szczęśliwszych czasach, żaden śmierci tak pięknej jak Żółkiewski, i żaden może w swoim życiu chwili tak pięknej, jak król Jan pod Chocimem i pod Wiedniem. Ostatni to w Europie rycerze, podobni do Godfreda i do św. Ludwika, niż do współczesnych Kondeuszów, Turennow i Marlboroughów, a gdyby w całym tym wieku szukać, kto w Europie szedł do boju z takim uczuciem i z taką myślą, jak oni, znalazłoby się go w poezyi tylko. Książę Niezłomny Calderona jest podobny do Żółkiewskich i Czarnieckich. Razem schodzą takie postacie z pola, w historyi i poezyi.

Nie dziwnego, że te czasy i postacie nęciły zawsze poetów i historyków smutnym, ale potężnym urokiem; a wśród nich najbardziej zawsze ta straszna tragiczna chwila przełomu w dziejach Rzplęj, która wypada na samą wieku tego połowę i rozpoczyna epokę smutku, po której przychodzi epoka wstydu; ta chwila, kiedy poczyna się ten kozacki bunt, który skończy się otwarciem Rosyi drogi zrazu tylko do Andruszowa, do Kijowa, a z czasem do Wilna i do War-

szawy. Szajnocha długo krążył około tych fatalnych *Dwóch lat z naszych Dziejów*, przed nimi i po nich brał to i owo z XVII wieku, ale nie miał spokoju, dopóki do nich samych nie przystąpił. Szujski, przejęty tragicznością tej chwili, wielelał tragiczność tę w Ossolińskiego i do ostatka marzył o dopełnieniu swojego dramatu jego śmiercią! Słowacki miał jakiegoś Jana Kaźmierza, który nieszczęściem zaginął. Starsi czuli także jedność i wielkość tych postaci taksamo, jak my; klassyczny Koźmian kiedy szukał w historyi ideału bohatera, znalazł go w „mężu wybawcy nadwiślańskich ludów,“ „co srogiego Bogdana skarcił bunt zbrodniczy.“ Wiek XVI nie miewał takich rycerzy smutnych a świętych; XVIII między swoimi najlepszymi nawet miewał już tylko żołnierzy. A więc pomiędzy Żółkiewskim a Sobieskim w tych czasach, kiedy dla Rzeczypospolitej smutne i nie „nadzieją promienne,“ były przecież „ludźmi błyszczące;“ szukać trzeba klassycznej bohaterkiej epoki polskiego rycerza: a kto chce, jak Słowacki, „grób twój ucecić kamienną, dużą, rycerską osobą,“ tam niech szuka i wzorów i czynów. Znajdzie je epopei godne — na powieść za wielkie.

Ale ta powieść ich nie zmniejszyła. A wielki styl, jaki postaciom swoim nadała, wielki charakter tych walk i klęsk, które czuje tak żywo, jak czuli ci, co ich doznali, a rozumić tak, jak ci, co je po dwóch wiekach z owoców poznali, oto co powieść tę od wszystkich innych odróżnia, co sprawia, że ona powieścią jest dlatego i przez to jedynie, że jest pisana prozą. Jest jedna skaza: zakończenie nagle, jakoby ucięte, nie tak po epicku traktowane jak całość, prócz tego zostawiające niektóre stosunki bez rozwiązania: a co ważniejsza, ten koniec materyalny nie jest w dostatecznej mierze moralnem zakończeniem historycznej sprawy. Ale z tym wyjątkiem i z tem zastrzeżeniem, trzeba powiedzieć w dwóch słowach, że jestto powieść, jakiej nie było nigdy w naszej literaturze, jakiej niema podobno w żadnej zagranicznej; że słusznie podobno mówił Klaczko: „od *Pana Tadeusza* nie tak pięknego nikt po polsku nie napisał.“

Znany każdemu i pamiętny ten wiersz, którym Słowacki zaczyna swojego *Wacława*, wiersz do ziemi stepów:

„gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie
 „przez całe stepy patrzą się na siebie;

gdzie z tych kurhanów

„krzyż się groźnie pogląda na krzyża
 i oba drewna niby grożą sobie
 przez całe stepy zemstą śpiącą w grobie;

gdzie

„czuć w powietrzu, że tu myśli wojna
 choć słońce złote, choć ziemia spokojna.“

Na takich stepach zaczyna swoją powieść autor, nad którego żaden lepiej nie odgadł, nie uczuł, nie dał uczuć smutnego charakteru i wdzięku tej ziemi, żaden lepiej w sercu swoim nie uczuł boleśnie tej wojny myśli, tej groźby dwóch krzyżów, która była i jest do dziś tej ziemi przeznaczeniem i historią. Zaleski, Słowacki, Malezewski, wiedzieli wszyscy, że ta ziemia dlatego tak smutna, bo się na niej losy dwóch ludów ważyły i dla obu przeważały źle; wszyscy słyszeli

„z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,
 co śpią na zwiedłych wieńcach swojej dawnej sławy,“

ale w tym podziemnym wiekowym jęku, rycerskiego dźwięku szabel i szumu proporców, najwięcej usłyszał ten, co śmiało sięgnął myślą w te czasy, kiedy się losy owe ważyć zaczynały. I on lepiej od wszystkich zobaczył na tej ziemi rycerza, którego „serce jak lilia czyste,“ nad tą ziemią stoi i dla niej dumnie czuje i „dumnie się waży,“ „jak złoty anioł Ojczyźnie na straży.“

To jego pierwszy obraz, to na stepie w cichą noc księżycową z kurhanu rozglądający się do koła pancerny towarzysz, namiestnik w chorągwi księcia wojewody ruskiego, Jeremiasza Wiśniowieckiego. Czemu tego właśnie obrał sobie za bohatera? Zkąd to nieznane imię Skrzetuskiego tak mu

trafiło do serca i do wyobraźni? My wszyscy, i nasi historycy także, nie wiemy o nim nic. W Księdze pamiętniczej Jakóba Michałowskiego (List Andrzeja Szoldrskiego, biskupa poznańskiego, str. 429) jest wzmianka, że wiadomości z obleżonego Zbaraża przyniósł królowi do Toporowa Skrzetuski, towarzysz, który rzekę wśród obozu oblegających przebył i w borze leżał cały dzień. — Pan Pasek wspomina, że taki bił się pod Lachowiczami; być może, że wzmianek takich i obszerniejszych jest więcej i że je autor wynalazł. Ale dla ogółu człowiek to nieznanym zupełnie, i przed rokiem jeszcze gdyby kto wspomniał nazwisko Skrzetuskiego, zdawałoby się, że chyba o tym Pijarze mówi, co za Stanisława Augusta pisał Historyę do szkół. Dziś to imię głośnie i sławne, jest w każdym ustach od Beskidów do Pomorza, a na wspomnienie jego staje w oczach taki ideał rycerza bohatera i Polaka, że zdaje się, jakoby to był chyba Żółkiewski sam, tylko Żółkiewski prosty szlachcic nie senator, towarzysz nie hetman, młody nie stary, a w młodości swojej taki dzielny i święty, jak tamten pod Kluszyńcem i pod Cecorą. Było w naszej poezji bohaterów wielu, potężnych w miłości Ojczyzny i w poświęceniu — Wallenrod, Irydion — uroczych w swoim charakterze polskim — pan Tadeusz — tragicznych w swoim nieszczęściu — Waclaw Malczewskiego, Słowackiego Zbigniew i syn Hetmana w Horsztyńskim — ale takiego nie było, któryby był tylko prostym człowiekiem, tylko prostym rycerzem, a jako taki ideałem. Jedni mieli na to zbyt wyjątkowe natury namiętności i role, inni niedość bohaterskie charaktery i żywoty, jeszcze inni byli zbyt nieszczęśliwi, albo zbyt chorobliwi; takiej duszy prostej, zdrowej a wielkiej w ciele zwykłego człowieka i żołnierza, takiego, któryby był tylko prostym rycerzem, ale jak Bayard *sans peur et sans reproche*, jak Czarniecki „nie z soli ani z roli,” jak Kordecki z Bogiem w przymierzu, jak Księżę Calderona Nizłomny, z sercem jak lilia czystym, zwierciadłem wszelkiego honoru własnego, wojskowego i polskiego, takiego jeszcze nie było. Próbowano dawnego Polaka, dawnego szlachcica tysiące i tysiące razy; próbował Koźmian Czarnieckiego i wojowników;

próbował Pol kresowego rycerza w Mohorcie; próbował Mickiewicz bohatera w Pułaskim — i nawet Mickiewiczowi Pułaski niezupełnie się udał. Skrzetuski jest takim, jakimi tamci być mieli; znalazł się wreszcie narodowy typ rycerza, znalazł się ten bohater bojownik, bez którego żadna literatura zupełną być, jak żaden naród żyć nie może. W nim jest zbiór i wzór wszystkiego, co w duszy polskiej przez wszystkie wieki było wielkiego, czystego i zdrowego; on tak czuje, myśli, cierpi, walczy, kocha, jak czuć, myśleć, walczyć, cierpieć, kochać mogło to, co w narodzie zawsze było najlepszego; w nim jest sama esseneya siły i zdrowia narodu, sama treść i rdzeń jego ducha i zarazem w doskonałej rzeczywistości i prawdziwie polskiej natury najwyższa doskonałość polskiej enoty. To o nim zda się pisał Słowacki, że gdyby więcej podobnych

„to chyba wkońcu na takich aniołów
wróg będzie piorun miał w ręku, nie olów.“

Ale jemu podobnych dziś niema, i wtedy nie było wielu a na ziemi stepów już się toczy i huczy „myśli wojna,“ nim się orężna zacznie: i ten skrzydlaty rycerz jak archanioł-stróż polskiej ojezyny i polskiego ducha wyobraziciel, na pierwszym swoim kroku, w pierwszej scenie powieści spotyka się z duchem przeciwnym, z wyobrazicielem nienawiści, z tytanem buntu, ze sprawcą nieszczęścia. Skrzetuski rozcina powróż na szyi uduszonego prawie Bohdana Chmielnickiego; przypadek to nie zamiar, ale Skrzetuski robi w tym razie to samo, co zrobiła Polska, kiedy na Ruś tatarskiego arkanu i tureckiego jarzma zarzucić nie dała. I z podobnym skutkiem. Chmielnicki wstał, poszedł, i Rusi nieuduszonej sam zarzucił na gardło arkanu gorszy, w którym szarpie się, dusi i chareze, a niema już Skrzetuskiego, któryby zdarł sromotny stryczek z jej gardła i ducha.

Chmielnicki, który w ciągu powieści rośnie do rozmia-
rów godnych jego historycznej roli, ma gigantyczną siłę,
żądę i wściekłość, w tem swoim pierwszym zjawieniu już
z kilku słów, z zewnętrznego opisu okazuje się, jakim jest.

Epickim, tradycyjnym, homerycznym sposobem, przez zewnętrzna postać, przez ruch, przez twarz, przez zachowanie się z ludźmi, przebijają dusza, która im dalej, tem bardziej pokaże się potężną w żądy, a niską w chytrności, jak zwierzę przebiegła, dziką jak zemsta, ale nie do gruntu zepsuta, bo czuje się złą i swojej złości się boi. Od tego spotkania Rzeczypospolitej i buntu, Polski i Rusi, najszlachetniejszego z Polaków i największego między Kozakami, zaczyna się sprawa, która niebawem a stopniowo całą Ruś i Polskę, całą ich ziemię i historię ogarnie i do powieści wciągnie. Rozchodzą się każdy w swoją stronę: jeden do Łubniów do swego Księcia-wojewody zdać relację ze swego poselstwa do krymskiego Chana, do swoich drugi dać im hasło do buntu i rzezi.

Już się na ten bunt coraz wyraźniej zanosi, już on w powietrzu, poprzedzony niezwykłym ruchem między kozactwem i chłopstwem, niespokojnem przecuciem załóg polskich, przestrogam i wiernych Kozaków. Dalszy marsz Namiestnika ku Łubniom, jego wypoczynek w Czehrynie, gdzie ludno i gwarno, służy do bliższego oznaczenia tego stanu rzeczy. Stary Zaćwilichowski przestrzega, stary Barabasz kręci głową: wszyscy widzą, że coś złego zająć może; niech książę czuwa i ma się w pogotowiu, bo Kozacy coś myślą a Tatarzy blisko. Tu i nasz Namiestnik, jeszcze swobodny i nieszczęściem żadnem nie dotknięty, występuje z niepospolitą kawalerską fantazją, kiedy zuchwałym a podłym Czaplńskim drzwi winiarni wywał; tu wśród szlacheckiego wesołego gwaru u Dopuła, a głuchego kozackiego na rynku, zjawiają się nowe, zrazu niby nieznaczące postacie. Jakiś Litwin oryginał, wielkolud cichy i skromny, mówiący słodko a wymawiający śpiewnie, dobra dusza, ale śmieszny trochę przez swoją figurę i mowę, przez ten miecz katowski, który się za nim wlecze, nudny trochę przez nieskończone opowiadania o przodku Stowejce, co pod Grunwaldem trzy lby niemieckie ściał jednym zamachem tegosamego miecza; śmieszny, zwłaszcza przez swoje cnotliwe *votum*, którego ma dotrzymać, dopóki sam znowu dziadowskim Zerwikapturem trzech głów tureckich nie zetnie. Czy on głupi., czy udaje,

że wdychając do wszystkich pięknych oczów, jak Tantal do swoich owoców, szuka awantur po świecie, w nadziei, że może przecie raz spotka trzech Turków tak dobrze ustawionych, że trzem naraz lby z karków zmiecie? Śmieje się też z niego jakiś drugi, jednooki a brzuchaty, wydmikufel i parasitus facetus, a lgarz, junak w słowach a tchórzem podszyty — niesmaczna jakaś nieprzyjemna figura, która umie przemyślnie jeść i pić na cudzy koszt opowiadać niestworzone rzeczy o sobie samym, i wyśmiewać drugich — niezbyt dowiepnie. Cóżto za sztuka przekręcać cudze nazwiska, co w tem zabawnego, że pana Podbipięte herbu Zerwikaptur z Myszykiszek, przezwie Powsinogą z Psichkiszek herbu Zerwipludry? Baczność! i uszanowanie. W tych dwóch figurach, z których jedna jest komiczna a druga niesmaczna, ukryte są piękności pierwszego rzędu.

Zdarzają się ludzie — każdy takich w życiu spotykał — niepokorni i pokorni, którzy między drugimi tak wyglądają, jak żeby się sami siebie wstydzili. Pokazują i odzywają się nieśmiało, każdemu zawsze ustępują pierwszeństwa, oni zawsze najmniejsi i ostatni, bezmała przepraszają że żyją i miejsce jakieś na tym świecie zajmują. Powodzenia zwykle nie miewają: ufność w siebie i śmiałość, czasem bezczelność jest jego warunkiem, ale cichość i skromność, nieśmiałość i pokora najczęściej spotykają się z lekceważeniem. Kto sam siebie nisko ceni, ten i przez drugich nisko bywa cenionym. Tymczasem zajdą okoliczności jakieś trudne lub przykre, niebezpieczeństwa, nieszczęścia i nagle przy boku tego, kto przyjaźni i pomocy potrzebuje, zjawia się nieprzoszony ten człowiek niepoczesny i cichy, i radzi, pomaga, ratuje, i tyle rozwija rozumu, poświęcenia, szlachetności, odwagi, czulej i miękkiej dobroci, że dopiero uczymy się go znać i czuć się mniejszymi od niego. To pod warstwą szarego mułu czyste złoto, dusza jak brylant jasna i jak on mocna, a dobra jak siostra, jeżeli nie jak matka. Każdemu służy za usługę, którą oddał, dziękuje jak za łaskę, którąby sam odebrał; wszelką ofiarę spełni, byle o niej nie mówiono, nie wiedziano, byle o niej sam nie myślał i nie wiedział. Bez zółci jak gołąb,

bez winy jak dziecko, nieświadomy swowej wartości, zdolny heroizmu i świętości, nie domyśli się nigdy, że to, co on robi, może być niezwycajną ofiarą lub enotą. Ale za to jak sobie coś powie, jak się uprze, jak się zatnie, to z tąsamą zimną krwią, z tąsamą słodką mową i cichą pokorą, zerwie się na rzecz najśmielszą, najzuchwalszą, w niebezpieczeństwo rzuci się jak szalony, kocha się w trudnościach swego przedsięwzięcia, samochęący ich szuka, i żeby się świat miał zawalić, on swoje zrobi — chyba że zginie. Dusze takie zdarzają się między nami, ale rzadko godzą się z żywszą krwią, i głośniejszą a lżejszą naszą naturą lacką. Litwin cichy i głęboki, jak jego jeziora i puszcze, małowówny i w sobie zamknięty, ten częściej miewa ten rodzaj natury i enoty; i Sienkiewicz miał słuszność lub trafny instynkt, kiedy Litwinem zrobił tego Longina, który zrazu wydaje się śmiesznym i zakrawa na zakonnego braciszka i niby na poeciowego a niemądrego jakiegoś Don Kiszota, a im dalej, tem wyżej rośnie, aż kończy nie jak bohater tylko, ale jak święty.

Drugi niepodoba się zrazu, brzydzi trochę, bo wyszarzany, nie wiele wart, a zuchwały przytem fanfaron i łgarz, czasem dopiero daje poznać swoje olśniewające talenta. I to rewelacya. Widziało się dawniej u autora nieraz humoru dużo, i oryginalnego, własnego, widziało się czasem i dowcip wcale świetny; ale żeby zdobył się na kreację która odrazu stanęła w rzędzie najdoskonalszych figur komicznych na świecie i najświetniejszych reprezentantów humoru polskiego, jego przecież nikt się nie domyślał. A takim jest Zagłoba. Przechwalać się umie i kłamać jak Papkin; jak książę Panie Kochanku umie opowiadać o dziwnych swoich przygodach na lądzie i morzu; jak Pan Pasek mówić osobnym jakimś dosadnym językiem pełnym humoru i fantazyi; jak Rzeczpospolita Babińska pełen jest przycinków i conceptów, a w tych conceptach i zwrotach jakie im daje, taki samorodny i taki zawsze nieprzewidziany, taki obrazowy a trafny, że jego różne lokucye przyjmą się i pójda w przysłowie. Gdzie autor humor polski studyował? w życiu czy w książkach? tu i tam zapewne, bo w dowcipach Zagłoby słyszy się wszyst-

kie razem: dowcip chłopca, studenta i kwestarza, Pszonki, Reja i Paska, Fredry, Kochanowskiego i Rzewuskiego, jak żeby każdy wiek, każdy rodzaj humoru był mu coś z siebie na ofiarę i ozdobę złożył. Ale też żaden z nich ani Pasek, ani sławny Radziwiłł, ani Fredro, ani Henryk Rzewuski, ani wszystkie ile ich jest *Fraszki* i *Jovialitates* nie mają humoru bardziej ciętego, przyrównań trafniejszych a mniej spodziewanych; zabawniejszym od Zagłoby nie jest nikt w literaturze polskiej. Typ to błaznowatego polskiego humoru z nich wszystkich złożony, i dlatego może rozmaitszy, wszechstronniejszy od wszystkich facetów naszej literatury aż po dzień dzisiejszy. Może też, a nawet z pewnością, dlatego taki świetny, że nie beczynny, spokojny facetus jak Jowialski, ale przepędzany jak przez różgi, przez sytuacje coraz nowe od komicznych do strasznych, w których poei się jego łysina, a jego mózg wysila na niezliczone pomysły i wybiegi; w których jego teńórzostwo i lenistwo przechodzą przez srogię pokusy, a zmysł ocalenia siebie i dobre serce przewyższają wszystko i każą mu dokazywać cudów zręczności — ba! cudów waleczności niekiedy, i nawet cudów poświęcenia. Spryt, z jakim Zagłoba zawsze się z biedy umie wydobyć, z jakim oszczędzając się jak tylko może najbardziej ze wszystkiego korzysta, żeby się pochwalić; ten dar okłamania siebie samego swoim kłamstwem, w które sam wkońcu wierzy; ta walka między kłamstwem a prawdą, udaniem junaetwem a rzeczywistem teńórzostwem, to wszystko robi go figurą komiczną, jakim równych mało na świecie. To nie jest tylko doskonały typ humoru polskiego, to jest wielka psychologiczna kreacya, którą Klaczkó stawia obok Falstaffa i Saneho Panchy mówiąc, że nie zna trzeciego, któryby im był równy. Rodzajem swego rozumu przypomina on Sancho Panchę — fanfaronadą, teńórzostwem, i konceptami Falstaffa: do żadnego niepodobny, z żadnego nie naśladowany. A być „in diesem Bunde der Dritte“, to dla figury komicznej zaszczyt, jakiemu równego nie ma podobno na świecie. Cóż dopiero jak się doda komizm najwyższy tych chwil, kiedy Zagłoba w ostatniem niebezpieczeństwie, ze strachu, z despe-

racyi, prawdziwie heroicznym się staje! a cóż dopiero tych, kiedy mrucząc, łajając, fukając, klnąc, daje się swemu do-
bremu sercu ciągnąć tam, gdzieby iść nie chciał, i robi rze-
czy, na które najlepszych ledwoby stać było; kiedy komi-
cznym być nie przestaje, a do podziwienia i rozrzewnienia
zmusza. Zagłoba w złem towarzystwie wytarty i podupadły,
między dobrymi ludźmi sam coraz lepszy i szlachetniejszy,
to między postaciami powieści jedna z najmisterniejszych,
najdoskonalej pojętych i wykonanych.

Wyjechali z Czehryna: w drodze zaczął się na ryce-
rza zdradliwy bożek z łukiem i strzałami. Złamana kolaska,
niewiasty jakieś same wśród stepu, surowa jakaś ciotka o ry-
sach męskich i szorstkich słowach, przy niej dziewczyna sie-
rota, upokorzona boleśnie złą sławą niesłusznie rzuconą na
ojca, we własnym domu trzymana jak z łaski przez opieku-
nów, którzy ją krzywdzą; to dość, by rycerskie serce wzru-
szyć do współczucia, kiedy jej piękność i wdzięk wystarczą
na to, by je wzruszyć jeszcze inaczej. Nie szlachetniejszego,
jak ta miłość rycerska, wierna, prosta, ustępująca zawsze
pierwszeństwa Bogu, ojezyźnie i żołnierskiej czci, a tak głę-
boka i silna, że w nieszczęściu nie ma dla niej pociechy:
świat się skończył. Zejść z niego gwałtem nie można, bo
grzech, ale kto na świecie wszystko stracił, ten tylko w ha-
bicie wytrzymać może. I w miłości także Skrzetuski jest bo-
haterem, a bodaj był wzorem, taka to miłość prawdziwa
i prawa i — jak w charakterze rycerza, tak w charakterze
kochanka jest człowiekiem swego czasu, Polakiem z XVIIgo
wieku. Ta jego miłość, która powieści służy za wątek, nie
ciągle (i słusznie) jest na pierwszym planie, ale pokrzywdzona
nie jest a poczyna się na tle niezmiernie zajmujących ory-
ginalnych zawikłań, przeszkód, scen i postaci.

Co za dekoracya te Rozłogi, pół folwark, pół stannica,
ten dom ozdobny dzikim jakimś zbytkiem, odbijającym dzi-
wnie od prostaczej pierwotności i braku wygody; co za wil-
cze gniazdo ciekawe ei kniaziewie odważni, silni, dziecy
i głupi, a w takim rygorze trzymani, że nie mają innej my-
śli i woli, jak matczyzna; co za surowa siła a rubaszna i pro-

stacka razem duma w tej matce; co za smętny ton żalości nieledwie proroczej, w słowach tego ślepego obłąkanego Wasyla, który jakżeby przeczuwał co się stanie, woła nad Ukrainą i nad Rzeczapospolitą „gorze wam“: jak ten żyd, co w obłążonem Jeruzalem biegiał po murach, wołając: Biada Miastu, biada Świątyni! Szkoda że głos ten urywa się rychło, że się pod koniec nie odzywa, (nad Chmielnickim naprzykład). Każdy szczegół, aż do tego Tatara, co Helenie służy, jak wierny pies, jest doskonały, a scena kiedy się Skrzetuski kniaziom o rękę Heleny oświadcza, kiedy stara kniahini grozi mu śmiercią, a zastraszona o siebie i synów, ulega silniejszej woli, i dramatyczna i dla bohatera zaszczytna. Ale wszystko to błędnie przy jednej postaci, która się na tem tle rysuje — tą postacią jest Bohun.

Skrzetuskiego się kocha i czei jak ideał Polaka; w Bohunic można się rozkochać, jak w ideale Rusina. Tamten jest lepszy w gruncie, ale ten poetyczniejszy w pozorach. (Panie wogóle z uszanowaniem podziwiają tamtego, ale pociąg i słabość mają do dzielnego pięknego mołojca ze sobolowemi brwiami, i z oczyma co grożą tak strasznie, a proszą tak słodko). W tej wielkiej sprawie między Polską a Rusią, mając postawić je naprzeciw siebie w dwóch rycerskich młodzieńczych postaciach, Sienkiewicz był sprawiedliwy, nie skrzywdził Rusina, ale stworzył typ jego pełen poezyi i wdzięku, pełen prawdy także, zbiór wszystkich szlachetnych i złych stron ruskiej natury.

Rusinów mamy wielu w naszej poetycznej i powieściowej literaturze; od tych, co w dumkach Zaleskiego lub w Czajkowskiego powieściach w Polkach się kochają, a za Polskę biją, aż do hajdamaka i rzezunia w Zamku Kaniowskim Gószczyńskiego. Najszcześliwiej może uchwycił podobieństwo Słowacki, kiedy w poemacie dziwacznym zresztą w *Śnie Salomei*, umieścił, jakoby trzy rodzaje Rusina i trzy stopnie jego miłości czy nienawiści do Polski. Jeden, to ideał kozaka, gente Ruthenus corde Polonus, Sawa, Ukrainiec hardy i dumny, coś dzielnego, coś hetmańskiego w tej naturze, co nawet polskim panom imponuje tak, że tego kozaka muszą

uznać sobie równym, jednym z siebie; to kozak, jak być powinien; to Rusin, jak być mógł, gdyby go żadna krzywda ze strony polskiej nie była dotknęła. Drugi, to Wernyhora. Nie Polak sercem; owszem Rusin, który czuje i pamięta wszystko co Ukraina od Polaków zniosła, ale też to także, co ona Polsce zadała; przeklina polskich panów, ale przeklina i Chmielnickiego. I ten jeszcze Rusin jak być powinien, w przepowiedniach swoich łączy odzycie i Polski i Rusi, i rozumie, że inaczej dla Rusi go nie ma. Trzeci, to rzezuń, to Żeleźniak i Gonta, ale podniesiony do poetycznego ideału, to dworski kozak Semenکو. Z materiałem na hetmana w sobie jak Sawa, jak tamten w marzeniach swoich król stepu, a dręczony i upokorzony sprzecznością między tem czem jest, a tem do czego zdolnym się czuje, ma on pragnienie zemsty, energię nienawiści, ma chytróść obok śmiałości, hypokryzę obok dumy; to Rusin trzeci, Rusin jaki jest najpowszechniejszy, reprezentujący nienawiść Polski w jej stopniu najsilniejszym, ale nie podły jeszcze choć już zepsuty.

Bohun, od wszystkich nierównie więcej wykończony, nie szkic, ale posąg prawdziwy, najbliższy jest tego ostatniego typu, ale jest od niego wyższy. On nie dworski, ale wolny jeszcze kozak, który się rycerzem czuje i rycerskiej swojej czci strzeże. Przebiegły, mściwy, w nienawiści wściekły, w boju heroiczny, w miłości namiętny jak tygrys, Bohun jest straszny; ale takie ma w sobie skarby poezyi, kiedy cierpi, to tak głęboko, kiedy się skarży, to tak rzewnie, że rozbroić musi i żal tylko zostawia, że takiego ma się nie bratem, lecz wrogiem, że go kochać jakby się chciało nie można, a wrażenie, jakie on robi, wyraża się w żalu, że on tej laszki, którą kochał nie dostał, w pragnieniu gorącym, żeby Bóg raz dał taką chwilę, by Bohunowi jaką Helenę dać i ślubowi ich błogosławić można.

Jaki jest w jego słowach wdzięk i jaki żaloszny dźwięk, zwłaszcza kiedy Bohun cierpi albo prosi... W mistrzowskim języku tej powieści to najdziwniejsze może, że każda figura mówi innym, a każda cudownie stworzonym i w swoim rodzaju typowym stylem. Inny jest język Zagłoby, inny Skrze-

tuskiego, inny Rzędziana, inny znowu Księcia, a każdy doskonały, aż do języka Kozaków, Tatarów i Czerni. Język Bohuna jest znowu osobny. Jest w nim jakaś pierwotna prostota, a zarazem obrazowość i dźwięk melodyjny, gramatycznie mówi niedobrze, zaczyna z ruska, ale poetycznie i muzycznie; mówi jak chłop i jak dumka, przypomina parobków i fernali, których się kiedy na Rusi słyszało, i wiersze Zalewskiego, które się kiedykolwiek czytało. I nigdy się jego styl nie zmienia, nigdy autor nie zapomni jak ma za Bohuna mówić; we wściekłości czy we łzach, zawsze ten charakter jego języka zachowuje; a w pewnych chwilach, kiedy na przykład z Zagłobą jedzie do Rozłogów, albo kiedy w swoim odludnym jarze staje przed Heleną, Bohun tak mówi, że jego słowa brzmią jak wiersz albo jak muzyka.

On, związany słowem, że Lacha rywala nie zaczepi, błąka się po stepie i powtarza „terpy kozacze“ — a tamten tymczasem ze słowem panny i opiekunów jedzie do swego księcia do Łubniów. Jeszcze dotąd jego sprawa, jego miłość jest główną i stoi na przedzie. W Łubniach nowe postacie, które z czasem pokażą ile w sobie mają epickiej lub tragicznej treści, ale się nie spieszą, nie popisują, nie chwala zawczasu. Autor jak żeby pewien siebie, że czytelnik będzie musiał zwrócić na nie uwagę, sam jej nie zwraca, nie uprzedza, nie odpowiada ani opisuje jakie one są. Sam książę Jeremi wychodzi na scenę bez żadnych efektów, możnaby myśleć, że na niej wiele znaczyć nie będzie; przypuszczać, że czarne oczy Anusi Borzobohatej, która jak „tatarska orda bierze w jassy corda“, może więcej wpłyną na dalszy tok powieści, niż księcia wojenne i polityczne zamysły. Myśli on coś wprawdzie, niepokoi się, gotuje się; chce wiedzieć co jest prawdy i siły w kozackich rozruchach. I dlatego wysyła na zwiady Skrzetuskiego, który o tę misję prosi, bo po drodze wstąpi do Rozłogów.

Od tej chwili sprawa prywatna cofa się w tył, a na przód występuje sprawa Rzeczypospolitej, bunt Chmielnickiego, historia. W czym ją autor powieści studyował? Znać po nim znajomość wszystkich dzisiejszych dzieł i wszystkich

dawniejszych kronik czy pamiętników, opowiadających te wypadki, a wiadomo, że szukał informacji i w niewydanych nieznanych źródłach. Ale czego już w żadnej książce nie znalazł, ani się na żadnym przykładzie nie nauczył, to tajemnicy jak pisać powieść, a nie fałszować historii; jak nie poświęcić swoich fikcyjnych czy historycznych bohaterów i ich losów nie zaniedbać, jak rzecz prowadzić szeregiem samych epickich scen i obrazów, a historii przecież tak się trzymać wiernie i ściśle, że tylko niektórzy ludzie i ich przygody są wymyślone, a wypadki nie zmienione, nie przekręcone, nie naciągane, nietknięte, następują w powieści jedne po drugich tym porządkiem i z tą naturą, jaką miały w rzeczywistości, jaką mają w historii. Jak przez wielki styl i charakter postaci, tak przez ten sposób wprowadzenia historycznych faktów, powieść ta i nowością jest i z zakresu powieści, jak ją dotąd znamy wychodzi. Jak przez jedno dorasta prawie eposu, tak przez drugie zbliża się do historii i nie tylko jej nie przeszkadza ani przedrzeźnia, ale ją swoim artystycznym sposobem odtwarza. A nie chodzi o tę dokładność oschłą i nudną, na którą się każdy pedant zdobyć może, ale o oto, by prawdziwego charakteru zdarzeń i epok nie zmienić, ani domysłem i fantazją, ani konwencyonalną niby poezją, ani wreszcie uprzedzeniem lub tendencją. Pod tym względem nie ma historycznej powieści, któraby stanowisko swoje zajmowała wyżej, a przestrzegała go sumiennie. Walter Scott, mistrz najpierwszy, a bodaj czy nie największy jeszcze w tym rodzaju, odgaduje szczęśliwie charakter epok, ale go fałszuje chcąc i mniemając upiękniać. Dumas, w Muszkieterach bardzo znakomity, bawi się historią tego czasu raczej niż ją pojmuje, zna i odtwarza jego kronikę plotkarską i skandaliczną raczej, niż jego stronę poważną, lubi może te dzieje, ale ich nie kocha i dzielić ich uczuć nie umie. I dla tego Gervinus, wielki nieprzyjaciel i prześladowca historycznej powieści, ma poniekąd słusność, kiedy mówi: że to „rodzaj najszkodliwszy ze wszystkich, rodzaj niby poetycznych łatanin, który zmysłu artystycznego nie kształci, niweczy zmysł i rozumienie historii, a o naturze ludzi i czasów daje pojęcie

krzywe, które nauka z trudnością potem zaledwo może sprostować.“

Ale gdyby Gervinus mógł być historję polską znać, a czytać *Ogniem i Mieczem*, tegoby nie był powiedział. To nie daje krzywych pojęć o naturze czasu i ludzi, tylko ją owszem szanuje sumiennie, odgaduje intuicyjnie, przedstawia prawdziwie. Dwie są zalety czy władze, dwa skrzydła, któremi się autor do tej wysokości wznosi. Jedno: to uczciwość, sprawiedliwość, szlachetna dbałość, żeby nie i nikogo nie skrzywdzić. Kogo on woli, po czyjej stronie on stoi, to wszystko jedno, tego domyślać się można, ale się tego nie widzi. I tak zdaje się, że nie osoba tylko, ale i polityka księcia Jeremiego jemu jest sympatyczną, a wydaje się dobrą; a czy można lepiej wyrozumieć i uczciwiej, szlachetniej określić myśl i zamiar jego przeciwników, Kisiela, Ossolińskiego, Jana Kazimierza? czy można mieć więcej dla nich współczucia, a więcej sądu o pomyłkach ulubionej może postaci? Po stronie Chmielnickiego on nie stoi; ale jak żadnego powodu jego uczynku, jak żadnego dobrego przymiotu w nim nie zatai? jak pokazuje z żalem, ale bez wahania wszystko, co w ówczesnej Polsce było złego? z jaką boleścią i z jakim wstydem to przyznaje, ale przyznaje. Ta sprawiedliwość, ta prawda, to jeden powód i pierwiastek wielkiego charakteru i wielkiego ducha jego powieści. A drugi jest jeszcze lepszy. Czyby Skrzetuski tak dumnie zwrócił dragonów w tył w Perejasławiu i tak dumnie z Chmielnikiem mówił, czyby Podbięta tak zgiął święcie, czyby książę Jeremi tak walczył z sobą u stóp ukrzyżowanego Chrystusa, czyby oni wszyscy tak się bili w Machnowce, Konstantynowie, Zbarażu, czyby tak czuli Piławiecki wstyd, i czy w ich sercach takby się odbijały wszystkie losy i przejścia ówczesne ojczyzny, gdyby on sam ich nie czuł, gdyby każdej z osobna jej piękności nie miłował, a za każdy wstyd się nie rumienił; gdyby nie bolał jej bólem przedwiecznym, jakżeby on był dzisiejszy? czy ta chwila stanowcza w jej dziejach byłaby tak straszną, ten bunt tak krwawym, ta obrona tak rozpaczliwie dzielną i tak niekiedy rozpaczliwie niedołączną, gdyby on także jak

Jan Kazmierz i Ossoliński, jak Wiśniowiecki i Kisiel, jak Skrzetuski i jego przyjaciele, nie drżał na widok, że w tej chwili pod Rzeczpospolitą ziemia się zatrzęsła a otchtań rozwarła? To dopiero jego siła, to źródło tej intuicji czasu i ludzi, którą bez przesady można śmiało nazwać genialną, i to powód, dla którego jego mordy i pożogi tak straszne, jego przegrane bitwy tak bolesne, jego obrazy tak żywe, jego ludzie tak poważni i smutni, jego boje tak wielkie.

Ukraina w ogniu, bunt nakreślony wielkimi rysami, załogi polskie bliskie rozpaczcy, u wiernych kozaków (garstki) popłoch, w Kudaku brak kul i prochu, a tym chaosem jeszcze niezupełnie kieruje, ale przemyślnie w nim drogi swej szuka genialna choć ciasna głowa, żelazna, choć sobie samej nie jasna woła Chmielnickiego. Zaczyna się ten szereg bitw, w których autor jest mistrzem. Sztuki tej dał próbkę w *Bartku Zwycięzcy*, tu tej zdolności używa... zawiele mówią niektórzy? Nie! jeżeli miały być tamte czasy, to musiało być krwi dużo, musiała być i zgroza; ale w tej zgrozie jest miara, ale te boje konieczne częste są, ale tak różne, że nie ma jednego obrazu, któryby drugi przypominał, a tak wykonane, że każdy mógłby żywcem, jak jest, wejść i w największą nawet epopeję. Tu w pierwszym tomie, to początki, dopiero, to drobne, prawie przypadkowe utarczki; ale kto nie wie, jakie będą boje pod Machnówką i w Zbarażu, ten myśli, że w tym rodzaju trudnoby co piękniejszego być mogło, jak ta bitwa na rzece, na czajkach, w której Skrzetuski ranny dostaje się do niewoli, albo ta, na którą już ranny patrzy pod Żółtymi Wodami. A po tych nowe, coraz świetniejsze i coraz smutniejsze. Pomylili się hetmani! rozdzielili siły, i kiedy część wojska łędem grzęznące, posuwała się ledwo powoli naprzód, druga niesiona wezbrany prądem dniewowym, wyprzedziła ją znacznie. Stary hetman srogo przyplacił błąd i zaufanie w złym człowieku położone. Niezrównany swoją zręcznością i polityką podstępny prostak jest Chmielnicki, kiedy układnie i słodko zdradza i do zdrady kusi; a ten talent szatański, ta przebiegłość i hypokryzja dzikiego, przejrzały, odgadły czarną duszę i złą

ządę Krzeczowskiego i w nią ziarna swoje rzucają. Postać historyczna Bohdana rysuje się z prawdą typową i indywidualną w tej scenie, a skutkiem tej zgody, na zdradzie opartej, jest przepyszna znowu walka i zguba najemnej niemieckiej piechoty. To nie rycerze, ale żołnierze tylko, więcej ćwiczenia i karności niż popędu, więcej obowiązku niż zapалу, ale jak się trzymają dzielnie, jak się biją i giną. A biją się nie jak Polacy: jak Niemcy, rozważnie, spokojnie, z wyrachowaniem, flegmatycznie prawie i pedantycznie, podług wszystkich reguł, jak ich nauczono, nie rzucają się jak lwy, stoją jak mur, i jak mur obalony padają odrazu pod linią jak stali. Ich walka, ich dowódca Flick, to mały epizod, ale jeden z bardzo heroicznych; musi być takim, kiedy pomimo wszystkiego, co po nim następuje, zapomnieć go nie można.

Ale od tych wszystkich szczegółów piękniejszy ogół, ten straszny, mściwy pochód dzikiego ludu i tego wodza, co idzie „jak lawina, niszcząc wszystko po drodze, kroki jego wyciskały krew, oddech wzniewał pożary.“ A jak się on boi swojego dzieła i własnej swojej sily, którą nie wie czy długo kierować potrafi, jak hardy i zuchwały umie się ugiąć i płaszczyć i dobrowolnie hańbić przed Tatarem! jak okupuje jego pomoc jasyrem z tego ruskiego ludu, którego niby broni! to talent i zręczność tych wschodnich ludzi, że nie tylko udawać, ale upokorzyć się umieją, byle do celu swojej zemsty albo żądzy dojść. Ale ten hardy buntownik, co przed sobą i lepszymi od siebie hetmana udaje, a przed bisurmanem jak niewolnik pokorny pochlebia i żebrze, w samym początku swego zawodu ma już początek swojej kary i przedsmak tego, na co skazał swój lud kozaczy. Dumnie szumi w stepowym wietrze i świeci w słońcu jego malinowa chorągiew z Archaniołem, rozgłośnie huczą w powietrzu jego instrumenta i śpiewacy, on sam idzie jak „legendowy smok“, i może naprawdę myśleć, że jest panem Ukrainy, marzyć o książęcej oblubienicy dla swego Tymoszka. Ale mu Tatar trzyma nogę na karku, i kark ten raz zgięty, już się nie podniesie: a po tatarskiej inna noga deptać będzie niewol-

nika. Przepyszne są obrazy bitw, ale nie wspanialszego, nie bardziej tragicznego, jak ten wielki Tytan buntu, który z Archaniołem na chorągwi, a ze złem w przymierzu, sam coraz bardziej własnością złego się staje, idzie w jego moc, czuje to, a wyrwać się już nie może, dręczy się i boi, sumienie i strach wódką zalewa, a gwarem zwycięstw głuszy; a im dalej, tem bardziej traci swoje usprawiedliwienie, swoją moc i swoją godność. Ze wszystkich figur powieści, żadna nie ma tak kolosalnych rozmiarów, i żadnej może autor nie wniknął tak w duszę, tak jej historycznie i psychologicznie nie odgadł, nie wydobyl tak na wierzch każdej żądz i każdej zgryzoty, nie rozrachował tak sumienia do samego dna. W epickiej powieści tragiczny to zbrodniarz, godzien zaiste choćby samego Szekspira.

I Szekspira także, wielkiego mistrza scen ludowych godne tło, na którym ten Chmielnicki stoi, sceny zbiorowe kozaków i czerni, a przedewszystkiem sąd i egzekucya młodego Barabasza i Tatarezuka. Przemowy Chmielnickiego do starszyny, jego podstępny słodki ton zdrajcy, te oratorskie formy, któremi on sejmowych mowców polskich naśladować się stara (bo dla niego i w tem nawet ten Lach, którego nienawidzi, jest wzorem wyższości, ideałem, któremu zrównać nie można, ale na który zapatrywać się trzeba), obrona i prośba Tatarezuka, wreszcie wściekle wrzaski pijanych tłumów i krwawe okrucieństwo, z jakim skazanych szarpią na sztuki jak zwierzęta; passya krwi, z jaką towarzystwo prosi o Lacha, żeby z nim jak z tamtymi poigrać, a jeżeli go nie dostanie, to go samo weźmie; i wreszcie posłuszne, choć nie bez żalu ucieszenie się tych gróźb, tych bałwanów wzburzonego morza, na pierwsze obelżywe słowo Tatara, ten niewolniczy posłuch bez oporu, choć nie bez żalu, i ten żal, który ze słów podawanych z ust do ust powtarza się jak echo coraz dalej i dalej, aż jak stal się wierszem, śpiewem, i jak wiatrym ze stepu odniesiony, wraca jako dumka:

„hej, hej, Tuhaj-Bej
rozserdywsia duże“

to scena koliszczyzny, jakiej się jeszcze nigdy nie widziało, ze wszystkimi cechami zgrozy, okrucieństwa, bezmyślności właściwej rzeziom, i z cechą tęsknoty i poetycznego usposobienia, właściwą ukraińskiemu ludowi.

I wreszcie szczyt całej tej części powieści, sens moralny wyciśnięty z historii, rozsądzenie sprawy. Chmielnicki nie wydał Skrzetuskiego czerni, nie dał go rozszarpać, wykupił go sam od Tuhaj-Beja na to, by go udarować wolnością. Pamięta on, że temu rycerzowi winien życie i che się odwdzięczyć. W chacie Koszowego, przy świadkach uspio-nych, stają naprzeciw siebie dwie sprawy, dwa ludy, i wytaczają wzajemne oskarżenia, jakżeby odbywał się sąd nad tym historycznym procesem. Po jednej stronie człowiek rzeczywisty, historyczny, wezwanie wszystkich uczuć swego narodu i jego wrodzonych zdolności, do najwyższej siły podniesionych; po drugiej fikcyjny, wymyślony, ale tak wymyślony, że jest wezwanem także duszy swego narodu; przez jednego mówi namiętność, sprawiedliwość przez drugiego. A tak są oba wiecy, tak te krzywdy wzajemne odzywają się w ich słowach potężnie, że jeden i drugi za cały swój lud mówi. W Irydyonie jest taka scena historycznego procesu „między potęgą niewzruszonego rozumu“, a dobrą sprawą, między Rzymem a krzywdami i nieszczęściami całego świata, i nigdy Irydyon nie jest większy, jak kiedy Ulpianowi wróży, że „rodu bez czei i ducha nie przyuczy do sił straconych i nie roześle po wieńce laurowe.“ W tej sprawie, która nas bliżej obchodzi, w sprawie między Polską a Rusią, jeden rzuca na szalę wszystkie uciski, na które się lud ten skarżył przez wieki; drugi na swoją wszystkie polskie na Rusi zasługi. „Gdzieżbym znalazł pomoeników, gdzie owe tysiące, które się za mną opowiedziały i opowiedzą, gdybym jeno własnych ucisków chciał dochodzić“ — i wypomina „zdzierstwa arendy i pojemszczyzny“, twierdząc, że „te uciski o pomstę do nieba wołają“. A drugi odpowiada: „Złych nie bronię, krzywd nie pochwalam. Ale ty powiedz, czemu tyraniją paniał i szlachty widzisz, a tego nie widzisz, że gdyby nie ich piersi, nie ich pancerce, nie

ich moc, tedyby ta ziemia pod jarzmem tureckiem jęczała. Czemu nie pytasz, „kto Tatarów w granice Rzeczypospolitej puszczał, kto lud chrześcijański własny w jassyr oddawał, kto wojny domowe rozpałał, z dymem puszczał wsie i miasta?“ A przywileje wasze zdarli nie polscy królewicęta, ale „bunty wasze, niespokojności wasze i napady, nakształt tatarskich czynione“. W historii dziś, jak w praktyce niegdyś, toczy się zawsze ta sprawa polskich na Rusi krzywd i ucisków, a my sami, nasi historycy, z pokornem sercem do skruchy skłonni, oskarżamy się nieraz nad miarę win naszych. Skrzetuski tę miarę znajduje. Nie — nie było ucisku poddanych większego, był mniejszy, niż współcześnie w oświeconych krajach Europy, a to upośledzenie różnowierców jakie było — na nieszczęście — prześladowaniem nie było i z żadnem w Europie religijnem prześladowaniem w porównanie iść nie może. Nie — nie było tyle win, jak one mówią, jak my sami myślimy; było tam, jak wszędzie w naszych dziejach (na naszą szkodę może) grzechów opuszczenia więcej, aniżeli uczynkowych, a z ich strony było win więcej niż oni przyznają, niż my pamiętamy. A zasług było tyle, ile ich Skrzetuski słusznie wylicza. On prawdę mówi i w sądzie tym szala na jego, na polską przeważa się stronę. On stoi tu jak głos sumienia i prawdy, jak wielona Polska sama, któraby swojej sprawy i sławy bronila. Przeczą mu ze wszech stron i przeczyć będą, bo kłamstwo ma w podłości swojej siłę i tarczę, za którą żadnych pocisków prawdy nie czuje. Będą Chmielnickiemu stawiać posągi w Kijowie i obrazy jego w domach swoich chować, ale na to żadne kłamstwo nie poradzi, że Ruś zrzuciwszy ze swego karku tę głowę polską, której nosić nie chciała, musiała bez swojej wiedzy i woli znieść to, że nałożono jej głowę inną, która myśli, czuje i chce gorzej, niż tamta, do kadłuba gorzej przystaje, a uważa go nie za swoje prawdziwe ciało, w którym krąży jej krew i myśl jej żyje, ale za swoje narzędzie i sługę. „On ci odtąd panować będzie — jemu strzeżenie podawać musisz.“ I kto wie, czy nie zaczyna się czas spełnienia tej przepowiedni, czy za Chmielnickiego nie przy-

chodzi kara, niewola i prześladowanie i zamierzona zagłada Rusi, jakiej za polskiego panowania nie bywało czy nie sprawdzą się słowa:

„Przyjdzie godzina, że ich dzieci dzieci
nad plonem tego czasu wzniosą lament“,

a może potem i ten czas nadejdzie, że Ruś pamięć Chmielnickiego przeklnie, a wtedy proces się skończy.

Ta scena, to jest sama essencya, nauka moralna książki, a zarazem piękność jedna z najszczytniejszych. Nie większego, nie bardziej bohaterskiego jak Skrzetuski, kiedy wypowiedziawszy wszystko, odsłania pierś i z zimną krwią mówi *zabij!* nie tragiczniejszego, jak Chmielnicki, kiedy nóż upuszcza i zabić nie może. Jak Pankracy Krasińskiego w ostatniej scenie *Nieboskiej Komedyi* woła w przerażeniu: „co mówisz o Bogu, tu ślizko od krwi ludzkiej“, tak ten napół nieprzytomny od zgryzoty i od wódki pyta: „co ty mnie o sądzie mówisz“ i przez sen jeszcze powtarza: „jaki sąd.“

To sąd boży, który się nad nim rozpoczął. Sąd potomności i historyi, sąd własnego sumienia, które do niego głosem tego rycerza mówiło; sąd, którego głośniejszego wyroku przed końcem powieści czytelnik się spodziewa.

A Skrzetuski „zesłał bardzo, więc pomyślał, że to może śmierć nadlatuje i zaczął się modlić głośno“.

Pomiędzy temi słowami, które w historyi lub w poezyi „duch dawnej Polski potomności chowa,“ do bardzo wysokich, do najjędrniejszych i najzdrowszych należą słowa tego rycerza.

Po tej rozmowie, przez którą on dopiero nabiera swojego wielkiego bohaterskiego i polskiego charakteru i znaczenia, zbliża się tom do końca wśród ciągłych i coraz nowych piękności. Jedną z wyborowych jest ta scena, kiedy na Korsuńskim rynku ramny Skrzetuski widzi pierzchających Kozaków i Tataków, kiedy pewien zwycięstwa, Bogu dziękuje, a zwyciężonym obiecuje łaskę, i kiedy potem widzenie się zmienia, czerń i Kozacy wracają z okrzykami tryumfu, pośród nich Chmielnicki „ubrany w ezerwień, wspierając się pod bok pozłocistą

buławą,“ a na wozach jeńcy. Jak jemu wtedy, tak dziś jeszcze wyrывa się z serca krzyk rozpacz i wstydu „Jezus Marya, to hetmani!“ Jak jego wtedy, tak dziś pali i boli ta rana i ta plama, ten fakt, który się zaprzecić i odstąpić nie może, że Rzeczpospolita „leżała w krwi i prochu u nóg Kozaka.“

Fantazya artysty, uczucie jego bohatera i jego samego, podobały temu zadaniu, żeby tę chwilę nieszczęścia oddać godnie, boleć nad nią jak należy; zakończenie pierwszego tomu podnosi rzecz do wysokości, jakiej w początku nie śmiało się żądać ani spodziewać. Potem jeszcze straszliwy, ale w tej powieści konieczny, a krótki i w mierze utrzymany obraz Jassyrus; a potem Skrzetuski wolny pędzi do Heleny, dowiedzieć się, ratować. Zastaje Rozłogi spalone, dwór z ziemią zrównany, i wpada w to osłupienie boleści, z którego go wyrwać nie może widok ani słowa towarzyszy, na które pomogły dopiero trzykrotnie powtórzone słowa pacierza: „*Fiat voluntas Tua*“.

II

Historyczny i epicki pierwiastek powieści nie przeszkadza innym, choć nad nimi słusznie góruje: romans się przypomina, wraca, sprowadza sytuacje i przygody niezmiernie zajmujące, a tak zręcznie ze sobą powiązane, że po wszystkim innym podziwiać jeszcze trzeba sztukę wymyślenia ułożenia romansowej fabuły. Uwagi lub zarzuty, jakie pod tym względem po dokładnej rozwadze zrobićby można, znajdują się poniżej, ale odnoszą się raczej do rozwiązania, niż do prowadzenia powieści, i czuć się też dają na samym końcu dopiero, a nie w ciągu czytania, w którym owszem zajęcie ciągle rośnie. I tak, po tem nieszczęściu nieznanem, które na Skrzetuskiego spadło jak grom, przychodzi jego wytłumaczenie i powód zarazem całego pasma przygód nowych, a po sprawach Rzeczypospolitej inne, bardzo szczęśliwie wymyślone.

Co się stało w Rozłogach? Czytelnik może i niezupełnie zważał na to, że kiedy Skrzetuski jechał pod Kudak, posłał pacholka swego Rzędziana z listem do starej Kniahini i do Heleny, z radą i prośbą, żeby czempredziej w Łubniach bezpieczeństwa szukały. Tego pacholka zatrzymali kozacy, przetrzęśli, te listy wpadły w ręce Bohuna. W pierwszej wściekłości rzucił się na pacholka i powalił obuchem, a sam rusza w pochód — na wesele, jak mówi.

Z nim Zagłoba, który mu wiernie dotrzymywał kompanii w Czehrynie i z jego szczodrobliwości hojnie się miodem racyzył, a teraz, opatrzywszy żywego jeszcze pacholka, jedzie z Bohunem: pocieszać w rozpacy, czy mitygować w szalonej wściekłości.

Co za jazda! Zagłoba widzi, że będzie coś złego. Widzi, że przeszkodzić powinien; miarkuje, że nie zdoła, ale mściwego desperata samego nie puści. Kozak ponury jak noc, straszny, między dwoma paroksyzmami furji i zemsty, żałośnie wspomina swoją miłość źle odpłaconą, swoje służby wierne, swoje szczęście stracone, a tak zawodzi rzewnie, tyle w jego sercu czułości i tęsknoty, że zda się, jakby w tem sercu na żadne złe uczucie miejsca nie było. „Żeby mnie tę dziewczkę dali, jaby był wasz lacki brat, wasz druh, wasza szabla, dusza wasza zahłataja, wasz pies. I wziąłby swoich semenów, innych z Ukrainy skrzyknął, taj na Chmiela i na rodzonych braci zaporozkich ruszył i kopytami rozniósł. „A chciałby za to nagrody? — nie!“ itd. Ale Rozłogi blisko, i blisko zemsta Bohuna. Ten Rusin jakżeby znał maksymę *la vengeance est un plat qui vent être mangé froid*, układa się chytrze, udaje, że o mieczem nie wie, że się nie stało, że nie dostrzega pomięszania, z jakim go Kurewiewie przyjmują. Zagłoba, przyjaciel, przyjmie go do swego herbu, pan hetman pomoże, sejm da nobilitacyę, on kozak będzie wtedy kniaziom równy, i niby nie wiedząc że już Helenę innemu przyrzekli, korzystając z tego, że mu prawdy wyznać nie śmia, doprowadza ich do przyrzeczenia nowego. I wtedy straszna scena, kiedy rzuciwszy im w oczy zdradę, wystrzałem jednego z kniazów powalił: na strzał wpadają kozacy z krzy-

kiem, z drugiej strony staje ślepy Wasyl i ciągnie swoje jednostajne „gorze wam, gorze mnie“ — nad wszystkim góruje krzyk starej Kniagini rwącej się do synów, trzymanej przez kozaków, uduszonej wreszcie, a w walce Bohun zabija drugiego Kurcewicza, ale sam ranny omdlewa.

Wśród tej zgrozy z ciemnego jakiegoś kąta wysuwa się Zagłoba. On jeden na placu wśród trupów i rannych: jego, kiedy Watażka leży nieprzytomny, słuchają kozacy, i on teraz objawia się w nowym charakterze. Co w nim lepszego, to się wzdrygnęło na tyle zgrozy, a co jeszcze ratować można, to ratować chce — Helenę z rąk Bohuna. Jego przemyślny spryt, jego przebiegłość da radę wszystkiemu. Kozaków spoić, spoić i chłopów, konie opatrzeć i mieć w pogotowiu, dziewczynę przebrać w męskie suknie i wywieźć, to jego myśl. Ale Bohun? jak się ustrzedz jego oka zwłaszcza jego pogoni? Nieporównany jest monolog Zagłoby przy łóżku nieprzytomnego Bohuna, zakończony zaklęciem: „jeżeli ty tę dziewczkę dostaniesz, to niech mój dowcip psi zjedzą.“ Ale Zagłoba jest artystą i ten dowcip nie cieszyłby go, gdyby go nikt nie widział i nie słyszał; jest i kawalerem i nad nieprzytomnym, nieświadomym, łatwego tryumfu nie chce. On przed odjazdem do przytomnego a bezwładnego przychodzi, przekonawszy się, że i krzyknąć głośno nie może, oznajmuje co robi, wiąże mu ręce własnym pasem, urąga swoim dowcipem, głowę okręca żupanem, żeby przypadkiem krzyku kto nie dosłyszał, i dopiero odechodzi z czulem pożegnaniem *vale et me amantem redama.*

Cały ten rozdział jest niesłychanej piękności i doskonałości. Jedno w nim do wytknięcia. Że w tej ucieczce ślepego, obłąkanego Wasyla Zagłoba brać ze sobą nie mógł, to jasna. Ale że Helena ani o nim nie pomyślała, że tak opuściła nieszczęśliwego, nad którym przecież miała opiekę, że go zostawiła w sieroctwie i w niebezpieczeństwie, i ani zapylała, co się z nim stanie? Uratować go, zabierać go, ani z nim zostawać nie mogła, ale pamiętać, ale choć o nim pomyśleć, ale prosić za nim była powinna. Że tego nie zrobiła, toby się Skrzetuskiemu zapewne nie podobało.

Te wszystkie postacie Kurcewiczów nakreślone są tak silnie i wyraziście, a znikają tak prędko, że jest pewien brak proporcji między sposobem ich przedstawienia, a rolą podrzędną, jaką w powieści grają. Niektórzy chcą wiedzieć, że one pochodzą z innego pomysłu autora, że były przeznaczone do jakiejś powieści, w której miały być głównymi a nie epizodycznymi. Tamta powieść się nie napisała, Kurcewicz weszli do innej. Czy tak jest w istocie, nie wiemy; ale to w każdym razie jest niewątpliwe, że autor ma prawo robić eo mu się podoba z figurami, które się rodzą w jego myśli, i dopóki jeszcze do jednej wykonanej, napisanej całości nie należą, umieścić je w jakiejś innej. To także pewna, że epizod Rozłogów jest wielką ozdobą tej powieści; o to jedynie spieraćby się można, czy nie byłoby lepiej, gdyby on był czemś więcej jak epizodem, gdyby te postacie występowały i działały do końca. Naszem zdaniem, skoro w powieści treść historyczna miała przeważać nad prywatną i domową, to one zniknąć musiały, bo w dalszym ciągu powieści dla nich miejsca i roli nie było. A jednak swoją drogą żal, że znikły tak prędko, tak były oryginalne i energicznie kreślone. Żal zwłaszcza, a może i szkoda, że „Wasyła z dworem spalili chłopci“. Ten Wasyl ze swoim tonem mistycznym i proroczym zdawał się przeznaczonym na to, by kiedyś w zakończeniu kozakom prawdę powiedział, a przyszłość przepowiedział. Tego się czytelnik domyśla, jak jego racyi bytu; a choć później uznaje, że w tym układzie wypadków inaczej być musiało, choć racyę bytu Wasyła dostateczną widzi w efekcie, jaki on robi wśród swojej rodziny, trudno mu przecież zgodzić się z myślą, że tej dziwnej figury więcej nie zobaczy.

Mówią niektórzy, że ucieczka Zagłoby z Heleną trwa zadługo. Mogłoby się tak wydawać temu, kto codziennie potrochu w dzienniku powieść czytając, niecierpliwym był dowiedzieć się, co przez ten czas dzieje się z innymi i gdzieindziej. Ale kto epizod ten przeczyta jednym ciągiem w książce, ten się przekona, że długości w nim niema, a piękności wiele. Nie mówiąc już o nieocenionej figurze Zagłoby, której

nigdy nie można dosyć się napatrzeć i nasłuchać, a który sypie koncepta jak z rogu obfitości, z każdego niebezpieczeństwa sprytem swoim się wywinie, a zniewala tem dobrem sercem, które się coraz wyraźniej poznać daje, każda mniejsza czy większa przygoda, każdy spotkany chłop czy kozak, każdy wieczór lub ranek na stepie lub w lesie, jest albo doskonałym, albo ślicznym poetycznym obrazkiem. Koniec zaś tego epizodu, kiedy Zagłoba nie mając rady ni drogi przed sobą, postanawia rzucić się w sam wir buntu jak w morze, przepławić na prawy brzeg Dniepru; kiedy z promu poznaje na brzegu pogoń Bohunowych kozaków, a dobiwszy do ładu tłómaczy chłopom, że to kozacy Jaremy i prom rabać każe — kiedy wierni swemu watażce mołojcy rzucają się wplaw w rzekę za panną, a zmyleni przez Zagłobę chlopi wybijają płynących do nogi, to chwila niebezpieczeństwa bardzo szczęśliwie wymyślona, utrzymana i przeżyta.

Czy książę Jeremi Wiśniowiecki był takim naprawdę, jak jest tu w powieści, czy też tylko z pierwiastków jego charakteru utworzone idealne podobieństwo? w każdym razie pierwiastki są tesame, a w postaci taka „lwia śmiałość i senatorska wspaniałość,“ tak jest jednym z tych panów „u których w sercu enót na króla stanie,“ że dzielniejszego i bardziej poetycznego dawnego magnata niema w naszej literaturze. Czemu w tych czasach zawichrzonych i bolesnych jego autor wybrał sobie na bohatera? co go ciągnęło do człowieka, którego wielka wziętość (bez jego winy) wyszła nam tak na złe, kiedy nam jego syna na króla wyniosła? Stronnicstwa ówczesne, ówczesne dwie polityki do dziś dnia jeszcze dzielić ludzi nie przestały, i jesteśmy jedni stronnikami Jana Kazimierza, drudzy Wiśniowieckiego, a czasem nawet Lubomirskiego. Szujski naprzykład ze współzuciem największem wśród ludzi ówczesnych widział Ossolińskiego, jako myślącego najgłębiej, pojętego najmniej, sądzonego najniesłuszniej, prześladowanego i dręczzonego najokrutniej. Inni do dziś dnia wyrzekają na kanclerza, któremu się nie udało, a który charakterem, zdolnością i pomyłkami swojemi był może na dwa wieki przed nim do Margrabi Wielopolskiego trochę podo-

bny. Czem książę Jeremi trafił do serca Sienkiewiczowi? tem, co się zawsze i słusznie podziwiać i szanować każe i co zawsze zrozumianem być może i musi, tem, co mu zjednało miłość współczesnych, wojenną dzielnością i tem, że upokorzenia Ojczyzny znieść nie chciał; wołał raczej, żeby zginęła, niż żeby pod kaudyńskie jarzmo przejść miała. Ci najświetniejsi zawsze i najszcześliwsi, co taką politykę prowadzą. Takim jest gorzej, co cześć i sławę Ojczyzny czują niemniej żywo, a na przyćmienie jej blasku, na upokorzenie godzić się muszą, żeby zapas siły, żeby wyczerpany pierwiastek życia ratować: bo i sami znoszą męki, o jakich się tamtym nie śniło, i przed współczesnym, przed potomnym nawet światem stają nie w jasnym świetle chwały, ale w ciężkim cieniu posądzeń i oskarżeń, które na ostatnim sądzie chyba przemieniają się w jasność chwalebna przebytego, wytrzymanego, męczeństwa. Ale jeżeli łatwo zrozumiała jest sympatya do człowieka, który się bił jak lew, a upokorzenia znieść nie umiał, który swoją energią i zdolnością bronił sprawy najdzielniej; jeżeli naturalnem jest pytanie, czy on nie byłby i poprowadził jej lepiej, gdyby ster jej miał był w rękę, a ztąd żal, że go nie miał, uczucie, że może on doznał krzywdy, a Ojczyzna szkody, kiedy buławy nie dostał; i jeżeli w tem świetle widziany książę Jeremi nabiera całego uroku bohatera, zdolnego być zbawcą a skrzywdzonego i dobrowolnie zmarnowanego, to znowu cała ta sympatya i ten urok nie zaślepiają autora, nie uwodzą jego sądu i jego sprawiedliwości, i bohater ulubiony, ulubiony za to właśnie, że na sprawę patrzył jak wojownik, nie ma przyznanej sobie zupełnej słuszności. Miał i on swoje rogi dumy i niemi bódł, a patrząc jak wojownik, nie widział wielu rzeczy, które musiał mieć na oku polityk, kanclerz i król.

Jako figura w powieści, książę jest przepyszny. Jest dumny i butny, ale ma z czego być, on, co na dzikiem Zадnieprzu zakłada osady i miasta, jest przednią strażą kultury i oświaty i przednią strażą także Rzeczypospolitej; kiedy swoim imieniem i ramieniem, głową i piersią, groszem i wojskiem, trzyma w respekcie niesforne żywioły; a gdy

wszystko w rozbiciu i w rozsypce, zasłania, wstrzymuje, od-piera, jeden za wszystkich radzi i walczy. Co za wódz przy-tem. Każde jego słowo, każdy ruch taki, jak mają ludzie stworzeni do rozkazywania. Srogi z nieprzyjacielem nie z twardego serca — z konieczności, z przekonania — w pod-władnych budzi miłość i fanatyzm z napoleońskim jakimś talentem. Tak przytem szlachetny, że ze sobą samym szczery nie da sumienia i obowiązku zwyciężyć najpotężniejszym uł-łdom, nawet ułłdom obowiązku. A honor Rzeczypospolitej czuje i nosi tak wysoko, jak żeby nosił koronę i za ten honor głó-wną odpowiedzialność; jak żeby dźwigał na barkach sam ma-jestat Rzeczypospolitej i miał zniewagę jej odeprzeć, tak przy-jmuje poselstwo i list od Chmielnickiego, „od łotra, hultaja i rozbójnika — nie od atamana“ — a ta jego godność, ten rozum i dzielność, jakie biją ze słów jego przemowy na radzie wojennej z pułkownikami, wybijają na nim piętno, dają mu namaszczenie pierwszego i wielkiego. Ale bezwzględny jest: jak zwykle ci, co dobrem sercem powodować się niezawsze mają prawo. Pięć głów kozackich na żerdziach płotu, ata-man Sucha-Ruka na palu, oto koło czego przeciągają ksią-żęce chorągwie. A niech nikt nie mówi, że autor cierpień kozackich nie widzi albo nie czuje. Ten konający w bla-skach słońca kozak, w sinym żupanie, nie w purpurze, „taką miał siłę w spojrzeniu i taką powagę“, że wszyscy zrozu-mieli co chciał mówić, a dziś jeszcze dreszcz przejmuje na jego przekleństwo: „bodajeście konali ciągle i ni umrzeć, ni żyć nie mogli.“

Książę nie spozrzał, ksiądz przeżegnał zdaleka, wojsko w mileczeniu odwracało głowy: młode pacholę litością zdjęte, wystrzałem z pistoletu zakończyło mękę kozaka. A książę, który nagradza ten akt litości, kiedy sam spełnić go nie mógł, bo musiał dać przykład surowości, dopełnia się takim rysem, po którym rozumie się, dlaczego oni wszyscy poszliby za nim choć w ogień.

I teraz jego marsz, do Łubniów naprzód, żonę poże-gnać i wyprawić, potem przez bagna i moczary, przez lasy podpalone, na wojnę, stanąć Chmielnickiemu na drodze, jak

tama przed zalewem Rzeczypospolitej. Powieść zda się być rozwinięciem tej współczesnej pieśni, która woła:

Hej w tak szerokiej i pięknej koronie
Wzdy się dziś który obudź Scypionie!
Znajdziesz sto młodzi, co na imię twoje
Przysięże zaraz i pójdzie w te boje,

a potem na wieść, że Wiśniowiecki „jak Pollux drugi“

z Zadnieprza idzie i rozwija znaki,

wzywa

do niego!
jako dziś wodza wszystkiej Polski sławy,
co (zdarzy niebo) chłopstwo to ukróci
i dawne imię Ojczyźnie swjej wróci.“

Zaczyna się szereg bitew, szereg nie jednostajny bynajmniej, bo przerywany epizodami takimi, jak polityczne Chmielnickiego obawy i wyrachowania, jak śmierć Władysława IV i nadzieja Elekcyi w myśl księcia; jak jego polityka znowu i oburzenie wspaniałe (czy słuszne?) na tych, co z buntem chcą się układać; nie jednostajne, bo każda z tych bitew inna, a co jedna to chyba piękniejsza. Dwie przed innemi, pod Machnowką i pod Konstantynowem. Jedna to bitwa regularna całemi massami pułków, tak opisana, jak żeby strategik jaki zdawał sprawę z jej planu i przebiegu; tak odmalowana, jak żeby wielki epik opiewał bój w bohaterskim poemacie z homeryczną płaskorzeźbą plastycznością. „Jak na łące, gdy stanie szereg kosiarzy, bujna trawa znika przed nimi, a oni idąc naprzód machają kosami, tak właśnie pod cięciami mieczów szeroka lawica czerni zwięzła się, topniała, nikła, a parta piersiami końskimi, „nie mogąc ustać na miejscu, zaczęła się chwiać.“ To jedno z niezliczonych porównań, któremi sobie autor w swoich opisach bitew pomaga. Wśród tego nie jak Homerowski heros, ale jak fantastyczny jaki poganin Ariosta, walczy dziki Bardabut i szerzy śmierć; jego pojedynek ze starym otyłym

wojewodą kijowskim (Tyszkiewiczem), jest jedną ze świętych chwil tego boju. Wreszcie już pułki polskie zmęczone, Krzywonos może je złamać; wtedy książę daje rozkaz swojej hussaryi i środkiem lekkich chorągwi jak ulicą pędzi Skrzetuski ze swoimi, druzgocąc co się zdarzy na drodze. Wszystko ucieka, albo ginie, albo wrzeszczy o pardon, — jeden się trzyma Bardabut. Jednego po drugim wali do swoich nóg, aż wreszcie dostrzegł, poznał dowódcę i na niego runął jak wściekły. Walczą na szable — Skrzetuski kosačką odbił i wytracił. Od noża szablą bronić się nie może, a sam takiej broni nie nosi — więc już ma zginąć, kiedy siłą ręki nóż odwrócił, za kark łeb nagiał aż do kulbaki i buzdyanem w łeb ten wyciał, a watażka zwałił się na ziemię.

To jedno zwycięstwo księcia, jedna bitwa znakomita, jak owa, która w Bartku Zwycięzcy pierwsza dała poznać ten rodzaj talentu w Sienkiewiczu. Druga jest pod Konstantynowem.

Ale przed nią jeszcze Skrzetuski na podjazd wysłany, zeszedł gromadę obozujących, odpoczywających chłopów rzezunów; wśród nich był dziad z lirą i śpiewał im pieśni... Zagłoba! Zagłoba, który Helenę szczęśliwie do Baru odstawił, w twierdzy bezpiecznie umieścił i do księcia się przebiegał. Rycerz rozradowany, w szczęściu swoim nie może bliźnim zadawać cierpienia i tych chłopów wolno puszcza; i wraca do księcia z Zagłobą, który już dzięki Bogu ze sceny nie zejdzie i do końca będzie jej ozdobą. I tak zaraz ozdobą tej bitwy. Przed nią jeszcze jego opowiadania, jego przycinki, jego drwiny z pana Podbipięty, rzucają skarby wesołości i humoru w te czarne rozpaczliwe sprawy i sceny, ale w całym blasku dopiero zajaśniał Zagłoba w krwawej przeprawie.

Krzywonos zdobył, spalił Polonne, ludność w pień wyciał; należy mu się kara i zemsta. Na posuwającego się czeka książę pod Konstantynowem, za stawem, zostawiając mu przejście przez groblę i duży kawał wolnego placu po swojej już stronie grobli. O wschodzie słońca czernieją pułki kozackie, zbliżają się; Zagłobie jakoś nieprzyjemnie. Ma wstręt do tłumu i gorąca nie lubi. Oddech ma krótki. Odwaga tak go unosi, że o rozkazy nie pyta i niechęący może je krzy-

zować. „Czy to już koniecznie bitwa się zacznie? Jezu Chryste, pocóżeś stworzył tyle tego talalajstwa.“ A tymczasem kozaetwo coraz bliżej, wojsko książęce śpiewa: „witajcie podwoje zbawienia“ — i zaczyna się bitwa. Od wyzywań na słowa naprzód, od obelżywych drwin, jak w Homerze nieraz, od harców potem, w których po raz pierwszy poznać się daje czem jest pan Michał Wołodyjowski. Aż dotąd można było sądzić, że on taki, jak każdy inny z książęcych oficerów, Kuszel, Wierszul czy Bychowiec; więcej od nich koehliwy, ale nie więcej znaczący. Do czwórki rycerzy przyjaciół teraz dopiero pokazuje się, że należy i wart należeć. Nie tak poważny jak Skrzetuski, nie tak zabawny jak Zagłoba, nie tak oryginalny, ani tak naiwnie heroiczny, jak Longinus; mały, giętki jak żmija, gracz pierwszej siły w pałasze, czulego serca a wesołego humoru, poczciwy i szlachetnego serca, wielkiego prócz odwagi nie ma nie w swoim charakterze; ale dobrego i milego wiele, a przez tę naturę, swój wdzięk odmienny znowu, osobnego rodzaju, ale niezaprzeżony i niezwykle.

Bije on się nie jak lew, raczej jak zwinny ryś lub pantera; ale nie on jest bohaterem dnia tego, choć kozaka żywego porwał z siodła i uniósł do swoich, jak wilk kozę. Prześcignął go Podbipięta. Ten się ze straszonym Półjanem potyka, który gdy szablą pokonać go nie mógł, myślał, że siłą go zmoże, i w pól uchwycił, „że się jak dwa niedźwiedzie zezepili, jak dwie sosny z jednego pnia wyrosłe z sobą skęcili.“ Ale nie wiedział z kim ma do czynienia, i zginął uduszony w uścisku cichego słodkiego Litwina. Krzywonos zawrzał zemstą i wstydem, i jak szalony pchał, pędził jedne po drugich pulki na wąską groblę, jakby je umyślnie chciał gubić; wszystkie, które przeszły, ginęły otoczone przez wojsko książęce; te, co nie przeszły, ginęły od armat, dusiły się same w natłoku, topiły się w stawie szukając ratunku, aż wody wystąpiły z brzegów. Ta bitwa, bodaj czy od pierwszej nie więcej jeszcze plastyczna, ma prócz tego wielką jeżeli nie pomoc, to ozdobę z Zagłoby. Zagłoba stoi między hussaryą, przy Skrzetuskim. Gdy chorągiew poszła i on iść

musiał, bo inaczej tylne szeregi byłyby go stratowały. „Nie sztuka iść naprzód,“ mówił jakiś żołnierz z 30go roku, „kiedy gniady naprzód, dwa kasztany z boków, a deresze pehaja z tyłu.“ Idzie więc i on naprzód; wymyśla, klnie, modli się, boi się, wkońcu z desperacyi zaczyna się bić; a gdy kozacy przed hussaryą pierzchnęli, uraga dumnie złodziejom, co szlachcie kroku dotrzymać nie mogą, i za drugimi ściga uciekających. I w tej pogoni okrywa się nieśmiertelną chwałą, zdobywa chorągiew! Trochę to może dziwnie, że Zagłoba porwany zapalem czy zdjęty strachem, nawet tego nie widzi, że kozak w ucieczce rzuca chorągiew, która przypadkiem opiera się o jego konia i jego samego zakrywa, że się sądzi wziętym do niewoli, że nie wie co się z nim stało; ale jak za to, pomiarkowawszy się, korzysta ze wszystkiego, jak się tą chorągwią popisuje, jak o niej opowiada, z jaką skromnością i dobrym smakiem przyjmuje pochwały i powinszowania, jak wkońcu sam wierzy, że ją zdobył! Niektórzy mówią, że ta sprawa chorągwi przypomina zabitego Hotspura, którego śmiercią chwali się Falstaff, a zwycięzca prawdziwy, książę Walii, wspaniałomyślnie nie zaprzecza mu tej chwały (Henryk IV. Cz. I. Akt. V. Scena IV). Ale sytuacja jest inna. Kłamstwo Zagłoby niewinniejsze, on się umyślnie cudzą chwałą nie odziewa, kłamie mniej i uczciwiej: a prócz tego nie wiedząc, możnaby ręczyć, że autor o tej scenie Szekspira nie pamiętał i w niej pomysłu swego nie szkukał.

Nazajutrz po bitwie książę Jeremi zamiast ścigać pobitego Krzywonosą, cofa się w tył. Co zaszło? Rzecz dla niego najstraszniejsza. Oddawna już układowa pokojowa polityka brała górę w Warszawie; już książę Dominik Zasławski, jeden z regimentarzy (naczelnych wodzów w braku hetmanów), stawał mu na przeszkodzie i wojskom swoim rozkazów jego słuchać nie pozwalał. Regimentarze każą nie bić się, ale wszystkim wojskom ścigać się pod Tarnopol i Zbaraż, a przy nich komenda! Co robić? czy słuchać? kiedy źle każą, źle widzą, źle robią? kiedy zbawienie i dobre imię w śmiałej obronie i śmiałym natarciu, a w kunktowaniu i układach utrata i powagi, i cześć, i siły! Co robić? czy

ustąpić, poddać się, pozwolić na zgubę Rzeczypospolitej? czy z tem wojskiem, z tą szlachtą, która się ze wszech stron garnie, na własną rękę i odpowiedzialność, zrobić to, co się dobrem i zbawczem czuje i rozumie.

Ta tragiczna kollizya ks. Jeremiego, to przekonanie, że nieposłuszeństwo jego może Ojczyznę zbawić, to rozdarcie sumienia między głosami dwóch obowiązków, to jest chwila tragiczna w powieści, jak żadna, i może jak żadna inna wielka. Nie krzywda, nie uraza, nie doznana niesprawiedliwość tylko, choć ją dumne serce czuje, ale zbawienie Ojczyzny każe mu nie słuchać i waleczyć, bo wie, że zwyciężyć może. A więc czy nie powinien? Zaczyna się to pasowanie się człowieka z własnem sumieniem, ta niepewność straszna, to pytanie, co dobre i gdzie prosta droga, na które odpowiedzi szuka się w sobie samym, domaga się od Boga; zaczyna się ta noc strasznej walki, ta rozmowa duszy wielkiej z ukrzyżowanym Chrystusem, który na wszelkie rozpaczliwe pytania i prośby nie odpowiada, i „mileży tak boleśnie, jakby go dopiero przed chwilą na krzyżu rozpięto.“ Scena tragiczna godna Szekspira samego, ale godna i Skargi. On sam nie dałby lepszej nauki; a na wszystkie, jakie nas w przyszłości opadać mogą pokusy miłości własnej, choćby złudzonej pozorami obowiązku, lekarstwem i odparciem może być przykład tego człowieka. Czy był taki w rzeczywistości? nie znać go w naszej historii. Że Jeremi Wiśniowiecki zawiedziony w swoich nadziejach dowództwa, nie tylko rokosz nie podniósł, ale ustąpił, słuchał, bił się dalej pod rozkazami, to prawda; czy miał taką cnotę, czy stoczył taką ze sobą walkę, jak tu, Bóg jeden zna. Ale że tu jest wzorem, jak wedle słów Skargi: „Ojczyźnie krzywdy swoje darować, a siebie samego zwyciężać,“ i że nigdy na czele swoich wojsk nie jest tak bohaterski, jak w tej chwili, to pewna. I gdyby Radziwiłł i Opaliński, gdyby Lubomirski, był tylko jedną godzinę tak spędził, jak on tę noc obrachunku ze sobą samym, inną drogą byłyby poszły dzieje Jana Kazimierza, inną losy Rzeczypospolitej. Ale dziś, kiedy już dawno niema ludzi, co by mogli tyle co tamci, może ten przykład

jest bez przystosowania i wartości? O nie. W innych warunkach, inaczej, ale jest on dla polskiej dumy, dla polskiej zazdrości, nauką i teraz i zawsze. Gdyby naprzykład niejedyn raz w naszej porozbiorowej historii, ludzie co się do postanowienia i do czynu na swoją odpowiedzialność rwali, byli mieli tyle co on odwagi i tyle co on z własnem sumieniem szczerości, gdyby byli rzetelnie spojrzeli w to sumienie i oblicze ukrzyżowanego Chrystusa, i gdyby jak on byli mieli rozum i odwagę poznać i przyznać sobie, że ten Chrystus patrzy tak boleśnie, jakżeby go dopiero na krzyżu rozpięto, czyby On dziś tak smutno z krzyża na ziemię polską poglądał? Niema dawnej Rzeczypospolitej, ani dawnych magnatów: ale dawna natura polska jest, i w innych ludziach skłonna zawsze do kureczenia Ojczyzny, jak mówił Skarga, jeżeli nie w domach swoich, to w wyobrażeniach, w uporach, w błędach swoich; jeżeli nie w miłościach, to w nienawiściach własnych, w pychach podobnych i podobnych zazdrościach, a książki tej, która kordyahu życia zawiera tak wiele, zasługą, mądrością i chwałą jest, że jej taki przykład daje, a takiej nauki nie oszczędza. Piękna jest ta scena, jak może żadna inna; ale cała jej piękność, cała tragiczna wzniosłość nie warta jej moralnej wielkości.

Książę się poddał. Spokojny, w zgodzie z Bogiem i z sobą, prawie wesół, daje ulubionemu namiestnikowi swojej husarskiej horągwi pozwolenie, żeby, korzystając z przerwy w wojennych działaniach, jechał do Baru, znalazł kochankę i żonę potem szczęśliwie odwiózł do domu. Słońce zaświeciło nad Skrzetuskim jasno i pogodnie; nawet jego wierny Rzędzian się znalazł, przyjaciele będą mu towarzyszyli w tej wyprawie, pożegnalny kielich spełnia sam książę za zdrowie jego, i Heleny, i przyszłej konsolacyi; Zagłoba pełen fantazyi puszcza wodze dowcipowi i wróży przyszłość tak, że śmiech powszechny wtóruje tym wróżbom — co złe, już przeszło, nie wróci, przynajmniej dla tych ludzi już nie wróci... wtem we drzwiach sali ukazuje się jak posepne widmo Kuszel, i kończy tom drugi jak gromem straszmem słowem: „Bar wzięty!”

Ma ta powieść to szczęście — bo nie jest to zapewne skutkiem zamiaru i wyrachowania autora — że im dalej, tem piękniejsza. Drugi tom zajmuje, przywiązuje, imponuje bardziej niż pierwszy, trzeci bardziej niż drugi. Pamiętamy wszyscy, jak po tej wiadomości czekaliśmy w niepokoju, co będzie dalej, przewidując, wyobrażając sobie różne nieszcześcia biednej Heleny. Zaczął się tom trzeci, a w nim coś dziwnego, niespodziewanego: nie zgroza i męka, tylko czułość miłość, rzewność, dobroć. W stepowej ciszy ludzie mówią szeptem, konie zda się stąpają ostrożnie, żeby nie zbudzić uspięnej dziewczyny. Straszno trochę, bo pusto i głucho, bo uroczyśka pełne upiórów, bo na przodzie jedzie jakaś czarownica dzika, choć młoda i ładna, bo wreszcie Helena w ręku Bohuna. Ale ten Bohun teraz nie taki, jak się go dotąd znało. Że była smętna rzewność w jego namiętności tośmy widzieli; ale że w tej prostaczej a burzliwej duszy tyle rycerskiej szlachetności, tyle miękkiej kobiecej czułości, że Bohun kochając namiętnie i wściekle, zdolny jest tak kochać, tego się jeszcze nie wiedziało. Że w Barze wziętym tylko Heleny szukał, że jej dopadł i od czerni ocalił, że kiedy się nożem pchnęła, pielęgnował ją jak matka dziecko, to nie dziwnego. Ale teraz on ten swój skarb, to swoje światło uwozi ostrożnie, schowa je pod ziemię, żeby jej nikt nie znalazł, nie odebrał, nie odbił; on jej pan i swego dobra bronić będzie przed całym światem. Tylko przed nią on nie pan, a przed sobą nie chłop tylko rycerz. On czuje instynktem swego serca, że miłość zniewolona to nie, że „miłość miłością wymilować trzeba,“ i spodziewa się biedny, że wymiluje, i mówi o niej i do niej czule, błagalnie: znowu zawodzi z minoru jak dunka. Ale i zawiedziony w nadziejach kochanek, i kozak upokorzony tem, że polskiej szlachciance nierówny, wybucha gniewem, sarkazmem, groźbą, kiedy jej pyta gdzie jej dostatki, zamki, posagi i kniaziowskie herby; prostacza jakaś duma i okazałość bije z jego słów, kiedy jej zapowiada, że trzysta świec każe zapalić do ślubu; prostacze rozumowanie, kiedy dowodzi, że go kochać powinna, bo grzech nie kochać męża, a on będzie mężem. Ale

na widok jej cierpienia, jej przestracchu, mięknie wola i namiętność cichnie, tygrys staje się gołębiem. a męska dobroć i miłość wielka tak idzie wysoko, że Bohun, byle jej łez oszczędzić, gotów się może nawet jej wyrzec. Nie przyrzeka, nie wie, ale nie przeczy, „ne znaju.“

Ten instynkt, z jakim wszystkie panie od początku do Bohuna miały słabość, odgadywał w nim człowieka, który jest przedewszystkiem i nadewszystko kochankiem. Skrzetuski to doskonałość, to bohater, to i miłość wielka, ale nie pierwsza na świecie; Skrzetuski nie poszedłby dla Heleny z Chmielnickim bić Polaków: Bohun odstąpiłby swoich odrazu. Skrzetuski, to zbiór różnych najwyższych miłości, ale każda ma swoje miejsce, swoje granice, swoje prawa: to miłość męża, wielka, ale spokojna i karna. Bohun, to miłość sama, miłość, która prócz siebie nic nie zna, jest najwyższem i jedynem prawem, miłość Romea z kozaczą energią i dumą, i z kozaczą tęskną dumką w słowach; i ztąd ten wdzięk poetyczny, ten magnetyczny urok, jakim on pociąga i podbija serca, a zwłaszcza wyobraźnie niewieście. Niema się czemu dziwić, a Helena musiała Skrzetuskiego kochać bardzo i bardzo, jeżeli po ostatnich słowach Bohuna nie powiedziała mu: „zostań!“

Dzieli się ten tom trzeci na kilka osobnych grup faktów. Pierwszą, stanowi to uwięzienie Heleny; drugą poszukiwanie jej przez Skrzetuskiego i towarzyszy, daremne. Potem następuje przerwa: elekcyja z epizodem pojedynku Bohuna z Wołodyjowskim, układy z Chmielnickim w Perejasławiu, połączone z powtórnem daremnm szukaniem Heleny przez Skrzetuskiego w Kijowie. Wreszcie wieść o jej śmierci, jego choroba i ściąganie się wojsk do Zbaraża. Wtedy występuje niespodzianie Rzędzian, świadomy miejsca pobytu Heleny, wyprawa Zagłoby i Wołodyjowskiego, ucieczka z Heleną i nowe z nią rozstanie wobec tatarskiej pogoni, a w końcu oblężenie Zbaraża. Rozdział ostatni jest tylko dodatkiem.

Co się stało z Heleną, to wiemy; ale jakie wrażenie zdobył Bara i niepewność o jej los, a raczej pewność, że

jeżeli nie zginęła, to wpadła w ręce Bohuna, Tatarów, czerni, jakie wrażenie zrobiło to na Skrzetuskim? Nie rozpaczał, nie był bliskim obłąkania, jak w Rozłogach: tylko skamieniał. Spokojny i pełniący wszystko, co do niego należało, żył po to tylko, aby ją odbić i ocalić jeżeli można, a potem ją w jednym, siebie w drugim klasztorze skryć na resztę życia. Szczególniej uwagi godzien jest sposób, w jaki on swoje nieszczęścia znosi. Za pierwszym *fiat voluntas tua* i uspokojenie w spowiedzi i pokucie, za drugim gorszem, habit: żadnej pociechy, żadnej nadziei, ale żadnej rozpacz i żadnego buntu. Oczywiście to cierpienie duszy nie tylko silnej bardzo, ale nawskróś religijnej, a taką musiała być dusza Polaka, rycerza z tego wieku. Ten pierwiastek w staropolskiej postaci jest tak konieczny, że rozumieli go wszyscy, którzy postaci takie tworzyli; tylko żaden nie mówił o nim tak mało, a nie pokazał go tak wyraźnie, nie przejął nim tak swoich rycerzy. Ci rycerze nie odmawiają godzinek, jak u Henryka Rzewuskiego, nie mówią co chwila, że są sodalisami, nie poszczą wszystkich wigilij, jak u Pola, nie pokazują swojej wiary i pobożności. Tylko żyją i oddychają nią jak powietrzem, nie myśląc o tem. Jak krew w ich żyłach, tak to uczucie krąży w ich duszach samo przez się, naturalnie i koniecznie, bez osobnej uwagi z ich strony. I autor o niem nie mówi, tylko je pokazuje w ich postępkach; tylko Skrzetuski, kiedy wszystko stracił, wygląda jak męczennik, a po skończonej wojnie myśli pójść na mnicha; tylko książę Jeremi, kiedy sam ze sobą walczy, to przed krucyfiksem; tylko Wołodyjowski, kiedy mu ta dziewczka (Helena) „bije do głowy jak wino, nie upije się tem winem, bo cudze;“ tylko Podbipięta, widząc śmierć przed sobą, odmawia litanie, tak, jak Skrzetuski „modlił się głośno,“ kiedy myślał, że jego koniec nadchodzi. A wymowniejszy, silniejszy to sposób przedstawienia, niż wszystkie różańce i wigilie, i ten pierwiastek staropolskiej duszy występuje tu z takim charakterem jędrnym, męskim i poważnym, że nigdzie się lepiej, poetyczniej nie wydaje.

Poszukiwanie Heleny daje powód do jednego z najpiękniejszych i co dziwniej, najzabawniejszych epizodów powieści. Rozdzielili się przyjaciele i każdy z osobnym poczetem szukają w różnych kierunkach. Jednym dowodzi Zagłoba. Nie umie dowodzić, nie ma ani pojęcia, komiczny jest już w tym początku. Komiczniejszy, kiedy z wielką odwagą atakuje niewinne chłopskie wesele; najkomiczniejszy, kiedy zmięczony prośbami a zwłaszcza miodem, daje się przeblagać, a pijąc z weselną drużyną, wznosi oczy do nieba z wyrzutem i jak żeby pojąć nie mógł jego niezbadanych wyroków, woła: „o Boże, Ty widzisz, że te chamy taki miód piją, i nie grzmisz!“ Ale po tych uciechach następują dopiero większe: dramat prawdziwy, niebezpieczeństwo bez nadziei ratunku, z bohaterem takiej sytuacji komicznym zawsze, komicznym zwłaszcza, kiedy się naprawdę jak bohater broni. Zagłoba kiedy wytrzeźwiał, ujrzał wlepione w siebie oczy Bohuna, jak żbika. Pomiarkował odrazu, strachu nie pokazał, nadrabiał miną, jakżeby nie między nimi nie zaszło; ale Bohun poigrawszy z nim jak kot z myszą, pogadawszy grzecznie, płaci mu swój dawny rachunek z Rozłogów, i to „lackie ścierwo“ związawszy w kij do własnej szabli, każe rzucić do chlewu. Potem je na pal wbije, albo ze skóry obedrze, albo na wolnym ogniu upiecze, albo wszystko razem.

Filozoficzne refleksje Zagłoby, kiedy w ciemnościach chlewa medytuje, że „świni byłoby w tem położeniu daleko lepiej jak jemu, a Salomon nie byłby w niem mądrzejszy od własnych pludrów“ — ten humor, który go nie opuszcza, a zwłaszcza ten genialny spryt i zmysł ratunku, ta chęć zachowania życia, z jaką radzi sobie, kiedy każdy inny tyłkoby duszę Bogu polecał, to jest arcydzieło humoru, plastyczności i inwencji. Nikt nie wierzy, że Monte Cristo rzucony w morze, rozerznął worek i wypłynął; że Zagłoba póty się na grzbiecie kołysał, aż tym ruchem szablę z pod rąk wypełnął, że potem wylazł na strych i drabinkę za sobą wciągnął, w to wierzyć można. A teraz on jeszcze sprawy nie wygrał, od śmierci się nie wykręcił, ale przynajmniej od

męki. Jak będzie źle, to się da zabić, albo się sam zabije, ale pastwić się nad sobą nie da. Jego negocyacye z kozakami, kiedy ze strychu zejść nie chce, jego przebiegły plan, kiedy się zaczaja z szablą i jednego po drugim wali w leb, jak dochodzą do strychu; odwaga, która w nim z walką i obroną rośnie, i samego Bohuna zaczepia, wyzywa i lży, a wreszcie niespodziany ratunek, napad Wołodyjowskiego, sromotna porażka i ucieczka Bohuna, nadewszystko fantazya, z jaką Zagłoba sobie to zwycięstwo przypisuje, to jest wszystko tak świetne, że i sam Falstaff nie był nigdy świetniejszy. I on jeden swoim dowcipem wpadł na trop prawdziwy: z dosłyszanych rozmów kozackich przemyślnie wykombinował, w jakiej stronie może się znajdować Helena.

Ale nie czas teraz Heleny szukać. Piławiecka kłęska nie odbywa się na scenie; widać tylko jej wrażenie i jej skutki: rozpacz i wstyd książęcych rycerzy i ściąganie wojsk wgląd ku środkowi Rzpltej, pod Lwów, który niebawem będzie obleżony; poczem książę z Zagłobą, z Wołodyjowskim jedzie do Warszawy na elekcję. Skrzetuski zostaje w Zamościu.

Z tej całej części najświetniejszy jest pojedynek z Bohunem, który jechał z listami Chmielnickiego do królewicza Kaźmierza, a byłby zginął z ręki małego rycerza, gdyby nie Rzędzian, który go przypadkiem spotkał, opatrzył i nieostrożnie takiemu oddał w opiekę, który nieprzyjaciela Skrzetuskiego umyślnie wypuścił. Pojedynek sam, uczciwość potem, jaką rannemu adwersarzowi wyrządzają, kawalerski honor stron obu, a wreszcie lży, z któremi wspomina Bohuna Zagłoba i Wołodyjowski częstując się winem w Warszawie, wszystko to znika obok większych piękności, ale właśnie dlatego powinno być zapisane, żeby z pamięci nie wyszło.

A Skrzetuski tymczasem? Korzystając z chwilowego spokoju, puścił się szukać Heleny i przyłączył się do komisarzy jadących układać się z Chmielnickim. I znowu sceny tak tragiczne, że ich prawie znieść nie można, a tak pisane, że im się nie można napatrzeć. W niebezpieczeństwie życia, wśród obelg i grózb strasznej czerni, jadą nieszczęśliwi upokorzyć się przed wrogiem, gorzej bo przed buntownikiem,

a cokolwiek się stanie, odpowiedzialność i zła sława spadnie na nich. Gdyby ich ta czerń chciała zabić odrazu, byłoby lżej, ale byłoby gorzej, bo o pokój chodzi i zawrzcć go trzeba. Wszystkie szczegóły, każdy krok, każda chwila (z wyjątkiem roli Skrzetuskiego rozumie się), wiernie podług diariusza komisarzy opowiedziane, dodany tylko smutek, to ich cierpienie straszne, o którym sami nie mówią. Jada, aż wreszcie stają w Perejesławiu, i z królewskimi darami, z buławą: idą pieczo do tronu, na którym ich czeka... kto! Żadna droga nie była bolesniejsza! Mniej cierpiał Ludwik XVI albo Marya Stuart idąc na śmierć, niż Kisiel w tej chwili, a wytrzymał bo musiał, wytrzymał wszystkie upokorzenia, wszystkie urągania, wszystkie obelgi... Skrzetuski nie wytrzymał. „Dragonie w tył“ — zawołał i odjechał. I dobrze zrobił. Gdyby przeciw tej sromocie nikt nie protestował jawnie, upokorzenie Rzpltej byłoby za wielkie. On jej godność ratował i za to się go kocha, że to on taki rycerz prawdziwy. Ale choć sam robi inaczej, to ma i serca i rozumu dosyć, żeby rozumieć Kisiela myśl i mękę jego czuć, i scena, kiedy na klęczkach odbiera błogosławieństwo od tego prawdziwego męczennika, jest znowu taka, w złamanej tragicznej postaci Kisiela tyle powagi, żalości, przekonania, poświęcenia, że rad mógł być każdy wielki tragiczny poeta, gdyby ją był wymyślił. Chmielnicki znowu, który Skrzetuskiego odgadł, zrozumiał, i to uczucie w nim uszanował, w tej scenie przypomina że ma i lepsze strony; autor nie chce robić go potworem, a robi go i prawdziwszym i tragiczniejszym przez to, że w nim jakieś dobre uczucie zostawia.

Heleny w Kijowie Skrzetuski nie znalazł, tylko ślad, prawdopodobieństwo jej śmierci, i z tych ciężkich strapięń rozechorował się wkońcu; jego przyjaciele oplakują ten zgon, Zagłoba nie pije, nie kłamie, konceptów nie miewa, zmienił się do niepoznania, kiedy niespodzianie zjawia się Rzędzian i smutek ten zamienia w radość. Plecie bez końca o swoich rodzicielach i o ich procesie z Jaworskimi o gruszę na miedzy, o dziadku, co mu już dziewięćdziesiąt lat — nie, dziewięćdziesiąt jeden — ale nareszcie wypowiedział i przeko-

nał, że Bohuna oszukał, że od niego dowiedział się gdzie Helena, i dostał polecenie, żeby ją wioził do Kijowa, i znak (niby list wierzytelny), po którym go za posła pozna i usłu-cha czarownica Horpyna. Z nim ruszają Zagłoba i Wołodyjowski; Skrzetuskiemu wszakże nie donosząc, żeby nie budzić nadziei, które zły skutek wyprawy zawsze udaremnić może. Wyprawa sama, śmierć Horpyny, ucieczka ich z Heleną, niebezpieczeństwa i przygody, jak dostrzeżenie Bohuna zdaleka w Płoskirowie na rynku; wreszcie już kiedy do swoich blisko, pierwsze tatarskie oddziały, od których tylko śmiało poświęcenie Wołodyjowskiego ratuje Helenę, która gdzieś pod opieką Rzędziana ucieka... i wreszcie finał tych walk i bojów najwyższy w tonie, najbardziej epicki w wykonaniu, oblężenie Zbaraża.

Od pierwszej chwili, od owej tęczy, z pod której, jak z pod bramy, przybliża się ku twierdzy Jeremi ze swem wojskiem; od owej procesyi, która do Częstochowskiej podobnie obchodzi szaniec dokoła, do końca, do Skrzetuskiego wycieczki, nie tylko obraz za obrazem, a co jeden to większy, to doskonalszy, to potężniejszego wrażenia. Rzecz jest ciekawa śledzić, jak autor trzyma się wiernie, ściśle, zupełnie historycznych relacyj i diaryszów oblężenia (Księga Pamiętnicza Jakóba Michałowskiego, str. 444, 448 i dalej), a jak każdy szczegół tam sucho zapisany, w jego głowie staje się obrazem czy poetycznym rapsodem. Wszystko jest prawdziwe: i szturm, i tych szturmów plany, i wycieczki, i podkopy, i beluardy, i burze, i głód, i brak kul i prochu, wszystko tak jak było, aż do każdego szczegółu, aż do tej lub innej strony obozu, do której się szturm przypuszcza, aż do tych lub owych pułków, które walczą, aż do tatarskich i kozackich podstępów, aż do tych, któremi Jeremi w oblężonych krzepi odwagę. Czego w tych źródłach niema, to wzięte z innych, ale wszystko wiernie. Z jedną tylko, jak autor sam wyznaje, zmianą: oto: że z guldynki strzelał nie rubaszny ksiądz Żabkowski, który Zagłobie tak przypadł do serca, ale poważny ksiądz Muchowiecki, z którego świątobliwośćą jakoś to celne strzelanie niebardzo się zdaniem autora godziło, przeto niem

drugiego ozdobił. Z tego wszystkiego robią się poetyczne walki, którychby Tasso zazdrościł, którychby się Homer nie powstydzil. Co tam piękniejsze, nikt nie dojdzie: czy pierwszy szturm, a po nim wściekłość Chmielnickiego, gniew Hana i zrzeczność, z jaką go chytry kozak uspokaja; czy ten drugi, kiedy za stadami wołów oblegający pędzą przed sobą stada jeńców i chłopów, a Podbipięta jak apokaliptyczny anioł wojny, otwiera drogę w środek nieprzyjacielskiego czworoboku, — czy wreszcie to pobojojwisko, nad którym w nocy duchy kozackie jęczą „Hospody pomyśl,“ a polskie śpiewają „przed oczy Twoje panie“. A wśród tych wzniosłości Zagłoba, Zagłoba, który się zawsze boi, i kul, i głodu, i wszystkiego, a miną nadrabia; Zagłoba, który się nie chce z tem chwalić jak Gustawa Adolfa wziął do niewoli; Zagłoba zawsze tobie równy, to nota odmienna, ale jak potrzebna i jak się z tamtą doskonale łączy. I on jest heroiczny, ma swoje wielkie chwile męstwa, kiedy już inaczej żadną miarą poradzić sobie nie może. Dotąd każdy z jego trzech przyjaciół zwalczył jednego z bohaterów kozackich: Skrzetuski Bardabuta, Longinus Półjana, Wołodyjowski Bohuna. Należało się, żeby i Zagłoba miał swego, i każe mu autor zabić Burlaję, straszego Burlaję. Ale nie tak go zabija jak tamci! Ucieka; a gdy uciec nie może, zwraca się, bije się jak może najlepiej, lecz zwycięża sprytem. Korzysta mądrze z jednej chwili nieprzytomności przeciwnika i wobec całego wojska, szczęśliwy, kładzie trupem tego, któremu nikt rady dać nie mógł.

A jak się biedny złapał, kiedy po szturmie burzą przerwany, odezwał się przy księżcu, że to byłaby pora na wycieczkę, bo nieprzyjaciół pewno się nie strzeże, i na tę wycieczkę po nocy, po kostki w wodzie iść musi; jak mruczy, jak się z Wołodyjowskim klóci, a jak po wycieczce, po spaleniu belluardów łaje tych dwóch, co w tyle zostali, o których się bał, że zginą — Wołodyjowskiego i Podbipiętę!

Podbipięta! on, który ze wszystkich najbardziej jest bohaterem tego oblężonego Zbaraża, przed którym jest śmierć tak cudownie piękna, Podbipięta musi przed nią rolę swoją

dokończyć, ślub swój spełnić. Ściał trzy głowy! Bardzo zręcznie wymyślony jest sposób na to, by mu się te głowy dobrze ustawiły. Szturm: w nocy, po cichu, podkrada się nieprzyjacieli; oblężeni również w milczeniu czuwają, czekają, zasłonięci parapetem. Po turbanach poznają, że na przodzie Turcy. Już blisko; stawiają drabiny jedne przy drugiej i wchodzą, i ledwie się te trzy głowy wytknęły jak zwierzę z gęstej kniei, spadły od jednego zamachu do stóp rycerza, „a wszyscy dawno zmarli Podbipiętowie uradowali się w niebie, i nad Longinem otworzyło się niebo, a cięcia jego miecza były jakby modlitwą dziękczynną.“

Niestety, za ten ślub spełniony na ziemi już nagrody nie odbierze: Anusia Borzobohata nie wplecie gałązki mirtu do jego laurowego wieńca. Trzymać się długo nie sposób: żywności niema, kul niema, prochu niema, nie niema, tylko duch. Ale i ten nie poradzi, jeżeli król rychło na odsiecz nie przyjdzie. Trzeba mu dać znać, że źle i żeby się spieszył. Tak stało na poufnej naradzie czterech przyjaciół z przyszłym męczennikiem także, ze starostą Krasnostawskim Markiem Sobieskim. Ale jak? Ale kto się przekradnie? Gotowi wszyscy, nawet Zagłoba; „powiedział tylko, że iść nie chce, nie powiedział, że nie pójdzie. Kiedy go Bóg skarał ich kompanią, to już w niej musi wytrwać do śmierci.“ Ale książę nie pozwala iść czterem naraz, tylko po jednemu. Pierwszy Podbipięta. Jak oni się żegnają, jak Zagłobę coś „za grdykę trzyma“, jak Podbipięta wychodzi wreszcie, jak się chowa, czołga, jak światełka Zbarażu wydają mu się razem kiedy je za sobą widzi, jak w pewnej chwili już chce wracać, bo to nad ludzkie siły... ale jeżeli potem Skrzetuski wyjdzie i zginie... „Taki pójdę!“

Więc idzie dalej: każda chwila, każda przeszkoda opisana, długa. Z zapartym tchem, jakżeby w śmiertelnym niepokoju o żywego człowieka, patrzy się na każdy jego krok; już tyle przebył, już połowę drogi, już większą, już jedną straż minął, drugą zabił, już koniec taboru — już las, za lasem król, zbawienie, sława... już i on ocalony. Niestety! w lesie byli Tatarzy! i zaczyna się walka jednego z tysią-

cem, walka olbrzyma, który wie że zgiąć musi, ale się broni tak, że ta zgraja przystąpić do niego nie śmie — tylko zdaleka kolem otacza, sznury zarzucać próbuje i napróżno. Aż wreszcie podli wpadli na myśl dobrą, zabijają go bezpiecznie, z daleka. „Wówczas na widok łuków i strzał poznał pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci.“ Stoi pod dębem, jak ś. Sebastyan przywiązany do kolumny, i jak on wzięty na cel, i jak on się modli. „Pierwsza strzała świśnieła, gdy mówił: Matko Odkupiciela,“ gdy mówił: „Gwiazdo Zaranna; tkwiło w nim strzał wiele, upadł wkrótce na kolana, a gdy wymówił: „Królowo Anielska,“ „aniółowie niebiescy wzięli jego duszę i złożyli ją jako perłę jasną u nóg tej Królowej.“

Piękniejszej śmierci, bardziej bohaterskiej, bardziej prostej i świętej, bardziej przejmującej, niema może w całej poezyi świata.

Zdawałoby się, że po tej scenie, która jest jakżeby wyjęta razem z epepei i z aktów męczeńskich, nie już wydać się nie zdoła. Tymczasem ta niewyczerpana wyobraźnia jeszcze umie czemś nowem zadziwić i zachwycić. Kozacy (czy Tatarzy?) dodając zniewagę i urąganie do swego tryumfu, powiesili zwłoki pana Podbipięty na belluardzie, którą toczą pod mury. Żalność towarzyszy, ich wściekłość, bój, którym pomścili śmierć i zniewagę przyjaciela, to znowu wspańiale, a pogrzeb, kazanie księdza Muchowieckiego, takie śmieszne, taki wyborny typ kazań ówczesnych, a takie przytem pełne serdecznego żalu i prawdy, jest znowu w swoim rodzaju małym arcydziełem.

Ale ta śmierć nie zmienia stanu rzeczy; owszem, z każdym dniem konieczniej potrzeba króla wezwać do prędkiej odsieczy. Idzie Skrzetuski. Nie ziemią, bo już się pokazało, że to próżna rzecz, ale wodą, wbród przez staw, a potem przez rzekę. To jego brodzenie po wodach, błotach i trzeinach, niebezpieczeństwo, obrzydzenie i strach, kiedy spotyka mokrą w wodzie trupy, przywidzenia i hallucynacye, głód, zimno, gorączka, w którą wpada, obraz bardzo niespodziany, bardzo szczegółowo i plastycznie wykonany, w swoim

rodzaju jest to doskonałość. Opisowa sztuka doszła u autora w tych scenach do wysokości zadziwiającej, a dramatyczne wzruszenie (obawa, niepokój, niebezpieczeństwo, wahanie) utrzymuje się tem świetniej, że tak długo a niejednostajnie tak przykro i boleśnie, a w mierze. I jeszcze potem jedna scena znakomita. W Toporowie król niecierpliwy i niespokojny, bez wiadomości o Zbarażu i o sile nieprzyjaciela, gotów z małemi siłami porwać się na niego; i Ossoliński, który go wstrzymuje udając że słucha. O tym jedno słowo ostre i przykre. „Król mu *jeszcze* wierzył;“ czy wierzyć przestał nawet i później? czy miał powód nie wierzyć? Ale Jan Kazimierz w tej jednej scenie, w tych niewielu słowach jest tak uchwycony, tak występują wyraźnie charakterystyczne lepsze i gorsze strony jego natury, taką ma królewską postawę i pewność siebie, taki śmiały a nerwowy i awanturniczy poryw, kiedy oświadcza że idzie pod Zbaraż niech się dzieje co chce — że znowu trzeba go policzyć do tych postaci, które (jak Chmielnickiego) autor intuicyjnie odgadł i przedstawił. Wejście Skrzetuskiego także dramatyczne i efektowne bardzo.

Ale sprawiedliwość każe wyznać, że zakończenie samo nie jest na tej wysokości, na której powieść utrzymywała się stale od początku. Nie dlatego, że ona kończy się szczęśliwie, weselem. Niektórzy mówią, że po smutnym i strasznym charakterze całej powieści, ten koniec wesół jest dysharmonią. Niekoniecznie. Ten weselszy mógł się doskonale zgodzić i wydać. To gorsze, to prawdziwie błąd wielki, że po wielkim charakterze całości, ten koniec ma mniejszy, niższy. Niespodziewane spotkanie, ksiądz, który do niego przygotowuje, panna która się nareszcie zjawia, wszystko to rzeczy trochę zwykłe, trochę drobne; drobny także ten ładny żupan, do którego się Skrzetuski ucieszył; Skrzetuski — wielki naprawdę — schodzi tu trochę do rozmiarów pana Tetery z Czajkowskiego powieści; nawet jak tam Jan Kazimierz odprowadza pannę młodą od ołtarza. Niechby zresztą wszystko to było, byle było tak epicznie przedstawione, jak sceny poprzednie, a nie tak napisane, jak inny pisarz po-

wieści napisać byłby potrafił. Oprócz tego nie dla marnej ciekawości tylko, ale dla zupełności rzeczy, potrzebaby wiedzieć niektóre szczegóły, na przykład jak Rzędzian z Helena dostał się do króla; a zwłaszcza widzieć jeszcze niektóre figury, głównie Bohuna. Bohun pięknie i poetycznie wprowadzie kończy w epilogu, ale tyle w powieści znaczył, że koniecznie jeszcze powinien był w niej wystąpić. Trzeba było uzupełnić, ukoronować go jakąś wiadomością o tem, co zrobił kiedy wpadł do Waładynki — bo oczywiście on tam był i zastał ciało Horpyny gdzie padło, a swój dom pusty. Jego wypuszczenie przez Regowskiego, jego chwilowe ukazanie się w Płoskirowie, wszystko to zdaje się zapowiadać, że on jeszcze czynnie wystąpi. Jeżeli wystąpić nie ma, jeżeli jego rola w powieści skończona, to mógł od razu zginąć z ręki Wołodyjowskiego w Lipkowie. Ale on tam ginąć nie powinien, powinien jeszcze swoją rolę grać. Instynkt jakiś, może nie nietrafny, mówi czytelnikowi, że ci dwaj bohaterowie i rywale, którzy raz się tylko na wstępie widzieli, zejsć się jeszcze powinni. Prawda, że ich spotkanie trudnoby się czem innem skończyło jak śmiercią, a skoro oba żyć mieli, to było prawie niepodobnem do wymyślenia. Ale zawsze szkoda, że tego spotkania niema. Nadewszystko zaś szkoda, że niema jakiejś na końcu sceny, któraby wyraziła i wysoko postawiła historyczne znaczenie i moralną myśl powieści. Jest wprowadzie epilog — Beresteczko, Zwycięstwo — ale ten po innej powieści u innego autora byłby doskonały, tu nie wystarcza. Tom pierwszy miał na końcu scenę wielką: Chmielnickiego ze Skrzetuskim; drugi jeszcze większą: Jeremiego przed krzyżem. Przez cały trzeci czytelnik w naprężeniu czeka na jakiś koniec większy, wznioślejszy jak to wszystko, jest go pewien, żąda go od autora jak swego prawa. Co to będzie, nie wie: ale wygląda jakiegoś sądu i wyroku, jakiegoś wykończenia sprawy nie materyalnem a nieskutecznem, jak Beresteczko, ale jakimś moralnem zwycięstwem, jakąś na Chmielnickiego karą, jakimś obudzeniem w jego sumieniu zgryzoty, strachu i rozpacz, wytlómaczeniem mu co zrobił, jaką przyszłość sprowadził na Polskę — i na Ukrainę. I istotnie

wzgląd artystyczny i ważniejszy od niego, wzgląd patryotyczny i moralny, potrzebowały w zakończeniu najwyższego, najpotężniejszego tonu. Tymczasem w tem zakończeniu właśnie pierwszy i jedyny raz autor nie z hymnu, ale z epopei „przeszedł do prostej powieści.“ Szkoda jest wielka, i smutek; bo to przypomina tę prawdę zawsze przykrą choć dawno znaną, że niema nic zupełnego, nic doskonałego na tym świecie.

Ale ganiąc to zakończenie i tak surowo, byłoby niesprawiedliwością nie dodać, że to jest właściwie szkic zakończenia tylko, że za taki uważa je sam autor, choć zmuszony okolicznościami od siebie niezależnymi, wypracować go nie mógł, ale ogłosił go w tym kształcie. Ten tymczasowy szkicowy charakter zakończenia zasłania je przed surowością krytyki, która szkodę uznać i wskazać musi, ale nie może jej przypisać zamiarowi autora, jego złemu zrozumieniu rzeczy lub jego brakowi siły. Niektórzy chcą wiedzieć, że w wydaniu powieści ten szkic ma być rozwiniętym w obrazę. Jeżeli to prawda, powitamy tę zmianę z radością. Ale jeżeli nawet nie, to powiemy zawsze, że piękności poprzedzające mimo słabszego zakończenia, zostają czem były, i dodamy, że darmo, nawet na słońcu są plamy.

A ta powieść, choćby i z tem zakończeniem, to zawsze słońce, tem jaśniejsze, tem bardziej pokrzepiające i ożywcze, że niespodziewane, że zeszło wśród ponurego i długiego zmroku. W nauce nasze piśmiennictwo dzisiejsze trzyma się dobrze, idzie naprzód, to prawda i to wielkie szczęście, wielkie zaspokojenie o przyszłość, to najpierwsza zapewne potrzeba. Ale w regionach natchnienia i sztuki, w literaturze pięknej, wyczerpanie sił po wielkiej twórczości i obfitości. W poezyi dużo form zgrabnych, mało nowych, i mało także myśli jędrnej, i mało wyobraźni. Poniżej poezyi liczny na kopy, ale na ziarno lichy plon powieści. U nas, jak w całej Europie, grunt zdaje się wysiłony, nie ma już rodzajnego pierwiastku, źródła tworzenia wyschły w duszach ludzi, czy w duszach społeczeństw. Powieść historyczna zaś, ta niedgdyś tak ulubiona, znikła prawie zupełnie; nie w naszej literatu-

rze, skoro jest cały szereg najnowszych tego rodzaju obrazów Kraszewskiego, a wśród nich niektóre (z XVIII wieku mianowicie) wcale szczęśliwe; ale za granicą, we Francji i w Anglii zesła z pola zupełnie, w Niemczech jeżeli jest to sady się na oryginalność i na erudycję, chce zająć niespodziewanym przedmiotem i zadziwić zasobem rzadkich wiadomości, a samem tem sadzeniem się, samym wyborem egipskich przedmiotów, dowodzi, że naprawdę nie ma siły ani życia. W takim stanie powieści na świecie zjawia się jedna, nie już historyczna, doskonale historyczna, ale czem żadna podobno przed nią nie była, bohatera i doskonale poetyczna, powieść, która gdyby była pisana wierszem, to taka jak jest, z tą jedną zmianą byłaby epeją. Dowód to jakiejś w tej literaturze siły i twórczości, jakiej w tych latach znać po niej nie było; a literatura nie żyje sama przez się, żyje tylko tem, co z rzeczywistego świata, z duszy narodu czerpie i bierze. Zatem takie dzieło, to pociecha i otucha, to przybytek odwagi i ufność w siebie. Dla literatury zaś nie tylko nabytek i ozdoba świetna, ale uzupełnienie jednym pierwiastkiem ważnym, koniecznym, którego dotąd był brak. *Pan Tadeusz* był z czasów współczesnych, *Wallenrod* z odległych bardzo, a do tego więcej tendencyjny, aniżeli historyczny. Taksamo jedne współczesne, a drugie nie, ale wszystkie nawskróś tendencyjne, były istotnie heroiczne, każda w swoim rodzaju postacię Krasieńskiego: Hrabia Henryk, Pankracy, Irydion. Walki konfederackie w Beniowskim są fragmentami, a ich bohaterowie szkicami, nie mówiąc o tem, że mięszany rodzaj tego poematu nie dopuszczał prawdziwej wielkości stylu. Z tego wynika, że strona heroiczna przeszłości i historii polskiej dotąd do literatury naprawdę nie weszła, chyba przypadkowo, ubocznie, epizodycznie. Wielkie walki Rzeczypospolitej nie udały się współczesnym naocznym świadkom, jak Wacław Potocki; bo pomimo talentu i duszy nie mieli sztuki; nie udały się Krasiekiemu, ani nawet Koźmianowi, choć ten je lepiej czuł, pojmował i opisywał, bo ich sztuka nie była dość samodzielna, a zdolność poetyczna na takie zadanie nie dość wysoka. Historyczna powieść w zwy-

klem romansowem pojęciu rzeczy, była, i nieraz ładna, i czasem nawet z tejsamej epoki, jak Czajkowskiego Czarniecki, ale tak pojęta oczywiście nie mogła ona tej stronie rzeczy sprostac, nikt nie żądał i nie miał prawa żądać, iżby ją odtworzyła.

Teraz powieść nad swoje powołanie i nad swoje prawo zerwała się na stanowczą chwilę naszych dziejów i zdolala oddać wszystko, co w niej bylo tragicznego i heroicznego, wszystko co najboleśniejszego w stanie Rzeczypospolitej, i co najszlachetniejszego, najwyższego w jej duszy. Rycerz, bohater, Żółkiewski czy Czarniecki (pod innem nazwiskiem), wielki heroiczny pierwiastek i duch dawnej Polski, nigdy tak dotąd w literaturze jeszcze nie wystąpił i nie zajaśniał, i nigdy w żadnej podobno powieści na świecie, historia nie wystąpiła w tak wiernych a tak wielkich obrazach. U Waltera Scotta przy wszystkich jego ogromnych zaletach bylo więcej zewnętrznej fizyognomii czasów i społeczeństw, niż ich duszy spraw i cierpień, więcej archeologii niż historii. U Dumasa bylo życia ruchu, fantazyi wiele, nie bylo poezyi, nie bylo głębokiego zrozumienia, głębszego współczucia dla czasów i ludzi. Jego bohater to tęgi oficer, miły i grzeczny dworski kawaler, śmiały do zuchwalości pojedynek i awanturnik, ale nigdy rycerz, nigdy *Książę Niezłomny* Calderona. On ma plastyczność prawie epicką, ale nie ma epickiej wielkości. Zygmunt Krasiński (który się łatwo zachwyceniem chwilowem złudzić i unieść daje), widzi prawie ten charakter w *Muszkietarach*, podziwiając, jak walczy d'Artagnan i jak Porthos ginie. Cóżby on powiedzial dopiero, gdyby widzial, jak Skrzetuski mści cześć Rzeczypospolitej, jak ginie Podbięta, jak walczą, jak się poświęcają wszyscy — i dlaczego!

U nas *Listopad* Rzewuskiego ma sławę najlepszej historycznej powieści, ale *Listopad* znakomity, świetny, w scenach obyczajowego życia XVIII wieku i w jego typach, nie mówiac o tem, że w scenach miłosnych i dramatycznych jest słaby, walki konfederackie maluje żywo, doskonale, świetnie, ale zawsze rodzajowym, gawędowym, choć

Wrocław 1921

20028257

sympatycznym sposobem. Niema tam wielkiego stylu w przedstawieniu wypadków ani ludzi.

Jaka jest tajemnica tej wyższości, tego wielkiego charakteru *Ogniem i Mieczem*? Ta miłość głęboka i silna, to zrozumienie i podzielenie serdeczne wszystkich smutków i cierpień tych ludzi, co pomarli dawno, ale kochali to samo co my, a gdyby dziś żyli, cierpieliby jak my; ta miłość o której już raz była mowa, ona to daje dar przenoszenia się w dawne wieki, i klucz co dawne dusze i serea otwiera. Ale i onaby nie wystarczyła bez tego daru, który już sam Bóg tylko daje, a którego natura i przyczyna jest niezbadana, bez genialnej prawie zdolności, bez intuicyi, która charakter czasu odgaduje tak trafnie i pewnie, jak charakter ludzi: która rzeczywistego historycznego człowieka pozna nawskróś i da taki wizerunek Chmielnickiego, jak najgruntowniejsze studyum wierniejszegoby nie dało, a fikcyjnych tak stwarza, że są typami swego wieku i natury swego narodu. Od ks. Jeremiego do Rzędziana, do kozaka, do chłopca, każdy i w każdym położeniu tak myśli, mówi i czuje, jak mógł czuć, myśleć i mówić człowiek XVII wieku na wszelkich stopniach społecznego stanowiska i wykształcenia. Jakie były mechaniczne przygotowania czy ułatwienia, warunki czy środki tej doskonałości? Doskonale poznanie epoki w jej dziełach, w jej literaturze, obyczajach, sposobie myślenia i mówienia, mnóstwo opanowanych, przyswojonych rysów, wyciągniętych z rzeczy współczesnych, jak peczęła ciągnie soki na swój miód, to zapewne musiało być podstawą, a także i ogromną pracą. Jak starannym i sumiennym był pod tym względem autor, wskazuje choćby ten szczegół ciekawy, że wszystkie nazwiska oficerów księcia wojewody ruskiego wyjęte są ze współczesnych rękopiśmiennych spisów jego chorągwi.

Sposób roboty, technika, inna zupełnie niż się zwykle widzi. Żadnej archeologii naprzykład, której pisarze powieści lubią nadużywać, nadstawiając erudycją brak intuicyi. Żadnych opisów jak się kto ubiera, jakie ma sprzęty, nic, coby przypominało wystawy starożytności lub sklepy antykwarzy: to tylko wystawa dusz, jakie w owym czasie były.

Żadnego także ubolewania i rozwodzenia się nad historyczną chwilą, żadnych nauk ani tłumaczeń; jakato epoka, to czytelnik pozna z dusz ludzi, którzy w niej żyją, działają i cierpią. Żadnego także udawania starych Polaków, którem grzeszą figury większej części naszych pisarzy; mówią nienaturalnym językiem i stylem, zbyt poważnym, inne zbyt rubasznym, przesadzają w surowości i powadze, albo przesadzają w pobożności, albo przesadzają w prostocie, albo w głośniej wesolości, ale prawie zawsze wyglądają jak aktorowie w roli starych Polaków, roli niezawsze dobrze granej. Ci nie nie udają, nie przesadzają, są Polakami z XVII wieku jak ich Pan Bóg stworzył. Na szczególną pod tym względem uwagę zasługuje język tej powieści, który kolorytu epoki nie szuka, a znajduje go odrazu. Żadnych archaizmów, makaronizmów i łaciny mało, żadnych zwłaszcza niby staropolskich, a naprawdę tylko nienaturalnych konstrukcyj i zwrotów. To język prawie dzisiejszy, tylko, z wyjątkiem jednego wyrażenia (twojego księcia *w pierwszej linii*, nienawidzę), niema ani jednego słowa lub zwrotu, któregoby wiek XVII nie mógł być użyć. I to podobno rozwiązuje kwestyę nieraz między poetami i pisarzami roztrąsaną, jakim językiem pisać należy historyczne powieści lub poemata. Dzisiejszy byłby śmieszny, wiernie ściśle współczesny byłby dla nas dzisiejszych nieprzyjemny i nużący, nienaturalny i pretensjonalny, o tem już nie mówiąc, że do utrafienia trudny, że u Pola naprzykład pomimo wszystkich archaizmów, pomimo tego *więc*, które i powtarza się za często i staje na miejscach, gdzie wedle dobrej składni stać nie powinno, język XVI, XVIII i XV wieku jest tensam, i Wit Stwosz mówi taksamo, jak Winnicki lub Chojnaeki, a ten znowu taksamo, jak Hetmańskie Pacholę. Jak powieść cała może służyć za wzór tego, czem powieści historyczne być mają, tak znowu styl i język są przykładem, jak je do czasów i do charakteru epoki stosować. W języku, jak w pomysłach i figurach tej powieści, niema żadnej maniery, żadnych sztuczek, jest tylko sztuka.

Pod tym względem, artystycznym, powieść aż do samego zakończenia jest zupełnie wyjątkową doskonałością.

Mogą jedne ustępy podobać się mniej, drugie więcej, ale niema żadnej sceny, żadnej figury, któraby się mogła nie-podobać; nie, na coby się zmysł moralny, albo estetyczny nie godził; nie w pomysłach, w wykonaniu, w stylu, coby raziło. Niektórzy mówią, że ta lub owa figura nie jest koniecznie potrzebna (Łaszcz albo Charlamp), inni, że figury, które zrazu zdają się przeznaczone do wielkiej roli, są tylko epizodyczne (Kurcewicze). Jeszcze inni, że w pewnych razach anteedencye są staranniej i piękniej wykonane, niż stanowcza dramatyczna chwila (naprzykład śmierć Horypyny i wywiezienie Heleny z jaru); jeszcze inni, że Helena sama jest bierna. Nie sądzimy, żeby te zarzuty były słuszne. Niepodobna, żeby w tem mnóstwie figur wszystkie zarówno należały i przyczyniały się do rozwiązania; niektóre musiały zostać po drodze, inaczej być nie mogło; a że nam się to błędem i szkodą wydaje, to tylko dowód, jakie one być musiały, kiedy ich ubytek tak nam się nie podoba. Charlamp może istotnie nie był konieczny, choć się na sekundanta przydał; Łaszcz był potrzebny, bo gdyby nie jego klótnia ze Skrzetuskim, to jego podkomendny nie byłby wypuścił Bohuna. Śmierć Horypyny musiała nastąpić odrazu znienacka, nietylko dla pośpiechu z jakim działać musieli, ale dlatego, że z namysłem, z porozumieniem byłaby okrutniejszą i brzydszą; a wywiezienie Heleny nie potrzebowało szerszego rozwinięcia, bo to przecież nie ze Skrzetuskim spotkanie. Krótkie wyjaśnienie i postanowienie, bez wahania wystarcza zupełnie. A co do Heleny nikt nie może żądać, żeby ona była figurą działającą; ona zresztą ze zbiegu okoliczności pokazuje się mało. Ale się dobrze pokazuje, jest zajmującą, ma swoją fizyognomię, i znowu tak mówi, tak się zachowuje, jak dziewczyna owego czasu mówić i zachowywać się mogła. List do Skrzetuskiego napisała doskonale; z Bohunem w jego chacie rozmówiła się godnie i szlachetnie; z Wołodyjowskim żartowała nie bez wdzięku, z Zagłobą podróżowała odważnie, zawsze była prosta i naturalna, i pełnęła się nożem, żeby się od Bohuna obronić; czegoż od niej chcą więcej? Inni znowu dowodzą, że *Ogniem i Mieczem* jest przecie tro-

chę naśladowane z *Muszkietarów*, bo jak tam, jest czterech przyjaciół. Może i z historyi o *Synach Hajmona*, których było także czterech? Gdyby ta czwórka miała być dowodem naśladowania, to naśladowaniem także byłyby wszystkie na świecie powieści, komedye, dramata itd., bo we wszystkich jest zawsze para kochanków, a oryginalnym byłby chyba Adam z Ewą. Czy autorowie mają pary kochanków zmienić na trójki, piątki, siódemki i tak dalej, żeby uniknąć podobieństwa?

Nie skończyłoby się nigdy, gdyby ebieć wszystkie piękności wspominać. Rzędzian naprzykład należy do niezwykłych ¹⁾. A te wszystkie piękności, te przymioty artysty dodać trzeba dopiero do przymiotów człowieka, do moralnej wartości jego dzieła. Wśród literatury powieściowej mdłej prawie zawsze, a przez samą mdłość już szkodliwej, szkodliwszej nieraz (u nas a za granicą jeszcze częściej) przez przewrotną dążność, przez parodoksalne fałszywe pojęcia, przez zuchwałę, niby głębokie a blahe rozwiązywanie kwestyj społecznych lub filozoficznych, przez niemoralność czasem nieumyślną, ale nieraz świadomą siebie i dumną z siebie, cyniczną, gorszącą i obrzydliwą — wśród takiej literatury powieść ciekawsza sto razy, piękniejsza od tego wszystkiego jak słońce od gazu, a tak zdrowa, że niema w niej żadnego fałszu, żadnego złego, że z opuszczeniem kilku mocnych (sytuacją usprawiedliwionych) wyrażen, każda matka może dać ją córce do ręki, pewna, że nie złego, nie nieszlachetnego do tej głowy nie wejdzie, tej myśli nie dotknie, tej wyobraźni nie zamąci niepotrzebnymi ciekawościami i pytaniami; powieść tak wysoka, że każdy ojeiee szczęśliwy będzie, jeżeli syn czytać ją będzie z zapalem, bo znajdzie w tem do-

¹⁾ Mimoходом warto dodać, że zaścianek Rzędzianów jest po dziśdzień. Do niedawna byli i Jaworsey, ale należeli już nieszczęśliwi pod władzę Murawiewa, i wszyscy ilu ich było, wywiezieni Bóg wie gdzie. Na ich ziemi osadzono kacapów. Tyle przynajmniej pociechy, że osadnicy źle na niej wychodzili i po większej części chłopom odprzedali.

wól, że chłopcu do wyobraźni i do serca przemawia to co szlachetne: honor, poświęcenie, obowiązek, waleczność; miłość ojezyny, wiara — taka powieść to nie jest tylko ozdoba i chluba dla literatury, nietylko arcydzieło sztuki, nietylko nauka historyi każdemu przystępna a niesfalszowana, ale kordyał zdrowia dla społeczeństwa, a przez to dobry, i powiedzmy otwarcie, wielki czyn.

Czy ona będzie przez wszystkich tak ocenioną i przyjętą, jak na to zasługuje? Przygotujmy się na to, że nie. Nie mówiąc o takich, co nie czytają nic, ani o takich, co przeczytawszy dziwiają się, czemu autor jednemu ze swoich bohaterów dał takie brzydkie imię jak Jeremi, można już słyszeć głosy udanego lekceważenia lub może rzeczywistego niezrozumienia, niechęci, przekąsu, krytyki niby mądrej i poważnej, a naprawdę płytkiej nad wszelkie pojęcie. Darmo, zawsze muszą być nieszczęśliwi, którzy tego co prawdziwie wielkie poznać ani kochać nie umieją; zawsze muszą być mizerni, co własnej małości lepszym od siebie darować nie mogą, zazdroszczą i mruczą. W tym razie to mruczenie, albo przebieglejsze od niego milczenie, będzie tembardziej naturalnem, że nie sama zazdrość tylko, nie samo współzawodnictwo, temwięcej zawzięte, że się bezskutecznem czuje, ale połączona wściekłość wszystkich fałszów sprzysiądz się może na to dzieło, które we wszystkie fałsze godzi tak śmiało i tak potężnie. Ono stawia wysoko wiarę, kiedyśmy przecie wyszli z tego barbarzyństwa i w postępie naszym bez wyznania się obchodzimy! poświęcenie i bohaterstwo, kiedy to rzeczy tak niepozytywne! honor, kiedy światem przecie interes rządzi! Cześć przeszłości, zacofanej, katolickiej, szlacheckiej kiedy my jesteśmy inni, a przecie my, to przyszłość! Miłość ojezyny wreszcie, kiedy ona także jest przebyłym przesądem, a celem i ideałem kosmopolityczna jednostajność, bez różnicy narodowości i ojezyny! Wszystkie te przeczenia Boga, wiary, historyi, ojezyny, są zaprzeczone i zagrożone tą książką. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby wszystkie mścił się chciały, i na nieszczęście nie byłoby dziwnem, gdyby znalazły łatwowiernych. Bo coraz mniej znajomości dziejów, coraz mniej

polskiej tradycyi, a kto ich ma niewiele, temu na widok tych bohaterów i bojów serce nie zabije, ani się podniesie.

Ale też ci, którzy to wszystko mają i to wszystko czezą, którzy umieją i za Pilawieckie czy inne grzechy i hańby się wstydzic, a jak w słońce patrzeć w „Żółtkiewskiego zgon, Czarnieckiego hart, Sobieskiego europejski czyn“, a czuć, że ich te zasługi i te chwaly obowiązują, ci niech Bogu dziękują, że ta książka jest, i niech go proszą, żeby dobremu ziarnu, jakie w niej jest, błogosławił, a pomimo cierni i wiatrów, posuchy i kamieni, rozmnożyć mu się na dobrej roli pozwolił. Niech młode wyobraźnie, które czemś zachwycać się potrzebują, rozkochają się w tych ludziach; niech młode serca po raz pierwszy do takich bohaterów, do takich czynów, do takich miłości zabijają; niech te rycerskie, te polskie katolickie uczucia i sumienia do naszych dzisiejszych przemawiają, niech je wzruszą, niech się im za wzór, przykład, ideał postawiają, a w zdrowiu i jędrnej sile prosto rosnać, szeroko się rozrastać będą dusze. Na małość i znikczemnienie, na smutne oswojenie z kłamstwem i podłością, na łatwo-wierność względem fałszywych, choć niby szlachetnych aspiracyj i celów, na tę wreszcie niedokrewność moralną, która jest jedną z chorób naszego społeczeństwa i wieku, wpływ tej książki może być antidotem; wszystkich nie zbawi, ale bodaj niektórych może wzmocnić, ubezpieczyć, obronić od zarazy, bo może w miłości i czci dobrego kształcić, podnosić i hartować serca. A tego nam bardzo potrzeba. Bo pamiętajmy, nigdy dość sobie tego powtarzać nie możemy, że i my w oblężeniu jesteśmy. Że jak Wiedeń za króla Jana, jak ci w Zbaraży, tak dziś dusza ludzka, a cóż dopiero dusza polska, opasana jest dokoła przemożnymi siłami nieprzyjaciół. Szturmy do niej ze wszech stron, podziemne rycia coraz bliższe, załoga coraz mniejsza, zapasy obrony i żywności ubywają z każdym dniem, a odsieczy znikąd; nikt przez bagna do króla nie przebrnie, a tylko do jednego króla przez powietrze dostanie się głos, jak z owego pobojowiska „Przed oczy Twoje Panie winy nasze składamy, a karanie, które za nie odbieramy, przyrównywamy“. Wszystko podobnie jak w Zba-

rażu. Moc pogańska nieprzeliczona otacza i ciśnie, i jak wtedy „nieprzyjacieli na to się usadził, by sługi Twoje z Ojczyzny wygładził“, urągowska, natrzęsania i obelgi oblegających, jak wtedy, tylko kłamstwa więcej w nich jak wtedy, bo tamci nie byli tak zepsuci i podli; głód jest, głód duszy, której się dowóz prawdy religijnej, historycznej, moralnej coraz bardziej przecina i zamyka; a jak zaraźliwe wyziewy gnijących trupów ze Zbarazkich stawów, tak naszą nieszczęsną załogę obrzydliwością i niezdrowieniem swym zatrucę echa wszystkie fałszywe nauki, materyalizmy, panslawizmy, kosmopolityzmy, nihilizmy; — co się zgładzić nie dało żelazem i ołowiem, to się może da zgnilizną skazić, i może się w niej chemicznie rozłożyć. Jest dzięki Bogu i obrona: Ksiądz Muchowiecki jak może obchodzi mury ze *Sanctissimum*; są tacy, co wyrwy w wałach zatykają pilnie, pracowicie i starają się naprawić co zburzone; jest odpór i postanowienie odporu, nie bez trudu i nie bez męstwa. I w tej obronie padają czasem co najlepsi, najwyżsi właśnie poświęceniem i duchem, i oblegający mogliby z tryumfem pokazać nam zwłoki niejednego co padł z trudu i umęczenia, i mogliby wołać: myśleliście, że ten was jeszcze bronić będzie? Przypatrzcie się, już go niema. Mogliby na urągowsko na jakiej belluardzie ukazać obłożonym zwłoki Szujskiego naprzykład, całe pokłute pociskami: tylko te pociski w niego nie z ręki nieprzyjacielskiej godziły. W tem obłożeniu tedy ta powieść, historia razem i poemat bohaterski, to nie odsiecz, bo odsiecz dziś znikąd być nie może, ale to dzielny posiłek. Omdlewającym na puszczy ukazywał Mojżesz żelaznego węża, a kto się w ten znak wpatrywał, temu przybywało sił i życia. Wysoki ideał męstwa, honoru, poświęcenia, stałości, miłości Ojczyzny, to także znak, w który patrzeć jest zdrowo, bo od takiego zapatrzania „dźwiga się naród, krzepi się duch“. Dobrze robi, kto taki pokazuje; szczęśliwy, kto go dobrze umie pokazać. I dziś, jak wtedy: Skrzetuski broni Zbaraża.

III.

P O T O P.

Mówić o *Potopie* dopiero dziś? rzecz to spóźniona zapewne, ale usprawiedliwiona zawsze, bo są dzieła, które pozwalają o sobie mówić, choć przestały być nowością. Autor jednak, winien się wytłómaczyć z tej zwłoki. Nie pochodziła ona z opieszałości, ani z obojętności, tylko poprostu z pewnej trudności, jakiej doświadczył sprawozdawca, kiedy się znalazł wobec tego dzieła. Potrzebował on dużo czasu, dużo namysłu, żeby własne wrażenia uporządkować, żeby doprowadzić do zgody niektóre wrażenia sprzeczne, żeby wyrobić sobie zdanie uzasadnione, na którym polegałby z niejaką ufnością sam, zanimby z niem przed drugimi wystąpić się ośmielił. To ważenie się i dojrzewanie wrażeń i sądów trwało dość długo, i zaledwo dochodziło do końca, kiedy w ślad za *Potopem* zaczął bardzo rychło wychodzić *Pan Wołodyjowski*. Ten miał być krótki, mówiono; zatem lepiej już może poczekać i obie powieści w jednym sprawozdaniu połączyć? *Wołodyjowski* tymczasem ciągnął się dłużej niż zapowiadano; otem wymagał i on także czasu do rozważki i namysłu, i oto powód tego dziwnego zjawiska, że o rzeczy, którą cały świat polski czytał w naprężeniu zajęcia i pośpiechu, o zda-

¹⁾ Pisane w roku 1888 pod tytułem: *Z najnowszych powieści polskich.*

zeniu w literaturze polskiej, jakim od *Ogniem i Mieczem* musi być powieść Sienkiewicza, pismo nasze mówi tak późno.

I.

Nie doznaliśmy ani widzieli wrażenia, jakie sprawiały ukazując się, dzieła Mickiewicza i innych około niego poetów, ale to wiemy i możemy zaręczyć, że za naszego życia, w którego ciągu jednak drugie już pokolenie dorosło, nie było w Polsce ani jednej książki, któraby wywarła wrażenie takie, jak *Ogniem i Mieczem*. Po tem uniesieniu, po tym zachwycie podziwu i wdzięczności, w jakim ono zostawilo swoich czytelników, nieuniknionem było naprężone, gorączkowe oczekiwanie powieści następnej, a nie miały już miary i granic nadzieje, jakie się do niej wiązały. Wyobrażenia czytelnika rozumnego, a podniesionego na duchu, rozmiłowanego w tem co świeżo był poznał, pracowała, by odgadnąć jakie będzie to, co miał dopiero poznać; bujała i roila śmiało, zachwale, i na podstawie tych piękności, które już były, budowała gmaehy nowych, coraz to wyższych, coraz świetniejszych, bez końca. Ten człowiek, który chciał pisać powieść historyczną, a napisał epopeję (bez wiersza tylko), który dusze i fizyognomię dawnej heroicznej Polski tak odgadł i tak przedstawił, który tragedję historii polskiej ujął i schwytał w jej pierwszym akcie — w Chmielniczychynie — tak, że każdą jej boleść i każdą jej wielkość sam wziął w serce i na sercu czytelnika wypalił ją jak stygmat, coż on dopiero zrobi, co on nam pokaże, jak dojdzie do drugiego, do trzeciego aktu tej tragedyi, groźniejszego, straszniejszego, bardziej rozdzierającego! On, który pół nieszczęścia tak uczul i dał uczuć, jakie on znajdzie dopiero słowa i obrazy, żeby dać uczuć nieszczęście całe, — nie już Ruś przez Chmielnickiego spustoszoną i zatraconą, ale Koronę całą zdeptaną rajtarskim butem Szweda, a Litwę nieszczęsną, wydaną na lat siedm tym rękóm i losom, które wróciły potem — na dłużej! A on, który z obrony jednego Zbaraża ani tak ważnej, ani tak zwycięzkiej, takie cudowne

wydobył obrazy grozy i bohaterstwa, czegoż on nie dokaże dopiero, gdy w oblężeniach, szturmach i odporach chodzić będzie nie już o jedną część, ale o samo życie ojezyny? Co on zrobi z Czarnieckiego zasłaniającego, a dopieroż podbijającego Kraków! Co nadewszystko z oblężenia i obrony Częstochowy, która tak była cudownym początkiem zwycięstwa i wyswobodzenia, że świat współczesny widział w niej prawdziwy cud boski, a w naszej pamięci, w naszym uczuciu, ona takim do dziś dnia została? Do jakiej niewidzianej wysokości dojdzie jego natchnienie, jego wyjątkowa moc i zdolność uczucia za dawną Polskę, kiedy te przedmioty dadzą im ognia i lotu?

Oto przedmiot tej gorączkowej ciekawości, z jaką czekało się na *Potop*; sam jego tytuł (naprzód znany), wskazywał, że autor zna dobrze kolosalne rozmiary przedmiotu, i bezdeń klęsk, którą on wywołuje w pamięci.

Czy mamy przyznać odrazu, że *Potop* nie zrobił nam takiego wrażenia, na jakie czekaliśmy z biciem serca? Owszem, mówimy to śmiało i z góry, bo mamy przekonanie, naprzód, że wina była w tem oczekiwaniu naprężonem, a nie w dziele, bo następnie autor *Potopu* jest za duży na to, by by go krytyka zmniejszyć mogła; bo wreszcie mówimy o pierwszym wrażeniu, które po drugim i trzecim czytaniu zmieniło się bardzo. W pierwszym podziwialiśmy wiele, często, gorąco, ale czegoś nam przecie zawsze brakło. Niebezpieczne (a nieuniknione) zbliżenie z *Ogniem i Mieczem* przeszkadzało nam od pierwszej chwili; przypominało ową pierwszą wiosnę roku 1648, i Chmielnickiego, którego „krok wyciskał z ziemi krew, a oddech wzniecał pożary“, ów pierwszy akord wspólniejszej złowrogięj uwertury; i było nam jakoś nieswojo i ciasno w czeladnej izbie szlacheckiego dworu na Żmudzi, wśród wrzecion, kądzieli i spokojnych pieśni. Testament świętej pamięci Herakliusza Billewicza? co mnie do Billewicza i do jego testamentu? co mnie obchodzi jego wnuczka i zamężcie wnuczki? Pokaż mi Radziejowskiego, jak zdradza, Karola Gustawa, jak z pod kopyt swoich koni dobywa krwi więcej niż Chmielnicki, a oddechem gorsze wznieca pożary;

daj mi uczuć, co się działo w Polsce, a nie opowiadaj co się działo w Wodoktach! Darmo refleksya brała autora w opiekę i mówiła, że z umysłu zaczął inaczej i skromniej, żeby nie powtarzać, nie przypominać dawniejszego dzieła, nie narażać się na zarzut, że naśladuje sam siebie; uczucie przekonać się nie dało i załilo się, że mu brak tego potężnego tragicznego tonu, który tam opanował i oczarował je odrazu. Dalej, pyszny był Janusz Radziwiłł, i taki, jakiego nikt inny stworzyłby nie potrafił; ale jego noeny monolog, jego walka z sobą samym, wydały nam się parą do bezsennej nocy księcia Jeremiego, a (niezależnie od innego końca) nie na równej z tamtą wysokości. Częstochowa wydała nam się mniejszą od Zbaraża, heroiczne wycieczki Kmicica niemniej heroiczne, ale nie tak plastyczne, ani tak wzruszające, jak wyprawa Podbiپیęty i Skrzetuskiego. Kończyliśmy pierwsze czytanie z tem uczuciem, że tam była sama tragedia historii polskiej — tu przygody pana Kmicica za panowania Jana Kazimierza; tam wielka, wzniosła myśl moralna i patryotyczna wychodziła sama z czynów i postaci, które autor naprzód w swojej wyobraźni ujrzał i w nich się rozmiłował, tu była ona założeniem z góry postawionem, teza, podług której układały i do której stósowały się postacie i czyny. Tam było dzieło wyjątkowe, niewidziane nigdy, którego nazwać i określić się nie umiē, skoro epepeją nazywamy tylko to, co jest pisane wierszem; tu była bardzo piękna, wspaniała powieść historyczna.

Powtarzamy jeszcze, że mówimy o wrażeniu z pierwszego czytania, a wiemy dobrze, w czym i gdzie jest powód, początek tego (względnego) rozczarowania. Oczywiście w tej wrodzonej a tak silnej własności i pasyi natury ludzkiej, przez którą człowiek chce, żeby wszystko było tak, jak on rozumie i zamierza. Namiętne przywiązanie do własnej woli jest w nas tak uparte, że co się z tą wolą nie zgadza, to nam wydaje się złem, a przynajmniej nie podoba się. Niedość, że w życiu i w historii wszystko (według naszego rozumienia) byłoby dobrze, gdyby było tak, jak my chcemy, jeszcze i w sztuce pomysły i kreacye artystów miałyby na-

ginać i stosować się do naszego pojęcia i woli; a jeżeli od nich odstępują, nie trafiają nam (a przynajmniej nie tak łatwo) do serca i do wyobraźni. A jak w życiu najczęściej jest to marnem, choć może nieraz być słusznem, bo rzeczy idą swoją siłą, nie troszcząc się o to, co my o nich myślimy, tak w literaturze i sztuce jest i marnem i niesłusznem. Na nie się nie zda i niema sensu mieć w głowie jakiś swój urojony *Potop*, do niego *Potop* Sienkiewicza przymierzać i gniewać się, że niezupełnie do miary przypada; trzeba przyjąć *Potop* jak go Sienkiewicz pojął i napisał. Rysy tamtego polamać, zatrzeć, zapomnieć; a patrzeć jaki jest ten i tak go sądzić. Tę operację (dość trudną) w umyśle swoim odbywszy, dopiero swobodnie i nieraz z prawdziwą rozkoszą zdola się odkrywać i oceniać coraz nowe piękności *Potopu*; dopiero wtedy z niejakim zaufaniem do własnego zdania zdola się widzieć i wskazywać jego słabe strony.

Czy się myliły, czy istotnie pomysł *Potopu* był gruntowniej rozważony, jego plan staranniej naprzód ułożony, aniżeli w *Ogniem i Mieczem*? Właściwa treść, poprawa zachwałego Kmicieca, expiacya jego dawnych grzechów, wreszcie poświęcenie i bohaterstwo, posunięte jak można najdalej, zawsze gotowe, nigdy niezmordowane, rozwijają się pochodem tak logicznym i regularnym, tak łatwo i wyraźnie widzialnym, że plan bardzo obmyślany i wypracowany wydaje nam się rzeczą niewątpliwą. Nie czuło się tego może, kiedy po kawałku czytało się powieść wychodzącą w odcinku dziennika, ale widzi się odrazu, czytając ją całą jednym ciągiem. W pierwszym tomie po owej expozycyi, ukazującej Kmicieca dzielnego, ale nadpsutego własną butą i złem otoczeniem, budzi się w nim za pośrednictwem miłości uczucie, że błdził, i chęć uczynienia zadosyć. Ta chęć, podchwyciona i oszukana przez przewrotnego Janusza, sprawia, że Kmicie (z wielkiem poświęceniem i odwagą) przyjmuje na siebie złe pozory, służy temu, którego wszyscy mają za zdrajcę ojczyzny. W tomie drugim otwierają mu się oczy stopniowo, poznaje zdradę i zdrajców, chce i im oddać za swoje i stanąć po dobrej stronie i własną sławę ratować. Pod przybra-

nem nazwiskiem broni Częstochowy i prawie ją (rozsadzeniem wielkiej armaty) ocala; to tom trzeci, w którym Kmicie jest nie tylko rozgrzeszony i poprawiony, ale bohaterski i doskonały. Poprawa już dostateczna, ale expiacya jeszcze nie. Toteż w następnych tomach coraz nowe hazardy, poświęcenia, zwycięstwa nad drugimi i nad sobą, aż wreszcie po ostatnich trudach i ostatnich wyrzeczeniach się siebie, dobra sława nie tylko powrócona, ale jaśniejsza jak słońce, i nagroda, ręka Oleńki, zapowiada szczęście całego dalszego życia.

Popatrzmy na ten *Potop*, nie taki, jak myśmy go sobie wyobrażali, ale taki, jak jest. Przyzwyczajeni widzieć główny prąd tych wypadków tam, gdzie są Szwedzi, nie możemy zrazu pojąć, dlaczego autor każe nam być na Żmudzi, a nie w Wielkopolsce, do której oni wkroczą; albo nie w Warszawie, na którą jak grom spada wiadomość o wojnie i o wylądowaniu. Sprawia to może niejaki roztargnienie, uwaga mimowolnie zwrócona jest w tamtą stronę; słuchamy jednym uchem, co autor opowiada, ale nadstawiamy drugie, czy nie doleci z kąd jakie echo, jaka wieść o tem co się dzieje daleko. Nie! przyjdzie to z czasem, nawet dość rychło; ale teraz jesteśmy na Żmudzi, tylko na Żmudzi, w domu młodej panny, sieroty, która z prządkami w czeladnej izbie przepędza wieczory, a gdy wrzeczona waresz i pieśni jednostajnie się ciągną, marzy, stara się zgadnąć jaki jest ten nieznamy, którego jej zmarły dziadek testamentem na męża zapisał. Jestto ciche, spokojne, potoczne, jak flamandzki obrazek, wyraziste i żywe jak Sienkiewicza obrazy; a w tej ciszy i powszedniości oświecone jakąś poezją, która jest w czem? w uroku staropolszczyzny? w marzeniach szlachetnego dziewczęcia? Któż zgadnie. Jedno pewne to, że jest w głowie i w duszy autora. Hałas jakiś, niezwykle w jednostajności tego życia, o tej wieczornej godzinie, sanie zatrzymują się przed domem, a we drzwiach ukazuje się człowiek, który o sobie mówi: „jestem Andrzej Kmicie“.

Ukazuje się w całym blasku rycerskiej młodości i piękności, wytwornego stroju, w który się przybrał, dumnej od-

wagi i pewności siebie, która mu strzela z oczów. To nie idealny Skrzetuski, taki poważny, taki aż święty prawie, że się raz tylko rozśmieje (kiedy mu kukulka dwunastów synów wywróży), a zresztą o tem tylko myśli co powinien. Ten jest wesoly i gwarny, obcesowy i porywezy, despotyczny zapewne, a może gwałtowny; ale jak mu pięknie z tą przywykłością do rozkazywania, z tą śmiałością, która się nikogo nie ulęknie i nikomu nie ustąpi. Takimi zwykle dziewczęta wyobrażają sobie bohaterów... taki od pierwszej chwili, jakżeby swoje znanie wypalił na sercu Oleńki. A że gdzieś tam za coś cena położona na jego głowę, to niesłusznie pewno! a niebezpieczeństwo nad nim wiszące, a wesole lekceważenie, z jakim o nim mówi, dodają mu tylko uroku. Przyszedtł, zwyciężył... ale nie opanował. W pierwszej rozmowie już Oleńka, choć nie o nim nie wie, stawia mu czoło śmiało i stanowczo, żąda uszanowania dla swoich opiekunów (ubogiej zaściankowej szlachty), prosi, żeby się w dumie i porywezości hamował. Rozważna, stanowcza, niezłomna dusza dziewczęcia, niema jeszcze sposobności dać się poznać, ale się daje poczuć i zaznacza w tej pierwszej rozmowie.

Nie Skrzetuski to, nie: Bohun raczej namiętny, a w gniewie szalony i dziki, tylko bez ruskiej Bohuna rzewności i tęsknoty, bez goryczy upokorzonego kozaka, a bardziej od tamtego zepsuty. Natura szczerze polska i szlachecka; nie w nim skrytego ani udanego, wesolości i pogody wiele, nie marzeń i melancholii. Ale jak tamten w smutnej, tak ten w krewkiej namiętności zdolny do szału, do okrucieństwa, do barbarzyństwa. Dzielności zasób w nim ogromny, ale rozłukanie większe nad wszystko. Ludzi czy prawa, przeskoczy, stratuje, zmiażdży, wszystko co mu stanie w drodze. Kondemnat na nim tyle, że gdyby czasy inne, gdyby rządy i sądy jak zwykle, musiałby dać głowę pod miecz, albo sam do kozaków uciekać. Ale kto mu co zrobi? ma swój poeżt łotrów, wywołańców, rozbójników, którzy za nim pójda w ogień, bo za jego komendą i chorągwią, niema dla nich miejsca na świecie, ani ratunku; z tymi jak Chowańskiemu umiał dać się we znaki, tak i hetmanowi i samemu królowi

potrafi. Śmiałością, butą, dzielnością, namiętnością, dzikością wreszcie i zemstą, choć zupełnie inny jak Bohun, przypomina go przecie; a jak tamten dla Heleny byłby został Polakiem, tak ten przez Oleńkę zrzuci z siebie dawnego awanturnika i gwałtownika, i stanie się czystym przed Bogiem i ludźmi. Czy Sienkiewicz myślał o Bohunie, i o tem, żeby na parę do niego stworzyć człowieka odmiennego, a jednak podobnego? Później, kiedy się zacznie poprawa i pokuta Kmicica, już Bohun przypominać się nie może, ale w początkach nieraz staje w oczach ze swoją złością i dzikością, w której przecie tyle jest dobrego.

Natraczał Kmicie w pierwszej scenie coś o swoich sprawkach i towarzyszach, ale zlekka; teraz odchylają się zasłony jego przeszłości i jego charakteru. Kokosiński, Ranicki, Kulwice, Zend, Rekuć, Uhlik, czekają i przyjmują go pijani w jego Lubiczu. Co za fizyognomie, i co za dzieje tych ludzi! Jeden skazany na śmierć za gwałt i morderstwo; drugi rozpedził trybunał; trzeci w kości przegrał wszystko co miał. i tak dalej... Zbóje? czy żołnierze? ludzie na żołnierzy stworzeni, ale na opryszków wyszli. To podkomendni oficerowie tego pułkownika, jego towarzysze i przyjaciele. Zaczyna się pierwsza uciecha, pierwsze zgorszenie, początek i zawiazek całej sprawy: pijatyka, strzelanie do łbów jelenich i dziczych, postrzelanie Billewiczowskich starych portretów na ścianach, napastowanie dziewcząt po wsi...

Miłość rośnie w obojgu, ogarnia ich, owłada, porywa prawie i unosi (śliczna jazda saniami); Kmicie panuje nad Oleńką siłą swojej woli, ale ona działa na niego szlachetnością, czystością swego serca. Zdziczyły junak niewiele ma wyrzutów sumienia, nie zdaje sobie sprawy, że złe jest jego życie, a on sam nie dobry; jednak przed nią i dla niej instynktem stara się być miększym, łagodniejszym, i swoich „baranków“ trzyma krótko, żeby się nie wydali jakimi są, nie przestraszyli, nie obrazili, nie zrazili dziewczyny. Prózne staranie! Excessy w Lubiczu dochodzą do wiadomości Oleńki, potem w Upicie exakeye Kmicicowych żołnierzy, zwada

z uciśnionymi mieszczanami, miasteczko spalone — w całej okolicy nie tylko płacz i lament.

Panna staje po stronie uciśnionych. Kmicieca samego w sercu bardzo rozkochanem uniewinnia jak może, ale jego towarzyszom pokazuje drzwi swego domu. Gdy wszakże on sam powrócił, gdy się prawdy zaprzecić nie mógł, gdy owszem jak małe uchybienie opowiedział, że burmistrza z Upity bato-gami wysmagał, wojsko królewskie broniące miasta rozgromił, a oficerów nagich, bosych, po śniegu i mrozie nahajkami przy koniach pędził, wybucha pierwsza walka między temi dwoma charakterami, dwoma sumieniami, walka między miłością a oburzeniem w sercu Oleńki. „Musisz wybierać między mną a tymi rozbójnikami“; a gdy Kmicie tłumaczy, że to nie rozbójnicy, tylko oficerowie, którym nieraz życie był winien, ona odpowiada stanowczo, że nie pójdzie za takiego, „na którym ciężą lży ludzkie i krew, którego bannitem i rozbójnikiem zowią.“ On czuje z wściekłością zniewagę, z rozpaczą, że ją traci, ale nie rozumie, o co jej chodzi. „Czego chce odemnie?“ — „Żebyś był uczciwy“, brzmi odpowiedź po której następuje krótkie, pełne goryczy i namiętne żalu pierwsze rozstanie.

Kmicie jedzie do domu z dobrmi nie postanowieniami jeszcze, ale popędami; może ona ma słuszość? może lepiej odprawić tę kompanię i zacząć inne życie... Z tej drogi, na którą weszły jego uczucia i myśli, zbija go zemsta szlachty Laudańskiej, wymordowanie jego towarzyszy.

Pyszna scena, kiedy Kmicie w Lubiezu zastaje dom ciemny i cichy (jak Wacław Malczewskiego wracając do Maryi), kiedy myśli, że się „barankowie“ popili, kiedy pyta a odpowiedzi nie słyszy, kiedy wreszcie przy migocącym świetle kaganka widzi sześć trupów rzędem starannie pod ścianą ułożonych. Ta scena zgrozy, te straszne wyrazy nieboszczyków, to wszystko okropnością swoją i mistrzowskim wykonaniem narzuciło się uwadze czytelników, wyobraźni artystów, którzy zaraz efektową scenę illustrowali rysunkiem. Były zdania, że to podobne do sceny w Rozłogach, do wymordowania Kurcewiczów przez Bohuna. Czem podobne?

chyba tem, że okropne także; bo zresztą ani sposobem traktowania, ani żadnym szczegółem. A jeżeli tamten obraz bardziej rozwinięty, cały w ciągu przesuwają się przed oczyma, a przez to może więcej jeszcze robi wrażenia, to ten w budowie, w związku, w planie całości, bardziej jest potrzebny i konieczny. Tam dalsza rola Bohuna mogłaby być jaką jest, i cała dalsza powieść także, choćby nie było tych mordów; tu Kmicie nie byłby rozwściekły się gniewem i zemstą, nie byłby spalił zaścianka, nie byłby zgubił się w opinii Oleńki, gdyby nie śmierć kompanionów. Ale jest w tej scenie jeden szczegół tak drobny, że go nie dojrzano, a tak delikatnego uczucia i dotknięcia, że przez to samo uszedł niejednego grubszego męskiego wzroku. Odkrył go czulszy, bystrzejszy wzrok niewieści. Pomędzy tymi łotrami, przyjaciółmi Kmicica, był jeden, Rekuć, na którego rękę i sumieniu nie było krwi ludzkiej, chyba nieprzyjacielska w wojnie wylana. I tego jednego Kmicie zastaje żywym, ten jeden woła o „księdza“, i tem ostatniem swoim słowem wyznaje skruchę. Łaskę dobrej śmierci dał autor temu jednemu, w którego życiu nie wołało o pomstę do Boga.

A teraz przepadają gdzieś ten lepszy Kmicie, który przed chwilą jechał do Lubicza, wraca dziki i straszny; trzeba mu krwi, trzeba mu zemsty za zarzniętych... i za chwilę w Wołmontowiczach pożar i rzeź; sprawca ścigany znajduje schronienie pod dachem Oleńki, w jej pokoju; ale Oleńka choć go ukryła, a pogoń zmyliła, przeklęła go tak jak pokrzywdzeni, a gdy odeszli, pożegnała słowem: „Precz — na wieki!“

Jeszcze dwa listy śliczne: Kmicica pełen skruchy, łez, prośb i miłości; Oleńki, liściowaty, ale wbrew sercu surowy, i stanowczy, wbrew temu sercu, które posłańca tak niespokojnie, tak tęsknie wypytuje o pana!... Prolog skończony.

Kortyna się podnosi i ukazuje inny, sielankowy obraz. Wprawdzie zdaleka słyhać groźne grzmoty, zapowiadające wojnę, a niedaleki i niedawny jest pożar w Wołmontowiczach; ale na świecie wiosna się zaczyna, rzeki puszczają, słońce już trochę grzeje, w Pacunelach spokojnie i cicho, a w domku starego Gasztowtta pod opieką jego trzech córek,

leczy się z ciężkich ran odebranych w moskiewskiej wojnie młody pułkownik... dawny znajomy, dawny przyjaciel, Wołodyjowski, który po śmierci księcia Jeremiego przyjął służbę w litewskim wojsku, znęcony wojskową zdolnością hetmana, Janusza Radziwiłła. Śliczna scena. Stary zrzędzi, dziewczęta patrzają jak w słońce w tego wojaka, który im dziwy opowiada o nieznanym świecie, o Warszawie i królewskim dworze, o wojnach i bitwach. Jedna z nich patrzy na to słońce przez łyżki pierwszego rozmarzenia, pierwszego rozczulenia; żołnierz fałszywo intonuje jakąś piosenkę; panny sznurując usta (a czuje się, że piskliwo, umyślnie z gardła) śpiewają jakąś swoją o zdrażliwych chłopcach. Ciche to, łagodne, miłe a żywe, jak żeby się pośród nich było. Wtem gwałt, rozruch, wołanie o pomoc. To Kmicie porwał pannę z Wodoktów! Szlachta z okolicznych zaścianków chce ją odbić, a dowództwo w wyprawie oddaje pułkownikowi. Pułkownik choć z ran nie wyleczony jeszcze, obmyśla plan strategiczny, napada na Lubicz, otacza dwór i przypomina sobie swoje dawne sztuki w pojedynku z Kmicicem, któremu naprzód jak dla zabawki szablę wytrącił, a potem zadał sztych śmiertelny. Przypomina może i swoje dawne pojedynki, pojedynki z Bohunem naprzykład; ale jak on od tego czasu nie zapomniał się bić, tak Sienkiewicz nie zapomniał pojedynków malować. Ten jest godny wszystkich dawniejszych, a śliczna po nim ta scena, kiedy Oleńka, która się Kmicieca wyrzekła, ale kochać nie przestała, z udanym spokojem pyta o jego życie, i głowę rannego, nieprzytomnego własnymi rękami podtrzymuje i składa na pościeli.

Pierwszy zamiar się nie udał: gwałtem Kmicie Oleńki nie wziął.

Wołodyjowski, zawsze tensam, koehliwy, jak go znamy a bez szczęścia; o Anusi Borzobohatej wprawdzie nie zapomniał, ale nie wiedząc gdzie ona jest, co robi, czy za mąż nie wyszła, rozkochał się w Oleńce. Wahał się, namyślał, aż wreszcie pojechał, oświadczył się i dostał rekuzę. (Śliczny w tym ustępie ten kozak zakochany w jednej z córek staro Gasztowtta i zdecydowany zostać przy niej do śmierci,

czy go zechce czy nie zechce). A tymczasem nareszcie zczynają zwolna rozstępować się te chmury, które dotąd zakrywały publiczne sprawy i historyczne wypadki. Charłamp przywozi Wołodyjowskiemu list zapowiedni od hetmana, żeby zaciągi robił i chorągiew do lipca gotową postawił, bo wojna za pasem. Drugą miałby zabrać Kmicie. Ale że to podobno człowiek swawolny i niedobrej sławy, przeto na Wołodyjowskiego sąd zdaje hetman, czy mu sprawę tę powierzyć można; według własnego uznania ma Wołodyjowski albo oddać Kmicicowi drugi list zapowiedni, albo go przy sobie zachować.

Tęgi oficer — waleczny? pannę napadł, ale ze swoimi, nie z Trubeckiego ludźmi, więc nie zdrajca, jak tu w okolicy mówią? więc jedzie Wołodyjowski do Lubicza i list oddaje. List ten, to deska zbawienia dla skazańca i bannity. Hetman zasłoni go przed prawem, bo odtąd sam tylko będzie miał nad nim prawo, a w wojnie Kmicie potrafi się dosłużyć i sławy, i Oleńki. Nowy zwrot w jego losach, pełen skutków nieprzewidzianych, pełen tragicznych zawikłań.

Warto uważać, jak ten charakter, a z nim wątek powieści, odsłania i rozwija się coraz bardziej, organicznie, sam z siebie w regularnych, dobrze widzialnych, nieledwie symetrycznych odstępach. Ale teraz, kiedy go na takim punkcie zwrotnym postawił, porzuca autor Kmicica: niech zbiera chorągiew dla Radziwiłła, a autor tymczasem ma co innego do pokazania.

Co? To nareszcie, czego się od początku łaknie, a zarazem jeden z tych obrazów, których on posiada tajemnicę, z tych, któremi głowy zawraca a serca rozdziera; taki, że świetniejszego sam nigdy nie napisał. Wielkopolska! Pospolite ruszenie zbiera się pod Ujściem, bezładne, od wojny odwykłe, nieliczne (bo właśnie strzyż owiec); materiał może dobry, ale na oczekaniu wojsko się z tego nie robi. A z drugiej strony ciągnie Wittenberg ze swoją siłą tak wyćwiconą i wprawną, jak żeby cała była jedną wolą, jedną myślą, jednym człowiekiem, czy jedną maszyną. Zjeżdżają do obozu wojewodowie, kaliski naprzód, lękliwy, mdły, o swojej odpowiedzialności ciągle gadający, jak stworzony na to, żeby w drugich psuł tego ducha, którego sam nie ma.

Za nim poznański! o czemu ten jeden raz, czemu tak krótko tylko pokazany, czemu nie można napatrzeć mu się dłużej, żeby wbić sobie w pamięć każdy rys tego typu zdrajcy. Wspaniały, majestatyczny, nadęty, pięknymi frazesami sypiący (nawet rozumnie), przewrotny jak szatan, a mały jak robak, objeżdża ten obóz i każdym słowem, każdym gestem demoralizuje go i rozkłada. Nie o nieprzyjacielu myśli, o najeźdźniku, na którego napaść drga oburzeniem i zemstą każda uceciwa żyłka w człowieku; nie — on króla oskarża, on przeciw niemu buntuje, on niemyśłące głowy do swojej zdrady przysposabia. A Katon przytem, a wielki senator, a obrońca wolności, a w swoim majestacie dla braci szlachty łaskawy, tylko kilkoma rysami skreślony a zupełny, wszechstronny. Ale i osobistość także: i Krzysztof Opaliński jak żywy! ze znanych ale rozproszonych materiałów ulepiony posąg taki, że historia sama stając przed nim, musi zawołać: to on! tensam, takisam jak był! W czyściu, z którego dotąd zapewne nie wyszedł ten wojewoda poznański, na którego głowę spada w części odpowiedzialność i za to nawet, co dziś Wielkopolska znosi, powinnyby mu dać ten rozdział do przeczytania; byłaby taka kara, takie upokorzenie, taka zgryzota, że może przez to odpokutowałby część swojej winy. A jak nie nie przesadzony! jak wprowadzony bez prozopopei, bez jednego frazesu, jak nie z uwag i dygressyi autora, ale z niego samego bije to złowrogie światło, które go oświeca! Błazen, jako głos prawdy i sumienia, jest zapewne środkiem już mocno zużytym, ale i ten błazen Ostróżka nawet ze swymi wierszami robi dobry efekt, kiedy na tle tego obozu pełnego głów bezmyślnych, dobrych instynktów, samorodnych conceptów i rozstroju, rysuje się i przeciąga ta w swoim niecnym rodzaju klasyczna, i jako dzieło sztuki klasyczna także figura Opalińskiego.

Obok tej intuicji historycznych postaci, ma Sienkiewicz dar drugi, może jeszcze rzadszy, a w każdym razie bardziej przywiązujący. Umieć czuć publiczne nieszczęścia tak, jak je czuli najlepsi ze współczesnych, i zarazem tak, jak je czujemy my, wydziedziczeni pogrobowcy, których zęby po-

cierpły od kwaśnych jagód kiedyś zjedzonych. Szujski ma ten dar także, to główne znamię, a może i siła główna jego dramatów. Ale oprócz Szujskiego, nikt w naszej literaturze nie ma tej własności w tym stopniu, co autor *Ogniem i Mieczem* i *Potopu*. Przypominamy ten cudowny ustęp (krótki, kilkanaście wierszy) o ziemi polskiej, kiedy ją Szwedzi pierwszy raz ujrzeli, ozłoconej słońcem, falującej zbożami, mlekiem i miodem płynącej, w ostatniej chwili swojego piastowskiego spokoju, w pierwszej tych nieszczęść, których lawina rośnie jeszcze ciągle i jeszcze na dno nie spadła.

A w szwedzkim wojsku dopiero — znowu ten jeden raz niestety — Radziejowski, nie zdrajca z melodramatu, nie mąż skrzywdzony na czei i szukający odwetu, nie! prosty cynik zimny i zły, sarkastyczny, z rozkoszą gardzący wszystkimi, bo musi gardzić sobą; na szatana za podły, ale do niego w karykaturze podobny — Radziejowski, kiedy Wittenbergowi kreśli moralny wizerunek Opalińskiego, kiedy później przed szlachtą płacze nad nieszczęśliwą ojczyzną, jest godzien Opalińskiego, i choć tak epizodyczny niestety, godzien najlepszych kreacyj Sienkiewicza.

Piławieckiej sromoty nie przedstawił w swojej pierwszej powieści; czy mu nie wchodziła w plan, czy może była za przykra? Ale kapitulacyi pod Ujściem, ale poddania Wielkopolski Szwedowi nam nie darował; owszem, wystawił je z całym wstydem, z całą rozpaczą, z całą nieubłaganą prawdą upadku, i z całą potęgą sumienia, wołającego o dźwiganie się. A te rysy straszliwe nie tak wyraźnie jeszcze przemawiają przez skargi i przekleństwa ludzi uczciwych, gdy się o poddaniu dowiedzieli, ile we wzajemnych uściskach Opalińskiego z Radziejowskim, Polaków ze Szwedami, w wiwatach głośnych na cześć nowego króla Karola Gustawa, i (do miar obrzydliwości) w tej uczcie, którą sobie razem sprawiają.

Ten rozdział to w laurowym wieńcu Sienkiewicza liść jeden z zieleńszych, jeden z tych, co nie zwiędną nigdy.

Znikła ta zgroza jak sen, i znowu sielanka. W sadzie, między szlacheckim dworem a stawem, w letni południowy skwar, siedzi pod drzewem siwy starzec. Naprzykrza mu się

dwoje dzieci i każe się ze sobą bawić. W co? w Bohuna, w porwanie Heleny (nie Trojańskiej, ale Kurcewiczówny). Wiemy już, gdzie jesteście! Chłopcy nazywają się jeden Jaremka, a drugi Longinck, na znak uwielbienia dla wodza, i wierności dla przyjaciela; ten stary, to ni mniej ni więcej, tylko Zagłoba, wielki Zagłoba, zaledwo trochę starszy, a tak szanowany i pieszczony w domu, że aż jakoś poważnie, patriarchalnie wygląda. Czytelnik zdziwiony pyta, czy i jemu może wypadnie szanować Zagłobę i wierzyć w jego powagę? Niebawem ukazuje się i sama pani Helena, z trzecim synkiem ucepionym u jej sukni (do dwunastu, których w Rozłogach wróżyła kukułka jeszcze daleko). Jan poszedł do żniwa czy do gumna, ale zaraz wróci. Spotyka się ich z rozczuleniem, z radością i z ciekawością. Jakimi się ich znajdzie? czy się zmienili przez te lat kilka? Niektórzy mówią że tak: że Skrzetuski zwłaszcza ocieżał jakoś i spowszedniał. Nie sądzimy. Tam widzieliśmy go zawsze tylko w okolicznościach nadzwyczajnych, w okazyach poświęcenia i bohaterstwa, w rozmowie z Chmielnickim, w boju, w przeprawie przez Zbarazki staw, i widzieliśmy go heroicznym i świętym do ideału. Ale nie codzień zdarza się taka okazyja na heroizm i na świętość. Gdyby *Księżę Niezlomny* Calderona, zamiast umrzeć w niewoli, był wrócił do Portugalii, ożenił się i spokojnie w domu Boga chwalił i chował dzieci, zapewne także nie wydałby się tak poetycznym, jak kiedy nosi wodę w ogrodach króla Fezu, albo kiedy chory grzeje się na słońcu. Nam, wyznajemy, miło było zobaczyć się ze Skrzetuskim, a widzimy w tem wielki takt i rozum autora, że tego bohatera swojej pierwszej powieści naprzód nie wysuwa, pokazuje go rzadko i epizodycznie, odzywać mu się każe jak tam zawsze głosem obowiązku, honoru i wojkowego doświadczenia, a nigdy już nie daje mu robić wielkich rzeczy, które miałyby do wytrzymania trudne porównanie z jego przeszłością. Nie — ten Skrzetuski nie tylko nam nie wadzi, ale owszem, jest nam miły. Ten drugi, ten stryjeczny Stanisław, co był pod Ujściem, tam chciał się bić, a teraz tu przywozi wieść o poddaniu Wielkopolski i marszu

Szwedów na Warszawę, ten, wyznajemy, jest nam mniej przyjemny. Naprzód niebardzo wiemy, poco on jest? czy żeby był czwartym w zastępstwie Podbiپیęty? czy czwórka była konieczną? a jeżeli już być musiała, to czy zamiast niezrównanego Longina nie należało dać jakiegoś wielkiego *premier rôle*, a nie tę podrzędną *doublure*? Ten Stanisław Skrzetuski bynajmniej nie konieczny, jak Jan porządny, jak on czarny, mówiący, kiedy się odzywa, to co Jan mógłby powiedzieć tylko trochę mdlej, wyraźnej i własnej osobistości zupełnie pozbawiony, wygląda jak zatarta wyblakła fotografia tamtego.

Uradzili we trzech, że skoro Szwed bodaj nie już w Warszawie, król bodaj nie na Szląsku, Korona się nie obroni (i nie broni), a na Litwie Radziwiłł zbiera wojsko i gotuje się, to trzeba iść do Radziwiłła. Helenę z dziećmi ukryli bezpiecznie w Białowiezkiej puszczy, a sami ruszyli do Kiejdan.

Jakkolwiek żal zawsze za znikłym obrazem Opalińskiego i Radziejowskiego, to trzeba przyznać, że jest pociecha i wielka, a jeden z wielkich pierwiastków tragedyi historyi polskiej ukazany jest we wspaniałej, posagowej postaci. Zgodzić się nawet trzeba i na to, że choć Opaliński stoi nam żywiej w pamięci (może dlatego, że był nie większym, ale pierwszym w tych wypadkach winowajcą), to Janusz Radziwiłł lepiej się nadawał do powieści. Rola tamtego skończyła się z jego zdradą; potem on już nie występuje, znika, nie należy do spraw. Hetman litewski zaś, który maskę zrzucił później, knuje swoje plany, przygotowuje swoją zdradę, marzy o litewskiej koronie, grzęźnie coraz głębiej w upadek i w występki, a wreszcie spada ze szczytu swych nadziei i umiera we wstydzie, w opuszczeniu, bezsilny, bezbronny, upokorzony do samego dna swojej dumy. Sytuacja (choć nie figura) była dramatyczniejsza, i dawała się lepiej w wątku powieści użyć. Podniosła też jej znaczenie, jej historyczny charakter, jak postać znowu stała się dla autora nowym i wielkim tytułem do chwały. Janusz Radziwiłł, historycznie zupełnie wierny, głęboko wystudyowany w dokumentach i książkach, a w całości swojej poetycznie pojęty i odtworzony, jest

wielką w naszej literaturze zdobyczą, jest klasyczną figurą zuchwałego magnata, doprowadzonego przez pychę do zbrodni. Tego co w nim wielkie, tego materiału na bohatera a może męża stanu (który w nich był nieraz) Sienkiewicz bynajmniej nie ujmuje, jeżeli to go raczej chyba powiększa. Hetman to prawdziwy i umysł potężny: piętno wyższości, niepospolitej zdolności, wyciśnięte na nim może wyraźniej niż na księciu Jeremim, którego dzielność, bohaterstwo, cnota wreszcie, zasłaniają resztę tak, że mniej się pytamy i troszczymy o jego rozum. Ten jest mądry bardzo, nietylko przebiegły i chytry, ale prawdziwie mądry; czy zuchwale plany buduje, czy widzi jak mu się ziemia z pod nóg usuwa, zawsze mądry, a przytem jak Lucyper pyszny, i jak on zły. Zły nawskroś, zły do okrucieństwa i do nizezemności, i zły z przyjemnością. Książę Jeremi z podobnemi popędami w duszy, a z pokusami silniejszymi, bo szlachetniejszymi, był wspaniałem wyobrażeniem dumy i samowoli zwyciężonej przez sumienie. Tu pierwiastki tesame, w człowieku jeszcze dzielniejszym biorą górę nad sumieniem i honorem, i wydają niby parę do tamtego, ale w zupełnej różności objawów i skutków. Tam dramatyczna walka trwała tylko jedną noc i skończyła się; tu tragedia zbrodni i tragedia podłości ciągnie się długo, dręczy swego bohatera, pastwi się nad nim bez wytchnienia i bez litości. Sztuka nie zdołałaby tworzyć takich postaci, gdyby ich historia przedtem nie była dała poznać; ale ten Radziwiłł jest jedną z tych postaci, które raz przez sztukę stworzone, stają się dla historyi samej pomocnemi i uczącemi.

Idą teraz jedna po drugiej sceny prawdziwie i wysoko dramatyczne. Naprzód podejście Kmicieca przez Radziwiłła, kiedy wdzięcznemu, ufnemu, przekonanemu, że tą służbą dojdzie do sławy i do Oleńki, każe przysięgać na krucyfix wierność dozgonną i cobądźby się stało, a wie, że tą przysięgą wciąga go do zdrady. Potem ta uczta wspaniała, królewska, a ponura jakaś i ciężka, wśród której Kmicie i Oleńka spotykają się, zbliżają, a ona widząc w nim pułkownika świetnego, poszukiwanego, wyszczególnionego między wszystkimi, przypuszcza do serca nadzieję, że może on nie taki

zły, jak się laudańskiej szlachcie wydawał. Wreszcie grom: oświadczenie zdrady, poddanie Litwy Szwedom przez hetmana, i ten straszny chaos zgrozy, grózb, przekleństw — pułkownicy rzucający swoje buzdygany pod nogi zdrajcy; Kmicie, który nie może zrobić jak wszyscy, bo przysiągł! Oleńka która go zdrajcą nazywa; szkocka piechota wchodząca do sali z nabitą bronią, by więzić „zbuntowanych“! Jak pysznie wydałaby się ta scena w teatrze! kiedy czytając, ma się prawie uczucie, że się ją widzi graną przed sobą, a nie opisaną w książce.

A po tem potężnem *tutti*, kontrast i efekt piękny cichego monologu, walki jednego człowieka z własnem sumieniem. Radziwiłł został sam ze swojemi myślami, i pierwszy raz zaczyna kosztować goryczy swego występku. Co zrobił? Litwy za sobą nie pociągnął — nie pociągnie. Opornych zamknie i rozstrzela, ale czy to już wszyscy? Obiecał Szwedom Litwę, a jeżeli ich będzie musiał prosić o pomoc przeciw Litwie, co się stanie z jego powagą? z jego przyszłą koroną? A jeżeli Szwedzi przegrają — jeżeli Jan Kazimierz wróci?... Ten strach i tortura zbrodniarza, ma, jak się rzekło, swoją parę w *Ogniem i Mieczem*, w księcia Jeremiego całonocnej walce z sobą samym, czy ma władzę sam ująć, czy się poddać, w jego niemej rozmowie z Panem Jezusem na krzyżu. Podobnie w Radziwille rozmawia sumienie z pychą, tylko przeciwnie jak tam: sumienie jest pobite, pycha zwycięża. Scena niepospolitej także piękności, po której następuje dopiero najwyższa, najdramatyczniejsza ze wszystkich. Radziwiłł chce Kmicieca przywiązać do swojej sprawy, nie już wdzięcznością albo przysięgą, ale dla zupełnej pewności przekonaniem, uczuciem obowiązku i poświęcenia, wszystkimi dobrymi stronami i siłami jego duszy. Roztacza przed nim cały obraz nieszczęsnego położenia Rzeczypospolitej bez ratunku zgubionej, i cały plan swojej niby polityki. Chce uratować Litwę, kiedy Korona przepadła; bo do tej Litwy kiedyś powróci, przyrośnie Korona. Wyboru niema: Litwa musi być albo jego przez Szwedów, albo Moskali. Jeżeli on

ją weźmie, to wkrótce złączy ją z Koroną napowrót — jeżeli zatrzymają tamci, to wszystko stracone nazawsze.

I Kmicie oszukany, przekonany, wierzy że to jedyna rada i ratunek. Niech go sądzą jak chcą, niech go nazywają zdrajcą, niech Oleńka sema myśli że jest taki, on wszystko wytrzyma, przyjmie każdy pozór, każdą złą sławę, każdą wzgardę, bo chce służyć i ratować, a tylko tym sposobem można ojczyznę ratować! Kmicie zostaje przy Radziwille przez odwagę, przez poświęcenie, przez heroizm. Mylił się i dał złudzić, ale jak się podniósł, co się z niego już zrobiło od czasu jak pił w Lubczu i palił szlachecki zaścianek!

I na tym nowym zwrocie w jego duszy i dziejach, na tym pierwszym szczeblu jego dźwigania się w górę, zamyka się tom pierwszy, wspaniała ekspozycja, aż do zbytku może urozmaicona i bogata w coraz nowe obrazy; ale z tych obrazów każdy w swoim rodzaju i stylu świetny, a mimo całej zmienności i różnorodności, jednolitość treści i budowy doskonale zachowana, doskonale uwidoczniiona i doskonale podzielona na okresy psychologicznych przemian i zwrotów. A obok dramatu Kmicicia, występuje już także i w rysach bardzo potężnych, tragedia historii polskiej. Niema co mówić, to jest rzecz wspaniała, zrobiona przez wielkiego pisarza, wielkiego artystę, wielkiego znawcę i odtworzyciela przeszłości.

Pułkownicy, a z nimi dwaj Skrzetuscy i Zagłoba, zamknięci w ciemnym lochu pod zamkiem: a tymczasem wojsko się burzy. I Szwedom służyć nie chce, i swoich oficerów chce uwolnić. Walce na dziedzińcu przypatruje się przez więzienny otwór Wołodyjowski, a dzielnych żołnierzy bije, rozbija, więzi... Kmicie! To pierwsza scena drugiego tomu, ozdobiona paroxyzmami strachu, fantazyi, i odgrażania się Radziwiłłowi, w których tę noc przebył Zagłoba. Nazajutrz wyprowadzają ich z lochu, sadzają na wozy, wywożą. A więc ich Radziwiłł nie rozstrzela? „a widzicie — mówiłem, że nie rozstrzela“, chwali się przemyślny Zagłoba; a choć po włosku nie umie, myśli, że *chi da tempo, da tutto*. Znajdzie się kiedyś sposób i okazyja żeby się uwolnić.

Ale Zagłoba z całym swoim dowcipem nie domyśla się komu winien życie. Kniecie się wstawiał, prosił jak o łaskę, jak o rzecz ważną dla swego honoru; a hetman, który Kmicica potrzebuje, udał, że daruje im życie. Naprawdę wyprawił do Birż, z rozkazem do szwedzkiego komendanta, żeby ich tam zgładził. Po tragicznych obrazach pierwszego tomu, następuje wytchnienie, *intermezzo* komiczne. Nad strażą, która ich prowadzi, ma dowództwo (i listy hetmańskie na sobie) pan Roch Kowalski, paradna, komiczna, a przecie trochę poetyczna mieszanina umysłu najtępszego na świecie z najczystszy m zmysłem uczciwości i honoru, ze zdolnością do heroizmu w odwadze i poświęceniu. Tego biednego Rocha bierze w swoje obroty *polymechanos* Zagłoba. Wmawia w niego naprzód, że jest jego krewnym; Roch zrazu nie chce słuchać, ale wkońcu wierzy. Potem prosi o wódkę; Roch znowu zrazu nie wie, czy służba na to pozwala, ale wkońcu daje. Wreszcie częstuje Rocha jego własną wódką, zaprasza żeby się przysiadł na wozie, i szczęśliwie upaja na zabój. A kiedy Roch głęboko zasnął, chytry stary bierze jego burkę, jego helm, jego papiery, siada na jego konia i pędzi w cwał szukać Laudańskiej chorągwi Wołodyjowskiego, i od niej ratunku. Straż myśli, że komendant wyjechał naprzód, żeby rozpoznać drogę — po nocy nie dostrzegła metamorfozy komendanta — i nie przeszkodziła. O brzasku podziwienie powszechne, rozpacz Rocha, radość i nadzieja uwieczonych, a po kilku godzinach zjawił się naprawdę Zagłoba na czele chorągwi Wołodyjowskiego. Roch po krótkim oporze zrozumiał że niema po co wracać do Radziwiłła, i do nich przystał. Tegosamego dnia jeszcze potłukli trochę i Szwedów, których oddział jakiś palił i rabował wieś (bardzo ładna ta bitwa w Klawanach), poczem żeby się jak najdalej od Radziwiłła usunąć, postanawiają przemykać się na Podlasie, gdzie chorągwie komputowe wypowiedziały posłuszeństwo hetmanowi i zawiązały konfederację.

Radziwiłł dyszy zemstą: nietylko mu uszli, ale i Szwedów poturbowali, i jego powagę u Litwy, jego wiarę u Szwedów osłabili. Śiega ich trochę, ale daremnie; nie może daleko

odsuwać się od Kiejdan. Kmicicowi, którego gdzieś wysłał z rozkazami, gorzko w liście wyrzuca, że tantych od śmierci wyhawil, a ponieważ u miecznika Billewicza, stryja Oleńki, zbiera się szlachta, odgraża się i burzy, przeto poleca Kmicicowi miecznika z panną dobrym sposobem albo przemocą z domu wywieść i do Kiejdan odstawić.

Kmicie z kim innym możeby nie żartował, ale z Oleńką i jej stryjem przemocy nie chce. Śliczni są oboje w tej scenie, kiedy mówią ze sobą jak obojętni: on grzeczny i niby wesół, ale niemniej hardy od niej i nie tłómaczący się wcale; ona zrazu milcząca i zimna, a później wybuchająca oburzeniem i wzgardą. Ale rozkaz musi być spełniony: nie chcą dobrowolnie, to pojedą do Kiejdan gwałtem. Kmicie gwizdnął na swoich ludzi, już ich słyhać, już są... jakim sposobem Wołodyjowski i towarzysze z całą chorągwią w drodze na Podlasie tu się tak w samą porę znaleźli? jakim sposobem ludzi Kmicica zbili tak cicho, że on o niczem nie wiedział? W powieściach zdarzają się takie szczęśliwe przypadki. Dość, że zamiast swoich ludzi, widzi Kmicie Wołodyjowskiego, który drugi raz paanę z jego rąk ratuje; ale się z nim już nie bije jak w Lubiezu, tylko jak zdrajcę odrazu skazuje na rozstrzelanie. Kmicie wychodzi bez jednego słowa ni spojrzenia, na śmierć; Oleńka taksamo do swego pokoju, gdzie zemdląła — wszyscy czekają strzału.

Że bohater nie mógł zginąć w połowie drugiego tomu powieści, to jasne; ale bardzo misterny jest sposób, jakim go autor od przedwczesnej śmierci ratuje. Mądry Zagłoba pomyślał, że przy winowajcy mogą być jakie papiery, i kazał go przetrząsnąć. Znalazł list Radziwiłła, dowód, że Kmicie im wszystkim ocalił życie. Wstrzymuje rozstrzelanie, wraca z Kmicicem. I znowu bardzo dramatyczna scena, kiedy ci wszyscy namawiają i proszą by odstąpił zdrajcę, a on z najszczerzem przekonaniem odpowiada, że wszyscy ojczyznę gubią, Radziwiłł jeden ratuje. Wtedy na dowód rzetelności tego hetmana, pokazują mu list do szwedzkiego komendanta w Birzach, którym, wbrew danego Kmicicowi słowa, polecał ich rozstrzelać. Kmicicowi, „w miarę jak czytał, krew

napływała do twarzy i rumieniec wstydu oblewał czoło. Wreszcie, list rzucił, rzekł: Bądźcie zdrowi, lepiej mi było z waszych rąk zginąć“ — i wyszedł.

Kmicie pierwszy raz przejrzał.

Wrócił do Kiejdan. Radziwiłłowi w oczy oszukaństwo wyrzucał; tamten nie przeczył, ale się koniecznością wymawiał. Wiary już między nimi być nie mogło, a coraz mniej też nadziei powodzenia w zuchwałych planach. Od wschodu ciągnie na hetmana Sapięha; na zachodzie, na Podlasiu konfederaci niszczą mu dobra; Szwedzi zaczynają lekceważyć, skarb już pusty, oficerowie nawet podrzędni zaczynają wątpić w gwiazdę swego wodza. Jego pycha, jego wściekłość i siła woli, z jaką walczy ze zwątpieniem, mają wielkie, tragiczne rozmiary. Cięży mu oprócz wszystkiego i ten Kmicie zuchwały a już niedowierzający; usług jego potrzebuje bo dzielniejszego nie ma, ale jego oczów chciałby się pozbyć. Wyprawia w drogę daleką i trudną, do stryjecznego brata księcia Bogusława naprzód, żeby z Podlasia na Litwę ciągnął; potem w Koronę, do króla szwedzkiego z doniesieniami i poleceniami, do pana marszałka Lubomirskiego, żeby nadzieją Radziwiłłowskiej jedynaczki i dziedziczki dla syna kusił go i ciągnął do porozumienia i przymierza... Kmicie już nie ufa, ale całkiem jeszcze wiary nie stracił. A w każdym razie tu na Litwie, gdzie go wszyscy mają za zdrajcę, tu w Kiejdanach, gdzie jest Oleńka (przywieziona ze stryjem przez Janusza samego) wytrzymać dłużej nie mógł. Sam prosił o jaką służbę daleką, przyjął tę; może myślał, że w drodze przekona się, co jest prawdą, dowie się, co ma myśleć o swoim hetmanie...

I znowu w tej galeryi historycznych portretów, którą Sienkiewicz założył i ciągle zbogaca, arcydzieło nowe i prawdziwe. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że to jeden z tych młodych wielkich panów angielskich, których lubił malować Van-Dyck, oddany z całą szlachetnością rysów i postawy, z całym blaskiem młodości, z całym dostojęństwem stanowiska, z całą wytwornością układu. O tych malowanych przez Van-Dycka, czy nigdy żadna dziewczęca wyobraźnia nie marzy?

czy nie takim chciałaby mieć bohatera swego własnego romansu? Ale przystąpiwszy bliżej do portretu Sienkiewicza, widzi się, że ten śliczny panicz ludzi pozorami piękności i poloru, a odraża wyrazem swojej zachwycającej twarzy. Może ten wyraz pociągałby, gdyby był potężnie, demonicznie zły, ale on jest zły nisko, zimno, cynicznie. To człowiek zły nie jak tygrys, ale jak płaz; malowany przytem jak stara aktorka, albo jak zniewieściał Henryk Walezyusz, a zakochany w swojej piękności aż brzydko i śmiesznie. Nie, to nie Karol I, ani żaden inny poetyczny model Van-Dycka, nie dworny kawaler i galant, rycerski i prawy pod pozorem aż do zbytku wykwintnym: to plód zepsutych czasów, wychowaniec i ulubieniec zepsutych dworów i towarzystw, sceptyczny, wystygły, nie wierzący w nic, nie szanujący nic, nie dbający o nic, prócz swojej osoby, fortuny i przyjemności. Dla drugich, ma tylko pogardę i złość. Bogusław Radziwiłł (historyczny) nie może uchodzić za polski typ złego, jest zbyt wyjątkowy. Najgorsi z naszych oligarchów rokoszanów, mieli prawie zawsze naturę i fizyognomię bardzo polską, mieli prócz tego przedewszystkiem na oku swoją powagę i wielkość — w Polsce; mieli wreszcie nieraz skrzywioną ale prawdziwą miłość ojezyny, pragnienie i nawet zdolność bohaterstwa. Ten, urodzony z Niemki, wychowany za granicą i żyjący tam więcej niż w Polsce, nie czuł się wcale Polakiem. Był wielkim panem, Radziwiłłem, z upodobań jeżeli czem to Francuzem, z krwi elektorowi Brandeburskiemu blizkim, a z polityki jego sprzymierzeńcem i wielkorządcą w Prusiech książęcych; był kosmopolitą z odrażą do Polski, jej obyczajów, jej instytucyi, jej mowy, ubioru... Zuchwały przytem, pełen zimnej odwagi, wielki szermierz na szpady i pojedynkarz, z tym fałszywym honorem, który się nie uważa za splamiony zbrodnią ani nawet podłością, ale uchybienia nie daruje, książę Podczaszy odmalowany tu w powieści z niesłychaną prawdą i życiem, nabiera dopiero całej swojej wartości, kiedy go postawić obok stryjecznego brata, hetmana, i tamtemu jej dodaje. W obu tasama jedyna passya, wielkość Radziwiłłowskiego domu. Ale kiedy tamten ma w złem

jakaś twardą, nieugiętą, żelazną siłę, ten jest w niem giętki jak stal, a śliski jak wąż; kiedy tamten mimo wszystkiego ma typ polski, a za cel polską koronę, temu wystarcza mitra jakakolwiek i dużo pieniędzy. Który z nich gorszy? Niepodobna dojść i powiedzieć, ale ten przecie jeszcze wstrętniejszy i nikezemniejszy, bo tamten przynajmniej ze wstydu i z pychy umiera, a ten ani się wstydzi, ani nawet nie jest pyszny. Upokorzony gnie się, podłazi, i żyje sobie dalej tak wygodnie i przyjemnie jak przedtem.

Nad wszelkie pochwały jest jego pierwszy występ na scenę, kiedy go Kmicie przypadkiem spotyka na noclegu w Pilwiskach, a zastaje przy ubieraniu. Te farby i maści, któremi się smaruje; ta grzeczność drwiąca, szydercza; ta doskonała piękność ruchów i wyrachowana miara w obejściu; te słowa zawsze sceptyczne i zimne, nawet kiedy mówi o swoich, o hetmanie; ta rozmowa po niemiecku, bo od twardego polskiego języka wargi pierzezną wypieszczonemu gładyszowi (jak żeby niemiecki był miększy!) — a dopieroż ten wykład polityki, jaki Kmicicowi daje, ta przebiegła znajomość i elektora i Janusza, Lubomirskiego, króla, Maryi Ludwiki, to odsłonięcie celów Janusza i swoich (Rzeczpospolita przepadła, każdy urywa z niej co może, my też chcemy, żeby i nam co w ręku zostało) — to jest niezrównane jako portret historyczny, a jako ustęp w powieści, jeżeli nie niezrównane, to przynajmniej nigdy nie przewyższone. Tylko czy ta cała doskonałość nie jest przyprowadzona cokolwiek łatwo i dowolnie? czy ten Bogusław ze swoją wrodzoną chytrą i dyplomatyczną wprawą i doświadczeniem, mógł się tak wywnętrzać przed człowiekiem, którego pierwszy raz w życiu widział? Czy mógł przed nieznanym odkryć nie tylko najtajniejsze swoje myśli, ale nawet przeczytać te listy (autentyczne) Janusza, w których ten poleca zatruć wino, żeby „capita konfederatów wyzdychały“, a resztę popoić i wyróżnąć? Co do tego, mamy niejaki wątpliwości, a odpowiedź tylko jedną: tę, że Kmicie musiał się jakoś o całej prawdzie dowiedzieć i przekonać. Autor wybrał ten sposób, niezbyt prawdopodobny zapewne, ale w powieści ponętny,

bo dostarczający wątku do nowych zawikłań i obrazów. Kmicie, pomimo wrzącej natury, tymczasem czuje, że przebiegłość potrzebna, i umie być na chwilę tak przebiegłym, jak sam Bogusław. Powstrzymuje się, udaje doskonale. Aż gdy wszystkiego wysłuchał, zaledwo dał sobie czas na krótki wybuch zgrozy i wściekłości, już pomiarkował się w położeniu, już postanowił albo przyplącić głowę, albo się na Radziwiłłach zemścić!

Śmiałe, awanturnicze porwanie Bogusława z pośrodku jego własnego dworu i wojska, jakkolwiek dobrze upozorowane próbowaniem Kmiciego konia, jest przecie zawsze romansową awanturą. Nie tak dziecinnie wymyślona, jak porwanie Ludwika XIV z zamku Vaux (Vicomte de Bragelonne Dumasa), jednak, choć w rzeczywistości może nieraz rozbójnicy włoscy lub bałkańscy równie niespodzianie i śmiało porywają podróżnych, w powieści pomysł wydaje się zbyt zuchwałym, a wykonanie zbyt łatwym. W rzeczywistości może się zdarzyć niejedno, co w powieści wydałoby się naciąganiem, tak jak w naturze nieraz widzi się oświelenia i kolory tak niezwykle i wyjątkowe, że na obrazie wydałyby się nienaturalnymi. Co nie przeszkadza, że scena jest pełna życia i ruchu, a rozmowa Bogusława z Kmicicem na tych wichrem pędzących koniach, świetna. Naturalnie, nie mógł Kmicie wbrew historii Bogusława uwięzić, jego *impresa* musiała się nie udać. Nie dopilnował się, zabrakło mu przezorności; Bogusław mógł w szczęśliwej chwili chwycić pistolet i wypalić mu w sam łeb o pół kroku odległości. Sam umknął do Pilwiszek, Kmicie bez duszy leży na drodze.

I zapada korytna na drugi akt czy tom, nie tak wielki może, nie tak bogaty w dramatyczne efekta, jak pierwszy, ale pełen życia i epickiej plastyczności, zajmujący bardzo, a skończony w chwili, kiedy Kmicie znowu wchodzi w nową (ostatnią) przemianę, kiedy się przekonał, że choć już chciał dobrze, to się pomylił źle robił.

Zarzucono Walter-Scottowi w czasach, kiedy jeszcze bywał czytany, że za wiele bawił się podrzędniemi figurami i epizodami. Czy to z umysłu robił, czy niechcący z jakie-

gość nawyknięcia i niby gadulstwa, nie wychodził na tem źle, bo nieraz te pastuchy, stróże, ciury, rzeźmieszki, baby, są bodaj nie główną ozdobą i życiem jego romansów. O Sienkiewiczu także mówiono, że dodatków i dodatkowych figur u niego w *Potopie* za dużo. Po co naprzykład ten leśny ostep czy matecznik wśród bagien i trzęsawisk; po co ta pusta chata podejrzana; po co wreszcie ci Kiemlicze, pół-żołnierze, pół-złodzieje? czy nie można było przerwać opowiadania, a po przerwie pokazać Kmicieca już gdzieś pod Częstochową? Można zapewne wszystko, jak się dowolnie tworzy zmyślone wypadki, ale czy byłoby lepiej, to kwestya. Te wszystkie sceny niby luźne, a jednak bardzo silne i blisko z akcją związane i do niej zawsze się ściągające, stanowią w wielkiej mierze życie i opisową plastyczność powieści; a gdyby która istotnie (co nam się nie zdaje) była zbyt czystą to mniejsza, skoro każda jest doskonałym obrazem. Tak zaraz to pierwsze schronienie Kmicieca w puszczy, i ci Kiemlicze, figury podrzędne oczywiście, ale pełne życia: dwaj synowie głupi, silni jak dęby, trzymani przez ojca jak niewolnicy albo jak bydłota, a zwłaszcza stary, łotr hypokryta, słodki, pobożny, narzekający na swoją nędzę, rzeźmieszek, rabuś, z jedną przecie enotą: wierności dla swego wodza. Przydadzą się ci Kiemlicze Kmicicowi nieraz, a zwłaszcza pod Częstochową, a tymczasem nie wadzą, bo się bardzo dobrze udali. On sam, Kmicie, kiedy oprzytomniał, kiedy zniarkował że choć Radziwiła porzucił, to wiary u nikogo nie znajdzie, i kiedy z tej rozpaczki przeszedł w skruchę, a potem w heroiczne postanowienie, żeby pod zmyślonem nazwiskiem służyć królowi i Rzeczypospolitej do śmierci; kiedy do Radziwiła wyprawił list hardy, przygniatający, wzywający go przed sąd boski, a przytem złośliwie drwiący; do Wołodyjowskiego drugi z przestroga, co hetman przeciw niemu zamysła; kiedy do Oleńki chciał pisać, ale nie napisał, bo ją czynami nie słowami trzeba przekonać i przebłagać, Kmicie w tem całym przejściu jest śliczny. W dalszym ciągu jego przeprawy do Korony, paradne spotkanie z panem dzierżawcą z Wąsoszy. To Rzędzian, dawny Rzędzian z *Ogniem*

i *Mieczem*, który po wojnie tak się przemyślnie wziął do swoich interesów, że i Jaworskich puścił z torbami, i rodzicielom dostatnie życie zapewnił, i sam jeździ kolaską, a każe się tytułować panem starostą. Doskonale także, nawet dramatyczne, księcia Bogusława zamysły na Oleńkę i potwarz rzucona przed nią na Kmicica, jakoby był chciał targnąć się na życie Jana Kazimierza. Z tych wszystkich epizodów, które zajmują połowę trzeciego tomu, dwa tylko wydają nam się zbyt cenne. Jeden, choć nie bez poetycznego kolorytu, to starosta Sochaczewski. Ten mistyk zatopiony w prociwactwach, wróżący zgubę Rzeczypospolitej, podobny trochę do kniazia Wasyla z Rozłogów, a służący tu za obraz ludzi, co w wielkich nieszczęściach tracą głowę i nadzieję, a poddają się z pobożną jakąś rezygnacją złemu, które biorą za karę bożą: ta jego córka, Oleńka, zakochana w jakimś Andrzeju, za którego nawrócenie się modli; to wszystko ładnie wygląda, ale powinno było albo mieć jakiś dalszy ciąg i związek z losami Kmicica samego, albo nie być wcale, bo tak wtrącone i urwane nie ma racyi bytu, niewiedzieć dla czego jest.

Ale drugi zarzut ważniejszy. Że Zagłoba z wielkiem poświęceniem i przebiegłym rozumem ratował Helenę Kurcewiczównę, że po śmierci Podbięty z żalu wpadł w heroizm wściekłości, że i bez takiego powodu umiał się bić, kiedy już koniecznie musiał, że Skrzetuscy mają dla niego wszelkie powody wdzięczności i mogą go uważać prawie za ojca, że Wołodyjowski po starej przyjaźni może mu pozwalając kłamać ile mu się podoba, i przypisywać sobie cudze zwycięstwa: to wszystko może być prawdziwe i słuszne. Ale my przecież zapomnieć nie możemy, że to tensam Zagłoba co zdobył chorągiew; tensam, co się upił na chłopskim weselu; tensam łgarz, tchórz, żarłok, Falstaff podszyty Sancho-Pansą, którego wartością i całym niesłychanym wdziękiem jest właśnie to, że jest łgarzem i tchórzem, że jest figurą komiczną. Skrzetuscy niech go kochają i owszem; ale my w jego powagę uwierzyć nie możemy, chyba że nam ktoś Zagłobę na mamkach zamienił (a na to już za stary) — i za

dawnego podstawił jakiegoś innego. Otóż to nas razi, i boli (powiemy szczerze), żeby taki Zagłoba zostawał regimentarzem, żeby skonfederowane królowi i Rzeczypospolitej wierne chorągwie jemu powierzały nad sobą dowództwo. Ten poryw, to rzecz za poważna, za piękna, za święta, żeby w nią mieszać element komiczny. Znamy łatwowierność i porywezość tłumów (żołnierskich, jak innych) — wiemy niestety, że w rzeczywistości nieraz dowodzili wojskami nie lepsi wojskowi od Zagłoby, ale tu w powieści, w tym pierwszym zawiązku obrony ojczyzny, w tem *proeludium* do konfederacji Tyszowieckiej, takiego Zagłoby na czele stawiać nie należało.

A swoją drogą Zagłoba w tej swojej roli, kiedy wierzy w siebie i swoje dowództwo, jest bardzo komiczny; w swoich rozporządzeniach wcale nie głupi i praktyczny, a kiedy się odejma wojewodzie witebskiemu, bardzo dowcipny.

Obrona Częstochowy stanowi naturalnie punkt kulminacyjny powieści i roli Kmicieca. Ktokolwiek w Polsce będzie o wojnie szwedzkiej pisał, zawsze będzie musiał tak rzecz swoją ułożyć; inaczej byłby w sprzeczności z prawdą i w sprzeczności z powszechnem uczuciem. Historia sama tak postanowiła, a uczucie narodu tak było (ten jedyny raz może) przejęte szczęściem i wdzięcznością, że jak podówczas widziało, tak do dziś dnia widzi cud w tej obronie; w Kordeckim człowieka natchnionego, który walczył Bożą mocą i nad naturalną łaską. Podobnie dziewica Orleańska ocaliła Francję, której zwykle ludzkie siły i środki ocalić już nie mogły. Dlatego też rwą się — i daj Boże żeby się zawsze rwały — do Częstochowy i do Kordeckiego wyobraźnie naszych poetów i artystów; chciałyby odgadnąć i oddać ten fakt jedyny w całej jego ludzkiej wzniosłości i nadludzkiej jasności. Od Suchołolskiego — jedyne go przed laty malarza — kusili się o ten wielki przedmiot malarze, a wiadomo, że wiele o nim rozmyślał, że się go nie wyrzekal Matejko. W *Czarnieckim* Koźmiana jest naturalnie Częstochowa (bodaj czy nie z większym natchnieniem oddana przed oblężeniem, kiedy wstępuje tam Jan Kazimierz w drodze z Warszawy do Krakowa, aniżeli w samem oblężeniu i w obronie). I Słowacki marzył

o Częstochowie, a te fragmenta scen z czasów Jana Kazimierza, które do nas doszły, każą gorzko żałować, że są tylko fragmentami, bo są tak świetne, że gdyby były całością, kto wie, czy to zagadnienie poezyi nie byłoby ostatecznie rozwiązaniem. *Przeor Paulinów*, dramat, który uderza głównie w natchnioną, nadludzką stronę obrony, i Kordeckiego, z uszanowaniem zawsze i z przyjemnością widziany jest na naszych scenach. Szujski dwa razy zaczął o Częstochowę: raz jako bardzo młody chłopiec, kiedy w *Rudziejowskim* chciał tajemniczą, cudowną moc miejsca i człowieka oddać wprost z całą jej wzniosłością; drugi raz, kiedy chciał ją pokazać pośrednio i z boku niejako, kiedy za bohatera wziął nie Kordeckiego, ale organistę Brzuchańskiego, a rzeczy nadał nie patetyczną formę dramatu, ale potoczną gawędy. Czy wzniosłość i świętość obrony Częstochowy nie przebija przez tę formę wyraźniej, u niego silniej, prawdziwiej, aniżeli u wielu innych przez patetyczne obrobienia tego przedmiotu? Nie zadajemy tego pytania publiczności, która naturalnie tej *Obrony* nie czytała, ale dla siebie zachowujemy to przypuszczenie, a raczej to przekonanie. Nawet Czajkowski w swoim ładnym zresztą, choć płytkim *Czarnieckim*, wyprawia turnieje pod Częstochową po odejściu Szwedów.

Ale zadanie ile pojętne, tyle jest i trudne. Jak zrobić żeby dorównać temu, co wyobraźnia polska o tym fakcie od dwóch z górą wieków roi, temu, co serce polskie o nim czuć przywykło? Dla Sienkiewicza zaś trudność większa niż dla każdego innego. Jego obowiązywał i przeszkadzał mu Zbaraż. Kto jedno obłężenie, w historii mniej ważne, w pamięci narodu nie tak żyjące, potrafił zrobić tak homerycznie epickim, tak groźnym i tragicznym, a do tego tak drgającym od najgłębszego natchnionego uczucia, ten zapewne powołany jest jak nikt do opisanja Częstochowy; ale jeżeli ma zadaniu sprostać, to musi przewyższyć Zbaraż i samego siebie.

Usuwa on naprzód wszelką cudowność: Matka Boska nie ukazuje się na chmurach, Kordecki nie ma widzeń i objawień. Swoją mocą ducha i świętością, swoją wiarą i mo-

dlitwą, trzyma wszystkich i krzepi i sprawę ratuje; ale czyni to jak dzielny i świątobliwy człowiek, nie jak święty albo prorok. Słuszne to i rozumne. W epopei Matka Boska mogłaby się ukazać i szwedzkie kule odbijać, nie dlatego, że dawna estetyka wymaga cudowności w epopei, ale dlatego, że w jej wysokiej formie i stylu cud może się zmieścić i wydać, kiedy w prozie, w powieści, trudno by doszedł do tej wielkości, bez której nie znajdzie wiary, nie zrobi wrażenia, nie może być. A prócz tego czy w naszych czasach, w naszych powieściach, można porywać się na opisywanie cudów z nadzieją, że się zrobi cud prawdziwy, a nie teatralną machinę? *Das Wunder ist des Glaubens liebstes Kind*; wiek i społeczeństwo, wśród których żyją dzisiejsi artyści, nie usposabia ich do poczęcia w wydaniu na świat tego dziecka: a gdyby który i zdołał, czy otoczenie odpowiedziałoby mu temsamem uczuciem, czy nie znalazłby „słuchaczy głuchych?...”

Mamy więc Częstochowę czysto ludzką, i słusznie. Prócz tego Częstochowę nie straszną, nie smutną. Strzelają, bombardują, biją się i zabijają, ale czytelnikowi mimoto wesoło i lekko na sercu. Koniec był tak szczęśliwy, a my tak dobrze wiemy że był taki, iż zapominamy o trwogach i niebezpieczeństwach, a wrywamy się zawsze naprzód myślą do tej końcowej radości, do tego tryumfu. Albo się bardzo mylimy, albo w takiemsamem uczuciu opisywał to oblężenie i autor. Urządza on ze zwykłą sobie sztuką wycieczki, opisuje walki i hazardy, nawet strachy, upadki na duchu, wołania o układy ze Szwedem; ale darmo, i jemu ciągle przyświeca to słońce zbawienia, i opisując, jest pogodny, jest wesół, jest szczęśliwy. W Zbarażu było ponuro i ciężko, bo choć się wie, że przyszła odsiecz i nastąpiły układy, to wie się także, że to nie zwyczajtwa ani początek zwyczajtwa; a prócz tego drży się o bohaterów, o Podbipiętę, o Skrzetuskiego... Tu, wie się, że Kmicie może zginąć kiedyś, ale nie teraz jeszcze, w trzecim tomie; a wreszcie gdyby i zginął, to przed sobą ma się taką pociechę, że się Kmicieca odżaluje i o niego nie troszczy.

Czyta się też całą połowę tomu z jakimś wewnętrznym spokojem pewności i szczęścia; zostaje się w usposobieniu pogodnem, prawie wesołem. Nie żeby powagi brakło, żeby autor lekko i wesoło rzecz traktował, bynajmniej. On z żywą czcią i głębokiem przejęciem przystępuje do tej „Arki, co nie może zatonać w Potopie,“ jak się pięknie wyraża; ma w sercu całą, wielką, historyczną, polską i religijną wzniosłość tej sprawy, prawie co chwila wtrąci jakieś słowo przejmujące, które to przypomina i żywo uczuć daje; ale on temu nie winien i nie może na to poradzić, że jest szczęśliwy z obrony Częstochowy, i że w tem usposobieniu pisane jego obłężenie, ma charakter tryumfalny, a nie ponury i groźny.

Występują i działają same tylko siły ludzkie, ale te doskonale. Epicka plastyczność walk czy figur jest taka, jaką u Sienkiewicza dawno znamy, jemu właściwa; są i sytuacje dramatyczne bardzo, choćby ta pierwsza, kiedy Kmicie klasztor nie wierzący w obłężenie ostrzega o planach szwedzkich (podслуchał szczęśliwie rozmowy Wrzeszczewicza z Lisolą) a nieznany, podejrzany jest prawie wszystkim i nie odrazu znajduje wiarę. Wierność historyczna jest wielka: wszystkie prawie szczegóły, które zapisał Kordecki w *Gigantomachii*, znajdują się tu jako sceny, a przynajmniej jako wspomnienia i wzmianki. Strona wojenna, bitwy, szturmy, wycieczki — wspaniałe (naprzykład nocny napad Kmicieca i Piotra Czarnieckiego na szaniec szwedzki, śmierć Fossisa i Horna). Usposobienie obłężonych, przejścia od odwagi do strachu, i odwrotnie, jako tło, na którym występują główne figury, oddane z wielkiem życiem, doskonale. Jeszcze świetniej może strona druga, obóz szwedzki. Od owej pierwszej rozmowy Wrzeszczewicza z Lisolą (epizodyczny, ale znowu wybornie nakreślony ten poseł, przez którego pośrednio daje się widzieć i cesarz i cały tradycyjny temperament austriackiej polityki) — od owej pierwszej rozmowy, przez wszystkie przejścia pewności siebie i zuchwałości, w zdziwienie, w gniew, wściekłość, a wreszcie w rozpacz i wstyd; wszystkie narady Szwedów między sobą, ich nieporozumienia, wzajemne niechęci, ich natury w różnych stopniach szlachetności

lub zepsucia (Miller, Wrzeszczewicz, książę Heski, Polacy w służbie szwedzkiej), wszystko jest historycznie i epicznie doskonałe.

Po stronie polskiej oczywiście dwóch głównie obchodzi czytelnika, jak recenzenta. Kmicie jest śliczny. Rycerz jakiś z Ariosta czy Tassa, dokazujący niesłychanych cudów waleczności, ale ożywiony swoją wielką myślą expiacyjną i patriotyczną, a pomimo całej skruchy nie tracący fantazyi i humoru. On swoją pokutę i zadośćuczynienie bierze bardzo głęboko i poważnie, ale nie smutno. Poświęcił się, przysiągł i dotrzyma; całą noc po spowiedzi z całego życia leżał krzyżem i dyscypliną biczował się bez miłosierdzia: ale grzechy swoje tylko zrzucił, zresztą się nie zmienił. Takisam junak taki hajdamak, taki butny i hardy jak był; a czy po rozgrzeszeniu lżej mu było na sercu, czy to, że w niebezpieczeństwie znalazł się w swoim żywiole, jak ryba w wodzie, i on jest wesół i pełen kawalerskiej fantazyi. Skrzetuski poświęcał się patetycznie i uroczyście; ten pogodnie, nieraz z humorem i żartem. Sympatya, jaka powstała między nim a Kordeckim, ojcowska prawie miłość starszego, a powolność i uwielbienie młodszego, te ich między sobą poufale żarty, dodają tym scenom obłęzenia i obu figurom wiele życia i wdzięku. Kordecki znowu, pojęty jako wielki charakter i światobliwy człowiek, ale bez tego „szczególnego objawienia,” którego i Skarga nie miał, jak sam mówi o sobie, ma tę wielką zaletę, że jest naturalny i prosty, bynajmniej nie na szrudłach, nie nadęty; przez to robi wrażenie poważne i prawdziwe. Dowierza mu się, można się zgodzić na takiego Kordeckiego. W jego modlitwach, w jego upomnieniach do słabnących na duchu, znajdują się bardzo piękne, przejmujące słowa... ale czy nie można było podnieść go eokolwiek wyżej, czy tu i owdzie ton i siła *Kazań Sejmowych* albo *Wzywania do Pokuty* nie byłyby dały użyć się szczęśliwie, z korzyścią dla postaci, z pociechą dla czytelnika, z chwałą dla autora? Skrzetuski kiedy mówił z Chmielnickim, miał tyle natchnienia i siły, że prawie za ucznia Skargi mógłby ująć, a tu, w ustach Kordeckiego potrzeba ich było tyle, i więcej...

Nocna wyprawa Kmicica i rozsądzenie wielkiej kolubryny Szwedów, choć może po aryostowemu trochę awanturnicze, śliczne. Każę myśleć o wykradzeniu się Podbipięty i Skrzetuskiego ze Zbaraża, a wrażenia takiego nie robi — może dlatego, że także traktowane jest z fantazją raczej, niż z grozą — ale od początku do końca śliczne. Jedno tylko mniej nam trafia do przekonania i do smaku. Że obrzydliwego Kuklinowskiego, kiedy przychodził do klasztoru z propozycjami układów, a jego samego namawiał do zdrady, Kmicic uderzył w twarz i nogą wypchnął za bramę, to bardzo dobrze zrobił. Ale że później, tego samego Kuklinowskiego uwiązanego w stodole pod belką, rozpaloną smołą prażył a potem zostawił żeby tak zmarł, to mniej dobrze. Naprzód Kmicic poprawiony i wyszlachetniony, nie powinien już być okrutnym; powinien się wstrzymać, choćby miał do okrucieństwa ochotę. A powtóre pisarz, artysta, nie powinien nigdy mieć ochoty do okropności i okrucieństw. Może ich używać, kiedy są potrzebne, ale wtedy pilnie ma baczyć, żeby dla moralnego zmysłu nie były zbyt dręczące, a dla zmysłów fizycznych obrzydliwe. Skwierczenie skóry przypalanej smołą, osmolenie wąsów i brody ogniem, potem to wszystko obsiadłe lodem ze skrzepłego oddechu konającego, to już wchodzi w kategorię tych piękności, o których Murillo mówił, że trzeba na nie nos zatykać a oczy odwracać.

Ale trzeba przyznać, że Kmicic miał szczęście! To on już (znaleziony jak martwy przy rozsądzonej kolubrynie) uwiązany był u tej belki, to on już miał bok smołą przypieczony, kiedy niewiedzieć z kąd znaleźli się Kiemlicze w szwedzkich mundurach (włoczyli się za wojskiem dla łupu), Kuklinowskiego zwiedli, że go Miller wzywa, Kmicica odwiązali, a potem, po odwiecie na Kuklinowskim, przeprowadzili przez szluską granicę. Znowu trzeba przyznać, że zdarzają się czasem takie szczęścia — w powieściach.

Kiedy po odejściu Szwedów ludzie z okolic cisną się na Jasną Górę, kiedy już pokazało na dobre, że „arka nie zatonała w potopie,“ i kiedy Kordecki zaintonował *Te Deum*, jakoś się dziwnie robi na sereu. Tak było naprawdę!

kiedyż tak będzie znowu? Wszystko razem wzięwszy, bardzo to piękna rzecz ta obrona Częstochowy Sienkiewicza.

Zimowy ranek szary i mglisty, na pierwszej mszy w kościele ciemno, na ołtarzu tylko migają świece, a w mroku rozpoznaje Kmicie postać człowieka, leżącego krzyżem na posadzce. Jesteśmy w Głogowy; a ten co się tak namiętnie modli, co potem wstaje z oczami nabrzmałemi od płaczu, to Jan Kazimierz. Jak Noe gołębia w arce, tak on wita młodego żołnierza, który pierwszy przynosi mu dobrą wieść: „Częstochowa się nie poddała, i nie podda.“ Znowu śliczne te sceny w Głogowie, i znowu doskonałe historyczne portrety. Wrażliwe, nerwowe usposobienie Jana Kazimierza, z silnym pociąganiem do żołnierskich spraw i przygód, i do prędkich, śmiałych, cokolwiek awanturnych postanowień; królowa z potężnym umysłem i charakterem, senatorowie każdy z odmienną a żywą fizyognomią, nieufność niektórych (kancelerza Korycińskiego i młodego Tyzenhauza) do Kmicica, wreszcie hardość, z jaką on oznaki tej nieufności przyjmuje, wszystko, to składa się na obraz jeden z piękniejszych w powieści. A niebrak i dramatu. Bohater, który królowi jakoś odrazu trafił do serca, możeby już zrzucił maskę i wyznał kim jest, kiedy słyszy, jak ze zgrozą opowiadają sobie wszyscy o jakimś niecnym Kmiciecu, co Szwedom za pieniądze ofiarował się wykonać zamach na życie króla! Bogusław Radziwiłł, choć taki niepewny, przecie na to się oburzył i przestrzegł uczeiwie! Czyż nieszczęśliwy może wyznać prawdę? czy mu uwierzą, że szczerze i całą duszą do dobrej sprawy przystał, a że Bogusław kłamca i potwarca? Mileczy więc dalej, a tylko swoim żołnierskim zmysłem i doświadczeniem tak szczęśliwie urządza plan i wykonanie powrotu Króla do Polski, że nieufnych skonfundował, a u króla zupełną zjednał sobie wiarę i łaskę. Powieść ma swoje prawa i licencye, i my obowiązani jesteśmy nie sprzeciwiać jej się, kiedy twierdzi, że to Kmicie Jana Kazimierza tak zręcznie i szczęśliwie przeprowadził. W jednym miejscu wszakże zdaje nam się, że ona tej licencyi używa bez żadnego skrupułu. W jakimś karpackim wąwozie, niespodzianie,

orszak królewski spotkał się z oddziałem Szwedów, a tak blisko, że cofnąć się i ukryć niepodobna. Skłania więc Kmicie króla do odwrotu, a sam z trzema Kiemliczami we czterech zaśłania ten odwrót. Nagle popłoch zmienia się w tryumf: z obu stron wąwozu górale staczają kamienie na Szwedów, tłuką ich i miażdżą, potem toporkami tną tych, co jeszcze wyszli cało... ta odsiecz tak w samą porę, ta bitwa samoczwart, to przypomina legendy i Paladynów, jak skały walone z góry przypominają Rolanda. Dość, że udało się szczęśliwie! Kmicie tylko prawie zabity, a myśląc, że jego ostatnia godzina wybiła, w dwóch słowach wyznaje królowi kim jest, i zdaje się konać.

Po spotkaniu z Lubomirskim — śliczne to spotkanie, i szkic postaci marszałka, który występuje niewiele, ale uchwycony jest z wielkiem podobieństwem, a osądzony tak, jak go zapewne zawsze sądzić będzie historia: „Radziwiłł był winniejszy, Lubomirski szkodliwszy,“ — w Lubowli dokąd za królem ранego Kmicica zawieziono, gdy ten trochę do siebie przyszedł, następuje rozmowa z królem, wyznanie całej przeszłości i naturalnie nie przebaczenie, ale podziwienie i serdeczne przywiązanie Jana Kazimierza dla młodego bohatera. Bardzo piękna scena, ale na niej, trzeba powiedzieć, kończy się dramatyczny interes powieści. Sprawa Kmicica jest skończona. Król, od chwili, kiedy sam uwierzył mu zupełnie, może wszem wobec ogłosić jego rehabilitację, może go i przed Oleńką zaświadczyć (która zapewne bez oporu to świadectwo przyjmie), w osobie i w dobrej sławie Kmicica już się odtąd nie zmienić nie może. Dlaczego król nie robi tego, co się zdaje tak naturalnem, pierwszym do zrobienia? Bo autor chce, żeby się Kmicie jeszcze dłużej, jeszcze heroiczniej poświęcał; żeby bliskiego już szczęścia wyrzekł się znowu dla obowiązku, słowem, żeby nie brakło nie w zbiorze jego cnót i doskonałości, i w moralnej nauce, jaką ma być dla nas. Wiemy dobrze, że autor bardzo zrecznie radzi na tę odtąd jednostajną sytuację Kmicica, że wynajduje różne pobudki (zemsta nad Bogusławem), które mu dalej działać kazały; wymyśla różne dramatyczne komplikacje (zam-

knięcie Oleńki w Taurogach, zamysły Bogusława przeciw niej i jej obrona), wydobywa nawet z zapomnienia Anusię Borzobohatą, która także służy do urozmaicenia tych zawiłkłań i przygód; przesuwa nam przed oczyma całą jeszcze niemal wojnę, i robi to wszystko bardzo szczęśliwie, bardzo dobrze. Ale na to poradzić nie może, że właściwy wątek powieści już się skończył, a przynajmniej skończył się jej główny pierwiastek i interes. Reszta, pomimo całej sztuki autora musi już być tylko dopowiedzeniem, szeregiem dodatków; a choć wiele z nich będzie jaśniało niepospolitemi pięknościami, czytelnik bez swojej winy staje się chłodniejszym. Wić, że Kmicie nie zginie, bo gdyby miał ginąć byłby to już zrobił dawno; a czy mniej, czy więcej dokaże bohaterskich czynów, to już ochodzi nas mniej, bo i tak było ich już raczej może zawiele.

Z takich obrazów dodatkowych pierwszy, a wspaniały, i ten istotnie konieczny, to oblężenie i zdobycie Tykocińskiego zamku, i śmierć Janusza Radziwiłła, w chwili wysadzenia bramy w powietrze. Temu wielkiemu aktorowi swojej powieści nie mógł autor pozwolić zejść ze sceny nieznacznie. I Januszowi, i nam, i nawet tej moralnej nauce, którą autor ma na oku, należało się, żeby jego tragiczny koniec był pokazany naocznie. Jest też pokazany z całą tą siłą, którą przywykliśmy już dawno w Sienkiewiczu widzieć, ale którą za każdym nowem objawieniem podziwiał się jak nowe odkrycie. Kona hetman sam, opuszczony, kilku zaledwie wiernych przy nim, i to z miłosierdzia; zamknięty w tym zamku oblężonym, szturmowanym, który ladachwila musi być zdobyty. Ze wszystkiego co miał, zostało mu tak mało, że chory, umierający, musi znosić nawet głód i zimno. Żadnej możliwej pomocy znikąd. Dusi go astma i puchlina, ale gorzej upokorzenie, wstyd, rozpacz, zgryzota, widma popelnionych zbrodni, daremna tęsknota za lepszą przeszłością, żal za tem wszystkim, czem mógł być a nie chciał... i skrucha próbuje się zrodzić na ruinach szczęścia i pychy! Koniec przejmujący i tragiczny do najwyższego stopnia, i znowu jak przy uczcie w Kiejdanach, myśli się „jakby to

pięknie wydało się na scenie.“ Kona w chwili, kiedy oblegający już wpadają do zamku, z ostatnim słowem „Jezus Marya“. Ta cała efektowa scena zaś nie jest zmyślona, jest historycznie prawdziwa i wierna, tylko poetycznie obrazowo przedstawiona.

Co dziwne, to, że o konfederacyi Tyszowieckiej jest tylko wzmianka, że autor nie miał pociagu z tego pięknego faktu zrobić pięknego obrazu.

We Lwowie Kmicie prosi króla jak o łaskę, żeby mu pozwolił szukać księcia Bogusława i skończyć dawne z nim rachunki. Idzie tedy na czele czambułu Tatarów, królowi przez Chana — teraz przyjaciela — przysłanego, ku Prusom, a po drodze wstępuje do Zamościa. Tu stara znajomość, księżna Gryzelda, zestarzała, zubożała, na łasce u brata, zafrasowana swoim synkiem tak niepodobnym do ojca; i Anusia Borzobohata, zawsze przy księżnie, i zawsze takasama, figlarna, fertyczna, strzelająca oczami. Te oczy trafiły w dwóch naraz: w młodego Michała Wiśniowieckiego, i w jego wuja Jana Zamoyskiego, późniejszego wojewodę sandomierskiego i mniej szczęśliwego męża panny d'Arquien. Znowu nieporównuany ten Zamoyski; umysłem trochę powolny niby, ale pomyliłby się bardzo, ktoby naiwnie uwierzył, że on głupi. Ma on nie tylko wielki chłopski rozum, ale ma i przebiegłość i spryt kiedy mu potrzeba. Swoim pasyom może zbytecznie pobłaża; ale niechby kto spróbował proponować mu co brzydkiego, niezgodnego z honorem i obowiązkiem Polaka! Ambicyi żadnej, ale wielkie uczucie własnej i rodowej godności; przestaje na tem co ma, i kontent jest, że jest czem jest, *Sobiepan* w Zamościu. Flegmatyk z temperamentu, łagodny w obejściu, rubaszny w słowach, zda się na pozór być małą figurą przy wielkiej fortunie. Ale pod temi pozorami ma on swoją godność i swoją tęgość: „Niech Szwedzi spróbują brać Zamość! Niech spróbują!“

Księżna powierza Kmicicowi Anusię, bo ją brat przstraszył, że Michałek zanadto na nią zerka; *Sobiepan* powierza ją, bo w drodze chce odbić przez udanych niby Szwedów, wykraść i ukryć. Jedzie tedy Anusia do pana wojce-

wody witebskiego, a potem, jeżeli się da, na Litwę, dochodzić swoich praw do sukcesyi po Podbipięcie. W drodze Kmicie udaremnił zręcznie zamach pana starosty kaluskiego; udaremnił także zamysły Anusi, która pierwszy raz w życiu bez skutku strzelała oczyma do pięknego kawalera. Oddał ją panu Sapięze, a sam z Tatarami puścił się szukać Bogusława. Ścigał go, niepokoił, dawał mu się dobrze we znaki, ale samego dojść nie mógł; a Bogusław także raz rozgromił jakiś Sapiężyński oddział i zagarnął Anusię (odesłał ją do Taurogów, gdzie, jak wiadomo, jest już Oleńka).

Kmicicowi Anusi żal zapewne, ale więcej obchodzi go Soroka, wierny wachmistrz, który wysłany (jeszcze ze Lwowa) na zwiady co się dzieje z Oleńką, wpadł w ręce Bogusława. Dla tego wiernego sługi Kmicie upokarza się pierwszy i jedyny raz. Uprosił sobie u Sapięhy, że go wysłał do Radziwilla jako parlamentarza, i w zamian za życie i wolność Soroki ofiaruje swoje. Bogusław odmawia; możeby się zgodził, gdyby go proszono na kolanach. I dumny Kmicie klęka, przy świadkach umyślnie na to zwołanych, czuje na swojej głowie but Bogusława leżącego i nawet nie patrzącego, poczem księżę bez jednego słowa wychodzi, a Kmicie wyprowadzony za obóz, widzi, jak Sorokę już mają wbijać na przygotowany pal. Ale sobie poradził. Żołnierzy i oficera zbuntował Radziwiłłowi i przyprowadził Sapięze z Soroką żywym i całym.

Po nowem zwycięstwie nad Bogusławem (pod Janowem) już nareszcie mógł zbliżyć się ku Taurogom, Oleńkę odbić, zobaczyć, przebłagać, przekonać... ale Czarniecki wzywa Sapięę na pomoc! król szwedzki wyszedł już z Elbląga i chce przez Zamość iść ku Lwowu na króla... i Kmicie „wspomniał na słowa księdza Kordeckiego, na to, co mu Wołodyjowski o Skrzetuskim powiadał, i rzekł: na potem prywaty! przy ojezyźnie chcę się nieprzyjacielowi oponować“.

A że dawne winy już dawno zmyte, więc to nowe i tak ciężkie poświęcenie liczy się już na poczet czystej za-

slugi i zupełnej idealnej doskonałości, której wzorem miał się stać dawny awanturnik i bannita.

Piąty tom cały wypełniony drugą kampanią Karola Gustawa: pochód z Prus aż do Jarosławia i odwrót. Same marsze, podjazdy, bitwy; o pannach i afektach tyle się tylko słyszy, ile czasem wspomną zakochani i utęsknieni rycerze. Pierwsza z rzędu jest porażka Czarnieckiego pod Gołębim; po niej daremne oblężenie Zamościa, którego pan jest do prawdy do zakochania, kiedy traktuje ze szwedzkimi parlamentarzami. Karol Gustaw za poddanie twierdzy ofiaruje mu województwo lubelskie, a on w odpowiedzi daruje królowi Niderlandy: innym razem Szwed zwraca jego uwagę na szkody, zrządzone bombardowaniem w jego mieście; on nie przeczy, że szkody są: „zabiliście świnię na rynku, strzelajcie dobrze jeszcze przez drugi tydzień, a może zabijecie drugą“. A kiedy Szwed pyta, czy to jego ostatnia odpowiedź, oświadcza, że niekoniecznie: ma jeszcze inną — armaty! Wreszcie, Zamościa nie wziąwszy, staje król w Jarosławiu i odwraca się dla niego karta, a zaczynają nieporównane czyny męstwa naszych przyjaciół. Król szwedzki, żeby i nastraszyć i dowiedzieć się napewno, gdzie jest Jan Kazimierz, wysyła znaczny oddział ku Lwowu pod dowództwem zawołanego Kanneberga. Oddział ten pod Wielkimi Oczami wpada w zasadzkę i ścigany do samego Jarosławia, nie może przez San dostać się do swoich, bo most sami Szwedzi rozebrali dla naprawy. Wycięty też jest prawie w pień, w oczach całej armii i króla, który dłaczego odrazu z armat do ścigających nie strzela przez rzekę, tego nam nie tłumaczy; może dlatego, żeśmy nie wojskowi i nie zdolni zrozumieć jego kombinacji; może dlatego, żeśmy Polacy, nieprzyjaciele. W tej porażce Szwedów po raz pierwszy daje się zbliżka widzieć Czarniecki, i wygląda doskonale, ale właściwym bohaterem jest naturalnie Wołodyjowski.

Cofa się Szwed w pamiętne widły między Sanem a Wisłą, gdzie dostać go trudno, ale zkad jemu jeszcze trudniej się wymknąć: okres najbardziej może dramatyczny tej kampanii, zakończony, jak wiadomo, tem, że przecie udało mu

się wymknąć. Z czyjej winy? Czy, jak mówiła większość współczesnych, istotnie nie dopilnował się Sapięha, który strzegł Sanu, czy też, jak zeicha utrzymywali inni, Czarniecki zbłądził, że wyszedł naprzeciw śpieszącego z odsieczą księcia Badeńskiego, w nadziei, że i jego rozbije i sam naczas na swoje stanowisko wróci? Sienkiewicz trzyma się pierwszej wersji. Ale nim do tego przyjdzie, daje nam znowu dwa epizody, z liczby tych, które on jeden umie wymyślać i opisać. Czarniecki i Sapięha trzymają Szwedów z dwóch boków: chodzi o to, żeby Lubomirski zajął im tyły i zamknął w trójkącie. Kasztelan kijowski pisze do niego w tym celu list dość hardy i szorstki, i z listem wysyła Skrzetuskiego. Ale przemyślny Zagłoba miarkuje, że chcąc pomocy od pana marszałka, trzeba się do niego brać inaczej. Wybiera się więc z tem poselstwem, list Czarnieckiego na własną odpowiedzialność chowa, a sam tak umie Lubomirskiemu podehlebić, tak wmawia, że on jest prawdziwym pogromcą Szwedów, że Czarniecki i Rzeczpospolita od niego tylko wyglądają zbawienia; aż go tak zrecznie kadzidłem odurzył, że ten rzeczywiście, doskonale i szybko robi to, czego Czarniecki żądał. A drugi epizod w Rudniku. Król szwedzki w aryergardzie swego wojska spoczywa na chwilę, jest na plebanii, śpi. Wojsko polskie w pościgu choć blizkie, nie wie gdzie on jest. Wtedy pastuch leżący na rowie nad bydłem i końmi, drapie się na pierwszą szkapę z pastwiska, wali ją co sił golemi piętami, pędzi w las, znajduje oddział polski, donosi o królu, i taksamo w tej jednej koszuli na tej szkapie, nawet bez uździenicy, podprowadza pod plebanię, bije się jak sam Wołodyjowski i bierze szwedzką chorągiew. Potem, ze zmęczenia i upływu krwi omdlewa. Ten chłopak jest taki wspaniały na swoim koniu z pastwiska i ze swojemi bosemi nogami, że wszystko wkoło siebie zaśmiewa. Nawet na to mniej się zważa, że król szwedzki ucieka, że Roch Kowalski go goni i o mało nie bierze w niewolę; myśli się tylko o Michałku, i z pewną dumą o tem że się jest z jego stron. Te biedne strony, ta zapomniana od ludzi (a dopieroż od poetów) sandomierska puszcza, nigdy

jeszcze od stworzenia świata nie figurowała w literaturze. Dzięki autorowi za nią i za to, że tak pięknie wystąpiła na scenę w osobie młodego lasowca. Tylko jedna uwaga: on się nie nazywał Michałko! nie może być. W nim niema jednej kropli krwi ruskiej, ani jednego dźwięku ruskiej mowy. Michał, Michałek, jak Pan Bóg przykazał, ale nigdy Michałko.

Trwa ta sprawa pod Sandomierzem dość długo, ale się nie przykrzy wcale; co u innych byłoby długością, to u Sienkiewicza, dzięki życiu i plastyczności figur i rozmów, jest tylko szeregiem zajmujących obrazów. Jaki ładny naprzykład Roch Kowalski w niewoli u króla szwedzkiego, i Zagłoba, kiedy za niego ofiaruje wymianę jeńców. Wreszcie wymknął się król, nowa za nim gonitwa Czarnieckiego, ślicznie opisana bitwa pod Warką i przebycie Pilicy wpływ, wreszcie wzięcie Warszawy. Że Kmicie dokazuje przy niem cudów waleczności, przeciw temu nie mamy nic; ale że Zagłoba, wpadłszy do pałacu Kazanowskich (a istotnie przyczynił się bardzo do jego wzięcia), morduje małpy zamknięte w klatce w ogrodzie, to zanadto komiczne. Przecież w największym choćby zapale walki czy napadzie strachu, nie mógł tak stracić przytomności, iżby nie wiedział, jakich nieprzyjaciół rąbie? I poco? czy dla przyjemności? czy dla chwały? czy dlatego, żeby czytelnika rozśmieszyć? Czytelnik się śmieje półgębkiem, nie szczerze; i nie rozumie, jakim sposobem Zagłoba, który coraz bardziej poważnieje, mógł wpaść na ten dziwny pomysł; nie rozumie, że po tym tryumfie nie tylko dalej zostaje w wielkiej powadze u króla i wojska, ale owszem, ciągle w niej i w oczach rośnie. Nietrzeba było robić go regimentarzem choćby na krótko, albo nie trzeba było dać mu się bić z małpami. A może najlepiej było darować mu i jedno i drugie.

Oleńka tymczasem w Taurogach ze stryjem, miecznikiem Rosieńskim. Książę Bogusław naprawdę w niej rozkochany, gdy wzajemności żadną sztuką pozyskać nie może, zdobywa się za radą swego powiernika i przybocznego łotra Śakowicza, na najnikczemniejsze z podejść. Oświadczy się

oficyalnie stryjowi o rękę panny i weźmie z nią ślub, przez mniemanego księdza dany, nieważny. Pan miecznik pogłaskany w miłości własnej chętnie przystaje, udany ksiądz z Królewca sprowadzony już czeka, ale panna odmawia wręcz. Dziadek testamentem nakazał jej iść za Kmicica, albo do klasztoru. Wszystkiego się Bogusław spodziewał, tylko nie odkosza. Wściekły rzuca już maskę, miecznika prawie zabija, ciotkę Kulwiecównę wiąże i dusi Sakowicz, żeby ratować ni krzyżeć nie mogła — i już się zdaje, że biedna Oleńka zginęła. Ale potrafiła ocalić się sama; skoczyła w ogień, zając się. Bogusław ledwo ją wyrwał i płomień ugasił; z tych wszystkich wzruszeń dostał jakiegoś ataku epilepsji i padł jak bez duszy. Nazajutrz, wezwany listami od elektora i Steinbocka, żeby śpieszył Szwedom na pomoc, wyjeżdża z Taurogów.

Cale to przejście tak dramatyczne, nie robi takiego wrażenia jakby powinno. Czy dlatego, że już poprzednio, pod Warszawą, słyszeliśmy o niem cokolwiek z ust Ketlinga, Anglika w służbie Bogusława, wziętego jeńcem przez Kmicica; czy może dlatego, że chwili stanowczej, sceny między Bogusławem a Oleńką nie widzimy, tylko się o niej z opowiadania księcia dowiadujemy, — dość, że pomimo jego doskonałych namów z Sakowiczem i takiegoż wybuchu wściekłości, kiedy rzucił się na miecznika, czytelnik nie drży tak o Oleńkę, jak niegdyś o Helenę w Rozlogach, albo później kiedy ją Bohun z Baru porwał.

Została więc Oleńka, w niewoli poprostu, i ze wszech stron otoczona niebezpieczeństwem. Uciekać chce, ale nie może. Sam ten Ketling, choć porządny człowiek i w niej zakochany (dzieje się to wszystko dawniej niż tom piąty, równocześnie z obroną Częstochowy), daje jej krócięcę, żeby się broniła, ale wbrew obowiązkowi swojej służby nie wypuści jej, ani wypuścić pozwoli. Tymczasem opatrność zsyła do Taurogów zagarniętą przez wojska Bogusławowe Anusię Borzobohatą, i ta jak zaczęła strzelać oczami, tak rozkochała wszystkich oficerów załogi, począwszy od straszniego krwawego Sakowicza. Miecznik Billewicz wymknął się już da-

wniej i zebrał partyę na Żmudzi, z którą Szwedów niepokoił; ale w ślad za nim, zasługą i sztuką Anusi, a z pomocą jakiegoś w niej zakochanego oficera Brauna, wynknęły się i panny (nie powiedziano jak) i dostały się szczęśliwie do Wodoktów, tychsamych Wodoktów, gdzie Oleńka była taka szczęśliwa, a przez tak krótką chwilę.

Kmicie tymczasem ze swoimi Tatarami szukał Bogusława i Prusy elektorowi pustoszył, potem połączył się z Gosiewskim i w bitwie pod Prostkami miał już nareszcie to, czego szukał, czego całą duszą żądał. Z niebezpieczeństw (których tu przypominać nie możemy) wyszedł cudem, i po bitwie dopadł uciekającego Bogusława. Pojedynek świetny jak wszystkie — Bogusław ranny leży na ziemi, Kmicie trzyma mu nogę na piersiach a koniec szabli na gardle — kiedy jeszcze raz wykręcił się kłamstwem. Zostawił w Taurogach — tak mówił — rozkaz, żeby Oleńkę zglądono, jeżeli on nie wróci; jego śmierć, będzie więc wyrokiem śmierci i dla niej. Kmicie uwierzył, darował życie, ale Tatarom kazał go wziąć na arkan i pieszo przy koniu do obozu przyprowadzić. W takim stanie widzi się ostatni raz księcia Podczasego. Zginać wbrew historyi nie mógł, zbyt jest na to jego historia znana, ale przynajmniej dostał za swoje.

Za sceną tymczasem odbywa się trzeci pochód Karola Gustawa, trzydniowa bitwa pod Warszawą, pozorne bardziej niż skuteczne zwycięstwo i śmierć biednego Rocha Kowalskiego, który padł z ręki samego króla, kiedy już, już miał swój ślub spełnić i zadać mu śmierć lub go wziąć w niewolę.

Kmicie idzie na Żmudź, zbliżyć się do Oleńki, szukać jej. Sakowicz, po ucieczce panien gorszy niż kiedykolwiek, zbiera siły, żeby znieść partyę miecznika Billewicza i zemścić się. Otacza go w tychsamych Wołmontowiczach, które to niegdyś spalił Kmicie przez zemstę za śmierć towarzyszy. Szlachcic siły ma małe, bronić się nie bardzo umie — już prawie zginał ze swoimi pospołu. Wtem jak piorun i jak eud z nieba spadła pomoc — Babiniec! Sakowicz zniesiony,

Wolmontowicze ocalone, Żmudź bezpieczna od Szwedów, Oleńka uratowana.

Ale nieszczęśliwy kochanek nie wiedział, że ona tak blisko, że ją ratował! później dopiero, w pościgu za niedobitkami, przekonał się, że ona w Wodoktach. Spieszyć, upaść jej do nóg! Teraz przecie już uwierzy... W tej chwili dogania go Wierszuł (stary nasz znajomy z Łubniów) z listem od Sapiehy: „Nowa wojna! Rakoczy wkracza! Wracaj natychmiast“.

Kmicie nie może — nie chce! Później, rychło, ale nie teraz! za dni kilka, ale niech ją zobaczy, niech jej powie...

Ale poszedł! po walce ze sobą bardzo pięknej i wzniosłej, poszedł zaraz. „A w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie, przemazano mu w tej chwili wszystkie winy, bo to był człowiek zupełnie poprawiony“.

Dopiero pod jesień roku 1657 wrócił na Żmudź, ale konający. Śmiertelnie ranny pod Magierowem, chciał umrzeć w Lubiezu. Oleńka spotkała go, gdy go więzli. I jeszcze nie zmiękla, jeszcze nie przebaczyła! Aż dopiero gdy Laudańska chorągiew wróciła, gdy w kościele ksiądz z ambony przeczytał manifest Jana Kazimierza, oznajmujący wszem wobec, jakie zasługi położył pan Kmicie pod nazwiskiem Babinicza, dopiero poznała, jak go długo i ciężko w swoim sercu krzywdziła; dopiero ze łzami skruchy i uwielbienia przeprosiła; a po tej skrusze, ze łzami radości nastąpi zadośćuczynienie za krzywdy.

II.

Byłaby pokusa wielka, gdyby bystrość i umiejętność potemu, analizować talent człowieka, który takie rzeczy pisze, i dojść, jakie jego pierwiastki składowe. Wyobraźnia tak potężna i bogata, że ze wszystkiego i bez ustanku snuje i tworzy coraz nowe obrazy w obfitości aż prawie zbytecznej. Co ważniejsza, wyobraźnia poety, w naszych czasach tak

niezmiernie rzadka, ta, która na ludzi i rzeczy patrzy przez jakiś swój pryzmat osobny, jakiś w duszy człowieka drugi wzrok, którym on widzi wszystko inaczej jak my prości ludzie. Najzwyklejszy drobiazg potocznego życia w jego głowie i pod jego piórem przybiera jakieś kształty i kolory, w których kiedy go ujrzymy, mówimy zdziwieni: czyż to być może? Wszak to nam samym zdarza się codzień, my to samo zawsze robimy albo widzimy; możeż-to być, żeby ta powszedniość życia kryła w sobie taki wdzięk, albo tyle wesołości i komizmu? Złe, w takiej wyobraźni posunięte do rozmiarów zgrozy i zbrodni, staje się straszne, ale wielkim, tragicznym. Najwyższa zaś w naszym świecie piękność, piękność wzniosłych szlachetnych uczuć i czynów, jaśnieje swoim niezrównanym blaskiem i wstrząsa człowieka uwielbieniem lub rozrzewnieniem, a przez to podnosi go, robi go lepszym może nie nadługo, ale bodaj na chwilę. Wszelka zaś boleść ludzka, od tej, którą cierpi małe dziecko zbyt ciężko dręczone nauką, aż do tej, którą człowiek rozpacza za wszystkim co miał i co stracił, albo płacze za wszystkimi i ze wszystkimi, którzy cierpią; wszystkie tony i stopnie smutku, od łagodnej, rzewnej tęsknoty aż do ostatecznego zwątpienia, od świętości do bluźnierstwa, wszystkie się znajdują w tej wyobraźni i pod tem piórem, i wszystkie skarżą się, każdy swoim właściwym głosem i jękiem, a każdy tak prawdziwie, tak przejmująco, że każdy musi wywołać oddźwięk w sercu czytelnika.

Oczywiście nie jestto już dziełem i skutkiem wyobraźni samej. Nie wierzyliśmy nigdy i nie uwierzemy w tę (najrzadszą niby i przez wielu najwyżej cenioną) zdolność artystów, którą Niemcy obiektywnością nazwali, zdolność przenoszenia się na zimno w duszę drugiego człowieka, i opisywania obojętnie i chłodno, co się w tej duszy dzieje. Zdolność przenoszenia się? tak: ale obojętnie i na zimno? — nie! *Najobiektywniejsi* z tych *obiektywnych*, i, jak mówią, *najobojętniejsi*, Szekspir i Göthe, z pewnością byli sami wzruszeni tem, co tworzyli; *si vis me flere* Horacego, jest niezawodną i niezmienną prawdą, i z pewnością miał Göthe współ-

czucie dla Gretchen jak dla żywej osoby, miał go dla wszystkich, które w podobnem położeniu podobnie cierpiały. Otóż, ta zdolność współczucia, bez której poeta czy artysta sam wzruszonym nie będzie i nie wzruszy, ta nie pochodzi już z jego wyobraźni, ale z jego serca. Sienkiewicz ma ją w rzadkim stopniu wysokości i siły. On się sam unosi nad tem, co szlachetne; oburza na to, co złe; lituje nad tem, co nieszczęśliwe; gardzi tem, co nizezemne. I to, że w nim tę zdolność tak żywo i ciągle czujemy, to sprawia, że on nas tak silnie swoim uczuciem owłada, i że jest dla nas tak niezmiernie — niedość powiedzieć „miły“ albo „ujmujący“ — trzeba śmiało powiedzieć „drogi“ i „przywiązujący“.

Przez tęsamą zdolność także jest on jednym z tych artystów, od których dzisiejszy czytelnik i krytyk odwraca się z litościwym pobłażaniem i lekceważeniem, jest poetą i idealistą. A dlatego właśnie poetą, że idealistą, a w miarę; — że jest jednym z nader rzadkich i szczęśliwych przykładów talentu, który umiał połączyć wysoki lot i poetyczne na świat spojrzenie z doskonałą i zupełną prawdą, z jednego ani z drugiego nie poświęcić, oboje stopić w swoim czarodziejskim tyglu w amalgam prawdziwej poezji. Przed kilkoma laty sam w rozprawie, (niedość zauważanej i cenionej), rozstrząsał tę dziś bieżącą kwestyę *realizmu* w sztuce, i dochodził jakie są jego prawa, jego granice, w jakiej mierze jego potrzeba. Praktyczną odpowiedź i przykład (z rzadkimi wyjątkami) najeczęściej doskonały, daje sam swojemi powieściami. Człowiek swojej epoki, podległy naturalnie wpływom otaczających społeczeństw i literatur, musi on koniecznie być realistą i jest nim. Jego sceny pogodne i wiejskie, nie są bynajmniej podobne do Brodzińskiego, ani jego sceny dramatyczne do Felińskiego. Ale równie daleki jest od tego realizmu, który w sztuce jest naturalnym skutkiem pozytywnej filozofii z jednej strony, a z drugiej tej rzeczywistej i głębokiej (choć nie zawsze siebie świadomej) desperacji świata, który tyle razy i tak na sobie się zawiódł, że w nie lepszego i wyższego wierzyć już nie może, zakazuje sobie... poco? na co się przyda? to tylko jest, co jest, a co będzie,

nie wiemy, co być powinno, nie sprawimy! Patrzmy więc na to co jest, tego używajmy, to opisujmy, albo malujmy, a czy w tem jest wzniosłość lub piękność, nie pytajmy, nie troszczymy się. Jeżeli jest, to musi i ona być takim złudzeniem, taką marnością, jak wszystko...

Filozofia pozytywna, zwycięstwo pruskiej polityki i potęgi w historii, odbiły się w świecie sztuki tym realizmem suchym i rozpaczliwym, tą prawdą bez piękności, temi dobrze malowanemi obrazami bez myśli i duszy, temi powieściami, w których rozumnej obserwacji jest wiele, ale poetycznej wyobraźni nie, i które pomimo rzeczywistego i wielkiego nieraz talentu swoich autorów, są tylko technicznie dobre, ale mimoto prawie zawsze albo nieznaczące i puste, albo wprost wstrętne.

Sienkiewicz jest realistą i bardzo, ale jest nim na stary, na dobry sposób. Więcej niż Wirgiliusz, więcej niż Francuzi z epoki klasycznej, więcej niż Schiller, więcej niż Walter-Scott: a w tej mierze i tem znaczeniu jak był realistą Homer, jak Mickiewicz w *Tadeuszu*, jak Göthe. Jego rodzaj i zakres jest inny, ale nie o rodzaj nam chodzi, tylko o proporcję, a ta jest u niego taką, jaką zawsze być musi, żeby sztuka była razem pełną i rzetelnego tętniącego życia i poezyi, żeby była trwałą i przeżyła swój czas z jego przemijającymi modami i gustami... W nieskończoność możnaby mnożyć przykłady, jak on te dwa pierwiastki łączy w każdej figurze i w każdym obrazie czy scenie, a ciekawą i ponętą rzeczą byłoby studyować i dochodzić, jaki jest przytem jego mechanizm, jego techniczny proceder. Tego że nie próbujemy, nie będziemy składać na brak czasu i miejsca; wolimy powiedzieć otwarcie, że nieczujemy się na siłach. Powiemy co najwięcej, że według naszego instynktu raczej niż zdania, jego proceder polega w mieszaniu potocznych (a tam gdzie trzeba nawet drobnych) szczegółów, że scenami poważnemi i patetycznemi, rysów i objawów temperamentu z głębszemi pierwiastkami charakteru, wreszcie w takich może mimowolnych lub bezwiednych dotknięciach pendzla, które sprawiają, że figura staje nam w oczach, a obraz nabiera rzeczywisto-

ści i życia. Naprzykład: ten Żmudzin, który w pierwszej scenie *Potopu* obraca żarna, nie jest niczem w powieści; ale przez to, że jest, że czasem coś po swojemu mruknie, że dziewczęta go łają, dodaje życia tej scenie; przez to, że mruk, że flegmatyk, że *kudłaty* wreszcie, staje się wyrazistym, plastycznym; wbija się w pamięć.

O tej plastyczności Sienkiewicza, o jego talencie opisowym, niema już co mówić. Epickie walki rycerzy i wojsk, czy tragiczne walki człowieka z sobą samym, wszystko to zarówno mu dostępne, nad wszystkim zarówno jest panem. Że umie słowami malować naturę, to wiedzieliśmy dawno z jego *Listów* jeszcze i małych powieści; że umie malować walki i bohaterów, wiemy od *Ogniem i Mieczem*; że jest i stylistą wielkim, że język w jego ręku staje się instrumentem, który przez szczęśliwy dobór wyrazów oddaje wszystko co on zechce, każdy ton uczucia, każdy kształt czy kolor zewnętrznego świata; że polskim językiem włada, jak dziś nikt prócz Klaczki (równiej niż Szujski, rozmaiciej niż Kalinka, choć może nie tak potężnie jak pierwszy w swoich szczęśliwych chwilach, a nie tak jednostajnie i równo jak drugi) — temu także trudno by kto chciał przeczyć. Te wszystkie zaś konieczne, ale nader rzadkie pierwiastki i przymioty talentów bardzo wysokich, razem dodane, składają zupełnie wyjątkowe usposobienie, wyjątkową siłę artysty i pisarza.

Jest zaś prócz tych wszystkich jeszcze jeden, który bez nich sam nie mógłby wystarczyć, ale na nich wsparty, podnosi je wszystkie do wysokości, której nie dosięgłyby bez niego. Ten dar współczucia z drugim człowiekiem, uczucia za drugiego człowieka, odgadywania wszystkich jego udręczeń czy uniesień, ucisków czy rozkoszy, ta strona ogólnie i wiekuiście ludzka, przez którą poeci prawdziwi każdemu wiekowi, krajowi, narodowi odpowiadają, a sami nie starzeją się i nie umierają nigdy, jest niewątpliwie pierwszym, najniezbędniejszym warunkiem i znamieniem wyższej organizacyi artystycznej. Ale niemniej piękna, a w położeniach wyjątkowo nieszczęśliwych, jak nasze, niemniej artystycznie potrzebna, jest władza uczucia, odgadywania, rozumie-

nia, odtwarzania zbiorowych społeczeństwa cierpień, błędów, zasług i nadziei. Tamto pierwsze potrzebniejsze jest do długowiecznego życia i powszechnej chwały! ale to drugie sprawia, że dla bliższych siebie, dla otaczających pokoleń i własnych rodaków, artysta może być podporą, pocieszycielem, nieraz nauczycielem.

Otóż Sienkiewicz ma w stopniu bardzo wysokim tę władzę współczucia z Polską przeszłą i z dzisiejszą. On równie dobrze rozumie, równie podziela, łączy w swojej duszy to, co czuł Polak XVII wieku, kiedy go Chmielnicki zarzynał, Szwed i Moskal najeżdżał, a Radziejowski zdradzał z tem, co czuje dzisiejszy od tamtego nieskończenie jeszcze nieszczęśliwszy. Jedno służy mu do zrozumienia, do wyobrażenia sobie drugiego, i podnosi to do wyższej potęgi. On czasów nie miesza i naszych uczuć czy wyobrażeń dawnym ludziom nie podsuwa, ale jedne i drugie ciągle brzmią w jego słowach, jedne i drugie są nam ciągle stawione przed oczy, dalekie od siebie, a przecie tak podobne, wiekami przedzielone, a przecie związane ściśle i od siebie zależne. On jak w wyobraźni swojej widzi wszystkie porywające fanatyzujące piękności i cnoty dawnej Polski, i wszystkie jej winy w skutkach tak straszne, tak w swoim sercu czuje i nam daje uczuć związek tych dwóch tak odległych stanów społeczeństwa, podobieństwo natur w różnicy czasów i stosunków, i temi obrazami rozdzierając nam serce, a to podobieństwo nam ukazując, sięga nam do głębi polskiego sumienia i zdaje się mówić: obowiązek tensam jaki był wtedy jest dziś; środek ratunku jaki był wtedy, jest i dziś — rozważcie i wniosek z tego zróbcie sobie sami! A jak ta władza podwojonego uczucia, za dziś i za wiek XVII, jest w naszych polskich oczach jego największą wartością, jego czarującym urokiem, jego chlubą i tajemnicą tego głębokiego wrażenia jakie na nas wywiera, tak ta jego tendencya znowu (która w *Potopie* może aż zbyt wyraźnie, zbyt często się odzywa), to jest jego praktyczna, obywatelska patryotyczna zasługa, to jest kordyał, którym nas krzepi, kiedy w *Ogniem i Mieczem* „Skrzetuski broni Zbaraża“ — kiedy

z *Obrony Częstochowy* i z każdej karty *Potopu* bije jak źródło, a bucha jak wulkan ta jego ostatnia prośba czy nauka: „niech nie desperują nigdy, bacząc na to, że niemasz takich terminów, z którychby się *viribus unitis* przy boskich auxiliach podnieść nie można“.

Że dzieło człowieka tak obdarzonego, może a prawie musi być znakomitem, nie dziwnego. Jest też takim *Potop*. Chwila historyczna oddana z wielką dokładnością i prawdą i z wielką siłą wyobraźni jak uczucia; figury historyczne zrozumiane i oddane z intuicyą zadziwiającą (Opaliński, Lubomirski, król, Czarniecki, a nadewszystko Radziwiłłowie); — figury fikcyjne pełne życia, dzielności, wdzięku, albo humoru (Roch Kowalski); — bitwy, jakichby się żaden epik nie powstydzil, a niejeden pozazdrościł; związek i układ bardzo dobrze wymyślony i utrzymany, żywość akcyi i opowiadania takie, że nawet gdy wątek powieści słabnie, to zajęcie utrzymuje się ciągle; wykonanie takie, że tego, co tu najslabsze, jeszcze nikt drugi zapisaćby nie potrafił, oto w krótkich słowach zalety i charakterystyka *Potopu*.

A teraz dlaczego nie wszystko w nim zarówno nas porusza czy zachwyca; dlaczego całość nie robi tak potężnego i tak harmonijnego wrażenia, na jakieśmy czekali.

Silą woli może człowiek zapewne zadać sobie gwałt, zmusić się do tworzenia i pisania, choć cała jego dusza gdzieindziej: ale tego zrobić nie może, żeby był całą duszą przy swoim tworzeniu, cały zatopiony w losach swoich fikcyjnych bohaterów, kiedy sam tak jest złym losem przyćśnięty, że tego, co sam czuje w myśli i w sercu, pomieścić nie może. Wiadomo zaś, że *Potop* pisany był wśród przejść najboleśniejszych, jakie autor miał w swoim życiu do przebycia. Żelazna musiała być wola, i żelazna chyba także przy całej swojej lotności fantazyja, że zdołała jedna zmusić do tworzenia, a druga tworzyć mimo nieszczęścia; przecież z inną swobodą, z innym oddaniem się swemu dziełu, tworzy człowiek szczęśliwy i pełen ufności w życie, a ten, który pod ciężarem swego nieszczęścia musi obojętniej patrzeć na sztukę, któremu wszystko wydaje się marnem i błahem w poró-

wnaniu do tego, co stracił. Jeżeli więc w *Potopie* nie jest zawsze równy ten zewnętrzny popęd, który artyście każe tworzyć, i cieszyć się tem, co tworzy, to dlatego, że autor nie mógł być szczęśliwym z tego co robił, bo był zbyt nieszczęśliwy sam w sobie. Ale niezależnie od tego najgłębszego powodu, który z głębokiem uszanowaniem wspominamy, i dlatego jedynie, że wydaje nam się do przytoczenia koniecznym, bo jest najważniejszym, były i inne, które nie ten jeden raz tylko na dzieła Sienkiewicza wpływały szkodliwie. Jako jeden z takich, wymieniamy śmiało i bez ogródki pisanie do dzienników, do feuilletonów. Dawno już spostrzeżono, że dziennik zabija książkę, a pisanie do dziennika szlachetną sztukę dobrego pisania; a za granicą (we Francyi przynajmniej) nie tak powieści nie rozpowszechniło, ale i nie obniżyło zarazem, jak dzienniki i w każdym z nich feuilletonie coraz nowa powieść. Łatwo pojąć, jaka jest różnica w swobodnem pisaniu, kiedy się chce, kiedy jest ochota i popęd, kiedy można przestać, jeżeli one ustaly i wypocząć, a tem pisaniem gorączkowym i przymusowem zarazem, które nakazuje pośpiech a nie dozwala wytchnienia, bo dziennik bez swojej dziennej racyi obejść się nie może, i w danym przeciągu czasu trzeba mu koniecznie dostarczyć pewną liczbę rozdziałów na zapas. Pośpiech zaś i przymus, to wiecej nieprzyjaciele artystycznego tworzenia; nie dopuszczają rozważagi, spokojnego obejrzenia się na to, co się już napisało; nie dopuszczają poprawienia i zmian, nie dopuszczają zawieszenia pracy aż do chwili, kiedy wróci ochota i popęd. Gdyby Sienkiewicz naprzykład mógł był przed drukowaniem spokojnie odczytać *Potop*, byłby się niewątpliwie spostrzegł, że epizod starosty Sochaczewskiego naprzykład był tam wtrącony bez powodu i związku. W takim pisaniu przelewa się na papier każda myśl, która dziś przyszła do głowy, a jutrzejsza rozważa nie może zapytać i zbadać, czy ta myśl, choćby zkadınąd najlepsza, jest w należytych stosunku i związku z całością; nie może usunąć, ani zmienić, ani nagiąć, ani poradzić; kłamka zapadła, rozdział musi już zostać nazawsze takim, jak go zrobiło dzisiejsze usposobienie i po-

myśl, nie poddane już nigdy pod kontrolę, pod cenzurę, pod późniejszą rozwagę autora. Na to jednak mogłaby znaleźć się rada, i nawet nie trudna: nie dać powieści żadnemu dziennikowi do druku, aż kiedy jest cała skończona, gotowa, i przez autora dostatecznie poprawiona. Powieści Sienkiewicza są z pewnością znakomite i świetne, ale byłyby doskonałsze, w swojej piękności jeszcze szlachetniejsze, gdyby się tego sposobu trzymał.

A wreszcie jak najdoskonalsza nawet ziemia nie może być ciągle pod uprawą, musi czasem ugorować i odleżeć się, tak najbutniejsza, najpotężniejsza wyobraźnia, musi czasem wypocząć. Żaden ptak nie zdoła być zawsze w locie: Merkury, posłaniec bogów, potrzebował czasem przysiąść zdyszany; fantazyja ludzka i poetyczna, lotem do ptaków, siłą do bogów podobna, nie jest przecie z pod tego prawa wyjęta. Sienkiewicz swojej niedość dał wypocząć po *Ogniem i Mieczem*. Znal ją potężną, obfitą, bujną — i posłuszną; czuł, że może się na nią spuścić, liczyć, że mu się nie wyczerpie, i nie zawiodł się. Ona zrobiła wszystko, co jej kazał, nie ustala, nie osłabła, nie zabrakło jej tehu do ostatka, i jak doskonały koń, wzięła wszystkie przeszkody i stanęła u mety; nie można nawet powiedzieć zwycięzka, bo nie miała kogo zwyciężać, nie miała godnych siebie współzawodników. Ale jak jeździec czuje, że koniowi za pewien czas tehu zabraknie, choć go jeszcze nie zabrakło, jak w głosie jednego śpiewaka słyszy się natężenie a przewiduje wyczerpanie, kiedy o drugiego jest się zupełnie spokojnym i bezpiecznym, że zapas i siła dźwięków nie wyczerpie się nigdy, tak tu czytelnik ma to uczucie, że fantazyja autora potrzebowała już tehu dobywać. Autor dał sobie tyle czasu, ile potrzebował, żeby rozważyć i zbudować plan, naszkicować sobie w głowie figury i sytuacje; zrobił wszystko, co był powinien. Ale czy dał sobie czas rozkochania się w swoich figurach? czy czekał na tę chwilę, kiedy je sam w swojej głowie ujrzy w szczęśliwym oświeceniu; albo też czy zaczął je kreślić zaraz, jak tylko zobaczył je jasno i wyraźnie? Przy każdym pisaniu (nawet nie tworzeniem) jest taka chwila, na której pi-

szący pomylić się nie może, chwila, w której pomysł dojrzał zupełnie i musi teraz wydobyć się z głowy, albo się zepsuje. On się wyrывa często i długo, ale instynkt jakiś ostrzega, że jego czas jeszcze nie przyszedł, że jeszcze nie jest dość uformowany, wykończony, wykolysany jak dziecko w łonie matki, w głowie z której ma wyjść. Nasi czytelnicy widzieli, jak wysoko cenimy, jak szczerze podziwiamy *Potop*: jednak nie możemy zaprzeczyć się wrażenia, że Sienkiewicz nie rozmiłował się tak w jego figurach, nie widział ich w świetle tak poetycznym, jak figury i sceny *Ogniem i Mieczem*.

I jeszcze jedno. Nie wiemy, czy przy dłuższym czasie i rozwadze, Sienkiewicz byłby mógł to zmienić, ale nie możemy nie widzieć, że w przebiegu powieści, w sytuacjach i w sposobie ich traktowania są podobieństwa. Nienniknione zapewne: żaden artysta nie może z każdym nowym dziełem zmieniać swojej techniki, a cóż dopiero rodzaju swojej wyobraźni. Ale podobieństw trzeba przecież wystrzegać się bardzo pilnie, bo inaczej można być posądzonym o powtarzanie a czasem nawet w nie popaść. W *Potopie* wszystko jest inne jak w *Ogniem i Mieczem*, a przecież jest podobieństw wiele i przypomnienia częste. Tam, na wstępie prawie powieści, krwawa scena mordu w Rozłogach, tu, na miejscu prawie takiemsamem, krwawa scena w Lubiczu; tam nocna rozmowa księcia Jeremiego z krucyfiksem, tu walka pychy z sumieniem w Radziwille; tam Helena porwana przez Bohuna, tu Oleńka więziona przez Bogusława, w podobnym, choć większem niebezpieczeństwie; tam z obłązonego Zbaraża wyprawa Podbipięty i Skrzetuskiego, tu z obłązonej Częstochowy równie hazardowna wyprawa Kmicica; tam Skrzetuski nie szuka i nie odbija Heleny, bo obowiązek każe mu się bić, tu (za jego przykładem) robi to samo Kmicie. Wiemy że to wszystko jest inne, ale niemniej pomimo wszystkich zmian sytuacje są podobne. Bitwa pod Jarosławiem, pod Rudnikiem, pod Warką, pod Prostkami, nie jest może mniej plastyczna, ani mniej piękna od bitwy pod Machną i Konstantynowem, ale choć po zastanowieniu niemniej wzbudza

szczerego podziwu, to na pierwszy rzut oka nie zachwyca tak i nie porywa, bo robi wrażenie rzeczy już gdzieś widzianej. Muzyk, w początkach swoich zbyt przechwalony może, a zato później zbyt znowu popadający w niełaskę, Gounod, po *Fauście*, który miał ogromne powodzenie, dał na scenę *Romea*, który miał daleko mniejsze. Dlaczego? czy był gorszy? Mybyśmy raczej sądzili przeciwnie (prawda, że sądzić nie mamy prawa). Przedmiot *Romea* był nietylko nierównie lepiej zastosowany do rodzaju i rozmiarów talentu kompozytora, ale stosowniejszy dla muzyki w ogólności, która z natury swojej uczucia tylko oddawać może, ale walki myśli oddać ani nie zdoła, ani nie powinna. Co zaś do wrodzonej Gounoda rzewności, poezyi, miłosnego rozmarzenia.... doprawdy nie widzimy, iżby w *Romeu* było ich mniej niż w *Fauście*. Ale był w nim, jak w tamtym i miłosny duet w ogrodzie przy księżycu, i pojedynki, i wale, i romanza śpiewane przez pannę za chłopca przebraną: to wszystko nie było gorsze, ale było już drugie, i z dodatkiem tychsamych technicznych procedurów, tegosamego stylu, tegosamego rodzaju natechnień i pomysłów kompozytora, wydało się drugim *Faustem*, powtórzeniem *Fausta* odmiennem, ale bardzo do niego podobnem.

Nikt nie będzie śmiał powiedzieć, że *Potop* jest powtórzeniem *Ognia i Miecza*, ale nikt nie może zaprzeczyć, że są podobieństwa w pomysłach i sytuacjach, i że jest tożsamość techniki.

A w końcu ta ostatnia uwaga. Nie należymy bynajmniej do tych, co twierdzą, że dzieło sztuki o tyle jest godne tego imienia, o ile samorodnie poczęło się z fantazyi artystów, a nie z jakiejś *a priori* powziętej myśli czy tezy, założenia czy celu. Z założenia, z tezy, powstała *Boska Komedia* Dantego, i *Nieboska* Krasińskiego, jak cała jego poezya. Ale to pewna, że im mniej znać i czuć założenie, tezę, tendencję, naukę, tem lepiej. Nauka dziejów, ta wielka nauka moralna, która się z tragedyi historii polskiej dobywa, mówiła wielkim głosem z *Ogniem i Mieczem* i trafiła do samego dna naszej miłości ojczyzny, wstrząsła naszym polskiem su-

mieniem. Autor to widział i słusznie uznał w tem swoją zasługę i swój obowiązek. Chciał dalej robić *tosamo*, i znowu miał słuszność. Ale kiedy tam ta nauka wychodziła sama z postępów Skrzetuskiego, Podbiپیęty, Wiśniowieckiego, kiedy autor ich naprzód widział i w nich się rozmiłował, a tendencya znalazła się już sama. — tu w *Potopie* tak się wydaje, jak żeby ona była pierwszą, a do niej dopiero dorobiła się powieść i postacie. Trzeba im pokazać, że buta, niesformość, lekceważenie prawa i władzy, to polska wada; trzeba im pokazać, że przez pychę osobistą czy rodową, można dojść do zbrodni, zgubić sprawę i dobrą sławę; trzeba im pokazać, że przez pokonanie złego w sobie, naród jak człowiek może wydobyć się z najgłębszego upadku na sam szczyt godności i chwały... To wszystko prawda! Ale czy tę prawdę, tę naukę, historia Kmiecica i nie zbyt troskliwie i wyraźnie nam wykłada? I czy nie dlatego może figury *Potopu*, są od tamtych nie gorsze, ale cokolwiek zinniejsze, że zrodziły się z tezy, z rozumowania, a przynajmniej do nich się stósowały?

„Nie lubię tych porównań między jednym dziełem autora a drugim“ — pisze Klaczko w liście, za którego ogłoszenie przepraszamy go szczerze i pokornie, ale którego schować pod korzec nie mamy odwagi, bo jest na to doprawdy i za piękny, i w tej kwestyi zwłaszcza za ważny. — „Nie lubię porównań Michała Anioła z Rafaelem, Göthego z Schillerem, pytań kto większy? Każdy artysta, każdy mistrz jest światem dla siebie, z sobą samym tylko do miarzenia; a każde skończone dzieło artysty taksamo. Czy *Potop* mnie zajął, czy plastycznie pewien odłam czasu i ludzkości przedstawił, czy skreślił figury nie do zapomnienia już nigdy, sytuacje, co duszą wstrząsają, oto całe pytanie. Czytałem *Ogniem i Mieczem* i *Potop* jednym ciągiem, po kolei, i ani mi na myśl nie przyszło zastanawiać się, czy które z nich słabsze, i dlaczego. I jedno i drugie mnie zajmowało, miejscami zachwycało, wdzięcznością dla autora przejęło“.

Prawda że marna jest rzecz dochodzić, czy Michał Anioł większy czy Rafael, czy Göthe, czy Schiller, Beethoven albo Mozart; prawda, że i między dziełami jednego mistrza porównania i wybory są często trudne, niepodobne, albo i marne. Nikt się nie podejmie sądzić co lepsze, *Dysputa* czy *Szkoła Ateńska* (choć może wiedzieć, która z dwóch do niego bardziej przemawia). Jednak porównania takie, jeżeli nawet są jakąś błahością ludzkiej natury i umysłu, to są błahością wrodzoną i nieuniknioną, i zawsze ludzie będą się spierali o to, że jeden woli *Wallensteina*, a drugi *Maryę Stuart*, jeden *Macbetha* a drugi *Hamleta* — jeden *Potop* a drugi *Ogniem i Mieczem*. U nas, gdy *Potop* skończył wychodzić, dyskusya ta toczyła się w każdym domu, w każdej rodzinie, jak Polska długa i szeroka. Niezawsze zaś porównania takie są nieuzasadnione, a dyskusye bez możliwego rozumnego końca. Nie mogę wiedzieć, co lepsze, *Dysputa* czy *Szkoła Ateńska*: ale to wiem doskonale, że jedną i drugą wolę od *Heliodora* albo od *Atylli*, i wiem dlaczego, zdaję sobie sprawę z powodów. Otóż, w tym szczególnym przypadku, porwani (jak cała zresztą czytająca publiczność polska) złym może zwyczajem, ale nieuniknionym popędem porównywania, odnieśliśmy wrażenie i wyszli z przekonaniem, że natchnieniem i wykonaniem *Potop* nie stoi tak wysoko, jak *Ogniem i Mieczem*. Myśleliśmy — zapewne bezprawnie i zuchwale, przyznajemy to chętnie, że w powieści o wojnach szwedzkich natchnienie Sienkiewicza zdola być o tyle jeszcze od siebie samego wyższem, o ile w historii polskiej i w polskiem uczuciu większa jest Częstochowa od Zbaraża! A tego niema.

Wrażenie osobiste zresztą, niezgodne — pośpieszamy przyznać z radością — z wrażeniem i przekonaniem bardzo wielu. Że zaś i takich, którzy nierównie bardziej od nas powołani i uprawnieni są sądzić, na dowód przytaczamy dalszy ciąg tegosamego listu Klaczki:

„Ale chcę już zrobić ustępstwo i godzić się z tą myślą porównawczą; nie dlatego, że to dwa utwory jednego autora, ale że identyczny świat przedstawiają, tęsamą epokę, tesame nawet niektóre figury wprowadzają. Więc powiem: *wady*

mniejwięcej tesame w jednej i drugiej powieści, a do tych zaliczam rozwlekłość czasem, zbytek scen *de capa y espada*, zbytek nadludzkich junaetw à la Alexander Dumas w *Muszkietkach*, zbytek cudownych ocalań *à point...* Wady, powtarzam, tu i tam mniejwięcej tesame. Ale *piękności* zato różne, a równie wielkie, równie mistrzowskie i nieporównane, nie do porównania!...

Pójdę wszakże dalej wstrętną mi drogą, i będę porównywał. A najsamprzód główną parę w *Ogniem i Mieczem* i w *Potopie*, i tu ostatniemu wyższość przyznać muszę. Skrzetuski wspanialeby może jaśniał w jakim *Żywocie świeckich świętych*, ale w życiu wśród ludzkiej ludzkości, w twórczem dziele wyobraźni, nie tworzy, nie działa i do wyobraźni (mojej przynajmniej) nie przemawia. To co mówię, już dlatego wydaje mi się prawdziwem, że interes czytelników zawsze więcej zwrócony był do Bohuna. Bohun, nie Skrzetuski (wbrew etycznym, choć nie estetycznym warunkom, i może wbrew myśli autora), pociągał, zajmował, wywoływał w duszach to uczucie trwogi i litości, te dwie kardynalne Arystotelesowe sprężyny wszelkiej tragiki. Jakżeż inaczej Kmicie! jak w początkach wszelka chęć poprawy w coraz głębsze go pogrąża zdrożności! To coś tak mistrzowskiego a straszego, że przypomina Edypa. Nie jestem pedantem i nie żądam, żeby światło obrazu zawsze i wszędzie padało na główną figurę lub grupę, ale jest jednak pewna prawda w tem powszedniem żądaniu artystycznego gminu, parterowej publiczności. Otóż porównaj główną grupę: Skrzetuskiego i Helenę tam, a Kmiciecia i Oleńkę w *Potopie*! Oleńka jest, o ile ja przynajmniej widzę, *pierwszą* niewieścią kreacyą w naszej literaturze; mam na myśli niewiastrę *szczytną* a *realną*, taką, jakiej Malczeski w *Maryi* rzucił tylko sylwetkę. Literatura nasza nie była dotąd szczęśliwą w kreacyach kobiety i Polki. Mickiewicz w *Tadeuszu* dał nam dwa najpowszedniejsze typy, naiwną Zosię i kokietkę Telimenę. Grażyna to *virago*, to Bradamanta, a nie powiem już nic o Aldonie. Słowaeki na *falach wyobraźnej pianki* prządl z woni konwalii i księżycowych

promieni niewieście kształty bez cienia, lub cienie bez kształtu. Oleńka pierwsza jest w tym rodzaju wielką kreaçyą. Instynktem niewieściem jest jasnowidzącą wśród tumanów politycznych namiętności i zawikłań; instynktem odgaduje, gdzie prawda, gdzie obowiązek, gdzie świętość. Milezieniem tylko wymowna. tego lwa Kmicica *potężnie uderza oczyma*, w których się cały moralny błękit nieba przebija. Malezeski tylko *à deux crayons* naszkicował swoją Maryę jednym cudnym wierszem: „Być twoich chwil osłoda, *czasem* i ozdoba“. Sienkiewicz w Oleńce wykończył i wyrzeźbił wszystko, co ten wiersz naznaczył. W *Ogniem i Mieczem* chodzi tylko o materyalny fakt, czy Skrzetuski swoją kniaziównę odnajdzie; w *Potopie* o fakt moralny, o oczyszczenie tego Kmicica, którego duszę Oleńka swojemi *wyspowiadała oczyma*.

W ogóle *Potop* moralnie mną więcej wstrząsa. W *Ogniem i Mieczem* uczucie zawsze zatrute pytaniem: czyja większa wina Polski czy Rusi? W *Potopie* nie mam rozdarcia, wiem, gdzie prawda i słusność; żadnego wahania, żadnego trwoźnego pytania. I czy to także nie nie znaczy, w naszych tak smutnych, tak strasznych czasach, przed oczyma duszy wywołać *taki* obraz? i *takim* głosem grzmieć: *fortuna variabilis, Deus immutabilis!*

W *Potopie* nie masz figury takiej, jak ksiączę Jeremi, ale za to książę Kordecki i dwóch Radziwiłłów, co to za kreaçy mistrzowskie! Dyskreçya, którą zachował w kreśleniu Kordeckiego, zmysł polityczny i plastyczny, z jakim ukształcił Radziwiłłów, stawiają w moich oczach Sienkiewicza na tych wyżynach, na których się gieniusz Szekspira unosi. A Zagłoba! co za śmiałość we wprowadzeniu nanowo figury, zdawałoby się, że już poprzednio na trzy zbytki opisanej, ogadanej, wyczerpanej, a jednak w *Potopie* wciąż jeszcze zajmującej, ciągle sprawiającej niespodzianki, niewyczerpanej w swej szlacheckiej fantazyi i w swych fortelach. Ta trójca Ulissa, Falstaffa i Sancho Pancey, wcielająca się w końcu w Regimentarza, co to za przepych twórczego humoru! A jednak krewniak; a tych trzech urwisów, co służą Kmicicowi! a Rzędzian! Któżby tę pełnię

figur wszystkich zliczył, i któżby o nich zapomniał, raz je poznawszy?

Krajobrazy mniej wielkie, mniej pyszne w *Potopie*, niż w *Ogniem i Mieczem*, to prawda. Ale Litwa i Mazowsze, to nie Ukraina, a Karpaty w *Potopie* mogą i pod tym względem wytrzymać porównanie z widokami *Ogniem i Mieczem*. Zresztą wyznaje, że do *widoków* tak w poezyi, jak nawet w malarstwie, mało mam pociągu. Poezyę opisową znoszę tylko w dozie, w jakiej ją daje Homer, a conajwięcej *Pan Tadeusz*.

Ale jeszcze raz, i poraz ostatni: poco porównywać? czyż nie lepiej, i nie ładniej, i nie zacniej, w jednej jak w drugiej powieści się rozkoszować? — *Read! and be thankful!*“

Przytoczyliśmy ten sąd właśnie dlatego, że jest od naszego różny; wymagała tego i sama sprawiedliwość, i ten zapal szczery i serdeczny, jaki czujemy dla Sienkiewicza. Z radością myślimy, że może Klaczko ma słuszość, a my się mylimy; jednak nie możemy sobie nakazać myśleć inaczej, jak myślimy. Zastrzeżeń przeciw tym twierdzeniom mamy wiele, jak czytelnikowi już dobrze wiadomo. Podziwiamy „artystyczną dyskrecyę“ w Kordeckim, ale pragnęlibyśmy w nim więcej ducha i natchnienia Skargi; nie podziwiamy regimentarstwa Zagłoby, i przypominamy (nie bez żalu), że Szekspir nigdy ani najmniejszej części angielskiej sprawy czy angielskiego honoru nie złożył w ręce Falstaffa. Mamy zastrzeżenia i co do Mickiewicza także, i przypominamy, że *virago* Grażyna na pół przeszło wieku przed Oleńką „odgadła niewieścim instynktem, gdzie prawda i obowiązek“. Odgadła ten obowiązek poświęcenia szczęścia dla ojczyzny i ta lekceważona Aldona, której śmiało wyznajemy się zapalonym wielbicielem, gotowym kruszyć kopije z całym światem za tę biedną, co „kochała męża wielkiego na ziemi“ a „poznała Boga wielkiego na niebie“. Słowacki, prawda, tkał nieraz niewieście postacie „z woni konwalii i blasku księżycy“ — ale niezawsze, i „szczytną a realną“ wydaje nam się Wojewodzina z *Mazepy*, panna Aniela z *Beniowskiego*, Dyana z *Niepoprawnych* naprzykład...

Jeżeli Skrzetuski nawet nadawałby się lepiej do ja-
kiego „Żywota świeckich świętych,“ aniżeli do powieści, i
jeżeli istotnie psychologicznej treści ma nie więcej niż bo-
haterowie Calderona (mówimy o wzniosłych), to nie wiemy
znowu, czy bohaterowie Ariosta lub Tassa mają tego za-
sobu więcej od Calderońskich, choćby ich ożywić i wy-
pełnić szlachetnym, ale przecież trochę jednostajnym proce-
sem oczyszczenia i poprawy. Na to zaś żadną już miarą
zgodzić się nie możemy, iżby w *Ogniem i Mieczem* Bohun
wywoływał więcej „litości i trwogi,“ niż Skrzetuski. Bohun
się podoba, ale Skrzetuskiego się kocha i wielbi. Czy Bohun
zginie lub nie zginie w jakim pojedynku, o to wyznajemy,
nigdy nas zbytecznie głowa nie bolała. Ale żeby Skrzetuski
nie budził „litości,“ kiedy przyjeżdża do Rozłogów i zastaje
je spalone, albo kiedy się dowiaduje o porwaniu Heleny,
a szukać i ratować jej nie może — żeby Skrzetuski nie budził
„trwogi,“ kiedy jest w ręku Chmielniekiego, albo kiedy wy-
chodzi ze Zbaraża... nie — te „aristotelesowe sprężyny wszel-
kiej tragiki“ drgają tam tak potężnie, jak nigdy dla Bo-
huna, jak nigdy (jeżeli mamy otwarcie całą swoją myśl po-
wiedzieć) — jak nigdy dla Kmicica!

Jest więc niezgody wiele. Ale na jedno zgoda całym
sercem i zupełna, na ostatnie słowa: *read and be thankful!*
I zgoda także, takasama, na zakończenie owego listu, które
brzmi jak następuje:

„Bądźmy wdzięczni Sienkiewiczowi za jedno, jak za
drugie arcydzieło; i dziękujemy Bogu, że nam w tak po-
dłych i strasznych czasach dał takiego czarodzieja!“

IV.

„PAN WOŁODYJOWSKI“¹⁾.

Historyi daleko mniej, romansu więcej, aniżeli w *Potopie* i w *Ogniem i Mieczem*; naprawdę, romans właściwy, i tylko romans, choć na tle historycznych wypadków. Przez cały ciąg pierwszego tomu odbywa się wprawdzie elekcya w Warszawie, a jej echa dochodzą do przedmiejskiego dworku na Mokotowie; w tomie trzecim jest oddanie Kamieńca Turkom, a w epilogu na pociechę i podniesienie ducha jest choćmińskie zwycięstwo; ale te wypadki są istotnie tłem tylko (choć jeden z nich -- Kamieniec -- wiąże się z losami bohatera powieści i sprowadza jego zgon), a przygody ludzi i dzieje ich serc wysunięte są jedynie naprzód, znaczą tu więcej, niż dzieje Rzeczypospolitej. Ztąd odmienny od poprzednich, można powiedzieć zupełnie nowy charakter tej powieści. Widzieliśmy dotąd nieraz romans treścią mniejszej Sienkiewicza powiastki, ale w wielkiej powieści gra on po raz pierwszy rolę tak wielką. Skrzetuski z Heleną i Kmicie z Oleńką byli (przy całej swojej piękności) nieledwie pre-
textem dla scen i figur historycznych; tu Wołodyjowski i Basia są naprawdę głównymi figurami, a ich miłość główną sprawą. Dwóch żołnierzy i dwie panny, miłość i zawikłania między nimi, a wreszcie dwa śluby, to tom pierwszy; miłość

Pisane w roku 1884 pod tytułem „Z najnowszych powieści polskich“ III.

i szczęście jednej z tych par w twardem rycerskiem kresowem życiu, zamaćone szaloną namiętnością Tatarów i podstępem porwaniem, z którego się ofiara swoją odwagą i przytomnością wyratowała, to dwa tomy dalsze. Kamieniec już się z tem nie łączy; jest tylko zakończeniem bardzo pięknem, historycznie wiernym końcem bohatera powieści.

Wtajemniczeni opowiadają, że z bohaterów swojej pierwszej powieści, Sienkiewicz największą miał zawsze słabość do Michała Wołodyjowskiego. Nie mógł mu tam dać tak wielkiej roli do grania jak Skrzetuskiemu lub Bohunowi, jak Zagłobie albo Kmicicowi, ale miał go w skrytości serca lubić bardziej niż tamtych. Zdarzają się takie rodzicielskie szczególne upodobania w jednym dziecku, a właśnie to wybrane i najmilsze było dotąd cokolwiek poświęconem i pokrzywdzonym; nie dano mu takich świetnych bohaterskich i tragicznych przeżyć, jak starszym, zostawiono je w cieniu; tamci musieli silniej działać na wyobraźnię i podbijać serca, on zostawał w tyle, przyćmiony, najmniejszy, ostatni między nimi. W ojcowskiej miłości i sprawiedliwości tkwi zawsze popęd zadośćuczynienia dziecku za uposledzenie choćby chwilowe, dowiedzenia mu, że nie jest ani gorszem ani mniej kochanem od innych. Czy nie z tego popędu wynikło, że swoją trzecią powieść Sienkiewicz prawie wyłącznie Wołodyjowskiemu poświęcił? że dał mu w niej miejsca więcej, niż Skrzetuskiemu w pierwszej a Kmicicowi w drugiej? że jego imię dał za tytuł powieści, czego dla tamtych nie zrobił? Bohaterska śmierć pułkownika, który nie chciał przeżyć hańby oddania Kamieńca, ale się z basztą wysadził w powietrze, jak z jednej strony dodawała mu uroku w oczach autora i wrodzoną słabość podnosiła do wysokości zapалу, tak z drugiej strony dawała mu wspaniały, poetyczny i moralnie wspaniały obraz, na finał wspaniałego cyklu powieści.

I.

Pan Wołodyjowski tedy, po wypędzeniu Rakoczego miał nareszcie związać się ślubem dozgonnym z Anusią Borzobohatą, która, jak wiemy z *Potopu*, znalazła się na Żmudzi przy narzeczonej Kmicica, ale dużo jeszcze miał przeszkód do zwalzenia i zwłok do zniesienia. Panna nie chciała iść do ołtarza bez pozwolenia i błogosławieństwa księżnej Gryzeldy, której biedny narzeczony musiał szukać aż w Wiedniu; potem nastąpiły związki wojskowe, potem rokosz Luchomirskiego; i biedny żołnierz musiał o wojnie myśleć nie o ślubie, tak że ten ślub zwlókł się aż do bezkrólewia po abdykacyi Jana Kazimierza. Wszystkiego tego dowiadujemy się z krótkiego wstępu, a dowiadujemy nie bez pewnego zdziwienia. Zakochany a tak do żeniaczki skwapliwy kawaler; panna, która, nie obrażając jej, już dobrze „po lat niewieścich schodziła południe,“ przez dziesięć lat nie znaleźli czasu, żeby wykonać ślubną przysięgę? przecież te zaburzenia i wojny nie były tak nieustanne, tak bez wytechnienia i przerwy, żeby wojak bez obrazu żadnego swego obowiązku nie był mógł wziąć urlopu i ślubu! nie trzeba na to lat, wystarczą tygodnie, jeżeli nie dnie; a choć prawda, że przez te wszystkie lata nie było spokoju, to były przecież przerwy i chwile wytechnienia między wojennemi działaniami. I w tych wszystkich chwilach, Wołodyjowski nie upatrzył ani jednej, iżby spełnić najgorętsze serca pragnienie? Kto przeczyta powieść, ten zrozumie, dlaczego tak być musiało. Wołodyjowski, małżonek Anusi, nie mógł być bohaterem romansu z Basią; Wołodyjowski, wdowiec po kilku latach pożycia z Anusią, nie byłby miał tej niecierplivej pasyi ożenienia się, która mu także skwapliwie rozkochać się w Krzysiu, a po zerwaniu z Krzysią natychmiast jak z pistoletu rozkochać się w Basi. Ale nawet kiedy się już te dobre powody wyrozumiało, jeszcze nie można pojąć, jak ta wielka miłość przez całe dziesięć lat mogła tak cierpliwie czekać, i nie upatrzyła jakiej spokojnej sposobnej pory do ślubu,

skoro ta w przerwach między wojnami nieraz się przecie nastęrczała.

Po takim wstępie na sam początek powieści, obrazek uroczy i rozkoszny w swojej prostocie. To po walkach spokój, szczęście po cierpieniach; to codzienne domowe wiejskie życie ze swoim błogim wdziękiem i cichem błogosławieństwem; to szlachecki dwór polski pośrodku między sadem a gumnem; to pierwsze dni września ze swoją pogodą już nie skwarną; to sterty bogate i gałęzie gnące się pod ciężarem owocu; to jeden z tych szkiców, w których Sienkiewicz przez opis natury daje widzieć życie a czuć usposobienie ludzi. Dwór, to Lubiec, w którym nie zostało już ani śladu gwałtów i krwi towarzyszy Kmicica; gospodarz, to Kmicie, który w cieniu pod gankiem wodzi oczyma za żoną ostrożnie przechadzającą się po ścieżkach sadu, a ich rozmowa, to mała sprzeczka o imię spodziewanego pierwszego synka. Sielanka zupełna, śliczna sielanka, niestety krótka jak wszystkie! Gość, gość ze złą wieścią. Charłamp aż tu do nich na Żmudź przyjechał, by oznajmić, że biedna Anusia Borzobohata jadąc (wrzeszcie!) na ślub do Krakowa, nagle w drodze umarła z gwałtownej jakiejś choroby, — by szukać ratunku i pomocy dla Wołodyjowskiego w rozpacz.

Kmicica, któremu tęskno i ciężko ruszyć się z domu, wyprawia żona w imię obowiązku przyjaźni i wdzięczności; szczęściem, ofiara nie okazała się zbyt trudną. Ku Częstochowcy musiał Kmicie jechać przez Burzec Skrzetuskich, i tu mądry Zagłoba zdecydował, że cokolwiek Michał z desperacyi-by począł, czy w obłąkanie wpadł, czy w klasztorze się zamknął, nikt tam poradzić nie zdoła, tylko on jeden swoim rozumem. Wraca więc Kmicie do żony i już nie pokazuje się więcej, a na scenie zostaje Zagłoba.

Jedzie do Warszawy; po drodze spotyka wiele szlachty i panów, ciągnących na konwokacyę, raz w Mińsku przezornie unika spotkania z dawnym nieprzyjacielem księciem Bogusławem, i wreszcie dostaje się do stolicy. Tu kłopot niemały. Jak i od kogo dowiedzieć się gdzie jest, co robi Wołodyjowski? gdzie samemu znaleźć jakitaki przytułek

w mieście, które mnóstwa przybyłych nie może pomieścić? Na jedno czy na drugie radzi przypadek, czy opatrność, w postaci Ketlinga.

Ketling, ów młody Szkot w służbie Bogusława Radziwiła, któryto Oleńki strzegł i w niej się kochał w Taurogach, po wyjściu swojej umowy porzucił księcia Podczaszego, wszedł w służbę Rzeczypospolitej, postarał się o indygenat, znalazł jakiegoś dalekiego a bogatego krewnego w Kurlandyi, który go adoptował za syna, przez to wszystko wyszedł na zupełnego Polaka, i na bogatego panicza. Ketling ma za Warszawą na Mokotowie dworek, do którego Zagłobę zaprasza, a z tej głównej kwatery operując i wywiadując się pilnie, dochodzi Zagłoba do pewności, że Wołodyjowski z rozpaczy wstąpił do Kamedułów na Bielanaech. Wydobyc go ztamtąd! Szkoda najlepszej szabli w całej Koronie i Litwie, a do przesuwania paciorków różańca zawsze się rąk znajdzie dosyć. Wszyscy znajomi i przyjaciele, wielu oficerów i senatorów, i sam hetman wielki koronny, utwierdzają w przedsięwzięciu Zagłobę, który z gotowym fortem w głowie wybrał się do Kamedułów.

Fortel udał się łatwo, może aż zbyt łatwo. W habicie, ze spuszczone mi oczyma, z rozpaczą w sercu, wychodzi nasz dawny przyjaciel do furty. W myśli ma tylko zmarłą Anusię, na ustach *Memento mori*. Żeby go z tych murów wybobyć, musi stary frant użyć podstęp i kłamstwa. Ketling to niby śmiertelnie raniony przez ludzi księcia Bogusława, chce raz jeszcze przed śmiercią Wołodyjowskiego zobaczyć. Że życzeniu umierającego odmówić trudno, to pewna; i nie naturalniejszego, jak że Wołodyjowski otrzymał od przeora pozwolenie do wyjścia, tembardziej, że habit wprawdzie był przywdział, ale ślubów żadnych wykonać jeszcze nie miał czasu. Że się dał zwieść i z klasztoru wyjechał, to niedziwne wcale. Ale że już w drodze zaczął do dawnego życia powracać i obiecał zostać cały miesiąc na świecie; że zaledwo ujrzał Ketlinga (zdrowego) i innych przyjaciół, po chwili gniewu rzucił się im w objęcia, a na pierwsze słowo Sobieskiego o habicie zapomniał a wdział mundur, i tegosamego

dnia kiedy wyszedł z klasztoru, już był nanowo w wojsku, to trochę dziwić musi. Że powołanie było wmówione a nie prawdziwe i stałe, to rzecz, co się często zdarza; ale i sama rozpacz nie była głęboka i trwała, skoro postanowienie nią wywołane rozwiało się tak szybko i łatwo. Ależ bo Wołodyjowski nie miał wcale być wzorem czulego kochanka, tylko osobnym (a niezbyt rzadkim) rodzajem usposobienia. Jestto jeden z tych ludzi, którzy w miłości wzajemnej i szczęśliwej będą wierni i stali do śmierci, którzy są stworzeni na doskonałych mężów, ale którzy po to tylko i o tyle kochają, o ile sami są kochani i szczęśliwi. Chcą szczęścia, chcą żony dobrej i czulej, chcą rodziny, chcą miękkiej, łagodnej, pieczącej atmosfery, któraby mogli zawsze oddychać. Jaką jest kobieta, która im to szczęście da, to (byle ona była dobra) obchodzi ich mniej, bo dla nich nie osobistość pewnej kobiety stanowi urok miłości i jej główny powód, ale ta błogość, której pragną i spodziewają się dla siebie. Ten rodzaj pragnienia i czucia miłości nie jest rzadkim między mężczyznami, przynajmniej między mężczyznami w Polsce, i pomysł był w każdym razie oryginalny, a naszym zdaniem szczęśliwy, żeby bohaterowi powieści dać taką naturę, kochliwą bardzo, a zakochania prawdziwego mało zdolną.

Niebawem zacznie ukazywać się wyraźnie i rozwijać to usposobienie Pana Wołodyjowskiego. Przyjeżdża do Warszawy jego siostra, pani Makowiecka, stolnikowa Łatyczowska (doskonała figura, złożona z poczciwości, gadatliwości, zdrowego rozsądku i uległości dla boskiej i męzowskiej woli), i przywozi ze sobą dwie panny, sieroty, na swojej i męża opiece. Jedna panna jest brunetka, druga blondynka; jedna biała, druga różowa, jedna poważna, druga trzpiot, obie z ciekawością i zajęciem patrzą na sławnego rycerza, o którym przez całe życie słyszały, z wielkiem podziwieniem, z wielkiem współczuciem o jego nieszczęściu i rozpaczę za utraconą Anusią. Wyobraźnie dziewczęce zapalają się obie naraz, ale tylko jedno serce kocha Wołodyjowskiego naprawdę. On tymczasem (jak się często zdarza) do tej ma pociąg większy, która go kochać nie będzie, a lekceważy

i ma za dziecko (dziecko zepsute i trochę naprzykrzone) tę biedną dziewczynę, która odrazu całym sercem do niego przylgnęła.

De gustibus non est disputandum, ale gdybyśmy byli na miejscu Wołodyjowskiego, zrobilibyśmy z pewnością jak on: Krzysia podobałaby nam się bardzo, Basia wcale. Nie lubimy panien kozaków, hajdamaków, źle wychowanych, a przez jakąś dla nich zapewne zrozumiałą kokieterię przesadzających umyślnie złe wychowanie, i udających jeszcze gorsze, choć to które mają, jest już doprawdy dosyć złe. Basia, która wyprawia krzyki i hałasy do darowania chyba małemu dziecku, która się dąsa i grymasi, zadasana i rozgrymaszona drapie się na dach po drabinie, a kiedy wołają żeby zeszła, odpowiada *nie zlazę* (jak fornal!) — przez autora traktowana *con amore*, jest widocznie jego ulubioną kreacją, widocznie ma w niej upodobanie wielkie, wydaje się jak żeby sam był w niej trochę zakochany. Nam grunt jej natury i charakteru szlachetny i dzielny podoba się bardzo ale strona zewnętrzna, układ, sposób mówienia i zachowania się z ludźmi dużo mniej. Mniej także jej historia. Że w niebezpieczeństwie kobieta może się bronić, strzelić, nawet zabić, przypuszczamy zupełnie i nie mamy nic przeciw temu; ale chcielibyśmy, żeby ten człowiek zabity pozostał dla niej na całe życie wspomnieniem przykrem, bolesnem. Basia zrobiła zapewne dobrze, że zabiła Tatara, który się skradał do domu i przez to całą osadę ocalił od napadu; ale zrobiłaby może jeszcze lepiej, gdyby się tym swoim bohaterskim czynem nie popisywała, gdyby o nim mówić nie lubiła sama, a nie pozwalała drugim. Jest coś tak przeciwnego naturze, tak wstrętnego, w śmierci zadanej ręką kobiety, tą ręką, z której jak z boskiej prawie życie tylko winno płynąć, a jak z anielskiej spokój i błogosławieństwo, że przykrym jest już widok kobiety, która poluje i zabija zwierza, nawet kiedy tym zwierzem jest zły lis, cóż dopiero kiedy biedny zając albo rogacz. Kobieta, która zabiła człowieka — choćby tym człowiekiem był Tatar czy rozbójnik — może być bohaterską, ale wdzięczną być już nie potrafi; chyba pod jednym warunkiem,

że to zabójstwo w swoim sercu oplakuje, że się niem brzydzi, że je uważa za smutne, za okropne w swoim życiu przejście i wspomnienie. To zastrzeżenie zrobiwszy z góry, przyznajemy zupełnie i z radością, że sposób, w jaki Basia ukrywa się ze swoją rosnącą miłością, szlachetność, z jaką milczy i poświęca się, kiedy widzi Wołodyjowskiego skłonność do Krzysi, ma wiele delikatności i godności, i pozwala powiedzieć, że u niej grunt lepszy niż pozór, pozwala ją lubić i cenić pomimo tych nieprzyjemnych pozorów.

Wołodyjowskiego rażą one także. Dziwaczną a trochę natrętną wydaje mu się ta panna, która ma pretensję bić się na pałasze jak mężczyzna, od niego chce się tej sztuki uczyć; gniewa się i płacze, kiedy widzi (rzecz najprostsza w świecie) jego nad sobą w tej sztuce wyższość. Krzysia tymczasem, ze swoim współczuciem rozumnym i łagodnym, które cierpiącego nigdy nie chce ani próbuje pocieszać, a koł go ciągle, ze swoim podziwieniem dla jego męstwa i zasługi, ze swoją pięknoscia wreszcie, wkrada mu się do serca tak, że biedny pasuje się i walczy ze sobą rozpaczliwie, wyrzuca sobie niewierność względem zmarłej Anusi, ale wkońcu poddaje się urokowi tego szczęścia, które mu świtać zaczyna, i kocha, i przyznaje sam sobie, że kocha! Wyznaje to i dziewczynie, która przekonana, że go kocha i wielbi, w najlepszej wierze (w bardzo ładnej scenie) przyrzeka mu wzajemność i rękę, a przyjmuje jego pocałunek jako narzeczonego, jako przyszłego męża.

To pierwszy akt tego dramatu, który idzie pomalu, w samych spokojnych, prawie nie znaczących scenach. Wieczorne rozmowy i zabawy w dworku Ketlinga, opowiadania i genealogiczna erudycja pani Stolnikowej, sprzeczki między Basią a Zagłobą, tu i owdzie lży biednej Basi ukryte przed ludźmi, wylane gdzieś w kącie albo w stajni, oto wypadki powieści. O jednym chyba jeszcze wspomnieć trzeba, to w miłości i rekuzie młodego Nowowiejskiego, zakochanego w Basi, a przez nią wzgardzonego, nie żeby teraz epizod ten miał wiele znaczyć, ale że ta figura znajdzie się w dal-

szych tomach powieści, w innych a tragicznych zawikłaniach.

Kiedy zaś tak się dzieje w przedmiejskim dworku, w mieście Warszawie przygotowuje się elekcya po abdykacyi Jana Kazimierza. Do powieści nie należy ona, i raz tylko wysuwa się naprzód, kiedy prymas Olszowski zjeżdża z całą swoją powagą interreja i ze swoją *cenzurą Candidatorum* do dworku Ketlinga, żeby Zagłobę dla swoich widoków, dla swego kandydata pozyskać. Scena jest tak doskonała, Olszowski znowu tak wiernie i żywo skreślony, że żal tylko pozostawia, czemu widzi się go tak mało, czemu ten jeden raz tylko! Ale przy całej piękności i doskonałości jest w tej scenie coś, co w czytelniku budzi pewne niedowierzanie, a tem jest ogromne znaczenie, ogromna powaga Zagłoby. Kto pamięta Zagłobę w *Ogniem i Mieczem*, kto go pamięta, jak w *Potopie* bił się z małpami, temu trudno zrozumieć, z kąd i jakim sposobem on doszedł do powagi? Czy to przemiana umyślna? czy autor chciał, żeby Zagłoba przez wiek i uczestnictwo w wielkich rzeczach podniósł się wyżej? żeby zachował pewne przyzwyczajenia kłamstwa i samochwalstwa ale po wierzchu tylko, a naprawdę i wewnątrz stał się innym człowiekiem? Tego odgadnąć nie umiemy, ale widzimy, że Zagłoba w tej ostatniej powieści jest inny, robi inne wrażenie. Już w *Potopie* zakrawał on niekiedy na człowieka poważnego, ale w *Potopie* jeszcze nie ludził swoją powagą czytelnika ani samych aktorów powieści; jeszcze tam czytelnik widział go w walce z małpami; jeszcze tam król lub Paweł Sapięha lubili go i bawili się nim, ale choć widzieli w nim spryt, nie byli zaślepieni na inne strony jego natury. W tej zaś powieści Zagłoba zdaje się być jednym z pierwszych ludzi w Rzeczypospolitej; wojsko widzi w nim bohatera, szlachta statystę pełnego doświadczenia i mądrości. Zagłoba teraz imponuje wszystkim dokoła, a jeżeli nie imponuje może Olszowskiemu swoją osobą, to w każdym razie swojemi wpływami, swoim znaczeniem i siłą. Czytelnik zmieszany cokolwiek sam nie wie, co ma myśleć i robić? czy pozwolić, żeby Zagłoba i jemu za przykładem drugich imponował,

uwierzyć w jego powagę? lub też podziwiać zręczność i dowcip nieocenionego starego lgarza, który tak dobrze umiał kłamać i przechwalać się, że okłamał nietylko całą współczesną Koronę i Litwę, ale w dodatku jeszcze i swego własnego autora?

Wołodyjowski za hetmańskim rozkazem pojechał na Ukrainę, wróci dopiero na elekcyę; a tymczasem w Warszawie nieprzewidziane dramatyczne zawikłania w jego sprawie tak jasnej i prostej. Psychologiczny problem zajmujący, trudny do traktowania, traktowany z niepospolitym wdziękiem i taktem: miłość prawdziwa i potężna, następująca po urojonej i przelotnej. Romeo był przekonany że kochał Rozalindę, kiedy ujrzał Julię, i owa miłość zgasła jak świeca przy słońcu, znikła jak śnieg pod słońcem. Krzysia Drohojowska podobnie ze szczerego i prawego serca przyrzekła rękę Wołodyjowskiemu, myślała że go kocha, wierzyła że zawsze kochać będzie. Ale przyszła jedna chwila stanowcza, i biedna poznała, że to, co brała za miłość, było współczuciem, przyjaźnią, rozrzewnieniem, podziwieniem nawet, ale nie tem uczuciem, któremu wola może się czasem opierać, ale dusza poddać się musi; które raz w duszy wyrosłe wydrzeć się z niej nie da już nigdy, i stanowi o życiu, o szczęściu, staje się wszystkim i wszystkim zostaje. Ketling wrócił z Kurlandyi, nie wiedział o gościach, zamieszkujących jego dom, zastał Krzysię samą — i jak Romeo w Julii zakochał się od pierwszego spojrzenia. Ona taksamo.

Sytuacya prawdziwie dramatyczna. Biedna dziewczyna dała słowo; ten, któremu je dała, jest nietylko najgodniejszy, ale wierzy w jej słowo i jej miłość; ona jest jego nadzieją, jego szczęściem, jego jedynem dobrem na ziemi — a tymczasem kocha innego całą duszą, całym sercem, całą swoją istotą, i musi własnego szczęścia się wyrzec, ukochanego poświęcić; narzeczonemu się sprzeniewierzyć, oddać mu rękę tylko, a nie serce, albo odebrać mu dane słowo. Położenie tem trudniejsze, tem boleśniesz, że o niem nikt nie wie. Oboje z Wołodyjowskim chcieli, żeby ich zobowiązanie wzajemne zostało tajemnicą dla wszystkich aż do jego powrotu: więc ani się przed kim

użalić, ani się poradzić! Sama musi wytrzymać tę walkę, sama musi znaleźć odwagę i sposób wyjścia z tego położenia, które nie może skończyć się inaczej, jak nieszczęściem wszystkich trojga. Ale jakkolwiek sympatyczna, szlachetna, wzruszająca w tej kolizyi, nie Krzysia przecie najbardziej jest zajmująca, działającą na wyobraźnię, trafiającą do uczucia. Rolę pierwszą w tym dramacie (choć jego sytuacja prostsza) ma Ketling, pierwsza w tym rodzaju kreacja Sienkiewicza, a bardzo wysoka i świetna. Bohaterów cnoty było u niego wielu, nie było dotąd takiego, któryby był bohaterem miłości jedynie i niczem więcej. Skrzetuski poświęca swoją miłość ojczyźnie; w Kmiciecu transformacja człowieka znaczy i zajmuje więcej, niż miłość jako taka. Bohun prawda jest bohaterem romansu w całym znaczeniu słowa, ale poetyczny Bohun jest zły, mściwy, jest przez tego złożony z różnych pierwiastków, jak jego charakter ruski, jego nienawiść do Lachów, jego namiętność plemienna i religijna, jeżeli nie polityczna. W małych powieściach był Selim prawda, i był ten biedny, co swoją ubóstwianą a później unierającą żonę wiozł *przez stepy*; ale Selim miał naturę więcej zapalną niż głęboką: tamten był znowu taki nieszczęśliwy, że się o jego nieszczęściu myślało więcej, niż o jego uczuciu. Ketling jest żołnierzem i rycerzem, bo czemuś być trzeba, nie można być na tym świecie tylko kochankiem i niczem więcej; ale oprócz tego żołnierskiego stanu niema w nim nic, tylko miłość. Kochanek idealny, może nie tak świątobliwy jak Skrzetuski, nie tak porywczy i owładający jak Kmiciec, ale żyjący jedynie swoją miłością i dla niej; zakochany i namiętny i rzewny jak Bohun, ale Bohun z innego świata i wychowania; doskonały kawaler, któremu cześć umiłowanej kochanki, rycerski obowiązek poświęcenia się dla niej, najszlachetniejszy wzgląd na jej uczucia i jej wolę przeszły w krew i stały się prawem, tradycją, pierwszym obowiązkiem, pierwszym przykazaniem jego rycerskiego zakonu. Nie przypominamy sobie w literaturze polskiej drugiego bohatera, któryby był tak jak ten tylko zakochanym, a tak pięknie, tak poetycznie, a zarazem poczciwie i zdrowo zakochanym. Miłość bije

z jego słów wszystkimi swojemi światłami, od płomiennych i gorejących, aż do najłagodniejszych księżycowych, dźwięczy wszystkimi swojemi tonami od potężnych i porywających do najbardziej słowicznych i fletowych; ale koroną tego miłosnego duetu, a zarazem jedną z celniejszych rzeczy, jakie Sienkiewicz kiedykolwiek napisał, jest cudowna scena w kościele św. Jana, kiedy po wspomnieniu Maryi Ludwiki smutnej przez całe życie, bo musiała wyrzec się swojej miłości, klęcząc na miejscu, gdzie ona zwykle klękała, Ketling robi ostatnie błagalne oświadczenie, a biedna dziewczyna odpowiada, że go kocha nad wszystko, ale jego żoną być nie może. On przyjmuje wyrok w milczeniu, nie pyta nawet o powody, wierzy, że muszą być wielkie. Wspaniały, przejmujący efekt robi zakończenie tej sceny, kiedy wychodzących z łoży Zagłoba pyta żartem, czy im się nie ukazał duch Maryi Ludwiki, a Krzysia odpowiada, że tak. Ujrzała przed sobą los tamtej, i z jej mężnym duchem postanowiła go znosić.

Ketling zmyśla ważne sprawy, powołujące go do Anglii, ma wyjeżdżać, nie pokazuje się w swoim dworku; Krzysia oznajmia ciotce i Basi, że chce iść do klasztoru. Na to wraca Wołodyjowski z sercem bijącym tęsknotą i radością; przez całą drogę marzy o chwili, kiedy ujrzy narzeczoną, a gdy wreszcie dojechał, nie widzi jej, tylko w rozmowie, jak o rzeczy prawie obojętnej, dowiadyuje się od drugich (nie nie wiedzących) o jej zamiarze. Rozmowa między nimi nazajutrz rano, jego prośby i zakłęcia w słowach prostych i niby niezgrabnych a tak rzewnych i rozdzierających, że kamień zmiękły, to znowu takie piękne, że sam Ketling nie jest poetyczniejszy, ani bardziej wzruszający od tego biednego prostaka wojaka. Krzysia nie zmiękła, nie dała się ubłagać, nie powiedziała nawet, dlaczego dane słowo zła-mała. Prawdy dowiedział się zdradzony z boku; Basia, która jego kocha od początku, a szlachetnie się poświęca, widząc że on kocha inną, teraz tak go żałuje, że z litości, ze współczucia chce mu powiedzieć dobre słowo, przynieść mu ulgę jak nieszczęśliwemu. On w rozpacz i oburzeniu odpycha ją

sorstko i gorzko: „idź, rozkochaj Ketlinga, daj mu słowo, a potem go zdradź; rozedrzyj mu serce i idź do klasztoru“. Wtedy zawiedziona miłość, wzgardzona przyjaźń, wprawia Basię w gniew, i w prędkości a bez rozważenia i złej woli odpowiada, że nie ona przez Ketlinga idzie do klasztoru. Tajemnica Krzysi dała się ukryć przed wszystkimi, ale nie przed okiem kochającej dziewczyny, która oddawna żyje jedną myślą: „gdyby on mnie chciał, jak tamtej, nie oddałabym go za innego, ani za świat cały“. Ten mimowolny wybuch jest zupełnie naturalny, konieczny, ale prawda jest odkryta. Co teraz będzie? Pojedynek, śmierć jednego z dwóch, może obu?

I tu jedna uwaga, jeden do autora żal. Explicacya między Wołodyjowskim a Ketlingiem mogła i powinna była być sceną najbardziej dramatyczną z całej powieści; była też niezmiernie wdzięczną i ponętną, bo pozwalała pokazać oba te charaktery w całym blasku ich szlachetności, a w całej prawdzie ich żalu, cierpienia i gniewu. Dlaczego nam autor tej sceny pozazdrościł? dlaczego jej nie napisał? dlaczego opowiada nam, co robiła Basia i co robił Zagłoba, a nie pokaże, jak Wołodyjowski Ketlinga znalazł i z nim się rozmówił? Nie umiemy odgadnąć, a przypuszczamy, że powodem musiało być zbyt szybkie, nagłe, męczące i nużące pisanie do dziennika, które w końcu siły i ochotę odejmuje. W każdym razie żałujemy tego bardzo. Druga zaś uwaga następująca: rozumiemy dobrze, dlaczego Krzysia Wołodyjowskiemu prawdy nie wyznała; oczywiście dlatego, że po takim wyznaniu nie byłoby sceny z Basią, ani szukania Ketlinga, ani zakończenia. Wszelako choć rozumiemy autora i jego powody, to nie rozumiemy Krzysi. Mogła ona ukrywać tajemnicę swego serca przed kim chciała, tylko nie przed Wołodyjowskim. Człowiekowi, który ją kochał, któremu dała słowo, któremu pozwoliła wierzyć, że go kocha nawzajem, winna była koniecznie powiedzieć prawdę i całą prawdę. Dziewczyna dobra i szlachetna ten obowiązek zrozumieć zawsze i spełni go, choć ją to kosztuje i boli. Krzysia, która go nie pełni, zniża się przez to moralnie, okazuje

się mniejszą, niż się ją dotąd sądziło. Przykład Julietty, która ojcu, wydającemu ją za Parysa, powinna była wyznać że już jest zamężną. Krzysi nie usprawiedliwia, bo naprzód Julietta miała istotne i wielkie powody do strachu, a powtóre Julietta jest natura bardzo namiętna, ale czy bardzo prawa i szlachetna, to pytanie; i kto wie, czegoby jeszcze był się doczekał Romeo, gdyby oboje byli dłużej pożyli. Desdemona, która jest nawskróś prawa i szlachetna, ma odwagę (choć z natury trwożliwa i bardzo strwożona) wyznać prawdę przed ojcem i przed całym weneckim senatem. Krzysia potrzebowała odwagi mniej, i żal nam, że się na nią nie zdobyła. A ostatnią scenę z Basią i zakończenie tego romansu, mógłby był autor pomimo tego innym jakim sposobem przyprowadzić, gdyby był się namyślił i tego sposobu poszukał.

Śliczny znowu i chwytający za serce jest Wołodyjowski w tej scenie, kiedy przebacza, kiedy z żalu ledwo mówić może, a poświęca się i narzeczoną Ketlingowi oddaje. Czytelnik pod wrażeniem tej szlachetności, wzruszony podziwieniem i współczuciem, rozczuła się nad Wołodyjowskim tak, że mało nie płacze, kiedy nagle jak piorun z jasnego nieba spada na niego wiadomość, że litować się i płakać nie ma czego. Basia, wstrząśnięta do głębi serca tem, co widziała, płacząca, prawie nieprzytomna, pod wrażeniem (jak czytelnik) podziwienia i współczucia, mimowolnie wydała się ze swoją miłością, wyznała ją i..... Michał ją teraz kocha, mówiąc, że Bóg zrobił cud, żeby go pocieszyć, zmienił w nim serce, dał mu pociechę, dał mu nową miłość i szczęście.

Chwała Bogu za ten cud, i cieszymy się szczerze, że wszystko kończy się tak szczęśliwie. Ale przy usposobieniu pana Michała cud może nie był tak bardzo trudnym, może go i wcale nie było potrzeba? Tak przynajmniej szeptać się zdaje z tamtego świata cień Anusi Borzobohatej. W każdym razie Krzysia może iść za Ketlinga ze spokojnem sercem i bez wyrzutów sumienia.

II.

Wołodyjowski składa się właściwie z dwóch powieści. Ta sprawa, o której mówiliśmy dotąd, jest zupełnie skończona, zamknięta; z drugim tomem zaczyna się nowa, od tamtej całkiem niezależna i odrębna, a złączona z nią jedynie tożsamością głównych osób, Michała i Basi, którym towarzyszy do końca Zagłoba.

Pobrali się, mieszkali i gospodarowali gdzieś daleko na Podolu; do zupełnego szczęścia brakło im tylko dziecięcia. Z tego spokoju wyrywa ich list Sobieskiego, który Wołodyjowskiemu donosi o gotującej się (a pod bardzo złemi wróżbami) wojnie z Portą i Tatarami, i przykazuje strzedz Rzeczypospolitej na ostatnich jej kresach. Pułkownik za główną kwaterę obiera sobie Chreptiów, żona nie chce go odstąpić. Zmiękczony jej prośbami, uspokojony mądrymi argumentami Zagłoby, Michał zezwala; wszelako nie prędzej da jej za sobą pojechać, aż jej w dzikim i pustym stepie jakieś mieszkanie, a wojsku obronne obozowisko opatrzy. Jakoż po kilku tygodniach wzywa ją do siebie, a dla bezpieczeństwa przysyła oddział wojska, do którego dodana jest garstka Tatarów Lipków, pod dowództwem młodego litewskiego (jak mówi) Tatara, Azyi Mellechowicza. Baczność! Ten Azya to będzie działacz główny w całej dalszej sprawie powieści, — a zarazem postać na wielką skalę poczęta, w wielkim stylu wykonana, tak, że staje śmiało w pierwszym rzędzie między najszczęśliwszemi, największemi krecyami Sienkiewicza.

Jest w nim coś tajemniczego, niewiadomego, co się zczasem wykryje; a tymczasem z jego słów skąpych, z jego szorstkiego zachowania się, z jego postawy, opisanej z wyrazistością i życiem, które u każdego innego pisarza byłyby zadziwiające, a u Sienkiewicza tylko nie dziwią już, choć zawsze podziwiać się każą, poznać się daje dusza silna, namiętna i dumna, podejrzliwość wiecznie czujna (może dawnem upokorzeniem jakim podżegana?) przebiegłość wro-

dzona plemionom dzikim i wschodnim. Basia, która instynktem kobiecym przeczuła w tym człowieku jakieś dręczące upokorzenie, jakieś usposobienie szarpiące się i burzliwe, z dobrego serca okazała mu uprzejmość i życzliwość; kiedy w drodze spadł z konia i rozciął sobie głowę, wzięła go na swój wóz i pielęgnowała troskliwie. Ta dobroć wzruszyła serce zrażone i twarde, piękność i wdzięk zrobiły resztę, i zajęła się w duszy Tataru ta namiętność bez granic i względu, dzika i wściekła, która będzie osią i sprężyną powieści.

Bardzo delikatnie i zręcznie wszakże zaznacza autor tylko, daje do domysłu, że ona się poczyna; ale jej nie pokazuje. Azya Tatar, nie szlachcic, choć ceniony jako wojskowy, przecież polskiej szlachcicie nie równy, tembardziej i tem dumniej trzyma się sam zdaleka, im więcej się boi, by mu ktoś tej nierówności nie wytknął, nie przypomniał, i w zwykłym towarzyskim życiu ukazuje się Basi tylko na wezwanie, cóż dopiero, żeby miał obcesowo mówić jej o swojej miłości! Nie śmie naprzód, a potem jest za mądry, za przebiegły; ukrywa się i mileży.

Z tego wynika, że przez znaczną część powieści nie się niby nie dzieje: przejeżdżają, osiadają w Chreptowie, polują, wieczorami rozmawiają przy kominie, i nie więcej. Aż dziwi trochę ta beczynność, ten zupełny brak akcyi, na który autor radzić aż musi epizodami, wtrąconemi opowiadaniem. A jednak w tym pozornym spokoju i braku zdarzeń jest życie: każda scena jest obrazem, każda figura stoi w oczach jak żywa, każda ma swoją fizygnomię, swoje zajęcie, swój byt i ruch własny. Nie docieczy się powodów i istoty, ale widzi się na porównaniu skutki prawdziwego epickiego talentu. Podobnego kresowego życia obrazem i pomnikiem miał być — podług niektórych jest — Mohort Pola. I on strzeże granic, i on siedzi w stacji jak zóraw na czatach, śpi nawet na siodle; ale raz na tem siodle pokazany, kiedy z niego zsiadł, jak się ruszyć nie umie, jak nic nie robi, jak jest martwy i malowany tylko, a nie żywy! jak jego pasieki i stada wydają się nie ciekawe, nie potrzebne, do niczego nie służące i do niczego nie prowadzące! U Sienkiewicza

jest także zrazu życie kresowe w zupełnym spokoju; ale inny to spokój, inni żołnierze, inne życie i plastyka, inna poezya, inna wyobraźnia artysty. A te epizody, te opowiadania, które zastępują akcyę, postępującą bardzo pomalu, co za arcydzieła sztuki, co za wzniosłe a praktyczne nauki, co za prawdziwe, wierne i dla całości obrazu konieczne części składowe ówczesnego życia, ówczesnych cierpień i ucisków. Pierwszy (i najpiękniejszy) z nich, powinienby złotemi głoskami drukowanym być we wszystkich wypisach, we wszystkich książkach dla młodzieży, i jako jedna z przedziwności języka i sztuki, i jako złote ziarno prawdy, jako zdrowy i doskonały obrok duchowny. To ta historia pana Muszalskiego i jego sąsiada Dydiuka, uszlachconego kozaka, allegorya i personifikacya dwóch plemion, rozdzielonych zastarzałą i zatwardziałą nienawiścią, a pogodzonych i zjednoczonych bratnią miłością na tureckiej galerze, w ucisku niewoli. Oby wróżba okazała się tak prawdziwą, jak mądrą i szlachetną jest nauka, a cudnie pięknem opowiadanie! Historia księdza Kamińskiego uczy najtrudniejszej z enót, przebaczenia, wyrzeczenia się nienawiści do nieprzyjaciela. Ale księdzu Kamińskiemu ta enota była łatwiejszą! on zwyciężył, on swoich nieprzyjaciół (przynajmniej garstkę) pokonał. Trzecia historia jest (jak niegdyś *Niewola Tatarska*) obrazem najstraszniejszego może nieszczęścia tych stron i czasów, Jassyru, ale zarazem (choć czytelnik jeszcze tego nie widzi), nawraca w główne koryto akcyi, która odtąd prędzej popłynie. Pan Nienaszyniec miał małą siostrzyczkę, którą kochał nad wszystko w świecie; porwali ją Tatarzy, a Tuhaj-Bej, chował w haremie na przyszłość, aż do czasu jak dorosnie. Brat wykupić nie miał czem, wybłagać nie mógł, zdobył się na fortel. Wykradł małego synka Tuhaj-Beja, chowającego się gdzieś w dzikich polach, w nadziei, że za niego Tuhaj odda mu siostrę. Ale ludzie, z których pomocą dokonał tego wykradzenia, jego samego omal nie zabili, dziecko przepadło gdzieś bez śladu, przepadła i siostra! Pan Nienaszyniec poznałby i dziś jeszcze Tuhajowego syna, bo miał na piersiach wyklute i siną farbą zapuszczone dwie

ryby. Azya, który opowiadania słucha, z pewnym pośpiechem przeczy, iżby te ryby miały być środkiem poznania tożsamości, znak to u Tatarów zwykły i częsty.

A tymczasem rozstępują się pomalu chmury, zasłaniające tajemnice młodego Tatara. Pierwsza rysuje się już wyraźnie jego namiętność. Basia naparła się iść z mężem na bitwę z jakąś bandą grasujących po stepach zbójów i wywołańców. Biła się mężnie, ale po wygranej już, niebacznie znalazła się otoczoną przez kilkunastu ludzi, uciekała, w skoku koń związał się pod nią i padł z nią razem w głęboki jar. Pierwszy dobiegł na ratunek Azya, a niewidziany przez nikogo, trzymał zemdloną w uścisku i wpił się pocałunkami w jej usta. Przy ludziach, przed nią samą, nie nigdy nie dał po sobie poznać, jak dawniej.

Ale prócz tej miłości są w jego duszy jakieś tajone pasy i nadzieje, które wyblyskują z niej na chwilę złowrogimi światłami i przygasają znowu. Jakiś nieznany podejrzany Tatar odwiedza go w namiocie; pewnego razu przyniósł mu listy od Kryczyńskiego, pamiętnego z *Ogniem i Mieczem* zdrajcy, co przeszedł do Chmielnickiego i Tuhaja. Zdrada oczywista: Azya wezwany przed rodzaj doraźnego sądu wojennego. Pyszna scena, z której Tatar wychodzi z honorem, więcej, bo z tryumfem. Sam hetman wielki koronny, Sobieski, ufając mu, a słysząc, że dawni odstępcy radziby w służbę Rzeczypospolitej powrócić i swoich Tatarów za sobą przeciągnąć, polecił mu prowadzić z nimi układy. Własnoręczne listy dowodzą aż nadto, że Azya mówi prawdę. A taki jest wyniosły i hardy, tak umie mówić językiem obrażonej niewinności i godności, że jak Wołodyjowski i wszyscy inni, tak czytelnik wierzy w jego szczerłość. Nie na długo: rozmowa z zaufanym Halimem pokazuje, że on zdradza, choć nie pokazuje jeszcze co zamierza.

Niebawem pokaże się, kim on jest. Do Stannicy zjeżdża kilka osób: pani Boska z córką w poszukiwaniu za mężem w jassyrze, pan Nowowiejski z córką w poszukiwaniu syna, który mu z domu uciekł jeszcze wyrostkiem, a teraz tu służy wojskowo. I ten poznaje Azyę! — chował go u siebie

od dziecka, przy synu; a gdy z dziecka wyrósł na chłopaka, gdy raz w lamusie, z gorącym affektem całował pannę Ewę, złapany, oświczony, wygnany, poprzysiągł zemstę starremu Nowowiejskiemu i jego domowi. Wszczyna się sprzeczka, wśród której stary szlachcic oświadcza, że jeżeli to tensam, to będzie miał dwie sine ryby na piersiach. Ryby na piersiach (woła Nienaszyniec, czyżby to był tensam? jego Azya? Tatar rozrywa odzienie, pokazuje ryby na piersiach i oświadcza dumnie, że jest tynsamym Azya, synem Tuhaj-Beja.

Uwzględnił go o tem ten stary Halim, który go szukał, znalazł, czuwał nad nim, służył mu, jego rozkazy nosił Tatarom, jemu wieści z Krymu. Odkrycie to podnosi jego znaczenie w oczach wszystkich, skłania ku niemu poniekąd ich serca. Syn Tuhaj-Beja w służbie Rzeczypospolitej, wierny (bo go nieraz doświadczyli), dzielny i waleczny, co za dziwne zrządzenie Boskie, a jeżeli odpadłych od Rzeczypospolitej nawróci, co za zrządzenie szczęśliwe! Wszystkim zapalają się głowy potrochu, zwłaszcza Basi, której się podoba romans młodego Tatara z Ewką; jeszcze więcej Ewie, która nie kochała nigdy (była za mała), ale teraz widząc go i słysząc o nim tyle, i przez Basię ciągle wypytywana o tę miłość i do niej wręcz popychana, zaczyna kochać naprawdę. Najbardziej zwraca się głowa panu Boguszowi.

Temu wyjawia Azya swoją tajemnicę, swoje marzenia i plany. Odkryty, już dłużej tać się nie może; więc choć robota jego nie ze wszystkim jeszcze dojrzała, okoliczności każą mu już zaczynać. Czego chce? jaki jego zamiar? Chce, żeby dzikie pola, żeby Zadnieprze, żeby stepy ku morzu Czarnemu Rzeczpospolita oddała w posiadanie Tatarom, żeby ich tam osadziła wolnych i równych, jak mieli być kozacy. Na głos jego, Tuhajowego syna, przyciągnie mnogi lud z Krymu, z Kazania, Bóg wie z kąd, z rodzinami, z dobytkiem, zaludni i uprawi puste ziemie, a ile go tu przybędzie, tyle ubędzie siły Ordzie i Turkowi; na Kozaków czy na Turka, Rzeczpospolita będzie w nich miała sprzymierzeńców i obronę, i zakwitnie nareszcie w tych ziemiach pokój, bezpieczeństwo, panowanie polskie niewzruszone na wieki! On, Azya, będzie

tych Tatarów hetmanem takim, tylko wierniejszym, jak był Chmielnicki hetmanem Kozaków.

Plan tak wielki, tak wspaniały, że pan Bogusz osłupiał i olśniony widzi w młodym Tatarze zbawcę zagrożonej Rzeczypospolitej, a czytelnik także jak on odurzony myśli: prawda! to wielka myśl, to mogło być pomódz.

Czytelnika, jak Bogusza, wywiedzie z błędu większa głowa i większa dusza, a tymczasem delikatnie ostrzega go autor, żeby Azyi zbyt nie dowierzał. Nie cały swój zamiar wyjawił on Boguszowi; przed Halimem otworzył się lepiej. Chce być tatarskim hetmanem, ale jeszcze bardziej chce Basi. Porwie ją, jeżeli hetmanem zostanie, a bezkarności będzie pewien; porwie, jeżeli nie zostanie, i przejdzie do Turków.

Najrzadszy ze wszystkich darów, dar stwarzania i opisywania ludzi niepospolitych, ludzi na wielką skalę, nigdy może nie dał się u Sienkiewicza widzieć tak jasno i świetnie, jak przez tego Azyę. Lepszych od niego, moralnie wielkich, widzieliśmy kilku; ani jednego, któryby był tak potężny wola, namiętnością i umysłem. Jest w nim materiał na wielkiego człowieka, na człowieka znaczącego w historii; ten wymyślony, fikcyjny Tatar, mógłby politykować z Cromwellem albo z Bismarkiem, i oniby się z niego nie śmiali. Jest w nim coś Piotra Wielkiego, jest egoizm i despotyzm wschodnich sułtanów i chanów, w jego namiętności szalonej jest coś z Bohuna, ale jak tamten w miłości dziki i smutny. Azya tem się od niego różni, że jest zły, szlachetnego uczucia niezdolny. Tych popędów rycerskich, które ma Bohun ze swego zetknięcia z cywilizacją polską, tej czułości rzewnej, którą ma ze swojej krwi ruskiej, i tego względu na bliźniego, tej zdolności wyrzeczenia i poświęcenia się, którą ma ze swojej chrześcijańskiej wiary, ten Muzułmanin, ten Tatar, nie ma, nie zna, nie domyśla się. Dzielnym i wielkim być może, dobrym nie zdoła. Bohun jest pociągający i poetyczny, ten odpychający i tragiczny; ale siłą swej namiętności do tamtego podobny, wola i umysłem od niego potężniejszy, jest w każdym razie jemu równą i jego godną

kreacją, a może kreacją na większe rozmiary, choć bez jego wdzięku i uroku.

Z głową opanowaną wielkimi pomysłami Tatarą, z sercem bijącym radością i nadzieją, spieszy pan Bogusz dniem i nocą aż do Jaworowa. Zastaje hetmana przygnębionego, stroskanego; wojna z Turkiem nieunikniona, a obrony żadnej! Stary rycerz przywozi mu pociechę, dobrą wieść, i powtarza z przekonaniem i zapalem propozycje i żądania Azji. Nic piękniejszego, jak krótka scena następna. Jak wielony duch polski, duch najczystszy i najwyższy, jak głos bożego przykazania odzywający się z prawego, prostego ludzkiego sumienia, jak rycerski honor i jak mądry rozum polityczny, przemawia ten, który był wtedy naprawdę najwyższym w Polsce duchem, ostatniem wezieniem jej dawnego rycerstwa, ale i mędrszym od współczesnych politykiem — Sobieski! Rozbija w puch, rozpędza jak mgłę wszystkie złudzenia i ponęty, aż się wstydzi Bogusz i z Boguszem czytelnik, że coś mądrego widział w pomysłach Tatarą. Nie — na Kozaków, na lud zbłąkany, ale chrześcijański i bratni, hetman Tatarów nie sprowadzi; tem wędzidłem na wodzy trzymać ich nie będzie. Rzeczpospolita ma powołanie i rozkaz od Boga strzedz granic chrześcijaństwa od księżycą, a on, jej znowu stróż, miałby jej własne ziemie Bisurmanom oddawać, i wilka wpuszczać w środek Chrystusowej owczarni? Nie; jeżeli tylko tym środkiem możemy ratować się od Turka, to lepiej zginąć, niż się sprzeniewierzyć Bogu, ludziom i samym sobie. A nie honor rycerski tylko i chrześcijańskie sumienie, rozum taksamo, prosty zdrowy rozsądek każe odrzucić te tatarskie unizgi. Gdzie pewność jego wierności? gdzie rękojmie, że na pierwszą odmowę jakiego żądania Tatar znowu do swoich nie wróci, nie wprowadzi ich w samo serce Rzeczypospolitej, nie wyda im tej ziemi, którą od niej dostał....

Obok najwyższych i najszlachetniejszych natchnień Sienkiewicza, obok Skrzetuskiego rozmowy z Chmielnickim i księcia Jeremiego nocej modlitwy, staje ta krótka scena Sobieskiego, z tą różnicą a może wyższością (choć tante

były świetniejsze jako obrazy), z wrażeniem o tyle głębszem, że Skrzetuski był fikcją, księżę Jeremi zbyt może pięknie przedstawiony, a Sobieski jest jakim był; że się wierzy w niego zupełnie i bez zastrzeżeń; że z rozrzewnieniem radości, patrząc na niego i słuchając co mówi, mniema się prawie widzieć go żywym przed sobą, że chce się upaść mu do nóg i kraj jego sukni pocałować.

W Chreptiowie tymczasem schodzą dnie jednostajnie i spokojnie. Basia dmucha ciągle na miłość biednej Ewki do Tatara, a jemu protekcyę swoją przyrzeka i do deklaracyi go popycha; młody Nowowiejski (znany z pierwszego tomu wzgardzony konkurent Basi — sympatyczna, doskonale skreślona postać junaka o dobrem sercu a olbrzymiej postawie) zakochał się w Zosi Boskiej i otrzymał zezwolenie matki; dla urozmaicenia są i tańce we fortalicyi (które niebardzo lubimy; zanadto nam damskich strojów, krakowiaków i tym podobnych ingrediencyj, bez których żaden bal w żadnej staropolskiej powieści obejść się nie może). Napozór więc nie dzieje się nic, a przynajmniej nic ważnego. Ale pomalu, nie spiesząc się tym razem, wraca nareszcie i Bogusz i przysłała Azyi odmowną odpowiedź hetmana. I teraz Azya pomyśli o tem, żeby innym sposobem dojść do swego celu.

Zbliża się straszna tragedia. Azya po odmowie hetmana, zawiedziony w swoich nadziejach wpada w prostracyę rozpaczy i wściekłości, kiedy przypadek otwiera mu niespodzianą drogę do szczęścia. Hetmanem już nie będzie, ale będzie panem Basi! Sama ona nieświadomie, niebacznie leci w jego ręce jak w otchłań.

Wszyscy goście chreptiowscy wyjechali w głąb stepów, do Raszkowa; pani Boska, żeby się zbliżyć do stron tatarskich, do męża; stary Nowowiejski za synem. Jedna tylko Ewa została przy Basi. Ale ta, zagorzała w swojej myśli swatania a cheiwa wypraw, przygód i wzruszeń układa sobie jechać z dziewczyną do Raszkowa, w drodze dać Azyi sposobność do stanowczej deklaracyi, a na miejscu wyprosić zezwolenie ojca. Wołodyjowski pozwala; za eskortę, dla bezpieczeństwa, daje im Tatarów z Azyą na czele? Choć Azyi

ufa i wierzy, zawsze trochę nieostrożny jest mąż, który żonę tatarskiej enocie powierza; a z doświadczeniem Michała, z przecznością Zagłoby, jakoś się to niezupełnie zgadza.

Z tego Raszkowa tymczasem cała załoga polska wysłała ściagać jakieś kupy zbójów czy Tatarów, a dokoła stoją już przez Azyę wezwani, przez niego niby do służby Rzeczypospolitej nawracani, dawni zdrajcy Kryczyński, Adurówicz i inni. Zguba więc pewna, niechybna! potrzask otwarty, i lada chwila zatrzaśnie się za nieszczęśliwą ofiarą, która weń spieszy naosłep.

Scena porwania jest bardzo dramatyczna, bardzo żywa, bardzo przerażająca; pierwsze (i jedyne) Azyi oświadczenie miłości, pełne gorejącej wulkanicznej namiętności, ale mimo całej swojej piękności zostawia ona czytelnikowi jedną wątpliwość, jedno niedowierzanie, które go ziębi i wrazeniu szkodzi. Azya jest taki chytry, taki skryty, taki wyrachowany i (jak człowiek wschodni) tak długo cierpliwy, a wrywa się z tem oświadczeniem w jedyną chwilę, kiedy Basia mogła mu się wymknąć? Gdyby był poczekał tylko trochę, to tam, w Raszkowie, pełnym jego Tatarów, w jakim domu strzeżonym przez warty, nie mogło dla niej być ratunku żadnego, Azya ją brał jak swoją i zabierał gdzie chciał. W pustym stepie, we dwójkę, zdała od ludzi, ona przecie miała jakieś choć słabe środki obrony, mogła uciekać, mogła strzelić, powodzenie nie było zupełnie pewnem, kiedy przeciwnie, w Raszkowie nie przeszkodzić, nie w drodze stanąć nie mogło. I ten przebiegły Azya zamiast parę godzin jeszcze cierpliwie poczekać, odkrywa się przed Basią teraz, kiedy ona ma konia pod sobą a pistolety w olstrach?... Oczywiście, gdyby był przeczniejszy, nie byłoby dalszego ciągu powieści, a przynajmniej nie mógłby być takim, jak jest; ale nie można wstrzymać się od uwagi, że mądry Azya zrobił wielkie głupstwo.

Uderzony między oczy głównią swego własnego pistoletu, kiedy wrywającą się Basię już trzymał w ramionach, nieprzytomny, skrwawiony, z wybitem okiem, spadł z konia i leżał tak niewiedzieć jak długo... Basia uciekla.

Skarżono się nieraz, że scena następna jest zbyt okropna. Prawda, że włosy stają na głowie ze strachu, a ze zgrozy aż prawie pulsa bić przestają. Wśród ludzi niewinnych, bezbronnych, ufnych i spokojnych, staje krwawy potwór o jednym oku i podnosi wszystkie śluzę długo tłumionej wściekłości i zemsty. Czart nie jest gorszy, tygrys nie tak okrutny jak Azya. Do nieszczęsnego miasteczka wpadają ze wszech stron Tatarzy, podpalają na cztery rogi, mord, rzeź, pożoga, gwałty, dzikie wycia wścieklej radości i urągania — to początek dopiero; a po nim gorsza zgroza, gorsze okrucieństwo spełnione nad aktorami powieści — nieszczęśliwa Zosia Boska w oczach matki wzięta przez Azyę na niewolnicę, Ewka nogą kopnięta, darowana jakiemuś drugiemu, ojciec w jej oczach zarzyany jak baran, a długo, strasznie długo — to okrucieństwo, a zwłaszcza ta bezbronność nieszczęśliwych, to i seree rozdziera, i krew ścina, i na nerwy tak działa, że wytrzymać trudno; chciałoby się wołać na autora, dosyć, już dosyć! Okropniejszego nie czytaliśmy chyba nigdzie nie, przynajmniej nie możemy sobie przypomnieć. Ale tym razem nie protestujemy jeszcze przeciw zgrozie. Tatarzy byli straszną klęską tych czasów, niech więc w ich obrazie będzie raz jassyr z całym swoim nieubłaganym okrucieństwem, z całym nieubłaganym losem bez nadziei i ratunku, który się otwiera przed nieszczęśliwymi, zostawionymi przy życiu. Przerażające i okropne jest do najwyższego stopnia, ale jest usprawiedliwione historyczną prawdą, a choć artystyczna miara zgrozy może przekroczona i przebrana, to wspomnieć trzeba, że przedmiot sam wymagał jej niezmiernie wiele; a któż oznaczy tę miarę i granicę, kto odważy i zmierzy rysy lub słowa, które byłyby się dały opuścić lub zmienić? Naszem zdaniem, taki obraz miał prawo tu być, a skoro być miał, to musiał być tak strasznym jak jest. Jeżeli już autor nie trzyma się zasady *ne coram populo* (a tej nie trzyma się on nigdy), to sceny rzezi musi malować tak, żeby były straszne. Delikatnie i łagodnie one opisywać się nie dadzą, a gdyby je tak kto opisał, byłyby złe. Dlatego też uznając, że okropność dalej iść nie może, go-

dzimy się na scenę w Raszkowie; zastrzeżenia zachowujemy sobie na później.

Ucieczka Basi? Autor znowu traktuje ją z wielkiem zamiłowaniem! ukazuje jedne po drugich wszystkie myśli, uczucia, wrażenia bohaterki, wszystkie kolejne następstwa strachu, rozpacz, odwagi, łez, rezygnacji, wytrwałości; mnoży zewnętrzne przygody i niebezpieczeństwa (jeden koń zjedzony przez wilki, drugi utonął; spotkanie z podejrzanymi ludźmi, droga na piechotę; boso, zimno, głód, gorączka wreszcie i już już początek konania), a wszystko jest niezmiernie żywe i plastyczne, wzruszające i dramatyczne. Czy brak czego tym obrazom? czy można im co zarzucić? Nie, bynajmniej. Ale mają jedno nieszczęście: są drugie! Basia sama jedna w stepie przez trzy dni i dwie nocy, otoczona zewsząd niebezpieczeństwem, ze śmiercią nad głową, upadająca ze znużenia, palona gorączką, do ostatka mężna, przypomina Skrzetuskiego przeprawę przez staw; tam mężczyzna, tu kobieta; tam w wodzie, tu na ziemi; tam wycieczka, tu ucieczka, ale tu i tam przeprawa wśród największych niebezpieczeństw, tu i tam podobne wrażenia i obawy, a choć nie śmiemy przeczyć, że godna do tamtego obrazu para, przecież musi obok niego tracić dlatego, że jest parą; nie kopią, ale powtórnem obrobieniem podobnego przedmiotu.

Z śmiertelnej choroby wraca jednak Basia pomału do zdrowia, a jak się z tego dla niej i dla męża szczerze cieszymy, tak nie możemy zataić, że nas ona z jednego powodu dziwi, a nawet, prawdę mówiąc, gorszy. „Basia trapiła się niepomalu losem obudwu pań Boskich i Ewki“ — oto wszystko, co mówi autor. Trapiła się? doprawdy? jaka łaskawa! A czy też nie mogła czasem wyrzucać sobie ich losu? czy nie mogła pomyśleć choć raz, że ona była prawdziwym powodem ich nieszczęścia? gdyby nie była się mięszala do tego, co do niej nie należało, gdyby nie była tej biednej Ewy wypytywała: „a miłujesz go, a pewno go miłujesz“ i podobnie, gdyby nie była na tę miłość bezustanku dmuchała, tamta biedna nie byłaby się tak rozkochała w Tata-

rze. Gdyby nie była się uwzięła swatać ich, gdyby nie była się napaarla jechać do Raszkowa, Azya nie byłby ruszył z Chreptiowa, tamci Tatarzy bez niego nie byliby uderzyli na Raszków. Onato, ona ze swoją pasyą wtrącania się we wszystko i udawanie mężyczyny w dalekich i trudnych wyprawach, ona była prawdziwym powodem nieszczęścia. A teraz, ona choć była bliską śmierci, wyzdrowiała, siedzi spokojnie w Chreptowie, umizga się do męża i każe się chwalić za męstwo — a Zosia Boska w namiocie Azyi! a Ewka u Adurowicza! Ależ ona chyba za grosz nie ma dobrego serca, jeżeli ich nieszczęście, przez nią spowodowane, nie ściga jej we dnie i w nocy; ma chyba jakieś twarde i samolubne sumienie, jeżeli ani razu nawet nie przyjdzie jej ta myśl że ona winna ich nieszczęściu. Ona powinna nie mieć spokoju, niebo i ziemię poruszyć, żeby tamte dwie wydobyć, wykupić, a nie mizdrzyć się i jak rozpieszczone dziecko kazać się chwalić za męstwo. Dość dziwna była Helena Kurcewiczówna, kiedy ratując się z Rozłogów ani nie pomyślała o ślepym Wasylu, ani nie zapytała, czy nie możnaby i jego jakoś ocalić; ale dużo dziwniejsza ta, która przez swoje trzpiotostwo ściągnęła na dwie biedne istoty najstraszniejsze na resztę życia nieszczęście, a potem raczy „trapić się niepomalu“ ich losem.

Nic piękniejszego znowu, jak zbierające się na wyprawę wojsko tureckie pod Adrianopolem; z całego świata ciągną plemiona i ludy i stada bydła, wszystko na Polskę! w środku nieprzeliczonego mrowia tej wędrówki narodów złote namioty Padyszacha — na krańcach gdzieś, w ucisku i sromie przesuwają się Ewa i Zosia z wiadrami wody na plecach, a straszny Azya jednooki, w zemście i okrucieństwie nienasycony, ma jako świadomy dróg, prowadzić przednie straże tej ludzkiej, zbrojnej, krwiożerczej szarańczy. Rozdział jeden z bardzo, bardzo świetnych między świetnymi obrazami Sienkiewicza. I tak samo dalsze — z wyjątkiem samego końca — losy Tuhaj-Bejowego syna.

Młody Nowowiejski chce zemsty. Pięknie, tragicznie wygląda ten młodzieniec pełen życia i hulaszczey wesołości,

w swojej ponurej czarnej rozpacz. Czuje się dobrze, że na tę rozpacz nie mu już nie poradzi do samej śmierci, że nie będzie nic nigdy miał na myśli i w oczach, tylko nieszczęście i sromotę narzeczonej i siostry. Chee zemsty! ludzki to popęd, a świętym on nie jest. Wié on, jak wiedzą już wszyscy, że siły tureckie ciągną, że na samym przodzie prowadzi je Azya; myśli, że potrafi Azyę podejść, schwycić i zemście swojej dogodzić. Chytra, zimna przebiegłość, z jaką plan swój układa i wykonywa, śmiałe zapuszczanie się w bessarabskie stepy, zasadzka na Tatarów, którzy naprzód przed wojskami pędzą i pasą tabuny koni, wymordowanie ich prócz jednego, który na przewodnika i świadka potrzebny, wszystko to jest pierwszego rzędu jako doskonałość; a zdarzające się parę razy rysy straszego, wstrętnego okrucieństwa były nieuniknione, a trwają krótko, znikają szybko, oznaczone są, ale nie oświecone pełnem światłem jako główne. Nad wszystko zaś obraz ostatni, ta straszliwa burza na niebie, pod której osłoną w ciemnościach i przy huku grzmotów wali się na Tatarów druga burza na ziemi, pędem a potężnie, jak orkan, który ich zmiecie i rozniesie, jak rota piorunów która w nich z góry uderzy. Bitew, popłochów, pogromów opisał Sienkiewicz wiele; nigdy nie był bardziej, może nigdy tak świetnym, tak złowrogim, tak strasznym w podobnych opisach. Czemuż po tym najszczerzym, najgorętszym podziw i zachwycie, zmusza nas do równie szczerzego żalu, że on, że taki jak on, napisał rzecz, której wielki, której szlachetny artysta napisać nie był powinien!

Mówimy naturalnie o śmierci Azyi.

Ranny, skrępowany na koniu, nieprzytomny, żywiony i trzeźwiony gwałtem, żeby w drodze nie umarł, Azya przywieziony jest do Raszkowa; na miejscu jego zbrodni chee Nowowiejski wymierzyć karę. To wszystko dobrze. Wbicie na pal, nam wydałoby się karą wprawdzie okrutną, ale za małą; jednak skoro autor taką wymyślił, niechby było wbicie na pal. Tylko na sposób, w jaki to jest opisane, żadną miarą zgodzić się nie możemy. Azya ocucony ze snu czy nieprzytomności, widzi się na ziemi, ze świeżo zaostrzonym

palem między kolanami; widzi do swoich rąk wyciągniętych po nad głowę przywiązane orezyki, u tych orezyków zaprzężone konie. Zaczynają go nawlekać na pal, wachmistrz każe ruszać kołmi wolno, żeby trwało długo; na drzazgach, na chropowatościach pala zatrzymuje się nieszczęśliwe ciało i rozdziera się gorzej. Wreszcie ostrze pala doszło już gdzieś głęboko, pod piersi, wtedy dźwigają pal do góry, wkopują w ziemię; ciało obsuwa się swoim ciężarem i rozdziera się znowu. Potem wachmistrz Luśnia wychodzi po drabinie i świdrem wyjmuje nieszczęśliwemu drugie oko, potem okręcają mu ręce słomą, oblewają smolą, zapalają — i odchodzą. W głuchym czarnym stepie świeci ta pochodnia długo, daleko — widać ją zapewne na mile i mile dokoła.

Co ona oświeca? Czy barbarzyństwo polskie? chyba to jedno, a w takim razie oświeca nieprawdę, oświeca coś, czego nie było. Wiemy, że to czasy tortur i wbijania na pale, ale Nowowiejski człowiek dobry, Nowowiejski rycerz, Nowowiejski chrześcianin, mógł zemsty pragnąć, mógł ją wykonać, mógł obiecywać sobie, że się będzie pastwił z rozkoszą, ale, gdy istotnie przyszło do rzeczy, nie mógł się pastwić, nie mógł tej długiej męki wytrzymać, nie mógł pozwolić, żeby Luśnia świdrował oko; musiał się przerazić i ulitować razem, i skrócić to straszliwe konanie. Razi nas więc i martwi ta tortura w naszym uczuciu polskim i chrześciańskim, bo przez nią zbrodniarz wychodzi na męczennika, pokrzywdzony i rycerz na oprawcę.

Gdzie i jak łączą się fizyczne nerwy człowieka z jego uczuciem estetycznym, tego nie wiemy, ale to wiemy, że oboje zarówno nie znoszą pewnej miary okropności i obrzydliwości. Jak tę miarę oznaczyć, znowu nie wiemy, ale to wiemy, że instynkt artysty umie ją czasem szczęśliwie utrafić. W *Ogniem i Mieczem* był Suchoruka wbity na pal, a jego widok był straszny, ale nie wstrętny. Był naprzód usprawiedliwiony tem, że, skoro zdarzały się takie okrucieństwa, to należało je przypomnieć na to, by ksiązę Jeremi nie był zbyt bez winy, Chmielnicki zbyt bez wymówki. A prócz tego, jakże inaczej był traktowany! Krótko, szybko

i tak, że czuć było cały ból i całą godność umęczonego, a nie było słycać trzeszczenia jego stawów, nie było widać prucia jego wnętrzości tęym drewnianym kołem. Tu ekucya trwa długo, sześć stronnic; tu w wydarzeniu zmysłom nie wymagała jej prawda i wierność, tu jest dla moralnego i estetycznego zmysłu dręcząca i nieznośna, dla zmysłów fizycznych odrażająca dokładność i obfitość szczegółów. Co się zaś tyczy owej granicy, oznacza ją Lessing w *Laokoonie* lepiej niż ktokolwiek inny; a choć przyznaje, że poecie łatwiej i więcej niż malarzowi wolno ukrywać okropności i obrzydliwości, bo w jego opowiadaniu nie jest ona tak skupiona i nie działa wprost na zmysły jak w obrazie, — to przecież twierdzi, że ludzą się artyści, którzy myślą, że ich talent, ich dzieło, zrobi wrażenie i wywoła podziw, choć przedmiot sam będzie odrażający lub obrzydliwy. „Nie sam „smród, ale już przypomnienie smrodu sprawia obrzydzenie; „a choć wrażenie obrzydliwości musi być silniejszym, kiedy „działa wprost na wzrok, aniżeli kiedy przez słuch dostaje „się do myśli, niemniej i w tym sposobie nie zdoła ono nigdy „złączyć i mieszać się naprawdę z wrażeniem zgrozy. Kiedy „przejdzie pierwsza chwila zadziwienia i odurzenia — a prze- „chodzi prędko — oddzieli się w umyśle (widza czy czytelnika) jeden pierwiastek od drugiego, i to, co wstrętne, zostaje w pamięci i w wyobraźni w całej swojej surowej „obrzydliwości“. Nie nie pomoże wyrazistość i plastyczność obrazu; przy takich scenach jak ta, staje się ona tylko nadużyciem wyjątkowego epickiego uzdolnienia i daru.

Wyznajemy wreszcie, że, gdybyśmy byli panem Nowowiejskim, albo autorem powieści, bylibyśmy tę zemstę pojęli inaczej. Do poetycznej wyobraźni nie mamy żadnej pretensyi, ale zwykły rozsądek mówi nam, że fizyczny ból i śmierć, to jeszcze nie największa męka. Wiekiem jedynie tłumaczymy sobie to, że w *Piekle* Dantego jest tak wiele cierpień fizycznych, a stosunkowo tak mało udręczeń moralnych; a nie rozumiemy już zgoła, że Słowacki w *Dantyszku* rozdziera brzuch Katarzyny, a nie rozedrze Katarzynie serca i sumienia: — nie każe jej widzieć, czuć, rozumieć złego, ja-

kie zrobiła, cierpieć nad każdym cierpieniem, którego była powodem; czemu za karę nie da jej wstydu, upokorzenia, zgryzoty, rozpaczki bez końca i nieśmiertelnej? Otóż, gdybyśmy, prosty człowiek, byli panem Nowowiejskim, byłibyśmy długo i lubieżnie myśleli o tem, żeby Azyi zadać śmierć i to najboleśniejszą, i to w Raszkowie... ale w ostatniej chwili byłaby nam przyszła myśl lepsza. Śmierć, choćby w najokrutniejszych męczarniach, przyjdzie nareszcie, i wszystko zakończy: ale życie w męczarni może trwać długo, a wstyd i zazdrość bolałaby Azyę gorzej niż pał. Nie zabijać go, ale go żywym zawieść do Chreptiowa: pokazać mu Basię w objęciach męża, żywą, zdrową, szczęśliwą! pokazać jego Basi, jej mężowi, wszystkim, w niewoli, w upokorzeniu, w bezsilności... czy ta zemsta nie byłaby lepszą, większą? o tem już nie mówiąc, że w powieści mogłaby wyglądać wspaniale. Namiętność Azyi, jego pycha, jego dzielność, wszystko byłoby wzięte na tortury, i jego sumienie także; przypominać mu, co zrobił, dręczyć go jego własnymi zbrodniami, może wkońcu dobrać się do jakiej iskry ludzkiego uczucia i obudzić zgryzotę. Po tem wszystkiem jeszcze go nie zabijać! Mógłby albo jeńcem odesłanym być do hetmana, albo sam zadać sobie śmierć (w chwili mniej baczego pilnowania stłuc szybę i połknąć szkło naprzykład, albo od przypadku nosić na sobie zawsze truciznę)... Nowowiejski nie byłby się splamił barbarzyństwem, a byłby miał zemstę nierównie lepszą; Azya byłby miał koniec nierównie bardziej tragiczny — zyskałaby na tem powieść i autor.

A zdaje się przez chwilę, że wchodzi na ten tor, że jest takiego pomysłu bliskim. Przed samem nawleczeniem na pał, wachmistrz mówi Azyi, że Basia ocalona i u męża, i tem dręczy go bardziej, niż całą przygotowaną torturą. Gdyby w tej chwili Nowowiejski był zmiarkował i obliczył wartość tych dwóch zemst, tych dwóch męczarni, gdyby był zaniechał jednej a wykonał drugą...

Ze śmiercią Azyi kończy się właściwa sprawa powieści. Kamieniec jest już tylko historycznym obrazem i bohaterskim końcem bohaterskich czynów i ludzi, ale z tem, co

go poprzedzało, nie łączy się wcale. Wszystko tamto, cała powieść, mogła być zupełnie inną jak jest, a to zakończenie mogło zostać takim samym, do każdej byłoby taksamo przystało.

Od końca pierwszego tomu, Wołodyjowski występuje najmniej w powieści swego imienia. Jest wprawdzie ciągle na scenie, ale jest jako aktor powieści, bierny; nie ma żadnej roli. Jako pułkownik z pewnością pełni doskonale swój obowiązek, ale w sprawie powieści nie robi nic. Kocha żonę, ulega jej bardzo, stara się ją bawić i rozrywać, raz, (i to części dla jej zabawy) rozbija bandę rabusiów. Nietylko Azya, ale Nowowiejski nawet więcej zajmuje, więcej się wbija w pamięć od niego. Teraz powetuje on sobie to zaniedbanie i uposłedzenie, teraz jego czas; i on wysunie się naprzód w całym blasku bohaterskiego, a przytem prawie naiwnego ducha i bohaterskiego zgonu.

Widzieliśmy dotąd dwa oblężenia w powieściach Sienkiewicza: żadne nie było tak straszne jak to. Nie mówimy, *tak piękne*, tylko tak straszne i smutne. Niezrównany, nigdy dość nie wychwalony Zbaraż, był ponury uciskiem i niebezpieczeństwem, tragiczny ofiarami, ale samemi temi ofiarami podnoszący na duchu; honor był nietylko cały, ale podniesiony na najwyższy szczebel chwały i zasługi; wreszcie, było jakieś choć niezupełne zwycięstwo. W Częstochowy był tryumf, było szczęście, od którego zgroza wojny jaśniała jakimś błogim blaskiem. Tu jest wstyd, jest srom, jest oddanie Turkowi twierdzy nazawsze, poddanie jej skutkiem tej nieopatrności, tej bezradności, tego niedołęstwa, które Polaka palą takim upokorzeniem i poją taką goryczą, kiedy je w dziejach swoich spotyka. A że ta nieopatrność i bezradność, ta małoduszność i lekkomyślność występuje tu w całej swojej smutnej nagości, dlatego obraz taki bolesny, że się go czyta z sercem rozdartem a czołem spuszczone.

A jak nie nie przesadzone! jak nie nie wpada w oklepiany melodramatyczny kolor i efekt! jak nikt nie jest czarny, nikt nie zdradza, tylko stopniowo coraz bardziej słabną i boją się! Ten upadek ducha tak naturalny, tak

częsty, tak nieunikniony (z wyjątkiem większych charakterów) w położeniach podobnych, oddany jest z taką prawdą, z taką miarą, z taką sztuką, że jest sam jedną z głównych piękności smutnego obrazu. Te zaś wahania się i przejścia od nadziei i większej odwagi do strachu, do szemrania, do układów o kapitulację; ten kolejny przypływ i odpływ tęższego ducha, to jest niezwykle i wielce dramatyczne. Na tem tle dopiero rysują się wybitniejsze sceny, wzniósłe i patetyczne, jak przysięga Wołodyjowskiego i Ketlinga; bohaterские i doskonale epickie, jak pomoc posłana Żwańcowi na przykład, albo pojedynki z Hamdim; rysują się figury, teraz wzruszające i przywiązujące do najwyższego stopnia, Wołodyjowskiego i Basia. Basia w Kamieńcu, drżąca o męża, uległa i cicha, płacząca podczas jego przysięgi, której spełnienie, przeczuwa, że będzie jego śmiercią, odważna nie przez junaetwo już, ale z miłości, z obawy o męża, stojąca na blankach fortecy i patrząca na bój, — każe zapomnieć o wszystkich swoich dawnych niepotrzebnych zachęceniach czy zwyczajach, i rozbraja zupełnie. Nic na świecie rzewniejszego, smutniejszego, bardziej zmuszającego do płaczu, jak ich ostatnia rozmowa. Po boju — jednym z niezliczonych a nawet dość pomyslnym, przyszedł ją zobaczyć, uściskać i sam trochę wypocząć. W izbie od armatniego dymu oddychać nie można, siadają na ulicy gdzieś pod murem, przytuleni do siebie; jedno drugiemu każe spać, ale żadne usnąć nie może. Dola tuje ich odgłos jakiejś spiewki „*byle przy tobie*“ — i całe wspólne szczęście takie wielkie, takie jasne, takie niezmacone, staje im w myśli razem z tym jego końcem, który przyjsć może ładachwila. Te słowa proste, krótkie, a tak niezmiernie miękkie i delikatne, któremi Wołodyjowski przygotowuje żonę na swoją śmierć; ten sposób żartobliwy, którym jej opisuje swoją radość, jak kiedyś po nim ona przyjdzie do nieba; ta powtórzona parę razy nauka czy przestroga, żeby się nie martwiła zbyt, gdyby zginął, „*bo to nie*“... doprawdy! Doprawdy Hektor z Andromachą żegnali się dłużej i wymowniej, ale nie lepiej, nie rzewniej. A potem odmawiają pacierz, wśród którego zmorzył ich sen — jak dwoje dzieci;

a potem jeszcze, gdy przyszło rano, odprowadził ją do klasztoru i raz jeszcze powiedział: „pamiętaj! nie to!”

To ich ostatnie widzenie.

Ostatek, kiedy wśród heroicznej obrony, wśród świta-
jącej nadziei, że obrona może będzie skuteczną, ukazała się
biała chorągiew; gdy się pokazało, że to nie kapitulacya
tylko, ale poddanie Kamieńca Turkom nazawsze; gdy ci
dwaj, co przysięgli, zrozumieli, że przyszła na nich godzina
śmierci, kiedy po braterskim uścisku oba ostatnią modlitwą
polecają Bogu te dwie najdroższe, które zostawią w wiecznej
żałobie — i kiedy wreszcie Ketling schodzi do lochu (dla
historycznej wierności, bo on, nie Wołodyjowski wysadził
zamek w powietrze) ten ostatek godny całego oblężenia, go-
dny wszystkich piękności całej powieści, i świetnych kart
wszystkich trzech powieści.

Wybuch sam nie opisany: w kilku tylko wierszach po-
wiedziano, że był ten ostatni protest przeciw poddaniu Ka-
mieńca.

Na tym smutku, na tem rozpaczliwym upokorzeniu, nie
chciał Sienkiewicz skończyć, i miał słuszość. Do Stanisła-
wowa odprowadzono ciało Wołodyjowskiego, za którym Ba-
sia szła całą drogę piechotą, i tam odbywa się pogrzeb. Na
podłodze leży krzyżem wdowa, i jedno słowo powtarza (ta
niegdyś tak wesoła i pusta), jego ostatnie słowo: Nie to!
Na ambonie ksiądz. Nie bardzo nam się podobało, i wydało
się przesadą conceptów kaznodziejskich tego czasu, że ten
ksiądz bębni na zmarłego żołnierza, żeby wstawał. Księdza
Muchowieckiego kazanie na pogrzebie Podbiپیęty było nie-
mniej w stylu wieku, a lepsze od tej pobudki. Ale dalej
wrażenie się zmienia tak, że jak niegdyś przy śmierci Lon-
gina, już się nie wie i nie myśli, czy to powieść, czy rzeczy-
wistość, a czyta się jak modlitwę, jak jakie z duszy Skargi
wyrwane zaklęcie.

„Kościoły, o Panie, zmieniają na meczety i Koran śpie-
„wać będą tam, gdzieśmy Ewangelią śpiewali. Pograżyłeś
„nas, odwróciłeś od nas oblicze Twoje i w moc sprosnemu
„Tureczynowi nas oddałeś. Niezbadane wyroki Twoje, ale

„kto, o Panie, teraz opór mu stawi! jakie wojska na krę-
 „sach wojować go będą?... Ojcie dobrotniwy! nie opusz-
 „czaj nas! okaż miłosierdzie, ześlij nam obrońcę! ześlij spro-
 „snego Mahometa pogromcę, niech tu przyjdzie, niech sta-
 „nie między nami, niech podniesie upadłe serca nasze, ze-
 „ślij go Panie!“

O szczęśliwi! szczęśliwi! im w tej chwili do tego kościoła
 wszedł Sobieski. Im za rok Sobieski pobił Turków pod Chocimiem!

W całej książce, we wszystkich trzech książkach, nie
 nie sprawia takiego żalu, takiego bólu, jak ten Sobieski,
 który wtedy był i zjawił się w samą porę! a teraz...

I jeszcze, choć przyszedł *Salvator*, nie chciał autor
 dzieła swego kończyć smutkiem i klęską. Dodał epilog, Cho-
 cim, i dobrze zrobił; bo cała siła, cała esencya tego wiel-
 kiego, polskiego, rycerskiego, katolickiego ducha, który był
 chwałą i zasługą naszego XVII wieku, a jest chwałą i za-
 sługą jego powieści, ten duch, co w historyi bił się w Żół-
 kiewskim i Czarnieckim, przez Birkowskiego mówił, przez
 Kordeckiego robił cuda, ten, co w jego dziele żyje w Skrze-
 tuskiego poświęceniach, w Podbipięty zgonie, w Kmicieca
 poprawie, ten duch skupił się, wybuchnął i zwyciężył w Cho-
 cimie i Wiedniu. Finałem ich powieści, ich koroną, powinien
 być być Chocim.

Opisany tu jest historycznie raczej niż poetycznie, jest
 dlatego, że był potrzebny, nie dlatego, żeby miał być roz-
 działem w powieści.

III.

Ze wszystkiego, co powiedzieliśmy dotąd, poznał czy-
 telnik, że zdaniem naszym *Wołodyjowski* jest dość nierówny,
 na piękności pierwszego rzędu obok błędów znacznych; obok
 innych znowu ustępów, które, gdyby potrwały cokolwiek
 tylko dłużej, byłyby mniej zajmujące, obojętne. Czy mamy tu
 wdawać się w szczegóły i powtarzać lub zbijać zarzuty,
 które tu i owdzie zdarzyło nam się słyszeć? Jak ten naprzy-
 kład, że w zakończeniu autor nie mówi wyraźnie, co się
 dalej stało z osobami, które zostały przy życiu, z Basią,

z wdową Ketlinga, z Zagłobą zwłaszcza, który grał tak wielką rolę we wszystkich trzech powieściach, a schodzi ze sceny bez pożegnania? Nie sądzimy. Czują słuchacz może sam sobie dośpiewać w swej duszy, że smutne było dalsze życie dwóch przyjaciółek, a że Zagłoba nie długo już po-ciagnie. Stary bardzo, w ostatniej powieści był on już i tak cokolwiek przygasty, miewał błyski humoru i fantazyi, ale był na schyłku. Teraz zabije go smutek, smutek szczery, głęboki, trwały, pierwiastek tak przeciwny jego naturze, że go znieść nie zdoła a wyrwać się z niego i przemódz go nie może. Zostanie przy Basi zapewne, będzie jej niejaką ulgą i osłoda, ale sam ciągły widok jej łez będzie dla niego śmiertelnym; może i do Skrzetuskich dojechać, jeszcze raz ich zobaczyć; ale długo żyć już nie zdoła.

Surowi rygoryści mają jakieś wątpliwości co do historycznej wierności powieści. Silni wiadomościami, wyczerpanemi z rozpraw Dra Antoniego J., poprawiają Sienkiewicza i wiedzą lepiej od niego, że żona Wołodyjowskiego nazywała się właśnie nie Barbara, ale Krystyna; że „major od armaty“ nie nazywał się Ketling, ale Heckling, że topografia Kamieńca nie jest ściśle zachowaną, i tak dalej. Wszystko to nie nie znaczy. Że Krzysia miałaby nazywać się Basią, a Basia Krzysią, to w powieści nie zmienia nic; ściśłą historią ona być ani może, ani powinna, a wierność obrazu jako takiego, podobieństwo czasów i ludzi, są tak doskonale, tak zadziwiająca jak zawsze. Owszem, jak zwykle, tak i teraz zadziwiająca jest sumienność, z jaką Sienkiewicz wertuje stare papiery i z nich czerpie historyczny materiał i osobiste szczegóły do swoich powieści. Tym razem miał do użytku papiery rodziny Makowieckich (pani stolnikowej Latyczowskiej i jej męża), — a same studia zamiłowanego i bardzo cennego monografisty Podola, Dra Antoniego J., dowodzą, jak ściśle, jak usilnie trzymał się rzeczywistej prawdy. Wszyscy ci oficerowie, których widzimy w Chreptowie, Muszalski, Motowidło, Piwo i tam dalej, wszyscy byli naprawdę, wszyscy odznaczyli się w ówczesnych wypadkach. Był i Nowowiejski, i zaręczył się tam na kresach z Zosią Boską, która

z matką jechała szukać ojca w jassyrze. I naprawdę biedną Zosię porwali Tatarzy z Raszkowa, przypadkiem i chwilowo opuszczonego przez polską załogę. Były naprawdę i te nadzieje czy złudzenia przeciągnięcia na stronę Rzeczypospolitej jej dawnych zdrajców, Kryczyńskiego, Adurowicza i innych, a układy z nimi prowadzone były przez tego Bogusza, któremu Azya tak zawrócił głowę. Gdyby tej historycznej prawdy było mniej, nie stanowiłyby to jeszcze zarzutu żadnego; ale kiedy jej jest tyle, to tem lepiej, i przyjąć ją trzeba z wdzięcznością i z wielkiem uszanowaniem dla skrętności i pracowitości, które zwykle nie lubią chodzić w parze z fantazją i z innemi autorowi właściwemi przymiotami.

Za to pozwolilibyśmy sobie powiedzieć, że z winy zapewne pośpiesznego pisania, język nie wydaje nam się tak starannym, jak bywał dawniej. Podziwialiśmy w *Ogniem i Mieczem* sztukę, z jaką Sienkiewicz, nie wpadając nigdy w umyślne i sztuczne archaizmy, używa samych słów takich, których używał wiek XVII., a przez to zachowuje styl i koloryt tego wieku. Jakiś skrupulat wyszukał i wytknął parę zwrotów nowych, na dowód i naszej pomyłki i mniejszej doskonałości stylu Sienkiewicza; ale to, że ich szukano tak skrętnie i wynaleziono tak mało, stwierdza tylko istotną prawdę owego spostrzeżenia. Otóż *Potop* już, a *Włodzki* tembardziej, pisany jest już nie takim językiem: zwroty i wyrażenia nowoczesne, tamtemu wiekowi nieznanne, zdarzają się w nim często, a archaizmy umyślne albo zdarzają się tu częściej, albo może na tle tego raczej dzisiejszego języka, bardziej na umyślne wyglądają. Nie przywiązując do tego większej wagi, wyrazilibyśmy jeszcze wątpliwość, czy wiek XVII. mówił *waćpan* lub *waćpani*? zdaje nam się, że to skrócenie *waszmoścpana* należy do wieku XVIII. dopiero? a z wszelką już pewnością możemy twierdzić, że żona Skrzetuskiego nie może w tej powieści nazywać się Halszką, jeżeli w dawniejszych nazywała się Heleną, bo Halszka, to Elżbieta a nie Helena.

Większej cokolwiek, choć także małej wagi, są częste powtarzania drobnych zewnętrznych rysów, któremi autor

— dodaje wyrazistości i ruchu swoim figurom. Wąsy Wołodyjowskiego ruszają się, a *chrapki* Basi rozdymają się, o wiele częściej. Raz ta reminiscencya arabskiego konia wydaje się dobrze, ale najszcześliwsze porównanie traci na uroku, kiedy wraca i wraca. Nie jesteśmy też pewni, czy dobre są te niezmiennie epitety, które zawsze, a przynajmniej bardzo często zjawiają się przy pewnem nazwisku. Znawcy literatur starożytnych utrzymują, że po bitwach Sienkiewicza znać pilne wczytywanie się w Homera, niektórzy mówią, że jest zupełne naśladowanie. I owszem: niech będzie naśladowanie takiego wzoru, byleby było tak dobre jak tu. Ale czego wystrzegać się trzeba zawsze, to naśladowania w rzeczach drobnych a tak widocznych, że się narzucają uwadze każdego profana. „*Łucznicz niezrównany*“ dodany prawie zawsze do imienia pana Muszalskiego, należy właśnie do takich.

Nie przypisujemy sobie prawa sądzenia, jak głęboko sięga w dziełach Sienkiewicza wpływ Homera, wpływ oczywiście szczęśliwy i dobroczynny; — ale przypuszczamy (może mylnie) inny jeszcze, i mniemamy widzieć dość wyraźne jego ślady. Upodobanie Sienkiewicza w romansach Dumasa (ojca, ma się rozumieć) jest rzeczą powszechnie wiadomą. Nam nie wydaje się ono ani dziwnem, ani szkodliwym. Rozumiemy owszem, że pisarz powieści może wiele skorzystać, wiele się nauczyć, wpatrując się w sposoby, któremi autor *Muszkietarów* nadaje życie, ruch, koloryt swoim figurom i scenom; a jakkolwiek niezmiernym jest odstęp między zabawnym plotkarzem, przyjemnym gawędziarzem historyi, a jej poetą, wierzymy chętnie, że gawędziarz mógł bardzo przydać się poecie. Ale czy ten nie zbyt często czasem poddawał się urokowi tamtego? niechętni już w samej tej trójcy powieści chcą widzieć parę do *Muszkietarów*, *Vingt ans après* i *Bragelonna*; w czwórce przyjaciół widzą także odbicie pomysłu Dumasa. To oczywiście niesłusznie, choć i pozorów lepiej jest unikać, a wielki artysta, jak żona Cezara, nie powinien być nawet posądzanym. Czy zaś w tych czynach waleczności i ocaleniach, graniczących niemal z cudem, niema cokolwiek wpływu Dumasa, zbyt często, a zatem szkodli-

wego? nie śmiemy twierdzić, ale mamy niejaką wątpliwość; i żałujemy, że tego względu, tych możliwych posądzeń, Sienkiewicz nie rozważył przed napisaniem swoich powieści, kiedy łatwo dałyby się były unikać; pragniemy, żeby je miał na pamięci, kiedy do nowych dzieł przystąpi.

Ale to życzenie marne, podobno spóźnione albo zawczesne. Czy on jeszcze do historycznej powieści powróci? a jeżeli, to kiedy? i czy w takim razie zechce wracać jeszcze do tejsamej epoki? Świadomi i zaufani mówią, że chce teraz przejść do przedmiotów współczesnych, dzisiejszych, a że czarodziejskie koło powieści historycznych, już dociągnięte doskonale i zamknięte na długo, jeżeli nie na zawsze. Jakkolwiekby, ten cykl jest już stanowczo skończony; proces tworzenia dla autora, stan gorączkowego oczekiwania dla czytelnika, już przeszedł; *Ogniem i Mieczem*, *Potop*, *Pan Wołodyjowski*, przestały należeć do wyrabiającej i formującej się terażniejszości, a zajęły miejsce między dziełami do konanemi w literaturze. W Panteonie dzieł wielkich, w „arce przymierza“

„Między dawnemi a nowszemi laty.“

Cóż mamy powiedzieć na ostatek? Chyba to jedno, że dawno nie złożono w tej arce nic tak pięknego, tak godnego i zdolnego łączyć nowsze lata z dawnemi, utrzymywać w tych nowych miłość dawnych, między nimi święty związek miłości ojezyny, wszystkiego, co dobre w ojczyźnie, wszystkiego, co dobre na tej ziemi, a sprawiedliwe i święte w niebie. Od lat prawie czterdziestu, od czasu, jak śmiercią lub milczeniem wielkich poetów zamknęła się u nas epoka wielkiej poezyi, nie wydał naród w literaturze pięknej nic takiego, jak to dzieło Sienkiewicza. Mieliśmy zawsze — i mamy dotąd — przekonanie, że drugi wielki okres poezyi nie zacznie się u nas pierwej, aż jak się zacznie nowy jakiś okres narodowego życia, bo w temsamem położeniu, w tychsamych uczuciach, natchnienie i twórczość wzniosły się już tak wysoko, jak tylko mogły. Lepiej tegosamego mówić nie zdo-

łają: i poeci, o ile zechcą dotykać najgłębszych i najistotniejszych zagadnień naszego polskiego ducha i życia, będą musieli albo powtarzać cokolwiek gorzej to, co już powiedzieli ich wielcy poprzednicy, albo mówić nietylko gorzej od nich, lecz gorzej mówić gorsze rzeczy. Nie żeby siła twórczości miała być wyczerpaną i wygasłą w duszy narodu, ale że nie ma ani potrzeby, ani możliwości, ani przedmiotu do twórczości wyższej w tychsamych warunkach bytu, z tychsamych pierwiastków natchnienia. Sienkiewicz w swoich powieściach okazał potęgę wyobraźni, potęgę poetycznej twórczości, jakiej nie widzieliśmy od śmierci Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, jakiej nie spodziewaliśmy się ujrzeć w naszych czasach. Czy mamy dlatego wyrzec się tego przekonania, o którym mówimy i uznać je za mylne? Nie. Sienkiewicza forma jest inna, a pomimo całej w swoim rodzaju doskonałości, jest niższa od prawdziwej formy poetycznej. Jestto jedyny w swoim pokoleniu i w drugiej połowie naszego wieku w Polsce — zapewne w Europie — wielki poeta, ale przecież poeta niezupełny, nie wszystkimi darami Apollina wyposażony; poeta, który ze swojej lutni umie wydobyć wszystkie dźwięki, ale którego lutnia nie jest ze złota, tylko ze srebra zrobiona. Tego podniesienia, tej sankcyi, tych skrzydeł, któremi do najwyższego lotu poetę wznosi i w nim utrzymuje wiersz, tych jemu brak; i dlatego jest tylko pierwszą u nas poetyczną naturą i siłą na swój czas (a wielką na wszystkie czasy), nie może być uważanym za równego Mickiewiczowi i innym. Gdyby niebo poezyi miało Danteeskie kręgi, on byłby w kręgu niższym, pod tamtymi.

Ale w swoim kręgu, a zwłaszcza w naszym dzisiejszym stanie narodu i literatury, on jest zjawiskiem i zdarzeniem nad spodziewanie, nad nadzieję i marzenie szczęśliwym; a natchnieniem swoim, miłością swoją, duszą swoją tamtym pokrewny, bliski, podobny, różni się od nich nie samą tylko formą swoich pism, ale i sposobem, jakim tę miłość swoją objawia i jej obowiązki pełni. U tamtych była mistyczna wiara i nadzieja, były szlachetne złudzenia ludzi i pokoleń liczących ufnie na pewny, na rychły tryumf dobrego na

ziemi. Ten, syn gorszych czasów, a świadek samych złego powodzeń, smutny spektator podłych widowisk, który nie miał ani jednej takiej wiosny w życiu, jak Mickiewicz, ten wie, że na nic i na nikogo oglądać się nie można i nie warto; że siły odrodzenia szukać trzeba w Bogu, a środków jego w własnej mądrości i enocie. Trzeźwy też jest, kiedy patrzy na przeszłość, surowy, kiedy dla terażniejszości wyciąga z niej naukę. Jednej wszystkie piękności i zasługi widzi w takim blasku, jak nikt drugi; drugiej obowiązki wskazuje pośrednio tylko, ale stanowczo jak kaznodzieja lub spowiednik. Cała jego dusza rozpala się i roztopia w miłości i uwielbieniu tego, co było wielkiem w naszej przeszłości; ale cały jego rozum i jego sumienie wyteża się, by rozpoznać i wskazać w niej to złe, które było powodem upadku. Bez osobistej znajomości, bez żadnego materialnego związku, jest duchowym synem tych ludzi, co kiedyś w emigracji wołali o zwycięstwo nad sobą, jako warunek i podstawę zwycięstwa nad nieprzyjacielem; co później, po ostatecznym pogromie i w ostatecznym ucisku, nadzieję sprawy zasadzali na nadziei poprawy; i czy księciu Jeremiemu każe odpierać pokusę, czy Radziwiłłowi pod nią upaść, czy Skrzetuskiemu każe być wzorem enoty, czy Kmicicowi wzorem skruchy i poprawy, mówi on swoim sposobem to, co mówił w kazaniach Kajsiwicz, Krasiński w *Resurrecturis*, co innym ale zgodnym z nimi tonem mówiły *Wiadomości Polskie*, co wreszcie po nieszczęściu, w politycznych i historycznych pismach mówił Szujski i Kalinka. Jak tamci wszyscy, tak on siedząc nad brzegami „Babilońskiej wody“, odzywa się rozdzierającym głosem „*Miserere!*“ uzdrów mnie Panie, bom chory jest, a udręczone są kości moje“, a razem ślubuje

„Jeżeli cię zapomnę kiedy, o Jerozolimo miła,

Niech język mój przyschnie do ust, i słowa niech więcej

[nie mówi“,

a w jego głosie odzywa się echo współczesnego szwedzkiem wojnom *Lamentu* Starowolskiego. Nigdy, jak świat światem nie wzięła na siebie powieść tak wielkiego posłannictwa,

nigdy go dotąd nie pełniła. A że zdołała sprostać i temu wielkiemu patriotycznemu obowiązкови i z nim razem odpowiedzieć wszystkim warunkom, wszystkim wymaganiom sztuki, to wyciska na niej znamię szlachetności, jakiego dotąd nie nosiła, i pozwala jej świadczyć, że stoi ona także „na straży narodowego pamiątek Kościoła“, a zarazem czuwa nad kolebką narodowego odrodzenia.

Żal nas bierze i gniew, kiedy pytamy, czy te dzieła będą znane obcym, i czy poznane, byłyby przez nich ocenione podług wartości; zarzucamy jedni drugim, że ich na francuski, angielski, włoski język nie przekładamy, a przynajmniej że o nich w obcych językach nie piszemy i nie robimy im rozgłosu na świecie. Słuszny żal i gniew; ale usiłowanie byłoby daremne, a cierpliwość jest w tym względzie, jak w tylu innych, konieczna. Na nicby się podobno nie zdało tłómaczyć Sienkiewicza, lub głosić jego sławę. Na małych powiastkach i ich poetycznym, a poczęści melancholiznym i sceptycznym wdzięku, jeszczeby się ten świat dzisiejszy jako tako poznał; na tych wielkich nie. Naprzód wymagają one pewnej w czytelniku znajomości historyi polskiej, jakiej szukać u cudzoziemców daremnie; a nadto wymagają takiego rodzaju usposobienia, jakiego się dziś nie znajdzie. Lat temu pięćdziesiąt, jeszcze trzydzieści, ten świat idealny bohaterstwa i poświęcenia w dobrej sprawie byłby trafił do serc i przemówił do wyobraźni; ale dziś żądać od Francuzów, Anglików czy Włochów, żeby z upodobaniem czytali *Ogniem i Mieczem*, byłoby tak daremnie i niedorzecznie, jak głosić u nich krucyatę w jakiej wielkiej i świętej sprawie. Nie zrozumianoby tych powieści i ich ducha, jak za waryata uznano by samego świętego Bernarda, gdyby mógł pośród takiego świata się zjawić. Obrzydliwe chorobliwości Dostojewskiego, albo chorobliwe aspiracye Tolstoja, a okraszone jedno czy drugie rosyjskiem nazwiskiem autora, oto co się podoba i ęci. Kto lubi szkołę Dostojewskiego lub Zoli, temu styl Sienkiewicza do smaku nie przypadnie; kto podziwia heroizm Soni w *Crimes et Chatiments*, tem się na zdrowym i czystym heroizmie Oleńki nie pozna; kto admiruje poprawę

jej przyjaciela Rodiona, temu poprawa Kmicica będzie za prostą i za wzniosłą; a kto z lubieżnością (nie wiemy ze psucia czy podchlebstwa) wciąga w siebie ohydne tego ducha wyziewy, temu nie zmieści się w sercu skurczonem wielki, rycerski, chrześcijański i polski duch *Ogniem i Mieczem*. „Mówić dzisiejszemu światu o Polsce, tłumaczyć mu, że ją miałby kochać, a nie przed Rosyą się płaszczyć, by-
„łoby to — że powtórzę wyrażenie Mickiewicza — chcieć
„w stambulskim meczecie dowodzić ulemom i derwiszom
„niedorzeczności Alkoranu“, pisze Klaczko w liście, z którego wyjątki jużesmy raz przytaczali. Musimy cierpliwie znieść ten fakt, że świat nie pozna się na Sienkiewiczu, jak się nie poznał na wielu przed nim polskiej duszy wzniosłościach. Boli nas to i upokarza, ale i to znieść musimy, jak tyle znosimy. Obejdźmy się bez tej rozkosznej chluby, a od szkodujemy ją sobie innym sposobem. Skoro on dla nas jedynie jest i zostanie, niechże nam przyniesie tyle dobrego, ile go w sobie ma; niech te dzieła, których obcy znać nie będą, u nas i w nas wydadzą skutki obfite i zupełne; niech to połączenie dawnych z dzisiejszemi czasów i cierpień, te przykłady z dawnych wzięte a do dzisiejszych stósowane, otworzą nam oczy a serca przejmą tą prawdą, że choć koło nas wszystko zmienione, to w nas wiele zostało jak było; że choć niema takich wielkich panów, to wielka pycha i wielka zazdrość Janusza Radziwiłła zdarza się na wszystkich szczeblach naszego życia, w ciasnych tylko ramach zamknięta; że co wtedy złem było, to dziś gorszem być musi, a co wtedy ratowało, to i dziś jeszcze może podźwignąć i zbawić. Czytajmy go z tą myślą i bierzmy ją do serca; umysły, wyobraźnie, uczucia wyrostków i dzieci, kształćmy w tym duchu, w tych zasadach, na tych wzorach honoru, miłości ojczyzny i chrześcijańskiej cnoty, a wtedy wyjdą nam te dzieła na pożytek i wedle zamiaru Sienkiewicza „na pokrzepienie serc“. On — można za niego przysięgać — będzie to wolał od największej sławy na świecie.

„Na tem kończy się ten szereg książek, pisanych w ciągu „kilku lat, w niemałym trudzie, dla pokrzepienia serc“, —

pisze on na ostatniej stronie ostatniej powieści. Czy może za śmiało, za pięknie oddaje sobie świadectwo? Nie, on ma wszelkie prawo tak mówić. „W niemałym trudzie“, bo przedsięwzięcie było ogromne, i dla twórczości choćby jak potężnej, prawie nad siły. Od śmierci Władysława IV do śmierci króla Michała trzeba było objąć cały ten zwrotny, stanowiący okres dziejów polskich, który Kochowski objął w *Klimakterach*, okres tragiczny jak może żaden inny, bo w nim wszystko, co w polskiej naturze i duszy wzniosłe i szczytne, podnosiło się w niektórych ludziach i chwilach do najwyższej potęgi, a do waleczenia miało ze złem tej naturze właściwem we wszystkich jego stopniach. To złe znowu było w jednych nie bez pewnej tragicznej wielkości, w innych dochodziło do obrzydliwości, albo do niedbałości i bezmyślności rozpaczliwej. To złe, i to dobre, walka jednego z drugim, to był materiał poetyczny, wspaniały jak rzadko, i niedziw, że zapaliła się do niego fantazyja artysty. Ale tę tragedję oddać tak, iżby obraz był godny przedmiotu, obu pierwiastkom nadać (w nieskończonej różnorodności figur) ich właściwą fizyognomię i właściwą wielkość — lub małość; zachować całą historyczną i psychologiczną prawdę i rzeczywistość, a nie przeoczyć, nie opuścić nic z poezyi, która w tych czasach tkwi; oświecić i ozłocić ją blaskiem swojej fantazyi, a ożywić wszystko drgającym własnego serca uczuciem, to, nie mówiąc o materyalnych trudnościach i innych przeszkodach, był ciężki trud myśli i duszy. Bogu dzięki, nietylko on się opłacił, ale się zasługą i tryumfem uwieńczył.

A na pokrzepienie serca? O tak! z pewnością. Nietylko moralną i patryotyczną treścią tego dzieła mogą się te serca dobrze krzepić, jeżeli zechcą, ale samo ukazanie się dzieła, sam fakt, że ono jest, już jest prawdziwem pokrzepieniem i podniesieniem na duchu. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby niwa wysilona niedawnym a nadmiernie bogatym plonem, była długo leżała odłogiem, gdyby dusza narodu znękana losem bezprzykładnie nieszczęśliwym, nie była znalazła w sobie prawdziwej siły tworzenia. Ale *spiritus flat ubi vult*, i nieraz kiedy się po ludzku najmniej można tego spodziewać

wywieździe siły tajemne ze zbiorowej duszy ukrycia, na świadectwo życia, na znak obcym, na pokrzepienie sobie samym. Takim naprzykład dowodem życia i siły jest to zjawisko dziwne, że naród, który przez wieki był w sztuce ostatnim między znaczącymi i oświeconymi, w swoim nieszczęściu zajął w niej stanowisko bardzo szczytne — jest Matejko; takim drugim jest historia z Kalinką i Szujskim na czele; takim jest Sienkiewicz ze swemi trzema dziełami. Ale może to złudzenie? może nam się tak wydaje tylko? może na znak życia i dowód siły bierzemy wieńce składane i kwiaty porastające na grobach? Niedziw, że ten lub ów zboleły i gorzki tego się boi, a nie śmie otuchy przypuścić do serca, żeby się jeszcze raz nie zawieść. Na to jednak jest odpowiedź mądra i piękna: dał ją Szujski, kiedy do cudzoziemców mówił o literaturze polskiej ¹⁾:

„W literaturze objawia się najwyraźniej stopień i miara „twórczego ducha narodów. Zależy ona zawsze od stopnia „i czynników ogólnej oświaty, ale niemniej choćby przy naj- „wyższej nawet oświacie, zależy od wewnętrznych narodu „uzdolnień i darów, i od tego tajemniczego popędu, który „go prze do tworzenia i pisania. Siła tej twórczości i tej „poezyi daje poznać nietylko chwilową, dzisiejszą żywotność „narodu, ale odchyła nam poniekąd zasłony przyszłości. „Wzrost i postęp literatury bowiem i umysłowego życia nie „zwykł być — z nader nielicznemi wyjątkami — pogrzeb- „wym dzwonem po śmierci innych życia kierunków; owszem, „lubi on — jak się to stało naprzykład w Niemczech — być „przedświtem silniejszego, zupełnego życia“.

Za taką więc wróżbę bierzemy fakt, że na tych „grobach, w których jest życie“, puściła się roślina, która zrazu mogła istotnie wydać się ozdobą ementarza: blasku i woni miała dużo, liście i kwiaty powabne, ale rdzeń zdawał się miękkim i wiotkim. Z czasem jednak pokazało się, że to nie jednoroczna wątła łodyga, która uschnie i upadnie, ale że pod zewnętrzną gracyą kryła się miazga jędrna i silna,

¹⁾ *Polen und Ruthenen*, wstęp.

prawdziwa miazga drzewna. To, co na początku zdawało się być wdzięcznym kwiatem tylko, miało naturę i siłę dębu, i dziś tak się rozrosło, że pod konarami człowiek strudzony znajduje ochłodę w znoju, schronienie w burzy, i krzepi się pod ich dobroczynną osłoną; młode głowy i serca jak ptaki siadają na gałęziach, szczęśliwe, że im tam dobrze, i ścielą gniazda, w których wylęgają, wychodują (daj to Boże!) swoje na dalsze życie uczucia i myśli. Tylko patrzeć, jak na konarach zaczną się puszczać pasożyty, naśladowcy...

Ta roślina, zrazu wątła a dziś w dęba zamieniona, to Sienkiewicz; te wielkie konary, to jego trzy historyczne powieści. Niechże Bóg da — jemu i nam wszystkim — żeby korzenie daleko i głęboko wrosły w naszą ziemię; żeby żaden mróz czy skwar liści nie zwarzył; żeby żaden owad nigdy zdrowego rdzenia nie naruszył. Jemu, którego natchnienia jedne dziś między nami bywają „z archanielskimi skrzydłami i głosem“ można, jak Mickiewicz sobie, powiedzieć na zakończenie: „Leć, — i nigdy nie zniżaj lotu!“

V.

RODZINA POŁANIECKICH.

I.

Jeszcze Sienkiewicz nie skończył tego cyklu historycznych powieści, który jak *Klimaktery* Kochowskiego, obejmował nieszczęśliwe lata Jana Kazimierza i Michała, a już krążyły po świecie pogłoski, że w głowie jego poczęła się powieść nowa, współczesna, z naszego dzisiejszego życia. Ciekawość była powszechna i wielka. O czym to będzie? i jakie będzie? Znaliśmy dotąd tylko małe jego obrazki i szkice. To można było wiedzieć z góry, że kto po małej *Niewoli Tatarskiej* począł i wykonał kolosalną kompozycję historyczną, ten i w rzeczach współczesnych da sobie radę z wielkimi rozmiarami, a po *Szkicach węglem* potrafi wy dobyć z siebie powieść obyczajową i psychologiczną, która miałaby się tak do *Szkiców* i do *Janka*, jak się miał Skrzetuski do Zdanoborskiego, a boje, poświęcenia i zgony z *Ogniem i Mieczem* do *Niewoli*. Wierząc wszakże w autora i w niezwykłość jego przyszej powieści, byłoby się chciało odgadnąć jej przedmiot i treść. Świetny tryumfator na polu powieści historycznej, schodzi z tego pola, a przerzuca się na inne? Nie chce się zapuścić w wiek XVI naprzykład, nie nęci go Zygmunt August, Rey, Orzechowski, ani Zamoyski, ani Kochanowski? Dlaczego? czy sprzykrzyła mu się historia? czy taki zmienny, że potrzebuje coraz nowych wrażeń i widoków? czy taki rzutki, że mu w jednym widnokregu za ciasno, a w jednostajnem przedsięwzięciu za spokojnie? Być może. Ale nam się zdaje, że elastyczność talentu i rzutkość wyobraźni choć była, to nie sama jedna wpływała na ten zwrot w artystycznym zawodzie Sienkiewicza. Powieść

współczesna odpowiadała wewnętrznej potrzebie umysłu i charakteru, który doszedłszy do zupełnej dojrzałości, a wypróbowawszy dostatecznie sił talentu, chciał od siebie bardziej bezpośredniego, nieledwie praktycznego działania. Tendencya była w powieściach historycznych; przeszłość mówiła z nich do terażniejszości naukami wyraźnemi, a wzniosłemi. Ale te obrazy przeszłości nie mogły przedstawiać różnych słabości czy zdrożności, niebezpieczeństw czy chorób, dzisiejszego człowieka i społeczeństwa. Natura ludzka jest zawsze tasama, i różne gatunki natur polskich, pomimo całej zmiany czasów i stosunków, są w głównych rysach zawsze do siebie podobne. Ale Polak z wieku XVII, czy XVI, czy XVIII, nie miał tych wyobrażeń i zwyczajów, nie ulegał tym przeróżnym wpływom i prądom, w jakich Polak wieku XIX żyje, a nieraz psuje się i wyradza. Chcąc zapobiegać zbroczeniom, na jakie ten jest narażony, trzeba obserwować i śledzić jego życie w tych różnych zjawiskach, które temu życiu są właściwe; trzeba rozpoznać i pokazać i zjawiska same i ich przyczyny wielorakie, różnorodne, a głęboko ukryte; trzeba dar spostrzegania i dar odtwarzania zwrócić do przedmiotów mniej poetycznych, a więcej potocznych; do takich, któremi wszyscy jesteśmy otoczeni przez całe życie. Jeżeli się dobrze ujmie ich przyczyny, objawy i skutki, jeżeli sposobem przedstawienia narzuci się je myśli i wyobraźni czytelnika, jeżeli przez to zmusi się go do zastanowienia, może trafi się przecie pośrednio do jego przekonania i woli, i wywrze się jaki wpływ, osiągnie się jaki skutek dobry. W najgorszym razie zrobi się to, co się zrobić powinno — co pisarz przez pisanie zrobić może, żeby radzić na złe, jakie w swoim społeczeństwie widzi, żeby przed nim przestrzegać, żeby jemu zapobiegać. Zwrot Sienkiewicza do powieści współczesnej, oznaczał, zdaniem naszym, rosnącą w nim świadomość praktycznej służby publicznej piśmiennictwa, rosnącą potrzebę nauczania, moralizowania, poprawiania.

Zdanie to nasze nie było z góry powziętem; wyrobiło się i określiło dopiero po poznaniu i po gruntownem rozważeniu współczesnych powieści Sienkiewicza. Czy on, wcho-

dząc na tę drogę, wiedział już naprzód, jak daleko zajść na niej zamierza? czy zdawał sobie sprawę z różnych jej części i przestanków? czy miał ustalony program i porządek tych różnych zjawisk naszego współczesnego życia, jakie miał objąć, tych różnych kwestyj, jakie miał poruszyć w swoich nowych powieściach? Nie wiemy; i sądzimy, że widnokrąg i przedmiot rozszerzał się w miarę roboty samej, że w jej ciągu nasuwało się wiele szczegółów, kwestyj, spostrzeżeń, które pierwotnym zamiarem objęte były w zarodzie, ale wyraźnie wystąpiły i sformułowały się w postępie czasu i pracy. Niemniej wrażenie, jakie się odnosi z przeczytania tych współczesnych powieści jest to, że autor zwrócił oko i uwagę na różne modyfikacje, przemiany, nawet aberracje, jakim ulega natura polska pod warunkami naszych dzisiejszych czasów, pojęć i stosunków, i że chciał działać przeciw różnym zбочeniom i skrzywieniom, jakie jej grozić mogą.

Sienkiewicz pisze powieść współczesną. Co w nią włoży? To pytanie obracał w głowie nie jeden z nas, kiedy skończył *Pana Wołodyjowskiego*, a czekał na to, co po nim przyjść miało. Domysł odpowiadał na pytanie, że zapewne będzie to nasz świat polski na schyłku XIX wieku, w obrazie tak szerokim i wielostronnym, jak były obrazy historyczne. A więc w różnych postaciach i typach różne nasze pojęcia, przekonania polityczne, społeczne, religijne — różne dążności i namiętności, różne zwyczaje i obyczaje, różne fenomena prywatnego i publicznego życia, wszystko ma się rozumieć w zależności od różnych prądów ogólnego życia europejskiego. A więc będzie zapewne i polityka rewolucyjna, i polityka legalna, i katolicyzm, i filozofia pozytywna, i demokracja w różnych odcieniach, i opinia publiczna w różnych stopniach płytkości czy głębokości, i spekulacje na giełdach, i spekulacje na opinii, i spekulacje na polityce, i dziennikarstwo, i literatura, i różne obludy, jedne konserwatywne, a drugie postępowe, i wielkie społeczne rozbicie, i wielkie moralne rozprężenie, i różne zewnętrzne naciski, parcia, pęta, kneble, tortury; a wśród tego dopiero sprawy wielkie, myśli Boże, które z od-mętem wależą ostatnimi siłami, żeby się utrzymać na

wierzchu, ratować, nie utonąć, wypłynąć... Tak mniej więcej wyobrażaliśmy sobie na nieznaną zapowiedzianą pierwszą wielką powieść współczesną Sienkiewicza.

W rzeczywistości okazała się inną.

Żadnych szerokich ram, żadnych ogólnych obrazów. Z całego schyłku XIX wieku jeden szczegół, jeden jego chorobliwy produkt, jeden fenomen psychologiczny i problem moralny. Przy nim kilka figur tylko, tyle, ile koniecznie było potrzeba, żeby osnuć o nie jakiś wątek zdarzeń; taki był przedmiot tej powieści.

Jej charakter i cel tendencyjny objawiał się wyraźnie w samym tytule: *Bez dogmatu*. Bez wiary, bez zdolności wierzenia, traci człowiek zdolność kochania i zdolność pragnienia. Kochałby wszystko co dobre, gdyby mógł wierzyć, że to, co dobre, może się stać, udać, że może się przydać to, co on sam próbowałby potem robić. Ale nie mogąc wierzyć, dochodzi łatwo do wniosku, że kochać nie warto, i nie może nie kochać. Nie nie kochając, nie może nie chcieć; nie nie chcąc, nie może nie robić. I ginie marnie, nie wydobywszy z siebie nic, ani własnego szczęścia nawet—nie zrobiwszy nic, prócz nieszczęścia własnego i otaczających ludzi, którym dobrze życzył, a niektórych nawet kochał. Bo nie kochać nie zgola, to się bardzo rzadko komu uda; trzeba na to mieć głowę wyjątkowo ciasną i naturę wyjątkowo niską. Kocha więc i ten; przedmiot miłości ma najprostszy, najczęstszy, nieunikniony—kobietę. Ale jak przed nią nie nie kochał, dlatego zapewne, że tego nie umiał, tak nie jest zdolny kochać i kobiety dobrze, zdrowo, po prostu, choć z czasem pokochał namiętnie i gorzko—i gubi szczęście obojga, a potem i życie, jej naprzód, swoje na końcu.

Płoszowski jest istotą moralną w rozkładzie; części składowe nie są skupione w jedność, w organizm. Gdyby można wyobrazić sobie człowieka fizycznego, nie mającego kości pacierzowej a żyjącego, ten człowiek byłby tem, czem Płoszowski jest moralnie. Jest to kwiat, czy grzyb, który wyrósć może tylko na gruncie społeczeństwa zestarzałego, próchniejącego. Starożytność miewała swoich Płoszowskich,

odmiennych naturalnie od naszego, ale złożonych z podobnych pierwiastków pod podobnymi wpływami. Wszystko zawiodło, i wszystko straciło kredyt. Czegóż się trzymać, w co wierzyć, albo co kochać; i dlaczego żyć? Jedni odpowiadają na to pytanie samobójstwem smutnem i gorzkiem, drudzy obojętnem i filozoficznie zrezygnowanem. Pilat pyta: *Quid est veritas?* Petroniusz, historyczny i Sienkiewiczowski, odpowiada, że prawdą jest używanie życia umysłowe i fizyczne, brak cierpienia a przyjemnych wrażeń jak najwięcej; poczem oba kończą taksamo. W naszym wieku jest wielu dotkniętych tąsamą chorobą. *Tout ce qui a été n'est plus*, mówi Musset, szlachetniejszy od następców poprzednik i wyobraźiciel tych zwątpień i zniechęceń. Filozofia nauczyła ich dawno, że człowiek jest fizycznym tylko i przypadkowym zbiorem atomów. Bóg? w najlepszym razie wielką niewiadomą, jeżeli wogóle jest; a wiara w niego, chrześcijaństwo w szczególności, takim dowolnym wytworem wyobraźni, jak mythy pogańskie. Człowiek i ludzkość? ich postęp, ich dążenie do coraz doskonalszego stanu, ta wielka sprawa, dla której można było i zapalać się i poświęcać, to wielkie złudzenie. Historia już nauczyła, że to tylko „wszystkie stare zbrodnie świata przebrane w szaty nowe“; a w całym mniemanym postępie prawdą jest tylko ta cywilizacya materyalna, która ułatwiła i rozszerzyła wygody życia i jego przyjemności. Wolność, w którą ludzie wierzyli i którą kochali jeszcze przed pół wiekiem, zbankrutowała; w praktyce okazała się prawem mocniejszym, w innych tylko pozorach. Ojczyzna? dobra sprawa? Jeżeli słabsza, to zgiąć musi; i wszelkie miłości, wszelkie heroizmy, nie poradzą na to, że prawem świata, jedynem prawdziwym, jest „siła przed prawem.“ Człowiek, pozbawiony wiary przez filozofię i naukę, której zgłębić, osądzić i zbić nie umie, pozbawiony nadziei przez historję, która mu tylko zwycięstwo złego pokazuje, dochodzi do wniosku, że tam w górze, nad nim, w niebie, niema nic, do czego by się zwracać było można i było warto — że koło niego, na ziemi, niema na prawdę nic, coby szanować, do czego by przywiązać się było można i było warto. Pra-

gnać, starać się, poświęcać się? Po co i dlaczego, kiedy pragnienie musi się skończyć zawodem, a poświęcenie gorzkiem cierpieniem. Człowiek zostaje sam, ze swoim życiem, o którym nie wie, z kąd jest i na co; cała sztuka w tem, żeby je znosić, jak się da najlżej. Rozczarowanie wieku, który się sam na sobie zawiódł, odbija się w indywidualiach, jako zniechęcenie i zwątpienie, którego formy są różne, a pierwiastki składowe i objawy mają niezliczone kombinacye, permutacye i waryacye, ale którego powodem głównym, siłą rodzącą, jest brak wiary, wyrodzony w chroniczną niezdolność wierzenia, w Boga, który się nie daje widzieć i rozumieć, w człowieka, który się nie daje szanować.

Taki stan duszy i umysłu nie wynika koniecznie z braku pozytywnej religijnej wiary. Ten go ułatwia, przygotowuje niewidzialnie u wszystkich; ale nie u każdego jest jego nieodzownym warunkiem. Byli w starożytności, są i dziś, ludzie, którzy takiej wiary nie mają wcale, a przecież zachowują jakąś zdolność pragnienia i kochania, nieraz poświęcenia się i cnoty. Można *bez dogmatu* być człowiekiem prawnym, moralnym, przykładnym; można być dobrym, a nawet wielkim obywatelem. Może być takim, kto się szczęśliwie zatrzymał w połowie drogi, lub na jej początku, i straciwszy wiarę w Boga, zachował wrodzone własności ludzkiego sumienia, cześć dobrego i poszanowanie siebie samego. Rozprężenie sumienia, niepewność, co złe a co dobre, i z niej wynikająca obojętność na wszystko, brak miłości dobrego a nienawiści złego, niechęć do służenia jednemu a walczenia z drugim, to jest dopiero ostateczny rezultat tego rozkładowego procesu, któremu ulega nie jedna dusza i nie jeden umysł.

Czy Płoszowski jest zły i przewrotny? Nie; on raczej ma serce dobre. Czy nie ma rozumu? Przeciwnie; ma go wiele, ludziom nim imponuje i pociąga ich do siebie. Mógłby być wszystkim, czemuby zechciał, gdyby chciał—gdyby nad sobą i w sobie miał jakiś cel, jakiś ideał, gdyby czegoś pragnął, czemuś służył, coś kochał. Ale ta siła czy zdolność jest w nim zabita sceptycyzmem, który obejmuje wszystko,

i Boga, i człowieka, i społeczeństwo ludzkie, i ojczyznę, i jego samego. On dba o przyjemne, estetyczne wrażenie dla siebie; ale o siebie, o swoją moralną istotę, o swoją wartość, on nie dba. On nie wie, czy ona jest; jeżeli jest, to jaka jest i na co. Nic od niej nie żąda, niczego nie sądzi jej zdolną, i w skutku tego niema dla niej szacunku i o ten szacunek nie stoi. Z czasem pokazuje się wprawdzie, że jego istota moralna nie jest zupełnie zabita, tylko paraliżem tknięta; pod działaniem miłości ona zaczyna się poruszać. Ale i wtedy nie porusza się swoją własną przyrodzoną siłą, tylko drga, jak galwanizowana. Nabiera życia dość na to, by cierpieć, niedość na to, by jasno, świadomie chcieć, pragnąć, zmierzać i dążyć do tego, co ma za swoje szczęście. Kiedy powieść wyszła, pisał o niej krytyk jeden, zdaniem naszym słusznie, że tytuł nie zupełnie obejmuje treść, że jest dla niej za ciasny. Płoszowski nie jest tylko człowiekiem *bez dogmatu*, bez wiary, ale jest bez woli. I więcej jeszcze. On jest bez świadomości siebie, bez uczucia odpowiedzialności, bez miłości i bez nienawiści, bez celów i bez pragnień; on jest pustką, próżnią, nicością, w której tli światełko marnej intelligencji, oświecające czasem estetyczne wrażenia, czasem fizyczne pożądania z estetycznym pozorem i kształtem. Na szczęście procent takich indywidualności w ogólnej sumie Boskich stworzeń musi być stosunkowo bardzo małym. Człowiek, który musi myśleć o sobie, pracować na swoje utrzymanie, a takich jest ogromna większość, już nie może być takim niedołęgą, takim intelektualnym sybarytą a moralnym paralitykiem, takim absolutnem *do niczego*. Życie zmusza go coś robić i czemś być; on może być bardzo głupim, albo bardzo złym, ale nie może nie chcieć i być niczem. Płoszowski jest bogaty, nie potrzebuje nic, może nie myśleć o niczem. Dziedziczny odwieczny dostatek i cywilizacya, staranne wychowanie, wyostrzyły jego zmysł estetyczny, jego wrażliwość, jego pojętność, i jego nerwy, usposobiły go do fizycznego i intelektualnego sybarytyzmu; a braki tego wychowania, dodane do różnych wpływów i pokus życia, usposobiły go do moralnego sceptycyzmu i nihilizmu,

który dlatego tylko nie staje się płaskim, grubym, obrzydliwym, że go strzeże wrodzony i przerafinowany zmysł estetyczny, dobry smak, instynkt tego, co przystoi człowiekowi dobrze wychowanemu, człowiekowi z wielkiego świata, staremu szlachcicowi, wielkiemu panu. Dobre pozory obowiązują — nie dlatego, żeby na prawdę było coś obowiązującego w nich, albo po za nimi, ale że jest jakiś zbiór estetycznych form, bez którego stosunki towarzyskie byłyby zbyt płaskie i brzydkie.

Ale czy tacy ludzie są? Czy są mianowicie w Polsce? bo gdzieindziej obchodzą nas mniej. Ale tu, gdzie obowiązki większe, potrzeby większe, niż gdziekolwiek, a w tym samym stosunku większe i szkody i straty, tu czy są tacy jak Płoszowski? Po pierwszym przeczytaniu powieści odpowiadaliśmy sobie z pewną otuchą, z pewną dumą: nie! takich przecie niema. Są różni, i nie mądrzy, i nie dobrzy, i całkiem głupi, i źli; są natury zupełnie niskie, które nie wiedzą, po co żyją i przestają na głupim używaniu głupich przyjemności — takie zresztą muszą się zdarzać w każdym czasie i kraju — ale żeby człowiek zdolny coś myśleć, był zarazem zdolny nie nie chcieć i o nie nie dbać? Nie; tego się między nami nie widzi. Natur chorobliwych, spaczonych, anormalnych, było tu od stu lat, skutkiem anormalnego położenia, bardzo wiele; ale Płoszowskiego między nimi nie było. Mogli być utopiści, ideologi, romantycy, marzyciele, mistycy, hyroniści, awanturnicy; byli genialni, i byli tacy, co rozumu mieli niespełna, i tacy, co nie mieli go wcale. Ale wszyscy, ile ich było, kochali coś, pragnęli czegoś, dążyli do czegoś; wszyscy mieli cele, aspiracye, ideały. Najchorobliwszy z nich był jeszcze jędrniejszy i zdrowszy, najlichszy był jeszcze szlachetniejszy i więcej wart, niż Płoszowski. Nie, Płoszowskiego u nas nie było!

Ale głębsze zastanowienie zachwiało tę miłą pewność. Nie było takich; ale czy ich być nie może? czy schyłek wieku takich nie przyniesie i nie wychowa? Nie było ich przed r. 1863, kiedy Polak czegoś się spodziewał, na coś liczył na świecie. Ale od tego czasu? Płoszowski urodził się,

a przynajmniej wychował się już po tem zawaleniu się naszego politycznego i moralnego świata. Sam ten jego ojciec, znawca i zbieracz dzieł sztuki i starożytności, czy nie dlatego osiadł w Rzymie i zamknął się między obrazami i marmurami, że zwątpił i zniechęcił się do innych rzeczy? Ojciec tylko założył ręce i powiedział sobie: „Niema co robić“ — syn już zobojeźniał. W innych objawach i formach zjawisko podobne mogłoby się powtarzać, zagęszczać. Kto wie zresztą, czy się już między nami nie zdarza. Jednego Płoszowskiego, takiego samego, jak ten w powieści, zapewne niema; ale różne pierwiastki i rysy tego usposobienia, czy nie ukazują się po trochu raz te, drugi raz inne, na różnych ludziach, jak symptomata zaraźliwej choroby? Może kto spotkał kiedy człowieka rozumnego, bardzo oświeconego, dobrego w gruncie, a wyrzucającego ze swego życia wszelką czynność, wszelką powinność, wszelką odpowiedzialność? To człowiek, który na dnie swego sumienia nosi wrażenie, że nic się nie przyda, i on nie przyda się na nic, a więc o niczem myśleć i nie próbować niewarto — i podobny jest trochę do Płoszowskiego. Albo ten drugi, który wiele i kochał, i spodziewał się, i robił, i poświęcał się, i cierpiał, ale w końcu cierpiał tak wiele, że mu odwagi zabrakło, i schronił się w umysłowe zajęcia i rozmyślania, żeby o praktycznych jak najmniej słyszeć i wiedzieć? Inny byłby właśnie do czynnego, praktycznego życia usposobiony i zdolny, może nawet niezwykle, ale w beznadziejności zrodzony i wyrosły, widzi tylko same zaprzeczenia tego, co matka i katechizm wskazywali mu jako dobre, i dochodzi do wniosku, że samo to dobre musi być urojeniem, złudzeniem, a rzetelną prawdą i rzeczywistością jest tylko to, co człowiek użyć potrafi. Czwartym zostanie dobrym, nawet szlachetnym, ale zrezygnuje się na złe, na które poradzić nie zdoła, i ogłosi się *dekadentem*. Piąty zapełni sobie czechość życia i duszy drobiazgowym, błahym zajęciem, którem się bawi, jak dziecko, ale na prawdę nawet się ludzi nie może, a na które szkoda jego czasu, inteligencji, pieniędzy. Jeszcze inny zdziwaczeje i będzie się odurzał spirytyzmem, albo buddyzmem. Wszyscy zaś są

smutnemi produktami naszego schyłku wieku; wszyscy mają jakieś podobieństwo z Płoszowskim, wszyscy są z jego rodziny. Sienkiewicz dostrzegł tych różnych chorobliwych objawów, złożył z nich postać ogólniejszą, bardziej absolutną w tem usposobieniu, niby ideał człowieka w rozkładzie, i postawił go na przestrożę, na przykład. Patrzcie, do czego dojść możecie, jeżeli nie będziecie mieć woli i mocy, nie poddać się zwątpieniu, jeżeli tej woli i mocy tej jedności moralnej nie będziecie szukali tam, gdzie ją jedynie na pewno znaleźć możecie!

Tak rozumiemy jego zamiar, jego głębszy cel, kiedy Płoszowskiego wymyślał i pisał. Czy wszyscy tak go zrozumieli, i czy autor swój zamiar osiągnął, to inne pytanie. Zdawałoby się, że człowiek taki, jak Płoszowski, nie może być sympatycznym, musi być wstrętnym każdemu, kto ma trochę zdrowia w umyśle i w charakterze. Tymczasem widzi się wielu, którym się to kalectwo i niedołęstwo podoba, dla których Płoszowski nie jest przestrożą, ale wymówką, nie odstrasżającym przykładem, ale raczej modelem do naśladowania. Próźniak, pod formą intelektualnego sybaryty, czy prostego brukozbija, tłómaczy się przed własnem sumieniem i przed sądem ludzkim swoim podobieństwem do Płoszowskiego. Czasem nawet student nie mógł dostać promocyi, albo zdać egzaminu, bo on jest taki, jak Płoszowski! Goethe z pewnością nie na to pisał *Werthera*, żeby idealizować chorobliwą uczuciowość i samobójstwo, a przecież *Werther* znajdował naśladowców, stworzył szkołę w literaturze, a nawet w życiu. Ale Goethe włożył przynajmniej w swego chorobliwego bohatera wielki urok rzeczywistej poezyi. Sienkiewicz był ostrożniejszy; przypomina na każdej karcie, kładzie jak łopata w głowę, że jego bohater jest na to tylko dobry, żeby go nabić w armatę i wystrzelić. Ale to nie pomaga; Płoszowski się podoba, i płodzi, jak mówi Krasiński, choć nie tysiące, to tuziny, „małp i poliszyneli.“ Na autora za to odpowiedzialność nie spada; on temu nie winien, że między swymi czytelnikami ma takich, co czytać i rozumieć nie umieją. Jego myśl była dobra, jego zamiar był zdrowy

i mężki, w wykonaniu on go nie zmienił i nie skrzywił. Moralna wartość i obywatelska zasługa jego pierwszej wielkiej współczesnej powieści stoi nietknięta i niezaprzeczone.

A jej wartość artystyczna, jako powieści? Mówimy o niej mimochodem tylko, zmierzając do szczegółowego rozbioru innej; krótko więc tylko powiemy, że wydaje nam się zwłaszcza bardzo rozumną. Więcej rozumną, niż ponętną i przywiązującą. Wielkich, podnoszących obrazów i wrażeń, w jakie obfitowały powieści historyczne, tu nie dopuszczał sam przedmiot. Forma znowu nadała powieści pewną jednostajność. Jest to forma dziennika, i przyznać trzeba, że tak, jak rzecz swoją pomyślał, autor nie mógł użyć innej. Ta istota w rozkładzie bowiem, która się nazywa Płoszowskim, nie byłaby w swoim rodzaju skończoną, jej rozkład nie byłby zupełnym, bez ustawicznego myślenia o sobie, badania siebie, analizowania siebie samego. Płoszowski niewiele siebie ceni, niewiele o siebie dba; ale się nieustannie sobą zajmuje, i na prawdę niezem innym zajmować się nie umie i nie może. Żyje w nieustającej obserwacji siebie samego, bierze się pod mikroskop, i przypatruje ciekawie każdej swojej myśli, każdemu wrażeniu, każdemu popędowi czy zachcieniu. On nie wie, jaki jest, co w nim prawdziwe, a co wmówione, albo udane, co stałe, a co przelotne; nie wie, na co jest i co ma z sobą począć. Ale im mniej to wie, tem więcej się dziwi że nie wie, i chciałby dojść, co w nim jest i dlaczego jest taki. Prosta rzecz, że takie rozmyślanie, taka rozmowa jednego człowieka z sobą samym nie da się w powieści napisać inaczej, tylko jako dziennik tego człowieka. Ten zaś z natury rzeczy musi być jednostajnym. Każda scena, każde zdarzenie, opowiedziane wprost przez autora, wyda się lepiej i żywiej, niż w takiej *oratio obliqua*. Niezliczone zaś i nieskończone refleksye Płoszowskiego nad sobą, muszą wyglądać podobnie, jednakowo, pomimo wszystkiego, co autor robi, żeby je zmieniać i urozmaicać. Gdyby kto wziął lupę i patrzył przez nią na kawałek swojej skóry, gdyby oglądał i liczył wszystkie na niej pory po kolei: ten okrągły, a ten podłużny, ten mniejszy, a ten cokolwiek większy! Nie! to

mi się tylko zdawało. Jest przeciwnie, tamten większy, a ten mniejszy; a ten trzeci kolo nich, albo ten dziesiąty za niemi, jest od nich większy. A może mniejszy? kto wie? Płoszowski tak patrzy przez lupę wewnątrz siebie, tak pyta: co ja myślę? co ja czuję? czy ja myślę albo czuję naprawdę, czy tylko tak mi się zdaje? ja nie wiem! ja nie wiem! Płoszowski z tem swoim usposobieniem, choć bardzo antypatyczny, może być bardzo nieszczęśliwym; ale ten dziennik, w którym on zapisuje swoje mikroskopiczne obserwacye, musi być jednostajnym. Na to poradzić mógł jeden tylko przymiot: wielka krótkość. Trzy tomy dziennika, to dużo, i powieść byłaby z pewnością piękniejsza, gdyby była krótsza, treściwsza, bardziej skupiona. Że zaś pomimo całej jednostajności nie stała się nudną, to skutek i dowód ogromnego talentu autora, i skutek tego rozumu, którego w niej jest tak wiele.

Rzecz główna, figura Płoszowskiego, psychologiczny i moralny problem, jaki w nim jest, pomyślane są bardzo głęboko, a nakreślone z tą misterną i mistrzowską sztuką, która bywa wrodzonym darem u ludzi wielkiego talentu. W każdej chwili i każdym przejściu Płoszowski jest wierny sobie, zachowuje tło swojej natury; a przemiany, jakim ona ulega pod wpływem miłości i cierpienia, sposób, w jaki cierpi, stopniowe dobywanie się lepszych stron duszy na wierzch, ich niezdolność do wydobycia się zupełnego, wszystko to przystaje doskonale do gruntu tej natury i zlewa się z nim harmonijnie. Chwile, które wydały nam się szczególnie zajmujące i wykonane najświetniej, to naprzód to, kiedy Płoszowski już kochając Anielkę, nie wyznaje jej tego, bo patrzy sceptycznie na ten popęd swego serca, bo jej serce zdobył zbyt łatwo, bo sam nie wie, czego chce i czy chce. Potem to, kiedy dowiedziawszy się o staraniach Kromickiego, życzy Anielce szczęścia na złość, bo jego duma nie może znieść tego, żeby dziewczyna, która o nim myślała, mogła choćby przypuścić staranie innego. On jej nie chciał; ale ona powinna zawsze tylko o nim myśleć, za nim tęsknić, jego ubóstwiać; jeżeli tego nie robi, to nie jest warta nic, i niech sobie robi co jej się podoba! Wreszcie zazdrość, rozpacz,

wściekłość, na wiadomość, że biedna pani Kromicka ma zostać matką. Jedno jest tylko, co nam się wydało dziwnem, tak dziwnem, że nie moglibyśmy zrozumieć, czy uwierzyć — to Płoszowskiego śmierć. Kończy on swój dziennik słowami: „Idę za Anielką.“ Zdaje się z tego, że się chce zabić. Ale przecież on dał Anielce słowo honoru, że sobie życia nie odbierze. Jakikolwiek jest, mieliśmy go za człowieka, który słowo ma i dotrzymuje go. Było i jest zawsze wielu ludzi *bez dogmatu*, a przecie nie bez tej ostatniej religii, która choć nie najlepsza, przecie jakoś wartość człowieka zabezpiecza i ratuje, nie bez religii swojej prawości, swego honoru, swego słowa. Myśleliśmy, że ją Płoszowski miał, i pomimo wszystkich poszlak i prawdopodobieństw, myśleliśmy, że się nie zabił. Dopiero kiedy w *Rodzinie Połanieckich* zaczęto mówić o jego samobójstwie, musieliśmy się poddać i uwierzyć, i stracić słabe resztki dobrej opinii, jakie nam jeszcze o sobie zostawił. On sobie pochlebia, że pójdzie za Anielką? Nie; on pójdzie za Kromickim, który także w łeb sobie strzelił. Na całą wieczność z Kromickim! Miłość bliźniego każe go żałować, ale natura ludzka nie może wstrzymać uwagi, że dobrze mu tak.

Anielka wydaje nam się mniej zgodną z tym charakterem, jaki jej autor dać chciał. Najlepsza, najbardziej prawa i czysta natura dziewczęca i niewieścia, a zachowuje się czasem tak, jakżeby nie miała tego niemylnego instynktu prawości i godności. Kiedy na samym wstępie Płoszowski zuchwale i ze złym smakiem pisze jej na wachlarzu: „Chcą nas pożenić,“ to taka panna, jak ona, mogłaby go przywołać do porządku jednym słowem: „Bądź spokojny; bezemnie pożenić nas nie potrafią.“ Gdyby Anielka była to zrobiła, kto wie, czy ten sułtan nie byłby się zdumiał, że jego jedwabna chustka może być odrzuconą, jak piłka; a wtedy byłby może od początku patrzył na nią innemi oczyma. Ale to rzecz drobna; ważniejsze i dziwniejsze jest to, co Anielka robi później. Że się biedna zdecydowała wyjść za Kromickiego, to się pojmuje. Była w rozpacz, Płoszowski ją porzucił, a potem odrzucił po grubiańsku; matce chciała ratować majątek. Kromicki, czy inny, to jej wszystko jedno! Ale za ledwo tak

postąpił, Płoszowski żałował, przeproszał, wrócił, zrobił co mógł, żeby ją odzyskać. A ona go odmawia? Dlaczego? Bo innemu już dała słowo i cofać go nie może? Zapewne tak; ale to słowność i prawość źle zrozumiana. Przez prawość i rzetelność właśnie, przez wzgląd na samego Kromickiego, Anielka powinna była Kromickiego zawołać i powiedzieć mu, że tamtego kocha; że za niego wychodziła z rozpaczy, ale że kiedy tamten wrócił, ona czuje, że jego tylko kochać może, i kochać będzie do śmierci. Po takim wyznaniu, Kromicki choćby najbardziej potrzebował jej majątku, byłby musiał zwrócić jej słowo. Prawda, że w takim razie nie byłoby powieści; ale Anielka byłaby postąpiła tak, jak przystoi na pannę prawą, prostą i kochającą. Ona postąpiła inaczej. Wreszcie, kiedy już jest żoną Kromickiego, a zakochany Płoszowski okazuje jej swoją miłość tysiącznemi, a z czasem nie zawsze nawet dyskretnemi sposobami, ona stanowczo pozwała mu za wiele troskliwości i starań. Wié, że on ją kocha, wié, że sama kocha jego; jest mężatką, i wié już dobrze, czem ta czułość obojgu grozi i jak się skończyć może; a jednak ani Płoszowskiego od siebie, ani siebie od niego nie trzyma dość daleko, żeby niebezpieczeństwo odwracać. Znowu nie byłoby powieści, gdyby się zachowywała inaczej, ale znowu zachowuje się w sposób, który nie przypada do tej natury, jaką nam autor w niej widzieć i podziwiać każe.

Wogóle to małżeństwo Anielki jest osią powieści, ale jest jej wielkiem nieprawdopodobieństwem, po prostu niepodobieństwem. Graf Kromicki, jakiś Szlązak, o którym nikt dobrze nie wié, zkad jest i co za jeden? W tym świecie, w którym obraca się Anielka, bywają małżeństwa źle i głupio zawarte; ale to się nie zdarza, żeby dano pannę jakiemuś przybyszowi z całego świata, niewiadomego pochodzenia i stanowiska. Dadzą ją często takiemu, który nie jest nie wart; ale muszą wiedzieć, kto jest on, jego rodzice, dziadowie, krewni, gdzie jest jego, często pozorny, majątek, i tak dalej. Nieznajomy człowiek, który może być prostym spekulantem, jak Kromicki, a może też być zupełnym awanturnikiem, nie dostanie jednej z tych panien. A dostaje Anielkę?

Nawet matka, choć nie mądra i przyciśnięta majątkowemi kłopotami, nie przyjąłaby takiego konkurenta. A dopieroż ciotka! Ta ciotka, jedyna głowa, jedyny charakter, jedyny mężczyzna w całej rodzinie, ciotka bardzo przywiązana do tej dziewczyny, ta pozwoliłaby wydać ją za jakiegoś niewiadomego grafa Kromickiego? Nigdy w życiu. Jej duma byłaby tem upokorzoną do najwyższego stopnia, jej słuszną godność byłaby słusznie oburzona, jej przywiązanie do Anielki, jej dobre serce, byłoby wzięte na męki nieznośne. Powieść o Anielce możemy czytać ze łzami współczucia dla jej nieszczęścia; ale możemy się uspokoić i pocieszyć, że w rzeczywistości tak nie było, i Anielka za Kromickiego nie wyszła nigdy.

Oto, co w naszym rozumieniu da się zarzucić artystycznej stronie powieści. Jeżeli nawet zarzuty są słuszne, to głęboka i rozumna treść, prawda i żywość postaci, znakomitość wielu przebiegów i scen, czyniłyby za nie zadosyć w mierze bardzo szerokiej. Są u Sienkiewicza powieści, które wydają nam się piękniejsze i wyższe od *Bez dogmatu*; ale u innych pisarzy nie łatwo wskazałibyśmy powieść, któraby tej była równą. Jeszcze tylko jedno słowo. Byli krytycy, którzy utrzymywali, że *Disciple* Bourgeta ma jakiś związek i podobieństwo z *Bez dogmatu*. Sienkiewicz sam oświadczył i zaręczył, że kiedy tę swoją powieść pisał, tamtej nie był wcale czytał. Kto, dlaczego, i jakim prawem, miałby temu jego oświadczeniu nie wierzyć? Ale i tego nie potrzeba — i gdyby był sto razy Bourgeta czytał, gdyby nawet był w nim zaczerpnął pomysłu do *Bez dogmatu*, to i w takim razie jeszcze nie byłoby między jedną powieścią a drugą zależności i podobieństwa. Całe podobieństwo, zupełnie powierzchowne i pozorne, kończy się na tem, że Płoszowski, jak ów Greloux, jest produktem niezdrowych pojęć filozoficznych i religijnych naszego czasu; ale oba są skutkami absolutnie innemi przyczyny tejsamej. Ta przyczyna działa wszędzie i ciągle, działa na wszystkich, i wydaje tysiące zjawisk, które z niej pochodzą, ale są między sobą różne. Obserwator, psycholog czy artysta, ma prawo przypatrywać się wszystkim, wszystkie brać do swego studyum, czy swego obrazu, a nie idzie za

tem, iżby spotykał się z drugim w tej pracy — tem mniej, iżby się u drugiego zapożyczał, cóż dopiero drugiego naśladował, czy przerabiał. Pole jest niestety tak przestronne, że wielu może po niem chodzić, a nie spotkać się z sobą i nie potracić. Tu zaś jest więcej, niż brak podobieństwa; jest zasadnicze, absolutne przeciwieństwo pomysłu i postaci.

Disciple należy do głębszych pomysłów, do rzetelnych zasług Bourgeta; a jego przedmowa bodaj czy nie jest najpiękniejszą, najszlachetniejszą rzeczą, jaką on kiedykolwiek napisał. Jest przy tem doskonale zbudowany, związany; w tem przewyższa powieść Sienkiewicza. Ale *Disciple* jest zupełnie inny człowiek, jak Płoszowski. To dwa przeciwległe bieguny. U jednego samym rdzeniem natury jest brak woli, niepełność, nieświadomość tego, co myśli, czuje i chce. Drugi właśnie wie doskonale, czego chce, i ma wolę tak zawziętą i nieubłaganą, że z zimną krwią popelni zbrodnię i podłość, byle tej swojej woli dogodzić. Jeden wątpi i wątpi i na wszystko mówi tylko: *Nie wiem*. Drugi wierzy absolutnie, ślepo, w to, co ze swoich nauk uznał za prawdę; chce tylko zupełniejszego, doskonalszego jej sprawdzenia. Chce tak silnie i stanowczo, że dla tego celu nie zawaha się przed niczem. Jeden jest *do niczego*, ale nie jest ani zły, ani przewrotny, ani nikczemny. Jego serce nie jest twarde, jego sumienie nie jest zupełnie uśpione, jego egoizm ma jakieś granice. *Disciple* przeciwnie, to natura tak energiczna i dzielna, że może być do wszystkiego; ale jest też zdolnym do wszystkiego, co najgorsze i najbrzydsze. Żadne uczucie, żadna namiętność nie wymawia zamachu na nieszczęśliwą ofiarę jego eksperymentu; społeczna zawiść, przyjemność w sponiewieraniu *arystokratki* i w udręczeniu jej ojca i brata, to jedyny popęd uczucia, jaki się w nim dostrzedz daje. Jeden żałuje tego, co zrobił, zatem zdolny jest poprawy i odrodzenia; drugi zatwardziały do ostatka, kontent i dumny z tego, co zrobił, i tej dumie tylko chce dogodzić, kiedy nieszczęśliwemu bratu ofiary myśli stanąć do pojedynku. Jakież więc podobieństwo między tymi dwoma ludźmi? jakie między pomysłem Bourgeta a Sienkiewicza?

Od szczególnego przypadku możnaby przejść do ogólnego pytania: jaki jest stosunek powieści Sienkiewicza do innych europejskich, a mianowicie francuskich? ale to pytanie zachowujemy sobie na koniec, do ogólnych uwag i wniosków, jakie nam z całego studyum o powieściach Sienkiewicza wypadną.

W *Bez dogmatu* był jeden fenomen czy problem naszego współczesnego życia. Ale w ślad za nim poszła druga powieść podobna, a w tej poruszył Sienkiewicz pytań więcej. Ramy nie większe, powieść w trzech tomach, jak tamta; ale w tych ramach obraz szerszy, więcej zjawisk, spostrzeżeń, stosunków, i może nauk. Ta powieść, to *Rodzina Połanieckich*.

II.

Młody człowiek, właściciel domu komisowego czy handlowego w Warszawie, jedzie na wieś do swego dalekiego krewnego upomnieć się po raz nie wiedzieć który o sumnę, która na niego spadła po matce, a hipotekowana jest na majątku tamtego. Zastaje tam pannę, która mu się dość podoba, i jej ojca, który mu się bardzo nie podoba. Wrażenie, jakie młodzi ludzie wzajemnie na siebie zrobili, mogło być łatwo przejść w miłość wzajemną; ale pączek jej ledwo związany, zmroził stary Pławicki, kiedy śmiesznym pathosem pokrywał wykręty w sprawie pieniężnej; zmroził sam Połaniecki, kiedy rozgniewany na ojca, z niewinną panną obszedł się szorstko i twardo. Rozjechali się, on w gniewie na Pławickich, ale i na siebie, że źle postąpił z biedną Marynią — ona z żalem do tego, którego już pokochać była gotowa. Potem on sumnę swoją sprzedał, i wyjechał za granicę. Ona musiała znieść i przeboleć sprzedaż swego ulubionego Krzemienia. Nabył go adwokat Maszko, korzystając ze złych infortesów starego Pławickiego, a widząc w nim dla siebie i spekulację niezłą, i tę lepszą *pozycyę*, jaką w oczach ludzkich nadać mu może majątek ziemski. Pławiccy przenieśli się do Warszawy, gdzie ów Maszko, szczerze zajęty Marynią i sam tem swoim uczuciem zdziwiony, zaczyna się o nią

starać; a Połaniecki gdzieś w austryackich Alpach odwiedza swoją przyjaciółkę, panią Chwastowską, wdowę, i pielęgnuje jej małą córeczkę, chorą na defekt w sercu. Pani Chwastowska chciałaby tego przyjaciela ożenić z przyjaciółką Marynią, on nie byłby od tego; ale Marynia zrażona do niego, i rozżalona tembardziej po sprzedaży Krzemienia. Tymczasem mała Litka zapada coraz częściej, coraz groźniej. Przy jej łóżeczku spotykają się ciągle ci, którzy mogli być kochankami a nie są. Ona zgaduje, przeczuwa, że coś między nimi jest dziwnego; wie, że matka pragnęła ich związku, i jednego razu żąda od nich przyrzeczenia, że się będą kochali i pobiorą. Potem zaraz umiera. Pogrzeb biednego dziecka, żal przyjaciół, boleść matki, równa tylko jej wielkiej enocie — oto, co jest w tomie pierwszym.

Przeczytało się go do końca, i nie bardzo się miarkuje, na co to wszystko? co autor myślał i czego chciał? Śliczna jest ta noc, w którą Połaniecki wlecze się pomału do wsi uśpionej; na tle pogodnego wieczoru sympatyczne są jego rozmowy z Marynią; paradny jest stary Pławicki ze swoim pathosem i egoizmem; a na pogrzebie Litki chce się płakać, jakżeby się było także serdecznym przyjacielem jej matki. Ale to są śliczne dodatki; a o co właściwie autorowi chodzi i co nas ma obchodzić Połaniecki i Marynia, i ta między nimi miłość poczynająca się, przechodząca w żal i kwas, a z tego znowu w pogodzenie i w łatwe do przewidzenia połączenie, tego czytelnik jeszcze nie chwyta; nie rozumie na co oni są. Jeden tylko zamiar autora odsłania mu się dość jasno. Ten Połaniecki, którego ojciec stracił znaczny majątek, w sposób zapewne szlachetny, a który ręk nie opuszcza, tylko chce przebić się przez świat i stworzyć sobie stanowisko, który za granicą pracuje w fabrykach, a w Warszawie próbuje dorobić się majątku, to niby para i przeciwieństwo do nieboszczyka Płoszowskiego. Tamten z całym swoim rozumem był *do niczego*; ten nie tak wykwintny, nie wydelikacowany, ani przerafinowany, może i chce być *do czegoś*, bo ma i wolę, i energię, i dobrą głowę, i zmysł praktyczny, a przy tem wszystkim sumienie i honor. Niechże mu

Pan Bóg szczęści, niech się dorobi majątku i stanowiska, i niech takich, jak on, będzie zawsze więcej, niż takich, jak tamten. Oto wniosek jedyny, jaki czytelnik dobywa z pierwszego tomu, usposobiony dla bohatera i dla powieści życzliwie, ale spokojnie, bez zapału, raczej chłodno.

Tymczasem powieść się nie kończy ani na śmierci Litki, ani na ślubie Połanieckiego z Marynią. Powieść idzie dalej, a im dalej idzie, tem więcej odkrywa widoków, których zrazu nie zapowiadało. Przybywają i występują jakieś figury nowe, coraz nowe, coraz więcej; zjawiają się w towarzystwie Maryni i jej męża. Na co są, co tu robią, na co ich tak wiele? tego znowu nie rozumie się odrazu. Ale każda z nich ma jakąś fizyognomię osobną i żywą, każda coś znaczy i nosi w sobie coś, co jest w naszym świecie i życiu; nie jedna, kiedy się odezwie, to za każdym razem powie coś rozumnego, zastanawiającego, a przytem bardzo własnego, bardzo oryginalnego. Te, które nie zadziwią swoim rozumem i nie pociągną swoją szlachetnością, zadziwią znowu prawdą, jaka jest w ich słabościach, śmiesznościach, zdrożnościach, i albo zabawią, albo znowu pobudzą do myślenia i rozwagi. Między temi osobami płaczą się stosunki różne. Śmiały spekulant rzuca się w pomysły i przedsiębiorstwa, pragnie spokoju i pewności, jest bliski celu, zda się, że już wypłynie i tonie. Młody mąż, pewien żony i bardzo przez nią kochany, kocha ją także; ale przyjmuje więcej, niż daje, uważa to za rzecz naturalną, za swoje prawo, i grzęźnie w wygodnym męskim i mężowskim egoizmie. Z czasem ten mąż, pewien swego szczęścia, tak przestanie uważać sam na siebie, że bez wymówki, bez silnej pokusy nawet, sprzeniewierzy się żonie. Do tego równolegle inny mąż, najlepszy w świecie, w żonie zakochany i zaślepiony, będzie zdradzonym w sposób najpospolitszy, płaski, niegodny. Młody poeta zaręczy się z młodą dziewczyną, która z nim zerwie, bo zaręczyła się, sama nie wiedziała dlaczego. Inna będzie tego poetę kochała w skrytości swego serca; jeszcze inna będzie płakała do śmierci za człowiekiem, który jej nie był wart, i będzie pokutowała za jego grzechy. Pomiędzy niemi, jak

widmo z innego świata, stary mistyk z duszą dziecka, a ideami Krasińskiego; jak straszące widmo z naszego świata, dobry szlachetny sceptyk i *dekadent*, który umiera na swój sceptycyzm. Naprzeciw niego pełen życia i czerstwości, szorstki a dobry, rubaszny a rozumny, malarz ze złotem sercem a ostrym językiem. Dalej niby „fabrykant Niemiec przy żonie Niemce“, na których z pogardą otrząsałby się Hrabia z *Nieboskiej Komedyi*, ale na których życie i szczęście patrzy ze czcią każdy, kto sam ma rozum prosty i proste serce.... Co to wszystko jest? co oni wszyscy mają znaczyć? W miarę, jak się czyta dalej, zaczyna się robić jasno w głowie. Przeciwiństwo Połanieckiego i Płoszowskiego, człowiek dzielny na parę do niedołężnego, to, co się wynosiło jako jedyny wniosek z pierwszego tomu, to jest istotnie; ale to tylko jedna strona, jeden pierwiastek powieści. Obok niego jest wiele innych, równie ważnych, równie potrzebnych, a dostrzeżonych z większą może bystrością, pokazanych z większą może zasługą, bo były głębiej ukryte, rzadziej dostrzegane, mniej ludziom widoczne i znane. Naprzykład ten młody adwokat, zdolny, obrotny, nie zły, ani nikizemny w gruncie, który doszedłby łatwo do najszanowniejszego i najprzyjemniejszego stanowiska, gdyby chciał do niego dążyć zwykłą, powolną, naturalną drogą, a który się gubi, bo chce doskoczyć odrazu, bo działa sztukami i wybiegami, bo rzuca piaskiem w oczy, fanfaronuje, udaje, i zamiast na rzetelnej podstawie, opiera swoją przyszłość na efekcie i reklamie. Albo ten mąż doskonałej żony, któremu się zanadto dc-brze dzieje, i który przez to tak do swego szczęścia przywykł, że się go stał niegodnym, i tylko przez szczególną łaskę Boską go nie stracił. Ten leniwy egoizm, który z przedślubnej miłości wyradza małżeńskie pożycie, najeżone drobnymi, niewidzialnymi, ale dokuczliwymi przeciwnościami, czy to nie częsty, codzienny nieledwie widok, i nie godzien uwagi problem psychologiczny? A dopieroż przenievierstwo mężczyzny! Kobiece było aż do znudzenia obrabiane w romansach; ale przenievierstwo męża, ze swojemi sofizmatami przed, a zgryzotami po, o tem w powieściach nie słyszy się prawie

nigdy; a czy to nie bogaty i nie głęboki przedmiot dla pisarza? Niech zaś panie nie tryumfują przedwcześnie i nie dowodzą, że zawsze tylko maż winien; bo jeżeli jest Połaniecki, to jest i pani Osnowska, jest nawet pani Maszkowa. A różne rodzaje i stopnie pojęć i uczuć religijnych w męzczyznach, od wzniosłego mistycyzmu do gorzkiego sceptycyzmu? Wśród nich ten objaw najczęstszy, najzwyczajniejszy, obojętności, niejasności, nieświadomości, z niej przejście do wiary, do przekonania, do poddania się szczeremu i zupełnemu. I to jest w tej powieści. Tak odkrywając coraz nowe zjawiska i problemy, ceniąc je coraz więcej, dochodzi się wreszcie do zrozumienia tego, co tym wszystkim figurom i stosunkom służy za wspólne tło, co je ujmuje w jedność i łączy organicznie jedne z drugimi. Historia Maszki, historia Zawilowskiego, historia pani Osnowskiej, historia Połanieckiego czy z Marynią, czy z panią Maszkową, to są różne części czy elementa tego obrazu, któremu jedność i całość nadaje inna jeszcze kwestya czy prawda, a oni wszyscy są tej jednej prawdy różnemi objawami, przykładami i stwierdzeniami.

Jakaż ona być może?

Kłamali ludzie zawsze od stworzenia świata; ale czy udawali kiedy tyle, co w tym naszym wieku? Charakterystycznym jest, że słowo *poser* jest jego wynalazkiem; a słowa tworzą się w miarę potrzeby, kiedy pojęcie czy zjawisko wymaga osobnej dla siebie nazwy. Chęć wydawania się inaczej lub czem innem, jak się jest, odgrywanie jakiejś roli, udawanie, jest właściwą temu wiekowi przywarą, a w nim bardzo powszechną. W pierwszej swojej połowie udawał on zwłaszcza poetyczność, wyjątkową wyższość umysłu a czułość serca niezrozumiałą dla zwykłych ludzi i przez nich prześladowaną. Ulegali tej chorobie ludzie znakomici, nawet genialni, i ulegały proste półgłówki; a piękne damy nie dawały im się wyprzedzać. Z postępem czasu zmieniła się forma, ale rzecz została. Komedia pozornej poetyczności wyszła z mody, ale popęd do grania komedyi nie przeszedł, tylko rozrodził się w rozmaite i liczne kształty i gatunki, i może głębiej wsiąknął w różne stosunki życia, połączył się

z niem rzeczywiście i silniej. Same zaś zdobycze i obyczaje wieku ułatwiały to udawanie, robiły każdemu mniej więcej przystępną jakąś rolę do grania; o wyborze roli stanowiło usposobienie każdego i okoliczności. Przedsiębiorstwa, stowarzyszenia, gra na giełdzie, spekulacye różnego rodzaju, pozwalały wielu udawać bogatszych, niż byli. Rozpowszechnione dziennikarstwo pozwalało udawać wiadomości polityczne, a system parlamentarny dawał pole do udawania politycznej zdolności. Tosamo dziennikarstwo dawało sposobność i pokusę do udawania pisarskiego talentu i powołania. Rozmnożone książki, płytkie encyklopedyczne podręczniki z naukowym niby podkładem i pokostem, ułatwiały znowu bardzo wielu udawanie wykształcenia, niektórym nawet udawanie nauki. Tanie publikacye, ilustracye, nawet fotografie, ułatwiały znajomość i pozorne znawstwo sztuki. Powodzeń nie brakło, na żadnem z tych pól; a każde powodzenie jednego, zachęcało oczywiście wielu do prób podobnych. Świat widział takich, którzy tanim kosztem kilku retorycznych popisów dochodzili do stanowiska, do znaczenia, czasem do steru rządu w swoim kraju — do rozgłosu na krótko, jeżeli nie do sławy na długo, choć nie mieli w sobie weale materiału na mężów stanu. Widział takich, którzy dochodzili do rozgłosu i do stanowiska w literaturze, choć ani rozum, ani talent nie dawał im do tego prawa. Widział innych, którzy bez pieniędzy i bez pracy, sprytem tylko i rezonem, dochodzili na giełdach do rzeczywistego i znacznego majątku. Takie rzeczy widząc, ludzie z doświadczeń wydobyli wniosek, że chcąc mieć powodzenie, trzeba się *wydać*, a chcąc się *wydać*, trzeba nadrabiać miną, *udawać*. Udawanie, czyli fanfaronada, stały się środkiem bezpośrednim — pośrednim reklama; a skutkiem był niezaprzeczony i rzeczywisty sukces wielu ludzi, ale zarazem maskarada całych społeczeństw, w których nie często człowiek jest tem, czem się być wydaje. Wielki orator okazał się pustym pęcherzem, odkąd został ministrem, ale jest mimo to wielką figurą. Wielki przywódzca opozycyi, demokrata czy demagog, obciął i spiłował swoje lwie pazury od chwili, jak ułhwycił w nie jakąś tekę. Wielki finansista już pięć

razy o mało nie zbankrutował, a kto wie jeszcze, jakimi ratował się środkami; ale choć zawsze wisi nad nim miecz Damoklesa, minę ma gęstą i udaje kredyt niezachwiany. O wielkim pisarzu nikt nie będzie wiedział za lat dwadzieścia, i w gruncie wszyscy to czują, choć nie mówią; ale dziś on jest wielki, i dobrze mu z tem. Cała sztuka, żeby się wspiąć na jakieś szczytła i ująć parę kroków; reszta już przyjdzie łatwo. Jest udawanie świadome siebie, umyślne, po prostu obłudne, udawanie uczuć, przekonań, nawet zasad, i udawanie zdolności — jest Rabagas i Tartuffe, i jest Trissotin, w inne suknie przebrani. Ale jest i takie udawanie, które samo o sobie nie wie dobrze, że jest udawaniem, i na pół wierzy w swoją szczerłość. Rola się podobała, była zgodna z naturą i przyjemna do grania, znalazła pewien poklask — i stała się przyzwyczajeniem, tak, że aktorowie sami często przestają wiedzieć, co w nich jest naturą, a co rolą. Jak przed pół wiekiem romantyczny byronista, tak dzisiejszy *dekadent* gotów w dobrej wierze przysięgać, że on najrzetelniej myśli i czuje to, co mówi; jak wtedy poetyczna dama, niezrozumiana przez męża, a w pogoni za ideałem bawiła się w Lelię pani Sand, a o szczerości swoich cierpień i aspiracyj nie wątpiła, tak dzisiejsza emancypantka czy feministka przekonana jest, że ma rzetelny zapal dla sprawy rzetelnie dobrej i potrzebnej. A ta, jak tamta, ten, jak tamten, nie chcieli nigdy zbadać sumiennie stanu swoich uczuć i celu swoich dążeń, i są nierzetelni z sobą, tak jak Rabagas i Tartuffe są nierzetelni z drugimi.

Ta nierzetelność, ta komedia, ta nieprawda w uczuciach i przekonaniach, w zdolnościach i powołaniach, jest jedną z ciężkich a zaraźliwych chorób tego wieku. Objawia się w jego obyczaju, w jego życiu towarzyskiem, w jego literaturze, w jego nauce, a bodaj czy nie jest w pewnej mierze i przyczyną jego nieszczęść w historii.

My Polacy mówimy wiele — i w dobrej wierze — o szczerości, prawości, otwartości naszego narodowego charakteru. Zdaje nam się, że ani chcemy, ani lubimy, ani umiemy udawać. Ale czy się pod tym względem nie łudzimy? Czy tej

komedyi życia u nas niema, lub jest jej mniej, niż u innych? Udawanie bogactwa, życie nad stan, musiało być zawsze naszą skłonnością, skoro powstają na nie bardzo starzy pisarze. A komedia poetyczności w pierwszej połowie naszego wieku, ponury byronista, mniemany geniusz i poeta, romantyczna dama, tęskniąca za człowiekiem, zdolnym ją zrozumieć, to były zjawiska wcale nie rzadkie. Fałszywa poezya, zapal na zimno, sztuczna i wmówiona w siebie exaltacya, czy nie grasowały między nami i nie zasiały swoich chwastów na polu naszej literatury, ach, i co gorzej, na polu naszej historii? czy nie mieszały się z tem nawet, co jako najświętsze, powinno być najszczerzem i najczystschem, z naszym uczuciem patryotycznym i religijnem? A w naszej literaturze wiele talentów udających i udanych, w naszej nauce ile uczoności pozornej, w naszej polityce ile hasła, głoszonych bez przekonania, dla poklasku i sukcesu? wiele opinij wyznaczanych na pokaz, albo ze strachu? wiele ról, granych z mniejszem lub większem powodzeniem? a o szczerą naturę i prawdę jak trudno! A przecież być sobą, być tem, czem się jest, a nie wydawać się czem innem; mówić, co się myśli, a myśleć rzetelnie i sumiennie, nie udawać nie myślą przed sobą samym, a mową i uczynkiem przed drugimi, przecież to podstawa, miara, cecha, i prawdziwej wartości człowieka, i nawet prawdziwego rozumu. Przecież rzetelność i prawda w życiu prywatnem, w sprawach finansowych, w polityce, w literaturze, w sztuce, w stosunku z Bogiem, wszędzie, przecież to zdrowie, i jędrność, i siła społeczeństw i narodów.

A teraz popatrzmy na *Połanieckich*. Co tam zobaczymy?

Po jednej stronie grupa ludzi, z których każdy jest szczerze i na prawdę tem, czem jest, i niczem innem być ani wydawać się nie chce. Coś kocha, czegoś pragnie, do czegoś dąży, coś robi, ale nie nie udaje i nie sobie nie dodaje. Jest rzetelny z sobą, i rzetelny z ludźmi. Mówi jak myśli, robi jak mówi. Po drugiej stronie grupa, złożona z różnych udawań i różnych próżności. Wszystkie są światowe, towarzyskie tylko, chodzi im o własne stanowisko, o efekt,

lub o przyjemność. Udawań i komedyj w życiu publicznem, politycznych i patriotycznych, nie ma, bo nie mogły się znaleźć w powieści, wychodzącej pod cenzurą. Ale na tem wspólnem tle towarzyskiego życia, każda z tych komedyj ma swój osobny cel i swoje osobne środki, każda swoją cechę i fizjognomię. Pomiędzy temi grupami różne stosunki i zawikłania, jakżeby zamknąć w jednym naczyniu i skłócić szczerotę z udawaniem, prawdę z blichtrzem. A tomy jednego i drugiego miewszają się z sobą i mącą czas jakiś, ale połączyć się nie mogą, oddzielają się, i swoją gatunkową ciężkością osadza się silnie na dnie prawda pracy, prawda miłości, prawda obowiązku, prawda przysięgi małżeńskiej, prawda wiary, a z niemi prawda szczęścia, o ile ono na ziemi być może — ulatniają się i nikną dymy, gazy, czy wyziewy, nieprawdy w walce o pieniądz, nieprawdy w miłości, nieprawdy w pojęciach religijnych i filozoficznych, nieprawdy w artystycznych aspiracyach i upodobaniach, nieprawdy w uczuciach, w zasadach i w obyczajach. Po jednej stronie Marynia i pani Emilia, Bigiel i jego żona, Zawilowski stary i młody i panna Helena, Świrski, Waśkowski, panna Ratkowska i pan Osnowski; po drugiej Maszko, pani Osnowska, pani Broniczowa, stary Pławicki, jako pocieszny błazen udawania, i biedny Bukacki jako smutna ofiara tej komedyi sceptycyzmu, którą sam przed sobą i przed ludźmi odgrywa. Połaniecki stoi między oboma. Naturą, wolą, temperamentem, pracą, należy do rzetelnych. A jednak nie jest takim zupełnie; jednak przekonywa się, że sam sobie wierzyć nie może, bo jego rzetelność zbyt polegała sama na sobie, a pewniejszej podstawy nie miała. To jego doświadczenie na sobie samym zrobione, ten proces stopniowego dochodzenia do zupełnej jednolitości charakteru, to sprawa szczególnie ważna w powieści, szczególnie głęboko wymyślona i wykonana.

Prawda więc i udawanie w życiu, to jest ten pierwiastek ukryty a pierwszy, ten najistotniejszy zamiar autora, który części powieści ujmuje w całość, który jej nadaje organiczną jedność, i dopiero całkowite znaczenie. To jest ta nitka Ariadny, którą raz uchwyciwszy, idzie się już śmiało i pe-

wno przez wszystkie zakręty i labirynty nieporozumień między zakochanymi, wierności i niewierności małżeńskiej, spekulacyj finansowych, religijnych i filozoficznych pojęć, które się kolejno nasuwają, rozwijają, i przykuwają uwagę i rozważę czytającego. A gdy z tą nitką w rękę doczytał tom trzeci do końca, gdy zwłaszcza odczytał powieść po raz drugi i trzeci, dopiero ten czytelnik zamyka ją z pytaniem, czy dużo jest na świecie równie mądrych, równie dobrych, równie moralnych, jak ta.

Ani śladu tego, co dawniej w powieści być musiało: intryg, tajemnic, niebezpieczeństw, poetycznych bohaterów, idealnych bohaterek, czarnych charakterów, tego wszystkiego, co niegdyś stanowiło sam urok romansu, i sprawiało, że czytelnik drżał o los wzniosłej heroiny i z gorączkową ciekawością przerzucał karty, żeby zobaczyć, jak się to wszystko skończy. Pani Sand trzymała się tej mody w swojej młodości; trzymał się jej Bulwer w swoich dawniejszych romanсах, a i w późniejszych (*My Novel*) niezupełnie ją porzucić zdołał. U samego Balzaca zdarzają się tragedye, a przynajmniej dramata; a jakaś sytuacja zawikłana, której rozwikłanie jest właśnie treścią powieści, to ingrediencya konieczna; powieść nie mogła się bez takiej obejść, nie dała się pomyśleć. Zmieniło się to wszystko. Powieść na całym świecie stała się podobniejszą do codziennego życia, w którym zdarzają się i smutki, i sytuacje istotnie poetyczne, i nieraz nawet dramata, ale odbywają się cicho i bez efektu, a uczucia jakiegokolwiek wyrażają się bez retoryki i deklamacyi. Powieść może się dziś obejść bez zawikłanej fabuły, prawie rzec można, bez żadnej fabuły; może być i udać się, choć jej zdarzenia będą zupełnie potoczne, nieznaczące. *Rodzina Połanieckich* jest taką zupełnie nowoczesną powieścią. Gdyby szukać jej podobieństwa w literaturach zagranicznych, to nie znalazłoby się go u Francuzów. Ci, czy dawniejsi, jak Dumas syn, czy najmłodszy jak Maupassant i Bourget, czy ultra-realiści jak Zola wreszcie, mają zawsze, jakiegokolwiek ich stanowisko i sposób pisania, swoją psychologiczną czy fizyologiczną tęgę, do której się powieść dorabia i służy jej za

kształt, czy za dowodzenie. Sienkiewicz jeżeli w tej powieści jest do kogo podobny, to do Anglików, i to nie do dzisiejszych, ale do dawniejszych a wielkich. Nie do Dickensa. Ten jest stalej i umyślniej humorystyczny, więcej satyryczny, a zarazem więcej, i czasem fałszywo, patetyczny. Ale Thackeray, *Vanity-Fair*, *Newcomes*, w których nie dzieje się niby nic, tylko w zwykłych zdarzeniach codziennego życia ukazują się typy niezmiernie zajmujące i żywe, stosunki zgłębite i skreślone z niesłychaną prawdą, zagadnienia postawione i rozwiązane z niepospolitym rozumem, a wszystko niby od niechcienia, niby bez wymyślenia, komponowania, układania powieści, to jest ten rodzaj powieści, co *Rodzina Połanieckich*. I tu nie dzieje się niby nic — albo raczej, jak w życiu, dzieje się wiele rzeczy zwykłych, codziennych, nie zawsze i niekoniecznie połączonych z sobą stosunkiem przyczyny i skutku. Jedni się rodzą, drudzy umierają; jedni się żenia, drudzy się rozwodzą, jedni się kochają, drudzy się nie kochają, jedni robią majątek, drudzy go tracą; i to wszystko obok siebie, równolegle, jak w życiu. A tu, jak tam, każdy stosunek, każda scena, każda rozmowa, każda figura, zajmie swoją stroną zewnętrzną, swoim wykonaniem, zadziwi i zastanowi swoim podobieństwem do naszego ludzkiego świata, swoją wewnętrzną treścią zmusi do myślenia. Ale obok podobieństwa jest ta różnica, że Thackeray w sytuacjach poważnych wpada przecież czasem w pathos przesadzone i niesmaczne, że w postaciach szlachetnych, zwłaszcza kobiecych, wpada w poetyczność eokolwiek mdłą, a w doskonałość konwencyonalną, jak Amelia Sedley, lub pułkownik Newcome. Sienkiewiczowi trudno byłoby z *Połanieckich* taki zarzut zrobić, lub zrobiwszy dowieść jego słuszności.

Wspomnieliśmy już o nocy letniej, o drodze piaszczystej, o wsi uśpionej na wstępie do powieści. Trzebaby wspomnieć i o drodze do kościoła, i o summie w kościele, i o sąsiedztwie witającym się po summie przed kościołem, i o słońcu jak zachodzi za stawem; ale to wszystko dodatki i dekoracje. Tylko tych dekoracyj malować, technąć w nie życie i pożyć, rzadki ten, ktoby umiał tak, jak Sienkiewicz. Na

tle tej dekoracji rysują się postacie ludzkie; figuranci tylko, ale obdarzeni fizyognomią i indywidualnością. Radzca Jamisz, rozumny a przygnębiony; jego magnifika nierozumna a pretensjonalna w przestarzałej piękności, a parafiańskiej elegancyi; poczciwy niedźwiadek Gałowski, trochę ciężki, trochę zakuty, ale taki dobry i szczerzy, że aż go żal, jak się zmarnuje w zardzewiałem, a niezbyt przykładowem starokawalerstwie wiejskiem. Odstaje od nich, i wysuwa się naprzód nieoceniony pan Pławicki z bezwiedną hipokryzyą swego egoizmu, z talentem poświęcania drugich sobie, kiedy prawi ustawicznie o poświęceniu swoim dla drugich, uroczysty frant, kiedy wierzyciela chce z góry rozbroić błogosławieństwem, naiwny frant, kiedy go chce spłacić urojonym marglem, frant patetyczny, kiedy spodziewa się nastraszyć go przekleństwem. Pławicki z farbowanemi wąsami, z myszą, której Opatrzność używa, żeby mu dawać szczególne znaki łaski i opieki, z umizgami do pani Jamiszowej, a nade wszystko z tą rolą króla Leara, którą lubi odgrywać w ciepłym pokoju przy dobrym obiedzie, którą siebie rozczula, a drugich rozśmiesza lub gniewa, Pławicki od pierwszej chwili, kiedy Połanieckiego przyciska do piersi, aż do ostatniej, kiedy jego synowi zapisuje cały swój majątek (na księżycu), jest w swoim rodzaju wielki; a jest zabawny i komiczny tak, że i Molière i Fredro mogliby go pozazdrościć, kupić od Sienkiewicza, adoptować i uznać za swego.

Ale i on z całą swoją wielkością jest tylko uboczną figurą. A te dwie ważniejsze, które przy zachodzącym słońcu rozmawiają z sobą w ogrodzie, i zaczynają się sobie podobać, jakież one są? Marynia z czasem dopiero ukaże się w całej swojej wartości, Połaniecki z czasem dopiero ze swojemi słabemi stronami; oboje rozwijać się będą przez cały ciąg powieści, aż do końca. Zrazu ona zjawia się tylko jako dobra dziewczyna, która ma hipokryzyę poświęcenia, jak ojciec hipokryzyę egoizmu, i kryje się z tem, że robi co może, więcej niż może, żeby jemu uratować wygodę, a ulubiony Krzemień od sprzedaży. Biedna dziewczyna przytem, bo nei wiele ma nadziei, żeby jej się udać mogło. On uka-

zuje się jako człowiek raczej sympatyczny, z głową otwartą, z usposobieniem żywym, z energią. Jest trochę zarozumiały, podziwia się sam za swoją tęgość, lubi się nią popisywać sam przed sobą i jeszcze ją przesadzać. Nie jest bardzo wykwintny; skórę ma trochę grubą; nie czuje, kiedy kogoś dotknie, albo zrani. Z cienkiej porcelany nie jest. Ale nie jest też z kruchej gliny. Popędliwy i prędki, jest szczerzy i w gruncie poczciwy. A że ma przytem i głowę dobrą, i pewną śmiałość, można go polubić, zaufać mu, być z nim w przyjaźni. Marynia myśli, że można zakochać się w nim! Ona, która mało ludzi widziała, a takiego nigdy. On znowu, który widział kobiet i panien dużo, ale fizycznie jak moralnie dużo malowanych i udających, który ma lat trzydzieści i bardzo chce się ożenić, a bardzo dba o to, żeby dobrze trafić, on czuje instynktem, że w tej dziewczynie wszystko jest prawdziwe, i czuje, że takich widział, że takich jest niewiele. Ładni są w tej pierwszej rozmowie, z której oboje wychodzą tak rozmarzeni, że tylko druga taka, a oboje będą już zakochani.

Niestety, do tej drugiej nie przyszło. Nazajutrz rano zamiast rozmowy z Marynią o sentymentach, była rozmowa z panem Pławickim o interesach. Margiel nie skusił Połanieckiego, przekleństwo go nie przeraziło, komedia finansowa i komedia patetyczna rozzłościły go tylko — a tą złością objął niesprawiedliwie i Marynię, która tłómaczyć się chciała, ale wobec gniewu i niegrzeczności, nie mogła bez upokorzenia. Rozjechali się! Unosiła się miłość w powietrzu, jak nitka z kądzieli Matki Boskiej w jesieni, spoczęła na ramieniu chłopca, na głowie panienki, chciała ich złączyć, ale on zerwał ją, jak prostą pajęczynę, którą się zmiata szczotką bez litości. Czy zerwana na zawsze? czy będzie dalej chwiała się w powietrzu bez oparcia i celu? czy ich się może jeszcze uczepi i koło nich obwinie?

Połaniecki sprzedał swoją summę na Krzemieniu i pojechał do pani Chwastowskiej. Teraz zaczyna się coś, co nas poróżni z wszystkimi czytelnikami, i własnymi, i nierównie liczniejszymi czytelnikami *Połanieckich*. Biedna mała Litka

zachwyca i rozczula ich wszystkich. Skutek to zapewne i dówód twardego serca, ale nie możemy się do niej przekonać. Dla jej choroby i matki mamy współczucie i pożałowanie najszczerze; do osóбки sympaty uczuć nie możemy. Mówią nam, że są takie dziewczątka przedwcześnie rozwinięte, które same o tem nie wiedząc, kochają już w dzieciennych latach. Zdarzają się przecie i między dziećmi takie nieświadome, instynktowe, a gwałtowne i wyłączne przywiązania, które dochodzą aż do zazdrości. Za przedmiot mogą mieć rodziców, braci, siostry, małych przyjaciół. Litka jest takim dzieckiem. To, co ona czuje, to nie jest miłość, tylko jest taka nieświadoma zazdrość, nieświadomy zaród wyłącznej miłości. Ona chce, żeby ten ktoś kochał ją więcej niż innych, wyłącznie. Ale sprawy sobie z tego nie zdaje;—a że jest chora na serce, więc czuje gwałtowniej, niż inne dzieci podobne. Wierzymy że to prawda, że są takie dziewczynki; żałujemy ich rodziców, ich samych, a może i ich przyszłych mężów. Ale sądzimy, że w takich naturach musi być coś ekscentrycznego i chorobliwego; a co ekscentryczne i chorobliwe, to nas nie pociąga, tylko odpycha i mrozi. Zły gust zapewne, ale *de gustibus non est disputandum*. Taka dziewczynina, jak Litka, — jak jej na imię? nie rozumiemy tego zdrobnienia; ksiądz zapewne nie mówił *Litka ego te baptizo?* ale mniejsza o to — taka dziewczyna powinna zalewać się łzami nad gramatyką i bębnić gammy na fortepianie, a nie myśleć o panu Stachu, czy jakimkolwiek innym panu. Że ona o tem nie wie, nie domyśla się, że kocha, to świadczy zapewne o jej niewinnej i dziecinnej naturze; ale to nic nie pomaga, skoro jest ta przedwczesna chorobliwa miłość, i jest w jej skutku nieszczęście. Otwiera się, jak kwiat do słońca, kiedy pan Stach jest przy niej, trzyma go ustawicznie przy sobie, uważa go za swoją własność, i dostaje kurczów serca, kiedy usłyszy, że on mógłby starać się i żenić. I nie można jej za to nic zrobić, nawet dać bury, bo jest chora na serce i umarłaby ze wzruszenia! Że ona bardzo biedna, to pewna; że bardzo poetyczna i heroiczna, to być może. Ale lepiejby zrobiła dla siebie, a zwłaszcza dla matki, gdyby była taka, jak wszystkie

dzieci na świecie. Matka za to, cała w tem dziecku jedynie żyjąca, matka w swoich alternatywach złudzeń i trwogi, w przejściach od nadziei do ostatecznej boleści, jest wzruszająca, rozdzierająca, chwytająca za serce tak bardzo i silnie, jak jest budująca i zdumiewająca świętością, zawsze jednaka, tylko coraz mniej ziemską, coraz bardziej anielską.

Dość, że biedna dziewczynka zmiarkowała, czy usłyszała, co się święci. Pan Stach mógłby się ożenić! życzy sobie tego nawet jej matka. Rozchorowała się tak, że życie wisi już tylko na włosku, i ledwo dało się przewieść ją do Warszawy.

W Warszawie tymczasem dużo zmian i nowości. Pławiccy, po sprzedaży Krzemienia, przenieśli się do miasta. Nabywca, Maszko, nie żartem myśli o Maryni, i stara się o nią. Dobra to kombinacya w jego interesach, bo nie potrzebowałby spłacać dawnych właścicieli; a jego *pozycja* zyskałaby na związku ze starą szlachecką rodziną. Ale prócz tego ma on i inny jeszcze powód. Sam żyjący blichtrzem i nieprawdą, przeczuł rzetelność i prawdę w tej pannie. Tem mu ona imponuje, tem go pociąga, i biedny Maszko sam nie wie, jak zakochał się w Maryni.

Tego Maszki jest szkoda nieodżałowana, że musi żyć w Królestwie, a swoje zdolności i swoją wspaniałą naturę wydawać drobną monetą na drobne cele. Powinien przenieść się do Galicyi; tu znalazłby godne siebie pole, i atmosferę, w której żyłby, jak ryba w wodzie. Wyobraźmy sobie Maszkę na zgromadzeniach wyborczych, w Sejmie, a dopiero w Radzie państwa! Dopiero byłby wielki! Miałby zasady: jakie? raczej o włos za wiele, niż za mało konserwatywne. Miałby mowy, pełne politycznego rozumu. Miałby spryt, żeby każdemu dać do zrozumienia, że on w gruncie z nim trzyma, a innych tylko zręcznie używa. Miałby węch do różnych operacyj bankowych i kolejowych, i byle nie zanadto śmiałości, zrobiły może majątek na prawdę. A jaki miałby *szyk*! Jaką postawę dyplomaty i męża stanu! Jakby umiał protegować! Jak imponować drugim i samemu sobie! Jak zręcznie wkręciłby się w każdą sprawę i zdołał wydawać się potrzebnym

i opozycyi i rządowi! Jak dyskretnie dawałby do zrozumienia, że on naprawdę wszystko prowadzi i robi! A jak byłby za *pan brat*, jak *për du* ze wszystkimi ministrami, ze wszystkimi wiedeńskimi *cavalierami*! jak miałby swoje tajemne drogi i wpływy „w najwyższych nawet sferach!“ Wielka szkoda, że Maszki niema w Radzie państwa. Byłby bardzo zabawny, bardzo ciekawy do studyowania, a byłby może nawet pożyteczny — bo ma i głowy dosyć, i sprytu dosyć na to, by wiedzieć, że samym sprytem i samą gęstą miną można zacząć, ale nie można daleko zajść. Że zaś stanowiska potrzebuje i chce, więc starałby się odznaczyć, pracowałby, i może zrobiłby co dobrego.

W Warszawie ma tylko jedną drogę do swego celu: majątek. Łamie sobie głowę w przeróżnych pomysłach i sztukach, żeby do niego dojść, a tymczasem udaje, że go ma. Marynia go nie lubi. Ale na Połanieckiego tak jest rozżalona, tak mu nie może przebaczyć, że okazał się innym niż myślała, że z dwóch łatwiej wyszłaby za Maszkę, niż za tamtego. Tak jej się przez chwilę zdaje. Wychodzić za niego nie myśli; ale rozmawia i obchodzi się z nim tak, że on może robić sobie jakieś nadzieje. Taką sytuację zastaje Połaniecki, kiedy do Warszawy wraca; zły na siebie za to, co zrobił, tęskniący za nią, przekonany, że z żadną nie byłby tak szczęśliwy jak z nią, gotowy i pragnący najszczerzej schwyć i snuć dalej tę nitkę, którą niebacznie zerwał w Krzemieniu. Gdyby Marynia, której niechęć jest tylko bezwiedną maską innego uczucia, widząc go w tem usposobieniu, przebaczyła odrazu i szczerze, on rozkochałby się na nowo, zaraz, i goręcej, silniej, niż kiedyś w Krzemieniu. Ale ona jest zanadto rozżalona, i swego żalu owładnąć i zmienić nie może. Nie udaje, nie chce go karać, ani się na nim mścić; ale ze szczerego serca jest z nim sztywna i jak obca. Marynia nie rozumuje, nie kombinuje, nie ma planu, mówi i działa, jak myśli i czuje; ale tem swoim zachowaniem mrozi usposobienie, przepuszcza moment psychologiczny. Za łaskawe spojrzenie, za uśmiech, za podanie ręki, byłby jej wdzięcznie upadł do nóg rozkochany i szczęśliwy; ona tego

nie odgadła, czy zrobić nie mogła, psychologiczny moment przeszedł, usposobienie się zmieniło. Połaniecki wróci jeszcze, oświadczy się, ożeni się, ale już nie z tem uczuciem, z jakim patrzył na nią w Krzemieniu, z jakim jechał z Reichenhall do Warszawy.

Z Maszką jednak jakoś skończyć się musi. Na jego oświadczenie Marynia odpowiada przeproszeniem pokornem, i odmową. Pan Pławicki, któremu zięć — jak mniemał — bogaty, dogadzał, „poszedł złożyć swoje zmartwienie tam, gdzie każda łza starca będzie policzoną,” na bilard. Maszko dotknięty głęboko, bo i w spekulacjach swoich i w prawdziwym uczuciu, powiedział Połanieckiemu, że ona „woli ciebie nienawidzić, niż mnie kochać,” i poszedł się starać o pannę Krasławską.

Te panie także udają, grają komedję. Po części z musu, z konieczności. Mają okropnego męża i ojca, który je porzucił; jego sprawy i samo życie pokrywają milczeniem, tajemnicą. Ale prócz tego udają majątek, kiedy mają tylko dożywocie, i nadewszystko, a z rozkoszą i pasją udają *dystynkcyę*. Panna jest taka *dystygowana*, że nie pokaże nigdy żadnej myśli, żadnego wrażenia, wygląda jak automat, a półgłosem, półgębkiem, cedzi *meme* zamiast *mama*, i *tek* zamiast *tak*. Matka w tem przykrem, niejasnem położeniu rodzinnem i majątkowem, chciałaby jedynaczce zapewnić spokojną przyszłość, a za najlepszy sposób po temu uważa światowy *szyk* czy *szych*. One bardzo przebierać nie mogą; Maszko łapie się trochę na mniemany *szyk* i majątek, na rzeczywiste nazwisko, i z obu stron daje się słowo. A kiedy Maszko zachwiany w kredycie, ranny w pojedynku, uważa już za zerwane to małżeństwo, na które liczył; jak na ostatnią deskę ratunku, ma tę przyjemną niespodziankę, że panie Krasławskie nie tylko z nim nie zrywają, ale nawet panna okazuje mu wiele dobrego serca (istotnie miała dobre serce). I to go tak ujęło, że ze zdziwienia i wdzięczności przywiązał się do tej narzeczonej na prawdę.

Z Litką coraz gorzej. Patrzy własnymi oczyma i widzi coraz wyraźniej, że między panem Stachem a Marynią coś

było, coś jest. Pojmuje, że on jej nie może tak kochać, jak kocha tamtą. Ze skrucłą wyznaje przed matką, że nie kocha Maryni, wyrzuca to sobie, jak grzech, i zapada coraz częściej, coraz groźniej. Choćby być najgorszym i najbardziej upierać się, że powinna była brać lekye i klapsy, nie sposób jej nie żalować. Biedna walczy z sobą, aż w dziecinem sercu powstaje heroiczne postanowienie, poświęcenia. Chorego dziecka nie można smucić, nie można mu nie odmówić, więc Marynia i pan Stach nie odmówią jej prośbie. Marynia przyrzecze, że będzie kochała pana Stacha i że za niego wyjdzie. Przyrzekli. Po chwili przyszedł atak sercowy -- ostatni.

Te ostatnie dni biednego dziecka, ci przyjaciele otaczający łóżeczko umierającej i jej matkę, pogrzeb wreszcie, to jest obraz nieszczęścia tak przejmujący swoją wiernością, że nie może czytać go spokojnie, kto raz chwile podobne przebywał. Autor nie robi żadnych uwag, nie użala się, nie rozczuła; ci ludzie także. On nie pozwoli sobie ani jednego lirycznego frazesu, ani jednego wykrzyknika, jednej skargi. O biednej Litee, o śmierci, o nieszczęściu, nie mówi się prawie; ale kiedy oni krzątają się i odzywają półsłówkami, czytelnika dławi bez ustanku ten płacz, który oni w sobie tłumią. Pogrzeb zwłaszcza, w swoim pozorze zwykłym, powszednim, ściska za serce inaczej, ale nie mniej, jak pogrzeb bohatera i męczennika Podbipięty. Ten dziwny stan ludzi, których dusza jest jak rażona piorunem, ogłuszona, a zmysły, pamięć, uwaga, pełnią swoje czynności mechanicznie, ta jakaś dziwna, a bolesna niezależność różnych władz człowieka od jego uczucia, a zależność ich od przyzwyczajenia, to w tym pogrzebie, z którym jesienna dekoracya zlewa się harmonijnie, robi największe może wrażenie. Matka nie myśli niby o tem, co czuje, ale widzi, że wieko od trumny przycięło koniec włosów dziecka; przyjaciele, idąc za trumną, widzą i uważają przedmioty, spotkane na drodze. Ludwik XVI wieszony na śmierć, dostrzegał myłki ortograficzne w sztyldach. Przypomina go Połaniecki na tym pogrzebie. Bo nie matka, ale on jest na pierwszym planie. Co się w niej dzieje,

to do opisania trudniejsze, a w tej powieści nawet mniej ważne. Ona jest poboczną figurą naprzód; a potem każdy wie z góry, że dla niej wszystko się na świecie skończyło. Ale dla tego młodego człowieka, który jest bohaterem powieści, znczyna się od tego pogrzebu nowy zwrot w duszy, nowy proces psychologiczny i moralny. Połaniecki do nikogo na świecie nie był przywiązany tak silnie, tak serdecznie, jak do pani Emilii i jej córki. Teraz, kiedy jedna skazana jest na boleść bez granic, a druga znikła, on pierwszy raz w życiu może zadaje sobie pytanie, dlaczego cierpienie i dlaczego śmierć? Dlaczego ta istota, tak doskonała, święta, musi tak cierpieć? Dlaczego to dziecko musiało umrzeć? Połaniecki nie może jednego ani drugiego pogodzić z dobrocią, ba, z samą istnością Boga. Gdyby był, i gdyby był dobry, toby na to przecie nie pozwalał, zlitowałby się. On dotąd nigdy tak nie cierpiał; kiedy stracił matkę, był za młody, żeby się zastanawiać; później nie spotkał się z boleścią, a w czynnej pracy nie miał czasu i sposobności rozmyślać. Joba zapewne nie czytał nigdy. Musseta jeżeli czytał, to pomijał lub nie rozumiał rozdzierającego krzyku: *Pourquoi la mort!* On się z temi pytaniami nie spotkał; a za to naczytał się książek niby mądrych, które mówiły, że ze śmiercią kończy się wszystko. Więc z tej dzieciny, którą tak kochał, nie zostanie nic, tylko proch, w który się rozsypie? Połaniecki nie jest bezbożny, nie jest przeczący z natury i z upodobania; tylko jest niewierzący, jeszcze więcej nieświadomy. Śmierć i boleść wprawia go w stan gniewu i buntu. Życie jest głupią farsą, graną przez udręczonych waryatów, nie wiedzieć po co i dla kogo. Kiedy profesor Waśkowski mówi nieszczęśliwej matce o przyszłym życiu, i pierwszy koi cokolwiek jej boleść, Połaniecki rad jest, że ona ma choć taką pociechę. Ale kiedy profesor jemu samemu powtarza, że Litka żyje, że się wszyscy kiedyś spotkają, że on sam kiedyś będzie w to wierzył, odpycha go szorstko. A przecież nie jest pewien tego, co sam myśli i mówi; przecież przyrzeka zmówić *Wieczny odpoczynek* za Litkę, bo gdyby mogła wiedzieć, byłoby jej to milem. Od tego pogrzebu zacznie się w nim

rozmyślanie o kwestyach religijnych i stopniowe przebudzenie religijnych uczuć. Dalszy ciąg tej sprawy poprowadzi w części żona, w części jego własna wola, a dokona jej stanowczo wyrzut sumienia i skrucha.

Ale biedna Litka umierając, stworzyła nową sytuację. To przyrzeczenie, jakie wymogła na nim i na Maryni, jest. Czy obowiązujące? czy dane tylko dla uspokojenia chorej? W każdym razie trzeba albo mu zaprzeczyć, albo uczynić zadość bo inaczej stosunek będzie niejasny, fałszywy, przykry. O tem co zaszło, wiedzą niektórzy ludzie, wie przynajmniej pani Emilia; tembardziej trzeba z tego położenia wyjść. Jak? Połaniecki nie wie. Widzi tylko, że Marynia uważa przyrzeczenie za obowiązujące, a siebie za jego narzeczoną — i to go gniewa. Z obowiązku gotowa go teraz nawet pokochać; a kochać nie chciała, kiedy był gotów o to błagać, „obowiązkowa zimna ryba!“ Pogodził się z nią przez wspólne cierpienie; ale dawnego pociągu nie czuje już weale, owszem czuje się od niej dalszym niż kiedykolwiek, jak żeby go coś odpychało. Wrażenie to przemoże rozważa, a zwłaszcza ten nieświadomy wrodzony instynkt, który go dawno już pcha do ożenienia: pomoże widok innych małżeństw i kobiet; pomogą bezwiednie i przyjaciele nie namową, ale opinią przychylną lub przeciwną, samem swoim pojęciem życia. Uwieńczy zaś te wpływy dawne uczucie, które się pod ich działaniem obudzi; nie tak uroczę, jak w pierwszych czasach, spokojniejsze, ale żyjące przecie silniej, niż on sam wie.

Połowa tomu przejdzie, zanim się rozstrzygnie ta walka, z sobą, a Połaniecki pójdzie do ślubu. Wypadków w niej mało i malej wagi. Maszko się pojedynkuje, pani Emilia idzie do klasztoru, Bukacki jedzie do Włoch, bo mu smutno po śmierci Litki, a sam przed sobą udaje, że chce być obojętnym; Waśkowski, bo chce pokazać w Rzymie swoje dzieło o przeznaczeniu Słowian — oto podobno wszystko. Ale te wydarzenia, potoczne i drobne, nasuwają rozmowy i uwagi, otwierają widoki na różne kwestye, zdarzające się w każdym życiu, a w każdym ważne i główne. Jest to cechą tej powieści, że przez usta ludzi różnych a rozumnych, i stosując się do

ich sposobu myślenia, wchodząc w ich skórę, autor mówi rzeczy niezmiernie głębokie, rozstrząsa kwestye zasadnicze naszego życia. Stojąc zaś na stanowisku raz tej, drugi raz innej swojej postaci, on tę kwestyę z różnych stron oświeca, a zawsze tak, że ostateczna konkluzya będzie jasna, prosta i zdrowa. Sceptyk, a jeszcze bardziej udający sceptyka, Bukacki, pojmuje każdą taką kwestyę inaczej, niż marzyciel i mistyk Wańkowski, niż trzeźwy i prosty Świrski, niż Maszko, praktyczny, wyrachowany na pozór, a na prawdę gorączkowo rwący się do swego celu. Każdy z nich jak ma swój sposób myślenia, tak ma i swój własny sposób mówienia, swój styl. Łatwo dostrzedz na pierwszy rzut oka różnicy między spokojnem, namaszczenem, trochę mglistem słowem starego idealisty czy ideologa, a tą mową ucinaną, śmiałą, czasem rubaszną, a prawie zawsze wesołą, jak Świrski wyraża swoje myśli, nawet kiedy jest rozrzewniony lub smutny. Maszko znowu nawet w chwilach szczerości ma ton i dobór wyrazów, który wskazuje, że panowanie nad sobą stało się zwyczajem, poprawna postawa drugą naturą tego człowieka, który tę postawę uważa za jedną z cyfr i pozycyj swojego rachunku. Bukacki znowu ma ironię, lekką gorycz, melancholiczny humor człowieka, który na prawdę wątpi wiele, a dba mało, a sam przed sobą udaje, że z tego wątpienia, z tego braku pragnienia, nie robi sobie nic. Ale wszyscy są niezwykle rozumni, i mówią, każdy swoim sposobem i w swoim rodzaju, bardzo rozumne rzeczy. Czy więc przedmiotem będzie wieczna kwestya cierpienia, śmierci, tego i przyszłego życia, czy jaka inna, naprzykład kwestya małżeństwa, to ironiczne paradoksa Bukackiego, zdrowy rozsądek Świrskiego, rozmazony a naiwny umysł Wańkowskiego, i mylne, choć na pozór trzeźwe rachuby Maszki, rzucą na kwestyę wielką masę światła. Prawda istotna wyjdzie jak oliwa na wierzch z pod paradoksów szczerych czy udanych, i zapanuje nad niemi tak, że czytelnik, jeżeli sam myśleć i zdrowo myśleć jest zdolny, musi ją zobaczyć i uznać. Dla przekonania niech czytelnik rzuci okiem na rozdział drugi drugiego tomu, w którym Maszko szczerze i otwarcie rozmawia z Połanieckim o swo-

jem przyszedł myśleństwie. Porównanie musi Połanieckiego doprowadzić do wniosku, że jeżeli się żenić, to z Marynią, i tak po prostu, jak Pan Bóg przykazał, jak on sam chwilami myśli i chce. Rozmowa z Bigielem w rozdziale ósmym, albo list Bukackiego w rozdziale szóstym, i znowu jego rozmowa w dziewiątym, kiedy odkłada na bok swój sceptycyzm i mimowolnie mówi przez chwilę to, co na prawdę myśli, a czego się zwykle zapiera, i żałuje, że zapiera. Każdemu młodemu człowiekowi, wstępującemu w życie, myślącemu o przyszłości, zdrowo byłoby te karty odczytywać i nad nimi się zastanawiać. Albo w rozdziale siódmym Waśkowskiego rozprawa o naszym braku równowagi, o tych „dziwnych naturach, które są zarazem najszczerze, najżywiej czujące, i komedyanckie.“ Takich rzeczy, pobudzających do myślenia, mądrych, albo milion razy życiem dowiedzionych, albo przynajmniej dla rozumu i sumienia prawdziwych, a określonych w sposób nowy, oryginalny, uderzający, jest pełno w całej książce, rozrzuconych wśród rozmów i rzeczy niby najobojętniejszych. Wskazywać wszystkich niepodobna; trzeba poprzestać na powiedzeniu, że są. Dodać zaś chyba to jedno, że podnoszą bardzo nietylko wartość książki, ale sam nawet jej powab. Oni nie rozprawiają, nie filozofują, nie moralizują; pedantyzmu, dydaktyzmu, kazania, nauki, niema w nich wcale. Jest tylko najprostsza, najnaturalniejsza rozmowa, zawsze rozumna, często dowcipna i zabawna, której miły pozór zajmuje i przykuwa uwagę, zanim głęboka treść trafi do rozwagi i zostanie w pamięci.

Połaniecki przestaje się wahać. Zliczył, zważył, zmierzzył wszystkie *pro*, i wszystkie *contra*. Wié, że praca około majątku życia mu nie zapełni. Wié, że w stanie kawalerskim może uniknąć wielu smutków i cierpień; ale ich brak to dopiero zero na termometrze, i jeżeli szczęście, to chyba bardzo samolubne. Wié, że kochałby bardzo dzieci — choć nie wie, czy tak bardzo, jak kochał Litkę. Wié, że ożenić się chce, że Marynia jest panna najlepsza, najpewniejsza ze wszystkich, że mu się podoba więcej od wszystkich, choć może nie tak, jak kiedyś. A więc? Gdyby się dłużej wahał,

byłby chyba tehrzem, albo niedolegą; a tym nie jest. Robi więc krok stanowczy, z dobrą wiarą, z dobrem sercem, i z dobrym humorem — z nadzieją, że obojgu będzie dobrze, z pewnością, że dobrze będzie jego żonie, bo przecież on szczerze chce być dla niej dobrym, i takim być potrafi.

Jest coś sympatycznego, pogodnego, prostego w duszy młodego człowieka, który się żeni w ten sposób. Nie roman-sowy? nie poetyczny? być może. Ale czy ci, co się kochają i żenią „po gospodarsku,“ nie są i najlepszymi i najszczęśliwszymi mężami? Zdrowia i prostoty w naturze tego chłopca dowodzi choćby to, że mu się oczy świecą na myśl o przyszłych dzieciach, i że się z tem życzeniem nie kryje, nie wstydzi się go. A przecież czegoś w nim brak. Czego? Nie miłości nawet — bo choć nie romantycznie, to Połaniecki i kocha Marynię, i kocha się w niej. Ale brak mu tego stopnia miłości, czy tego doświadczenia, którego narzeczeni nie mają nigdy, którego nabierają dopiero mężowie, choć z niego nie zawsze i może rzadko krzystać umieja lub chcą. „Niedość kobietę wziąć; trzeba jej się także dać, i trzeba, żeby to czuła. Trzeba, żeby się czuła nietylko własnością, ale i właścicielką; dusza za duszę!“ mówi Bukacki w chwili szczeroci.

Tego Połaniecki nie wie, nie rozumie. Myśli w najlepszej wierze, że jeżeli będzie dla żony dobry i będzie ją kochał, to wystarczy; ona *eo ipso* szczęśliwą być musi. To niedoświadczenie, ta pewność siebie czy zarozumiałość, to jest brak w uczuciu, z jakim Połaniecki zabiera się do stanu małżeńskiego. To z czasem stanie się powodem chmur groźnych, szczęściem nieszkodliwych, na horyzoncie jego małżeńskiego pożycia.

Ślub, bardzo ładnie opisany, potocznie i wesoło; a przez te powszednie szczegóły przebija szczerze wzruszenie Połanieckiego, i krok jego prawie bezwiedny jeszcze, ku religijnym uczuciom. Po ślubie wyjazd do Włoch, gdzie żadne z nich dotąd nie było, a Marynia gorąco być pragnęła.

III.

Po co te Włochy? czy będą poetyczne wrażenia z podróży? czy duet miłosny, naksztalt Romea i Julii? czy dysertacya o sztuce? Nie. Państwo Polanieccy nie bawią się w znawców i nie zwiedzają Włoch systematycznie z Murrayem w rękę. Swoją drogą mają oni zmysł piękności i sztuki, jak dowodzi śliczna rozmowa z Bukackim w Wenecyi przy śniadaniu. Kochają się też, i bardzo, i bardzo ładnie; ale nie gruchają, i poetycznych czułości sobie nie prawią. Ale choć tych pięknych rzeczy niema, to ta podróż będzie wiele znaczyła w ich życiu, znaczy wiele w powieści. Posuwa się dalej ten proces religijnego nawrócenia, który się rozpoczął po śmierci Litki, i szedł ciągle naprzód, choć nieznacznie; teraz zbliży się do pierwszego, jeszcze niezupełnego, rozwiązania. A równocześnie zaczyna się rysować wzajemny stosunek młodego małżeństwa. Wajdelota patrzy z góry na te rycerskie powieści, które się kończą, gdy się kochankowie pobrali. Tu podobnie powieść nie zamyka się ze ślubem, ale ze ślubu właśnie wysnuwa się jej dalszy wątek, coraz bardziej zajmujący, coraz bardziej zadziwiający głęboką i mądrą prawdą. „Walter kochał Aldonę“ — ale Aldona więcej kochała Waltera. Oto powód i sekret dalszych zawikłań. Wskazuje go naprzód Bukacki w rozmowie z malarzem Świrskim, która to doskonała i bardzo sympatyczna figura zjawia się po raz pierwszy przy owem śniadaniu w Wenecyi. „Polaniecki dobry człowiek; ale ona ma tyle rozumu, tyle charakteru, co on, tylko więcej kocha. Więc im się życie ułoży tak, że on będzie słońcem, będzie laskawie świecił, laskawie grzał, a ja będzie uważał za planetkę, która powinna kręcić się koło niego. On będzie miał ją, i resztę — ona jego, bez reszty. On się będzie pozwał kochać, uważając kochanie ze swojej strony jako swoją enotę, dobroć i łaskę; ona będzie kochała, uważając swoją miłość za szczęście i obowiązek. W małżeństwie zawsze tak: z jednej strony wyzysk, z drugiej ofiara.“ I dodaje Bukacki, że gniewa go ta pewność siebie, jaka jest

w Połanieckim. Dostrzega jej trafnie. Na niej to z czasem potknie się Połaniecki, i omal że całego swego szczęścia nie rozbije. Ale to jeszcze nie zaraz.

„Z jednej strony wyzysk, z drugiej ofiara — to *adagium* sceptyka sprawdza się na innej parze małżeńskiej, którą autor wyprowadza na scenę w Rzymie.

Pan Osnowski uważa miłość i poświęcenie za szczęście; pani Osnowska wyzyskuje bez litości. Myśli, że Pan Bóg na to stworzył Józia i dał mu duży majątek, żeby jej było wygodnie na świecie. Ma gadatliwość, którą bierze za rozum, potrzebę zmiany, którą bierze za wrażliwość, młodość, którą bierze za piękność. Że Józio jej nie wart, o tem nie wątpi na chwilę; że ona jego nie warta, to sobie przyzna chyba po latach i smutnych doświadczeniach. „Zimne serce, a ogni-sta głowa. Tuzinami zjada francuskie książki, uczy się z nich psychologii, dowiaduje się o temperamentach, szuka w sobie zagadek, których wcale niema, odnajduje aspiracye, o których wczoraj nic nie wiedziała; deprawuje się umysłowo i tę deprawacyę uważa za rozum, a męża lekceważy.“ Taki jej portret maluje słowami Świrski, kiedy skończył inny farbami na płótnie. Sam dzieli kobiety na dwie kategorye, „serc wdzięcznych i niewdzięcznych.“ Te ostatnie wyzyskują tylko miłość, i im bardziej są jej pewne, tem więcej ją lekceważą. „Rybak nie troszczy się o rybę, którą już ma w matni;“ więc i pani Osnowska nie troszczy się o Józia. Ale troszczy się o Połanieckiego, i choć jeszcze daleka od upadku, chciałyby na nim spróbować siły swoich uroków. Bez skutku! Zawcześnie kwiatku, zawcześnie! Przydzie czas, że te dwie strony „wyzyskujące“ w dwóch małżeńskich parach, staną się obie ofiarami swojego wyzyskiwania i gorzko je opłaczą. Ale i zwodzić i płakać będą każde osobno. Teraz wszystkie sztuki pani Osnowskiej zwycięża Marynia, nie wiedząc o niczem, samą swoją naturą, samą różnicą, jaka między niemi dwiema jest. Co ciekawe i niezmiernie prawdziwe, to, że Połaniecki, choć o panią Osnowską dba tyle, co o przeszłoro-czny śnieg, choć mu się ona bynajmniej nie podoba, ma sobie jednak za wielką zasługę, że jej ataki odparł, admiruje się

w tej zasłudze, i żałuje, że Marynia o niej wiedzieć nie będzie.

Zajęty on teraz czem innym. Odbywa się w nim przemiana, przejście z pojęć nieustalonych i płytkich do religijnych przekonań, a odbywa w sposób weale sympatyczny. Wogóle dość zarozumiały, w tych rzeczach on zarozumiały nie jest, a jest szczery; ma dobrą wiarę i dobrą wolę. Nie filozofuje, nie ma się za uczonego, nie dysputuje sam z sobą urywkami z przeczytanych książek, nie uważa niedowiarstwa za znak wyższości czy umysłu, czy charakteru. Nie wierzy po prostu — bo wielu rzeczy zrozumieć nie może, bo innych nie nauczył się lub zapomniał, bo mu utkwilo w głowie, co czytał, lub słyszał. Ale w tem niedowiarstwie niema nienawiści ani pychy; jest raczej instynkt uczucia i rozsądku, który niedowiarstwu nie dowierza. Już w Krzemieniu na mszy, której zapewne dawno nie widział, Polaniecki robi sobie uwagę, że „tyle różnych religij i filozofij dyabli wzięli, a msza zawsze się odprawia“. W cierpieniu po śmierci Litki, on się buntuje i w przyszłe życie uwierzyć nie może; a przecież ciągle wraca mu do głowy myśl, że jednak musi coś być w tem, co tak pociesza nieszczęśliwą panią Emilię. Marynia imponuje mu swoją pobożnością i wiarą prostą, tą „służbą Bożą,“ bez której nie rozumiałaby życia. Przy ślubie czuje, że obiecuje coś Bogu, i że się Jego prawu poddaje. Nie wierzy jeszcze, ale się do wiary zbliża, skłania, i nie ma tego głupiego fałszywego wstydu, żeby się temu pociągowi swojej duszy opierać. W Rzymie ludzie i rzeczy wpływają na niego silnie, dają mu do myślenia. Czy Marynia modli się po cichu, czy Świrski powie coś w Coliseum, czy krzyże nad miastem przypomną mu, że ono przez krzyż zwyciężone i odrodzone, wszystko działa na jego uczucie, i mówi, że wierzyć jest dobrze — na jego rozum, i mówi, że nie wierzyć jest głupio. Trzeźwy z natury, a z tej trzeźwości podobający się sobie samemu, robi obrachunek swoich powinności i praw, i dochodzi do wniosku, że obowiązki względem siebie samego, pełni porządnie, bo się ożenił, i pracuje, stara się być czemś. Obowiązki względem społeczeństwa pełni także, bo jest pożyte-

czny, ile może; a wie, że gdyby miał sposobność, zdobyłby się na więcej, na poświęcenie, bo czuje, że to społeczeństwo kocha. Ale Pan Bóg? Jak on stoi względem Pana Boga? Ściśle biorąc, on czuje, że Pan Bóg jest, a więc wierzy, że jest. Skoro tak, to powinien Mu służyć. Tylko sposób tej służby, tej czei, ten nie jest mu jasnym. I tu dopiero jako człowiek rzetelny i szczery, a zwłaszcza jako człowiek rozumny, dochodzi do następującego wniosku: „Czy ten sposób czei Boga, jakiby on sobie wymyślił, byłby lepszy i z myślą Boga zgodniejszy, niż ten, który jest? Z jednej strony tradycja tysięcy lat, życie Bóg wie ilu pokoleń, powaga Bóg wie ilu głów; a z drugiej strony ja, współnik domu komisyjnego pod firmą Bigiel i Połaniecki! I ja miałbym mieć pretensję, że wymyślę coś lepszego, w czym się Pan Bóg lepiej pomieści? Toż chyba musiałbym być durniem!“

Nawrócenie św. Pawła, Konfessye św. Augustyna są inne, niż to proste rozumowanie gospodarskiej głowy Połanieckiego. Ale jak elementa i powody jego niedowiarstwa są w naszym wieku, a przynajmniej w naszym kraju, bardzo częste i zwykłe, tak znowu droga jego nawrócenia jest tak prosta, tak jasna, tak dostępna, że powinnyby dać do myślenia i trafić do przekonania każdemu, kogo nie zaślepija pycha, lub nie unosi namiętność. Rozbierzmy to rozumowanie z jego formy bardzo prostej, z tego stylu prawie humorystycznego, podstawmy w to miejsce inną formę myślenia, inny styl, inną indywidualność jakakolwiek, a zostawmy tylko jądro rzeczy, to pytanie „po jednej stronie to wszystko, a po drugiej? Ja!!!“ Czy wszelki inny, byle rozumny i w dobrej wierze, nie odpowiedziałby sobie innemi słowami może, ale tak, jak Połaniecki: „Chybabym był durniem!“ Te różne ścieżki błędzenia i nawrócenia, po których chodzi Połaniecki, są wydeptane przez tysiące ludzi. Autor musiał ich tak widzieć, śledzić, przeglądać na wskroś do samego dna myśli i sumienia, kiedy tak na jednym przykładzie opisał co się w nich dzieje, dlaczego i jak kręcą się w kółko, błędzą, i wreszcie trafiają na dobrą drogę. Czy wielu trafi na nią tak łatwo i szczerze, jak Połaniecki? W każdym razie, naszym zda-

niem, ta powieść jest poniekąd doskonałym czytaniem duchownem.

Zupełne ustalenie dokonywa się na widok Papieża. Prześliczny jest ten obraz audyencyi, krótki, a tak wierny, że każdemu musi odnowić wrażenia, jakich sam doznawał. Ale nie sam tylko tłum wiernych i ich wzruszenie, nie sam Papież nawet, Namiestnik Chrystusa Pana — ten Papież nadto, Leon XIII, swoją osobą, wstrząsnął samą duszą Połanieckiego i sprowadził jakąś mgłę na jego oczy. „Nawpół ciało, a wpół zjawisko, duch wszczepiony w przeźroczą materję; pośrednie ogniwo między dwoma światami, ludzkie jeszcze, lecz już i nadludzkie, ziemskie dotąd, ale zarazem nadziemskie. I przez dziwną antytezę materya wydaje się w nim czemś widziadłowem, duch czemś realnem.“

Nigdy Leon XIII nie był tak opisany. Ten krótki ustęp powinienby być przetłumaczonym i jemu przeczytanym, bo z niczego nie poznałby tak dobrze wrażenia, jakie robi na ludzi swoim widokiem.

A Połaniecki pod tym wrażeniem? „Nigdy w życiu nie czuł się tak małym ziarnkiem piasku; ale zarazem ziarnkiem piasku, w którym bije wdzięczne serce dziecka.“

Tegosamego dnia, o zachodzie słońca, schodząc ze schodów od Trinita dei Monti, Połaniecki opowiadał Maryni, że u jego matki pacierz wieczorny odmawiał się wspólnie, razem, „i począł patrzeć pytającym wzrokiem w jej oczy.“ Chciał mówić pacierz. Sprawa była skończona.

Wśród tego wszystkiego umiera biedny Bukacki. Za wcześnie dla czytelnika, któremu żal będzie jego oryginalnych zabawnych paradoksów. Używał morfiny, znając jej skutki, i ludząc się, że go one nie obchodzą; a gdy przyszły, przekonał się inaczej. Kończy smutno, i kończy niezgodnie z rolą, jaką odgrywał przez całe życie. On, który się oburzał na Maszkę, że nie jest „zupełną szuja“, na społeczeństwo, w którym nikomu wierzyć nie można, skoro i w Maszce można się doskrobać idealisty, jak gdzieindziej Tatara, zaprzeczył sam sobie, i dowiódł, że jego sceptycyzmowi także ufać nie można. Teskni za Warszawą; chciałby tam wrócić

i umrzeć. Wyrzuca sobie, że życie przeproźnował i zmarnował. Nie wie, czy na tamtym świecie będzie zdawał jaki rachunek, ale jeżeli tak, to za takie życie „weźmie baty.“ Chciałby naprawić; zapisuje majątek na jakiś dobry cel, który oznaczył ma Połaniecki z Bigielem. Potem już „batów nie weźmie,“ przynajmniej niewiele; a zamiast tej nirwany, o której fanfaronował, znajdzie prawdziwy „wieczny odpoczynek.“ Biedny Bukacki! Szkoda go, że tak żył; a żal, że nie żył dość, by do Warszawy wrócić i zrobić sam przez się to, co w końcu umyślił.

Potem już powrót do Warszawy, a w Warszawie nowe figury i stosunki, z których wysnuje się wątek na trzeci tom powieści. Pod niebytność współnika, Bigiel przyjął do biura pana Zawilowskiego. „Jakto? tego poetę? pyta Połaniecki nie bez zdziwienia. Poeci bywają zwykle w powieściach nieznośni. Noszą swoją wyższość i poezję, jak monstrancję; są zawsze w natchnieniu, gadają frazesami, które mają być poetyczne; a to wszystko nie zdaje się na nic, bo czytelnik nie wierzy w tę całą poezję. „Gdybyś ty był poetą na prawdę — mówi do niego — tobym ja o tobie wiedział i znałbym twoje natchnienia.“ Że zaś tych natchnień poeta ma oczywiście tylko tyle i tylko takie, ile ich ma i jakie w jego głowę autor włożyć może, więc dzieje się najczęściej, że poeta robi wrażenie smutnego a napuszonego konkurenta do Muzy, z którym Muza obchodzi się niełaskawie. Zawilowski jest inny — bo i Sienkiewicz jest inny, jak jego koledzy. Zawilowski nie jest nigdy natchniony, ani liryczny. Ma szlachetną naturę i dobry smak; przez to ma wstręt do całej zewnętrznej dekoracji poety. Jeżeli udaje, to pilnego i praktycznego urzędnika. Jest przytem rozumny, więc ma wstręt do oklepanych komplementów. Jest i dumny i nieśmiały, więc nie lubi o swojej poezji mówić, i nie lubi, żeby mu o niej mówiono. Na takiego poetę zgoda. Być może, że gdyby Sienkiewicz napisał jakie wiersze za Zawilowskiego, to uwierzyłyby się nawet w Zawilowskiego talent. Ale jest tak ostrożny, że tego nie robi, że o geniuszu swego bohatera nie mówi, że się nie unosi nad jego natchnieniami — a przez to osiąga ten skutek, że

czytelnik godzi się z tą poezją, której nie widzi, przypuszcza, że ona może być prawdziwą, a poetę samego lubi.

Z Zawilowskim przyjaźń zawiązuje się łatwo, a jemu pani Połaniecka tak się podoba, że ta admiracya może stać się poetycznem natchnieniem i czemś więcej jeszcze. Ale jego zła gwiazda sprawiła, że natchnienie, i coś więcej, skierowały się w inną stronę.

Tą złą gwiazdą była pani Osnowska. Wróciła i ona z Włoch, z Józiem, i z głową pełną artystycznych wrażeń i aspiracyj. Myśli i marzy o sztuce. Chce urządzać w ogrodzie wieczory ateńskie, czy florenckie, o artystycznych i poetycznych rozmowach, i takichże interlokutorach. *Corteggiano* Castiglione? raczej *Decamerone* Boccaccia marzy się po głowie pani Osnowskiej. W każdym razie młody poeta, to bardzo pożądana ozdoba takich wieczorów; i pani Osnowska nie będzie miała spokoju, dopóki nie pozna Zawilowskiego. Będzie on zupełnie w harmonii z jej zwykłym otoczeniem, bo wszak ma w domu swoją krewną, pannę Castelli, artystkę, pełną poetyckich aspiracyj. Malarka i poeta! co za materyał na artystyczne wieczory! Czy pani Osnowskiej tylko o to chodzi? W kółku jej przyjaciół kręci się pan Kopowski, który jest wprawdzie bardzo głupi, ale za to piękny, jak Antinous. Pani Osnowska kiedyś, przed ślubem, miała do niego wielki affekt, tylko jej ojciec wyjść za niego nie pozwolił. Wyszła za Józia. Ale dawna miłość nie rdzewieje, i piękny młodzieniec podoba się jej zawsze. A tymczasem panna Castelli jest także bardzo piękna; a tymczasem ciocia Broniczowa niespokojnie pragnie wydać siostrzenicę za męż. Bezpieczniej byłoby tę piękną parę rozdzielić. Ale jak? Eureka! Myśl genialna! rozkochać poetę w malarce, i wydać malarkę za poetę! Ten plan opanował całą głowę pani Osnowskiej; a że miał wszelkie pozory dobrego planu, więc dobrodusznie pomaga do niego nawet poczciwa Marynia Połaniecka.

Ludzie nieznośni mają ten przywilej, że w komedyaeh i w powieściach są zabawni. Nikt nie potrafiłby wytrzymać z Zrzędą naprzykład, albo z Przekorą, albo z Szambelanem Jowialskim, albo nawet z jego nieocenioną żoną. Podobnie

gdyby kto w rzeczywistości miał przebyć tylko trzy tygodnie z panią Broniczową, słuchać o Teodorze, ostatnim z Rurykowiczów, o Wiktorze Hugo i Napoleonie, o Colimação i o Kanafaropulos, po trzech tygodniach zabiłby ją ze złości, albo siebie z nudów. A w powieści pani Broniczowa jest jedną z figur najzabawniejszych, jakie spotkać można. Nie jest po prostu komiczna, jak Papkin, albo Falstaff, bo jest szkodliwa, ludzie przez nią cierpią; ale te gorsze strony jej natury robią z niej postać głęboką, kiedy pozory i zwyczaje utrzymują ją do końca w tym kolorze komicznym.

Jaka ona jest? W tej orkiestrze udawania, złożonej z wielu figur powieści, ona trzyma pierwsze skrzypce. Wszyscy inni udają tylko jedną rzecz, i udają w jakimś celu. Ona udaje wszystko, i udaje bez świadomego celu — sztuka dla sztuki! Wszyscy inni udają, ale nie kłamią. Ona kłamie jak najęta; kłamie bez potrzeby, bez powodu, nie pyta czy jej ludzie mogą wierzyć, albo nie; kłamie tak, jak kwiaty kwitną i pachną, bo musi. Prawda jest w niej tylko jedna, a i ta obwinęta grubo w bawełnę udawania i komedyi: to przywiązanie do panny Castelli. Zresztą wszystko jest udawane, odgrywane. Fałszywa wyobraźnia i poetyczność, fałszywa czułość serca i dobroć, fałszywa exaltacya, fałszywa nawet pobożność. Wszystko co robi, jest na pobożnem smaku, wszystko z natchnienia ś. p. Teodora i Pana Boga; ale ta cała pobożność nie przeszkadza jej przebaczać wzniosłe krzywd ciężkich, jakie drugim zadała, i podziwiać się w tej wniosłości i enocie. Czy pani Broniczowa jest obłudną świadomie, jak Tartuffe? Niezupełnie. Ona tą rolę, jaką odgrywa, nie oszukiwała może drugich, ale siebie oszukiwała doskonale; wkłamała się w siebie tak, że częściej sobie wierzy, niż nie wierzy. Kiedy opowiada o zachwytach panny Castelli na Stromboli, gdzie nigdy nie była, może ma świadomość swojej fantazyi, tak, jak ją miał Książę „Panie Kochanku,” kiedy opowiadał o swojej służbie w kuchni pana Gałęckiego, i o swoim ożenieniu z Syreną. Ale o błogosławieństwach Wiktora Hugo, o konkurach pana Colimação, powtarzała tyle razy, że w końcu już może jej się zdaje, że to było na prawdę. W swoje uda-

wania zaś, w swoją rolę, wierzy, i ma się za taką, jaką przed sobą udaje. Nawet to, co najgorsze, co i występne i nieszczemne, to oskarżenie Zawilowskiego, że podstępnie zmusił ją i *Niteczkę* do przyrzeczenia, i to bezczelne przebaczenie, jakie mu przesyła, nawet to nie jest zupełnie nieszczerem. Sumienie zapewne odzywa się cichym głosem i upomina; ale pani Broniczowa przywykła zdawna trzymać krótko swoje sumienie, i lepiej od niego wie, co prawda, a co nie. Ona ma taką wprawę i biegłość w udawaniu i w kłamstwie, że zdołała w siebie wkłamać nawet winę Zawilowskiego, a swoją niewinność, krzywdę, prawo do przebaczenia, i wzniosłość.

Cóż więc jest istotną treścią tej natury?

Próżność — jak u Maszki, jak u pani Osnowskiej, jak u wielu, tylko próżność osobnego rodzaju i kształtu. Ta próżność nie ma jednego głównego przedmiotu i celu, ale rozciąga się na wszystkie. Pani Broniczowa za młodu chciała, żeby wszyscy się w niej kochali; zawsze chce być rozumną, chce być wrażliwą, chce być wykształconą, chce być wyjątkowo uczuciową i dobrą, chce być bardzo wykwintną; jednym słowem chce być ideałem, i po części osiąga swój cel, bo jest ideałem dla siebie. Podoba się sobie do zakochania. W tym harmonijnym akkordzie próżności nutą dominującą jest przeciw *wielkoświatowości*. Pani Broniczowa jest z największego świata! Jak go pojmuje, w czym go widzi, na czym go zasadza? Na jedwabnych szkarpetkach, na pięknych torbach podróżnych, które w jej języku nazywają się notabene *sakwojaż*, na wstępie do ludzi bez tytułów, jak Bigiel i jemu podobni. Wielki świat w gatunku trochę gorszym, bliższy *Telimeny Mickiewicza*, niż *Celimeny Moliera*, ale wystarczający do własnego użytku, do szczęścia pani Broniczowej. Ma zaś ten talent szczęśliwy, że umie wmówić w siebie nietylko to, czego nie było, ale i to, czego nie będzie, a czego ona sobie życzy. Stary Zawilowski mógłby zapisać co ubogiemu Ignasiowi? Zapewne; mógłby, i może nawet zechce. Ale z tego urasta już i rozgłasza się pewność, że on zrobi ordynację na Ignasia, że to stanowczo i święcie obiecał.

Czy taka wszechstronność próżności i taka mieszanina świadomej i nieświadomej komedyi, jest możliwa? Jednej, takiej samej pani Broniczowej, oczywiście niema na świecie, jak niema takiego samego Płoszowskiego. Ale różne elementa tej próżności i tej komedyi, w różnych połączeniach, spotykają się nie rzadko. Jedna pani miała dziecko bardzo chore. Kochała je najszczerzej; pielegnowała z największym poświęceniem. A jednak mówiła, że „Pan Bóg łaskaw, zesłał jej tak rzadką, tak szczególną chorobę.“ Ta rzadkość pochlebiała jej miłości własnej; Pan Bóg ją wyszczególnił taką chorobą. Gdyby panna Castelli, broń Boże, dostała katalepsyi, pani Broniczowa z pewnością mówiłaby taksamo.

Dlaczego taka osoba decyduje się wydać siostrzenicę za ubogiego i mało światowego Zawilowskiego? Bo jej to pochlebia. Sława młodego poety głaszcze jej próżność. Jego poezya głaszcze jej mniemane artystyczne instynkta i aspiracye; jak to będzie pięknie czytać jego wiersze *avant la lettre*, sądzić je, rozmawiać z nim o poezyi i sztuce! Jej wzniosłość znajduje w tem także coś dla siebie. Połączyć dwa serca kochające! Nie dbać o marną mamonę! Szczęście ukochanej Niteczki zasadać na miłości! To godne jedyne go wybranego serca pani Bronicowej! A dlaczego z Zawilowskim tak skwapliwie zerwała? Bo w testamencie starego Zawilowskiego nie było nic o młodym; a tego przewidzieć nie mogła, że panna Helena odda mu cały majątek darowizną. Przytem sławny poeta, uroczy w swojej sławie zdaleka, od chwili, jak się stał rzeczywistością, codziennym widokiem, spowszedniał, stracił na wartości, nie był zupełnie z jej towarzystwa, choć włożył jedwabne szkarpetki i białe flanelowe ubranie. Kopowski był, według pojęć pani Broniczowej, daleko bardziej estetyczny i *dystygowany*.

Panna Castelli jest od swojej ciotki lepsza; wstydzi się czasem jej improwizacyi, a obłudna nie jest, owszem ma raczej naturę prawą. Ale nie bardzo mądra, a wychowana w tej niezdrowej atmosferze, dość bierna przytem, sama nie jest pewna tego, co myśli i czego chce. Ma i ona swoją próżność, i sława poety działała na tę próżność; jego miłość wzruszyła

cokolwiek i serce. Tyle się zaś nasłuchiwała o nim, o sobie, i o tem, że są dla siebie stworzeni, że się rozmarzyła i przez jakiś czas myślała, że kocha nawzajem. Ale piękny Kopowski podobał się jej zawsze więcej, choć jego upokarzająca głupota nie pozwalała jej przyznać tego odrazu. To jest w krótkich słowach historia czy tajemnica jej zaręczyn i ich zerwania, które zresztą, trzeba powiedzieć na jej pochwałę, zostawiło po sobie szczerze wyrzuty sumienia.

Ta charakterystyka, którą tu usiłowaliśmy streścić, w powieści rozsypana jest w słowach — i jak świetnych — Świrskiego, Maszki, Połanieckiego, nawet najpocześniejszego Józia Osnowskiego, a zwłaszcza w słowach autora i samej pani Broniczowej. To streszczenie wygląda przy nich tak, jak litografia przy olejnym obrazie.

Połaniecki wrócił z Włoch uszczęśliwiony; dobrze mu, jak w raj! A zwłaszcza tak mu wygodnie! Marynia przyjmuje uczucie, jakie on dla niej ma i więcej nie żąda. „Nie chce być jego wyłącznem bożyszczem, nie wymaga całej jego duszy, rozumu, istoty, dla siebie,“ i za to on ją tak kocha. Napróżno pani Bigielowa swoim rozsądkiem i doświadczeniem ostrzega, że „wszystkie są równo wymagające, tylko z początku biorą za całość tę część, którą dostają. A gdy się spostrzegą, że to tylko częśćka, to zdodrywają się, te, co mają poczciwość w sercu, na rezygnację, która się staje podstawą ich życia.“ Połaniecki nie rozumie tego, jak przed ślubem nie rozumiał przestrogi Bukackiego: „Niedość wziąć, trzeba się i oddać.“ Zaczyna się ten powszechny, a niewidzialny dramat małżeńskiego pożycia, który kończy się czasem błogiem uspokojeniem i wyższem szczęściem, czasem rezygnacją żony, czasem nieszczęściem męża, ale który prawie nigdy nie da się uniknąć, gdy rzeczywistość chwyci miłość w swoją twardą rękę.

Mąż myśli, że się już dość wystarał przed ślubem, i więcej starać się nie potrzebuje. Żona myśli, że to staranie nie skończy się nigdy, bo ma je może nie za istotę, ale za konieczną formę miłości. Brak tej formy, tej przyprawy, tej ozdoby, oznacza dla niej brak, a przynajmniej ubytek miło-

ści. Mąż nie rozumie, że jej to potrzebne; a choć zrozumie albo się dowie, to najczęściej przez lenistwo, przez wygodność, nie zada sobie pracy, żeby sypać choć trochę tych kwiatów na codzienne życie. Jeżeli rozumie to przynajmniej, że powinien utrzymywać, a jeszcze lepiej podnosić w niej miłość rzeczywistymi przymiotami, to może i jej i sobie zapewnić szczęście, pomimo, że nie daje tych kwiatów; ale i w takim razie ich brak bywa zwykle pierwszym rozczarowaniem dla żony, a bywa nieraz pierwszym powodem nieszcześć późniejszych. To jest nawet różnica główna pomiędzy mężem a... tym drugim, i wyższość tego drugiego, że on stara się zawsze — dopóki się nie znudzi — i zawsze sypie kwiaty. Gdyby był mężem, byłby tak leniwy i niedbały, jak ten, który jest. Dlatego w tych razach, kiedy on rolę męża przyjmuje, w razach wykradzenia, zdobywca staje się tak prozaicznym, tak nudnym, jak pierwszy lepszy mąż — i takie wyprawy mają wszystkie złe strony małżeństwa, bez jego stron dobrych. Może to nie wyłącznie męzowska, tylko ogólnie męska natura? Co bardzo prawdopodobne, to że Romeo, gdyby się nie był otrął tak pośpiesznie, nie byłby zawsze przemawiał tak ładnie, jak pod balkonem. A Julia? co byłaby zrobiła Julia, gdyby się była spotkała z rozczarowaniem, nie mówię już prawdziwym ale tylko urojonem?

Ten tedy stosunek, ta nieuwaga, czy niedbałość, czy egoizm męża, i te pierwsze rozczarowania młodej żony, wprowadzone są w powieść, i stanowią jej wielką zaletę i ozdobę, bo dostrzeżone są wzrokiem niezmiernie przenikliwym, a przedstawione i ocenione z głębokim rozumem, doświadczeniem i prawdą.

Połaniecki ma się za doskonałego męża. Żonę kocha, jest dla niej dobry; czegoż więcej potrzeba? Nie śpiewa serenad pod jej balkonem, to prawda; ale tego nie robi żaden, i żadna tego żądać nie może. Nie mówi z nią o swoich interesach, to także prawda; ale to rzecz naturalna, bo naprzód ona się na tem nie rozumie, a potem to do niego tylko należy i od niego zależy. Czy żonie nie byłoby miło, gdyby ją więcej przypuszczał do tego, co myśli, zamierza i robi? tego

pytania on sobie nigdy nie zadał. Czy w jej sereu nie kryją się jakie potrzeby, pragnienia? Jakieżby? Przecież ma jego, przywiązanego i dobrego, czegoż jej więcej może być potrzeba do szczęścia? Czy ona ma rozum, wdzięk, który ją stawia nad inne kobiety, przynajmniej w jego oczach? Naturalnie, że ma; inaczej nie byłby się z nią ożenił; rzecz skończona, niema o czem mówić. Czy ona przypadkiem nie robi dla niego więcej, niż on dla niej? nie ustępuje za wiele, nie poświęca się choćby w małych rzeczach? Cóż znowu? ustępować sobie wzajemnie mąż i żona muszą zawsze, a na poświęcenia nigdy jej przecie nie wystawiał. Zresztą o cóż chodzi? on wie, że Marynia jest lepsza i miłsza od wszystkich, jakie zna, że jej można wierzyć ślepo, że się nie zepsuje nigdy, a zawsze tak uczuje i tak postąpi, jak można najlepiej. Tak on ją sądzi, ceni, i za to ją kocha. To, co w niej dobre, to on widzi, uznaje; ale się temu nie dziwi. Doskonałość, wzniosłość, enota najwszechstronniejsza i najwyższa to rzecz naturalna. „Marynia, to Marynia“ — ma to wrodzone. A potem Marynia, to *jego* żona, więc prosta rzecz, że doskonałą jest; taką być powinna, inną być nie może. Miłość, poświęcenie, doskonałość, wdzięk, to wszystko jego prawo, to się jemu należy. Ma to, i jest bardzo kontent, że ma; ale nie widzi powodu, dlaczego miałby się dziwić, albo szczególnie podziwiać, albo się bać by nie stracił, albo robić protestacye wdzięczności, miłości, uwielbienia.

A tymczasem Marynia widzi, że od powrotu z Włoch wszystko jest jakoś inaczej, niż było. Nic się nie stało, nic nie zaszło, nic się nie popsulo; a jednak nie jest już tak, jak było, czegoś brak. Marynia widzi, że Józio Osnowski patrzy w Anetkę, jak w cudowny obraz; jej mąż w nią tak nie patrzy. Marynia widzi, że Bigiel rozmawia z panią Bigielową o wszystkich interesach; jej mąż tego nie robi. Marynia widzi, że inni patrzą na nią z wyraźnem i szczerem podziwieniem, zachwycają się wszystkim, co ona powie, lub zrobi; czemuż w oczach męża nie widzi nigdy podobnego zdziwienia i zachwyty? On jest dobry, bardzo dobry; ale czasem przemówi tonem zniecierpliwionym, prawie szorstkim. Nie!

Darmo! nie jest tak, jak było; i biedna Marynia kiedy o tem rozmyśla, kiedy łamie sobie głowę nad pytaniem, co się stało i dlaczego, dochodzi tylko do jednej odpowiedzi: mąż jej nie kocha tak, jak kochał z początku! A dalej? Co będzie dalej? Teraz nie jest tak, jak było; z czasem może być gorzej i coraz gorzej. Gdzież szczęście, gdzie miłość, gdzie się to wszystko podziało.

Szczęście się nie rozbiło. Tylko ten jego stan idealny, który trwa, jak długo jedno przez drugie jeszcze nie cierpiało, ta wiara, że jedno przez drugie cierpieć nie może i nigdy nie będzie, ten się dla biednej Maryni skończył. A jeżeli wróci, to będzie jej rozum, jej cnota, jej zasługa.

Marynia się dręczy; nie skarży, nie zwierza przed nikim. Drogę swoją znajduje instynktem i znajduje najlepszą. „Nie jest już, jak było; może być gorzej, niż jest. Co robić? co postanowić na przyszłość?“ Marynia znajduje wskazówkę w piśmie, które jej matka zostawiła na pamiątkę: „W małżeństwie nie trzeba szukać szczęścia, tylko służby Bożej i obowiązku.“ Tak! smutna prawda, ale prawda. A więc odważne postanowienie i przyrzeczenie, żeby zawsze i bądź co bądź być dobrą, jak najlepszą, żeby męża kochać, żeby o sobie nie myśleć, tylko o nim. To program życia, szary, daleki od uroczych blasków przedślubnych nadziei, ale odważny i dobry. Tak dobry, że rozjaśni życie wszystkimi blaskami, które zdają się zgąsłe; ale tego Marynia teraz nie wie, i bierze postanowienie bez rachunku i bez illuzji. Biedna młoda mężatka nabrała doświadczenia, dojrzała. Jedną jej przecie została naiwność, skutek jej wielkiej dobroci i tego zupełnego braku egoizmu, który jest tłem jej natury -- naiwność szczęśliwa, skoro ona ratuje i przywraca szczęście zupełnie. Marynia po długiej i smutnej rozwadze dochodzi do wniosku, że ona wszystkiemu winna! Jeżeli mąż nie kocha jej, jak dawniej, to jej wina. Gdyby wtedy kiedy on wracał żalujący i pokorny, była poszła za popędem serca i szczerze podała mu rękę, jego miłość byłaby została w swoim nietkniętym pierwszym uroczym stanie. Ale ona wolała być godną, wolała przez urazę, przez miłość własną, udawać obojętną —

i ma, na co zasłużyła. Tamta miłość prysła; zostało to uczucie, które mąż dla niej ma, ale które takim, jak tamto, już być nie może! Tembardziej powinna starać się naprawić nagrodzić co temu biednemu mężowi złego zrobiła!

Marynia się ludzi w sposób najnaiwniejszy; robi najfalszywszy rachunek sumienia. Ale najprzebieglejsza dyplomacya nie posłużyłaby jej w tym razie tak dobrze, jak ta naiwna pomyłka. Gdyby Marynia dała poznać mężowi, że uważa w nim jakąś zmianę, gdyby chodziła po domu smutna, wdychająca, a dopiero gdyby się skarżyła i robiła wyrzuty, mogłaby się zgubić bez ratunku. Ona nie z rozumowania, tylko z instynktu swojej wielkiej dobroci, o nie nie pyta, nie upomina się, tłumi w sobie zmartwienie i obawę, a udaje wesołą; i to sprawia, że mąż nie dostrzegł w niej żadnej myśli o sobie samej, że nie sprawiła mu jednej chwili nie milej, że im więcej widzi w niej dobroci i słodyczy, tem więcej sobie robi gorzkich wyrzutów. Ona idzie w górę; on nie wart ani na nią spojrzeć. Z tego porównania powstaje z czasem to uwielbienie rzewne, wdzięczne i zupełne, to unoszenie i rozplywanie się, którego brak bolał Marynię przez pewien czas, a które już ma zapewnione, zdobyte na całe życie.

Nie rzadszego, a zapewne i trudniejszego w poezyi i w romansie, jak ludzie tacy jak być powinni. Albo są ideały tak poetyczne, że raczej mary doskonałości, niż jej typy, albo pedanci tak nieznośni, że przez nich możnaby zniechęcić cnotę. Marynia jest jedną z tych rzadkich postaci, które w zwyczajnem życiu i z naturą niezwyczajnie dobrą, mają i swoją indywidualność wyraźną i prostotę. Ona jest taka panna, czy taka młoda mężatka, jak być powinna. Nie jest ani idealną marą, ani pedantką, tylko myśli, czuje, mówi i robi to, co w swoim położeniu najlepszego może czuć, myśleć, mówić i robić. A zawsze wszystko po prostu. Nigdy frazesu, nigdy wysokiego partesu. Między wielbicielami Sienkiewicza zdania są podzielone co do jego postaci niewieści. Jedni utrzymują, że w ogóle niższe są od męskich; drudzy zachwycają się nad Oleńką z *Potopu*, albo nad Basią z *Wo-*

Łodyjowskięgo. Helena Skrzetuska ma mniej powodzenia w świecie od tamtych. Co do nas, powiedzieliśmy już w swoim czasie, co o tych heroinach myślimy. Teraz nie zamierzamy ich porównywać, ani dochodzić, która lepsza; *de gustibus non est disputandum*. To tylko jedno powiemy, że musi być rzecz nierównie łatwiejsza postawić heroinę w sytuacji niezwykłej, efektownej i dać jej jakiś postęp heroiczny, lub słowo, które estetycy z początków naszego wieku nazwaliby *szczytnem*, niż w okolicznościach zupełnie zwyczajnych nadać indywidualność wyraźną i sympatyczny wdzięk istocie, która nie ma ani wielkich nieszczęść, ani wielkich namiętności, ani przejść dramatycznych. Dlatego między kobiecimi postaciami Sienkiewicza, Marynia ma prawo do jednego z miejsc najpierwszych. Nasze zaś osobiste zdanie, które zresztą nikogo nie obchodzi, jest dla niej jeszcze korzystniejsze, i gdybyśmy mieli być Parysem w tym sądzie, bez wahania uznałibyśmy Marynię za najpiękniejszą. Ona jest bardzo żyjąca, bardzo rzeczywista, a przytem idealnie porządna panna i mężatka, taka, jak być powinna. Czy w Krzemieniu pracuje za starego egoistę Pławickiego i zasłania jego egoizm, czy czuje, żywo przykre obejście się Połanieckiego, czy go kocha, czy nie nawracając go widocznie swoim wpływem i przykładem pociąga go do swojej „służby Bożej“ — czy później cierpi, a swoje cierpienia tłumi, Marynia mówi i działa zawsze, jak osoba wielkiego charakteru i jak osoba bardzo rozumna; tylko sama nie wie, ile trzeba rozumu i charakteru na to, by się zachowywać tak, jak ona. Jest przytem dobrze wychowana, ma dobry smak; we wszystkim, co mówi, i w jej sposobie mówienia, nie odezwie się prawie nigdy żaden ton fałszywy. *Prawie, a nie zupełnie* nigdy, bo raz, kiedy w jakiejś sprzeczce z narzeczonym, nazywa go *brzydkim grymasnikiem*, Marynia wpada w umizg niesmaczny, w to mizdrzące się droczenie, czy droczące się mizdrzenie, które tak lubią bohaterki zwykłych polskich powieści. Od swego męża ma naturę wykwintniejszą, cieńszą; a rozumu nie do spraw finansowych, ale do spraw życia, ma także więcej od niego. On jest bardzo dobry materyał, z którego wpływ takiej jak ona kobiety,

może zrobić doskonałego człowieka; ona jego wpływu nie potrzebuje, jest wyrobiona i dojrzała bardziej, niż on. Ma ten statek, tę równowagę, tę zgodność sumienia z postępowaniem, do której on czasem dopiero i nie bez zbroczeń dochodzić musi; ma ten moralny środek ciężkości którego jemu brak; i ma, choć on bardzoby się na to zdziwił, a może obruszył, więcej woli i tęgości, niż on. Trzeba się spodziewać, że ich syn połączy przymioty obojga rodziców, a wtedy może być człowiekiem bardzo niepospolitym. Ale Marynia jest w najzwyczajniejszych pozorach istotą bardzo niepospolitą, prawdziwie wyższą. A że jest taką bezwiednie, że jest od początku do końca prosta, że jest przy tem bardzo żywa i rzeczywista, więc należy, zdaniem naszym, do najszcześniejszych kobiecych postaci i do najrzęczniejszych przezwyjęzonych trudności, jakie znamy w powieści, i nie tylko polskiej. Jak często w powieściach, nawet bardzo pięknych, te bohaterki porządne, te takie jak być powinny, są nieznaczące, zatarte, nudne! Stają za niejaką wymówką tym mężom, którym się sprzykrzyły. Polaniecki kiedy zaniedbuje Marynię, nie ma wymówki żadnej.

Te jego grzechy, a następnie żal za grzechy i poprawa, stanowią treść główną tomu trzeciego, najdłuższego ze wszystkich i najbardziej zajmującego.

IV.

Marynia spostrzega się, że ma zostać matką. Słyszała zawsze, że taka nadzieja, to nowy węzeł między młodem małżeństwem, nowy przybytek miłości. Wiedziała, że jej mąż w szczególności przepadał zawsze za dziećmi, i o swoich marzył jeszcze, kiedy był kawalerem. Liczy więc dość śmiało na zmianę w jego usposobieniu, na nowe rozgorzenie tej miłości, która zdaje się przygasać. I w tem ma zawód! Polaniecki ucieszył się bardzo na dziecko; ale ona widzi ze smutkiem, że o tem dziecku myśli więcej, niż o niej. Ona jest konieczna na to, żeby ono być mogło; ale jest w jego myśli

i sercu środkiem, nie celem! Prawie ma żal do tego spodziewanego dziecka, prawie jest o nie zazdrosna. Biedna młoda mężatka tak szybko po ślubie przechodzi przez ciężkie rozczarowania i doświadczenia; i na niej sprawdza się ta filozofia pani Bigielowej, która uczy, że dla kobiet podstawą życia i szczęścia jest rezygnacja! Jeżeli się tak nie stało, to właśnie i jedynie może skutkiem tego, że Marynia w tych swoich zmartwieniach zdobyła się na rezygnację. Jej mąż ma słuszość! Od tej chwili nie oni dwoje już, ale dziecko ma być celem. A więc czegoż ona od niego chce? co może mieć mu za złe? Książeczka matki przypomina, że małżeństwo to obowiązek i służba Boża, a szczęście w niem, to tylko przydatek. Takie jest życie, takie prawo życia, i źle robi, kto mu się poddać nie chce. A więc nie szarpać się i nie buntować, nie martwić siebie, a tem mniej męża; nie skarżyć się przed Bogiem i nie szturmować do niego gwałtownie namiętnymi prośbami. Nie nudzić! Nie nudzić ani Pana Boga, ani męża! nie mieć się za nieszczęśliwą, a więcej szczęścia przyjąć wdzięcznie, jeżeli przyjdzie, ale nie uważać go za konieczność, ani za swoje prawo.

I mądra, cnotliwa Marynia, stoczywszy z sobą tę walkę, która nie była ani krótka, ani łatwa, doszła do spokoju, wróciła nawet do wesołości szczerzej, prawdziwej. Mężowi nie dała poznać nic, on nie domyślił się, co przebywała. Kto wie, czy nie to właśnie, zważywszy grubszą naturę mężczyzny, a w szczególności naturę Połanieckiego, czy nie to ułatwiło późniejsze i zupełne zwycięstwo Maryni.

Im bardziej ona idzie w górę, tem niżej spada jej mąż. Zaczyna się ta głęboka psychologiczna prawda i moralna nauka, która mówi, że człowiek najporządniejszy i najrzetelniej porządny, jeżeli na sobie tylko polega, sam jest jedynym fundamentem swojej zgodności z sobą i wartości, może łatwo na sobie się zawieść, i runąć z wysokości swojego rozumienia o sobie, ze wszystkimi swojemi przekonaniami, zasadami i wytkniętymi programami życia.

Połaniecki mówi sobie dumnie, jak ojciec w wierszu Schillera: *Fest wie der Erde Grund steht mir des Hauses*

Pracht. Majątek zrobił weale znaczny, ma doskonałą żonę, dla której jest dobrym mężem, niebawem będzie ojcem, a od swego pobytu w Rzymie już nawet z Panem Bogiem w zupełnym porządku. Czegóż mu brak? czegooby było potrzeba? „Miał się za lepszego majstra od innych. Budowa skończona od góry do dołu. Tylko wejść, zamieszkać i wypoczywać“.

„Zapomniał, że dusza ludzka, jak ptak, gdy wzbije się na pewną wysokość, nie tylko niewolno jej spocząć, ale musi tego skrzydłami pracować, by się na niej utrzymać. Inaczej pierwsza lepsza pokusa przyciągnie ją do ziemi“.

Trzeba sobie przypomnieć, że autor od początku daje nam Polanieckiego za naturę dobrą, uczciwą, ale cokolwiek grubą. Bez tego przypomnienia, i rodzaj jego pokusy, i jej czas, mogłyby wydać się cokolwiek dziwnymi. Człowiek, który bez najmniejszego uczucia w sercu, bez najmniejszego nawet zawrotu głowy, z najpospolitszego tylko i najniższego zachcenia, schodzi na drogę sprzeniewierzenia: który to robi w pół roku po ślubie, jest poniekąd zbliżony i podobny do człowieka pierwotnego, który myśli i rozumuje mało, a instynkta i wrażenia ma bardzo silne. Polaniecki, jest i rozumny, i myślący, i cywilizowany, ale jego natura nie jest jeszcze na wskrós uszlachetniona. Czy gorszy i winniejszy od wielu? Nie jeden mąż zrobiłby to, co on, tylko po dłuższym czasie i wyrozumowałby sobie sofistycznie, że nie robi nic złego, a przynajmniej nie bardzo złego. On jest rzetelny; nie oszukuje sam siebie. Walczy z sobą szczerze, uczciwie; wie, że ma myśli złe. Ale one są silniejsze od niego, tak, jak w niejednej naturze pierwotnej pociąg do kieliszka wódki będzie w pewnej chwili silniejszy od rozsądku, sumienia i woli. Wypił; ale wytrzymał się zaraz — i wtedy tak dobrze zrozumiał co zrobił, tak się zbrzydził do samego siebie, że żaden sofizmat, ani wykręt złudzić go nie mógł; i ze skruszonym sercem odprysnął się od wódki — i tym razem dotrzymał już na zawsze.

Pani Maszkowa nie podobała mu się nigdy, była mu owszem antypatyczna w konwencyjonalnej nicości swego umysłu, a bierności swego charakteru. A jednak pani Maszkowa działała na niego. Jakto? ta zielona, z czerwonymi oczami

i białemi pryszczami, „ku większej paradzie razem i ozdobie“? Ta, co mówi *Meme*, zamiast *Mama* Autor wprowadzić powtarza kilka razy, że po ślubie pani Maszkowa wyładniała, białe wyrzuty zeszły, a czerwone oczy odezzerwieniały; ale niema rady, czytelnik widzi ją już zawsze taką, jaką mu zaprezentowano po raz pierwszy, i choć zna przysłowie: *des goûts et des couleurs*, dziwi się gustowi Polanieckiego. Dziwi się więcej, że ten młody mąż uczciwy i kochający żonę na prawdę, może się zapomnieć tak prędko. Gdyby choć kilka lat po ślubie, łatwiej byłoby uwierzyć i wytłómaczyć: ale tak zaraz... Tłómaczeniem jest, jak sądzimy, natura trochę gruba Polanieckiego, a przy tem — jakże powiedzieć — energiczna? czy ekspansywna? i odmienny stan Maryni, i jej twarz i figura zmieniona. A prócz tego kto wie, czy niema w tem innego jeszcze zawodu? Nam się zdaje, że autor chciał umyślnie nagromadzić różne okoliczności obciążające, na to, żeby wina Polanieckiego była większą, a w tejsamej mierze, żeby większą była jego zgryzota i skrucha.

Odbywa się to wszystko po prostu, naturalnie, a głęboko; żaden ton uczucia, czy myśli, żadna chwila przejścia nie są pominięte. Przypominamy sobie, jak przed laty cała Europa czytała romans Wiktora Hugo *Les Misérables*, a w nim ze szczególnem wzruszeniem rozdział *Une tempête sous un crâne*, w którym niegdyś złodziej, a teraz już cnotliwy mer Jean Valjean, walczy z sobą, czy ma się przyznać do popełnionej przed laty kradzieży, a przez to się zgubić — czy też ścierpieć, żeby niewinny był skazanym za niego. Było to efektowe niezaprzeczenie, ale było nadęte, pretensjonalne. Pod czaszką Polanieckiego burza odbywa się bez frazesów, bez odgrywania dramatu przed sobą samym, całkiem *prozaicznie*, po gospodarsku. Ale burza jest; i wstrząsa nim do szpiku kości, do samego dna jego duszy, a czytelnika przejmuje także do głębi. Nie gra po jego nerwach, ale trafia do jego rozwagi, i do jego sumienia. Polaniecki zrazu dziwi się tylko swojemu zachcieniu, ale się go nie boi; uważa za przelotne i nie znaczące. Kiedy ono wraca coraz częściej, a niepokoi go coraz silniej, gniewa się, czuje się upokorzonym. On przecie tak

pewien siebie, tak pełen wyrozumowanych zasad, on człowiek z charakterem, miałby podlegać takimsamym przypadkom, jak pierwszy lepszy? On, człowiek wierzący, szczerze religijny, miałby, jak to robi nie jeden, pocieszać się sławnem *il' y a avec le ciel des accomodements?* Na to jest przecie za rzetelny, za uczciwy. A więc co ma robić? Unikać swego zielonego niebezpieczeństwa? Jego stosunki towarzyskie są tego rodzaju, że musi swoje niebezpieczeństwo spotykać ustawicznie; nie może go unikać bez zwrócenia uwagi, bez zdziwień, pytań, domysłów, plotek. Że nie unikając mechanicznie, może unikać moralnie, a skutecznie: swoją myśl trzymać w karbach, pani Maszkowej niczem nie dać poznać, że o niej myśli, tej uwagi on sobie nie robi, bo jest już opanowany pokusą więcej, niż sam wie. A kiedy już ludzi sam siebie nie może, kiedy musi sobie przyznać otwarcie, co się w nim dzieje, on odrazu, jasno, trzeźwo, widzi i przyznaje sobie, co to jest. Zdrada, zatem nieczemność. Zdrada względem żony, względem Boga i względem siebie samego — względem tych wszystkich zasad i reguł życia, które on przecież wyznaje szczerze, w które wierzy, których się chce trzymać. „Z przestraczem i ze złością odnalazł w sobie nietylko zwierzę ludzkie, ale i słabe zwierzę. Niepokoił się, buntował się przeciw tej słabości, a jednak nie mógł jej znódz“. Maryni miłość, dobroć, i jej stan, ten charakter ojca, który go czeka i obowiązuje, to wszystko podnosi tylko tę nie winę jeszcze, ale słabość, i zniża go we własnych oczach. „Niema nic nad miłość wielką i prawa w małżeństwie, i to leży pod ręką, jest przystępne dla każdego, a ludzie depeą po tym skarbie i poświęcają spokój dla targaniny, cześć dla bezceci“. Połaniecki to wie doskonale, powtarza sobie ciągle, nie chce jednego dla drugiego poświęcić; a przecież kiedy raz został sam na sam z panią Maszkową, sam nie wie jak i kiedy wymówił stanowcze słowo: *kocham*.

I teraz już to, co było myślą, stało się uczynkiem. Zdrada jest! Nie ta ostateczna wprawdzie i materyalna, ale moralnie ona jest dokonana i zupełna. Już on się Maryni sprzeniewierzył, już innej powiedział, że kocha! Choćby się nie więcej

nie stało, choćby się nikt nie dowiedział, on już stracił prawo do swego własnego szacunku. Nie może wierzyć swojemu słowu, swoim zasadom, swojemu charakterowi, nie może się mieć za uczciwego człowieka. A prócz tego, on nie może być szczerym, otwartym, rzetelnym; on musi udawać i ukrywać! Stracił prawo do tego, co w sobie i drugich cenil najwyżej; do prawdy! I musi się bać. Bać wszystkiego i wszystkich; i o wszystko także! Bać pani Maszkowej. Ona może powiedzieć mężowi; może się nieznacznie pochwalić przed Marynią; a wtedy czy pojedynek, czy tylko prosta wiadomość, co się stanie z Marynią? z jej życiem nawet? a choćby nie, to z jej miłością, wiarą, szczęściem? Boi się Maryni. Boi się Bigiela i jego żony, boi się pani Emilii, i wszystkich, bo musi udawać, bo może się z czem zdradzić, bo mogą się domyśleć! On teraz już nie będzie mógł śmiało patrzeć im w oczy. Połaniecki po tej nieszczęsnej dokłaracyi przebywa noc tak dręcząca, że zdaje się, ona wystarczy. Trzeba wybierać, między prawdą a nieprawdą, między własnym szacunkiem a własną pogardą, między żoną, Bogiem, szczęściem, a panią Maszkową; jedno z drugim pogodzić się nie da. Trzeba sobie przyznać, że się nie jest lepszym, ale gorszym od tych wszystkich, których się z oburzeniem potępiało. „Dla durnia wiarołomstwo może być wesołym wypadkiem; dla człowieka umiającego myśleć, jest takiemsamem łotróstwem, jak złodziejstwo, jak podpisywanie cudzych nazwisk na wekslach, jak łamanie słowa, jak oszustwo. Połaniecki zląkł się jakby ujrzał przepaść. Jeżeli się nie cofnie, skręci kark“. W tem jego przejściu jest jedna chwila, szczególnie dobrze wymyślona, i wywołująca głębokie wrażenie. Połaniecki klęka do pacierza z żoną; ale go mówić nie może; nie śmie! „W Boga można nie wierzyć, można Go nie słuchać, ale nie można z Niego drwić“. A więc cofnie się? Tak myśli i tak postanawia, tak sobie przyrzeka przez cały dzień następny. Przeprósi panią Maszkową i odwola, co powiedział. Z tem postanowieniem poszedł, i — nie odwołał.

I teraz dopiero źle! Wczoraj wszystko jeszcze można było odwrócić, naprawić: dziś już przepadło. I to wiarołom-

stwo, ta pogarda siebie samego, ta cześć i miłość żony, której kochać nie ma się już prawa, i ten instynktowy strach, i ta konieczność udawania, ukrywania, to wszystko otacza i ściga Połanieckiego bez wytchnienia i ratunku, na każdym kroku, w dzień i w nocy, w domu i za domem. Wstyd! Wstyd ludzi, którzy mają go za lepszego, niż jest, myślą, że jemu można wierzyć! a gdyby wiedzieli jaki jest, że kradnie ich szacunek, co by o nim myśleli? Wstyd żony, którą teraz czci, wielbi, kocha, przeprasza w duszy, a przed którą stoi nieśmiały i nie okazuje swej miłości, bo sobie prawa do tego nie przyznaje. Wstyd siebie samego. Wstyd i tej pani Maszkowej także; a zarazem wstręt i żal do niej, jakżeby ona była winna. Zaraz nazajutrz, żeby jej nie widywać, nie spotykać, nie być bez ustanku otoczonym wspomnieniami, najął letnie mieszkanie daleko, jak mógł najdalej. Jak po grubiańsku o niej myślał przedtem, tak teraz porzuca ją po grubiańsku, brutalnie, bez jednego słowa tłumaczenia, wymówki, pożegnania, choćby dla formy tylko, choćby przez litość, przez ten wzgląd, jaki się kobiecie od mężczyzny zawsze należy. Rzuca ją, jak starą rękawiczkę, jak zgniłą gruszkę. Ale to go nie obchodzi i nie wstrzyma. Nie mu nie pomoże także! Wyrzut sumienia, utrata własnego szacunku, wstyd, strach, wszystko pojedzie za nim, bo jest w nim; nie da się zrzucić, jak koszula, tylko jak koszula Dejaniry wżera i wgryza się w każdy nerw, w każde uderzenie serca, w każdą myśl.

W tej „pustce i próżni duchowej“, w której Połaniecki sam dla siebie zginął i odnaleźć się nie mógł, w tem moralnem *tout est perdu*, gdzie na pociechę nie mógł sobie powiedzieć: *fors l'honneur*, on, który zdradził i oszukał — pierwszy jakiś promyk nadziei, jakieś światelko, po którym zbłąkany może się orientować, ukazuje mu żona. Ona o niczem nie wie; tylko raz rozmawiając ze Świrskim, który się skarży, że musi ciągle swój talent ćwiczyć, żeby go nie stracić, Marynia twierdzi, że to zawsze i we wszystkim tak. „Gdyby kto powiedział sobie: jestem dostatecznie mądry i dobry, to już nie byłoby ani dobre, ani mądre. Mnie się wydaje, że

my wszyscy płyniemy przez jakąś głębinę, gdzieś do lepszego brzegu; ale kto chce odpocząć i przestanie poruszać rękami, tego zaraz własny ciężar ciągnie na dno“.

Wszak to jego historia! On tak miał się za dostatecznie mądrego i dobrego, przestał poruszać rękami, i co się z nim stało! Odburknął się w pierwszej chwili, ale w następnej uczuł, że to prawda — że musi machać rękami, żeby się z tego zanurzenia wydobyć. I teraz dopiero, kiedy się zawiódł na sobie, dochodzi Połaniecki do uzupełnienia, do ostatecznego wyrobienia swego charakteru i swoich religijnych uczuć i przekonań. „Te wysokie zasady, które zdobył, zamknął w swojej duszy, jak pieniądze w kasie, i uczynił z nich martwy kapitał. Miał je, ale jakby na składzie. Miał je, ale z nich nie żył, i zaufawszy swemu bogactwu, myślał, że jego rachunki są pokończone i że może spocząć“. A tymczasem „można w Boga nie wierzyć, ale nie można z niego drwić“. On wierzył, a zadrwił. Zadrwił, bo sobie zanadto zaufał, na sobie zbyt ciężko polegał. Źle robił; ten środek ciężkości jego życia powinien być umieszczony gdzieś po za nim i po nad nim.

Wiarołomstwo mężczyzny nigdy, ile wiemy, nie było w powieści przedstawione tak głęboko, tak poważnie. Wszystko, do czego mąż jest obowiązany, i co mąż w gruncie uczciwy musi myśleć i cierpieć, jeżeli się sprzeniewierzy, to tu jest, a w żadnej innej książce tego niema, lub jeżeli jest, to nie tak pojęte i opisane. Lepszego, zdrowszego, prawdziwszego i bardziej budującego, nie zdarzyło nam się czytać nigdy nie w tym przedmiocie. Każdemu kawalerowi, zabierającemu się do stanu małżeńskiego ksiądz przy przedślubnej spowiedzi powinienby nakazać, żeby pilnie i do późnego wieku odczytywał i rozpamiętywał trzeci tom *Rodziny Połanieckich*, a w nim zwłaszcza rozdział ósmy i dziewiąty.

A przez czas, kiedy w duszy bohatera odbywa się ten dramat, dla innych niewidzialny, do koła grają się różne komedye i różne wzniosłe sceny, i różne tragikomedye, a wszystkie — o zakończeniach smutnych. Wzniosła jest miłość Zawilowskiego do panny Castelli, i jej, jak się zdaje, wzajem-

ność; komedia to, co towarzyszy konkuirom, oświadczyiom i zaręczynom. Tragikomedia, to nieszczęśliwy Maszko, który chwycił proces o zwalenie testamentu panny Płoszowskiej, jak ostatnią deskę ratunku, dobywa ostatnich sił, żeby wypłynąć, a nadrabia miną i udaje zawsze, nawet kiedy już utonął.

W komedyi pierwszą rolę gra naturalnie pani Broniczowa. Czy z rozrzewnieniem, a nie bez porady i zgody Teodora, oddaje Niteczkę Ignasiowi i tego Ignasia kocha, jak matka, czy mu każe kupować jedwabne szkarpetki i żółty *sakwojaż*, czy z mniemaną zręcznością dowiadyuje się o zamiary starego Zawilowskiego, a ze zwykłą bujnością wyobraźni pewna jest, że on zrobi ordynacyę na Ignasia, pani Broniczowa jest do najwyższego stopnia zabawna w swojej czulości, w swojej ciekawości, w swojej niby przebiegłej dyplomacyi, w swojej wielkoświatowej elegancyi. Byłaby komieczną do końca, gdyby przed końcem nie okazała się przewrotną, nie spowodowała wielkich nieszczęść. Panna Castelli jest na prawdę porwana miłością młodego człowieka, odurzona tem co o nim słyzy, i w dobrej wierze a z przyjemnością lata z nim do gwiazd. Ale ją ta nadpowietrzna podróż trochę męczy. Wszak wszyscy z uniesieniem czytamy wielkich poetów, ale na długo nadażyć im nie umiemy, i dla wytchnienia, dla rozrywki, w codziennem życiu czytamy sobie *gemüthlich* romanse. Podobna przyczyna sprawia, że panna Castelli admiruje Zawilowskiego, ale jest jej przy nim jakoś obco; a bardziej *gemüthlich* czuje się przy panu Kopowskim, który w dodatku jest i nadzwyczajnie ładny i nadzwyczajnie ładnie ubrany. Trzeba trochę wytchnąć z tego ciągłego natężenia, odprężyć się z tego naprężenia. Sposób, w jaki Świrski swoim obrazowym stylem charakteryzuje usposobienia tych dwóch pań, to jest małe areydzioło humoru i głębokiego rozumu. Gra się więc komedia około tego zameżcia; intrygę prowadzi pani Osnowska. Poeta słuzy jej za konduktor, po którym piękna Lineta będzie odprowadzona daleko od pięknego Kopowskiego. Rolę epizodyczną ma grać panna Ratkowska, uboga krewna, do której Kopowski ma się zalecać,

żeby zmylić tropy; ta epizodyczna rola staje się większą przez to, że biedny Świrski, który się we wszystkich kocha, nie żeni z żadną, bo, jak mówi, „one powinny mieć skrzydła, a po większej części mają tylko ogony“, któremu bardzo pilno skończyć raz ze starem kawalerstwem, w tej przeczuwa „wdzięczne serce“, i po krótkim rozmachu oświadcza się. Niestety, biedna poczciwa panna zajęła się poetą, który o niej nie myśli!

A pan Osnowski? To rola niby komiczna, a na prawdę smutna i bardzo sympatyczna. Żeby Połaniecki robił nie wiedzieć co, Marynia nie stanie się przez to nigdy śmieszną; owszem, im gorszy on, tem ona będzie uważana za wznioślejszą. A biedny Józio jest śmieszny! Jest niesprawiedliwość względem mężów, w życiu, jak w powieściach i komedjach. Tymczasem jedyną śmiesznością Osnowskiego jest, że zaślepiony, a zaślepiony, bo zakochany całą duszą. Szlachetny, prawy, delikatny, wierny w przyjaźni, gotów do poświęcenia, miły w obejściu, wcale nie głupi. Józio nie jest wcale śmieszny; a że nieszczęśliwy, więc śmieszny! O, nie śmiecie się panny z takich, jak on; owszem, takich kochajcie, za takich wychodźcie, bo tacy właśnie najlepsi, a ich żony najszcześniejsze! Byle one znowu nie były takie, jak pani Osnowska.

Józio naturalnie nie domyśla się tego, co zmiarkował Połaniecki, o czem przekonał się Zawilowski, gdy raz zobaczył pięknego Kopowskiego u nóg Anetki, i wszystko idzie jak najlepiej, gdy w tem niespodzianie umarł stary Zawilowski. Jak pani Broniczowa zachodzi około wszystkich, żeby się dowiedzieć, co jest w testamencie; jak jest pewna, że znajdzie się w nim dużo dla Ignasia; jak jest niemniej pewna, że panna Helena testamentu nie ukryje, choć nie cały majątek ojca będzie dla niej; jak ten ojciec chciał się z nią żenić koniecznie, ale ona wolała Teodora — to są rzeczy nieocenione, najwyższego i wykwintnego komicznego efektu. Cóż dopiero, kiedy się pokazało, że testament był dawny, a w nim ani słowa o Ignasiu. Pani Broniczowej nie chodzi przecież o majątek, dowiodła tego dostatecznie. O majątek jej nie chodzi, przecież miała i odmówiła Colimação i Kanafropulos! Ale

stary Zawilowski powinien był coś zrobić dla Niteczki, którą tak kochał! (nie kochał wcale). Dlaczego ją samą zwiódł, kiedy jej przyrzekł ordynacyę, a nie dotrzymał (nie przyrzekał nigdy nic), tego ona nie rozumie, ale mu przebacza, i pragnie, żeby Bóg przebaczył! Tylko jako matce bolesno jej, że to biedne dziecko będzie musiało obchodzić się bez tych wygód, nawet dla delikatnego zdrowia, dla życia koniecznych, do których przywykło! A przytem ta sfera towarzyska, w której Niteczka żyć będzie musiała, czy to dla jej wychowania, intelligencyi, artystycznych aspiracyj i dystynkeyi!!! Papiery biednego poety widocznie spadają; a scena, w której Józio zniecierpliwiony bierze przyjaciela w obronę, kłóci się z ciotką i mówi jej, bardzo grzecznie zresztą, *verba veritatis*, jest jedną z najkomiczniejszych w powieści. Niestety skończyła się tragicznie — na prawdę tragicznie. Osnowski po rozmowie z ciotką wyszedł szukać panny Castelli, i znalazł ją... w objęciach Kopowskiego.

Narzeczonego uwiadomić trzeba. Jak? Rozmowy i narady między jego przyjaciółmi, w których oburza się Osnowski i Świrski, a Połaniecki oburzać się nie śmie, bo czuje, że sam gorszy od panny Castelli; ona tylko słowo złamała, a on przysięgę. Straszna konieczność uwiadomienia nieszczęśliwego o nieszczęściu, jakżeby strzelić do niego z pistoletu; sytuacya dramatyczna, a traktowana z największą prostotą i prawdą. Wreszcie grom pada. Połaniecki oddaje Ignasiowi list Osnowskiego. Ten list, to jeszcze nie cały grom. Jest drugi list gorszy. Pani Broniczowa, która zaraz po owem odkryciu wyjechała od Osnowskich z Linetą i Kopowskim, jako jej drugim narzeczonym — a wyjechała wśród strasznego ataku nerwowego pani Osnowskiej, która zdrady Linety względem Zawilowskiego pojąć, ani znieść nie mogła — pani Broniczowa z pierwszej stacyi, z Berlina, napisała do Zawilowskiego. On to, Zawilowski, „opętał wolę biednej panny, tak, że wbrew popędowi serca, gotowa była oddać mu rękę. On swojemu egoizmowi poświęcić chciał jej szczęście, a nawet życie, bo w takich warunkach Niteczka nie byłaby mogła przeżyć jednego roku! Na to Bóg nie pozwolił; i te panie, słuchając

Jego woli, odsyłają pierścionek Zawilowskiemu, a dają inny Kopowskiemu. Zawilowskiemu przebaczają, i proszą Boga, żeby mu przebaczył. Niech pan wie, że dziś jeszcze modliłyśmy się o to w kościele św. Jadwigi“.

Pani Broniczowa przestała być komiczną! Połaniecki czytając ten list, nie mógł wierzyć własnym oczom. W tem kłamstwie bezczelnem, w tem wzniosłem przebaczeniu, z jakim winni modlą się za niewinnego, jest jakaś potworność, która pomimo całej małości dusz i uczynków, dochodzi w swoim rodzaju do wielkości. Zawilowski, od pierwszej chwili ogłuszony swoim nieszczęściem, nieprzytomny, jak po rażeniu od pioruna, zdobywa się tylko na jedno pytanie: „To i z prawdą można zrobić to, co z miłością?“ Potem zdaje się być prawie spokojnym.

Pospieszyła się zanadto pani Broniczowa! Stary Zawilowski nie zapisał Ignasiowi nic, ale majątek i tak jemu się dostał. Panna Helena, za życia ojca mająca obowiązek, po jego śmierci stała się wolną, i idzie do klasztoru. Kochała ona Płoszowskiego (miała kogo! warto było!) i teraz pokutą całego życia chce wyprosić przebaczenie dla duszy samobójcy. Zaledwo drugi samobójca. Zawilowski, wyszedł z niebezpieczeństwa, ujrzał się panem jej wielkiego majątku.

A przez ten czas gdzieś nad morzem, gdzie Osnowski wywiózł żonę, a pani Broniczowa siostrzenicę, nowe dramata. Małżeństwo panny Castelli z Kopowskim zerwane, państwo Osnowscy rozłączeni, Kopowski pobity przez Osnowskiego, Osnowski ranny w pojedynku; echa tego wszystkiego dochodzą do Warszawy i wywołują naturalnie nieskończone uwagi i komentarze. Wszystkie czytelnika bawią, ale Połanieckiego w samo serce krają, jak noże. On je musi brać do siebie; on nie może sobie zataić, że w gruncie jest winniejszy, niż panna Castelli, niż pani Osnowska, że nieprawdy w nim nie mniej, jak w pani Broniczowej. „Ja jestem także akcyonaryuszem w tej fabryce, która wytwarza takie stosunki i takie kobiety“. I jak ościę strzały, jak harpun rzucony w grzbiet wieloryba, utkwily mu w duszy przypadkowe słowa Bigiela: „Zło trzeba zawsze odplacić“. Jak on odplaci to, co zrobił?

czem? Może Marynia umrze przy słabości? może się dowie jakim przypadkiem i umrze ze zdziwienia, ze zmartwienia! coś się stanie, jakaś kara na niego musi spaść. I pewien, że ona spadnie, chodzi jak człowiek skazany na śmierć, który wie, że prędzej czy później wyrok spełnionym być musi.

Zrazu przewiduje on tylko i boi się bez powodu; ale niebawem nieszczęście wydaje się nieuniknionem, nie do odwrócenia. Zdrowie Maryni w ostatnich tygodniach stało się tak złem, że najodważniejsi nie śmiały spodziewać się dobrego końca. Mąż ma ją za straconą; kiedy wychodzi z domu, myśli, że wracając, już jej nie zastanie. I to wszystko przez niego! z jego winy! za jego grzech! I on nawet nie może jej powiedzieć, jak ją teraz kocha, jak ją w duszy przeprasza! Ona odejdzie na tamten świat bez tej pociechy, jaką byłaby wiadomość, że zostawi po sobie taką miłość bez granic i taki żal bez dna. To się stać musi; nie może być inaczej!

„Każde złe trzeba odplacić“, to prawda; a sama Marynia mówiła, że złe jest, jak fala — odbija się od brzegu, ale wraca! Marynia mówiła to istotnie, z powodu pani Osnowskiej czy Broniczowej; ale dodała, że ta fala wraca czasem pod postacią skruchy, wyrzutów sumienia, żalu. Czasem te wystarczą na odplacenie złego.

I tak było w tym razie. Zgryzoty i udręczenia musiały być przyjęte jako zadośćuczynienie, bo innej kary nie było. Synek przyszedł na świat szczęśliwie; matka jeszcze potem była przez jakiś czas w niebezpieczeństwie, ale wróciła do życia i zdrowia.

I teraz już nie, tylko uszczęśliwienie, błogość, spokój w duszach, miłość w sercach, radość w życiu. Czytelnik może mówić sobie, że Połaniecki wyszedł obronną ręką, i pyta, czy to zostanie tak na zawsze, czy mu już nie grozić nie będzie? Może Marynia dowie się przecie, a wtedy gmach tego szczęścia runie. W życiu nieraz takie prawdy odkrywają się po wielu nawet latach. Ale autor miał prawo uszczęśliwić swoich bohaterów; wierzymy, że Marynia się nie dowie nigdy, że nie tego szczęścia nie zamąci, i przypatrujmy mu się, jakie

piękne, jakie miłe i błogie. [Włodzimierz Spasowicz,] który i świetnie i głęboko ocenił *Rodzinę Połanieckich* (*Kraj*, 1895, Nra 20, 21, 22), który z delikatną, ale ostrą ironią wykazał brak zrozumienia w niektórych, czynionych tej powieści, zarzutach, który trafnie a zwycięsko dowiódł jej charakteru na wskrós polskiego, określa bardzo pięknie to ostatnie wrażenie: „Na szczycie utworu nie wznosi się, panując nad nim, ironia, jak krzak burzanu z jaskrawo czerwonym kwieciami i koląciami osty, ale otrzymujemy wrażenie podobne do zapachu, jaki się wydziela z lanu zboża. Z tej złotawej, pełnej, kłosisłej masy, mimo przykryte przez nią dzikie chwasty, wywiązuje się pewien miły aromat, pewna orzeźwiająca filozofia“.

Zdaleka tylko dochodzą odgłosy smutków. Zawilowski zdrów; ale kula widocznie naruszyła mózg, bo umysł jest inny, jak był; przytomny, ale niezdolny do tworzenia. Talent jest zabity. Pani Broniczowa pisuje listy, przebacza, dopytuje się z macierzyńską czułością; próbuje, czy nie dałoby się nawiązać, co się zerwało. Panna Castelli, uczciwsza od niej ma wyrzuty sumienia; nawet o przebaczenie nie śmie prosić z obawy, żeby ta prośba nie wyglądała na nowe wabienie dawnego, dziś bogatego narzeczonego. Maszko uciekł przed długami. Osnowski rozchorował się na tyfus, a nieprzytomnego pielęgnowała Anetka, i znikła, gdy do przytomności wrócił. U Połanieckich tymczasem dziecko się chrzci, błogosławi go uroczyste pan Pławicki; błogosławi stary Waškowski, pewien, że i ten mały ma swoją missyę i spełni ją kiedyś. Na świecie wiosna, a z tą wiosną powrót do odkupionego Krzemienia. Tasama droga piaszczysta, te same brzozy i olchy, i sroki i dudki, tasama summa w niedzielę, i ci sami sąsiedzi, stary Jamisz, Gałowski — tylko pani Jamiszowa gdzieś pojechała, żeby nic śmiesznego, nie płaskiego, nie mąciło szlachetnej, estetycznej harmonii szczęścia. I słońce tak samo zachodzi za stawem, i żaby skrzeczą tak samo; wszystko jak w pierwszym dniu powieści, tylko wszystko lepiej, szlachetniej, wyżej, trwalej, bo po zasłudze, po cierpieniu, po zupełnem dojrzeniu sumienia i woli. „Synowie nasi, a jeśli nie synowie, to wnuki, wróca; i wróca

tężsi, bardziej wyrobieni w walce“, mówi stary Jamisz przy obiedzie, wnosząc zdrowie „Rodziny Połanieckich“. I teraz dopiero, dość późno trzeba przyznać, bo na ostatniej karcie, rozumie się tytuł powieści. Aż dotąd czytelnik szukał tej rodziny, a nie mógł jej znaleźć. Byli państwo Połanieccy, w końcu było ich dziecko; ale rodzinę rozumiemy zwykle liczniejszą; rodzina, to mogą być i dzieci i wnuki, a w takim razie powieść mogłaby ciągnąć się długo. Jamisz to wytlómaczył. „Rodzina Połanieckich“ to ci wszyscy, mężowie, synowie, czy wnuki, co wracają do swojej ziemi tężsi, wyrobieni w walce z życiem, co mają tradycję w sercu, a rachunek w głowie. To te kobiety, co sercem i sumieniem zgadują gdzie jest prawdziwy obowiązek i do niego pchają. A więc „Rodzina Połanieckich“ to my wszyscy, jak powinniśmy być. I tej rodziny zdrowie pije Jamisz, o tej mówi Waśkowski, że to „mleczna droga duchowa, złożona ze wszystkiego, co ludzie myśleli i czuli. Wszystko w niej jest; i to, co zrobili geniusze, i dzieła talentów, i wysiłki myśli męskiej, i uczciwość kobiecych serc, i ludzka dobroć, i ludzkie bóle. Nic nie ginie, choć wszystko w pył się obraca, bo z tego pyłu za wolą Bożą tworzą się nowe światy duchowe dla ludzi“. Takiej rodzinie on wróży, że przez nią nastąpi nowa epoka w życiu ludzkości, „rozszerzenie ducha Chrystusowego ze stosunków między jednostkami, na stosunki ogólnoludzkie“.

Wszystkie sprawy i stosunki, które w ciągu powieści zdawały się rozbiegać w różne strony i niby się z sobą nie łączyć, schodzą się w tem zakończeniu, i znajdują w niem swoje naturalne rozwiązanie; powieść na pozór bez planu i bez jednolitej akcji, okazuje się systematycznie obmyślaną i ściśle podług zamiaru doprowadzoną do końca. Kto wie nawet, czy tego obmyślenia i wiernego trzymania się planu, nie więcej znać w nowszych, jak w dawniejszych powieściach Sienkiewicza. W *Ogniem i Mieczem* naprzykład gniazdo Kurcewiczów zdawało się zrazu przeznaczonem do wielkiej roli, a znikło rychło bez śladu i bez wpływu na dalsze losy innych. W *Bez dogmatu* niema nic, coby wyglądało na zmianę pomysłu w ciągu pisania; w *Rodzinie Połanieckich* nie jedno

wydaje się zrazu przypadkowem, doczepionem, a w końcu przecież pokazuje się wyraźnie, że wszystko jest w organicznym z sobą związku. Jakaż jest obręcz, która te różne, a na pozór różnorodne części zbija i trzyma razem? Jest nią myśl podstawna powieści. *Rodzina Połanieckich* nie jest tem, co Francuzi nazywają *un roman à thèse*, ale bez pedantyzmu, bez doktorskiego lub kaznodziejского tonu, ona wychodzi na stwierdzenie jakiejś prawdy, zatem jeżeli kto chce, na dowodzenie jakiegoś założenia. Tylko z tą różnicą, że u tamtych *teza* jest przez pisarza dowolnie wymyślona, z jego filozoficznych wyobrażeń o dziedziczności, otoczeniu, i klimacie, podług znanej formuły Taine'a lub innej złożona, za wielką prawdę przez autora podana -- i do tej dowolnie wymyślonej niby prawdy, na jej dowodzenie, dorabiają się osoby, stosunki i sytuacje. Sienkiewicz postępuje inaczej. On nie układa sobie z góry żadnej maksymy, czy tezy. On obserwuje charakter i stosunki, jak są; te charakter i stosunki odstępują mniej lub więcej nie od reguł czy formuł przez niego dowolnie wymyślonych, ale od praw sumienia i logiki, od praw ludzkiej natury i życia, jakie zawsze były i zawsze będą. Te zboczenia on pokazuje. Z pokazania wynika jakiś wniosek. Ale nie naciągane dowodzenie naciąganej prawdy, tylko stwierdzenie rzetelne rzeczywistej i ogólnej prawdy psychologicznej i moralnej.

Jego założenie w tej powieści dałoby się krótko określić znanem przysłowiem: „Kłamstwem świat przejdiesz, ale nie wrócisz“. Zaszedł dość daleko Maszko, i nie wrócił; nie wróciła pani Broniczowa. Pani Osnowska wróciła w końcu, ale nie kłamstwem, tylko właśnie prawdą swego żalu. Nawet biedny nieszkodliwy, niewinny Bukacki, skończył smutno. A sam Połaniecki, który choć nie chciał kłamstwem przez świat przechodzić, zabłąkał się bardzo na swojej drodze; trafił na dobrą znowu tylko przez to, że była prawda w nim, w jego sędzie o sobie, w jego skrusze, w jego postanowieniu. Jest więc powieść niby nauką *dobrej wiary*, tej podstawy i cechy razem wszelkiej wartości w ludziach, wszelkiej sprawiedliwości i trwałości w stosunkach, tej dobrej wiary, której brak jest

wielką chorobą moralną ludzi, rodzin i społeczeństw. Upadek prawości i honoru w mężczyznach, ezei w kobietach, zepsucie prywatnego i publicznego obyczaju, nieuczciwe interesa i zyski, zepsute i psujące dziennikarstwo, wyzyskiwanie stanowiska i wpływu, upadek patriotyzmu przy jego udawaniu, wszystko to płynie z tego źródła, które się nazywa *złą wiarą*. Panamskie skandale dadzą się do niego odprowadzić tak samo, jak sztuczne wielkości i przesadne reputacje w literaturze, w sztuce, w życiu publicznem, jak nieraz sama nawet fałszywa polityka i jej skutki, klęski. Z tą więc przywarą, z tą zdrożnością, z tą chorobą wojuje Sienkiewicz swoją powieścią. Nie wyleczy jej? Zapewne; zbyt ona zakorzeniona i rozszerzona, żeby łatwo usunąć się dała, a zbyt pewna siebie, żeby się dała zawstydzić i zastraszyć. Ale ją wskazał, ale ją rozebrał do naga, ale ją wyszydził i wychłostał. Może znajdzie takich, co z nim razem zechcą ją nienawidzić i tępić, może ta rozpoczęta kampania obudzi zapal w nowych ochotnikach. A w każdym razie samo wypowiedzenie wojny, pod hasłem „prawda przeciw nieprawdzie“, jest już chwalebnyim uczynkiem i zasługą w społeczeństwie, a niezmiernie zajmującym i znakomicie traktowanym przedmiotem powieści.

Ta walka rzetelności z udaniem pokazana jest w różnych stosunkach i kształtach, ale głównie w pożyciu małżeńskim, na wierności i niewierności. Niewierność męża jest na prawdę mniej złą od niewierności żony, bo nie może eudzych dzieci wprowadzić do domu, i ukraść dla nich nazwiska i majątku, do którego nie mają prawa. Dlatego słuszna jest surowość większa w tych razach dla kobiet, aniżeli dla mężczyzn. Ale wierność obowiązuje męża tak samo, jak żonę, złamanie przysięgi jest u niego taką samą nieuczciwością, jak u niej. To powiedzieć, to pokazać ze wszystkimi brzydkimi, podłemi stronami niewierności, i ze zgryzotą, jaką ona zrodzić musi w sercu i sumieniu niezepsutem, to pomysł i zamiar, na jaki pisarze powieści nie wpadają; a jest on pod względem psychologicznym równie wdzięczny i ciekawy, jak budujący pod względem moralnym.

Niema udawania i nieprawdy w tym egoizmie czy lenistwie męża, który nie rozumie, że ona potrzebuje miłości czulszej, a przynajmniej widoczniejszej, bardziej okazującej, niż on sam. Ale przypomnienie tej potrzeby i braku względu na nią, to znowu rzecz dla mężów bardzo zdrowa i dobra do zapamiętania.

Nie mogło być w tej powieści prawdy i nieprawdy, rzetelności i fałszu, w życiu politycznym i parlamentarnym, w dziennikarstwie, w patriotyzmie, w demokracji, w arystokracji, w tem wszystkim, co nie zamyka się w sferze życia prywatnego, a dobrej wiary i prawdy potrzebuje nie mniej, ma podobno mniej, niż tamte. Ale jest prawda i udawanie w stosunkach pieniężnych i towarzyskich; jest w uczuciach, w umysłach, w naturach i charakterach ludzi. Naprzykład miłość panny Heleny do Płoszowskiego, panny Ratkowskiej do Zawilowskiego — a panny Castelli do tegoż samego, czy do Kopowskiego. Naprzykład rozum Maryni i rozum pani Osnowskiej; rozum Świrskiego i spryt Maszki. Są rzadkie zasoby psychologicznej i moralnej prawdy w tej powieści; a im więcej się w nią wczytywać i zagłębiać, tem głębsze i bogatsze odkrywa się pokłady tych prawd.

Ale wartość moralna, choćby najwyższa, nie wystarcza powieści. *Pan Podstoli* jest bardzo budujący, doskonały — a jest bardzo nudny, jako powieść. W *Połanieckich* ta nauka moralna, która jest i która się weale nie ukrywa, godzi się doskonale z wymaganiami i warunkami powieści bardzo zajmującej, bardzo zabawnej. Niema jednej figury, choćby na zupełnie dalszym planie, któraby nie była pełna życia, indywidualności własnej, któraby nie była wymyślona bardzo rozumnie, a nakreślona bardzo prawdziwie i wiernie. To mnóstwo rozumu, jakie w tej powieści jest, musi zadziwić i zachwycić czytelnika, który myśleć umie. A przytem świetność tego rozumu: te od niechęcenia rzucane niby obojętne uwagi i określenia wielu, ale najczęściej może Świrskiego i Bukackiego, to takie doskonale formuły na różne zjawiska psychologiczne i moralne, że mają prawo zostać na zawsze i stać się gotowemi przysłowiami na oznaczenie tych zjawisk. A hu-

mor i dowcip w figurach takich jak pan Pławicki i pani Broniczowa, albo w conceptach! Nie mamy prawa, ani pretensyi wyrokować z partesu o literaturach tego świata, ale to wiemy, że sami nie znamy powieści świetniejszej. Jak nie zdarzyło nam się, w życiu jednak dość już długiem, spotkać powieści historycznej piękniejszej, jak *Ogniem i Mieczem*, tak nie zdarzyło nam się spotkać powieści współczesnej, psychologicznej i obyczajowej, rozumniejszej, zdrowszej, lepszej, jak *Rodzina Połanieckich*. Tamto jest do dziś dnia szczytem zawodu Sienkiewicza w kierunku powieści historycznej — ona jest najwyższym szczeblem, na jaki dotąd wznosił się w tym drugim rodzaju swojego tworzenia.



VI.

QUO VADIS?

I.

Pomiędzy *Bez Dogmatu* a *Połanieckimi*, *Połanieckimi* a *Quo vadis*, kilka rzeczy mniejszych, powiastek, lub tylko obrazków. Największa z powiastek, *Ta trzecia*, jest w swoim rodzaju rzadkością. Sienkiewicz jest pełen świetnego humoru i używa go w najpoważniejszych swoich dziełach, a nawet w najsmutniejszych (początek *Szkiców węglem*). Ale obrazek choćby mały, w całości humorystyczny, jak doskonała *Komedia pomyłek*, jest u niego zawsze wyjątkiem, czy może przypadkiem. *Ta trzecia* jest nawskróś i w całości humorystyczna; jest taką w samem zasadniczem pojęciu tworzonych figur i scen. Autor obrał sobie jakiś punkt, z którego widzi komiczną stronę każdej osoby i każdego stosunku. Dla dam jest łaskawszy, choć nie można ręczyć, czy nie uśmiecha się ironicznie nad panią Heleną i panną Ewą, z których się głośno i wyraźnie nie śmieje. Ale mężczyźni są śmieszni bez wyjątku, nawet kiedy sympatyczni i nie głupi. Dickens miewa często ten sposób patrzenia i tworzenia; Sienkiewicz ma go w tym jednym razie. Z wielkim skutkiem, skoro powieść bardzo zabawna miała powszechne i zasłużone powodzenie, z wielką sztuką także. Niezmiernie subtelnie wprowadzony jest ten pierwiastek humoru i ironii w głównej figurze młodego malarza, który sam spisuje swój mały pamiętnik, wesoło, z fantazją, ale bez żadnej nad sobą samą krytyki; a za nim stoi, jego rękę prowadzi, Sienkiewicz, i co chwila daje poznać, co myśli o tym wartogłowie, który talentu ma

może bardzo dużo, ale nie ma porządku w głowie. Czy zdarzają się takie natury między artystami? Być może; ale mniejsza o to. W powieści świetnie wygląda ten młody chłopiec z dobrym sercem a żywym umysłem, który zdaje się mieć w sobie coś z ptaka. Jak ptak lata bez celu, z gałęzi na gałąź, kontent, że lata, że słońce świeci, że on sam młody, bez troski, bez myśli, bez celu. Owszem w ptaku znalazłoby się może więcej statku, niż w nim. Ptak, kiedy buja w powietrzu, szuka muszek, ptak buduje sobie gniazdko przemyślnie, starannie, ma tylko instynkt; ale przecie za tym instynktem idąc, czegoś chce i robi wszystko w jakimś celu. Ta dziwna istota ludzka zna tylko popędy, zachcenia, wrażenia, i idzie za nimi ślepo, bez myśli, bez troski, bez próby i chęci nawet świadomego zdania sobie sprawy z tego, co czuje lub robi. Czy popęd jest uczuciem, czy zachcenie jest wolą, o to on nie pyta sam siebie nigdy; a czy dzisiejsze wrażenie będzie takim samym jutro, o tem myśleć nie warto. Dziś ono jest, a więc trzeba go używać, albo mu dogodzić; a co jutro będzie, to się jutro pokaże, i znowu zrobi się to, do czego popchnie popęd, zachcenie, albo wrażenie. W tym chłopcu miłym, pełnym samorodnej fantazyi, który swoje myśli i wrażenia oddaje takim oryginalnym zabawnym stylem w swoich spostrzeżeniach ma wiele dowcipu, w swoim temperamencie nieoceniony dar wesołości, tkwi przecież głęboko ukryte, ale ostre żądło satyry. Wszystko to dobrze, i ze wszystkim ci nawet do twarzy, dopókiś ty młody i sam na świecie, wolny jak ptak w powietrzu. Ale jak przyjdzie wiek dojrzały, jak przyjdzie rzeczywistość życia ze swojemi obowiązkami i frasunkami, co ty poczniesz, jakim będziesz, jak sobie dasz rady, kiedy masz naturę ptaka? Zareczyłeś się z jedną, bo ci się podobała sam nie wiesz z czego; zerwałeś z nią, bo ci się nie podobał jej ojciec, a przed zerwaniem jeszcze odpodobała ci się ona sama, znowu nie wiesz dla czego. Zakochałeś się w jakiejś drugiej, zapaliłeś się jak słoma, a tego samego dnia czy nazajutrz klęczałeś u nóg trzeciej, i sam nie wiesz, jak się z nią ożeniłeś. Ta biedna żona, która się w tobie kochała oddawna, ten syn, który ci się

urodził w *Weronie* (w przejeździe oczywiście, boś nie pomyślał o tem, żeby żonie na słabość obmyśleć stałe i wygodne miejsce pobytu), ta żona i ten syn, kto wie, czy nie będą mieli wiele do cierpienia z twojego powodu. Kiedy ona po nocach czasem płacze, ty myślisz, że dawna aktorka tęskni za teatrem i za oklaskami? Oby tak było. Ale mnie się zdaje, że ona płacze, bo się boi, bo mędrsza i lepsza od ciebie, pyta, jaka przyszłość czeka ją i dziecko z takim szalawilą, jak ty.

Dlatego powieść, choć do końca wesoła i śmiejąca, przy końcu zostawia czytelnika pod wrażeniem raczej przykrem obawy o tę biedną kobiecinę, która kochała długo, ufnie i bardzo, a może lada dzień ujrzeć się na ruinach tego szczęścia, które spadło na nią tak niespodzianie.

Może zresztą wrażenie to tylko osobiste i mylne, a w każdym razie powstaje ono późno, pod koniec powieści dopiero, i nie maści wesołego opowiadania swoim smutniejszym tonem. Początek zwłaszcza jest nieocenyjony jako żywość figur i jako humor. Młodzi malarze na poddaszu, Światecki ze swoją niesforą czupryną i swoim sposobem wystraszania właściciela domu, kiedy ten nieszczęśliwy przychodzi się upominać o pieniądze, kontrast ponurego niby humoru Świateckiego z pogodnym słonecznym humorem Magórskiego, historia żydów siedzących do obrazu, kompania młodych malarzy, obchodzących tryumf kolegi, a wśród tego wszystkiego dopiero pan Susłowski ze swoją powagą i swoją głupotą (Niemiec nazwałby go ideałem filistra), jego patetyczna żona, jego gaska córka, scena zaręczyn, ciotki na kanapie, Światecki w tym świecie dla siebie wielkim — to wszystko mogłoby konającego jeszcze pobudzić do śmiechu. Rzecz staje się cokolwiek mniej zabawną, odkąd się komplikuje poważniejszymi sytuacjami i wdzięczniejszymi niby figurami. Czy mamy wierzyć w urok pięknej młodej wdowy Ukrainki, czy też wolno nam śmiać się z niej? Nam ta Ukrainka wydaje się chorą na fałszywą poezję, i udającą. Zdaje nam się, że znalazłaby się w swoim elemencie „na florenckich wieczorach“ pani Osnowskiej, i podobałaby się pani Broniczowej z *Połanieckich*. Z biednej Ewy nie mamy najmniejszej ochoty się śmiać; z sympatją i usza-

nowaniem patrzemy na uczucie, jakie ma do swego kochanego Władzia, z obawą na jej los przy Władziu. Ale właśnie dlatego od chwili, jak odkrywa się jej miłość, a następuje zamęcie nie możemy już śmiać się tak szczerze, tak całą gębą, jak przedtem. Darowalibyśmy chętnie i Ukrainkę, i Ewę, i przebranego dziada, i Ostrzyńskiego, byle mieć za to więcej Susłowskich, więcej żydów, więcej gospodarza, więcej Świateckiego, który na szczęście ożeniony z dawną narzeczoną przyjaciela i przez nią wycewilizowany i uczesany, kończy powieść tą wesołą nutą, która w środku była trochę przycichła.

Przeciwnictwem do *Tej trzeciej* jest *Lux in tenebris*. Tam, to życie artysty w blasku i uszczęśliwieniu młodości, talentu, sławy, powodzenia, miłości, czy miłostek; pieniędzy niema, a czasem może nawet chłodno i głodno, ale za to tyle jest rzeczy dobrych i miłych, że życie śmieje się do szczęśliwego młodego artysty. Tu, to samotność po najboleśniej-szej stracie, opuszczenie, niedostatek, choroba, bez jednej dobrej duszy, któraby dała choć trochę współzucia, starania, ulgi; to nieszczęście artysty w całym strasznym znaczeniu tego słowa. Biedny rzeźbiarz, który od lat tęskni za straconą żoną, a teraz umiera z nędzy, miał talent, mógł być sławnym jak inni, ale choć nieszczęście talentu nie złamało do szczytu, to niedostatek, a później choroba nie dały tworzyć, wykonać pomysłów. Bolesny, aż nadto może bolesny i rozdierający jest widok tego nieszczęśliwego. Ale wśród tego przychodzi to, co stanowi samą istotę i wielką oryginalność tego pomysłu. Umierający marzy o siostrze miłosierdzia; jak lepiej byłoby mu pod jej opieką! I budząc się, widzi ją przy swoim łóżku, widzi w izdebce słońce, którego dawno nie widział, lepiej mu, miło mu; siostra miłosierdzia nawet z rysów przypomina mu zmarłą żonę... to nie rzeczywistość. To ostatnie myśli i pragnienia ziemskie łączą się z pierwszymi radościami duszy już wyzwolonej z ciała, tak, że nie wiedzieć gdzie się tamte skończyły, gdzie się te zaczęły. Śmierć ciała nie jest śmiercią duszy, i ona snuje dalej ten wątek uczuć i myśli, które ztąd z sobą zabrała, tylko snuje go w błogości, w uszcze-

śliwieniu, w zachwycie. To przejście z życia do śmierci, które dla duszy nie jest ani przerwą, ani przemianą, to pomysł niezmiernie oryginalny i bardzo pięknie wykonany.

Artystą także, nieświadomym, nie kształconym, ale artystą do szpiku kości, prawdziwym, zdolnym natchnienia, jest *Organista z Ponikły*. Nic ładniejszego, misterniejszego, zręczniej zrobionego, jak sposób, w jaki natura artystyczna, wrażliwość, namiętność muzyki, przebija się przez proste, nieuczzone słowa tego wiejskiego organisty; a to, co się w nim dzieje, kiedy przy summie gra, a jego muzyka z dymem kadzidel i chórem modłów leci gdzieś do nieba, to, naszym zdaniem, jedna z rzeczy tak pięknych, że u Sienkiewicza nawet, choć równych może być wiele, choć jest wiele świetniejszych i na skalę nierównie większą, piękniejszych znajdzie się chyba mało. Drobiazg; kilkanaście wierszy ledwo, ale porywające. I czemu ten biedny chłopiec kończy tak smutno? Tak mu dobrze, taki jest szczęśliwy. Kanonik przyjął go na stałego organistę; strycharz, który przedtem córki dać nie chciał teraz stał się uprzejmym, przyjacielskim, nie zezwolił jeszcze stanowczo, ale nie wzbronil nadziei. I wśród tego szczęścia, wracając od kochanki do domu, biedak zmarł na drodze? Są nieszczęścia w życiu, są czasem wśród samego szczęścia, to rzecz wiadoma. Ale ma się przecie jakiś żal do Sienkiewicza, że temu chłopcu nie pozwolił być szczęśliwym, a czytelnikowi cieszyć się jego szczęściem. Nieszczęścia się zdarzają, ale nie zawsze znowu ludzie marzną, idąc z jednej wsi do drugiej, w noc mrozną wprawdzie, ale jasną i bez wiatru, jak nie zawsze wilki zjadają dzieci, które w lesie zasnęły. Nam się zdaje, że Klon mógłi zejść zdrowo do Ponikły, a powieść, i jego figura, nie byłyby na tem nic straciły z tego wielkiego wdzięku, jaki w nich jest; zdaje nam się, że to nieszczęście niekonieczne, przypadkowe, to ślad czy resztką tego pesymizmu, który u Sienkiewicza młodego zjawiał się często, a od *Jamiola* już się nie był odzywał.

Pełne smutku, ale pełne prawdy także, nie dociągane umyślnie do końcowego efektu, ale przejmujące silnem i bolesnem wrażeniem przeciwieństwa, jest *U źródeł*. Młody urzęd-

nik na skromnej posadzie, kochał młodą panienkę; rodzice odmówili, bo nie był dość dobrą partyą. Żal jego jest bliski rozpacz. Ale nazajutrz, czy za dni parę, przyszedł ojciec panny i powiedział mu wręcz, że się rozmyślił, że się przekonał, że córka tęskni i cierpi, a więc niech się dzieje wola Boska i niech was Bóg błogosławi. W duszy młodzieńca szczęście bez miary i granic, i różne rodzaje szczęścia od pierwszego spotkania z panią aż do dnia ślubu, aż do przysięgi przed ołtarzem, aż do pierwszego dnia wspólnego pożycia. Wszystko to on opowiada, opisuje w błogiem uniesieniu swoich radości — aż na końcu pokazuje się, że to wszystko nieprawda! To przyście ojca, to spotkanie z dziewczyną, te przygotowania przedślubne, ten ślub, to mu się wszystko marzyło tylko w gorączce, na którą zapadł: a rzeczywistością jest jedynie pierwsza odmowa. Na czytelniku, który myśli do końca, że ma przed oczyma rzeczywistość szczęścia, odkrycie to robi wrażenie równie niespodziane, jak smutne; ale powiastka bardzo ładna, bardzo przejmująca i radością zrazu i smutkiem. A kiedy biedny chłopiec, przyszedłszy do przytomności, cieszy się, że miał chociażby przywidzenie i złudzenia szczęścia, życzy mu się z całego serca, żeby znalazł jeszcze, i niezadługo, jego rzeczywistość.

W *Sielance* niema nic smutnego. Jasny promień słońca, jasny błękit nieba, jasna majowa wiosna na ziemi, a wśród tego dwoje dzieci, piętnastoletnia córka leśnego i ośmnastoletni syn smolarza, chodzą po lesie i zbierają kwiatki na wianki, bo jutro święto i odpust w kościele. I nie więcej? Nie. Chodzą, zrywają kwiatki, gadają, dziewczyna zasypia ze zmęczenia, potem wracają do domu. Czy się kochają? Ma się rozumieć; i nawet już sobie z tego zdają sprawę. Ale to naiwnie, z dziecinną jeszcze świeżością i prostotą; pierwszy pączek na kwiat uczucia, który z zielonych obłonek ledwo pokazuje różowy kolor listeczków. Stoją w pamięci „leśne bogi“ z czwartej księgi *Pana Tadeusza*. Tamci musieli już być starsi, doroślejsi, a przytem mignęli się tylko. Ale gdyby zatrzymali się dłużej i dali się sobie przypatrzeć, z pewnością nie byłiby ładniejsi, jak ei.

Przed *Ogniem i Mieczem* była *Tatarska Niewola*, niby mała próbka wielkiego przedmiotu i stylu; podobnie *Quo Vadis* poprzedzone było małą powiastką *Pójdźmy za Nim*. Czy można? czy się uda? Czy się będzie umiało stapać pewno i śmiało po tym gruncie starożytnego świata, i odtwarzać jego postacie, odgadywać jego uczucia i myśli? Aż do-
tąd wyobraźnia Sienkiewicza przebywała w świecie chrześcijańskim, i w świecie wyłącznie polskim; przedmioty z dziejów powszechnych, ogólnie ludzkich, zostawały po za jej widnokretem. Ta powiastka pierwsza oznacza i dowodzi, że widnokrug rozszerzał się coraz bardziej, jak dowodzi, że przedsięwzięcia coraz śmielsze, coraz trudniejsze, nęciły artystę w miarę jak sił swoich doświadczył. Zmierzyć się z starożytnością, spojrzeć jej oko w oko, to zadanie, któremu nie podola sam talent i sama intuicya. Żeby tamtych ludzi dobrze i wyraźnie oczyma duszy ujrzyć, żeby wnikać w ich umysły i serca, trzeba ich poznać, studyować, trzeba się uczyć, jacy byli. Na domysł, na chybił trafił, stwarzać ich nie można, bo nie łatwiejszego, jak się zmylić tak, że nietylko podobieństwa nie będzie, ale będzie śmieszność. Pretensjonalna, czy konwencyonalna, czy karykaturalna, wszystko jedno, ale zawsze śmieszność. Sienkiewicz, kiedy jego wyobraźnia skierowała się w tę stronę, musiał nie żartem uczyć się starożytności. Podróże do Włoch i Grecyi znaczyły pewno wiele w tej nauce, bo we wrażliwym artystycznym umyśle budziły intuicyę, dar odgadywania; ale nie mogło przecież obejść się bez książek, bez studyów. Nietylko zaś rozszerzał się widnokrug wyobraźni, a wzmagała się przedsiębiorczość artysty; zarazem ustalało się stanowisko moralne artysty i człowieka, pogłębiał się i poważniał charakter jego powieści, ich dążność. Myśl religijna, która w *Niewoli Tatarskiej* zjawila się wyraźnie po raz pierwszy, w *Ogniem i Mieczem*, w *Potopie* występowała już jako siła główna bohaterstwa, zasługi, życia samego. Ale tam, w powieściach z XVII wieku, może ona była tylko koniecznym pierwiastkiem tych dusz rycerskich? może była artyście tylko potrzebną do obrazu, a nie należała do przekonań i uczuć człowieka? może w naszym XIX wieku

już tego znaczenia niema? Może Sienkiewicz, jako człowiek, myśli i czuje pod tym względem inaczej, jak Skrzetuski? Ktoby tak mniemał, ten z powieści współczesnych może się przekonać, że stanowisko religijne autora, jego stosunek do kwestyi religijnej, są takiesame, jak były w powieściach historycznych, z tą różnicą chyba, że są oznaczone z większą stanowczością i siłą. Dowodzi tego dość wyraźnie *Bez dogmatu*, a jeszcze może wyraźniej od niego ten powrót do religijnych uzeń i przekonań, który jest jedną i nader ważną stroną w historyi Polanieckiego. Ale tam jeszcze religia, wiara była pojęta i przedstawiona ze stanowiska świeckiego, żeby się tak wyrazić w stosunku do człowieka, jako potrzebna dla niego. Miłość chrześcijaństwa, jako taka, jego Boski początek, jego doskonałość, uwielbienie Chrystusa Pana, założenie Kościoła przez Niego, wiara w Kościół i miłość jego, to występuje w *Quo Vadis* samo przez się, jako absolutna i jedyna prawda, jako potrzeba nie jednej duszy ludzkiej, ale jako życie, przyszłość, nadzieja i zbawienie ludzkiego rodu. Stanowisko religijne Sienkiewicza, rozjaśniające i ustalające się stopniowo, doszło teraz do dojrzałości zupełnej i objawiło się w całej swojej mocy w *Quo Vadis*. Przed niem zaś w tej małej powiastce, która je poprzedzała, w *Pójdźmy za Nim*.

Nasuwa się tu kwestya zasadnicza, odnosząca się zarówno do tej małej, jak i do wielkiej powieści. Mianowicie, czy literatura świecka, czy poezya, a zwłaszcza powieść, dobrze robi, kiedy się tyka przedmiotów świętych? Nasze osobiste uczucie i zdanie jest, że lepiej ich nie tykać. Nawet kiedy intencya jest zupełnie pobożna, a traktowanie zupełnie poważne, jest w tem jakieś mieszanie rzeczy świętych z świeckimi, jakieś poufalenie się z pierwszymi, które wbrew uczuciu i zamiarowi piszącego może czytających prowadzić do zbytęznego oswojenia się z takimi przedmiotami i przytępić to uszanowanie, tę cześć religijną, jaka się przedmiotom świętym należy. *Ne misceantur sacra profanis* — a jak w kościele zachowujemy się inaczej, niż w swoim pokoju, jak nie przerywamy pacierza rozmową, tak i w sztuce czy literaturze rzeczy święte powinny mieć osobne miejsce dla siebie, a nie

mięszać się z innemi, służącemi do świeckich zajęć i celów, tembardziej do zabawy. Religijne malarstwo, religijna muzyka, nie sprzeciwiają się takiemu pojęciu. Obraz religijny choć nie jest w ołtarzu lub w kościele, ale w pokoju lub w muzeum, jest całością jednolitą i w sobie zamkniętą, treścią swoją odróżnia się i oddziela od wszystkich innych, zachowuje zawsze ten charakter religijny, jaki miał w myśli i natchnieniu malarza, jaki ma często w oczach i wrażeniu widza. Religijna muzyka zachowuje swój charakter także, choćby wykonana w pokoju lub w koncertowej sali, jak na odwrót muzyka świecka, wykonana w kościele, zachowuje swój, i razi. Średniowieczne misteria, dzisiejsze przedstawienia Męki Pańskiej w Ober-Ammergau, nie razią uczucia religijnego dlatego, że są w tem uczuciu właśnie robione, dla chwały Bożej, bez literackich lub aktorskich celów i pretensyj. Razią, robią wrażenie profanacyi, te ich naśladowania, które po różnych miastach pokazuje ciekawości spekulacya. Religijna poezya, kiedy jest tylko wyrazem uczucia, bywa najwznioślejszą ze wszystkich; kiedy jest kompozycją na temat religijny, nie udaje się prawie nigdy. Nawet Milton, wielki w *Raju utraconym*, który tworzył w swojej wyobraźni, był już zupełnie innym w *Raju odzyskanym*, który z natury rzeczy musiał być przerabianiem Ewangelii. Nie z religijnego tylko i pobożnego uczucia, ale z samych już artystycznych względów, przedsięwzięcia takie trudno udać się mogą, bo w prostocie Ewangelii jest wielkość jedyna, przy której największy majestat stylu ludzkiego i literackiego musi się wydać sztucznym i małym. Messyas Klopstocka jest zimny i martwy. Zaleskiego *Przenajświętsza Rodzina* jest zimna w swojej wymuskaney i czulej sielankowości. Nie przypominamy też sobie ani jednego poematu o Świętych i z ich żywotów, któryby robił wrażenie. Robią je kolędy; ale robią właśnie przez swoją naiwność, przez bezwiedne pomieszanie pobożności szczerzej z dziecinną poufałością.

Jest zaś jeszcze różnica wielka między poetycznem a powieściowem traktowaniem rzeczy świętych. Pierwsze, ze zdolnością i skutkiem lub bez nich, jest zawsze poważne, podnio-

słe w pojęciu i stylu, i jest jednolite, ściśle ograniczone przedmiotem; nie miesza spraw świętych z bardzo świeckimi i ludzkimi. Powieść tego mieszania uniknąć nie może. Nie-tylko musi z natury swojej być potoczniejszą, powszedniejszą, ale musi łączyć postacie i sprawy różnych porządków; da jakiś obraz z Ewangelii, czy z Martyrologium, a zaraz potem romans jakiegoś pana z jakąś panną. Ten romans może być najenotliwszy, ale jest zawsze romansem. Te dwa pierwiastki jednego dzieła należą do różnych porządków rzeczy, muszą i powinny robić wrażenie inne, odmiennej natury: zgodność, harmonia między niemi, bardzo trudno da się osiągnąć i utrzymać. W domach i mieszkaniach, kto ma pozwolenie na odprawianie Mszy św., dostaje je pod warunkiem, żeby miejsce dla Mszy przeznaczone, było oddzielone od łózek, umywalni, stołów jadalnych; podobnie w literaturach rzeczy święte powinny mieć swoje miejsce osobne, i nie mieszać się z świeckimi.

Niektórzy tak są urażeni w swoim uczuciu religijnem powieściami na tle żywotów Świętych, a zwłaszcza żywota Chrystusa Pana, że się zupełnie z nich gorszą i uważają je za profanację, za poniewieranie świętości. Tu, zdaniem naszym, trzeba rozróżnić. Poniewierania i profanacyi być nie może, jeżeli myśl i zamiar autora, choćby nie były pobożne, były poważne, i jeżeli przedmiot święty traktowany był poważnie. Nie zdaje nam się, żeby sławny *Ben-Hur* był pisany z uczuciem i w celu istotnie i głęboko pobożnym; a jednak nie możemy w nim widzieć żadnej obrazy ni ujmy dla przedmiotu, bo jego cel był widocznie poważny, a takiż był sposób wykonania. Uwłaczającym dla religii, obrażającym dla chrześcijańskiego uczucia, wydaje nam się to nowoczesne malarstwo, które traktuje przedmioty religijne tak, jak żeby one były pierwszymi lepszymi, które nie wierzy w ich religijną prawdę i treść. Uwłaczająca, gorsząca, wydałaby nam się powieść, któraby była do tego malarstwa podobną. Ale różnica między *Ben-Hurem* naprzykład, a obrazami Wereszczagina i nawet Munkacsego wydaje nam się widoczną i wielką, i choć w zasadzie przeciwnicy powieści o rzeczach świętych, choć nie wielbiciele *Ben-Hura*, nie widzimy słusznego po-

wodu, żeby się z *Ben-Hura* gorszyć. Nie należy też zapominać, owszem należy się pamiętać, że Kościół dopuszcza takie powieści, że nawet widzi je chętnie, że uczucie religijne i katolickie sumienie ludzi najznakomitszych i najświętobliwszych godzi się z nimi i uważa je za dobre, że początek tej powieści z dziejów Kościoła dał nie kto inny, tylko kardynał Wiseman. Jego *Fabiola* była pisana w celu ściśle i jedynie pobożnym, wprowadzała tylko niektórych Świętych, nie Chrystusa Pana; ale była powieścią, jak każda inna, tylko o Świętych. Była po części nawet romansem. Jeżeli kardynał Wiseman mógł ją napisać, to widać, że i nauka Kościoła, i jego obyczaj, i katolickie sumienie nie widzą nic złego w takich powieściach — oczywiście byle były w dobrym duchu i właściwym tonie pisane.

U pisarzy świeckich pobudki i cele były zapewne mniej wysokie. Na obszernem, ale bardzo wyzyskiwanem polu powieści, potrzebny jest płodozmian, różnaitość produktów: nie na to, by gruntu nie wyjałowić, ale na to, by znaleźć zbyt na produkta. Takim instynktem wiedzeni pisarze powieści, zaczęli się cofać o tysiące lat w tył, żeby tą nowością i pozorą oryginalnością przynęcać czytelników. Zaczęły się romanse z odległej starożytności: kartagińskie, egipskie, assyryjskie. Tym tropem może puścili się niektórzy i zaszli do przedmiotów ewangelicznych. Nie widzimy, iżby *Ben-Hur* był gorszący lub oburzający; sądzimy nawet, że nie był pisany bez religijnego uczucia. Ale sądzimy niemniej, że preokkupacya literacka, że chęć napisania powieści z przedmiotem nowym i nietkniętym, była główną pobudką autora. Jakkolwiekby, pierwszy raz wprowadzony był do powieści Pan Jezus, Jego osoba, żywot i męka. Powieść znalazła powodzenie, rozgłos, i naturalnie naśladowców. Czasy apostołskie zaczęły odtąd służyć częściej za przedmiot powieści, mniej lub więcej zdolnie pisanych.

Jeżeli powieść tego rodzaju jest, to nie może być pod wszystkimi względami lepszą, jak powieść Sienkiewicza. Pisana w szczerem uczuciu chrześcijańskim i pobożnem, z wiarą w boskość tego, o czem mówi, i ze ezią, z tej wiary

plynącą, tak, że chrześcijańskiego uczucia nie tylko nie razi, ale je budować może, pisana jest prócz tego z taktem delikatnym i szlachetnym, w stopniu wyższym, niż go miał kardynał Wiseman w *Fabioli*. Tam św. Sebastyan nie był niby bohaterem romansu, ale był celem czułych westelniei. Zdaje nam się, że stawiać i wystawiać Świętego w takiej sytuacji, jest jakoś dziwnie. Święty mógł za życia mieć ziemskie uczucia, albo je wzbudzać; ale dla nas on jest Świętym, stoi na ołtarzach, a kiedy nam go pokazują w światowych i roman-sowych sprawach, mamy takie wrażenie, jak żeby on zstępował trochę ze swojej wysokości. U Sienkiewicza kochają się ludzie, którzy może kiedyś świętymi będą, ale których imiona i żywoty przez niego wymyślone, nie są nam znane z martyrologium, ani z kościelnych officjów: a Święci jak występują, to myślą tylko o świętych rzeczach, o nawracaniu i zbawieniu dusz ludzkich. Sprawy ludzkie i miłosne łączą się z wielką sprawą chrześcijaństwa, rozwijają się na jej tle; ale jest zachowana granica, niby hierarchia, między Świętymi a prostymi, choć enotliwymi ludźmi. Do kogo się drudzy modlą, ten już do panien, choćby najenotliwszych i najwzniuślej, nie wzdycha. Nie mylimy się podobno, kiedy widzimy w tem znak bardzo delikatnego uczucia i taktu autora. Jest i inny. W obu powieściach posuwa się Sienkiewicz do ostatecznej śmiałości; w obu ukazuje się Pan Jezus w swojej osobie. Raz dwoje młodych pogan patrzy na Jego mękę, drugi raz widzi Go św. Piotr na Appijskiej drodze. Ale oba razy jest pokazany wprawdzie — nie jest wprowadzony w powieść; nie mówi, nie odzywa się, nie występuje czynnie. W tym sposobie traktowania takiej sytuacji jest uszanowanie i cześć. Sienkiewicz pisze to z uczuciem podobnem do tego, które człowiekowi świeckiemu nie pozwala dotykać się Hostyi, lub pod schody Pilata wychodzić inaczej, jak na klęczkach. Oprócz tego zaś religijnego uczucia i wrażenia, jest w tych powieściach, nie mówiąc o talencie i pięknościach artystycznych, inna jeszcze strona niezmiernie zajmująca, a bardzo świetna. Pisarz z wyobraźnią opanowaną światem starożytnym, a z umysłem i sercem przyjętem do głębi chrześcijań-

ską prawdą, pytał się i chciał sobie wyobrazić, jak ta prawda mogła działać na różne natury, różne umysły i różne sumienia pogan? Jak im się to wydawało? co oni mogli o tem myśleć? Jak ich uczucie i ich sposób myślenia więcej lub mniej lgnęły do chrześcijaństwa, lub je odpychały? Domysł to tylko, ale z obu powieści wydaje nam się widocznem, że problem psychologiczny, który Sienkiewicz widział przed sobą i chciał rozwiązać, był ten. W wielkiem *Quo Vadis* objawia się to wyraźniej i na większej liczbie wykładów; ale w małym i właściwie szkicowanym tylko *Pójdźmy za Nim* występuje już jasno i bardzo szczęśliwie.

„Już się ma pod koniec starożytnemu światu; wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje“. Te pierwsze słowa *Irydiona*, to określenie i formuła stanu rzeczy, którego objawy i skutki w przeróżnych odmianach odbijają się w różnych wydarzeniach, i w każdej duszy ludzkiej z osobna. Ten młody Rzymianin, dzielny, silny, mający w sobie *virtus* i doskonale jej zdolny, i ten stary Grek, mądry, umysłem i duszą wznoszący się gdzieś wysoko za śladem Platona, oni oba czują, że wszystko psuje się i rozprzęga, i dręcą się tą ezezością, tą nieświadomością prawdy, niemożnością oparcia swego życia o coś pewnego i stałego. Oba mają dusze szlachetne, a pozory prawdziwie klasyczne. Mógł tak wyglądać, mógł takim być, poganin uczeiwy z ich czasów. Wśród tego miłość szlachetna i rozpaczliwa troska młodego męża o żonę, która wędnie, schnie, gaśnie, trawiona straszną chorobą. Żadne sztuki lekarzy, żadne uroki czarnoksiężników, nie mogą usunąć tych widzeń, urojonych czy rzeczywistych, które dręcą biedną młodą kobietę o każdym południu, i przez śmiertelny strach zapędzą ją do grobu. W Jeruzalem jest jakiś stary żyd, sławny lekarz czy magik; może ten co poradzi, kiedy nie nie pomogło. Jadą do Jeruzalem. Prokonsul przyjmuje znakomitych gości, jak może najlepiej, przesadza się w grzecznościach, i proponuje, czyby dla rozrywki nie chcieli się przypatrzeć krzyżowaniu. Z postaci ewangelicznych występuje na scenę ta jedna. Pilat lękliwy i samolubny, ten co trwożnie ogląda się i na żydów i na Cezara, ten, co umywa ręce, staje

przed czytelnikiem, jak żywy. Ale czy w tym ostrożnym dworaku, a obojętnym sceptyku nie brak tej strony głębszej, tragicznej, której pozwala się domyślać Ewangelia, a którą oznacza silnie podanie, kiedy mówi, że Pilat skończył samobójstwem, jak Judasz? Pilat Ewangelii, Pilat pytający *Quid est veritas*, nie zdaje się być naturą płytką, choć nie jest wielkim charakterem; i trudno jakoś uwierzyć, żeby wiadomość o Zmartwychwstaniu był przyjął tak lekko i obojętnie, jak tu w powieści opowiada o niem swoim gościom. Zniknięcie ciała z grobu musiało go wstrząsnąć, przerazić go, jego, na którym sen żony widocznie zrobił wrażenie. Doskonały rzymski sceptyk, samolub i dworak, ale nie cały Pilat z Ewangelii, oto jak nam się ta figura wydaje. Za to pochod na Golgotę, tłuszcza urągająca, dzika i głupia, starszyzna żydowska, żołnierze rzymscy, ciemności ogarniające stopniowo cały widnokrąg, niby zwykle chmury, a na prawdę cudowne świadectwo, oddane Bogu przez naturę; wreszcie spojrzenie, które wiedziony na śmierć Zbawiciel rzuca na chorą Greczynkę, i wrażenie, jakie Jego postać robi na tych dwoje pogan, to są rzeczy wspaniałe, godne tych starych malarzy, co na małych płótnach umieli oddać całą bolesć, całą świętość, i całą potęgę przedmiotu, i widza swego poruszyć do łez współczuciem, do głębi sumienia skrucha i uwielbieniem. Męki Pańskiej w dziele świeckiem, traktowanej po świecku, a tak przejmującej, nie zdarzyło nam się czytać nigdzie. Literatura religijna i mistyczna, widzenia Katarzyny Emmerich na przykład, to są rzeczy innej natury i innego porządku, które do porównywania z powieściami nie nadają się wcale.

A teraz cel, przystosowanie, tendeneya? Co znaczy ten tytuł: *Pójdźmy za Nim?* czy to tylko ta młoda para cudem uszczęśliwiona i nawrócona mówi tak do siebie? Nie. Ów Cinna znalazł nareszcie prawdę i drogę wśród świata, w którym wszystko psuło się, rozprzęgło i szalało, świat ów znalazł życie. A czy żadnemu innemu nie miało się pod koniec, jak starożytnemu wtedy? czy w nim jednym zepsuło się, co w nim żyło? czy on jeden potrzebował ratunku i zbawienia? Obecny stan naszego świata ma z ówczesnym wiele po-

dobieństwa; nie od dziś to wiadome, tylko z każdym dniem widoczniejsze. Ratunek i przyszłość dla niego tam, gdzie były dla dawnego. I kiedy Cinna do swej żony i swego Rzymu, to Sienkiewicz do naszych czasów, społeczeństw i spraw mówi: *Pójdźmy za Nim.*

II.

Zadawaliśmy sobie nieraz pytanie, a odpowiedzi nie znaleźli nigdy, jak ludzie nie wierzący w Bóstwo Jezusa Chrystusa i w Boski początek Kościoła, radzą sobie na Dzieje Apostolskie. Rozumiemy, jak ze swojego stanowiska poradzili sobie na Ewangelię; pisma uznali i ogłosili za podrobione, Wcielenie i Zmartwychwstanie za bajki, bo to, co nadnaturalne, to nie może być. Dobrze. Ale po Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu dzieją się rzeczy, które naturalnego porządku i fizycznych praw nie tamią, a które w moralnym porządku spraw ludzkich są tak dziwne, niepojęte i niemożliwe, jak wskrzeszanie umarłych i wszystkie inne cuda. Gdyby nie więcej, tylko pierwsze wystąpienie św. Piotra w Jerozolimie. Zaledwo temu kilka tygodni, ten sam człowiek tak się bał, że na jedno zapytanie jednej dziewczki służącej wyparł się swego Pana. Teraz ten sam świadczy mu publicznie, przed tysiącami ludzi, wyznaje Go Bogiem, całemu żydostwu i jego starszym rzuca wbrew oskarżenie, że ukrzyżowali Syna Bożego, występuje przeciw całemu żydowskiemu światu, wystawia się na śmierć oczywistą, i nie boi się? Nigdy człowiek nie miał większej odwagi wobec tłumów i władz, jak ten sam Piotr, który tak niedawno był lękliwy aż do zaparcia się swoich uczuć i przekonań. Co się z nim stało? Jak mógł tak się zmienić i dlaczego? My rozumiemy to łatwo, przez Zmartwychwstanie i Zesłanie Ducha św.; ale oni jak wytłumaczą? Nie mogą powiedzieć, że to fantazyja i legenda, bo nie dzieje się przy tem właśnie nie fizycznie nadnaturalnego. Nie mogą powiedzieć, że to nieprawda bo nie mogą zaprzeczyć, że nawrócenie świata na wiarę Chrystusa jest

faktem. Siłą się na rozmaite sofizmata i naciągania, próbują dowodzić naprzykład, że św. Piotr nigdy nie był w Rzymie; ale napróżno. Gdyby nawet tego zdołali dowieść, to jeszcze nie zmieniają faktu, że Krzyż, że Kościół, że Papież osiadł w Rzymie i zapanował nad światem. Niechże dowodzą, że tego nie było, że tego nie ma! I jak się to stało? Po jednej stronie cały ówczesny świat w swojej najwyższej sile i cywilizacji, po drugiej dwunastu ludzi z żydowskiego pospólstwa, bez nauki, bez wykształcenia, bez żadnych ludzkich środków działania na serca i umysły, bez żadnych środków materyalnych tembardziej, i tych dwunastu ludzi rozehodzi się po świecie, a świat się przemienia? Żadnych nadzwyczajności żadnych cudów; cały fizyczny i świecki porządek rzeczy zostaje nietknięty, a jednak ta przemiana się dokonywa? Jeżeli to nie jest cud taki sam, choć dla zmysłów mniej widoczny, jak wskrzeszenie Łazarza, jeżeli to nie Bóg sam przez tych ludzi mówił i działał, to żadnym rozsądnym logicznym ludzkim powodem ten fakt zrozumieć i wytłómaczyć się nie da.

To „cudowne rozszerzenie się wiary“, które Kajsiwiczowi dało treść do jednego z najpiękniejszych kazań, które dla każdego umysłu zdrowego i nieuprzedzonego musi być jednym dowodem prawdy wiary, bo albo sprawił to Bóg, albo stać się nie mogło, trzeciego nie być nie może, a że się stało, więc stać się musiało mocą i sprawą Bożą -- to rozszerzenie się wiary i zwycięstwo jej nad pogaństwem jaśniało w myśli i wyobraźni Sienkiewicza, kiedy się skierowały do starożytnego świata. To go olśniło, przykuło do siebie, nachodziło go z całym swoim orszakiem postaci, enót, łask i poświęceń, które w różnaitości i mnogości swoich stopni i odcieni zaczęły się rysować na tle tej ogólnej światłości. Potem drugie pytanie, i drugie zajęcie wyobraźni: przedmiot tego zwycięstwa, świat pogański w swojej potędze jedynej, z pierwiastkami swojej siły i swojej niemocy, jaki ten mógł być, jak wyglądać, jak myśleć, jak się zachowywać? A wreszcie to, co miało być samą akcją powieści; walka tych dwóch sił. Chrześcijaństwo działające na świat pogański, i świat pogański, odpychający lub przyjmujący to działanie. Państwo,

które chce wytepić, natura ludzka, która się nie chce poddać, zmysłowość, która nie może poświęcić siebie samej, sceptycyzm, który nie może uwierzyć, zepsucie, które się buntuje, tradycya wieków, która się opiera — a wśród tego i mimo tego dusze jedne, wybrane, świątobliwe z natury, które dają się porwać i podbić odrazu i poddają się z rozkoszą, inne szlachetne i prawe, ale odporne, bo trudno im zerwać z wszystkim, czem dotąd żyły, a zwłaszcza oderwać się od siebie samych; jeszcze inne zepsute zupełnie, a przecież w końcu zwyciężone i zbawione, i Krzyż coraz szerzej rozciągający ramiona nad miastem i światem, oto co po kolei zjawiało się w myśli tego, kto chciał ująć w obrazy chrześcijaństwo w pierwszym jego wieku. Są jakoby trzy warstwy wrażeń i pomysłów w tym procesie tworzenia. Człowiek zajęty i przejęty był głównie sprawą „cudownego rozszerzenia się wiary“. Świat rzymski, w którym „cezar pan na ziemi i Jowisz pan na niebie kona i szaleje“, z kolosalnymi obrazami rozkoszy i zbrodni, z orgiami Nerona i męczarniami amfiteatrów, nęcił artystę, nie dawał spokoju jego wyobraźni, przemawiał do jego twórczości, kazał mu się malować. Wpływ zaś chrześcijaństwa na różne gatunki ludzkiej natury, walka, jaką one z tym wpływem toczą, jedne ulegające i poddające się stopniowo, drugie odporne do końca, a z różnych powodów, to znowu zjawiska i zagadnienia psychologiczne, które się narzucały rozwadze głębokiego znawcy serc ludzkich, i dla niego stały się niezmiernie zajmującym, trudnym do rozwiązania, ale godnym rozwiązania problemem.

Tak według naszego, może mylnego, wyobrażenia, po czynnało i formowało się w duszy i w fantazyi Sienkiewicza *Quo Vadis*.

Przedsięwzięcie było bardzo śmiałe. Nikt, żeby był największym mistrzem na świecie, nie może wiedzieć, czy starczy mu fantazyi i siły na takie postacie, jak Nero, na takie sceny, jak pożar Rzymu i męczeństwa w cyrkach. Każdy, kiedy się tych przedmiotów tyka, stawia na kartę swoją sławę artysty. Jeżeli mu się nie uda, to w zysku odniesie upokorzenie za życia, zmniejszenie swojej sławy na zawsze.

Pisarz lekkomyślny, płytki, a zarozumiały, nie czuje tego niebezpieczeństwa; porwie się na wszystko i ze wszystkiego skleci coś, co zdoła zająć równie lekkomyślnego i płytkiego czytelnika, a zaspokoi skromną ambicję szczęśliwego autora. Ale kto w swoim tworzeniu ma jakiś cel wyższy, prócz rozgłosu, kto od swego dzieła żąda rzeczy, nie pozoru, złota, nie szychu, a dla siebie chwały, nie pochwały, ten nie poprzestanie na konwencyonalnych retorycznych a słodkawych obrazach *Męczenników*, jak Chateaubriand, ani na takim *Rzymie za Nerona*, jaki przed trzydziestu laty łudził wielbicieli Kraszewskiego i jego samego. Taki wie, że jego Rzym powinien być prawdziwy, podobny do siebie i do historyi; taki wie, że spotka się na tem polu z poprzednikami, którzy opisali ten Rzym nie w powieściach wprawdzie, ale tak, że po wiekach zgroza ścina krew w żyłach i podnosi włosy na głowie każdemu, kto ich karty przerzuca. Między jego czytelnikami znajdzie się przecie choć trochę takich, co znają Tacyta; a kto dorówna wrażeniu, jakie ten robi? Dorównać zaś trzeba; dorównać powinien, kto sztukę swoją, dzieło swoje, i siebie samego pojmuje wysoko.

Nie wystarczy zaś wyobraźnia, nie wystarczy talent, nie wystarczy najszcześniejsza intuicya. W naszym wieku krytycznym i erudycyjnym sam Szekspir musiałyby bardzo poprawiać *Koryolana* i *Cezara*, żeby uniknąć zarzutów i żartów. Od historyków i archeologów dostało się do ogółu mnóstwo wiadomości, którym pisarz sprzeciwiać się nie może, bo go zaraz okrzyczą za nienka. Lada student, wertujący *Antiquitates*, złapie go na gorącym uczynku pomyłek; czytelnik o zwykłym średnim wykształceniu, choć nawet dzieł nie czytał, to z ilustracyj i streszczeń zapamiętał nie jedno o rzymskim trybie życia i obyczaju; a uczony umie to wszystko, jak pacierz, nie jeden lepiej, jak pacierz. Rzymianie i Grecy Chateaubrianda jużby dziś ująć nie mogli; wyglądałoby tak zabawnie, jak młody Scyta Bernardin de St. Pierre. Kto się na to pole puszcza, ten musi uczyć się starożytności, studyować ją; i to jeżeli pisze powieść, więcej daleko i bardziej szczegółowo, niż gdyby pisał poezję. Krasińskiemu wystarcza znać

«

i rozumieć historię, o archeologię może się troszczyć o tyle tylko, ile potrzeba, żeby w zewnętrznych pozorach *Irydiona* nie było nic rażącego, późniejszego. Ale Krasński w poemacie nie potrzebuje, nie chce i nie może schodzić w potoczne codzienne życie Rzymu za Heliogabala. Powieść przeciwnie, choćby przedstawiała sprawy największe i najbardziej tragiczne, musi zejść na pole tego powszedniego życia, i na jego tle, z niem w związku, te wielkie sprawy wprowadzać i pokazywać. Nie pytamy na teraz, czy u Sienkiewicza tej nauki, tej archeologii jest za mało, czy za dużo, czy w samą miarę; stwierdzamy tylko, że studia nad starożytnością były dla niego konieczne, a zapewne nie ułatwiały i nie zmniejszały trudności zadania.

Było ono zaś nietylko trudne, było i nowe. Literatura chrześcijańska zajmowała się od wieków i światem starożytnym, jako takim, i pierwotnym Kościołem, a w naszym wieku zajmowała się niemi nawet powieść. Ale zajmowała się inaczej. Dla kardynała Wisemana starożytność i powieść były pretekstem tylko i kształtem; cel religijny, budujący, był jedynie rzeczywistym. Chateaubriand chciał zapewne w najlepszej wierze dla swego czytelnika i dla siebie wrażenia religijnego, ale bez swojej wiedzy może poprzestawał na romansowo-religijnem wzruszeniu, a z wiedzą lub bez wiedzy miał chwałę własną sto razy bardziej na myśli i celu, niżeli chwałę Bożą. *Ben Hur* pisany był, jeżeli się nie mylimy, w celu przeważnie artystycznym i literackim, bez nauczającego, tendencyjnego. Wielki *Irydion* jest cały nauczający i tendencyjny, ale ma inną kwestyę na celu. On śledzi praw historyi i daje naukę patriotyzmu podług myśli i woli Bożej. Chodzi mu o zastosowanie prawa i życia publicznego do chrześcijaństwa objawionego, jedynie prawdziwego i zwycięskiego; o zwycięstwo jego nad przewrotnościami i nieprawościami społeczeństw chrześcijańskich, nie o jego zwycięstwo nad dawnym rzymskim i pogańskim światem. Sienkiewicz chce pokazać, jak prawda Boża, dlatego, że jest prawdą jedyną i Bożą, zwycięża wszelką siłę pogańską, zwycięża ją swoją siłą nadprzyrodzoną, zwycięża w samej swojej przegranej, w swoim

7
prześladowaniu i umęczeniu. To stanowisko jest odmienne od wszystkich, jakie się dotąd widziało w dziełach świeckich i belletrystycznych podobnej treści. Jest zupełnie nowe; punkt widzenia, wybrany przez autora, nie był zajęтым przez żadnego z jego poprzedników. Raz zaś obrany i zajęty, obowiązywał on znowu do zadań i przedsięwzięć trudniejszych, niż wszystkie poprzednie razem wzięte. Z tego bowiem wynikła konieczność wyobrażania sobie i przedstawienia nietylko stosunku różnych natur ludzkich do chrześcijaństwa, ale wśród chrześcijan samych różnych rodzajów i stopni wiary, miłości i męstwa. I ten pomysł zuchwały uczepił dopiero Sienkiewicz jeszcze zuchwalej o to podanie, które dało tytuł jego powieści, o św. Piotra, wychodzącego z Rzymu, żeby się chronić przed męczeństwem, zawróconego z drogi przez Zbawiciela. Najeżone trudnościami zadanie ukoronował jeszcze tą. Mógł swój pomysł obrócić inaczej, mógł zostawić na boku św. Piotra, mówić o nim, ale nie kazać jemu występować i mówić. Zrobił tak, a robiąc tak, naraził się na dwa niebezpieczeństwa straszne. Jedno, że jako artysta, nie odtworzy tej postaci, zostanie poniżej zadania; drugie, że urazi nią, lub zgoła obrazi religijne uczucie czytelnika. W wyobraźni twórczego artysty nie dzielą się, mniemamy, te różne pierwiastki jego pomysłu, tak porządnie i systematycznie, jak je liczy i gatunkuje krytyk, zastanawiający się nad gotowem dziełem. Zapewne i refleksya artysty nie obejmuje z góry i odrazu wszystkich trudności, jakie nosi w sobie pomysł, ale w miarę, jak dzieło postępuje, nasuwają się szczegółowe pytania, jak tę lub ową sytuację przygotować, jak rozwiązać tę lub ową trudność. Przecież choćby nawet artysta nie zdawał sobie sprawy naprzód i szczegółowo ze wszystkiego, co jego pomysł w sobie zawiera i do czego go obowiązuje, to niemniej tkwią w myśle te pierwiastki, te zobowiązania, trudności i niebezpieczeństwa.

Zakreśla więc Sienkiewicz na wielkie rozmiary obraz Rzymu cesarów i obraz pierwotnego chrześcijaństwa, w tej chwili szczególnie charakterystycznej, klasycznej, jeżeli się

tak można wyrazić, jaką jest panowanie Nerona i pierwsze prześladowanie.

Ma on stale ten zwyczaj i sposób tworzenia, że kiedy przystępuje do przedmiotu wielkiego, nie zapowiada z góry jego wielkości, nie uderza w wielki dzwon, nie zaczyna od scen efektowych, narzucających się gwałtem wyobraźni czytelnika; owszem, wchodzi w swój przedmiot po cichu, nieznanie, niby bocznemi drzwiami. *Ogniem i Mieczem* zaczyna się od zwykłego marszu garstki żołnierzy przez step i od spraw prywatnych nieznanego czytelnikowi i zrazu obojętnego pana Skrzetuskiego; *Potop* od testamentu nieboszczyka staro Billewicza i od przyszłego zameżenia jego wnuczki. Stopniowo dopiero rozwija się obraz i ukazuje się cała zgroza czasów. *Quo Vadis* zaczyna się podobnie. Nie widać ani Nerona i jego zbrodni, ani Rzymu i jego zepsucia, ani chrześcian i ich świętości; nie słychać żadnego tonu uroczystego a złowrogiego, któryby ostrzegał, jak prolog *Irydiona* naprzykład, że dalej będą rzeczy straszliwe i wzniosłe. W domu bogatego patrycyusza dwóch przyjaciół i krewnych spotyka się po długim niewidzeniu, a treścią rozmowy są osobiste uczucia i sprawy jednego. Za taki nieznaczny koniec trzyma autor nitkę swego opowiadania; po niej dojdzie do kłębu, po niej wejdzie i nas wprowadzi w ten straszny labirynt zgrozy, jakim okaże się jego powieść. Fabuła sama jest bardzo prosta, mogłaby być obrobioną i wyczerpaną w małej powiastce. Młody patrycyusz, pielęgnowany w chorobie w domu znajomych, zobaczył tam dziewczynę, dzieckiem niegdyś wziętą w zakład od barbarzyńskiego jakiegoś ludu, a tej rodzinie oddaną na wychowanie. Pokochał ją namiętnie. Starszy przyjaciel, a poufały Cezara, chcąc mu w tej sprawie dopomóc, sprawia swoim wpływem, że Cezar upomina się o zakładnicę i każe ją umieścić przy dworze. Ztamtąd rozplomieniony trybun wojskowy dostanie ją łatwiej, niż z domu przybranych rodziców. Ale kiedy ten plan już się wykonywał, dziewczyna w drodze znikła. Porwali ją współwynawcy, chrześcianie, i ukryli między sobą. Poszukiwania, uwieńczone pomyślnym skutkiem, skoro młody trybun zdołał wysledzić schronienie

dziewczyny. Ale gdy się wyprawiał na jej porwanie, spotkał się z obroną tak silną, że ledwo życia nie postradał. Chorego pielęgnują chrześciane, pielęgnuje dziewczyna sama. Miłość rośnie, a zarazem w serce Rzymianina padają pierwsze ziarna tej nauki, w jego głowę pierwsze promienie tego światła. Miłość jest wzajemna i mogłaby skończyć się szczęśliwie. Ale Neronowi przychodzi chęć ucieszenia się widokiem płonącej Troi. Pożar Rzymu; oskarżenie chrześcian, że oni go sprawili — i pierwsze prześladowanie. Dziewczyna, uwięziona pospołu z innymi ma zginąć w amfiteatrze na rogach byka, ale wyratowaną jest cudownie nadludzką siłą tego sługi, który ją dwa razy już ratował, którego siła w tym razie podparta jest inną, rzeczywiście nadludzką. Młody patrycyusz, który sakrament Chrztu przyjął już dawniej, teraz bez przeszkody przyjmie sakrament drugi, i z poślubiłą pojedzie żyć spokojnie daleko od Rzymu.

To jest cała treść romansowa powieści; zawikłań, perypecyj, intryg w niej nie ma; ale są sytuacje dramatyczne, czasem przerażające, naprowadzone i rozwiązane z wielką sztuką i wielką nawet techniczną zręcznością, są obrazy niezmiernie siły, a inne wielkiego wdzięku, i są postacie pomyślane z intuicyą niezrównaną, wykonane z deskonością, równą intuicyi.

Zaraz ci dwaj, co pierwsi występują na scenę. Jeden, żołnierz, burzliwy, gwałtowny, namiętny, ale dzielny; podobny trochę do Kmicica, z tą różnicą, że Kmicie jest moeno nadpsuty, a ten zupełnie porządny Rzymianin i poganin. On nie zrobił nigdy nic, co w jego pojęciu i w pojęciu jego świata byłoby złem. Tylko w jego pojęciu nie mieści się, nie powstała nigdy myśl, żeby mogło być złem to, co jego woli i jego pasyi jakiegokolwiek dogadza. Zna podłość i tej nie popełni nigdy; zna swoją żołnierską cześć i patrycyuszowską godność i tych strzeże pilnie. Ale żeby jego wola i żądza miały jakieś granice, albo przeszkody, żeby on miał hamować się w pragnieniu lub w gniewie, tego on nie rozumie. Serce ma dobre, a naturę prawą, tylko nie zna praw, których one słuchać mają; i trzeba będzie wielu przejść, wielu boleści, żeby

to serce, dobre w gruncie, uczuło litość nad cierpieniem drugich ludzi, żeby ta natura prawa i tęga podniosła się do cnoty świadomie unilowanej i statecznie a heroicznie pełnionej. I w tem także przypomina Kmicica. Tamten z głębokiego upadku podnosi się do doskonałej miłości ojczyzny; ten ze swego ucziwego, ale pogańskiego sumienia dochodzi stopniowo do najwyższej chrześcijańskiej cnoty, do wiary niewzruszonej, do miłości rozplómiowanej, do pokory i rezygnacji zupełnej, do zupełnego przewyciężenia, przeobrażenia swojej natury, która w tych wszystkich przejściach zachowuje zawsze swoje wrodzone rysy prostoty, prawości i tęgości. Viniciusz, właściwy bohater powieści, jest jednym okazem tego wpływu, jaki chrześcijaństwo wywiera na natury pogańskie, tego sposobu, w jaki one przyjmują ten wpływ, tego psychologicznego procesu, który był, naszym zdaniem, jednym z zamiarów i zadań autora, a jest jedną nader ważną i zajmującą stroną jego powieści.

Jego wuj, Petroniusz, to znowu zupełnie co innego. Produkt cywilizacji przerafinowanej, dochodzącej do najwyższego materialnego i umysłowego sybarytyzmu, a przez to działającej szkodliwie na umysły i charaktery najbardziej wyborne. To jest sam kwiat tej cywilizacji; wieki greckiej nauki, poezji i sztuki, całe pokolenia filozofów i retorów, składały się na to, by wykształcić i ozdobić ten rozum, wyostrzyć ten dowcip, wypolerować to wychowanie, wyrobić ten smak. Wszystkie wymysły i wykwinty wschodniego i rzymskiego zbytku składały się na to, by wypieścić do rozkosznego użycia to szczęśliwe stworzenie i zrobić mu życie rozkosznem. Co geniusz starożytności wyhodował najszlachetniejszego, najdelikatniejszego, to weszło w naturę Petroniusza, jak soki w roślinę, i zakwitło w nim najwspanialej. Tylko ten kwiat nie zawiąże się nigdy na owoc. Podziwia się w swoim blasku, dobrze mu w nim, i niczego nie chce, prócz żeby dalej było mu dobrze tak, jak mu jest. Wié doskonale, że w tem wszystkim, co umie, nie znalazł prawdy; rozumie doskonale, że jego świat stracił siły żywotne; czuje nawet czezość w sobie, a próżnię koło siebie. Mógłby doskonale

i tej prawdy szukać, i swój świat podpierać, a przynajmniej go ratować, i tę czezość, czy próżnię czemś zapelnąć — ale nie chce. Nie chce, bo nie poradzi i nie podoba; nie chce, bo nie warto; nie chce, bo nie wie, czy to, czegoby chciał i coby przedsiębrał, byłoby lepsze od tego, co jest; nie chce, bo mu dobrze i przyjemnie, a gdyby czegoś chciał, musiałby starać się, natężyć, walczyć, a wtedy nie mógłby już przyjemnie używać. Najrozumniejszy sceptyk i najestetyczniejszy epikurejczyk ma swoją filozofię życia, która go uczy, że prawdziwego niema nie ani w ludziach, ani w ideach, ale prawdą jest to, co działa rozkosznie na jego wzrok, słuch, wszystkie zmysły, i umysł. Miłośnik zapalony wszystkiego co piękne, jest zbieraczem i znawcą wielkim wszystkich dzieł sztuki, a chce, żeby on sam ze swoją postacią, umysłem, otoczeniem i sposobem życia był w swoim rodzaju dziełem sztuki, jak grecki posąg, albo misternie rżnięta gemma. Nie jest zły; dla złego, jakie go otacza, ma pogardę i obrzydzenie; dla dobrego pobłażliwą sympatyę. Ale jego pogarda nie nabierze nigdy siły nienawiści i oporu, przestaje na wykwintnej ironii; jego instynktowy szacunek i pociąg do tego co dobre, nie stanie się nigdy uczuciem, ani postanowieniem, bo te pociągnęłyby za sobą przymus, albo cierpienie, albo walkę. Epikurejczyk tego nie lubi i unika; a sceptyk myśli, że wszystko na nie i wszystko nie nie warto. Nietylko nie jest zły, ale jest raczej dobry; tylko jest przez sceptycyzm zubożniały, sparlizowany na duszy i woli, a przez epikureizm dbały o to tylko, co mu przyjemne. Wie, że lada dzień może skończyć; ale chce żyć i kończyć przyjemnie, wykwintnie, estetycznie, a prócz tego wszystko mu jedno. Opaść musi kwiat; ale nie zwiędnie, nie zbrzydnie. Jak ta natura szlachetna w gruncie, a niezmiernie wykwintna, może wytrzymać w atmosferze podłości i okrucieństwa, w towarzystwie nikkzemników i parweniuszów, jakimi otacza go dwór Nerona? Dostał się tam zapewne skutkiem swojego urodzenia i stanowiska, albo może przypadkiem, a wytrzymuje siłą swojej obojętności, swojej filozofii, swojej bezwładności; cieszy się również estetycznymi wrażeniami, jakich tam zapewne nie brak; a bawi się i karmi

swoją ironią, podłościami, głupstwami, płaskościami, które go brzydzą. Viniciusz, to stara rzymska natura z dobrych czasów republiki, zablakana w gorsze czasy; Petroniusz, to produkt Rzymu Cezarów, ale produkt jego najszlachetniejszy, jeżeli nie wartością, to przynajmniej wykwintnością swoją, a tragiczny przez to, wyposażony tak hojnie najświetniejszymi zaletami i zdolnościami, nie jest zdolny do niczego, bo nie chce. Natura niezmiernie zawila, złożona ze zwątpienia i rozumu, ze szlachetności i obojętności, z estetyki i ironii, z odwagi i bezwładności, jest także wystawiona na działanie chrześcijaństwa, i pokazuje na sobie, jak pewien typ ówczesnego Rzymianina mógł się względem niego zachowywać. Żadnej nienawiści, co najwięcej rodzaj lekceważenia. Przymuszenie, że może to coś lepszego, instynkt, że może to i prawda; ale opór wyrozumowany i stanowczy. Tej prawdy trzeba z trudem dochodzić; doszedłszy, trzeba dla niej wyrzec się niejednego; nie warto!

Rzadko kiedy okazał się Sienkiewicz takim artystą, jak w tej postaci. Wypracował, wymodelował wszystkie jej zażyłości i fałdy, aż do najdrobniejszego; ale nie pracowita, drobiazgową robotą, tylko śmiało, pewnymi pociągami. Wykonał misternie, jakżeby rył profil na małym drogim kamieniu, a w takim wielkim stylu, jakżeby jednym zamachem lał go z brązu. Klassyczny pozór, twarz i postawę posągu dał mu i zachował stale; a przez ten pozór pokazał wszystkie skrytości i wszystkie pierwiastki tej duszy, która nie jest, jak Irydion Krasieńskiego, duszą człowieka dzisiejszego w kształcie greckiego półboga, ale w całości i we wszystkich swoich szczegółach na wskrós ówczesną.

Popatrzmy, jak zupełnie podobny, tylko cokolwiek surowszy, jest wizerunek Petroniusza, skreślony przez uczonego znawcę starożytności. „Typ klassycznego zepsucia, kwiat wyhodowany w cieplarniach cywilizacji, o woni, która odurzyć może, i zatruć. Objaw to charakterystyczny dla Nerońskiej epoki. Człowiek ten nie popada w jej orgie dzikie i brutalne, ale subtylizuje i rafinuje rozpustę; wierzy już tylko w estetykę, i ma przekonanie, że ona wszystko odwonić i wszystko

uświęcić potrafi. Na głos oburzenia i potępienia wobec grubego występku nie stać go już zupełnie; ma tu w odwodzie tylko uśmiech zdziwienia, uśmiech miękki, i miękczący energie i dusze. Igra on na znużonych twarzach, jak róże i głogi, oplatające ruiny świątyni, z której duch i bóstwo uleciały na zawsze“ (Kazimierz Morawski: *Petroniusz Arbitr i romans w starożytności*). Petroniusz Sienkiewicza jest lepszy, miłszy, bo obdarzony niektórymi dobrymi uczuciami; ale jeden wizerunek ma się do drugiego, jak dwa portrety tej samej osoby, z których jeden cokolwiek upiękniał rzeczywistość, choć jej nie zmienił, a drugi oddał ją, jak ją widział, nie nie łagodząc.

Mimoходом warto rzucić okiem na tę młodą niewolnicę, co ułożyła pięknie fałdy tuniki na swoim panu, a gdy odszedł, objęła ramionami jego posąg i przytuliła się do niego namiętym a smutnym uściskiem. Długo nie będzie o niej słyhać, a nigdy nie odegra ona wielkiej roli w powieści; ale choć na boku zostawiona i szkicowana tylko, będzie jedną z wdzięczniejszych niewieścich postaci Sienkiewicza, przez miłość nieograniczoną, a tak pokorną, poddaną, nie żądającą nic dla siebie, nie znającą na świecie nic, prócz niego.

Bardzo ładna scena w domu Aulusów. Alma-Tadema lubi takie obrazki z domowego życia Rzymian i robi je z wdziękiem. Tu wdzięku nie mniej, a wdzięk mniej widocznie szukany, prostszy, poważniejszy, rzetelniej rzymski. Stary wojownik nudzi trochę Petroniusza opowiadaniem o swoich wyprawach; a w głębi gra w piłkę, którą młoda dziewczyna i młody żołnierz zabawiają małego chłopczyka. Viniciusz musiał w tej grze wyglądać jak jaki Diskobol albo Apoxiomenos. Dziewczyna nazywa się Lygią po swoim plemieniu, a na imię Callina. To imię leśnego krzewu, który służy do poetycznych porównań pieśniom i powieściom ludu, wskazuje wyraźnie każdemu, toby po jasnych włosach i niebieskich oczach nie poznał, z jakiego to północnego kraju pochodzi ta wiosna, jak się o niej wyraża Petroniusz, przez której „tanagryjskie kształty przyświeca Psyche, jak światło przez alabaster lampy“. Czy hipoteza o naszym pochodzeniu od

owych Lygów jest prawdziwa, czy nie, wszystko jedno; pisarz powieści miał niezaprzeczone prawo uważać ją za prawdziwą. A że miał Lygię za jakąś Polkę z przedwiecznych czasów, to się czuje może wyraźniej, niż się słyszy, ale czuje się niemylnie. Lygia, podobnie jak Helena w *Ogniem i Mieczem*, była dlatego do nakreślenia trudną, że wprowadzie o nią głównie chodzi, cała powieść braca się koło niej, ale ona sama musi być zawsze bierną. Tu trudność była większa, bo w tej bierności trzeba było pokazać chrześciankę, kochającą poganina i walczącą z tem swoim uczuciem. Ale trudność wyszła na dobre. Kontur biernej kochanki wypełnił się własnie i ożywił się tą walką; nabrał indywidualności i rzeczywistości; a Lygia choć nie działa wcale, choć pokazuje się i odzywa się niewiele, jest bardzo żyjącą i bardzo wdzięczną postacią.

Kiedy Viniciusz chwytą sposobność, żeby jej wyznać swoją miłość, ona rysuje rybę na piasku ogródka, jakby chciała poznać, czy on rozumie, co ten symbol znaczy. Nie zrozumiał. Ta ryba, to między niemi przeszkoda, przedział; Lygia pyta zapewne w głębi serca, czy i jak da się kiedy usunąć?

Za nią, jeszcze bardziej w cieniu tak, że się ledwo z niego wychyla, stoi poważna, szlachetna postać jej przybranej matki. W postawie, w głosie, w obejściu Pomponii, jest coś odmiennego i wyższego, co czują, przed czem schylają głowę wszyscy. Nawet ten Petroniusz, który nie wierzy w nic, wierzy w jej zaćność i nieskażoność. Ona przed poganami o swojej wierze nie mówi, nie próbuje ich nawracać; czasem musi powiedzieć, że ma Boga innego, jak oni, ale wtedy zrozumieć jej nie mogą. Stoi pośród nich, jak istota z innego jakiegoś świata, niezrozumiała, ale widocznie lepsza od innych. Kiedy nie może nawrócić swego kochanego Aulusa, kiedy nawet syna nie może chować w swojej wierze, i nad tem boleje całą duszą, a cierpliwie tę boleść ofiaruje Bogu, prosząc, by im oczy stworzył, ma się wrażenie, że tak myśleć, tak się modlić musiały święte chrześcianki w pogań-

skich małżeństwach. Tak może wyglądała przy swoim mężu św. Monika, w tych latach kiedy jej syn był jeszcze mały.

Petroniusz, litując się miłosnych udřeżeń Marka, wymyślił sposób, żeby im położyć koniec. Neron kazał Aulusowi odesłać zakładnicę do pałacu. Scena pożegnania, kiedy twardy stary Rzymianin rozczuła się nad nieszczęśliwą dziewczyną i błogosławi, kiedy Pomponia z nią razem modli się i daje ostatnie nauki, bardzo piękna, bardzo wzruszająca. Za Lygią idzie do pałacu kilkoro sług, między nimi jeden, który z północnych borów przyszedł z nią do Rzymu i nie odstąpił nigdy dziecka swoich królów. Schylmy głowy: to Ursus! Jak siłą do Herkulesa podobny, tak tu w powieści mocarz podobno pierwszy, i postać, w której Sienkiewicz najbardziej może pokazał się mocarzem.

Historycy, archeologowie, filologowie mają jakieś zarzuty przeciw powieści ze swojego stanowiska. Mówią naprzykład, że topografia Rzymu nie jest dokładna, że niemieccy uczeni nieraz ruszaliby ramionami na ten lub ów szczegół. My, którzy się na tem wszystkiem nie znamy, nie możemy odkryć tych pomyłek, ani się nimi zrażać. Wyznajemy, że nie wszystko rozumiemy, naprzykład co są ci Augustyanie i Augustyanki, którzy się ukazują zawsze w orszaku Nerona. Z czasów, kiedyśmy się uczyli starożytności rzymskich, zostali nam w pamięci *Augustales*; ale ci, jeżeli się nie mylimy, byli rodzajem bractwa, rozsianego po całym imperyum, a związanego ku czci imperatora, ale z jego osobą i dworem nie mieli nic do czynienia. Przypiski objaśniające możeby się sprzedały w drugim wydaniu powieści. Ale nie mogąc ani zaprzeczyć, ani stwierdzić ściślej archeologicznej dokładności, zauważylibyśmy tylko, że archeologii i erudycyi jest może cokolwiek za wiele. W dwóch pierwszych tomach, a zwłaszcza w pierwszym, te szczegóły mieszkania, ubrania, jedzenia i całego trybu życia Rzymian, zjawiają się i powtarzają, naszym zdaniem, cokolwiek za często. Czytelnik, prawda, może się w ten sposób niejednego dowiedzieć, ale sumienna pilność, z jaką autor te rzeczy studyował, jest cokolwiek za nadto widoczną.

Niektórzy gorszą się z uczt u Nerona. Zgorszenie, naszym zdaniem, trochę zabawne. Można nie pisać o Neronie i jego dworze, ale pisząc o nim, nie można usunąć na bok okropności i sprośności. Powieść nie jest pisana dla młodych panien i tym starsi tylko czytać ją mogą, opuszczając całe sceny i rozdziały. Zrobić zaś Nerona złagodzonego, konwencyonalnego, oblać go wodą z cukrem i poprzestać na kilku czułych wykrzyknikach o jego zbrodniach, to nie byłoby godnem ani Sienkiewicza, ani myślącego czytelnika. Jeden miał prawo stworzyć, drugi miał prawo żądać Nerona rzeczywistego w całej jego indywidualności, i w świetle całej zgrozy i podłości, jaka go otaczała. Obraz jest straszny; prawda! Ale orgia u Nerona nie mogła się odbywać, tak, jak ceremonialny obiad dworski dzisiejszy, ani jak obiad składkowy na uczczenie jakiegokolwiek politycznej czy artystycznej wielkości. To musiała być orgia — orgia w całym znaczeniu tego wyrazu, rozhukana do szaleństwa, a tragiczna tem, że żaden z tych pijaków i rozpustników nie jest pewien jutra. „Wśród kwiatów sztylety, wśród biesiad trucizny“. Tak też jest. Na tle wspaniałej dekoracyi, którą ci ludzie zrazu estetycznie się radują, rysuje się coraz wyraźniej, coraz silniej, obrzydliwość pijaństwa i obrzydliwość rozpusty; wspomnienia Agryppiny mieszają się z pieśniami Anakreona, pieśni ze sprośnemi żartami i sprośniejszymi ruchami; nie wiedzieć, co ohydniejsze, czy stan zwierzęcy tych biesiadników, czy podłość pochlebców, czy zabobonny strach tych niedowiarków, czy tańce bacchantek, czy krwawe zapasy herkulesów; a wśród tego wszystkiego Neron z przepysznie opisanym charakterem twarzy, Neron, w którym od tego pierwszego zjawienia odślania się i zbrodniarz okrutnik, i sybaryta wybredny, i komedyant, i zdrajca, i lubieżnik ohydny, razem i potwór, i artysta, i błazen. Nie oszczędził, nie złagodził Sienkiewicz ani jednego rysu okropności, ani Cezarowi, ani jego dworowi, ani jego orgii; ohydność i okropność występują w całym swoim blasku. Ale — i w tem pokazuje się szlachetny takt artysty a szlachetna natura człowieka — tych rzeczy strasznych jest tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, żeby obraz był prawdziwym,

a niema jednego zanadto, niema jednego, przy którym autor zatrzymał się dłużej, lub przycisnął go silniej. Tysiąc innych na jego miejscu byłoby dosadzało i przesadzało temi okropnościami, myśląc, że im więcej takich, tem lepiej, tem Neron i obraz bardziej efektowy, aż czytelnik zbrzydzone byłby musiał cisnąć książkę ze wstrętem. Sienkiewicz ma ten zmysł artystyczny prawdziwy, i ten zmysł moralny, że pokazuje złe, kiedy musi, ale się niem nie bawi, z niem nie rozwodzi i nie popisuje. Tak robi, kiedy w powieściach z naszego czasu ma traktować stosunki moralnie złe; tak robi tu, gdzie ma pokazać złe w jego ostatecznem rozpasaniu. Starczy mu siły i talentu na to, by tę ostateczność pokazać w całej jej strasznej zgrozie; ale starczy mu ich na to także, żeby utrzymać ją w mierze, a pokazawszy ją, jak był powinien, odwrócić się od niej ze wstrętem i prędko.

Na tej orgii jest Viniciusz, usposobiony tak, jak wszyscy inni, i nie rozumiejący, że orgia nie działa na Lygię tak, jak na niego — i jest Lygia, olśniona zrazu tem, co widzi, więcej olśnioną i odurzona tym sąsiadem i jego słowami, bojąca się, że ulegając temu urokowi, sprzeniewierza się swemu Bogu, a w końcu przejęta zgrozą i strachem, gdy Viniciusz upojony i żadzą i winem, ukazuje się w innej postaci zakochanego. Przed takim wzdryga się jej dusza, przed takim ona musi zamknąć i serce. I kiedy Ursus porwał ją na ręce i wyniósł, kiedy Viniciusz pijany do reszty zwałił się pod stół, biedna dziewczyna ma tylko jedną myśl! Uciekać! ratować się! nie tylko od Nerona i pałacu, ale i od tego także, którego już kochała. Uciekać! Ale jak i dokąd? Do Aulusów? to wydać ich na pewną śmierć. A więc gdzie? Układa się między Lygią, wiernym Ursusem, i Akte plan ucieczki z drogi, gdy Lygia będzie niesiona do domu Viniciusza. Bardzo ładna postać, ta Akte. Mało się pokazuje, bo tylko w tej części powieści. Ale jest smutek w tej opuszczonej, a zawsze wiernej kochance Nerona, która jedna go na świecie kocha; jest wielka dobroć, jest piękne przecucie i pragnienie jakiegoś innego, lepszego świata, i żal siebie samej, swojego poniżenia, swego życia. Ta się nawróci i może zostanie świętą.

Jest w tych scenach jeden szczegół, który dowodzi wielkiej technicznej zręczności autora, i wskazuje, jak on plan powieści rozważał i składał starannie, jak sobie zawczasu przygotowywał zarody sytuacji, mających się dopiero kiedyś rozwinąć. Kiedy Akte wyprowadza Lygię do pałacowych ogrodów, kiedy tam spotykają Poppaeę i jej dziecko na ręku niewolnicy, kiedy to dziecko zaczyna płakać, czytelnik myśli, że to szczegół obojętny; tymczasem to spotkanie, ten płacz dziecka, stanie się kiedyś jednym argumentem, czy pretekstem, do przesładowania chrześcian.

Lygia zniknęła. Viniciusz zabił własną ręką niewolnika, który mu to oznajmił, innych skazał na męki. Rozpacz za nią miesza się z wściekłością na nią. Nie może pojąć, dlaczego ona się opiera, kiedy on młody, piękny, zakochany, i kiedy jej się podoba. Jak ją znajdzie, zemści się, zmusi, upokorzy, zdepcze. A tymczasem boi się, że nie znajdzie, truchleje na myśl, że może wziął ją dla siebie Cezar, szuka gdzie może i jak może. Rzuca się, jak lew zraniony; ale cierpi, jak człowiek z wielką duszą. Jak wściekłość tego lwa przemieni się w łagodność i pokorę, jak jego żądza przemieni się w miłość? Jak ta dusza pogańska stanie się chrześcijańską? To jest ten proces psychologiczny, który teraz się zacznie, a zapelni przeważnie drugi tom powieści.

Tymczasem, jak rzeka wążka przy źródle, tak ta powieść rozszerza koryto, zagarnia coraz więcej scen i stosunków, roztacza coraz więcej obrazów i wizerunków. Mała córeczka Nerona umarła. Jego prawdziwy żal, i ta komedia, czy tragedia żalu, jaką odgrywa, oddane i odróżnione są świetnie, a postać przy uczcie tylko pokazana, rozwija się stopniowo i wypełnia w tych scenach. Rozwija się także przed oczyma czytelnika i dwór Cezara w różnaitości figur i różnaitości poniżenia, od Seneki, filozofa i moralisty, który dba o swoją kieszeń i pozycyę, a boi się, że one w niebezpieczeństwie, od poety Lukana, który udaje, że Neronowi zazdrości talentu, różne gatunki i stopnie strachu, pochlebstwa, udawania, aż do ostatecznego spodlenia. Na tem tle współzawodnictwo dwóch ludzi, niby gra dwóch szermierzy: Tigellinus,

który szuka, jakby zdradził i zgubił Petroniusza, i Petroniusz, który zręcznie, z zimną krwią, ze wspaniałą pogardą, paruje jego sztychy, a wie, że kiedyś przyjdzie taki, którego odbić nie zdoła. Świetne figury i sceny, świetne obrazy Rzymu cesarów, jak równych nie przypomina nam na pamięć z tych, jakie znamy, powieści o Rzymie i cesarach. Zarazem płątina przygód, i niebezpieczeństw, która sama mogłaby zająć, choćby postacie były mniej głębokie, a obrazy mniej świetne. Bulwer naprzykład, który zawikłania i intrygi lubił i prowadził zręcznie a z efektem, byłby bardzo rad temu niebezpieczeństwu, które teraz grozi Lygii, i tej wyższej potędze rozpaczy, w jaką ono wprawia Viniciusza. Córeczka Cezara zapłakała, kiedy Lygia spojrzała na nią w ogrodzie; to Lygia ją urzekła i urokiem zadała jej śmierć! Tak mówi niańka murzynka, tak mówi Poppaea, zazdrosna o piękność dziewczyny, tak mówi Tigellin na złość Petroniuszowi, tak myśli chwilami, lub udaje, że myśli, sam Neron. To posadzenie, to dla Lygii śmierć, jeżeli się znajdzie; i biedny Viniciusz, który ją chce odszukać choćby pod ziemią, drży, żeby inni na jej ślad nie wpadli.

Na ten ślad on wpadnie, nie tamci, ale przez Chilona.

Ta nowa postać jest jedną z najśmielszych i najmisterniejszych, jakie Sienkiewicz kiedykolwiek nakreślił, i jest w swoim rodzaju kolosalna. Zbrodni jest w nim dużo; ale podłości są wszystkie, żadnej nie brak. Absolutny ideał podłości. Szpieg, donosiciel, rzezimieszek, tchórz, zdrajca, pochlebca, chciwy, mściwy, zazdrosny, ma duszę złożoną ze wszystkiego co niskie, co pelzające. Bo nawet obłudy w nim nie brak. Cynik z wytartem czołem, udaje filozofa, prawi o mądrości i enocie. Dlaczego i dla kogo ta hipokryzya? Ludzi długo nią oszukiwać nie zdoła; siebie samego? może istotnie oszukuje nią cokolwiek, ale w każdym razie on nią siebie samego bawi i w swoich własnych oczach podnosi. Wydaje się sam mniej podłym, mniej obrzydłym, mniej wzgardzonym, kiedy sobie powtarza, że jest filozofem. W swoją cnotę on oczywiście nie wierzy wcale; ale w swoją mądrość, w swoją miłość nauki i sztuki może po trochu i wierzy. Za

miłowanie piękności, a przynajmniej wytworności, żądę i zazdrość przepychu, ma na prawdę. Ma przebiegłość szpiega, spryt oszusta, i węch legawego psa. Ale prócz tego ma i rozum; a czytał wszystko, co tylko było napisane. Gdyby nie miał namiętności innej, jak łakomstwo, lubieżność i chciwość, byłby tylko podłym błaznem; ale że ma namiętność dręczenia i namiętność zemsty, więc staje się strasznym, złowrogim, piekielnym. To jest płaz, który z przyjemnością daje się deptać, bo wie, że jeżeli zdeptany potrafi ukąsić, to zabije. W płazie jest coś szatana; w szatanie jest zawsze coś błazna. Mięszanina podłości, pochlebstwa, chciwości i wykształcenia, kiedy mówi z drugimi, kiedy zostaje sam z sobą i mówi szczerze co myśli, a drwi ze wszystkich, Chilon ma humor i zacięcie, które przypominają Zagłobę, i nie ustępuje mu w dowcipie, jak nie ustępuje Petroniuszowi w rozumie. Z przyjemnością podziwia się w tym rozumie i dowcipie; ale z lubieżnością podziwia się w swojej podłości, w swoim talencie do obłudy i zdrady. Neron jest mniej zepsuty, Tigellin mniej podły, jak on. To jest zepsucie ostateczne, doprowadzone do doskonałości przez nędzę, która podżęga wszystkie poządliwości i wszystkie zazdrości. Ale Chilon w łaskach u Fortuny i Cezara, Chilon na dworze, Chilon wielka figura, Chilon lekceważący Petroniusza i protegujący Viniciusza, dopiero przewyższa sam siebie. Taką naturę wymyśleć, taką postać stworzyć, ze wszystkimi pierwiastkami i objawami podłości, wyposażyć ją przytem umysłem niepospolitym, i taki pomysł wykonać bez jednej pomyłki, w równej zawsze świetności, to tryumf istotnie wielki. Ale takiej postaci dać skończyć tak, jak kończy Chilon, to?... O tej kwestyi pomówimy w swoim czasie.

Wreszcie Chilon może Viniciuszowi zaręczyć, że tej nocy zobaczy Lygię. Przez złudzonych chrześcian dowiedział się, że ten uczeń Chrestosa, który teraz jest między nimi pierwszym, przyjechał do Rzymu; dowiedział się, gdzie oni wszyscy mają się zgromadzić, żeby go witać i słuchać.

Ma więc wyjść na scenę św. Piotr.

Gdybyśmy umieli pisać powieści, nie tykalibyśmy w nich takich przedmiotów. Ale zastrzegłszy sobie to przekonanie i uczucie, wyznajemy czemprędzej z wszelką gotowością i radością, że Sienkiewicz wprowadził św. Piotra z bardzo wielkim taktem, i chrześcijańskim i artystycznym. W tej postaci nie tylko nie nigdy nie razi, ale jest powaga, prostota, i dobroć świętego, jest wrażenie niezmiernie nad innymi ludźmi wyższości. Św. Piotr za tym pierwszym razem prawie się nie odzywa. Pisarz nie powtarza jego słów, nie wymyśla ich, tylko podaje ich streszczenie we wrażeniu, jakie one robią na słuchaczy. Czy on naucza, czy opowiada o Męce Pańskiej, o Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu, my nie słyszymy, co on mówi, tylko widzimy, z jakim uczuciem słuchają go wierni. Sposób użyty bardzo zręcznie i szczęśliwie, bo daleko mniej obowiązujący, a bardzo efektowy i wzruszający. Nad wszystkimi zaś wrażeniami góruje, przykuwa do siebie uwagę czytelnika, wrażenie, z jakim Winiciusz słucha Apostoła.

Jak się mogło poczynać nawrócenie w duszy poganina, który o nauce Chrystusa Pana nigdy nie słyszał i rozumieć jej nie mógł?

Winiciusz zrazu upatruje tylko, gdzie w zgromadzeniu może być Lygia. Nie uważa, co mówią, ale słyszeć to musi; i chce czy nie chce, musi odnosić z tego jakieś wrażenie. Pierwszem jest lekceważenie i znudzenie. O cnocie prawili wszyscy filozofowie, i o umiarkowaniu, i o marności bogactw, i o wszystkim; nie nowego! Ale niebawem następuje coś nowego. Dobrowolne wyrzeczenie się rozkoszy, dobrowolne poddanie się cierpieniu? Winiciusz się oburza. Cała jego natura protestuje, wzdryga się na takie pojęcie życia. Żołnierz i Rzymianin ma bierną łagodność za wstyd. Wyrzeczenie się rozkoszy życia poganin ma za głupstwo, i za krzywdę, niesprawiedliwość, gwałt. Winiciusz miałby wyrzec się tej Lygii, której pragnie, i która stoi o kilka kroków od niego? Chybaby oszalał. Ale to nie koniec jeszcze; jest tego więcej. Kochać bliźniego, kochać człowieka? Jako? każdego? i niewolnika, i Scytę lub innego barbarzyńca, i nieprzyjaciela?

To już i szaleństwo zupełne, i niepodobieństwo zupełne, i upokorzenie ostateczne. Młody Rzymianin czuje i pogardę i nienawiść do tego, co słyszy. Ale musi słuchać dalej, musi patrzeć, i zaczyna się dziwić. Dlaczego ten ubogi prostak, który tam mówi, ani filozof, ani mędrzec, ani kapłan, dlaczego ma taką powagę, że ci wszyscy ludzie słuchają go, jak wyroczni, a on sam, Viniciusz, nie może go ani lekceważyć, ani wyśmiewać, ani nienawidzić? co w tym starcu jest? Dlaczego on mówi o swoim Bogu ze wzruszeniem, jakiego niema nigdy żaden kapłan? A ci wszyscy ludzie, dlaczego oni modlą się do tego Boga inaczej, jak my do naszych? Oni go nie proszą o żadną pomoc, nie żądają, żeby im coś zrobił; oni go tylko chwala i wielbia, oni go miłują! Co za dziwni ludzie i jakie dziwne to ich uczucie!

Spostrzeżenie, że pogaństwo prosiło swoich bogów, ale ich nie kochało, spotykamy podobno po raz pierwszy, a rzadko zdarzyło nam się spotkać równie głębokie. Wielka prawda, rdzenna podstawna różnica między uczuciem religijnem u pogan a u chrześcian, odkryta, schwycona i określona w kilku słowach, jasno, prosto, jak wielkie i niezbite prawdy określać się umieją.

Ale Viniciusz słucha dalej, i dziwi się coraz bardziej, coraz mniej może pojąć. Ci ludzie mają swoje życie za czas przejścia, próby, a po jego końcu spodziewają się nieśmiertelności błogiej, szczęśliwej, liczą na nią jak na rzecz pewną, jeżeli na nią zasłużyć potrafią? Co się w ich głowach dzieje, co to za rodzaj szaleńców, tego poganin zrozumieć nie może; ale to rozumie, że skoro oni tak myślą i wierzą, to mogą nie dbać o ziemskie szczęście i życie. Szaleństwo; ale jednym rzutem myśli Viniciusz przypomina sobie tę czezość, tę nieświadomość celu, ten brak przyszłości, w jakich żyje i on sam, i każdy inny koło niego, i cały jego świat, i pyta przez chwilę czy to szaleństwo nie więcej warte, niż cała ich mądrość życia.

Apostoł skończył naukę, zaczął opowiadanie: jak się Pana zaparł, jak potem była Męka i Ukrzyżowanie, jak dalej na trzeci dzień biegł z Janem do grobu i znalazł go pustym,

jak Marya widziała Zmartwychwstałego w ogrodzie, a Kleofas w Emaus, jak potem widzieli Go wszyscy... To wszystko być nie mogło, ale ten człowiek nie kłamie. Nie! on nie kłamie, a mówi, że widział. Czyż może być, żeby był widział na prawdę...

Ziarno jest zasiane. Viniciusz jest zbyt owładnięty swoją miłością i swoim zamiarem, żeby mógł rozważać i rozmyślać. Prawda lub nieprawda tego, co słyszał, obchodzi go bardzo mało. Ale ta prawda już na niego wpłynęła bez jego wiedzy. On już teraz wie, że chrześcianie nie mordują dzieci i nie zatrują studzien. On wierzy, że Piotr nie kłamie. On czuje, że słyszał coś, o czym się jego światu nie śniło. I czuje także, czuje instynktem miłości, że choć Lygię porwie, to między nią a nim będzie zawsze jakaś przepaść nieprzebyta, niezapelniona — przepaść między duszami, między światami, w których żyją. „Pojął, że owa nowa religia wszechpiała w duszę coś nieznanego temu światu, w którym żył, i że Lygia, gdyby go nawet kochała, nie z swych chrześcijańskich prawd dla niego nie poświęci... Każda inna kobieta, jaką znał, mogła być jego kochanką; ta mogła być tylko jego ofiarą“.

Ale mniejsza o to. On jej żąda i dostać ją musi. Ziarno rzucone w duszę, zacznie się rozwijać, kiedy po usiłowaniu porwaniu Lygii, po zduszeniu straszego Krotona przez Ursusa, Viniciusz uratowany od śmierci przez Lygię, ale z kośćciami połamanymi przez jej obrońcę, pielęgnowany jest i leczony przez chrześcian.

Skończył się tom pierwszy. Większa część drugiego zapelniona będzie tem stopniowem rozwijaniem się ziarna w duszy, pogańskiej, ale prawej i zdrowej.

III.

„Zabijcie mnie“, mówi Viniciusz, kiedy przyszedłszy do przytomności, poznał, że jest między chrześcianami. Dlaczego go nie zabili, tego nie rozumie, choć mu powiedzieli wyraźnie, że im zabijać nie wolno, a przebaczać nakazano.

Nie rozumie — ale widzi, że go pielęgnują, leczą, karmią i obchodzą się z nim, jak gdyby im nic złego nie był zrobił. Widzi, że ten straszny olbrzym, który zadusił Krotona, a jego samego o mało nie zgniółł jak komara, służy mu jak piastunka. Więcej: widzi, że Lygia, którą pozbawił domu, dostatków, bezpieczeństwa, której chciał zadać gwałt, porwać ją — czuwa nad nim w nocy, pielęgnuje go, mówi z nim przyjaźnie. Nie rozumie więc, ale czuje, że to ludzie jacyś inni jak on. Zdziwienie wzrasta, kiedy zobaczył, jak się obezszli z Chilonem, przez niego wezwanym, przez Ursusa przy prowadzonym. Chilon poznany jest przez Glauka jako ten, który jego wydał rozbójnikom, a jego żonę i dzieci zaprzędał w niewolę. Zdrajca drży na całym ciełe, pewien, że przysła jego ostatnia godzina. Viniciusz sam uważa za rzecz najprostszą zabić go i zakopać w ogrodzie. To nie więcej, jak zdeptać robaka na ziemi. A oni nie zabijają? Nietylko nie zabijają, ale przebaczą? Po chwili walki, wezwany przez Piotra, przebacza nawet Glaucus; a kiedy tego zrozumieć nie może ani Viniciusz, ani Chilon, oni radują się swoim zwycięstwem i chwalą znowu swego Pana?

W duszy poganina łamie się pogarda dla tej gołębiej dobroci, ze czcią dla tej nieznaney enoty.

Wszystko to odbywa się w szeregu scen spokojnych, prześlicznie skreślonych, między którymi jako szczególnie piękne wskazać trzeba pierwszą rozmowę Viniciusza z chrześcianami i jego rozmowę z Ursusem. Coraz wyraźniej ustala się w Viniciuszu, uczucie, pojęcie, że Lygia, jeżeli jest inna, jak wszystkie kobiety, a dla niego więcej, niż cały świat, to właśnie skutkiem tej nauki, która jej dała inną duszę, tej nauki, którą on z wyobrażeń i przyzwyczajęń powinienby gardzić, do której ma złość, bo Lygię od niego oddała, a którą mimo tego musi uznawać za coś wyższego.

A Lygia? W niej także odbywa się przemiana i walka. Miłość ledwo zaczęta w domu Aulusa, zmrożona w pałacu Cezara, byłaby może poszła w zapomnienie, gdyby dziewczyna nie była już nigdy młodego żołnierza spotkała. Ale oto jest pod jednym z nią dachem, i tak inny, niż był kiedyś!

Chory naprzód, bezbronny, potrzebujący opieki, jak dziecko. A przytem choć chwilami bucha z niego porywezy gniew, choć pogańskie pojęcia odzywają się ciągle, on taki dobry, łagodny, prawie pokorny, wodzi za nią błagalnym wzrokiem przeprasza i wielbi rzewnemi słowy; i ten lepszy, szlachetny Viniciusz, rozżarza w sereu Lygii miłość, którą zgasił natarczywy, namiętny kochanek przy uczcie Nerona. I teraz w sereu dziewczyny przestrasz. Ona, która tylko Boga jedynie kochać chciała, ona kocha człowieka, i czuje, że z każdym dniem, z każdą chwilą, kocha go więcej. Czy się nie sprzeniewierza Bogu, czy nie grzeszy? Z tą trwogą w sumieniu biedna udaje się do Crispusa.

Surowy, stary prezbiter nie rozumie, jak w duszy może być miejsce dla stworzenia obok Stwórcy; co w myśli Lygii było wątpliwością i obawą, to w jego słowach wygląda jak występki, jak odstępstwo Boga. Zgromiona Lygia gotowa jest uwierzyć, że omal nie zgubiła duszy i tylko pokutą może ją uratować.

Ale na koniec tej rozmowy wchodzi św. Piotr, a ten z gorliwością w sereu nie mniejszą, lecz większą, niż Crispus, ma umysł szerszy i prawdziwsze, niż tamten, zrozumienie nauki swego Pana. Nie jest grzechem miłość między mężem a niewiastą, nie ma winy w miłości Lygii, a w troskliwości, z jaką się tej miłości strzeże, jest nawet zasługa. Unikać Viniciusza powinna, dopóki jest poganinem; ale powinna również prosić Boga, żeby mu oczy otworzył, a może bez grzechu o nim myśleć, pamiętać i chować w sereu nadzieję.

Różnica między zarliwością wyłączną, twardą, z zarodem fanatyzmu w sobie, a wiarą i pobożnością prawdziwie taką, jak Bóg przykazał, to zjawisko, które powtórzy się nieraz w późniejszych dziejach Kościoła, zaznacza się tu w samych jego początkach uczuciami i słowami, Crispusa i Piotra.

Ale Lygia swoim wyznaniem, św. Piotr swoją interwencją, stworzyli, mówiąc po dzisiejszemu, nową sytuację. Skoro dziewczyna tego poganina kocha, to nie byłoby ani

roztropnie, ani dobrze zostawiać ją nadal przy nim. Lygia opuszcza dom, w którym miała schronienie; opuszczony Viničiusz powraca do swojego. Co się w nim dzieje, jak się w nim wszystko łamie i szarpie, z tego sam zdaje sprawę w liście do Petroniusza. Jeżeli go Lygia kocha, dlaczego się przed nim ukrywa, kiedy on przecie chce ją wziąć za żonę? jeżeli nie kocha, czemu go nie odrzuciła? Chrześcianie, którzy mu życie darowali, a zdrowie wrócili, dlaczego mu ją odbierają? Z tego wszystkiego powstaje w nim gwałtowny żal i gniew na Lygię, na chrześcian, na ich naukę, na wszystko. Ale mimo żalu i gniewu, on chowa krzyżyk, który Lygia odchodząc położyła na łóżku śpiącego. Mimo żalu i gniewu, wierzy, że oni mówią prawdę, kiedy mówią o śmierci i Zmartwychwstaniu swego Pana; mimo żalu i gniewu, słucha spokojnie i ulegle Pawła, który mu mówi, że kiedyś zrozumie, dlaczego oddalono Lygię od niego, i że ją może odzyska. Co więcej, on sam nie wie, jak i dlaczego, ale przyznaje, że jest innym, niż był.

Dlaczego naprzykład nie ukarał niewolników, których zastał przy uczcie w swoim własnym tricliniu? dlaczego im przebaczył? a zwłaszcza dlaczego było mu jakoś słodko w sercu, że przebaczył? Dlaczego staremu niewolnikowi, którego zabił w przystępie wściekłości, poświęca teraz nie tylko nagrobek, ale smutne żalodne wspomnienie? „Kirke przemieniła ciała ludzkie, ale mnie przemiono duszę. Gdyby Lygia była podobna do naszych rozwódek, tobym jej nie kochał tak, jak kocham. Ale gdy kocham ją za to, co nas dzieli, domyślisz się, jaki chaos rodzi się w mej duszy i w jakich żyję ciemnościach, jak nie wiem, co mam począć“. Tak daleko on zaszedł. Możliwy stan jego określić tym wierszem z *Maryi Malczewskiego*:

To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota.

Zmiecie go jeszcze ten wicher z drogi, na którą wszedł.
Miłość, otoczona przeciwnościami, wywołała reakcję w duszy

świeżo i ledwo na pół przemienionej. Dawna natura, przywykła iść za pierwszym popędem, nie znosić żadnego oporu, wydobyla się na wierzch. Młody człowiek chce zapomnieć o naukach, które go wyrzuciły z równowagi, chce zapomnieć o tęsknocie i cierpieniu, zapomnieć o Lygii, a przynajmniej odurzyć się tak, żeby mieć złudzenie zapomnienia. Jak koń, który wziął na kiel, wraca on do dawnych przyzwyczajęń, rzuca się w rozpustę, upaja się nią, chce w niej stracić przytomność, zanurzyć się, zatonać, zatopić wspomnienie i cierpienie. Napróżno! Sztuczny szal trwa krótko, a po nim zostaje Viniciuszowi uczucie przedtem nieznanne: przesyt, niesmak, obrzydzenie do siebie samego i do wszystkich tych rozkoszy.

Te rozkosze wszakże ścigają go same. Znudzonego Neron, który odłożył wyjazd do Achaji, trzeba bawić. Tigellin, w ciągłym strachu, żeby go Petroniusz swoim wpływem nie przemógł, wymyśla festyn, jakiego jeszcze świat nie widział.

Spróbujmy sobie wyobrazić ten obraz w teatrze, jako zakończenie jakiegoś aktu opery. Najbogatszy i najwymyślniej urządzony teatr, nie wystarczyłby przestrzenią i machineryą na ten przepych; ale gdyby to być mogło, jak wyglądałaby ta pływająca po stawie złocona tratwa, obciążona stołami i naczyniami Sardanapalowego jakiegoś zbytku, zapelniona grupami ludzi w starannie wybranych strojach i postawach, cała spowita w festony kwiatów, kołysana dźwiękami muzyki, poruszana przez wiosłarzy, przebranych za wodne bóstwa. Na brzegach stawu, wśród sztucznych ogni i śpiewaków, ukrytych między krzewami, grupy bogiń i nimf, które głosem i ruchem wabia, przyzywają do siebie biesiadników. Może takiej uczty, takiego wyskoku i arcydzieła przepychu nie było za Neron, ani nigdy może ta, którą wspomina Tacyt, nie była tak niezrównana w swoim rodzaju; ale Neron, gdyby mógł o owym opisie zasłyszeć, nie miałby spokoju, dopóki by sobie takiej nie wyprawil.

Ucztę zakończono godnym jej epilogiem. Na brzegach wśród kwiatów i krzewów, ściagały się swobodnie rozpojone

i rozszalałe pary; sam Neron zniknął gdzieś z westalką Rubrią. Jeden tylko nie goni żadnej — Viniciusz.

Ale sam jest goniony. Z tej uczty, która wydaje się prostym dekoracyjnym obrazem, wysnuwa się wątek dalszych tragicznych zdarzeń. Przed samotnym Viniciuszem staje postać niewieścia z zasłoniętą twarzą. Poppaea, pewna, że w tej chwili nikt jej śledzić nie będzie, chce pofolgować pociągowi do pięknego młodzieńca. On jej nie poznał, ale ją odepchnął. Kimkolwiek ona jest, nie chce ani jej, ani żadnej innej, bo jedną tylko kocha i kochać może.

Augusta znika ze złowrogim uśmiechem, z upokorzeniem i z zemstą w sercu. Viniciusz, zbrzydzonej do reszty tą wściekłą bacchanalią, zamyka się samotnie w domu, ale nie ujdzie tej sieci żądzy czy zemsty, jaką płacze około niego wzgardzona Poppaea. Cezar wyjeżdża do Antium; a on odbiera rozkaz, żeby do tej podróży należał. Odmówić nie może, bo odmowa, to oczywista śmierć; ale nie może się i ruszyć bez zobaczenia Lygii, która jest całym jego życiem. Gdzie ona być może? gdzie ją chrześcianie mogli uprowadzić?

Kiedy się tak szarpie i miota w niewiadomości, staje przed nim niespodzianie Chilon. W nadziei zapłaty, ale i z wrodzonej passyi szpiegowania i donoszenia, Chilon pomyślał i szperał, aż wyszedł dom, w którym się Lygia schroniła, i oto przychodzi z tą wiadomością. Dom nie strzeżony; niech Viniciusz pójdzie z kilkoma ludźmi, a porwie dziewczynę bez oporu, i dziś jeszcze uniesie do swego domu. Parę tygodni temu, Viniciusz byłby starego lotra zasypał złotem za takie odkrycie; ale dziś on już inny. Przyrzekł, że przemocą nie targnie się na Lygię, i dotrzyma; a prócz tego on ją już kocha inaczej, jak wtedy. Porwać ją przemocą, zadać jej krzywdę, byłoby to zabić na zawsze swoje szczęście i jej miłość.

Wstręt go wziął do tego podłego Chilona; wstręt i gniew, który wybuchnął okrucieństwem. Nieokiełznana twarda rzymska natura bierze górę, i Chilon za to, że chrześcian i Lygię

szpiegował, wydany jest na chłostę i prawie na śmierć zamagany.

To barbarzyństwo Viniciusza było w powieści potrzebne, skoro z niego wypływa zemsta Chilona i prześladowanie chrześcian; ale to rys jedyny, który z naturą szlachetną Viniciusza nie jest w zgodzie. Jakikolwiek był ten Chilon, on chciał i mniemał usłużyć mu, po swojemu, ale szczerze. Za to go karać była niesprawiedliwość, którą Viniciusz uczuć przeciwie był zdolny; a człowieka starego, chorego, głodnego, siec różgami tak, że ledwo nie umarł, to barbarzyństwo, które przysłałoby Neronowi, ale nie Viniciuszowi.

Chilon, jak zdeptyany płaz, błaga o łaskę pokornie, pochlebnie, podle; a posłusznie dobywa resztek sił, żeby swego krzywdziela zaprowadzić do domu, w którym była nie Lygia, ale apostoł Piotr.

Zrobił to wszystko. Ale zrobiwszy i zostawszy sam, podniósł głowę, jak zmiażdżony wąż. Zostało mu życie i żądló, i ukąsi. Chilon poprzysięga zemstę; jest ich teraz dwie zawieszonych nad głową Viniciusza.

A teraz następuje chwila stanoweza w tem przeobrażeniu duszy z pogańskiej na chrześciańską, które jest psychologicznym problemem tej postaci, i jedną z głównych spraw powieści.

Viniciusz stoi przed Piotrem i Pawłem i spowiada się niejako przed nimi z tego, co się dzieje w jego duszy: określa zmianę, jaką w sobie czuje. Wierzy, że Chrystus umarł i zmartwychwstał; wie, że oni są ludzie dobrzy i lepsi od wszystkich, jakich widział; ale jego natura i jego cała przeszłość nie może tej nauki zrozumieć, ani się na nią zgodzić. „Czy grzechem jest radość? czy grzech miłować? czy trzeba chrześcianinowi być nędzarzem? czy miałyby wyrzec się Lygii? Wasze uczynki i wasze słowa, są jak przejrzysta woda, ale jakie dno tej wody? Jaka jest wasza prawda? Inny rzekłby wam: ochrzecijcie mnie; ja mówię: oświećcie mnie“.

Ta otwartość, szczerłość sumienia, warunek i cecha prawdziwego nawrócenia, wzrusza serce Apostołów. Skoro Vini-

ciusz musi jechać z Cezarem do Antium, więc Paweł, zmieszany z tłumem jego niewolników, pojedzie z nim i będzie go nauczał. Ale podróż to niebezpieczna; kto wie, co Cezarowi może przyjsć do głowy? jak się zechce mścić Poppaea? Viniciusz może nie wrócić. A więc prosi, jak o łaskę, żeby przed wyjazdem mógł widzieć Lygię. Gdy przyszła, następują niby zaręczyny, przy których Piotr zastępuje ojca i błogosławi, a potem w ogródku ta rozmowa dwojga zakochanych, w której mieszają się wszystkie wspomnienia dobre i złe z błogiem uszczęśliwieniem w sercu, z nadzieją pewnego szczęścia, w którym miłość ziemską nie straciła nic ze swojej mocy i swego wdzięku, tylko rozjaśniła się najczystschem światłem świętości. Viniciusz i Lygia może nie będą świętymi, ale tak, jak oni, mogli się kochać i najświętsi.

I teraz pod wrażeniem tego szczęścia, Viniciusz niewolnikom jednym daje wolność, innym zapłatę, jeszcze innym zmniejsza pracę, lub znosi karę, i odjeżdża.

Płynie drogą Appijską nieskończony orszak pochodu Cezara; on w tym orszaku. Ale zdołał zboczyć na chwilę, pożegnać Lygię i Piotra, którzy wyszli, żeby go jeszcze zobaczyć. Gdy wracali do miasta, zachodzące słońce oblało Rzym takim czerwonym blaskiem, że wyglądał jak w ogniu.

„Gniew Boży jest nad nim“, mówi Piotr.

W tej chwili tam w Antium gromadzić się zaczęły te chmury, z których gromy padać będą do końca.

Aż dotąd była to na tle historycznej epoki historia dwojga ludzi. Neron i jego czas był w głębi; na przodzie stał Viniciusz i Lygia. Teraz oni nie znikają, swoich pierwszych miejsc nie ustępują nikomu, tylko obraz się rozszerza i wciąga w siebie to, co w pamięci ludzkiej i w historii wieków stoi dotąd jako najstraszniejsze, jako kolosalne w swoim rodzaju zbrodni i zgrozy. Po dziś dzień i do końca świata zapewne, kiedy myśl ludzka wyobraża sobie i wymienia potwór, bez wahania i namysłu jako pierwsze nasuwa się jej imię Nerona. Kiedy chodzi o ostatni kres okrucieństwa, od jakiego doszedł czy spadł ród ludzki, pierwsze stają w pa-

mięci rzymskie prześladowania chrześcian. Porwać się na tę straszną postać i na te straszne jej wymysły, to śmiałość rzadka. Pisarze i poeci czerpali nieraz swoje przedmioty w tych czasach i dziejach; schodzili w katakomby, ukazywali cesarów i męczenników. Ale robili to zazwyczaj pobieżnie i ogólnikowo, lub też zostawiali na boku zgrozę, a wysuwali naprzód samą wzniosłość. Męki zostawały domyślne; czytelnik wiedział, że one są lub będą, ale ich nie widział. Taki jest *Polyeucte* Corneille'a i tacy *Męczennicy* Chateaubrianda. W *Irydionie* jest straszliwy obraz spodłonego Rzymu i spodłonego cesara; ale ten cesar nie jest wielki w swojej potworności, jak Neron, tylko owszem mały, a spraw i scen prześladowania niema wcale.

Sienkiewicz wprowadza na scenę ten kolos zbrodni, który się nazywa Neronem, a nie robi go figurantem, ukazującym się czasem na chwilę dla ozdoby i przyprawy, ale wnika we wszystkie głębie jego natury, wydobywa na wierzeh różne pierwiastki. Ten Neron, który dotąd był w cieniu, teraz w Antium pokazuje się czytelnikowi tak, jak koń przeprowadzany tam i napowrót, żeby go znawcy mogli dobrze obejrzeć. To są te rozmowy z dworzanami, te artystyczne, dylettanckie rozprawy, w których jest i szczerłość zapалу dla sztuki, i nieograniczona, a głupia zarozumiałość pospolitego wierszoklety i muzykanta, i pycha taksamo bez granic jak bez godności, złość przebiegła a nieubłagana, i sentymentalne rozmarzenie, czyli raczej rozdrażnienie nerwów. Zwłaszcza jego rozmowa z Petroniuszem w XIX rozdziale, gdzie rozmarzony swoim śpiewem, może trochę i winem, jest szczery, i mówi Petroniuszowi to, co sam o sobie myśli, to jest niezmiernie bystre, subtelne odgadnięcie tego wyobrażenia, jakie Neron mógł mieć o sobie. Czy istotnie takie miał, czy takim zupełnie był? — tego nikt z ludzi nie może już ani twierdzić, ani zaprzeczyć. Ale że mógł być takim, że znane nam pierwiastki jego natury zlały się tu w posąg bardzo plastyczny i przy całej wielostronności i zawilości bardzo jednolity, to może twierdzić, a zaprzeczyć nie może każdy, kto czytał

o Neronie cokolwiek od Tacyta i Swetoniusza, a potem przeczytał *Quo Vadis*. Temu Neronowi towarzyszy godnie Petroniusz, kiedy zręcznie i wykwintnie gani albo chwali, pochlebia, niby ganiąc, dla igraszki krzyżuje wpływ Tigellina, a utwierdza swój, bawi się jak Epikurejczyk, drwi jak sceptyk, gardzi jak człowiek, szlachetny, a przyjacielowi usiłuje pomagać jak człowiek, który ma dobre serce, choć sam o tem wiedzieć nie raczy.

Ale pośród tych literackich i artystycznych popisów, śpiewów i deklamacyj, tańców i mimicznych przedstawień, tych marzeń o podróży do Grecyi i oklaskach w Atenach i Koryncie, odzywa i powtarza się nieśmiało, ale coraz częściej, coraz wyraźniej to, co jest prawdziwem, najgłębiej ukrytem, najbardziej umiłowanem marzeniem Cezara. Swojego poematu o zagładzie Troi on nie może napisać tak, jakby chciał i zdołał, bo nigdy nie widział płonącego miasta. Artysta do wrażeń potrzebuje rzeczywistości, do natchnienia potrzebuje wrażeń. Neron mógłby opisać pożar Troi, gdyby obraz podobny zobaczył!

Pożar? Nie łatwiejszego; niech powie słowo, a zaraz stanie w ogniu Antium, albo jakie inne miasteczko. Ale tego słowa właśnie Neron powiedzieć nie chce. Boi się odpowiedzialności, boi się możliwej zemsty ludu, a może i bogów, jeżeli bogowie są. Chce pożaru; ale chce, żeby go wzniecił kto inny bez rozkazu, z domysłu, tak, iżby nikt nie mógł jego o klęskę oskarżyć. A potem Antium, czy jaka inna mała miejscina z drewnianych bud złożona, czyż to może dać mu wyobrazenie o tem morzu ognia, w jakim ginęła Troja. To mu się na nic nie przyda, tego podpalać nie warto! Wśród tego nawiasem i od niechceenia wtrąca on żale na Rzym. Smrodliwe wyziewy z niezliczonych domów i ulic dochodzą do samego Palatynu. Bogowie dali Cezarowi głos boski na podziw i uszczęśliwienie świata; ale cóż, kiedy te wyziewy szkodzą mu na gardło, sprowadzają chrypkę! Neron nie każe spalić Rzymu; ale tak powtarza, że pożar małego miasta nie posłuży do jego poematu, a zaduch Rzymu w końcu

pozbawi go głosu, że może przecie który z dworzaków domyśli się, odgadnie, czego on chce.

Tigellin się domyślił.

I znowu jeden błogi obrazek, niby święta idylla. Viniciusz wyrwał się raz z Antium, pośpieszył do Rzymu, do Lygii. Cichym wieczorem w ogródku tego samego ubożego domku, rozmawiają o sobie, o swojej wzajemnej miłości, i o swoim Bogu, o dzisiejszem szczęściu, i o tem większem, które ich czeka w przyszłości, jak po jego chrzcie i po ślubie mieszkać gdzieś będą w Sycylii nad brzegiem morza, pośród migdałowych gajów, jak zabiorą z sobą Ursusa, i samego Piotra, żeby miał wypoczynek na stare lata. W bliskim sąsiedztwie mieszkać będzie Pomponia z mężem i synem. „Czuli się oboje niezmiernie szczęśliwi, bo rozumieli, że prócz miłości łączy ich jeszcze jakaś inna siła, zarazem słodka i nieprzeparta, przez którą sama miłość staje się czemś niepożytem, niepodległym zmianom, zawodom i nawet śmierci“.

Kiedy Viniciusz opowiada Lygii, jak Paweł nauczał Petroniusza, albo jak sam, z porady Pawła, odłożył chrzest na to, by Piotr znalazł wodę na jego głowę, i żeby Lygia na to patrzała, staje w oczach *Sw. Augustyn* Ary Scheffera; myśli się, że ten młody rycerz mógł w tej chwili wyglądać podobnie.

Niezrównaną harmonię szczęścia maćci złowrogi znak. Rozbrzmiewają się ryki lwów. To te lwy, co niebawem wystąpią do swojej strasznej roli; ich ryk, to zapowiedź, że szczęście się kończy.

Zrazu jednak zdaje się ono jeszcze utrzymywać, upewniać.

Petroniusz tak zręcznie umiał zażyć Nerona, że ten rozkazuje Viniciuszowi, by czempredzej poślubił córkę króla Lygów, i oddaje mu dla niej bogaty podarunek ślubny.

A więc już żadnej przeszkody, żadnej obawy, już pewność szczęścia, zupełnie i na zawsze!

W tej chwili wpada goniec: „Rzym w ogniu!“

Neron potrzebował widzieć pożar Rzymu, żeby opisać pożar Troi. Sienkiewicz miał się zmierzyć z pożarem, nad który straszniejszego nie było na świecie. Miasto, jakiemu

równego nie znaly dzieje przedtem ani potem, ginące w płomieniach, to już dość przerażający widok. Ale ta klęska apokaliptyczna nabiera dopiero całej okropności i zgrozy przez powód kolosalnie zbrodniczy, a kolosalnie mały, który ją sprowadził. Sodomę spalił Bóg siarczystym deszczem — Rzym podpałiło proste zachcenie waryata, potwora, błazna. Dlatego ten pożar zostawił w dziejach wspomnienie straszniejsze, tragiczniejsze, niż wszystkie inne, jakie nasz świat pamięta. Artysta, który się zrywa na opisanie spalenia Rzymu, podejmuje się pokazać nietylko morze ognia i otchłau niieszczęścia, ale pokazać i to, co w ogniu ginie; niezrównaną wspaniałość miasta i niezrównaną rozpacz jego milionowej ludności, i pokazać przez to wszystko tę blahość i małość powodu, przez którą dopiero rozmiary nieszczęścia dochodzą do niezmierzonej wielkości.

Sienkiewicz się podjął; ale się i wywiązał z zadania i zobowiązania. W jego spaleniu Rzymu, kreślonym szerokiemi, zamaszystemi rysami, jest ogrom, jakiego ten obraz wymagał, a nie są opuszczone i zaniedbane te szczegóły, z jakich się składał. Z głębokiego namysłu, czy z instynktowego natchnienia, postępuje on stopniowo, przybliża nas po mału do tego ogromu zgrozy, zanim go da ogarnąć. Punktem środkowym jest jeden człowiek, Winiciusz, i śmiertelna trwoga, w jakiej pędzi do Rzymu, z jaką przedziera się przez płonące miasto, żeby szukać Lygii. Jego męka, to niby dominująca nuta w tej strasnej harmonii *calamitatis et miseriae*. Ta nuta dźwięczy wciąż rozdzierającym tonem, a towarzyszy jej huk, ogień buchający jak z wulkanu, trzask zapadających się domów, szum wiatrów pędzących czarne chmury dymu, i chór ludzkich jęków rozpaczcy, strachu, przekleństw. Piekło ognia i piekło rozpaczcy.

Zrazu to tylko nieszczęśliwy jeździec, który z konia ostatni dech wypiera, żeby dolecieć, znaleźć, ratować. Dusza rwie mu się pomiędzy przekleństwem cezara, odgadnionego sprawcy pożaru, a prośbą do Chrystusa i wiarą, że się zmiłuje i Lygię ocali. Tragiczne są te jego modły, ten szturm o zmiłowanie, przechodzący prawie w groźbę. „Ty możesz,

chybabyś nie chciał“ i zaraz ta myśl, że taką prośbą grzeszy. A im bliżej, tem gorzej. Już w połowie drogi ku Rzymowi, gromady ludzi patrzących, pytających, przerażonych. Luna zaczyna oświecać drogę; zachodzą ją już uciekający z miasta; wreszcie z ostatnich wzgórz Albańskich odsłania się Kampania, obłana czerwoną luną, jak krwią, a w głębi miasto.

W głowie Viniciusza kłębią się najstraszniejsze obawy, i jasne, trzeźwe przypomnienie wszystkich środków i nadziei ratunku, które mogły Lygię ocalić. Taką walkę myśli, choć nie w tym stopniu, zna każdy, kto choć raz w życiu drżał o drogie istoty w niebezpieczeństwie. Im bliżej miasta, tem bardziej go otacza ten sądny dzień popłochu, rozpacz, szalu. Gorący dym już tu w otwartem polu nie da mu oddychać, a nieszczęśliwi uciekający, lecą na oślep bez myśli, bez przytomności, bez świadomości, co się stało i co się z nimi dzieje. Jedno, co świta w ich myśli, to domysł, kto jest sprawcą nieszczęścia; jeden krzyk, który się powtarza, to „śmierć Cezarowi“. Z miasta tymczasem, które coraz bliżej, buchają coraz nowe wulkany; spadają ognistym deszczem płonące głownie, marmurowe kolumny świątyń nie palą się płomieniem, ale przeświecają różowym blaskiem, węglą się wewnątrz. Przebyć to morze ognia nie sposób; trzeba okrażać daleko, daleko, przepychać się i przebijać przez zbite tłumy uciekających, by dostać się do rzeki i na Zatybrzu szukać załki, gdzie mieszkała Lygia.

Dopał go wreszcie i znalazł dom pusty. A więc nie-spalona uszła. Tyle przynajmniej! Ale gdzie jest, gdzie jej szukać? Gdzieś za murami, w polu, bo tak uciekają wszyscy. Ale gdzie?

Wyczerpanego z sił, na pół zaduszonego dymem, z tlejącem się odzieniem, podnoszą jacyś ludzie z ziemi, na którą padł nieprzytomny — szczęściem chrześciance. Wśród nich odzywa się jeden głos znajomy, słodki, pieszczący, łaszący się, pochlebny; to Chilon, który wie, gdzie Piotr, gdzie Lygia i gdzie wszyscy, i obiecuje, że Viniciusza do nich doprowa-

dzi, a przysięga na ten płonący Rzym, że mu „odpłaci jego dobrodziejstwa“.

Chilon mówi prawdę. Wie, gdzie się ci wszysecy ukrywają; szpiegował ich, żeby dotrzymać tej przysięgi, żeby ich zdradzić i zgubić. Dotrzymuje obietnicy, i doprowadza Viniciusza nie do Lygii wprawdzie, ale do podziemi, w których modlą się zgromadzeni, a między nimi Piotr. Nad nim grzmi surowy głos Crispa, grożący sądem i karą, ale przerywa go miłościwy głos Piotra, nakazujący ufnosć, a obiecujący miłosierdzie.

I Viniciuszowi mówi on: „Ufaj“, i każe iść za sobą.

Scena spotkania z Lygią, kiedy Viniciusz naprzód chce ją i wszystkich ratować, zabrać z sobą do Sycylii, a potem, gdy zrozumiał, że Piotr nie może opuścić wiernych w nieszczęściu, on wtedy i sam odstępować ich nie chce, ale dzielić z nimi niebezpieczeństwa, a choćby śmierć, kiedy wreszcie prosi o chrzest, a Piotr wymawia nad jego głową sakramentalne słowa, robi takie wrażenie, że autor ma prawo zakończyć swój rozdział temi słowami: „Zdało im się, że izba napępnia się jakimś światłem nadziemskim, że skała jaskini otwiera się nad ich głowami, że z nieba spływają roje aniołów“.

Ale tymczasem zguba Rzymu może się stać zgubą Neroną. Lud odgadł, kto miasto podpalił. Widział żołnierzy podpalających i mordujących tych, co próbowali gasić. Zemsta wre w tych milionach; trzeba tylko człowieka i hasła, żeby wybuchała.

Neron wraca z Antium, żeby się nasycić widokiem płonącej Troi, ale się boi. Przystanął na wzgórzu, odśpiewał pieśń, oddeklamował wiersze, ale odgłos gróźb dochodzi aż do niego. Na razie udało się Petroniuszowi uspokoić lud obietnicą chleba, wina, odbudowania miasta i igrzysk. Ale czy to wystarczy na długo? Neron musi koniecznie odwrócić podejrzenie od siebie, wskazać jakiegoś sprawcę pożaru i wydać go na pastwę zemsty.

Do tej chwili jeszcze Neron nie był zupełny. Dylettant, artysta, rozpustnik, histryon — takim pokazywał się prze-

ważnie. Teraz objawia się w całej okazałości: podły, tchórz i okrutnik. Ale nie ten okrutnik pospolitszy i mniej zły, który z twardości serca lub wściekłości skazuje na męki; ten gorszy, obludny, któremu niedość męczyć, który do zupełnej uciechy potrzebuje dokuczyć, pastwić się długo, z zimną krwią bawić się każdym z osobna szczegółem, każdym prze-myślnie wynalezionym dodatkiem cierpienia swojej ofiary.

Szuka on teraz, kogo zemście ludu poświęcić; szuka między dworzanami. Najspodobniejszym wydaje mu się Tigellin, ten, co jego myśl odgadł i istotnie kazał miasto podpalić. Ale nizezemny płaz w strachu o życie nabiera odwagi i grozi. Jest prefektem pretoryanów, i może tych na Cezara podburzyć.

W tej chwili śmiertelnej trwogi wybawia Nerona kto inny. Połączona zemsta Poppaei i Chiloni odwróci niebezpieczeństwo od jego głowy i wskaże mu tyle ofiar, że się niemi najwścieklejsza zemsta ludu nasyci.

Warto zwrócić uwagę na techniczną biegłość i zręczność, z jaką pisarz powieści prowadzi swoją rzecz; jak nitki, dawno a nieznaczenie nałożone na warsztat, podejmuje teraz i wciąga w swoje pasmo. Córeczka Poppaei gdzieś na początku powieści płacząca, kiedy ją przenoszono koło Lygii, ciekawość, z jaką tej przyglądał się Neron na uczenie, późniejsza złość do Viniciusza, wszystko to teraz okazuje się potrzebnem i staje się sprężyną działania. Ale od zręczności bardziej godna jest uwagi siła istotnie dramatyczna, jaka jest w następujących scenach, i psychologiczna głębołość we wrażeniu i zachowaniu się ludzi. Z komnat Poppaei rozpromieniony tryumfujący Tigellin przynosi odkrycie: „Rzym podpalili chrześciane“. Nikt o tem nie słyszał, nikt nie myślał, nikt w to nie wierzy; ale wszystkim jak gdyby kamień spadł z serca. Od Nerona, do ostatniego z jego służalców, każdy przestaje się bać o siebie. Bezpieczeństwo, uspokojenie, radość! ze wszystkich tych piersi odzywa się zgodny krzyk o karę i zemstę.

Nad wszystkim góruje głos i postać Nerona. Ten po-łapał się w jednej chwili. Z przebiegłością łotra, a biegłością

komedyanta, w jednej chwili dobył z siebie patetyczne akcenta udanego oburzenia i litości nad nieszczęśliwym miastem. Ale kiedy to udaje, szczerzy jest w tem, czego nie mówi, co chowa dla siebie — w radości, że od siebie niebezpieczeństwo odwróci, i w tej największej, że będzie mógł męczyć ile i jak mu się spodoba, a z pozorami sprawiedliwości, z korzyścią dla swojej popularności. Wspaniały jest w tej scenie Petroniusz, któremu sumienie i honor nakazują opór, któremu rozum wskazuje opór zręczny, który czując, że chwila stanowcza, odważnie, a zawsze wykwintnie i napozór niedbale, stawia własną głowę na kartę.

Napróżno. Zbyt wiele różnych interesów i różnych namiętności jest przeciw niemu. Przegrać musiał; i widzi, że przegrał, że Neron już go sobie nakarbował i prędzej czy później zażąda jego głowy. Ale wrażenie jeszcze się wzmacnia, kiedy przed Neronem stają właściwi oskarżyciele i fałszywi świadkowie: Poppaea w otoczeniu żydowskich rabinów, a za nimi ukryty zdrajca, Chilon.

Piekielna złość i piekielne kłamstwo, z jakim opowiada swoją mniemaną historję, piekielna radość, z jaką wymienia różnych chrześcian, a na końcu Viniciusza i obiecuje wydać ich wszystkich w ręce siepaczy, to jest absolutna doskonałość podłości, połączonej z przewrotnością bez dna i złością bez granic. Ale nawet przy takim Chilonie dobrze wygląda Poppaea, kiedy woła o pomstę za śmierć swego dziecka, a zwłaszcza Neron, kiedy przezornie i lubieżnie chce swoją złość nasycić stopniowo, pomału, i niektórych wybranych, Aulusa, Viniciusza, Petroniusza, jak najlepszy przysmak zachować sobie na ostatek.

Rzecz postanowiona. Hasło: „Chrześcianie dla lwów“, rzucone z Palatynatu, rozbrzmiewa się wściekle po całym Rzymie.

I odtąd do końca powieści będą już tylko dwie rzeczy: męczarnie chrześcian w cyrku i męczarnie Viniciusza, który próbuje i usiłuje ratować Lygię, czasem zdaje się być bliskim tego celu, i przechodzi przez wszystkie zmiany i koleje obawy, rozpaczy, nadziei, błagalnej modlitwy, zwątpienia

w samego Boga, i znowu wiary — aż skończy wreszcie na tym spokoju, jaki daje poddanie się i odważne oczekiwanie niechybnej śmierci. Po tem dopiero następuje wybawienie i uszczęśliwienie.

Tu znowu jedna nawiasowa uwaga.

Powieści Sienkiewicza nie mają nic wspólnego z temi romansami przygód, intryg i awantur, które niegdyś były bardzo ulubione, a w których pisarz wysilał całą swoją sztukę na to, by bohaterów przeprowadzać przez coraz nowe niebezpieczeństwa, ratować z jednych, a wpędzać w drugie gorsze, czytelnika zaś trzymać w ciągłej trwodze o ich los i w gorączkowej ciekawości, co się z nimi na końcu stanie. Sienkiewicz nie należy do tej szkoły; ale żaden z tych, co do niej należeli, co najzręczniejsi umieli wymyślać i wikłać przeróżne perypece, żaden nie układał-zręczniejsi, nie stopniował umiejętności tych wrażeń i niebezpieczeństw, jak ten, dla którego przygody i przejścia same są rzeczą podrzędną, i do tego tylko służą, żeby na nich pokazać, co się dzieje w duszy nieszczęśliwego Viniciusza.

Chilon nie tracił czasu. Z żołnierzami poszedł prosto do domu, gdzie była Lygia. Zanim Viniciusz zdołał ją ostrzedz o niebezpieczeństwie, już była w więzieniu Mamertyńskim. W pierwszej chwili dałoby się ztamtąd ją porwać, ale ta chwila przeszła, więzienie otoczone pretoryanami. Trzeba więc czekać i szukać innego sposobu. A tymczasem można choć przychodzić pod więzienie, przez przekupioną straż posyłać listy i odbierać wiadomości, jeszcze nie wszystko stracone, może się znajdzie jaki sposób ratunku. Ale tymczasem nadchodzą igrzyska. Każdego dnia Lygia może być zawleczoną do cyrku. Nie będzie, bo dostała więziennej zgniłej gorączki. Ta choroba ratuje ją od śmierci na arenie, a może uratować zupełnie.

Co nocy wynoszą niewolnicy z więzienia trupy tych, co przez dzień pomarli. Gdyby się dało wynieść z innymi Lygię, jako umarłą? Czemu nie? Młody Nazaryusz najął się za posługacza w więzieniu, na to, by swoim służyć. On może i wykona. Rzecz ułożona, pewna. W ciemną, burzliwą

noc, na umówionem miejscu czeka Viniciusz z lektyką, ze swoimi ludźmi; czeka długo. Aż wreszcie ukazują się światła, nadechodzą grabarze z trupami, — Lygii niema!

Zabrano ją z Mamertyńskiego, a przeniesiono do Eskwilińskiego więzienia. To zły znak, znak, że Neron wyróżnia ją z tłumu więźniów, i zachowuje sobie na szczególną jakąś męczarnię.

I teraz nieszczęśliwy niema już żadnej rady, żadnego sposobu, żadnej myśli, prócz jednej: widzieć ją, mówić z nią, służyć jej, dopóki jeszcze jest na tym świecie! W tym celu przekupuje dozorcę „cuchnących dołów“, żeby go przyjął do swojej czeladzi. Tym sposobem, w tem przebraniu, widuje Lygię co nocy, a w dzień musi patrzeć na igrzyska — bo inaczej Cezar odgadłby, że on coś zamyśla, i tem głębiej ukryłby Lygię, tem bardziej pastwilby się nad nią.

Taki jest materyalny przebieg tych stopniowanych udręczeń i niebezpieczeństw, przez jakie przechodzi Viniciusz i Lygia. Co się dzieje w jej, a zwłaszcza w jego duszy, to będzie się pokazywać coraz tragiczniej i coraz wzniosłej, w miarę, jak odbywają się prześladowania.

Pożar Rzymu — to było już przedsięwzięcie strasznie śmiałe. Ale człowiek, który sobie mówi: ja wezmę i opiszę prześladowanie chrześcian przez Nerona, ten się zrywał na rzecz większą, a odważny był aż do ostatniej zuchwałości. Zbyć je krótko, rzucić szkie choćby bardzo energiczny, bardzo wyrazisty, ale pobieżny, i na tem skończyć, to byłoby zadaniem zapewne nie łatwym, ale możliwym dla człowieka z wyobraźnią i talentem. Tylko Sienkiewicz tak postępować nie chciał. On sobie powiedział, że jeżeli prześladowanie i cyrkowe męczarnie — to już ze wszystkim, co do nich należy. A więc i ogół, i w tym ogóle dużo, bardzo dużo szczegółów. Jeżeli obraz, to obraz na wielkie rozmiary, i długi, i wykończony, plastyczny. Niech wystąpi w całej zgrozie i szalony przepych imperatora, i niepojęcie okazały widok amfiteatru, i ostateczne rozbastwienie tłumu, i wszystkie wymysły okrucieństwa, i wszystkie męczarnie ofiar.

Takie postanowienie nosiło w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Prawda takiego obrazu musiała graniczyć o włos z okropnością nieestetyczną. Przedmiot jego był tego rodzaju, że choćby z największą miarą traktowany, mógł się stać dręczącym nie do wytrzymania. Natura ludzka wzdryga się na okropność moralną, jak i fizyczną. Zdrowy zmysł artystyczny nie znosi widoku katuszy, i po krótkiej chwili zamiast przerażenia i politowania, czuje wstręt. Tutaj zaś katusze być musiały, i posunięte do ostateczności, i miały się powtarzać wiele razy.

Czy Sienkiewicz uniknął niebezpieczeństwa i czy zwyciężył tę trudność niezmierną?

W naszym najszczerzszym i najgłębszym przekonaniu — tak.

Skarżą się niektórzy, że tych okropności jest za wiele, że ciała ludzkie skwierzące w ogniu, lub rozdzierane przez dzikie zwierzęta, że członki drgające, wnętrzności włózione w paszczach lwów i tygrysów, budzą w nich zmęczenie i odrazę. My odpowiemy, że bez tych straszliwości obejść się nie mogło, jeżeli obraz miał dać widzieć prawdę: okrucieństwo jednych a męczeństwo drugich. A więc są okropności; ale w okropnościach niema żadnego nadmiaru. Jak Sienkiewicz tego dokazał, to sekret właśnie jego talentu, jego estetycznego i moralnego zmysłu — sekret tej siły, która czuje, że może sobie wiele pozwolić, bo czuje, że zdoła się zawsze zatrzymać w mierze. Nikt nie potrafi patrzeć długo, a choćby krótko, bez wstrętu, na wnętrzności wyciągane korbą z św. Erazma w obrazie Poussina. Kiedy w dramacie poeta napręży do ostateczności sytuację dręczącą, jak robi Słowacki w III i IV akcie *Mazepy*, nie może pomimo całego swego talentu poradzić na to, że widz pragnie, by się to tylko jak najprędzej skończyło. W *Quo vadis* widzi się przez pół tomu wszystkie okropności męczeństwa, a tego pragnienia niema. Dlaczego? Jakim sposobem Sienkiewicz ustrzegł się tego niebezpieczeństwa? Wszak i jemu czasem zdarza się przebrać miarę i czytelnika dręczyć bez litości. Dowodem śmierć Tatarów w *Panu Wołodyjowskim*.

A tutaj tego niema?

Na nasz domysł czy zdanie, złożyło się na ten dobry skutek przyczyn kilka. Spróbujemy je określić.

Jak tam, gdzie w powieściach współczesnych opisuje natury lub stosunki rozpustne, on się niemi nie bawi, nie rozwleka ich, tylko pokazuje ile musi, i zaraz się od nich odwraca, tak podobnie postępuje tu, w obrazach męczarni. Wyrafinowane okrucieństwo, wymysły bujnej fantazyi w okrucieństwie, on sobie wyobrazi bardzo śmiało i opisze bardzo obszernie. Przypominamy tłuny chrześcian pozaszywanych w skóry, poprzebieranych za zwierzęta, nieszczęśliwe matki z postacią wilezycy, dzieci jako koźlątko, krzyże ubrane girlandami kwiatów, żywe pochodnie przywiązane do słupów zwojami bluszców i powoi: to wszystko służy mu za sposób do oznaczenia bezdenneego, bezgranicznego okrucieństwa. Ale chwila męczarni samej, ta trwa zawsze krótko. Ona jest; dziki pies wpił kły w kark klęczącej kobiety, lew łapą zgniótł dziecko, a w paszczę chwycił czaszkę ojca. Po widowisku ludzie i muły ledwo mogą uprzętnąć arenę z podartych, pokrwawionych ciał; ale wielki artysta przerywa ciągle te widoki, odwraca w inną stronę wzrok i uwagę czytelnika. Każe mu myśleć o tem, co w tej chwili robi czy Viniciusz, czy Neron, czy św. Piotr, czy Chilon, czy wreszcie cały lud w amfiteatrze, i łagodzi wrażenie przez to, że je zmienia, że je zastępuje innym.

Jak zaś w jednym epizodzie męczeństwa, tak postępuje i w ogólnym obrazie prześladowania: dzieli je na cztery odziały, wraca do niego w czterech odstępach, a w tych odstępach mieści sceny i wrażenia innej natury. Będzie to Viniciusz i jego boleść, albo Petroniusz i jego daremne starania, albo Poppaea, rozpaczająca za zabitym przez Nerona synkiem, albo św. Piotr w żalości i w uczuciu swej niemocy, albo nieszczęśliwi chrześciance bliscy zwątpienia, bliscy szemrania, a przez Piotra podniesieni na duchu. Te odstępy i ustępy, niemniej od scen cyrkowych wzruszające, ale wzruszające inaczej, stanowią niby wypoczynek, uspokojenie dla czytelnika.

Oprócz tych zmian zaś jest dopiero środek najdzielniejszy, już nie mechaniczny, ani artystyczny, ale moralny, który sprawia, że wrażenie okropności i zgrozy jest zawsze przewyższone, przewyciężone, przytłumione wrażeniem wzniosłości. Żaden obraz męczarni nie obejdzie się bez tego pierwiastka, i żaden nie kończy się zgrozą, tylko każdy wzniosłością — tak, że czytelnik, jako ostatnie wrażenie, odnosi podziw i podniesienie na duchu. A i w tem także jest stopniowanie. Za każdym obrazem ta wzniosłość występuje w wyższym stopniu i potędze. I tak: w pierwszym jest naprzód jako wstęp, wspaniały obraz ludu płynącego do amfiteatru, potem dramatyczna chwila, kiedy Vinciusz szuka Lygii między przeznaczonymi na śmierć, dalej podwójne walki gladiatorów. Występują wreszcie przebierani za zwierzęta chrześciance, klękają na arenie i śpiewają pieśni. Po ich straszliwej śmierci i po uprzątnieniu areny, schodzi w nią sam Cezar i śpiewa hymn do Apollina.

To koniec obrazu. Zdaje się więc, że po owym pierwszym śpiewie nie odezwie się już żaden ton wyższy.

Ale on jest; tylko za tym pierwszym razem odzywa się jako boleść, jako prośba. Św. Piotr z wyższych stopni amfiteatru patrzy na swoich z rozdartem sercem, błogosławi ich, i za nimi się modli. „O Panie, bądź wola Twoja! Zdaje ci te owce moje, weź je, poratuj, zagój ich rany, daj im więcej szczęścia, niż te męki doznały“. A na samym już końcu wyrывa się z jego piersi ten krzyk, który Kościół jak i narody tyle razy odtąd powtarzają: „Panie, komuż Ty oddałeś rząd świata!“

Potem przerwa. Usiłowanie porwania Lygii, jako niby umarłej, zakończone słowem z głębi zbolalej duszy Vinciusza: „Ja wierzę, że On może ją ocalić“. I znowu cyrk: to raz drugi. Męczennicy przebrani za Dedala i Ikara, kręcą karki. Inny za Muciusza Scaevolę trzyma rękę w płomieniach; niewiasty i dziewczęta rozdierane kołmi, jak Dirce i Pasiphae. Cezar umie stopniować artystyczne rozkosze ludu i swoje! Na zakończenie tego dnia chowa widowisko najpiękniejsze: cała arena zasadzona krzyżami, jak lasem — przypomina

się las szubienic w *Śnie* Krasińskiego. Ale tym razem zakończenie będzie inne. Już nie prośba, bliska prawie rozpaczy, ale otwarte wyznanie prawdy przez męczennika, i przypomnienie sprawiedliwości Bożej. Crispus, który swoim braciom groził ciągle straszny sąd, a potem ze skrucną wyrzucił sobie brak miłosierdzia, na krzyżu, konając, odnajduje swoją twarde, nieubłaganą siłę, ale zwraca ją nie do swoich, tylko do Nerona. Z wysokości krzyża pada słowo: „Matkobójca! biada ci! umrzesz w przerażeniu i potępiony będziesz na wieki“. Neron nie może się zemścić, nie może zadać nowej męki umierającemu i umarłemu. Na słowo prawdy rzucone mu w twarz w obec całego Rzymu ucieka on, ucieka ten cały Rzym w strachu i popłochu.

I znowu przerwa, a w tej przerwie dwa widoki: śmiertelna trwoga zbrodniarza, i nadziejskie, anielskie uspokojenie świętych.

Chilon się zemścił i rozkosznie używał swojej zemsty kiedy bogato odziany a dobrze żywiony ukazywał się w orszaku Cezara, zwłaszcza kiedy niesiony przez niewolników w złoconej lektyce mógł Viniciuszowi odmówić swojej łaskawej protekcyi. Ale przyszła kara i na niego. W tej podłej duszy nie zostało zdaje się, ludzkiego nic. Ale w tym umyśle greckim została jakaś wrodzona i rzetelna estetyczność; a w tem ciełe zostały nerwy. Chilon już naprzód przed widowiskami cyrkowemi czuje jakiś wstręt i strach; próbuje się z nich wykręcić, wyprosić. Neron, Tigellin i cała zgraja, zbyt używają na jego przykrości, żeby mieli sobie jej widoku oszczędzić. Drwią, śmieją się, i bawią się z jego cierpienia, jak kot z myszą. On się odcina, przymusza, chce koniecznie wytrzymać te widoki. Ale już pierwszego z igrzysk nie wytrzymał do końca; zemdłał. Przy drugim jest z nim gorzej. To już nie fizyczny strach, to samo serce i dusza trzęsie się i truchleje. Groźba Crispusa trafiła w niego, jak w Nerona. Ci ludzie pożarci przez zwierzęta, ci drudzy umęczeni na krzyżach, to jego sprawa. Sumienie jeszcze nie mówi; ale strach już go ogarnął, czarny jak noc, zimny

jak lód, nieubłagany, wszechmocny. Na ten strach rady nie ma.

I strach doprowadza tchórza przez rozpacz aż do odwagi. Chilon się oprze! nie pójdzie więcej na igrzyska, niech z nim robią co chcą, niech go zabiją, nie pójdzie. Idzie na niego jakaś noc, jakaś oteblań, w której nie rozpoznaje nic, tylko groźbę Crispusa i niewinność ofiar. On, który się do chrześcian zbliżał na to, by ich zdradzać, sam nie wie, że wsiąknął w siebie ich naukę. Zdradza; ale wierzy. Nie udaje, owszem z głębi przekonania mówi tym Rzymianom, że ich ofiary w mękach i śmierci widzą Chrystusa i Zmartwychwstanie.

Jego strach i zgrzytanie zębów takie, jak gdyby stał już przed sądem Bożym, to jeden obraz, — a drugi to przy barłogu chorej Lygii Viniciusz, przebrany za więziennego grabarza. On ufa i wierzy, i jej i sobie powtarza, że ona nie zginie. Piotr mu to przyrzekł; Piotr mu kazał ufać choćby ją widział w paszczy lwa; Piotr się za nią modli, a jemu przecież Pan nie odmówić nie może. Ale Lygia wyższa od niego, czy tylko dawniejsza w świętości, nie prosi o tę nadzieję. Tyle tysięcy dało już życie za Chrystusa, dlaczegoż ona jedna miałaby ocaleć? Chrystus sam nie chciał się od męki i śmierci ratować, jakże ona mogłaby prosić, żeby zrobił dla niej to, czego nie zrobił dla siebie? Ona umrze; a swego Marka prosi tylko, żeby jej śmierć zniósł cierpliwie, żeby jej zwłoki w swoim grobie pochował; a ona zaświadczy przed Bogiem, że on się Jego woli poddał, i prosić będzie żeby ich u siebie na zawsze połączył.

I następują te trzy dni, w ciągu których „oboje rozmawiają o miłości i o śmierci, zmieniają się w duchy smutne, rozmilowane w sobie i Chrystusie, i gotowe odlecieć. Na ziemi jeszcze opadał z nich proch ziemi. Pod grozą śmierci na barłogu więziennym poczęło się dla nich niebo“. Ale nie kończy się męka. Jutro wieczorem ogrody Cezara będą się świecić żywymi pochodniami, a Viniciusza straż nie puszcza już do więzienia.

Z tych wszystkich scen, wzniosłych i świętych, najwznioślejsza odbywa się jeszcze przed pierwszymi igrzyskami. Już tysiące uwięziono, już każdy o kogoś drży, albo kogoś oplakuje; ci, co jeszcze żyją i są wolni, pojąć nie mogą za co ich Pan tak doświadcza i karze. Oni w Niego uwierzyli, służyli Mu, kochali Go, a On ich opuszcza? Zebrani na modlitwę w podziemiu przebywają tę straszną chwilę, w której wiara trzęsie się pod zwątpieniem, nadzieja upada pod rozpaczą, a miłość sama nie wie, czy nie jest marnością. Dlaczego Chrystus na takie rzeczy pozwala? jak może na nie pozwolić? „Jak mnie chwycą, kto da jeść moim dzieciom“, woła jedna. „Kto mi wróci syna?“ odzywa się druga. „Kat znieważył moje córki!“ dodaje trzeci.

Ten pierwotny Kościół doświadcza w tej chwili tego, co jego Założyciel kiedy na krzyżu wołał: „Boże mój, czemuś mnie opuścił“, i jest w takim niebezpieczeństwie, w takiej pokusie, jak Konrad Mickiewicza, kiedy z nadmiaru boleści miał bluźnić. I w takiej chwili ma do nich przemówić św. Piotr, ma im powiedzieć, a tak iżby uwierzyli, że ich Bóg nie opuścił.

Jak to zrobi? jak ich pocieszy po tym synu, po tych córkach? jak im wytłumaczy, że te dzieci odzyskają?

Ze wszystkich niezmiernych trudności, jakimi najeżona jest powieść, ta była naszym zdaniem największa. W tym punkcie czekaliśmy autora z ciekawością naprężoną, ale nie bez niepokoju i obawy. Tutaj nie połowicznego, zwyczajnego ujęć nie mogło; byłoby obniżyło i postać Apostoła, i tę chwilę i powieść całą. Włożyć w usta św. Piotra pierwszy lepszy ogólnik, i powiedzieć, że on słuchaczy wstrząsnął i przekonał, to nie wystarczało. Św. Piotr musiał odezwać się jak Namiestnik Chrystusowy, nad wszystkich wyniesiony, od wszystkich bliższy swego Pana; musiał przemówić tak, żeby nie swoich słuchaczy tylko, ale i czytelnika przejął wiarą w tę wiarę, której nauczał, żeby temu dać uczuć, że to wszystko dobrze, że tak powinno być dziś, na to, by kiedyś było inaczej.

Udało się. Przemowa św. Piotra ma w swojej najczystszej prostocie tę moc wiary, która utwierdza, nadziei, która ręczy, miłości, która zapala. Zaczyna od własnego i drugich Apostołów zwątpienia. Pan umarł na krzyżu, nie wybawił ani Siebie, ani ich; a więc wszystko stracone! a więc wszystko może nieprawda? Ale po trzech dniach wstał z martwych i widzieli Go jak wstępował w niebo. Dla jego wiernych może być śmierć jak dla niego, ale jest i Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie. „Siejcie w płakaniu, abyście zbierali w weselu. Nad ziemią, nad Rzymem, nad murami miast jest Pan i idzie na podbój tego miasta zbrodni, ciemństwa i pychy, a wyście legia Jego“. I dalej w proroczym widzeniu widzi przyszłość świata do skończenia wieków: z kością męczenników fundament Kościoła, w grodzie szatana stolicę królestwa Bożego „a duchowi memu -każe Pan objąć rząd nad niem i nad ludami ziemi“.

Jest wielu, którzy królestwa Bożego na ziemi szukają, jemu służą, a myślą czasem i boją się, że ich Bóg opuścił. Dla takich także jest pociecha i pokrzepienie w tych słowach św. Piotra. Każdy z nich może wziąć do serca i zapamiętać ten przykład Pana Jezusa pytającego: „Czemuś mnie opuścił?“ przykład Apostołów, którzy po jego śmierci myślą, że ich opuścił, przykład chrześcian prześladowanych i tępionych przez trzy wieki. A przecież pokazało się, że opuszczeni nie byli. „Pan zawsze, jak wtedy, idzie na podbój tego miasta zbrodni i ciemństwa, a wyście legia jego“.

IV.

Trzeci oddział męczarni.

Ogrody, place, łąki, gaiki, na ogromnej przestrzeni zasadzone smolnemi słupami. Nigdy nie widziano ich tak wiele; aż sam lud rzymski dziwi się i pyta, czy może być tylu winnych. Będzie wspaniała illuminacya! Świat takiej nie widział, przedtem ani potem. Cezar umie urządzać widowiska, a po tem, co mu się zdarzyło ostatnim razem, po-

trzebuję olśnić lud i utwierdzić się w popularności. Ale ten lud jakiś nie swój, nie w humorze. Przesycił się już okrucieństwem i do nowego nie czuje ochoty; czuje raczej odrazę. Zmierzch zapada; oplecione kwiatami żywe pochodnie zaczynają się podpalać, przygotowane kadzidla zaczynają dymić, żeby stłumić swąd palących się ciał ludzkich: widowisko jedyne, niezrównane, a przecież widzów nie porywa tak, jakby powinno. Nadjeżdża i Cezar na tryumfalnym wozie, którym sam powozi; z tą różnicą, że jedzie a nie jest niesiony, przypomina się obraz Siemiradzkiego. Taki przepych, taki orszak, taka dekoracya wspaniałych budowli, kwiatów, i — pochodni.

Obraz bardzo malowniczy; w tej dekoracyi tłum grajków, bacchantek, wielkich panów, i Neron górujący nad wszystkimi z wysokości swego wozu. Nie kończy się zaś na przepychu; z pod niego wygląda złość, tem gorsza, że cicha, obłudnie się kryjąca, a przemyślnie podniecająca swoje wrazenia i satysfakcye. Dla większej przyjemności ma Neron przy sobie Chilona, prawie nieprzytomnego ze strachu, ze wstretu, ze zgrozy, i żartuje z niego, a sam zsiadłszy z wozu obchodzi płonące pochodnie i przygląda się okiem znawcy, artysty.

Chwila jest dramatyczna, jak dotąd nie była jeszcze żadna.

Igrzyska poprzednie przygotowywały stopniowo to, co teraz ma się stać. Fizyczne obrzydzenie, odraza, trwoga, rosły bez ustanku w duszy Chilona, aż wreszcie przy śmierci Crispusa doszły do zgryzoty. Ta zgryzota burzyła się w nim ciągle przez dni następujące, aż sprowadziła rozpacz. „Idzie na mnie jakaś noc, jakaś otchłań!...” Naturalnie trzeba się nim pobawić, i zmusić go, żeby w tej rozpaczycy patrzył na dalsze męki. Przywlekli go, jest, i za Cezarem musi chodzić od pochodni do pochodni. Cezar zatrzymuje się przed jedną, na której płonie już Glaukus!

Scena jest napisana pysznie. Plastyczna tak, że się ją widzi straszno tak, że się zimno robi; a fizyczna jak moralna tortura i zgroza nie przeciągnięta, nie wyśrubo-

wana. Jest w całej swojej okropności, ale jest w mierze. Chilon, który się „zwinął w kłęb jak raniony gad i głosem podobniejszym do krakania jak do ludzkiej mowy“, wrzeszczał: „Przebac!” — Glaukus z płonącym wieńcem na głowie i z jednym słowem: „Przebaczam“, to jest stworzone z niesłychaną siłą dramatyczną i plastyczną. A potem ten krzyk sumienia obudzonego przez skrucę, ten heroizm, który nagle wybucha z podłego telórza i zbrodniarza! Chilon staje się wielkim, przemienia się w jakąś nadludzką odwagę i moc, kiedy „na swoją śmierć przysięga“, że ci giną niewinnie, a podpalaczem jest Neron! Przestрах, wściekłość, ucieczka Nerona i dworu, przerażenie ludu, który uwierzył i lęka się teraz kary bogów, krzyki rozbiegających się tłumów, trzask łamiących się przepalonych słupów. Gdyby się tę scenę widziało w teatrze, byłaby zapewne zbyt przerażająca; tu jest tak widoczna i żywa, że czytając widzi się ją prawie jak w teatrze, a tak wstrząsająca, że na scenie nie mogłaby być taką bardziej.

Ale podziwiając w najwyższym stopniu wykonanie, musimy wrócić do pytania, które zaznaczyliśmy i zakreślili dawno na początku: czy taki koniec takiego Chilona da się pomyśleć i przypuścić? Wiemy, że Pan Bóg jest wszechmocny, więc może ze szpiega, oszusta, rzezimieszka, telórza, zrobić porządnego człowieka. Wszechmocny także w swoim zakresie jest pisarz powieści; może ze swoimi figurami robić, co mu się podoba. Wszystko to prawda. A przecież żeby Chilon mógł się poprawić i nawrócić? to nie może nam się w głowie pomieścić. Zbrodnia, tak — popłość? — nie! „Nie zmartwychwstaje się z pod sromu“. Dlaczego jedno zwierzę, nie gorsze może od wielu innych, ma tak złą sławę, że jego imię jest we wszystkich językach świata synonimem obrzydliwości? Kto chce o człowieku powiedzieć, co może najbardziej pogardliwego, mówi że to... nierogacizna. Chilon jest tym najzupełniej, najdoskonalej jak być można. I ten dzwiga się ze swego błota, i z... tego, czem był, staje się świętym? Przyjmuje się to, ale uwierzyć i zrozumieć jest trudno. Wprawdzie Sienkiewicz zdawna i zreżnie przygotowywał, psychologicznie umożliwiał

«

tę transfigurację Chilona. Widzimy krew i naturę grecką, umysł estetyczny, rosnący wstręt do okrucieństw, i stopniowe budzenie się sumienia. A jednak ten zbiór wszystkich nizkości i podłości jakie tylko są w ludzkiej naturze, przemieniający się w bohatera i świętego — czy to być może? W Ewangelii jest cudownych nawróceń wiele; tylko Judasz który był podły, który sprzedał, ten rozpaczał, ale się nie poprawił. Wszystkiego bylibyśmy się spodziewali prędzej, jak takiego końca Chilona. Przypuszczaliśmy, że surowy, fanatyczny Crispus może w chwili stanowczej osłabnie i odstąpi. Ale żeby ten zdrajca, ten kłamca, ten szpieg, ten tchórz, został bohaterem i świętym? Nie zazdrościmy mu miłosierdzia Bożego, ale nigdy chyba nie okazało się ono miłosierniejszem. Nie zazdrościmy mu też miłosierdzia Sienkiewicza — owszem przyjmujemy je z najwyższą wdzięcznością, skoro zawdzięczamy mu jedną z najpiękniejszych, najwznioślejszych kart jego dzieła.

Sceny następne: św. Paweł, jak rozpaczającego pociesza i chrzci, Tigellin jak go bierze na męki, i ochrzczony Chilon jak męczeństwo znosi cicho, słodko, pokornie, a niezłomnie, to wszystko utrzymuje się na tejsamej wysokości. Sama zaś jego śmierć, ten lud, który już na męki patrzeć nie chce, ten niedźwiedz lepszy od Cezara, który nie ma ochoty go rozszarpać i kładzie się leniwo pod jego krzyżem, ten Neron, którego złość rozsadza, bo zemsta wymyka się z jego wszechmocnych rąk, to jeszcze przez to zasługuje na szczególną uwagę i pochwałę, że jest widokiem względnie łagodnym, że czytelnikowi oszczędza nowych okropności, że go zostawia pod wrażeniem wzniosłem a kojącym tej śmierci cichej, litościwej, i tego głosu św. Pawła, który z wyżyn amfiteatru zapowiada zbawienie.

Uporał się Cezar z chrześcianami. Za ledwo kilkunastu zostało w więzieniach. Lygia między tymi. Co ją czeka? Śmierć, czy wybawienie z rąk Nerona, a potem połączenie z Viniciuszem na wieki, i na wieki szczęście u stóp Zbawiciela. Tak już oboje do tej myśli przywykli, tak uważają to za rzecz konieczną i niechybną, że wcale nawet nie proszą o życie. Zdaje im się, że nie powinni, że źleby było prosić

dla siebie o łaskę, której tylu innych nie dostało. A więc umrze. Viniciusz także, choć nie na mękach, umrze pewnie, jak tylko Lygia pójdzie z ziemi do nieba. Tak są tem przejęci, tak poddani, że nawet smutku już nie czują. Nie czuje go nawet Ursus. I on poddał się zupełnie, doskonale. Ta dusza dziecka, ta świętość naiwna, nieświadoma siebie, ten pierwotny umysł, ta wyobraźnia żywa a łatwowierna jak u dzieci, świeciły przez cały ciąg powieści jak jej najmiłsza może, a z pewnością najrzadsza, najmisterniejsza ozdoba. Ten Polak jak wyszedł z rąk Boga, nietknięty jeszcze żadnem tchnieniem świata, a noszący w sercu wszystkie skarby i wszystkie cnoty polskiej natury kiedy ona dobra jest, i zostaje, świątobliwy chłop gospodarz, i heroiczny rycerz Żółkiewski, i gorejący sługa Boży Kordecki, i męczennik Bobola, i Barszczanin śpiewający: „Stawam na placu z Boga ordynansu“, i dzisiejszy Podlasiak w Orenburskie stepy zagnany, Ursus ma w sobie zarody i pierwiastki tych wszystkich, jest do nich wszystkich podobny — tylko od wszystkich pokorniejszy, mniej wiedzący o sobie, o swojej wierności, cnotcie, poświęceniu. Niezrównany jest od początku do końca; ale nigdy chyba tak prosty i święty, tak dziecinny i wielki zarazem, jak teraz, kiedy swojej śmierci czeka, a o życie Lygii prosić nie śmie. Niech czytelnik rzuci okiem na tę parę kart rozdziału XXI, gdzie opisane jest co Ursus myśli, jak sobie wyobraża niebo, i swoją własną służbę w tem niebie — jak marzy o śmierci na krzyżu, tylko się jej godnym nie sądzi; jak się boi, że przyzwyczajenia i upodobania młodości mogą porwać go mimowoli do walki z dzikim zwierzem, mającym go pożreć w amfiteatrze. Po wiekach chrześcijaństwa, rycerstwa, cywilizacyi, odrodzi się Ursus jako Podbipięta, jego w prostej linii potomek. Tasama dusza i natura, tensam rodzaj umysłu nawet, tylko w odmiennych warunkach czasu, przez to w kształtach odmiennych. Ale za Nerona tamten czekałby męczeństwa tak jak ten — za Jana Kazimierza ten zginąłby tak jak tamten.

Koniec igrzysk. Na finał niespodzianka, która ma zachwycić lud, a rozradować serce i artystyczną ciekawość Ce-

«

zara. Pomysł trzymany w tajemnicy, tak, że nikt nie zgaduje, jaki koniec przeznaczony jest narzeczonej Viniciusza; ale kto zna Cezara i dwór, ten wie z góry, że to będzie ostateczność okrucieństwa nad Lygią i Viniciuszem, ostateczność pastwienia się nad temi dwoma boleściami, a znęcania się nad Petroniuszem.

Wspaniała, tragiczna jest chwila przed rozpoczęciem widowiska. Viniciusz, dotąd niby spokojny, pogodzony z wolą Boską, zrezygnowany na śmierć Lygii, teraz, kiedy ma przyjść na śmierć sama, ale męka, przebywa w krótkim czasie wszystkie boleści i walki, jakie przebywał od pożaru Rzymu i jej uwięzienia. Rozpacz, że jej ratować nie może, zdziwienie, że jej Bóg nie ratuje, że ją opuścił, rozdzierający krzyk: *Ty możesz!* niemniej rozdzierająca prośba, żeby Bóg zesłał Lygii śmierć przed męką, żeby choć to dla niej zrobił! Potem myśl, że jeżeli ratunku nie będzie, to w nim samym wiara zmieni się w rozpacz, a miłość Chrystusa w nienawiść. Potem strach, że tą myślą grzeszy. I wreszcie z duszy udręczonej, jak mało która na świecie, upadającej pod ciężarem boleści, prawie już nieprzytomnej, wyrrywają się tylko dwa słowa, jedno prośby, a drugie wytrwania i poddania: „Cudu!“ i „Wierzę!“ — I to zostaje, góruje nad całą walką i całą męką nieszczęśliwego. W kilkudziesięciu wierszach ta śmiertelna walka i męka jest tu z całym ogromem, z całą bezdennością bólu: a to ostatnie *Wierzę*, które Viniciusz trzy razy powtarza, to w myśli autora oczywiście przyczynia się do zmiłowania, pomaga do cudu.

I teraz już koniec. Na arenę wychodzi Ursus, sam. Zmartwiony, gdy na niej nie zobaczył krzyża, ale nie zdziwiony, bo to prosta rzecz, że on takiej śmierci nie godzien — a chwilę potem Lygia uwiązana na rogach dzikiego byka.

Walka człowieka ze zwierzem od niego stokroć silniejszym, śmierć tego zwierza w rękę człowieka, opisana jest tak plastycznie, jak żeby się widziało przed sobą jaką grupę z marmuru czy bronzu. Naprężenie i gra mięśni, zarycie nóg w piasku areny, grzbiety prawie pękające z wysilenia, nieruchomość walczących a pod nieruchomością siła i wola

spotęgowana do ostateczności, wrażenie widzów, którzy tch zapierają, nie mogą pojąć ani uwierzyć, żeby było możliwem to, na co patrzą. Zdumienie, osłupienie, trwoga zmieszana już z życzliwością, podziwem, litością — niezaprzeczenie i niewątpliwie liczy się to do najświetniejszych kart, jakie Sienkiewicz napisał. Ale oprócz świetności, jest tam jedna rzecz niezmiernie ciekawa, szczególna, i o ile wiemy jedyny raz tak pojęta i wykonana: cud odbywający się we wszystkich pozorach naturalnego porządku rzeczy. Czy cud? dlaczego cud? Może go niema wcale. Przecie Ursus był olbrzym i miał siłę niestychaną, przecież za młodu mocował się ze zwierzętami w swoich lasach. Jeżeli teraz w chwili takiego niebezpieczeństwa i takiego pragnienia, odnalazł tę dawną sztukę i całą swoją siłę, to rzecz zupełnie naturalna, w której nadprzyrodzonego niema nic. Tak jest, i każdy może, jeżeli chce, widzieć w tem tylko zwycięstwo wyjątkowej siły ludzkiej. Ale Ursus, Viniciusz, św. Piotr, i autor, widzą w tem coś więcej: spełnienie dawnej obietnicy Piotra; „Nie bój się choćbyś ją widział w paszczy lwa“ — odpowiedź na Viniciusza wołanie „cudu“. Ursus mówi, że wyraźnie usłyszał w sobie głos Baranka, który mówił: „Broń jej“ — i myśli, że w nim, przez niego działała ta moc niewidzialna, która mogła tura powalić tak, jak go mogła stworzyć. Człowiek zdaje się być sam i działać sam przez się, ale wspomaga go niewidzialnie siła wyższa, nadludzka. Czy nie tak odbywał się niejeden cud w fizycznym, czy nie tak, tylko częściej odbywa się niejeden w moralnym porządku rzeczy? Napozór nic się nie zmienia w zwyczajnym trybie, a przecie staje się coś nadzwyczajnego, co się logicznie po ludzku nie dawało ani przewidywać, ani przypuszczać, ani wyrozumować.

Moc Boska działająca nadnaturalnie, ale w naturalnych pozorach, przez człowieka i w nim, działająca rzeczywiście choć nie oczywiście, nie była, ile wiemy, nigdy w ten sposób przedstawiona, przynajmniej nigdy w literaturze świeckiej.

Zakończenie obrazu: Viniciusz w środku areny okrywający Lygię swoją togą, lud wzruszony i wołający o łaskę

zrazu tylko litościwie, ale im dłużej tem groźniej, Neron ustępujący ze strachu a z wściekłością w duszy, to wrażenie odmienne, ale godne poprzednich. Błogie, podnoszące na duchu, rozkoszne. Raz przecie dobre odniosło zwycięstwo nad złem. Czytelnik szczęśliwy jest kiedy to widzi choćby w powieści, a w Ursusie widzi wyobrażenie wszelakiego dobra, w byku i w Neronie wszelkiego zła, w ich walce wszelkiej walki tych dwóch spraw i sił, która rzadko, wyjątkowo, nigdy na zawsze, ale przecie kończy się czasem tryumfem dobrej sprawy i siły.

Ocalenie, bezpieczeństwo, powrót do zdrowia, wdzięczności i szczęścia więcej niż dusze mogą pomieścić, to koniec historii Viniciusza i Lygii w bardzo pięknych, bardzo wzruszających scenach i listach. Ale nie koniec powieści — nie rozwiązanie tego zagadnienia, które wskazaliśmy na wstępie, jako najgłębsze, jako zasadnicze i podstawne. Takim wydaje nam się „cudowne rozszerzenie się wiary“, tryumf krzyża nad Rzymem, założenie Kościoła na ruinach pogańskiego świata. Wszystko, co było w powieści, do tego należało, z tem się łączyło, i zależało od tego, ale teraz, na końcu musi to wystąpić, nie pośrednio, ubocznie, przez szczegóły i części, ale ogólnie, w samej swojej istności i zasadzie, samo przez się. Ten fakt zwycięstwa dwunastu ludzi nad Rzymem i światem, musiał stać w umyśle Sienkiewicza jako długi, niewzruszony, jaśniejący przedmiot refleksyi, zanim stał się przedmiotem dla jego wyobraźni. Dowodzi tego wyraźnie sam tytuł jego dzieła. Św. Piotr, jego śmierć w Rzymie, to rzecz główna, która w jego myśli góruje nad wszystkim. Gdyby chodziło tylko o Nerona i prześladowanie chrześcian, o nawrócenie Viniciusza i ocalenie Lygii, to podanie o zamierzonej ucieczce św. Piotra z Rzymu do tego wcale konieczne nie było, mogło się bez niego obejść. A jednak tytuł dzieła jest *Quo Vadis*, z tego podania wzięty. Cóż on mówi, jeżeli nie to, że św. Piotr, jego wyjście z Rzymu, jego widzenie na drodze Appijskiej, jego dobrowolny powrót i śmierć na krzyżu, to była w myśli autora sama treść, sama istota, sama dusza i główna racya bytu dzieła.

Ten tytuł musi być usprawiedliwionym. Rozdział następne to w duszy św. Piotra niepewność i walka. Co ma począć? Czy zostać i wydać się na śmierć niechybną? czy chronić się i gdzieindziej, w Jerozolimie lub Antyochii budować Kościół, w Rzymie już prawie zburzony do szczytu? Wszyscy, ilu ich jeszcze zostało chrześciance, jednym głosem błagają o to ostatnie. Bardzo szczęśliwy, bardzo piękny obrót nadaje Sienkiewicz tej sprawie wyjścia z Rzymu. Według podania św. Piotr miał chwile słabości jak niegdyś w dziedzińcu Annasza, przeląkł się śmierci. W powieści tego upadku niema. Św. Piotr, który wszystkich utwierdzał i krzepił, sam jest bliski zwątpienia. Wszystko co zrobił, to na nic! to przepadło! Co gorzej, tyle krwi, tyle męczarni, tyle enót i zasług także na nic! Cały zasiew zdeptany, zgubiony, a Neron stoi jak stał, silny jak był! Jednak z Rzymu wychodzić nie chce. Coby odpowiedział Panu, jak go zapyta, czemu on, pasterz, porzucił owce, kiedy dla Imienia Jego ginęły? Ustępuje; ale ustępuje przed naleganiem wszystkich, w którym widzi znak woli Bożej.

Samo spotkanie i zjawienie zdaniem niektórych nie jest na tej wysokości, co sceny poprzedzające. Nam się tak nie zdaje. Owszem, widzimy wielki takt artystyczny i wielką szlachetność uczucia religijnego w tem, że scena jest naprzód niezmiernie krótka i niezmiernie prosta, wolna od wszelkich literackich ozdób i efektów, od wszelkich lirycznych i poetycznych rozczuleń. Dalej w tem, że ta światłość, która wychodzącemu zastępuje drogę, dla jednego tylko Piotra otacza postać Pana Jezusa, że on jeden widzi, on jeden słyszy. Ta zmiana, jaka w nim zaszła, koniec niepewności i walki, siła postanowienia i gotowości, z jaką podnosi się z ziemi i wraca do miasta, to jest wspaniałe. Nie mniej, chyba więcej, ten rozdział w którym św. Piotr ukazuje się po raz ostatni. Co do tego zresztą nie zdarzyło nam się słyszeć ani jednego zdania odmiennego. W tym pochodzie na śmierć jest tryumfalny pochód Chrześcijaństwa i Kościoła, jest wzięcie w posiadanie Rzymu przez Namiestnika Chrystusowego. W tym Piotrze, który idzie z miasta pewnym krokiem z podniesioną

głową jest i Apostoł, i męczennik, i Papież. A w jego ostatnich słowach, w tem błogosławieństwie, które ze szczytów Janikulu a od stóp swego krzyża daje *urbi et orbi*, jest ostateczne rozwiązanie tego, co w myśli autora było sprawą główną jego dzieła; zwycięstwo Chrystusa nad światem, wiekuiste następstwo i wiekuista tożsamość Jego Namiestnika, i tego z Rzymu rząd nad Kościołem, którego bramy piekielne nie przemogą.

Tylko — teraz pierwsza i jedyna ważna krytyka, jaką mamy do zrobienia — tylko na tem trzeba było skończyć, po *urbi et orbi* spuścić kurtynę. Większego wrażenia nie wywołać nie mogło, a co większego nie robi, to osłabia i zaciera wrażenie już sprawione. I tak, śmierć św. Pawła. Pojmujemy, że autora nęciła silnie ta postać, ale wolelibyśmy, żeby ona się nie ukazywała. Niechby św. Paweł był w Rzymie, niechby o nim drudzy mówili, ale sam żeby nie występował. Czytelnik spodziewa się po nim, wymaga od niego, umysłu genialnego a natury ognistej, bardziej porywającej i podbijającej, niż od św. Piotra. W powieści zaś cała massa światła rzucona jest na tego, a tamten zostaje w cieniu. Jeden ma chwile i słowa rzeczywiście wstrząsające, wspaniałe; drugi cytuje wyjątki ze swoich listów jak każdy ksiądz na kazaniu, i czy jedzie do Antium, czy upomina Crispusa, czy pociesza i chrześci Chilona, pozostaje zawsze niżej od św. Piotra, jest przez niego przyćmiony. I tak samo w śmierci,

Śmierć Petroniusza, to jeden z najpiękniejszych rozdziałów powieści. Arcydzieło prawdziwe. Wszystkie szlachetne pierwiastki tej natury występują na pożegnanie w całym blasku i całej harmonii. Przepyszny jest on w swojej wspaniałej obojętności, pogodzie i wykwintności, śliczna jest i rozrzewniająca ta biedna Eunice, która nie chce go przeżyć i umiera z nim razem. Petroniusz, czy autor, ma rację, kiedy mówi, że w nich ginie poezya starożytnego świata. Niezmiernie zajmująca jest przytem wierność tego obrazu. Z wyjątkiem jednej Eunice, jest w nim wszystko to, co w Tacycie, nie brak niczego, I uczta, i podwiązanie

żyły, i list do Nerona, i podarunki, i pieśń Anakreona, wszystko jest u Tacyty. Na tym przykładzie można uważać i śledzić, jak w wyobraźni twórczej dany materiał przemienia się na obraz, nabiera ruchu, życia, koloru, jak imię staje się postacią, a sucha zapiska sceną. Ale ten ustęp tak świetny potrzebował innego miejsca. Trzeba było przestawić, inaczej ułożyć porządek rozdziałów. Śmierć Petroniusza mogła być przyjść zaraz po ocaleniu Lygii, a po niej już bez przerwy *Quo Vadis* i śmierć św. Piotra. Po jego śmierci, śmierć Petroniusza, choćby tak piękna, jak ta, to ton tak odmienny i z konieczności o tyle niższy, że musi harmonię wrażenia cośkolwiek zmącić.

Epilog, śmierć Nerona, jest zupełnie zbyteczny. Każdy wie, że Neron umarł i w jaki sposób. Wiadomość historyczna nie była potrzebną. Obrazu autor z tej śmierci nie zrobił. Jak czasem w dawniejszych powieściach, jak w *Ogniem i mieczem*, musiał się śpieszyć do końca, i samo zakończenie dopisywać tylko a nie dotwarzać. Tu epilog nie jest nawet materyalnem zakończeniem, bo to było już dawniej, i doskonale, mimo zmylonego, jak nam się zdaje, następstwa, w liście Viniciusza z Sycylii, w śmierci Petroniusza, i w *Urbi et Orbi*.

Po tym długim i szczegółowym rozbiorze zapytajmy na koniec, czem jest i co znaczy *Quo Vadis* w zawodzie swego autora?

Jest naprzód próbą ciężką a zwycięską na polu, dotąd przez niego nietkniętem. Wziął przedmiot z historii powszechnej, przedmiot dla każdego oświeconego człowieka zajmujący jak mało, przedmiot, który musi ludzi zajmować i obchodzić, jak długo trwać będzie nasz świat. Przez to, jak przez treść swoją, niezmiernie wdzięczny — ale niezmiernie trudny, bo pełen ostateczności, kolosalności, w bohaterstwie i enocie jak w zbrodni, obowiązujący pisarza, żeby tym ogromem dorównał. Jeżeli się uda, to przez tę powieść więcej niż przez powieści specyficznie polskie, współczesne czy historyczne, Sienkiewicz złączy się z literaturą powszechną całego świata, i zdobędzie w niej prawo obywatelstwa.

Jak się udało?

Popatrzmy naprzód na stronę literacką, artystyczną.

Miał Sienkiewicz zadanie i obowiązek wystawić w swoim obrazie Rzym cesarów w jego wspaniałości i w jego ohydzie, i pierwotny Kościół w jego prześladowaniu i świętości. Że czuł ciężar tego obowiązku i brał się poważnie do przedsięwzięcia, to zbyt oczywiste. Czy są jakie pomyłki i usterki w archeologii albo w topografii Rzymu, nie umiemy rozpoznać; ale każdy nieuprzedzony musi dostrzedz i przyznać, że pod powieścią jest wielki zasób i głęboki podkład studyów. Tacyta, Juwenala, Suetoniusza, czuje się zawsze i wszędzie pod tem opowiadaniem. Nie dlatego, że niektóre szczegóły, jak śmierć Petroniusza naprzykład, są wiernie z historyi zaczerpnięte, ale dlatego, że charakter ludzi i stosunków jest w powieści taki, jak w historyi. Czy pisarz użył na to mniej czy więcej czasu i trudu, czy ślęczał i mozolił się lub też szybko intuicyjnie pojmował i przenikał, to nas nie obchodzi i to nam wszystko jedno. Nie o sposób takiego studyum chodzi, ale o jego skutek — o przejęcie się starożytnym światem, o jego zrozumienie, przetrwanie i odtworzenie. A to jest. W szczegółach mogą być omyłki; ale całość jest wernym i żywym obrazem tego stanu rzymskiego świata, jaki za Nerona był. Z autorów rzymskich, czy nowoczesnych badaczy rzymskiej historyi i literatury, z jednych i drugich zapewne, ale widocznie Sienkiewicz uczył się jak temu, co powstawało w jego wyobraźni, nadawać kształt i pozór zgodny z ówczesną rzeczywistością. Być może, że nawet mniej ogólni znane dzieła lub studia nad dziełami, dostarczały mu szczegółów i rysów obyczajowego życia. Prof. Kazim. Morawski w swojej rozprawie o romansie starożytnych i o Petroniuszu wspomina pewnego poetę Eumolpusa, który występuje w *Uczcie Trymalchiona*. Ten rodzaj udawania i wyzyskiwania, odkryty, wskazany, mógł pomódz do tej filozofii, z której Chilon robi sobie rolę do odgrywania i zarobek. Co pewna, to że zepsucie ze wszystkimi swojemi pierwiastkami, odcieniami, stopniami i pozorami, od najgrubszych do najbardziej wyrafinowanych i estetycznych, oddane jest rysami pewne-

mi, wyrazistemi, tak, że i Tacyt i Juwenal poznaliby w nich swój czas i swój Rzym. Rysami zaś wielkimi, zarówno plastycznymi jak tragicznymi, oddane są wiekopomne straszliwe fakta historyczne, spalenie Rzymu i pierwsze prześladowanie.

Jak tło, tak postacie złożone są ze szczęśliwej intuicji twórczej, i z głębokiej nabytej znajomości tych czasów i ludzi. Do wspaniałej galerii Sienkiewiczowskich kreacji przybył teraz cały zbiór nowych, które od dawnych nie są piękniejsze wprawdzie, ale były od nich trudniejsze, bo bardziej zawiste, a są przystępniejsze i zrozumialsze dla wszystkich, bo są rzymskie, nie polskie. Pozór rzymski z cechą własną swego czasu, mają one wszystkie; a pod tym kształtem dopiero kryją się indywidualności rozliczne, w szczęśliwej różnorodności i zawisłości swoich natur. Obojętnych między niemi niema; każda jest czemś, w każdej coś jest. Nawet tak uboczne i podrzędne jak Akte, Poppaea, Eunice, albo Pomponia, stoją o własnej mocy, mają swoją fizygnomię i swoje własne życie. Lygia — heroiny Sienkiewicza mają tę reputację, że w porównaniu z bohaterami są cokolwiek zatarte — Lygia choć z osnowy zdarzeń skazana na bierność, ma przez swoją wielką miłość i przez swoją świętość tej wyraźnej indywidualności i fizygnomii, więcej niż Helena Kurcewiczówna, nie mniej na nasz sąd, niż Oleńka z *Potopu*. Viniciusz? Ten pod togą rzymskiego patrycyusza a „kształtem greckiego półboga“ ma pewne podobieństwo z polskim rycerzem. Nie jest odrazu taki doskonały, jak Skrzetuski, owszem zdaleka musi do doskonałości dochodzić, ale ma jak tamten wrodzony i dziwnie pewny zmysł prawości, szlachetności, honoru; a w wytrwałości, w poświęceniu i zwyciężeniu siebie samego, w enocie jest mu pod koniec równy. Namiętny i burzliwy jak Kmicie, nie potrzebuje się poprawiać jak on, bo nie jest zepsuty, na poganina jest całkiem dobry. Ale podobni są do siebie temperamentem, i podobni tem, że oba przebywają proces przeobrażenia, jeden z zepsucia do poprawy i bohaterstwa, drugi z pogaństwa do wiary i świątobliwości. A między Skrzetuskim i Kmicicem może on śmiało stanąć, i nie wyda się gorzej od nich. Nie można się dziwić ani Lygii, że się

w nim zakochała, ani św. Piotrowi, że się do niego tak rzewnie przywiązał.

Petroniusz, Chilon i Ursus, to trzy arcydzieła. W dwóch pierwszych większa subtelność i misterność wykonania, bo większa mięszanina i zawilość pierwiastków. Ale tych tworząc, mógł autor pomagać sobie wiadomościami, wskazówkami ze starożytnego świata. Ursusa wydobył już zupełnie i jedynie ze swojej wyobraźni, ze swojej twórczości; a nie tak wymodelowany i wycieniowany jak tamci, co przy jego prostej naturze nie było potrzebnem, skreślony jest za to większemi, potężniejszymi rysami. Tamci, to przez wielkiego artystę bardzo starannie wypracowane wizerunki; Ursus, to marmur niezupełnie wykończony, ale takim ruchem ręki, takim uderzeniem dłuta wykuty, jakżeby miał należeć do jakiej grupy Michała Anioła.

Nad nimi wszystkimi, na szczycie dwóch walczących ze sobą światów, jako ich weielenie, stoją naprzeciw siebie Neron, i św. Piotr, oba najtrudniejsi ze wszystkich, dlatego są św. Piotrem i Neronem, że czytelnik ma uwierzyć, że to oni. I znowu jeden, starannie wydobyty i stopniowo rozwijany z samej głębi swojej moralnej próżni, zapełnionej żądzą wrażeń, która pochłania tysiące ofiar, i Rzym, i cyrkowe oklaski, i poezję, i sztukę, i matkobójstwo, i upodlenie ludzi, a niczem zapchać się nie może. Drugi, ukazujący się i mówiący niewiele, ale mówiący tak, że czuje się w nim tę epokę, na której zbudowany ma być Kościół.

Do tego tła i tych postaci dodajmy tę szczęśliwą miarę, z jaką orgie czy męczarnie kreślone są z całą mocą i zgrozą, ale utrzymane w mierze, i dodajmy techniczną zręczność w prowadzeniu powieści i powiązaniu różnych jej nici, a znajdziemy w ostatecznym obrachunku, pod względem artystycznym tryumf jest zupełny. Przejdźmy w myśl wszystkie powieści z dziejów starożytnych, albo z pierwszych dziejów kościoła, od Bulwera *Ostatnich dni Pompei* aż do wczorajszego *Ben-Hura*, która z nich będzie lepsza od *Quo Vadis?* która będzie taka?

Ale nad artystycznym jest wzgląd wyższy, wzgląd moralnego i wprost już religijnego charakteru dzieła, a uczucia i stanowiska autora. Pomówmy więc o tem.

Rzekliśmy na wstępie, i tego nie odstępujemy, że naszym zdaniem i uczuciem lepiej jest rzeczy świętych do świeckich powieści nie brać. Ale skoro już takie powieści są, skoro mogli pisać je nietylko pobożni katolicy, ale taki filar Kościoła, jak kardynał Wiseman, to znak, że one nie sprzeciwiają się zasadom i zwyczajom Kościoła, pod warunkiem oczywiście, że będą pisane w duchu prawowiernym, pobożnym, budującym, katolickim. Otóż musimy oświadczyć stanowczo i z głębi najszczerzego przekonania, że w literaturze pięknej, artystycznej, naszego wieku, nie przypominamy sobie dzieła ani jednego, które ten charakter miałoby tak wyraźnie, tak silnie występujący, w którym uczucie autora byłoby tak do dna przejęte świętością wiary i wielkością Kościoła. Z każdej karty, z każdej sceny bije szczerłość przekonania i uczucia. Ślepym być trzeba, by nie widzieć, że to pisał człowiek, który sam w sobie, w głębi swojej myśli i sumienia to pytanie rozważał długo i na różny sposób; który wszystkie wątpliwości znał i nie odpychał ich, ale je brał pod krytyczny rozbiór swego rozumu i pod sąd swego sumienia; który w „cudownem rozszerzeniu wiary“ widział moc Bożą, w wierze samej Bożą prawdę, jedyną do skończenia świata i na wieczność, w jej utrwaleniu i panowaniu, w Kościele i w następstwie apostolskiem sprawę Bożą. Cała powieść jest wyznaniem tej prawdy, tego przekonania, i jest tej prawdy gloryfikacją. Winiciusz i jego nawrócenie, męczeńskie śmierci i cudowne wybawienia, pogaństwo w rozpaczliwej próżni i ohydzie, św. Piotr czy upadający pod brzemieniem trudu i boleści, czy krzepiący siebie i drugich, czy wreszcie w chwili śmierci panujący i błogosławiący *urbi et orbi*, wszystko to mówi chórem, że „Jeden Bóg, jedna wiara, jeden chrzest“, że „*Tu es Petrus*“ że „*Ego sum via et veritas et vita*“. Rzeczy świeckich, a bardziej budujących, bardziej przejmujących czytelnika religijnem wrażeniem i uczuciem, bardziej pobudzających go do religijnego zastanowienia, powtarzamy, w naszym wieku nie znamy. W wiekach dawniejszych, w formie mniej więcej płomienistej, odpowiadającej czasowi i narodowi swemu, jest duch równie szczerze,

równie śmiało katolicki w dramatach Calderona, jest w jedynym niedoścignionym stopniu geniuszu u Dantego. Jest u Tassa szlachetny, wzniosły, ale więcej, jak tu, ze światowemi, fantastycznemi, romansowemi upodobaniami zmieszany. *Polyeucte* Corneille'a *Atalia* i *Estera* Racina mają tego ducha, nie wątpię, że szczerze, ale dworsko, przyzwoicie, chłodno. Kochowski ma go gorącym i pokornym, prostym i rycerskim — ale w lirycznych wierszach, które są raczej modlitwą, niż rzeczą świecką. W wieku XVIII ducha tego szukać przecie nie będziemy. W XIX kompozycje na tle religijnem udają się w literaturach nie lepiej, owszem słabiej, niż w malarstwie. *Les Martyrs* Chateaubrianda nie są przecie warte obrazów i kartonów Overbecka. Zaleskiego *Przenajświętsza Rodzina* nie będzie lepszą od tych licznych świętych familij, które w pierwszej połowie wieku malowali Niemcy, w nadziei, że będą do prerafaelitów podobni. W bliższych latach, kiedy przedmioty religijne zeszyły do powieści, *Fabiola* była bardzo ładna, niezaprzeczenie; ale była podobna do tych powieści, często ładnych, które ludzie pisują umyślnie dla bardzo młodych, dorastających czytelników. Najmłodszy *Ben-Hur*, naszym zdaniem i z talentem pisany i bynajmniej nie gorszący, jest pisany widocznie przez wierzącego protestanta, a potem jest naprawdę powieścią o wzajemnych nienawiściach i zemstach jednego Żyda i jednego Rzymianina, powieścią intryg i przygód w rodzaju dawniejszych Bulwera, do której luźnie i bez wewnętrznego związku doczepione są (słabe zresztą) sceny Narodzenia i Męki Pana Jezusa. Tego tam niema, żeby każda scena i postać, całość i każda część z osobna, była w religijnym duchu poczęta i organicznym związkiem połączona ze sprawą zwycięstwa Kościoła nad pogaństwem. A w *Quo Vadis* to jest.

I w jakim czasie, wśród jakich społeczeństw, wśród jakich literatur, wśród jakich powieści, zjawia się to dzieło? Nienawiść otwarta, wojna, negacya namiętna chrześcijaństwa; zepsucie i rozpustność taka, że ludzie zdają się zwierzętami, albo pessynizm niby zbolący, ale niegodzien nawet litości, taki niedoleźny, chory, szkodliwy; albo szczere może, ale

mdle i mgliste tęsknoty za jakąś prawdą, bez odwagi i woli szukania jej naprawdę, oto co z dzienników i książek w różnych językach od północy do południa, a z powieści nie najmniej, psuje, rozkłada, zaraża zgnilizną ludzkie społeczeństwo i ludzkie dusze. Wszak takie są dzisiejsze literatury, od Ibsena aż do d'Annunzia, i od Maeterlineka aż do Tolstoja? I wśród tego, z jednego kraju, z jednego języka podnosi się powieść, która, jak miedzianego węża chorym Żydom na pustyni, ukazuje jedyną prawdę, zdrową i zbawczą, a dzisiejszemu światu, prawie tak strupieszalemu, jak był ówczesny rzymski, zadaje pytanie: *Dokąd idziesz?* i wskazuje drogę, po której jedynie idzie się do prawdy i do życia. O dalibóg, nie wahał się powiedzieć, że to zasługa przed Bogiem i ludźmi dla pisarza, dobre świadectwa i chluba dla społeczeństwa, które go wydało.

Są ludzie, który się gorszą z *Quo Vadis*, nie radzą lub zgola nie pozwalają go czytać. Ci przerazili się i zrażali się scenami takimi, jak uczta na Palatynie, sceptycyzmem a niekiedy cynizmem Petroniusza lub innych, i na tem porzucali, nie chcąc, czy nie umiając pytać o więcej. Że to powieść nie dla młodych panien, że nie można dać im jej do ręki, ale trzeba dla nich czytać, opuszczając wiele, to jasne jak słońce. Ale te okropności, które być musiały, które były konieczne, które przytem są trzymane w mierze, a bynajmniej nie rozmarywane, nie zmieniają tego, że powieść pisana jest w duchu najuczciwszym, najbardziej religijnym, najbardziej katolickim, jak być może. Tej tendencji, tej treści, tej konkluzji dzieła, nie widzi chyba ten, kto nie raczył wniknąć w jego ducha, i przeciw niemu się z góry uprzędził, niesprawiedliwie a ciasno.

I jeszcze jedno.

Jest w tej powieści wielka nauka dla wszystkich, ale jest i wielka pociecha dla niektórych, dla cierpiących, dla nieszczęśliwych. Ucisk, nieszczęście, prześladowanie, nie mogą już iść dalej; panowanie nad światem oddane złemu. Ci wszyscy chrześcijanie myślą już, że ich Bóg opuścił, a sam św. Piotr pyta: „Panie, komuś Ty oddał rząd świata?”

Przez trzy wieki Kościół, gdyby nie był świętym, jak był, mógł być myśleć, że Bóg z cesarami trzyma przeciw niemu. Przez całe wieki później świat chrześcijański mógł myśleć, że Bóg trzyma z Mahometem, kiedy mu oddał Azyę, Afrykę, i niemal ze Europę. A jednak pokazało się, że Bóg nie trzymał ani z Neronem, ani z Mahometem. A jednak św. Piotr umarł, ale w Papieżu żyje i żyć będzie do skończenia świata. A jednak sam ten Winiciusz, który wołał „cudu“, uprosił i sam cud, kiedy o niego już nawet nie prosił, tylko powtarzał: „Wierzę, wierzę, wierzę“.

Prosta rzecz, że gdyby Winiciusz, zamiast tego, był tarzał się dłużej w tem błocie, do którego na chwilę powrócił, gdyby Glaukus zamiast przebaczyć, przeklinał, gdyby Crispus, zamiast uspokoić i ukorzyć się, w swoim oburzeniu na złe był rzucił przekleństwa i groźby, gdyby ubodzy chrześcijanie byli łaknęli i zazdrościli bogactw i przepychów Rzymu, gdyby św. Piotr był z niego wyszedł, wierny ale małoduszny, to oczywiście nie byłoby zmiłowania, ani cudu, ani zwycięstwa krzyża nad pogańskim zepsutym światem.

Jest w tem dziele coś naprawdę wielkiego — a Sienkiewicz, który na jego tytule napisał *Quo Vadis*, pod jego końcem mógł śmiało i z czystym sumieniem podpisać, jak pobożni pisarze średnich wieków: *Ad majorem Dei Gloriam*.

ZAKOŃCZENIE.

Przeszliśmy po kolei różne powieści Sienkiewicza od młodości jego do lat ostatnich. Pozostaje teraz zrobić wniosek z tych premis, podsumować szczegółowo wrażenia z jego dzieł, i zamknąć rzecz ogólnym sądem o dziele jego dotychczasowego życia, jako o całości.

Weźmy naprzód pod rozwagę kwestyę, która słusznie lub nie, obchodzi nas mniej. Gdzieś na wstępie zadawaliśmy pytanie, a odpowiedź zawiesili do sposobniejszej chwili, jaki zachodzi stosunek między Sienkiewiczem a współczesną powieścią zagraniczną, przedewszystkiem francuską? Jakie są między nimi różnice, w samym pojęciu rzeczy i w jej wykonaniu, różnice moralne i artystyczne? Zastanówmy się cokolwiek nad tem pytaniem. Jeżeli ono da się rozwiązać, to tem samem ułatwi nam znacznie rozpoznanie stosunku tego pisarza do społeczeństwa polskiego i jego stanowiska w polskiej literaturze.

Francuzi wywodzą ten swój romans, który nazywają psychologicznym, od Flauberta, a za poprzednika jego podają Balzaca. Pierwsze wydaje nam się słusznem, drugie nie. Istotnie, od Flauberta, od *Pani Bovary*, zaczyna się ten rodzaj romansu, który pod koniec wieku wziął górę nad innymi, od tej *Pani Bovary*, o której Sienkiewicz mówi: „Wierzyć się nie chce, że niegdyś naraziła swego autora na dwukrotny proces. Gdyby była napisana o dwadzieścia lat później, uznanoby ją za zbyt skromną“. Ale w romansach

Balzaca nie możemy się dopatrzeć zarodków tego kierunku. Pisarze późniejsi i krytycy także, naciągali pozorne podobieństwo sytuacji często gorszących i realizmu w sposobie pisania, żeby tem podobieństwem pozornem zaślepić czytelnika na różnicę istoty, treści, stanowiska, i żeby własnym kreacyom nadać wielkiego protoplastę, podszyć się pod jego imię.

Kto czytał powieści Flauberta i ich odrazu dość liczne naśladowania, w latach, kiedy one ukazywać się zaczęły, ten z pewnością pamięta, że przyjęte były przez cały świat myślący i czytający z oburzeniem, ze wstrętem. Niezależnie od wpływu szkodliwego, psującego, jaki wywierać mogły, były źle widziane dla tego, że brukały wyobraźnię a obniżały istotę ludzką. Dlaczego? Czyż przed nimi nie było romansów złych, przewrotnych, rozpustnych, które mogły umyślnie bałamuścić i do złego nęcić? Były z pewnością, ale były innego rodzaju. Gorszący romans XVIII wieku, jak Diderota, albo *Pamiętniki Margrabiego de Sade*, był otwarcie rozpustnym, obrzydliwie rozpustnym, ale tylko rozpustnym i niczem więcej być nie chciał. Paradoksalne tezy pani Sand mogły tu i ówdzie jaką słabą głowę zawrócić, ale paradoksalnie pojętą i przedstawioną była w nich dusza ludzka ze swojemi uczuciami i prawami. Od Richardsona i Rousseau aż do pani Sand i Balzaca włącznie, przedmiotem romansu były uczucia i namiętności, złe i dobre, nieraz w stosunkach i sytuacjach bardzo gorszących, nieraz z niższemi popędami ludzkiej natury związane, ale ostatecznie zawsze tylko uczucia, pragnienia, cierpienia ludzkiej duszy. Balzac ogłaszany dziś za protoplastę tak zwanych psychologów, *n'a mérité ni cet excès d'honneur ni cette indignité*. Psycholog z pewnością — znawca ludzkiej natury głęboki jak rzadko, w sposobie pisania różny od swoich współczesnych, bo wolny od retoryki, od liryzmu, od tych poetycznych uniesień, a czasem frazesów, które były stylem i modą epoki romantycznej — dlatego uważamy w swoim czasie za zimnego obojętnego anatoma, niesłusznie, i za realistę z większą słusnością. Ale te przeliczne i przeróżne figurki, które on porusza na swoim teatrze *Komedyi życia ludzkiego*, to są dusze

i charaktery (różnego gatunku i wartości), a on zagląda bystro w głąb tych dusz, i opisuje ich uczucia, myśli, rozumy, sumienia — zostaje na tej samej drodze, na której początku stała *Pamela* i *Nowa Heloiza*, *Werther*, *Ottilia* i *Edward* i setki innych mniej głębokich i mądrych.

Od Flauberta począwszy, romans rzucił się na przedmiot inny: zaczął studyować i opisywać sensacje, popędy, instynkta. Człowiek był dotąd w romansie istotą złożoną z duszy i ciała; odtąd ta dusza chowa się w głąb jak nieoddzielny wprawdzie, ale nieciekawy i niepotrzebny dodatek czy towarzysz, a na przodzie zostaje i przedmiotem obserwacji staje się organizm fizyczny ze swojemi nerwami, popędami, zachczeniami, żądzami, albo hysteryami. Czytając te powieści, jest się w jakimś świecie dziwnym, między stworzeniami, które nie są zwierzętami, ale nie są też — zwłaszcza kobiety — zupełnie ludźmi. U jednych same popędy i nic — tylko popędy, u innych obok popędu wyrachowanie (zwykle pieniężne); czasem zboczenia i aberracje wstrętne — nigdy prawie natury ludzkiej prawdziwej, ułonnej, ale wyposażonej wszystkiemi swojemi pierwiastkami i władzami. Galerya takich figur robi takie wrażenie, jak gabinet anatomiczny, w którym zgromadzone są różne potworności, różne zboczenia od normalnego kształtu i stanu ludzkiego ciała. Dla lekarza bardzo to zajmujące i nauczające, dla prostego widza przykre, odrażające. Mniemana psychologia tych romansów, to jest raczej fizjologia; ale fizjologia jakaś patologiczna, studywana na anormalnych, chorobliwych exemplarzach. Obserwacja może jest nieraz bystra i trafna; pisarz, który *con amore* patrzy przez mikroskop na różne wrażenia i zachcenia zwierzęcia w człowieku, może niejedno dostrzedz i opisać bystro. Niemniej powieść jego, choć pisana przyzwyczajenie, wstrzemięźliwie, a czasem wykwintnie, choć się sama uważa za coś bardzo poważnego i opiera się może na jakiejś fizyologicznej erudycyi, wchodzi w kategorię powieści rozpustnej, z tą różnicą, która nie wychodzi na jej chwałę, że rozpustność swoją zasłania powagą erudycyi czy zamiaru, że ma w sobie coś bezwiednej czasem, ale rzeczywistnej hipo-

kryzi. To jest pornografia uroczysta i filozoficzna, ale zawsze pornografia. Źródłem i początkiem tego kierunku było niezawodnie zbyteczne rozpowszechnienie powieści, a wskutku tego jej spowszednienie. Pisarz, wstępujący w swój zawód, widział tyle już przedmiotów wyczerpanych i zużytych, że chcąc się odznaczyć, zrobić efekt, musiał szukać nowych; a przedmioty zmysłowe zawsze obudzą ciekawość, znajdują czytelników, mogą przynieść rozgłos i zarobek. Filozofia pozytywna wsiakając w tych pisarzy choćby bez ich wiedzy, utwierdzała ich w tym kierunku, a w oczach czytelników nadawała powieściom pozór głębokości i prawdy. Zepsucie obyczajów, podobieństwo powieści do niejednego zjawiska widzianego w życiu, częściowa prawda szczegółów, jaka w powieściach jest, służyły im niby za świadectwo, za tytuł prawny, poręczający ich rację bytu. Rozeszły się też tak, że powieść czysta i prosta, powieść istotnie psychologiczna, nie fizyologiczna, jest dziś we Francyi przynajmniej, wielką rzadkością. Pisarze nawet lepszej woli i szlachetniejszej dążności, Alfons Daudet albo Bourget, trzymają się w tej sferze sensacyi i popędów, a na główne postacie swoich powieści wybierają często takie, w których jest więcej zwierzęcia niż człowieka. Biedny Musset, który przed pół wiekiem oburzał się i zalił na *littérature cadavéreuse et infecte*, choć się niestety sam do niej trochę przyczyniał, coby powiedział, gdyby znał tę literaturę dzisiejszą, od *Madame Bovary* aż do *Mensonges* lub *Demi-Vierges*, i jakiego doznałby obrzydzenia, gdyby miał wciągać w płuca tę atmosferę, jaką ona koło siebie tworzy! A nawet ci, którzy się w tej atmosferze duszą, którzy chcą właśnie przedsiębrać dezynfekcyę, jak Bourget, nawet ci dobrym zamiarem i talentem wznoszą się ponad region smrodliwych miazmatów, ale przedmiotami swemi, znaczną częścią swoich figur, i swoim sposobem pojmowania i traktowania tak zwanej psychologii, grzęzną przecie zawsze w tych lochach czy kanałach i wydobyć się z nich nie mogą.

Sienkiewicz nie pisze powieści dla młodych panienek, nie zapelnia ich aniołami ani arkadyjskimi pasterzami, zna

i maluje swój czas z różnemi jego zdrożnościami, wie, że człowiek ma różne złe skłonności, nie boi się nawet pociągów i popędów, i oddaje je tak śmiało, otwarcie, bez ogródki, że czasem raczej aż zamalo obwija je w bawełnę. Scena na morzu w *Bez dogmatu* jest w tym rodzaju jedną z najotwartszych, najzuchwalszych, jakie nam się spotkać zdarzyło. A jednak powietrze, jakim się oddycha w jego powieściach, jakim oddychają jego figury, jest zdrowe i czyste. Dlaczego? Powód bardzo ważny, choć podrzędny i dodatkowy tylko, jest ten, że on nieraz wystawi sytuację zdrożną i gorszącą, ale taka nie jest dla niego celem, rzeczą główną, ulubionym przedmiotem zajęcia dla jego wyobraźni. Wprowadzi ją, kiedy ją ma za potrzebną lub konieczną, ale się nad nią nie rozwodzi, nie rozwiesza jej z przyjemnością przed sobą samym i przed czytelnikiem. Jego natura moralna jest szlachetna, jego natura artysty jest estetyczna; jedna i druga ma w sobie ten zdrowy zmysł, który takich rzeczy nie lubi, a nie znosi w nich nadmiaru, rozwłckania, lubieżnego igrania z rzeczami niskimi, lub grubiańskiego w nich grzebania. To sprawia, że kiedy Francuz z rozkoszą przez mikroskop patrzy i każe patrzeć na każdy spazm naszych nerwów, on śmiało, i czasem może aż za śmiało, powie kilka słów o „miłości skóry“, ale się nad nią nie zatrzymuje, przewraca prędko tę kartkę swojej książki, i idzie dalej. On wie, i czytelnik wie, co to znaczy, zrozumieli się; dłużej o tem mówić nie warto, ani przyjemnie. Młokosy tylko lubią pewnego rodzaju rozmowy, które im dają złudzenie dojrzałości i emancypacyi; ludzie wprawdzie dorośli, fizycznie i moralnie dojrzały, nie potrzebują w ten sposób dowodzić sobie, że są mężczyznami, i mówią o takich rzeczach kiedy muszą, ale się nimi nie bawią, chyba że mają rozумы małe, a natury grube. Z tego wynika, że sytuacja nieprzyzwoita lub gorsząca, w powieści Sienkiewicza znajduje miejsce jako jedna strona ludzkiej natury, jako rzecz, która się zdarza w życiu; ale ukazuje się wśród wielu innych, jako jedna strona czy część. W otoczeniu innych, w związku z nimi, nabiera dopiero swojej rzeczywistej prawdy i wartości, zajmuje takie stanowisko,

R

jakie ma w życiu, gdzie nie jest nigdy ani główną, ani pierwszą, ani jedyłą, ani najciekawszą i najgodniejszą uwagi. Ta krótkość i wstrzemięźliwość w kreśleniu złego, to trzymanie go w karbach i na miejscu jakie mu przysłuża, sprawia, że powieść Sienkiewicza, choć nie będzie do czytania dla młodych panien, nie uwiedzie i nie zabruka żadnej wyobraźni, nie skrzywi żadnego sumienia, nie podnieci żadnej ciekawości. Ona wstrząśnie ludzkim sercem, zapali wyobraźnię, pobudzi myśl do rozważki, ale nie wzburzy ludzkich zmysłów, choć o nich nieraz mówi otwarcie i bez ogródki. I dlatego jego powieść współczesna jest psychologiczną naprawdę, a nie napozór tylko, w rzeczy zaś fizyologiczną, jak są zbyt często powieści Francuzów.

Jest zaś drugi powód, głębszy i szlachetniejszy jeszcze, tej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy Sienkiewiczem a Francuzami. Jest nim pojęcie miłości. Że zaś w romansie każdym miłość jest rzeczą główną, rzecz prosta, że sposób, w jaki ją pisarz pojmuje, musi stanowić o charakterze jego romansu. Jedni pojmują miłość jako szczęście, jako chwałę żywota, a wtedy ona nie może być bez czci, bez uwielbienia, bez wiary i wierności wzajemnej. Mężczyzna, nie może kochać, jeżeli nie czci, nie może czcić, jeżeli nie wierzy, nie może tej miłości ani czuć ani pojąć, ani użyć, jeżeli w jej ręce nie złoży swojej duszy, swego honoru, swego życia, całego siebie z duszą i ciałem. Taka miłość, jedyna prawdziwa, jedyna zupełna, jedyna uszczęśliwiająca, od pierwszej chwili kiedy się poczęła, chce być prawą, i dąży do ślubu. Inaczej brzydzilaby się sama sobą, miałaby się za zbrodnię względem kochanej kobiety. W takiej miłości mogą się zdarzać cierpienia, nieszczęścia, nawet sprzeniewierzenia i upadki, bo człowiek jest ułomny; ale jej istota, jej natura, jest i zostaje zawsze uczciwą, czystą, wzniosłą. I taka miłość, tylko taka, jest zupełna, bo obejmuje człowieka całego ze wszystkim co w nim jest, bo nadto on nie myśli dla siebie zdobywać, ale się w zamian cały oddaje. Może pomimo tego być egoizm po jednej lub drugiej stronie, może być po obu, ale

w zasadzie jest równość zupełna, równość oddania się, równość zobowiązania, równość przysięgi.

Jest inny rodzaj miłości, który ze strony mężczyzny najczęściej, ze strony kobiety często, zasada się na egoizmie. Chce zaspokoić swoje upodobanie, niekiedy tak gwałtowne i silne, że się staje namiętnością i nawet tragedją, ale w przelotnem zachceniu, czy namiętnem pragnieniu, szuka tylko siebie, a stronę drugą uważa za swoją zdobycz. Mężczyzna w takich razach kocha prawie zawsze z restrykcyami; żąda więcej, niż daje, rezerwuje sobie prawo do siebie samego, do swojej wolności. Zaślepienie bywa często, ale czci niema nigdy, bo sam fakt tej miłości już ją usunął z góry i bez ratunku. Zazdrość dochodzi nieraz do szaleństwa, ale wiara nie może nigdy dojść do ufności, bo nie może się oprzeć na szacunku. Nieszczęście, dramat, tragedia, bywa nieraz końcem takich stosunków; ale zwykle bywa nim przesył, czechość, niesmak, zniechęcenie wzajemne. Taka miłość, nawet kiedy najnamiętniejsza, najstalsza, lub najtragiczniejsza, zupełną nie jest nigdy; a kiedy nie jest namiętną, stałą i tragiczną, to jest tak pospolitą i płaską, jak różne inne nasze zachcenia i funkcyje, jak gastronomia, dobry apetyt, chęć do kieliszka wina, i tak dalej, z tą różnicą, że pozory są niby pocteczniejsze i szlachetniejsze — w początkach! Całe późniejsze życie człowieka i jego charakter zależą często od tego, czy jego pierwsza miłość była tego pierwszego lepszego, czy tego drugiego niższego rodzaju. Podobnie kierunek i charakter literatury powieściowej zawisł od tego, czy przeważa i panuje w niej to pierwsze, czy to drugie pojęcie miłości.

Gdzie to drugie jest częstsze od tamtego pierwszego, gdzie ono opanuje literaturę, tam ona także obniża się i psuje, aż się stanie *cadavéreuse et infecte*. W powieściach francuskich to drugie gorsze pojęcie miłości panuje prawie bez podziału i wyjątku. U Sienkiewicza różni ludzie kochają na różne sposoby; ale miłość jako taka, pojęta jest zawsze wysoko, szlachetnie, czysto. Ona jest taka, jak być powinna, choć ludzie nie wszyscy są takimi, i nie pozwala się mieszać

i brać za jedno z temi jej zboczeniami czy simulakrami, które nadużywają zawsze jej imienia i kształtu, ale nie mają jej istoty, jej natury, jej duszy. Otóż w tem pojęciu miłości tkwi, naszym zdaniem, główna różnica między Sienkiewiczem a współczesną powieścią francuską. On nie należy do tego kierunku, który od Flauberta poczęty, sprowadził powieść na boczne i krzywe drogi fizjologii, lub filozoficznej pornografii. I dlatego jego powieści są od tamtych nietylko moralnie wyższe i zdrowsze; one są i psychologicznie prawdziwsze, rozumniejsze, bo on patrzy na ludzi ze stanowiska, z którego ogarnia całość ludzkiej natury, a tamto prawie zawsze jej połowę tylko, albo jej zboczenia.

Wezwijmy go samego na świadka; niech powie, co o tych powieściach myśli, jak sądzi ich moralną wartość i ich psychologiczną prawdę.

„Francyę, a przez Francyę i resztę Europy (*Listy o Zoli*) jęła zalewać powódź książek pisanych z tak lekkim sercem, tak bezwzględnie i zuchwale, tak nie liczących się z żadną odpowiedzialnością wobec ludzi, że nawet tych, którzy przyjmowali je również bez skrupułu zaczęło ogarniać pewne zdziwienie. Zdawało się, iż każdy autor wysadza się na to, by pójść dalej nawet, niż się po nim spodziewano. W ten sposób dochodziło się do nazwy śmiałego myśliciela i oryginalnego artysty. Zuchwałość w poruszaniu przedmiotów i w sposobie przedstawiania ich, zdawała się być najcenniejszym przymiotem pisarza. Przyszła do tego zła wiara, lub nieświadome oszukiwanie siebie i drugich. Analiza! — Analizowano, w imię prawdy, która niby musi i ma prawo być wypowiedzianą, wszystko, lecz przeważnie zło, brudy, ludzką zgniliznę i ohydę. Nie spostrzeżono się, że ta pseudoanaliza przestaje być obiektywnym rozbiorem, a staje się chorobliwym zamiłowaniem w rzeczach zgniłych, wyływającym z dwóch przyczyn: naprzód z zepsucia smaku, a powtórnie z łatwości wywoływania efektów jaskrawych. Skorzystano z tej fizjologicznej właściwości zmysłów, na mocy której wrażenia wstrętne wydają nam się silniejsze i rzeczywistsze niż przyjemne, i — nadużyto tej właściwości bez miary.

Wytworzyło się pewnego rodzaju komiwojażerstwo w zgniliznie; przy prędkim bowiem zużywaniu przedmiotów, chodziło o to, by wynaleźć coś nowego, coby jeszcze mogło targnąć. Sama prawda, w której imię się to działo, poszła w ką. Autorowie chcą w nas winować, że dają prawdziwy obraz społeczeństwa, i że ich obyczajowa analiza jest obiektywną — ale — „obraz jest fałszywy, prawda jest skrzywiona, gdyż w naturze stosunek rzeczy (złego do dobrego) — jest inny. Kłamstwo, przesada, lubowanie się w rzeczach zgniłych, oto dokładny obraz belletrystycznego żniwa ostatnich czasów. Nie wiem co na tem zyskała literatura, ale wiem, że dyabeł nie stracił; płynęła bowiem tą drogą cała rzeka błota i trucizny, a zmysł moralny tak tępiał, że wkońcu zaczął łatwo znosić takie książki, które kilka dziesiątków lat temu byłyby autora zaprowadziły przed sąd“. „Trucizna płynie w duszę czytelników, umysły oswajają się ze złem i przestają się niem oburzać“.

To o jednych, o tak zwanych *naturalistach* czy *psychologach* w rodzaju Zoli. Ale są drudzy, mdli aspiranci do ideału, którzy do niego wzdychają, ale go ani jasno zrozumieć, ani jasno określić nie umieją. O takich cóż Sienkiewicz myśli?

„Widać w nich niepokój ogromny. Wyjścia nie znajdują, bo do tego potrzeba dwóch rzeczy: wielkiej idei i wielkiego talentu, a oni nie mają idei, ni potężnego talentu. Ztąd niepokój wzrasta jeszcze bardziej — i ci sami, którzy występują przeciw grubiańskiemu pesymizmowi naturalistycznego kierunku, sami wpadają w pesymizm, przez co osłabia się główne znaczenie i zadanie, jakie mogłaby mieć reforma. Co bowiem pozostaje? Dziwactwo formy. I w tem dziwactwie, czy ono się nazywa symbolizmem, czy impresyonizmem, brnie się coraz głębiej i gmatwa się coraz bardziej i traci się artystyczną równowagę, zdrowy rozum, pogodę duszy. Często popada się w dalszą zgniliznę pod względem treści, a prawie zawsze w rozbrat z samym sobą; ma się bowiem i słuszne i cne poczucie, że trzeba dać światu coś nowego, a nie wie się co“.

Charakterystyka tej literatury „strupieszalej i smrodliwej“ jest krótka, ale wyczerpująco trafna; głęboka, jak najbardziej trudno. Daje ona zaś poznać literacką teorię Sienkiewicza; tej teorii odpowiada jego praktyka, jego powieści, najwierniej, najściślej, najzupełniej. Z tego zaś wynika, że stosunek jego do współczesnej powieści francuskiej jest pod względem zasadniczym, filozoficznym i moralnym stosunkiem absolutnego przeciwieństwa.

A pod względem artystycznym i estetycznym?

Potrącamy tu o kwestyę, wечно badaną, nigdy nie zbadaną, właściwej proporcji między pierwiastkiem piękności a pierwiastkiem prawdy w dziełach wyobraźni. Wiemy, że oba być w niem powinny, że powinny być w równej mierze, że nie sprzeczność, ale zgoda i harmonia między niemi jest istotą sztuki i jej zadaniem. Ale jak to zrobić, jak te pierwiastki odmierzyć, odważyć, i zmieszać — tego nie doszedł i nie nauczył dotąd w teorii nikt. W praktyce pokazywali to wiele artyści na swoich dziełach; ale i oni zapewne nie potrafiliby opowiedzieć i wytłómaczyć jak to robili.

Sienkiewicz jest niezaprzeczenie bardzo realistą. Jest nim w dziełach swojej młodości, nawet w najrzeczniejszych (jak *Janko*); jest tak samo w dziełach z dojrzałego wieku. Jest w scenach tragicznych i strasznych, jak śmierć Kurcewiczów, kompanionów Kmiećca, Mellechowicza, Crispa, Glaukusa, Chilona; jest w heroicznych jak bitwy pod Maclmówką i Konstantynowem, jak oblężenie Zbaraża i Częstochowy; jest w figurach swoich, i to nie w tych jedynie, które tworzy i kreśli z humorem (Zagłoba, Rzędzian, Kiemlicze, Roch Kowalski itd.), ale i w takich, którym chce nadać i nadaje charakter i wdzięk poetyczny (przypominamy sposób mówienia Bohuna albo Ursusa). Że jest w tej trudnej sprawie jednym z wielkich mistrzów, że nader rzadko wykracza z miary a szczęśliwą proporcję prawie zawsze utrzymać umie, na to zwracaliśmy uwagę czytelnika wiele razy, i powtarzać tego już nie będziemy. Do tego tylko zmierzamy, że kiedy artysta, który w praktyce dowiódł świetnie, że umie dobrze utrafić właściwy stosunek między pięknnością a prawdą, wyjaśnia

w teorii na czem się ten stosunek zasadza, albo drugim brak jego wytyka, to można mu wierzyć, bo on jest biegły w rzeczy, expertus, praktyk; i posłuchać warto, co on też o tej sprawie powie.

Oczywiście nie będzie to filozoficzna dysertacya o estetyce, ani definicya piękności i prawdy, ani recepta na ich właściwe użycie i mieszanie. Od niechcenia, przy okazji powieści, którą ma osądzić, wskazuje Sienkiewicz fałsze i brzydoty tak zwanego naturalizmu, wskazuje z kądem się biorą, a rzuca, znowu niechcący, niejaki światło na to, co być powinno, na sposób, w jaki sam tworzy i pisze.

„Trzeba się wysoko wspinać, by dostać barw od zorzy lub tęczy, a ślinę każdy ma w ustach, i malować nią łatwiej. Ten naturalista (Zola) lubi tanie efekta. Woli zaduch niż zapach, zgniliznę niż żywą krew, próchno niż zdrową miążgę, nawóz niż kwiaty, *la bête humaine* niż *l'âme humaine*“. O Zoli to tylko powiedziano: ale czy na dnie wielu dzisiejszych realizmów w sztuce, w powieści, w dramacie, w malarstwie nie tkwi ta prawda i ta przyczyna, że „trzeba się wspinać wysoko, by dostać barw od zorzy lub tęczy?“ I czy ta trudność właśnie nie dyktuje dzisiejszych estetycznych teorii i axyomatów, jak niegdyś trudność podobna dyktowała Voltaire'owi *Świątynię gustu*. Jedna jak druga mówi o „barwach zorzy i tęczy“ to, co lis o winogronach: *ils sont trop verts, et bons pour des goujats*.

A w czemże polega, i jakimi środkami osiąga się rzeczywista prawda w sztuce? Oto nie jedyne zapewne, ale jedno, i pewne, prawidło.

„Literatura nie może się posługiwać takimi wyrażeniami, jakich wstydzą się między sobą nawet prostacy. *Prawda realna* o ile chodzi o ludzi występnych, upadłych, nędzarzy, *da się osiągnąć* innym sposobem, *przez prawdopodobne oddanie stanów duszy, myśli, czynów, wreszcie przez tok mowy*, ale nie przez dosłowne cytowanie ich przekleństw i najwstrętniejszych słów. *Tak w doborze obrazów, jak w doborze wyrazów, istnieje pewna miara, wskazywana przez rozsądek i dobry smak*. Z dawnych utworów literatury pow-

szechnej przeżyły zapomnienie płody grube, przeznaczone do budzenia śmiechu (Arystofanes, Rabelais), lub rzeczy swawolne, ale pisane wykwintnie. Nie przeżyła ani jedna, obliczona na pobudzenie mdłości“.

Ta prawda „stanów duszy, myśli, czynów, toku mowy“, ten „dobór obrazów i wyrazów, kierowany rozsądkiem i dobrym smakiem“, to jest oczywiście rodzaj, a zarazem i granica realizmu, jak go Sienkiewicz pojmuje i praktykuje. Jego powieści dowodzą, że pojęcie i rodzaj muszą być dobre, a granica mądrze pociągnięta. Przytoczone zaś zeznanie dowodzi, jak dowodzą tak samo i powieści, że pod względem artystycznym i estetycznym także, stosunek Sienkiewicza do Francuzów jest stosunkiem wielkiej różnicy w pojęciu sztuki, w pojęciu tego, co nazywamy realizmem, i w stosowaniu pojęcia do tworzenia i pisania. Jestto stosunek z jednymi zupełnego przeciwieństwa, z innymi lepszymi stosunkiem co najmniej wielkiej odległości i wielkiego braku podobieństwa.

Kiedy zaś mówimy o stosunku Sienkiewicza do zagranicznych powieści i pisarzy, to na koniec jeszcze raz przypomnijmy i zapytajmy o jedno: gdzie jest w dzisiejszym świecie pisarz, którego powieść byłaby oparta na równie zdrowych i prawdziwych pojęciach estetycznych, a wzniesiona tak wysoko na równie czystych i zdrowych pojęciach moralnych? gdzie jest ten, który powieść swoją i jej zadanie pojmowałby tak cnotliwie? któryby ożywił ją i podnosił takim pojęciem, taką dążnością, takim duchem ucziwym, patriotycznym i religijnym?

A teraz już samo z siebie nasuwa się i rozwiązuje pytanie, czem są powieści Sienkiewicza w polskim społeczeństwie i piśmiennictwie.

Jest lat dwadzieścia pięć, jak on rozpoczął swój zawód pisarski. Zaszedł daleko od tego czasu — dalej nierównie niż zapowiadały jego początki. Pokazał się zrazu jako młodzieniec niezwykłego talentu. Miał poezję, miał wdzięk, miał na swoim pendzlu kolory, blaski, odcienia, a w pendzlu miał i rylec, którym znaczył rysy energiczne, śmiałe, zadziwiające wyrazistością i prawdą. Umiał się śmiać ironicznie;

ale umiał równie dobrze uśmiechać się jasno i dobrodusznie jak dziecko. Umiał też czuć; umiał uczuć i oddać różne ludzkie cierpienia. Umiał i pisać; miał styl i język taki piękny, taki własny i do innych niepodobny, jak zawsze nie często a dziś bardzo rzadko spotkać można. Prócz tego jeszcze był zupełnie i wyłącznie sobą, stał na własnych nogach, nikogo nie naśladował, niezem się nie podpierał. Prócz tego był i rozumny; oklepanego, powtarzanego, płytkiego nie było nie w jego myśli, w jego wyobraźni, ani w jego piórze. Z temi zaletami nie dziwnego, że odrazu pociągnął do siebie uwagę i sympatyę czytających, a wielu oczarował i podbił.

A jednak czuło się w nim jakiś brak. Czego? Jędrności, statku, męskości. Można było pytać, czy nie jest to natura, jakich wiele bywało w pierwszej połowie naszego wieku, szlachetna i pełna wdzięku, wrażliwa bardzo, ale mniej usposobiona do jasnej i pewnej świadomości siebie; poddająca się różnym wpływom, jakie na nią działać mogły, ale mniej zdolna nad nimi panować i sobą kierować. Ten wdzięk, ta poezya, ta fantazyja, te dobre uczucia, kołysały się w powietrzu naksztalt pajęczyn albo motyla.

Na czem spoczna, gdzie się ustala? lub też czy poprzestana na bujaniu? Talent wielki, ale natura nie całkiem zrównoważona i tęga, choć dobra — oto jakim mógł się wydawać autor *Hani, Szkiców węglem i Janka*.

W *Tatarskiej niewoli* dał się słyszeć po raz pierwszy ton inny: silny, żołnierski, heroiczny *major*, po tych *minorach* rozrzucających, rozdzierających, ale czasem i rozstrajających. Oznaka była dobra. Kto wielką duszę mógł stworzyć, ten sam musiał mieć co najmniej czerstwą — znać i kochać to, co w ludziach i sprawach najlepsze, najgodniejsze miłości. Ale pomimo *Niewoli*, pomimo podniesionej wysoko opinii i nadziei o jej autorze, tego się wtedy jeszcze nie wiedziało, że jemu już rosły skrzydła potężne, i że bliską była chwila lotu tak wysokiego, jakiego nikt nie przewidywał i nie wróżył. Rozmiary i siły pisarza, jak człowieka, jeszcze się nie odsłoniły. My sami, pisząc przed laty piętnastu o tych dziełach młodości Sienkiewicza, i witając *Niewolę* z radością i zapalem,

nie wiedzieliśmy i pytali, czego mu życzyć? czego od niego żądać? Czy lepiej, żeby zawsze trzymał się w tych formach drobnych, które mu się tak dobrze udają? Wielka to mądrość i cnota dla artysty znać zakres swego talentu i z niego nie wykraczać. Ale te formy drobne są przecież drobne — a co wielkie, to wielkie. Gdyby się zerwał na takie, byłoby pięknie. Tylko czy on ma w sobie dość siły, dość tchu, żeby się na wielkie rzeczy ważyć. A jeżeli się odważy, i spadnie z wysokości zbyt śmiałego marzenia i przedsięwzięcia?

Wyszło *Ogniem i Mieczem*, i po pierwszych rozdziałach, prawie po pierwszych kartach, już się czuło i poznało, że to wyjątkowa organizacya artysty, i niepospolita dusza człowieka. Coś się z nim stało, coś się w nim przemieniło; zjawiał się innym, niż się go dotąd znało. Twórczość, uczucie, umysł, wszystko było nierównie większe; na miejscu pisarza wdzięcznego stał teraz pisarz wielki. Ptak latający z gałęzi na gałąź, polyskujący świetnymi piórkami, i przyspiewujący dzwięcznym głosem, wzbił się w obłoki jednym zamachem skrzydeł, i patrzył śmiało w samo słońce sztuki i chwały, patrzył na ziemię z miłością wielką, a mądrą. Wyobraźnia zerwała powijaki małych form i rozmiarów, myśl wydobyła się z mgieł niejasności i niepewności; a kiedy jedna wpatrzyła się w samo słońce sztuki, druga utkwiała się w stałym i jasnym słońcu prawdy — prawdy w miłości, prawdy w obowiązku i służbie, prawdy w sumieniu. Wrażliwego ale i drażliwego a poniekąd drażniącego nerwowego młodzieńca już nie było; pośrodku piśmiennictwa i społeczeństwa był prawdziwy mąż, który wiedział doskonale co złe a co dobre, który kochał to co najlepsze, i który najwyższy ideał chrześcijański i polski umiał wskazać tak, że do niego serca i umysły pociągał. Wziąć straszliwą chwilę przełomu w dziejach swojej ojczyzny i przedstawić ją tak, że żaden jej ból nie zniknął, ale każdy musiał zatargać polskiem sercem gdzie ono było, to bardzo wiele. Talentem, twórczością, wystarczyć kolosalnym obrazom walk bohaterskich i bohaterskim postaciom wielkim w cnocie jak w walce, urozmaicić i ozdobić te obrazy kreacyami godnymi Szekspira i Cervantesa, to

także bardzo wiele. Ale było w *Ogniem i Mieczem* i w jego autorze coś lepszego, jak to wszystko. Było zdrowie czerstwej i jędrnej jak szpik w kościach lwa, było czyste złoto moralnej, patriotycznej i chrześcijańskiej prawdy; była pod wspamiętałem pokryciem najrzadszej, najświetniejszej sztuki, prostota, prawość, czystość, pewność sumienia, i wskazywała rzetelne, prawdziwe przykazanie miłości, powinności, służby. *Ogniem i mieczem* było, w naszym najszczerzszym i najgłębszym przekonaniu, najpiękniejszą powieścią historyczną na świecie. Ale mniejsza o wszystkie piękności; w tem dopiero cała wartość i zasługa, że nad tą pięknością, która była środkiem i pomocnicą, unosila się nauka, dążność, cel. Sienkiewicz uczył nas dobrze czuć i dobrze służyć!

Jak zaś rozważyć, że uczył wśród rozpaczliwych czasów i stosunków, wśród gruzów i zwalisk, wśród zwątpień nieuniknionych, a strasznych, ach i co najgorsza dopiero, wśród zepsucia i zgnilizny, szczeplonej u nas ręką cudzą, ale niestety i własną nieraz szerzonego, to zważywszy, dopiero się czuje, widzi, ocenia, jakim czynem prawdziwie była książka, która i ufność w siebie samych dźwigała, bo dobrze o narodzie świadczyła i do wzniesłego ideału serca w górę podnosiła, i o samą ufność w Boga upominała, przypominając, że Bóg „wiernym wierny“. Wielu pilo jego myśli i słowa, jak kordyał, i czuło, że naprawdę przybywa im ducha. Dlatego mieliśmy słusność, kiedy w swoim czasie pisaliśmy, że jak tam w powieści, tak w dzisiejszem naszym strasznym oblężeniu, „Skrzetuski broni Zbaraża“.

Zkąd to tak wielkie, tak szczęśliwe przeobrażenie i piosarza i człowieka? Oczywiście te wszystkie siły, te wszystkie zasoby twórczości, te wszystkie skarby dobrego, były w nim już przedtem, ale ukryte przed okiem świata, może przez niego samego przecezuwane, ale nieznanne dokładnie, nie wypróbowane. Co je wydobyło na jaw i wprawiło w ruch? Próżno silić się na domysły. Artystyczne natchnienia i wrażenia, ludzkie serca i żywoty, mają swoje tajemnice; a kto by się do nich zbliżał, temu mówią: *arceo*. Sądawka Siloë miała stale i zawsze swoją moc uzdrawiającą i cudowną; ale ta

moc działała wtedy dopiero, kiedy ją anioł palcem swoim poruszył. Takie dotknięcie, potrącenie przez anioła, zdarza się czasem i duszom ludzkim, i budzi je do lepszego, wyższego życia. Anioł może zniknąć, „ulecieć między współnicbiany“, zostawić po sobie żal i tęsknotę. Ale ślad jego ręki zostanie w duszy nazawsze, a lot jego skrzydeł „jasną drogę ku niebiosom kreśli“.

„Lećmy i nigdy nie zniżajmy lotu“ — powiedział sobie Sienkiewicz i dotrzymał.

Jak pojmował człowiek już dojrzały swoje stanowisko i swoją powinność, swoją służbę, jak zadanie i przeznaczenie powieści? Na to pytanie odpowiada on sam, w piśmie mało, zbyt mało znanem i głośnem, z przypadku zapewne powstałem, ale dobrem do rozważenia i zapamiętania dla wszystkich, przed wszystkimi dla piszących — w tych *Listach o Zoli*, które przytaczaliśmy już wyżej, a które zawierają rzadkie u Sienkiewicza wyznanie własne, jak pojmuje powieść i jej powołanie, czego żąda od niej i od siebie.

„Truczizna sący się, rozkłada prostotę duszy, wrażliwość moralną, i ów zmysł sumienia, który odróżnia dobre od złego. Zaczadzonym trzeba świeżego powietrza, wąpiącym nadziei, targanym niepokojem trochy spokoju; przeto słusznie czynią ci, co zwracają się tam, z kąd nadzieja i spokój płynie, tam, gdzie ich Błogosławia krzyżem, i gdzie im mówią, jak paralitykowi: *Tolle grabatum tuum et ambula*“.

„Tak dalej iść nie może. Na wyjałowionem polu pozostają tylko chwasty. Powieść winna krzepić życie, nie zaś podkopywać; uszlachetniać je, nie zaś plugawić; nieść „dobre nowiny, nie zaś złe“.

Oto stanowisko, z którego pisane były *Ogniem i mieczem*, *Potop*, *Pan Wołodyjowski*; w innym rodzaju i kształcie, ale niemniej *Bez dogmatu* i *Rodzina Połanieckich*, a wreszcie w innym jeszcze zakresie i tonie *Quo Vadis*. Wszystkie wiernie w tym duchu, wszystkie zgodnie z tem pojęciem i postanowieniem. I przynosiły też naprawdę „zaczadzonym świeże powietrze, wąpiącym nadzieję“, zwracały naprawdę tam, „z kąd płynie spokój i nadzieja“, gdzie pod znakiem

krzyża dają się słyszeć słowa *surge et ambula*. Niech kto zaprzeczy, niech powie, że tak nie jest! że nie taki duch świeży, ożywecy, uzdrawiający wieje ze wszystkich powieści Sienkiewicza od *Ogniem i mieczem* aż do *Quo Vadis*, zawsze ten sam, z tą tylko może jedną różnicą, że wieje chyba coraz silniej, a odzywa się coraz wyraźniej.

Tak on pojmuje zadanie i powołanie powieści, i temu pojęciu jest wierny; pisze tak, jak myśli, jak mu każe przekonanie i sumienie.

Z przytoczonych ustępów dałoby się już wnieść na pewno, jak on pojmuje stanowisko i obowiązek pisarza i czego żąda od siebie, jako pisarza. Ale są słowa własne, które określają to jeszcze bardziej jasno i stanowczo.

Niejednen na jego miejscu powiedziałby szumnym frazesem, z miną uroczystą i natchnioną, że pisarstwo, to kapłaństwo, a pisarz, to kapłan, nauczyciel, apostoł, spowiednik swego narodu, pochodnia światła na jego drodze, a sól jego ziemi. Sienkiewicz nie staje w postawie proroka czy kapłana, nie mówi o sobie, jak o naczyniu wybranem. Wystarcza mu czuć żywo obowiązek swego powołania, znać go dobrze w swoim sumieniu, pełnić go jak może najlepiej, i — mówić o niem poprostu:

„Każda książka to czyn, zły lub dobry, ale dokonany; cały zaś ich szereg, zwłaszcza napisany w imię jednej myśli przewodniej, to zadanie życia spełnione, to uroczystość dożynek, podczas której przewodnikom służy prawo do wieńca, i do pieśni „*Plon niesiem, plon*“.

„Ale oczywiście zasługa zależy od plonu. Zawód piarski ma swoje kolce, o których się czytelnikom nie śniło. Chłop, zwożący snopy do stodoły, ma tę zupełną pewność, że zwozi pszenicę, żyto, jęczmień, lub grykę, które pójdą ludziom na zdrowie. Autor, w najlepszej nawet wierze piszący, może mieć chwile zwątpienia, czy zamiast chleba nie dawał trucizny? czy dzieło jego nie jest jedną wielką pomyłką, lub jedną wielką winą? czy wyszło ludziom na dobre? czy nie lepiej byłoby dla nich, i dla niego samego, gdyby był niczego nie dokonał, nie nie napisał, i zmarniał? Wątpliwości są wrogiem ludzkiego spokoju; ale są zarazem i filtrem,

który nie przepuszcza mętnego osadu. Źle, gdy ich jest za wiele, źle gdy za mało, w pierwszym razie ginie zdolność do czynu, w drugim sumienie. Ztąd odwieczna, jak ludzkość, potrzeba regulatora z zewnątrz...¹⁾“

Wszystko to zmierza wprawdzie do pisarzy francuskich, a w szczególności do Zoli, do takich, dla których (jak dla ich społeczeństw) byłoby lepiej, gdyby talentu nie mieli i zmarnieli, do takich, dla których „ów regulator, jakim była religia, przestał istnieć oddawna“. Ale choć do drugich zmierzają, wypowiedziane są te słowa i o sobie także, są wyznaniem własnem — a dla nas źródłem do poznania i dokumentem do osądzenia, jak on swoje pisarskie powołanie rozumie. Nie; nie byłoby lepiej ani nam ani jemu, gdyby był nie nie napisał i zmarniał. Nie; nie dawał nam trucizny, tylko chleb. Nie; jego dzieło nie było ani pomyłką ani winą, tylko zasługą — a jeżeli ludziom nie wyszło na dobre, to już nie z jego winy, tylko z ich własnej.

Do tego cóż jeszcze dodać można, a raczej słusznie dodać należy? To, że całą jedną gałąź polskiego piśmiennictwa, powieść, podniósł Sienkiewicz tak wysoko, jak przed nim nie stała nigdy. W tej drugiej połowie naszego wieku, która wielkich poetów nie ma, jego powieść była najpiękniejszem, najszlachetniejszym dziełem twórczej wyobraźni, kwiatem i szczytem literatury pięknej w swoim okresie czasu. Była też, w czasie zbyt częstego niestety każenia i psucia języka, doskonałością prawie zupełną polskiej prozy, a jej autor jednym z mistrzów polskiego języka i stylu. Była też i doskonałym wyrazem narodowej świadomości i narodowego ducha — doskonałym, bo zdrowym, czystym, silnym i wzniosłym. A kiedy mówimy „ducha narodowego“, to rozumiemy przez to i dodawać niepotrzebujemy, że ten tylko jego wyraz może być prawdziwym i doskonałym, który jest równie wyrazem ducha religijnego i katolickiego.

Kto to zrobił, ten patrząc wstecz na dwadzieścia pięć lat swego zawodu, może sobie z czystym sumieniem powiedzieć, że czasu nie tracił, talentu nie zakopał, *bonum certamen certavit*.

¹⁾ Listy o Zoli.

Czegóż mu życzyć na dalsze lata żywota? Dalszego ciągu tej zasługi, tej dobrze zarobionej chwały — dalszego, a jeżeli być może coraz świetniejszego, coraz wyższego. Przy srebrnych weselach życzy się zwykle złotego, w zdrowiu, spokoju, błogosławieństwie spływającym z góry na pokolenia wnuków i prawnuków. Przy tym srebrnym ślubie Sienkiewicza z polską literaturą i duszą, powiemy więc tak samo: „Daj Boże doczekać złotego, w zdrowiu, w niezmienności talentu i ducha, i jeżeli być może — w powodzeniu!“ Mówią świątobliwi ludzie, i zapewne mają słuszność, że ta praca najskuteczniejsza, której owoców pracownik sam nie widzi. Brak tej pociechy jest tą ofiarą, — tą zasługą, która niewidzialnie zjednywa u Boga największą pomoc jego pracy i najobfitszy jej plon. Być może, że tak jest. A jednak przy tej dwudziestej piątej rocznicy nie można się wstrzymać od życzenia, żeby do wszystkiego, co Bóg Sienkiewiczowi dał, dodał jeszcze jedno: widzieć plon z jego zasiewu, skutek jego pracy, i uradować się tym widokiem wśród lepszego, szlachetniejszego, wyżej podniesionego społeczeństwa polskiego.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. Małe powieści	1
II. Ogniem i mieczem	27
III. Potop	89
IV. Pan Wołodyjowski	149
V. Rodzina Połanieckich	194
VI. Quo vadis	268
Zakończenie	345



κ

<http://rcin.org.pl>

abu 185 / 50 k

Exhib: Square group notes (1/18)





II

1278
5